

Spencer LaVyrle

Na jedną kartę

Liryczna, ciepła opowieść o dwojgu ludziach, którzy z wrogów stają się przyjaciółmi i razem zaczynają szukać swojego miejsca na świecie.

Agatha jest wzorem cnót i dobrego wychowania, Scott żyje wedle własnego kodeksu, obojętny na wzorce moralne innych. Zwalczają się nawzajem zajadle, aż przychodzi dzień, kiedy w imię dobra osieroczonego chłopca muszą złożyć broń. Wkrótce uświadamiają sobie, że choć tak bardzo się różnią, mają też coś wspólnego: obojgu doskwiera samotność. Opieką nad chłopcem staje się dla nich życiową szansą, okoliczności jednak wymagają, by wszystko postawili na jedną kartę. A to trudna decyzja...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1880

Z okna swojego zakładu modystka Agata Downing ujrzała wędrujący ulicą obraz kobiety naturalnej wielkości. Nagiej! Syknęła i zacisnęła pięści. To znowu on! Ciekawe, na co wpadnie następnym razem? Jakby nie wystarczyło, że otworzył tuż obok ten przeklęty lokal, w którym kusi porządnych ludzi, żeby przepuszczali ciężko zarobione pieniądze na hazard i alkohol! A teraz jeszcze ten obraz!

Przycisnęła drżącą z oburzenia dłoń do obcisłego gorsetu i patrzyła, jak grupa hulaków, wykrzykując sprośne przyśpiewki, kieruje się do Złotej Klatki z oprawnym w ramę płótnem na ramionach. Ulica była szeroka i zabłocona, przejście na drugą stronę zajęło im więc dłuższą chwilę. Gdy byli mniej więcej w połowie, dołączyli do nich ci, którzy dotąd stali na drewnianym chodniku. Kłaniali się i uchylali kapelusza, oddając hołd rubensowskiej piękności. Im bliżej byli, tym mocniej wzburzona Agata przyciskała dłoń do gorsetu.

Gorsząca postać mierzyła dobre sześć stóp i wznosiła ramiona do nieba, jakby zaraz miała się ku niemu wznieść — lubieżna i naga niczym świeżo wyklute pisklę.

Agata spuściła wzrok, żeby nie patrzeć na to haniebne widowisko.

O dobry Boże! Zbliża się następna grupa i chyba są w niej także dzieci.

Na widok hulaków dwóch malców puściło się biegiem po błotnistej ulicy. Najwyraźniej też chcieli sobie popatrzeć. Agata otworzyła drzwi i utykając wyszła na chodnik.

— Perry! Clydell! — krzyknęła na dziesięciolatków. — Natychmiast marsz do domu! Słyszycie?

Chłopcy zatrzymali się i zobaczyli pannę Downing wskazującą palcem na drugi koniec ulicy.

— Powiedziałam: natychmiast! Albo o wszystkim powiem waszym mamom!

Perry White spojrział na Clydella Hottle'a z wyrazem niezadowolenia na piegowatej twarzy.

— To ta stara Downing.

— A niech to lichy...

— Moja mama kupuje u niej kapelusze.

— Aha, moja też — odparł Clyde Hottle, nie kryjąc rozczarowania. Posłali nagiej piękności ostatnie badawcze spojrzenie, niechętnie zawrócili i powlekli się w stronę domu.

— Poczekajcie, aż dorośnecie! — wrzasnął za nimi Mo-oney Straub, jeden z miejscowych pijaków. Odpowiedział mu rubaszny śmiech tłumu, co jeszcze mocniej rozsierdziło Agatę.

Co za hołota! Była dopiero dziesiąta rano, a Mooney Straub już ledwo trzymał się na nogach. Był z nimi Charlie Yaeger, którego żona i sześcioro dzieci zamieszkiwali norę zbyt podłą nawet dla świń; a także Dan, syn Cornellii Loretto, trudniący się w lokalu obsługą stołów do hazardu, co strasznie martwiło jego matkę; i złowrogo wyglądający barman z ogromną czerwoną blizną szpecącą większą część twarzy i siwymi włosami porastającymi jedynie lewą stronę czaszki; i wysoki chudy czarny pianista o wszystkowidzących oczach; i George Sowers, który przed laty trafił na żyłę złota w Kolorado, ale potem wszystko przepił i przegrał w karty. A na czele kroczył ten, który przyniósł zarazę pod próg Agaty — osobnik znany w mieście jako Scotty.

Agata stanęła na schodach prowadzących do salonu i czekała, aż brygada Szatana przedostanie się przez grząskie błoto. Kiedy doszli do barierki, Agata rozłożyła ramiona.

— Panie Gandy, muszę stanowczo zaprotestować! LeMaster Scott Gandy ruchem dłoni dał pozostałym sygnał, że mają się zatrzymać.

— Poczekajcie, chłopcy! Wygląda na to, że mamy towarzystwo. — Odwrócił się powoli i uniósł wzrok ku kobiecie, która stała nad nim niczym anioł zemsty. Ubrana była w bladoszarą suknię z turniurą sterczącą niczym grzbiet

nastroszonego kota. Włosy miała upięte w ciasny kok, który musiał chyba powodować nieustanny ból głowy. Jedynymi barwnymi akcentami w całej tej postaci były bliźniacze rumieńce na bladych policzkach.

Uśmiechając się półgębkiem, Gandy uniósł leniwie rondo niskiego kapelusza.

— Dzień dobry, panno Downing — wycedził z akcentem przywodzącym na myśl derenie i kwiaty magnolii.

Agata Downing chwyciła się pod boki.

— To po prostu skandal, panie Gandy!

Scott Gandy trzymał lekko uniesiony kapelusz, wciąż krzywo się uśmiechając.

— Powiedziałem dzień dobry, panno Downing.

Tuż przed jej nosem przeleciała mucha, ona wszakże nawet nie mrugnęła okiem.

— Wcale nie jest dobry, panie Gandy, i nie mam najmniejszego zamiaru udawać, że jest inaczej.

Włożył kapelusz z powrotem na kruczoczarne włosy, otrzepał jeden but z błota i postawił nogę na najniższym stopniu.

— Jakże to? — sięgnął do kieszeni kamizelki po krótkie cygaro, spoglądając to na niebo, to na Agatę. — Świeci słońce, wreszcie przestało padać, a na dodatek niedługo zjawią się kowboje z bydłem. — Odgryzł koniec cygara i wypluł w błoto.

— Moim zdaniem to całkiem dobry dzień. Ale pani sądzi, że nie?

— Przecież nie może pan umieścić tej... — wskazała z oburzeniem na obraz. — ...tej córy Sodomy na ścianie swojego lokalu? Chyba nie zamierza pan jej wystawić na widok publiczny?

— Córy Sodomy? — Roześmiał się, błyskając białymi równymi zębami, po czym sięgnął pod czarny surdut, poklepał się po kieszeniach kamizelki i wyciągnął zapalną. — Jeżeli uraziła pani uczucia, proszę się nie martwić. Zaraz wniesiemy ją do środka i nie będzie pani musiała jej oglądać.

— Ale te niewinne dzieci już ją widziały. Ich nieszczęsne matki będą przerażone. A co więcej, każdy, młody czy stary, kiedy tylko zechce, będzie mógł zajrzeć za te niedorzeczne wahadłowe drzwi. — Pogroziła mu palcem przed nosem.

— I pan bardzo dobrze wie, że dzieci tak właśnie będą robić!

— Może więc mam postawić strażnika, panno Downing? — spytał, cedząc każde słowo. — Czy wtedy byłaby pani usatysfakcjonowana? — Potarł zapalką o słupek do uwiązywania koni, zapalił cygaro, wyrzucił zapalkę za siebie i uśmiechnął się do niej zza kłębow dymu.

Jego nonszalancki sposób mówienia rozsierdził ją równie mocno jak smród cygara.

— Byłabym zadowolona tylko wtedy, gdyby pan odesłał ten grzeszny obraz tam, skąd go pan dostał. Albo jeszcze lepiej: gdyby wziął go pan na rozpałkę.

Spojrzał przez ramię i z podziwem zmierzył wzrokiem nagą postać. Od stóp do głów.

— Ona jest tutaj, panno Downing... — Odwrócił się z powrotem do Agaty. — ...i tutaj zostanie.

— Ale pan po prostu nie może powiesić na ścianie czegoś takiego!

— Ależ mogę — odparł chłodno. — I zrobię to.

— A ja na to nie pozwolę!

Uśmiechnął się zawadiacko, głęboko zaciągnął cygarem i rzekł zachęcająco:

— No to niech mnie pani powstrzyma. — Dłonią z cygarem kiwnął na kompanów. — Panowie, bierzemy naszą ślicznotkę do środka.

Rozległ się huragan śmiechu i giermkowie Gandy'ego ruszyli do przodu. On sam wszedł na następny stopień i stanął twarzą w twarz z panną Downing, która z kolei zeszła o stopień niżej. Dotknął kolanem sztywnej spódnicy, przez co turniura nieco się uniosła.

— Przepraszam, panno Downing. Zechce nas pani przepuścić?

— Ani myślę. — Agata musiała się wykazać ogromnym hartem ducha, żeby się nie cofnąć, kiedy jego wysoki but napierał na jej spódnicę. Jednakże wytrzymała. — Skoro żaden z mężczyzn nie ma dosyć odwagi, żeby sprzeciwić się zepsuciu i zgorszeniu, jakie pan i panu podobni na nas sprowadzili, zrobimy to my, kobiety!

Gandy oparł dłonie o kolano i pochylił się tak, że rondem kapelusza niemal dotknął jej nosa. Cedził teraz słowa powoli i wyraźnie, a w jego głosie pojawiła się groźna nuta.

— Nie chciałbym używać siły wobec kobiety, ale jeśli natychmiast nie zejdzie mi pani z drogi, nie będę miał wyboru. Wciągnęła głęboko powietrze, prostując się jak struna.

— Ci, którzy schodzą z drogi i pozwalają na takie akty obrazy moralności, są tak samo winni jak ci, którzy się jej dopuszczają.

Ich oczy spotkały się — jego czarne, przenikliwe, jej jasnozielone i wyzywające. Kompani Gandy'ego stali po kostki w błocie w pełnym wyczekiwania milczeniu. Nieco dalej Perry White i Clydell Hottle przysłaniali oczy przed słońcem, chcąc widzieć, jak skończy się ten pojedynek. Po drugiej stronie ulicy właściciel baru i jego barman stali w drzwiach, obserwując z rozbawieniem niecodzienną konfrontację.

Gandy wpatrywał się w oczy Agaty, świadomy, że jego stali klienci i przyjaciele nie spuszczają z niego wzroku, ciekawi, czy ugnie się wobec kobiety. Gdyby tak się stało, zostałby na zawsze pośmiewiskiem Proffitt. Wprawdzie wychowano go w szacunku dla słabszej płci, tym razem wszakże nie miał wyboru.

— Jak pani sobie życzy — rzekł, po czym nonszalancko wsadził cygaro w zęby, położył dłonie na ramionach Agaty, uniósł ją do góry i wcisnął na osiem cali w błoto. Rozległ się ryk aprobaty. Agata jęknęła i zamachała rękoma, próbując wyciągnąć stopy z brunatnej mazi. Jednakże błoto wessało ją głębiej i zaraz potem ze sromotnym pluskiem upadła w szlam.

— Brawo, Gandy!

— Nigdy nie słuchaj bab!

Podczas gdy Agata wpatrywała się z wściekłością w Gan-dy'ego, jego kompani wnieśli nagą damę po schodach i zniknęli za drzwiami Złotej Klatki.

— Miłego dnia, panno Downing — powiedział z uśmiechem, uchylając kapelusza. — Miło mi było panią spotkać. Przy drzwiach oczyścił buty z błota i śladem hałaśliwej hałastry wszedł do środka. Jeszcze przez dłuższą chwilę połówka drzwi się kołysała.

Całe to zajście obserwowała stojąca po drugiej stronie ulicy kobieta w czerni. Drusilla Wilson była osobą o budowie i kształtach kojarzących się z podkładem kolejowym, nosie jak ostrze kosy oraz spojrzeniu zdolnym przewiercić granit.

Kąciki wąskich ust były mocno wygięte w dół, a dolna warga niemal zakrywała górną. Miała wydatną, mocno wystającą szczękę, a spod runda czarnego, niczym nie ozdobionego kwakierskiego kapelusza wyzierał wąski pas włosów. Włosy te, również czarne, jakby matka natura postanowiła spełnić jej życzenie i nadać jej jak najbardziej ponury wygląd, upięte były tak, że przyciskały uszy do czaszki. Biła od niej taka srogość, że każdy, komu ją przedstawiano, zamiast do przodu, robił krok do tyłu.

Kiedy na ulicy zapanował spokój, Drusilla Wilson odwróciła się od rudobrodego mężczyzny z sumiastym wąsem, stojącego w drzwiach saloonu Pod Rogiem i Kopytem. Mężczyzna miał na sobie koszulę w biało-czerwone paski z elastycznymi mankietami, które ciasno opinały potężne nadgarstki, skrzyżowane na masywnej klatce piersiowej. Ogniste włosy przykrywał czarny fioletowy kapelusz, a z czerwonego gąszczu otaczającego usta sterczał niedopałek cygara.

— Ta kobieta... jak ona się nazywa? — spytała niezbyt grzecznie.

— Kto? Tamta? — Ruchem głowy wskazał na Agatę i znowu zarechotał.

Drusilla skinęła głową, bynajmniej nie rozbawiona.

— To Agata Downing.

— Gdzie mieszka?

— Tam. — Wyjął z ust cygaro i wskazał nim kierunek. — Na piętrze, nad zakładem.

— To jej zakład?

— Aha.

— Świetnie — mruknęła Drusilla, patrząc na żalostną postać po drugiej stronie ulicy, a następnie ruszyła w stronę kamieni, po których można było przejść przez błotnisty trakt. Zatrzymała się jednak i raz jeszcze zwróciła do rudobrodego, rozbawionego widokiem Agaty próbującej wydostać się z brunatnej mazi.

— A pan? Jak pan się nazywa?

Wyszczrzył ku niej poźółkłe zęby, po czym wcisnął w usta cygaro.

— Heustis Dyar.

Uniosła jedną brew i rzuciła okiem na szkarłatne litery nad wejściem do saloonu.

— To pana lokal, tak?

— Zgadza się — odparł z dumą, wkładając kciuki za szelki i wypinając pierś. — A można wiedzieć, z kim mam przyjemność?

— Drusilla Wilson — odrzekła i wyniośle skinęła głową.

— Drus... — Wyrwał z ust cygaro i zrobił krok w jej stronę. — Hej, poczekaj no pani! Czego tu pani szuka?

— Skrzywił się i odwrócił na pięcie do barmana opartego o drzwi saloonu. — Co ona tu, do diabła, robi?

Tom Reese wzruszył ramionami.

— A niby skąd mam wiedzieć? Przypuszczam, że to samo co wszędzie: szykuje nam wszystkim kłopoty.

I nie mylił się. Drusilla Wilson szykowała im kłopoty; idąc ku skąpanej w błocie „siostrze” poprzysięgła sobie, że Heustis Dyar i właściciel Złotej Klatki będą pierwszymi, na których one spadną.

Agata w żaden sposób nie mogła się pozbierać. Znowu to biodro. W najlepszym wypadku było niepewne, w najgorszym

— całkiem bezużyteczne. Zanurzone w zimnym, wsysającym grzęzawisku bolało i nie było w stanie unieść jej ciężaru. Szarpnęła się do przodu, nie zdołała jednak stanąć na nogi. Upadła, umazała ręce aż po nadgarstki i powoli zaczęła żałować, że nie umie kłać.

W jej stronę wyciągnęła się dłoń w czarnej rękawiczce.

— Pomogę pani, panno Downing.

Agata uniosła wzrok i spojrzała w szare zimne oczy, w których jakimś cudem zagościło współczucie.

— Drusilla Wilson — przedstawiła się zwięźle kobieta.

— Drus... — Oniemiała z wrażenia Agata gapiała się na nią z zachwytem i przerażeniem.

— No, już, pomogę pani.

— Ale...

— Proszę dać mi rękę.

— Ale... och, dziękuję.

Drusilla jednym ruchem postawiła Agatę na nogi, która syknęła z bólu i złapała się za lewe biodro.

— Zranił panią?

— Nie. Tylko moją dumę.

— Ale pani utyka — zauważyła Drusilla, pomagając jej wejść po schodach.

— To nic takiego. Proszę uważać, pobrudzi pani sobie suknię.

— Nie raz byłam już ubrudzona czymś znacznie gorszym niż ziemia, panno Downing. Oblewano mnie piwem, ob-
rzucano końskim łajnem. Odrobina dobrego, czystego błota, czystego, boskiego błota to naprawdę nic strasznego.
Minęły wejście do Złotej Klatki. Zza drzwi dobiegały dźwięki pianina oraz głośny śmiech, zakłócające ciszę
kwietniowego poranka. Kobiety skierowały się do przyległego zakładu, w którego oknie błyszczał złocony szyld:
AGATA N. DOWNING, MODYSTKA.

W środku Agata całkiem zapomniała o swoim stanie i odezwała się podekscytowanym głosem:

— Panno Wilson, to dla mnie ogromny zaszczyt. Nigdy... nigdy nie przypuszczałam, że ktoś taki jak pani przestąpi
próg mojego skromnego zakładu.

— A więc wie pani, kim jestem?

— Ależ oczywiście. Chyba wszyscy wiedzą? Z gardła panny Wilson dobiegł suchy śmiech.

— To chyba lekka przesada.

— W każdym razie wszyscy w Kansas... i chyba w całych Stanach Zjednoczonych... ą już z całą pewnością każdy,
komu nie jest obce słowo „abstynencja”. — Serce Agaty dudniło z podniecenia.

— Chciałabym z panią chwilę porozmawiać. Czy mogę zaczekać, aż się pani przebierze?

— Ależ oczywiście. — Agata wskazała na dwa krzesła w części sklepowej. — Proszę się rozgościć. Mieszkam na
piętrze, więc to nie potrwa długo...

Agata wyszła tylnymi drzwiami. Do mieszkań na piętrze prowadziły proste drewniane schody przy ścianie domu.
Wspinała się po nich tak jak zawsze: na każdym stopniu stawiała obiema stopami, kurczowo trzymając się poręczy.
Schody były najgorsze. Stanie czy nawet chodzenie po płaskich powierzchniach były jeszcze do zniesienia, ale
wciąganie lewej nogi na kolejne stopnie sprawiało jej nie tylko ogromne kłopoty, lecz także ból. Na dodatek
sznurowana z tyłu spódnica utrudniała wspinaczkę, mocno ograniczając ruchy.

Mniej więcej w połowie drogi Agata schyliła się i rozwiązała dolną tasiemkę, kiedy zaś w końcu doszła do celu, z trudem chwytając oddech. Przystanąła, wciąż trzymając się kurczowo poręczy. Schody były wspólne dla lokatorów obydwu mieszkań. Rzuciła okiem na drzwi Gandy'ego.

Inna po takich przeżyciach zalałaby się pewnie łzami, lecz nie Agata. Ona tylko sapnęła ze zrozumiałym gniewem i pomyślała, że chętnie zobaczyłaby jego upadek. Zwróciwszy się ku własnym drzwiom, uśmiechnęła się na myśl, że chyba nie jest to aż tak nierealne, jak by się mogło wydawać.

Minęła dłuższa chwila, zanim zdjęła suknię, albowiem miała ona z przodu dwadzieścia osiem guzików, osiem taśm nadających kształt turniurze oraz cztery utrzymujące spódnicę. Po rozwiązaniu ich wszystkich suknia stała się bezkształtną masą, turniura zaś straciła wypukłości i zrobiła się płaska jak prerie stanu Kansas. Agata uniosła ją do góry i poczuła ukłucie w sercu.

Co za nikczemnik! Cóż za potworny nikczemnik! Nawet nie miał pojęcia, ile czasu, pieniędzy i pracy będzie ją to kosztowało. Tysiące drobnych ręcznych szwów pokryte warstwą błota! I gdzie ona ma to wyprać? Rzuciła okiem na pustą miednicę i stojący obok cebrzyk. Wprawdzie rano przyjechała cysterna z wodą i napełniła beczkę, ta jednak stała na drewnianej podstawie pod tymi długimi, długimi schodami. Poza tym miednica była za mała na tak duże pranie. Agata zdawała sobie sprawę, że powinna czym prędzej iść do pralni pani Finn, wzięwszy jednak pod uwagę, kto czeka na nią na dole, absolutnie nie wchodziło to w grę.

Jej gniew jeszcze wzrósł, kiedy zdjęła bawełnianą turniurę i halkę. Suknia przynajmniej była szara, te natomiast białe — do niedawna. Agata miała poważne obawy, że nawet mydło ługowe pani Finn nie da rady usunąć takich plam.

Później, Agato. Później się będziesz o to martwić. Drusilla Wilson czeka!

Drusilla Wilson widząc, jak panna Downing kuśtyka na zaplecze, od razu zrozumiała, że nie jest to rezultat upadku, lecz raczej smutna pamiątka po jakimś zdarzeniu z odległej przeszłości.

Kiedy Agata zniknęła za kotarą, Drusilla rozejrzała się po zakładzie. Był długi i wąski. Koło przysłoniętego koronkową

firanką okna frontowego stały dwa wiktoriańskie krzesła z owalnymi oparciami, obite pasującą do zasłon materia w pastelowe storczyki. Pomiędzy krzesłami stał stolik na trzech nogach, na którym leżały ostatnie numery magazynów „Grahama”, „Godeya” i „Petersona”. Drusilla Wilson nie miała ochoty ich przeglądać. Wolała przyrzeć się nieco dokładniej zakładowi.

Na modelach z *papier mdche* wystawiono kapelusze, zarówno filcowe, jak i słomiane, niektóre bogato zdobione, inne całkiem proste. Wzdłuż ścian stały gablotki z najprzeróżniejszymi wstążkami, guzikami, koronkami i dżetami. Na mahoniowym stole wabił oko mieniący się feerią barw wachlarz z gazy, batystu i żakonetu. Sztuczne owoce w wiklinowym koszyku wydawały się tak prawdziwe, że miało się ochotę je zjeść. Obok, w płaskim koszu poukładano starannie wykonane jedwabne stokrotki i róże. Na innej ladzie rozłożono futrzane kołnierze i wachlarze z bażancich piór. Na tylnej ścianie wisiały na sznurku strusie pióra, a jedna ze szklanych gablotek pełna była ptaków, gniazd i jaj. Kolekcję tę uzupełniały motyle, ważki, a nawet chrząszcze. Uwieńczona dwiema wypchanymi lisimi głowami gablotka wyglądała bardziej na ekspozycję naukową niż na wystawkę akcesoriów modystki.

Nie więcej niż dwie minuty zajęło Drusilli Wilson wyciągnięcie wniosków, że panna Downing prowadzi dobrze prosperujący zakład, a w związku z tym ma najprawdopodobniej spore wpływy pośród mieszkanek Proffitt w stanie Kansas.

Słyszając nierówne kroki modystki odwróciła się, w chwili kiedy ta rozchyłała lawendową aksamitną kotarę.

— Wspaniały zakład, naprawdę wspaniały.

— Dziękuję pani.

— Od jak dawna zajmuje się pani kapelusznictwem?

— Zawodu nauczyła mnie matka. Jak byłam małą, pomagałam jej w szyciu, a później, kiedy została modystką i przeprowadziła się do Proffitt, przyjechałam razem z nią. Po jej śmierci odziedziczyłam ten zakład.

Panna Wilson przyjrzała się czystym ubraniom Agaty. Jak na jej gust ich niebieska barwa była nieco zbyt jaskrawa i nowoczesna, szczególnie w zestawieniu z wyszukany zapięciem z tyłu i rzędami plis z przodu. Nie podobały jej się również te obcisłe fartuchowate spódnice, nazbyt wyraźnie

ukazujące okągłości kobiecych bioder, ani dopasowane stany, podkreślające kształt piersi. Panna Downing zdawała się w ogóle nie zwracać uwagi na fakt, że ukazuje swoje ciało z szokującą dosłownością. Na szczęście przynajmniej ciasny zakonny kołnierz był dość skromny, chociaż zdobiącą go koronkę Drusilla Wilson uznała za grzeszną. Za to, dzięki Bogu, rękawy sięgały do nadgarstków.

— Lepiej już, panno Downing?

— Tak, dziękuję.

— Można się do tego przyzwyczaić. Zresztą walka o naszą sprawę wymaga poświęceń. Proszę nie wyrzucać zabrudzonej sukni. Jeśli plamy nie puszcza, być może zechce ją pani włożyć, kiedy wyruszy pani na następną bitwę z wrogiem. — Bez ostrzeżenia panna Wilson podeszła szybko do Agaty i ujęła jej obie dłonie. — Moja droga, byłam z pani taka dumna. Tak strasznie dumna. — Mocno ścisnęła palce Agaty. — Powiedziałam sobie: oto kobieta niezłomnych zasad. Oto kobieta, która nie cofnie się przed niczym. Oto kobieta, jakiej potrzebujemy, jakiej potrzebuje nasza sprawa!

— Ależ to nic takiego. Zrobiłam jedynie to, co na moim miejscu zrobiłaby każda inna kobieta. Przecież ci dwaj chłopcy...

— Tyle tylko że żadna inna kobieta tego nie zrobiła, nieprawdaż? Pani jedna odważyła się bronić dobrych obyczajów. — Raz jeszcze ścisnęła z emfazą dłonie Agaty, po czym cofnęła się o krok.

Agata aż się zarumieniła, słysząc tyle pochwał z ust osoby o takiej sławie jak Drusilla Wilson.

— Panno Wilson — oświadczyła uroczyście. — To dla mnie niebywały zaszczyt móc gościć panią u siebie. Tyle o pani czytałam w gazetach. Dobry Boże, piszą, że nikt nigdy nie walczył o abstynencję z równym zapałem jak pani.

— To, co o mnie piszą, nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Liczy się przede wszystkim to, że posuwamy się naprzód.

— Czytałam o tym.

— W samym tylko siedemdziesiątym ósmym powstało dwadzieścia sześć oddziałów Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji. W zeszłym roku nawet więcej, ale to jeszcze nie koniec! — Uniosła zaciśniętą pięść

i lekko się uśmiechnęła. — Właśnie po to tu przyjechałam.

Doszły mnie niepokojące wieści o waszym mieście. Podobno sprawy całkiem wymykają się spod kontroli.

Agata westchnęła, pokuśtykała do biurka z żaluzjowym zamknięciem i opadła na stojące za nim krzesło.

— Na własne oczy widziała pani, jak bardzo. A teraz sama pani słyszy, co się tu dzieje. — Ruchem głowy wskazała na oddzielającą zakład od baru ścianę, zza której dochodziły stłumione dźwięki „Pójdź w me ramiona, upadły aniele”.

Drusilla Wilson wykrzywiła usta, wokół których pojawiły się zmarszczki niczym na dwudniowym budyniu.

— To musi być męczące. Agata przyłożyła dłonie do skroni.

— Delikatnie mówiąc. — Pokręciła głową z przygnębieniem. — Od miesiąca, kiedy ten człowiek się tu sprowadził, z dnia na dzień jest coraz gorzej. Muszę coś pani wyznać, panno Wilson...

— Proszę, mówmy sobie po imieniu.

— Dobrze... Drusillo. A więc chciałam powiedzieć, że motywy, które mną tam kierowały, nie były jedynie altruis-tyczne. Obawiam się, że pochwaliłaś mnie zbyt pochopnie. Widzisz, od otwarcia tego lokalu moje interesy idą coraz gorzej. Kobiety omijają mój zakład, boją się bowiem, że zanim dotrą do drzwi, zaczepi je jakiś pijak. — Agata zmarszczyła brwi. — Jest coraz gorzej. Praktycznie o każdej porze dnia i nocy dochodzi do okropnych bójek, a że ten Gandy nie pozwala na żadne awantury w swoim lokalu, barman wyrzuca walczących na ulicę.

— Trudno mu się dziwić, jeżeli weźmie się pod uwagę ceny luster i szkła... Ale przepraszam, przerwałam ci.

— Bójki to jeszcze nie wszystko. Najgorszy jest ten ich język. Och, panno Wilson, język, jakim się posługują, jest po prostu przerażający. Przerażający. A przez te uchylne drzwi słycać wszystko, ale to wszystko... Nie muszę ci chyba tłumaczyć, czego moje klientki muszą się nasłuchać, zanim tu dojdą. Szczerze mówiąc, trudno mieć do nich pretensje, że tak się wahają, zanim zdecydują się odwiedzić mój zakład. Na ich miejscu pewnie też bym się wahała.

— Agata splotła dłonie i wbiła wzrok w podłogę. — No i... do tego wszystkiego dochodzi jeszcze najbardziej upokarzający powód, dla którego unikają tych okolic. — Spojrzała na Drusillę ze szczerym

smutkiem w oczach. — Mężowie moich niektórych klientek spędzają w tym barze więcej czasu niż we własnych domach. Sama myśl, że mogłyby się na nich natknąć... w takim stanie... napawa je takim przerażeniem, że trzymają się jak najdalej od tego miejsca.

— To przykre. Ale twój zakład nie sprawia wrażenia podupadającego.

— Zarabiam rzeczywiście nie najgorzej, choć...

— Nie — przerwała jej panna Wilson, unosząc dłonie w rękawiczkach. — Nie miałam zamiaru mieszać się w sprawy twoich finansów. Chodziło mi jedynie o to, że twój zakład świetnie prosperuje, co niewątpliwie oznacza, że większość tutejszych kobiet to twoje stałe klientki.

— Nie mylisz się... Rzeczywiście tak jest, a przynajmniej było, jeszcze miesiąc temu.

— A powiedz mi, czy w Proffitt są jakieś inne modystki?

— Nie ma. Ja jestem jedyna. Poza tym pan Halorhan i pan McDonnell sprzedają w swoich sklepach gotowe wyroby. Ale

— dodała z odrobiną wyższości — gotowe wyroby to jednak nie to samo co robione na zamówienie.

— A czy wolno mi spytać, Agato, czy jesteś osobą bogobojną?

— Ależ oczywiście, że tak.

— Tak też myślałam. Metodystka?

— Prezbiterianka.

— Aha, prezbiterianka. — Panna Wilson nadstawiła ucha.

— Prezbiterianie kochają muzykę, prawda? Nic nie zmusi pijanego mężczyzny do płaczu skuteczniej niż chór głosów chwalejących Pana.

Agata spojrzała z niechęcią na ścianę.

— Chyba masz rację — odparła.

— A ile barów jest obecnie w Proffitt?

— Jedenaście.

— Jedenaście! Ach! — potrząsnęła z irytacją głową Drusilla, po czym ująwszy się pod boki, ruszyła wokół zakładu.

— Kilka lat temu przepędzili ich z Abilene. Ale oni przesuwają się coraz dalej. Ellsworth, Wichita, Newton, Hays, a teraz Proffitt.

— Przed ich przybyciem to było takie spokojne miasteczko.

Panna Wilson odwróciła się gwałtownie, dźgając powietrze wyprostowanym palcem.

— I może znów nim być. Kiedy zobaczyłam, jak przeciwstawiasz się temu nikczemnikowi, pomyślałam: „Oto ktoś, kto nie ugnie się przed złem.” Ale nie tylko. Pomyślałam też: „Oto kobieta godna zostać wodzem armii, walczącej z czarcim pomiotem!”

Zaskoczona Agata położyła dłoń na sercu.

— Wodzem? Ja? — Chciała unieść się z krzesła, ale Drusilla stanęła tuż przed nią. — Obawiam się, że się mylisz...

— Ależ skąd! Jesteś wręcz idealną kandydatką. — Oparła się o blat biurka i pochyliła nad Agatą. — Znasz każdą kobietę w miasteczku. Jesteś praktykującą chrześcijanką. Masz dodatkowy bodziec, żeby walczyć z pijaństwem, albowiem los twojego zakładu jest z tego powodu zagrożony. A na dodatek między tobą a jednym z naszych wrogów doszło do konfliktu. Doprowadź do zamknięcia jego baru, a wkrótce znikną wszystkie inne. Tak właśnie było w Abilene i nie ma powodu, dla którego nie mogłoby tak być tutaj. No i co ty na to?

Nos Drusilli był teraz tak blisko, że Agata wcisnęła się w oparcie krzesła.

— Ale ja...

— W niedzielę zamierzam poprosić pastora, żeby pozwolił mi wygłosić kilka słów z ambony. Wierz mi, to wystarczy, żebyś miała pod swoją komendą całą armię!

Agata wcale nie była pewna, czy chce mieć swoją armię, lecz Drusilla nie dała jej dojść do słowa.

— Będiesz miała poparcie nie tylko Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji, ale i samego gubernatora St. Johna.

Agata wiedziała wprawdzie, że John P. St. John został wybrany właśnie jako niezłomny przeciwnik alkoholu, jednakże o polityce nie miała zielonego pojęcia, zaś o działających na tak ogromną skalę organizacjach — zaledwie blade.

— Ale przecież... — sapnęła, podniosła się z krzesła i odwróciła, z całej siły ściskając dłonie. — Przecież ja nawet nie wiem, jak zorganizować tak liczną grupę.

— Nie szkodzi. Pomogę ci. Pomoże ci też organizacja, a przede wszystkim „The Temperance Banner”. — Chodziło o założoną dwa lata wcześniej gazetę, której zadaniem było

wspierać walkę z pijaństwem i wszelkie inicjatywy zmierzające do wprowadzenia prohibicji. — Poza tym dobrze wiem, co mówię, kiedy twierdzę, że pomogą ci inne kobiety. Przebyłam ponad trzy tysiące mil. Przejechałam ten stan wzdłuż i wszerz. Byłam nawet w Waszyngtonie. Uczestniczyłam w setkach spotkań w kościołach i szkołach całego Kansas. I wszędzie widziałam ogromne rzesze osób gotowych walczyć o powodzenie Naszej Sprawy aż do skutku.

Agatę ogarniało coraz większe przerażenie.

— Nie znam się na polityce i nie chcę się w nią mieszać. Prowadzenie zakładu bardzo mnie absorbuje. Ale chętnie przedstawię ci członkiniom wspólnoty religijnej. Sądzę, że mogłabyś je zaprosić na spotkanie organizacyjne.

— Świetnie. Jak na początek bardzo dobrze. A czy spotkanie mogłoby się odbyć tutaj?

— Tutaj? W moim zakładzie?

— Tak. — W Drusilli Wilson trudno byłoby doszukać się choćby cienia nieśmiałości.

— Ale ja nie mam tylu krzeseł ani...

— Nie szkodzi. Postoimy. W końcu przed barami wystajemy całymi godzinami.

Łatwo było sobie wyobrazić, w jaki sposób Drusilla Wilson zdołała zorganizować tak gęstą sieć oddziałów Stowarzyszenia. Jej spojrzenie przygwoździło Agatę równie skutecznie jak szpilka lepidopterologa przygważdża motyla. A przecież chociaż Agata Downing nie była pewna wielu rzeczy, jedno wiedziała na pewno: że za wszelką cenę musi wyrównać rachunki ze swoim sąsiadem. Że dosyć ma już pijackich śpiewów dochodzących zza ściany i że chce, by jej zakład znowu prosperował jak dawniej. A jeśli ona nie zrobi pierwszego kroku, to kto?

— Moje drzwi będą stały otworem.

— Świetnie. — Drusilla ujęła dłoń Agaty i mocno je ścisnęła. — Bardzo dobrze. Jestem głęboko przekonana, że to wystarczy. Kiedy kobiety się zbiorą i zobaczą, że w swojej walce z alkoholem nie są same, zobaczysz, na jakie wsparcie i lojalność będziesz mogła liczyć. — Cofnęła się i założyła rękawiczki, po czym chwyciła walizkę. — No cóż. Muszę znaleźć jakiś hotel, a potem zlokalizować wszystkie jedenaście

obiektów naszej krucjaty. Przejdę się też do waszego pastora, wielebnego...?

— Clarksdale'a — odpowiedziała Agata. — Samuela Clarksdale'a. Mieszka w małym domku na północ od kościoła. Łatwo tam trafić.

— Dziękuję, Agato. A więc do zobaczenia w niedzielę. Wyszła energicznym krokiem, bardzo z siebie zadowolona. Agata stała jak wmurowana. Miała wrażenie, że przed chwilą przeszedł sierpniowy huragan. Rozejrzała się dookoła, lecz wszystkie rzeczy stały nietknięte na swoim miejscu. Zza ściany dochodziły dźwięki pianina. Gdzieś na ulicy szczekał pies. Za firankami zamajaczyła sylwetka jeźdźca. Agata przyłożyła dłoń do serca, głęboko odetchnęła i opadła na krzesło. Być członkinią, czemu nie? Ale organizatorką? W żadnym wypadku. Nie miała ani dość czasu, ani energii, żeby przewodniczyć miejscowej organizacji. Kiedy tak o tym rozmyślała, zjawiła się Violet Parsons.

— Agato, o wszystkim słyszałam! Chi-chi! — Violet nieomal przez cały czas chichotała. Była to jedyna jej cecha, która działała Agacie na nerwy. Kobieta o włosach białych jak śnieg i twarzy pomarszczonej bardziej niż hiszpański wachlarz powinna już dawno temu wyrosnąć z takiego zachowania. Ona tymczasem chichotała właściwie bez przerwy, niczym małopka katarzyniarza. — Chi-chi-chi. Słyszałam, że w wejściu do saloonu zmierzyłaś się z naszym gospodarzem. Skąd w tobie nagle tyle odwagi?

— A ty co byś zrobiła na moim miejscu? Perry White i Clydell Hottle już pędzili ulicą, licząc, że uda im się przyjrzeć bliżej temu pogańskiemu bohomazowi.

Violet przyłożyła cztery palce do ust.

— Czy to naprawdę obraz... chi-chi... — Chichot przeszedł w szept. — ...nagiej damy?

— Damy? Pomyśl tylko, Violet, skoro jest naga, to jak może być damą?

W oczach Violet pojawił się psotny błysk.

— A więc naprawdę jest... — Znowu ściszyła głos. — ...naga?

— Jak ją Pan Bóg stworzył. Dlatego właśnie zdecydowałam się interweniować.

— A pan Gandy... Chi-chi... Czy to prawda, że wrzucił cię w błoto? — Violet nie była w stanie nic poradzić na to, że jej oczy o barwie sukni Agaty na samo brzmienie nazwiska Gandy'ego zaczynają błyszczeć. Nigdy nie wyszła za mąż, lecz wciąż o tym marzyła. Od chwili kiedy po raz pierwszy zobaczyła Scotta Gandy'ego paradującego z zalotnym uśmiechem po ulicy, zachowywała się jak pensjonarka, zwłaszcza na jego widok. To doprowadzało Agatę do szewskiej pasji.

— Widzę, że szybko się rozniosło. Violet zarumieniła się.

— Po drodze wstąpiłam do Halorhana po nowy napastrzek. Stary gdzieś wczoraj zgubifam. Mówiłam ci przecież... A więc incydent na ulicy już był tematem dyskusji u Halorhana? Niepokojące. Agata wyjęła napastrzek i stuknęła nim o szklany kontuar.

— Proszę. Znalazłam go pod słomą, z której robiłaś wczoraj kapelusze. Czego jeszcze dowiedziałaś się u Halorhana?

— Że do miasta przybyła Drusilla Wilson i że spędziła u ciebie prawie godzinę. Czy naprawdę zamierzasz to zrobić?

— Co zrobić? — Agata zaczynała mieć dość Violet, której zdawało się, że skoro spędziła kilka chwil w sklepie Halorhana, to wie o wszystkim, co się tego ranka wydarzyło. Ta kobieta dosłownie żyła plotką.

— Zorganizować tu zebranie antyalkoholowe? Agata aż się wyprostowała.

— Dobry Boże! Panna Wilson wyszła stąd nie dalej niż piętnaście minut temu, a już mówi się o tym u Halorhana?

— No więc? Zamierzasz?

— Niezupełnie.

— Ale tak właśnie mówią.

— Zgodziłam się jedynie udostępnić jej ten lokal. To wszystko.

Violet z wrażenia zastygła w bezruchu, a jej oczy zmieniły się w dwa wielkie niebieskie spodki.

— O niebiosa, i to chyba wystarczy.

Agata podeszła do biurka i usiadła, mocno skonsternowana.

— Nic nam nie robi.

— Przecież jest naszym gospodarzem. Co będzie, jak nam wymówi?

Agata uniosła dumnie głowę.

— Nie odważy się.

LeMaster Scott Gandy zdążył już wszakże rozważyć taką możliwość.

Stał przy barze, oparty jedną stopą o barierkę z brązu, słuchając rubasznym komentarzy klientów na temat nagiej piękności. Jeżeli wziąć pod uwagę wczesną porę, ruch był całkiem spory. W miasteczkach tak niewielkich jak Proffitt wiadomości rozchodzą się bardzo szybko, w lokalu roiło się więc od ciekawskich, którzy przyszli obejrzyć obraz. Gandy był pewien, że po przyjeździe Jubilee i pozostałych dziewcząt interes zacznie się kręcić jeszcze lepiej. A jeśli ta modystka o ustach jak świeże daktyle nie przestanie go nękać? Zmarszczył brwi. Wiedział, że ta kobieta może stać się dla niego piekielnym kłopotem. Wystarczy jedna taka jak ona, żeby podburzyć pozostałe kobiety w mieście i sprawić, że zaczną robić mężom wyrzuty o każdą godzinę spędzoną poza domem. A przecież, skoro zareagowała na obraz z taką gwałtownością, to można się spodziewać, że na widok dziewcząt dostanie ataku furii. Gandy zsunął kapelusz nisko na oczy, oparł się łokciami

o kontuar i spoglądał w zamyśleniu na spokojną ulicę koło saloonu Heustisa Dyara, zastanawiając się, kiedy przybędą pierwsi poganiacze. Dopiero wtedy zabawa rozpocznie się na dobre. Kiedy ci wrzaskliwi kowboje opanują miasto, nieszczęsnej przyzwoitce nie pozostanie nic innego jak tylko spakować manatki i jak najszybciej się wynieść. A wtedy jego zmartwienia skończą się raz na zawsze.

Uśmiechnął się do siebie, wyjął z kieszeni kamizelki cygaro

i potarł zapałkę o obcas. Zanim jednak zapalił cygaro, obiekt jego rozmyślań — owa świętoszkowata kapeluszniczka — zmaterializował się nagle w sąsiednich drzwiach, po czym minął wejście do Złotej Klatki. Jej głowę i buty widać było nad i pod uchylnymi drzwiami przez nie więcej niż pięć sekund, lecz to wystarczyło, by Gandy zorientował się, że kobieta nie idzie normalnie. Zapałka sparzyła mu palce. Zaklął, cisnął ją na podłogę i popędził do drzwi, skąd ukryty w cieniu patrzył,

jak Agata Downing kuśtyka po chodniku, szurając butami. Czuł, że kołnierzyk zaczyna go dusić. Pięć numerów dalej panna Downing zeszła po schodach, trzymając się kurczowo poręczy. Zamiast jednak, jak inne kobiety, przejść przez ulicę po kamieniach, podkasła spódnicę i ruszyła mozolnie przez błoto.

— Dan? — krzyknął Gandy.

— Coś się stało? — Loretto nawet nie uniósł wzroku. Jednym ruchem zrobił z kart pawia ogon, po czym równie wprawnie złożył je z powrotem. Było jeszcze za wcześnie na hazard, lecz Gandy nauczył go, że sprawność palców należy ćwiczyć w każdej wolnej chwili.

— Chodź no tu na chwilę.

Loretto odłożył talię i podniósł się z krzesła z taką samą niedbałością, jaką podziwiał u szefa.

— Tak, szefie? — spytał, podszedłszy do drzwi.

— Ta kobieta. — Agata Downing dotarła już na drugą stronę ulicy i wspinała się teraz z trudem po schodach prowadzących na drewniany chodnik, niosąc pod pachą złożone ubranie, podejrzenie podobne do tego, które miała na sobie wcześniej tego dnia. Gandy zmarszczył brwi i przyjrzał się jej czystej sukni, tym razem niebieskiej, marszczącej się nienaturalnie przy każdym kroku. — Czy ona kuleje?

— Tak, szefie. Pewnie, że tak.

— O Boże! Myślisz, że to przeze mnie? — Gandy sprawiał wrażenie przerażonego.

— Gdzie tam. Kuleje, odkąd ją znam. Gandy odwrócił się gwałtownie.

— Odkąd ją znasz? — Gorzej już nie mogło być.

— Aha. Ma coś z nogą.

Gandy czuł, że się rumieni. Po raz pierwszy od wielu lat.

— Coś z nogą?

— Zgadza się.

— A ja ją wrzuciłem w błoto. — Agata, dźwigając pod pachą ubłoconą suknię, zniknęła za drzwiami pralni. Poczul się jak skończony bydlak.

— Wcale jej nie wrzuciłeś w błoto, Scotty. Sama się przewróciła.

— Przewróciła się po tym, jak ją w nie wepchnąłem.

— Skoro tak mówisz, szefie...

— Cholera, dlaczego nikt mi nic nie powiedział? Skąd, do licha, miałem wiedzieć?

— Myśleliśmy, że wiesz, szefie. Prowadzisz ten lokal prawie od miesiąca. Płaciła ci czynsz. Dwa razy dziennie chodzi do Pauliego i to tak regularnie, że można według niej nastawiać zegar. Je tam śniadanie i kolację. Codziennie. Tyle tylko, że nigdy dotąd nie zdarzyło się, by Gandy posłał jej więcej niż jedno spojrzenie. Jej sylwetka zlewała się w jedno ze zniszczonymi deskami chodnika. Szara ćma na szaroburej skale. Kiedy poszedł przedstawić się jako nowy właściciel budynku, siedziała za swoim biurkiem z żaluz-jowym zamknięciem i nawet nie wstała z krzesła. Zamiast przynieść czynsz osobiście, przysłała bojaźliwą chichoczącą staruszkę, która wyglądała, jakby właśnie połknęła żabę. A u Pauliego był wprawdzie już kilka razy, lecz nie pamiętał, żeby ją tam spotkał.

O Jezu miłosierny! Jak na to wszystko zareagują mieszkanki Proffitt? Jeżeli to prawda, że w mieście pojawiła się „organizatorka”, to wkrótce będzie miał je wszystkie na głowie. I ponad wszelką wątpliwość będą miały wiele do powiedzenia w tym swoim abstynenckim szmatławcu. Już sobie wyobrażał nagłówek: WŁAŚCICIEL SALOONU PONIEWIERA W BŁOCIE DZIAŁACZKĘ ORGANIZACJI ABSTYNYNCKIEJ.

ROZDZIAŁ DRUGI

O wpół do szóstej wieczorem Scott Gandy opuścił saloon tylnymi drzwiami i wszedł po tych samych schodach, po których wcześniej wspięła się Agata. Spojrzał na dwa wysokie okna po obu stronach drzwi, ale jak zwykle zaślaniała je gęsta firanka. Cisnął cygaro za balustradę i otworzył swoje drzwi. Bar i znajdujące się nad nim pokoje zajmowały trzy czwarte budynku, zakład i mieszkanie Agaty — jedną czwartą. Jego część piętra przedzielona była wąskim korytarzem z drzwiami od zachodu i oknem od wschodu. Po lewej stronie korytarza znajdowały się cztery identyczne pokoje, po prawej mieszkanie i biuro, do którego teraz wszedł. Było to niewielkie pomieszczenie wyłożone boazerią, z pojedynczym oknem na zachód i niezbędnymi meblami: biurkiem, dwoma krzesłami, wieszakiem, sejfem i małym żeliwnym piecykiem.

Pokój był zimny, okno bez firanki, sięgająca sufitu boazeria zielona, a podłoga z dębowych desek całkiem goła. Gandy podszedł do sejfu, przyklęknął, przekreślił tarczę, schował zwitek banknotów, po czym ciężko wzdychnąwszy, wstał i podrapał się po karku. Boże, ale cisza. Zbliżała się pora kolacji. Ivory przestał na razie grać, a Jack poszedł coś przekąsić. Gandy wyrzucił przez okno i wcisnął kciuki w kieszenie kamizelki, pozostałymi palcami bezwiednie wystukując o jedwab nerwowy rytm. W widoku z okna również nie było nic, co mogłoby go podnieść na duchu. Nie malowane budynki, grząskie ulice i preria. Nic, tylko preria. Żadnych wilgotnych dębów ozdobionych hiszpańskim mchem, ani śladu zapachu

magnolii unoszącego się w wiosennym powietrzu, ani jednego przedrzeźniacza. Właśnie przedrzeźniaczy najbardziej mu brakowało.

W Waverley o tej porze dnia cała rodzina zbierała się na szerokiej tylnej werandzie na mrożoną herbatę miętową, a Delia rzucała przedrzeźniaczom ziarna kukurydzy, starając się je nauczyć jeść z ręki. Ciągłe miał ją przed oczyma, jak kuca otoczona pierścieniami krynoliny, trzymając ziarno w wyciągniętej dłoni. Żłociste loki opadające na ramiona. Cera biała jak mleko. Talia jak u osy. I te oczy, ciemne jak kropki na płatkach kwiatu derenia. Trudno było oderwać od nich wzrok.

— Dlaczego nie karmisz pawie? — pytał czasami ojciec. Delia jednak kucąła cierpliwie, wyciągając dłoń z kukurydzą.

— Bo pawie są zbyt wyniosłe. A poza tym — dodawała zaczepnie, opierając podbródek o ramię i patrząc na męża — co to za przyjemność skłonić oswojonego ptaka do jedzenia z ręki? Prawda, Scotty?

Matka spoglądała wtedy na syna i na widok jego miny czule się uśmiechała. Jemu wszakże nigdy nie przeszkadzało, że wszyscy widzą, iż jest zakochany w Delii tak samo jak w wieku czternastu lat, kiedy po raz pierwszy ją pocałował. W tym momencie w drzwiach stała Leatrice — stara dobra Leatrice, o skórze tak czarnej jak syrop z sorgo i piersiach wielkich jak arbuzy. Ciekaw był, gdzie się teraz podziewa.

— Kolacja, psze państwa — ogłaszała.

Dorian Gandy podawał żonie ramię, Scott zaś wstawał z krzesła i wyciągał dłoń do Delii, na co ona z obiecującym uśmiechem pozwalała postawić się na nogi, po czym, trzymając się za ręce, szli za rodzicami pod wysokimi chłodnymi sufitami.

Lecz te dni minęły bezpowrotnie.

Gandy przez dłuższą chwilę wpatrywał się w prerię, a potem mocno zacisnął powieki. Burczenie w brzuchu przypomniało mu, że najwyższy czas na kolację. Westchnął głęboko, odwrócił się od okna i rzucił okiem na stojący na biurku kalendarz. Od jego przyjazdu do Proffitt minęły już prawie cztery tygodnie. Na dniach powinna zjawić się Jubilee

z dziewczętami. Im prędzej, tym lepiej. Bez Jube dni strasznie mu się dłużyły.

Z biura wszedł do przyległego salonu swojego mieszkania. Z burgundowymi zasłonami, chodnikiem na podłodze i masywnymi sprzętami, pokój był znacznie weselszy. W skład umeblowania wchodziły skórzana kanapa z krzesłami do kompletu, ciężki mahoniowy stół oraz dwie lampy. Po lewej znajdowały się drzwi prowadzące bezpośrednio na korytarz, po prawej stał kredens, a na nim kasetka na cygara i forma na kapelusze. Nad kredensem wisiała akwarela z zatkniętą za ramą gałązką bawełny, której trzy szare torebki nasienne zwisały w pazurkowatych łuskach. Obraz przedstawiał dwór z szeroką frontową werandą, otoczony przez bujną roślinność i soczystozielone trawniki, po których przechadzały się dwa dumne pawie.

Waverley.

Nie odrywając wzroku od akwareli, Gandy odłożył kapelusz na formę. Pod wpływem obrazu i wspomnień ogarnęła go głęboka nostalgia. Wyjął z kasetki cygaro, brązowe i aromatyczne jak gleba, na której wyrosła tamta gałązka bawełny — żyzna napływowa gleba nad rzeką Tombigbee. Zatopiony w myślach, Gandy tak długo obracał nie zapalone cygaro w palcach, że w końcu odłożył je na kredens.

Wszedł do sypialni i rzucił surdut na podwójne łóżko. Przypomniawszy sobie palisandrowe łóżko z baldachimem, do którego zaniósł swą świeżo poślubioną żonę i w którym kochał się z nią po raz pierwszy. Półprzezroczystą moskitierę, otaczającą ich ze wszystkich stron, dającą im przytulne schronienie. Migoczącą lampę gazową, która rzucała cienie na jej nagie ciało.

Znowu zamknął oczy. Co takiego się stało, że obudziły się w nim te wszystkie wspomnienia? Przecież dobrze wiedział, że nie ma sensu wzdychać do przeszłości. Zdjąwszy kamizelkę i koszulę, rozłożył je na narzucie i umył się nad miednicą. Nauczył się tego od Delii, która mawiała, że jej mężczyzna musi być czysty. Właśnie od niej dowiedział się, że kobiety zdecydowanie wolą mężczyzn czystych i zadbanych, tych natomiast jest tak niewielu, że mogą zdobyć kobietę praktycznie bez wysiłku. Była to zaledwie jedna z wielu rzeczy, które sprawdziły się po tym, jak utracił Delię.

„Skończcie wreszcie, Gandy! Co się stało, to się nie odstanie, więc przestań się wreszcie zadrećzać.”

Wycierając twarz, odwrócił się do wychodzącego na ulicę okna. Kiedy przez nie wyjrzał, zobaczył coś, co w końcu pozwoliło mu oderwać myśli od Delii i Waverley. Panna Agata Downing kuśtykała do restauracji Pauliego na kolację. Ręcznik zastygł w bezruchu. Kobieta utykała tak wyraźnie, że Gandy nie mógł wprost uwierzyć, że nigdy dotąd nie zwrócił na to uwagi. Przypomniawszy sobie jej upadek w błoto, zmarszczył brwi i poczuł, że znowu czerwieni się po same uszy.

Zniknęła za drzwiami restauracji. Gandy podbiegł do łóżka i wyjął z kieszeni kamizelki zegarek. Punkt szósta. Odrzucił ręcznik, wyciągnął z komody czystą koszulę i szybko włożył. Nie było żadnego logicznego powodu do pośpiechu, mimo to się śpieszył. Z kamizelką w zębach chwycił surdut i kapelusz i ruszył pędem po schodach, po drodze wpychając koszulę do spodni. Zanim dobiegł do Pauliego, jego strój był w nienagannym porządku. Zobaczył ją, kiedy tylko stanął w drzwiach; Cyrus Paulie przyjmował właśnie od niej zamówienie. Miała drobny stan, wąskie szczupłe ramiona i długą szyję. Ubrana była w doskonale dopasowaną suknię o barwie wieczornego nieba z tur-niurą sterczącą poza oparcie krzesła. Całości dopełniał wysoki kapelusz przystrojony motylami i kokardami, spod których wystawały tylko pojedyncze kosmyki włosów.

Wszedł do środka i zajął miejsce przy stoliku za jej plecami. Usłyszał, że zamówiła kurczaka.

Po co właściwie tu przyszedł, dlaczego wpatruje się w plecy starej, kulawej kobiety? Pomyślał, że pewnie przez te wszystkie wspomnienia domu. Mężczyzn w Missisipi wychowywano tak, żeby odznaczali się lepszymi manierami niż te, którymi popisał się tego ranka. Gdyby żyła matka, nieźle by go zrugowała za takie prostactwo. A gdyby żyła Delia... Tylko że gdyby żyła Delia, nie siedziałby w tej zapomnianej przez świat i Boga dziurze.

Cy postawił przed panną Downing talerz z kurczakiem, a Gandy zamówił to samo. Jedząc, wpatrywał się w jej plecy. Kiedy Cy podszedł do niej, żeby podać napój i zabrać pusty talerz, Gandy przywołał go ruchem ręki.

— I jak, smakowało, Scotty? — Cyrus Paulie był jowialnym jegomościem o szczerym uśmiechu. Niestety jego zęby wyglądały tak, jakby ktoś wrzucił je w usta, w ogóle się nie interesując, gdzie wylądują. Położył brudny talerz Scotta na talerzu Agaty i zademonstrował swą żalostną kolekcję pieńków.

— Tak, Cy, bardzo. Dziękuję.

— Podać ci napój? Robiony dziś po południu.

— Nie, dzięki. Zapłacę już. — Z kieszeni kamizelki wyjął srebrnego dolara i wcisnął w dłoń Cyrusa. — I dolicz mi do rachunku kolację panny Downing.

— Panny Downing? — Brwi Cyrusa Pauliego niemal zetknęły się z linią włosów. — Agaty?

— Tak.

Cy powiódł wzrokiem od Agaty do właściciela saloonu. Nie miało sensu przypominać mu, że przecież rano wpakował tę kobietę w błoto. W końcu takich rzeczy się nie zapomina.

— Dobrze, Scotty. Załatwione. Może kawy? Gandy poklepał się po brzuchu.

— Nie, dzięki. Strasznie się napchałem.

— W takim razie... — Cy wyciągnął ku niemu dłoń z talerzami. — Wpadaj czasami. Serdecznie zapraszamy.

W tym czasie Agata wyjęła z torebki odpowiednią sumę pieniędzy, a kiedy Cyrus przechodził obok jej stolika, zatrzymała go.

— Smakowało, panno Downing? — spytał, stając obok niej i opierając brudne talerze o długi biały fartuch zawiązany wokół pasa.

— Bardzo. Kurczak był jak zwykle wspaniały. Proszę przekazać Emmie moje gratulacje.

— Dziękuję, przekażę.

Agata podała mu pieniądze, lecz on sięgnął po pusty kubek po napoju.

— Nie trzeba — rzekł. — Rachunek został już wyrównany.

Agata wytrzeszczyła oczy i uniosła głowę tak gwałtownie, że jej kapelusz się zatrzęsł.

— Wyrównany? Jak to? Kto...?

— Pan Gandy — wskazał na stolik za jej plecami Cyrus. Odwróciła się i ujrzała człowieka będącego zmorą jej poranka, który siedział przy pobliskim stoliku i śledził każdy

jej ruch. Najwyraźniej robił to już od dłuższego czasu, albowiem leżała przed nim zabrudzona serwetka, on sam zaś w najlepsze palił cygaro. Jego ciemne oczy utkwione były w Agatę. Kiedy tak mierzyli się wzrokiem, w całej restauracji poruszał się jedynie dym z cygara. W końcu Gandy skinął uprzejmie głową.

Agata poczerwieniała i zacisnęła usta.

— Stać mnie na to, żeby płacić za swoje posiłki, panie Paulie — rzekła na tyle głośno, żeby Gandy to usłyszał. — A nawet gdyby było inaczej, to i tak nie przyjąłabym jałmużny od osobnika jego pokroju. Proszę powiedzieć panu Gandy'emu, że wolałabym raczej umrzeć z głodu.

Rzuciła na stół dwie monety. Jedna odbiła się od cukiernicy i spadła na podłogę, po której toczyła się przez dobre pięć sekund, zanim się wreszcie zatrzymała. W panującej ciszy zabrzmiało to jak grzmot.

Agata wstała z całą godnością, na jaką była w stanie się zdobyć, a następnie czując na sobie ciekawe spojrzenia innych gości, ruszyła obok stolika Gandy'ego do wyjścia. Wprawdzie ani na moment nie przestawał się w nią wpatrywać, ona jednak uniosła dumnie głowę, utkwiała wzrok w mosiężną klamkę.

Dopiero za drzwiami w jej oczach pojawiły się łzy upokorzenia. Niektórzy ludzie są z siebie zadowoleni dopiero wówczas, kiedy popiszą się jakimś wyjątkowym okrucieństwem. Była pewna, że Gandy siedzi teraz i naśmiewa się z niej.

W domu weszła na schody marząc, żeby chociaż raz w życiu dane jej było tupać po nich z całym gniewem, jaki czuła. Tymczasem musiała stąpać niczym staruszka, którą przecież nie była. Nie była! I żeby to udowodnić, z całej siły trzasnęła drzwiami mieszkania. Tak mocno, że aż spadła makatka zawieszona na ścianie jej małego salonu. Zerwała z głowy kapelusz i ruszyła po pokojach, rozmasowując biodro. Co za poniżenie! Na oczach pełnej sali zrobił coś tak obrzydliwego! Ale po co? Żeby jej dopiec? Od dziewiątego roku życia, kiedy spadła ze schodów, musiała znosić najróżniejsze szyderstwa. Dzieci śmiały się na jej widok, przedrzeźniały ją i wymyślały coraz to nowe przezwiska na „kuternogę”. Nawet dorośli się za nią oglądali. To wszakże przerosło wszystkie dotychczasowe upokorzenia.

Po jakimś czasie gniew minął, pozostawiając pustkę i smutek. Schowała kapelusz do pudła i położyła na półce bieliźniarki, po czym podeszła do okna.

Powoli zapadał zmrok. Po drugiej stronie ulicy od desek chodnika odbijało się światło dochodzące z za drzwi saloonu. Po tej było zapewne tak samo, lecz Agata widziała jedynie skraj drewnianego dachu nad chodnikiem. Znowu rozległy się stłumione dźwięki pianina, które wraz z dochodzącym z dołu śmiechem i gwarem pogłębiły jej grobowy nastrój. Odwróciła się i uważnie zlustrowała mieszkanie jakby perymetrem swojego świata. Jeden długi duszny pokój, biegnący na przestrzał przez cały dom, wypełniony jej staropanieńskimi meblami. Cenne, bogato inkrustowane łóżko Hepplewhite'a z komódką do kompletu, kasztanowa sofa ze zrobionymi na szydełku białymi pokrowcami, stół z trójdzielnym blatem, jeszcze jedna komoda, stary narożny sekretarzyk, piecyk z sześcioma płytkami, zegar zrobiony z bandžo oraz makatka, którą zrzuciła ze ściany.

Westchnęła i poszła ją podnieść. Wieszając ją na ścianie, przeczytała znajome słowa:

Igła, nitka i tamborek, Oczka, ścięgi satynowe, Pilna praca i hart ducha, Bez nich haft ten się nie uda.

Wpatrując się w makatkę, posmutniała jeszcze bardziej. Ile mogła mieć lat, kiedy mama nauczyła ją szyć i haftować? Siedem? Osiem? Na pewno było to jeszcze przed wypadkiem, bo pamięta, jak stała obok bujanego fotela matki w ich nędznym ciasnym domku w Sedalii w Kolorado, gdzie ojciec kupił następną działkę, święcie przekonany, że tym razem trafi w końcu na złotonośną żyłę. Było to jedno z jej najwcześniejszych wspomnień. Zapamiętała ten dom. Ciemne strome schody. Mama zdobyła skądś powojnik, zawiesiła go w oknie kuchni i był to jedyny chyba radosny akcent w całym ponurym domu. Obok znajdował się odrapany fotel, koło którego Agata często stała obserwując, jak mama wykonuje kolejny idealnie równy haft.

— Jak będę duża, to będę miała córki i będę im haftować wszystkie sukienki — oświadczyła swym piskliwym dziecięcym głosem.

Regina Downing odłożyła robótkę, przytuliła córkę i pocałowała w policzek.

— Tylko uważaj, żebyś nie wzięła sobie za męża kogoś, kto będzie przepijał wszystkie pieniądze na te śliczne sukienki, dobrze? Obiecuj mi to, dobrze, Gussie?

— Obiecuję, mamó.

— Dobrze. A teraz usiądź na taborecie, to ci pokażę, jak się haftuje płatki kwiatów. Musisz to umieć, jeśli będziesz chciała wyhaftować stokrotkę.

Nawet po tylu latach to wspomnienie w żadnym szczególe nie straciło na wyrazistości. Ani promienie łagodnego jesiennego słońca wpadające przez okno. Ani sycząca para, wydobywająca się spod pokrywki garnka. Ani zapach krupniku oraz cebuli duszonej na kolację. Dlaczego wszystko to pamięta tak dokładnie, Agata nie miała pojęcia. Być może dlatego, że właśnie wtedy po raz pierwszy zapragnęła mieć córki. A może po prostu dlatego, że właśnie tamtego dnia nauczyła się haftować płatki kwiatków.

Niezależnie od powodu, wspomnienie trwało. Była w nim małą zdrową dziewczynką, która oparta brzuchem o poręcz bujanego fotela, stoi na dwóch silnych sprawnych nogach. Jedynym, co poza tym zapamiętała z tamtego domu, była noc, kiedy pchnięta przez pijanego ojca, zleciała ze stromych schodów, co w efekcie oznaczało kres marzeń o córkach i o mężu, który mógłby je jej dać. Bo który mężczyzna zechce poślubić kuternogę?

W ponurym półmroku pustego mieszkania Agata odwróciła się od makatki i zaczęła szykować do snu. Zamknęła drzwi, zdjęła i powiesiła ubranie — razem z bawełnianą poduszką, którą nosiła na lewym biodrze, żeby wyglądało na symetryczne z prawym — włożyła koszulę nocną i jak co wieczór naciągnęła zegar. A potem leżała i wsłuchiwała się w jego tykanie.

Tik. Tak. Tik. Tak.

Boże! Ależ nienawidziła tego odgłosu. Wieczór w wieczór kładła się samotnie do łóżka i słuchała, jak zegar odmierza kolejne dni jej życia. A przecież było tyle rzeczy, których

pragnęła. Tyle różnych rzeczy. Prawdziwy dom z ogrodem, w którym by mogła uprawiać kwiaty i warzywa i w którym pomiędzy topolami wisiałby hamak. Kuchnia z dużym dębowym stołem na sześć, a może nawet osiem osób. Linka, na której by suszyła wypraną bieliznę: śnieżnobiałe skarpetki, od małych aż po duże, przy czym największe wisiałyby tuż obok luźnej męskiej koszuli nocnej. Ktoś, kto po całym dniu ciężkiej pracy wracałby do domu głodny jak wilk, siadał z nią do kolacji i śmiał się z dziećmi, umytymi już i przebranymi w śliczne, ręcznie haftowane koszule nocne. Ktoś, z kim by dzieliła łóżko. Towarzysz życia, który opowiadałby jej o swoim dniu i pytał, co ona robiła, a potem, zasypiając, trzymał ją za rękę. Jego równy oddech, współgrający z jej oddechem. Wcale by nie musiał być bardzo przystojny, bogaty ani nawet zakochany w niej do szaleństwa. Wystarczyłoby, żeby był trzeźwy, uczciwy i dobry.

Ale to się nie miało szans zdarzyć. Niedawno skończyła trzydzieści pięć lat i wiedziała, że niedługo będzie już za późno na dzieci. A klientelę jej zakładu stanowiły wyłącznie kobiety.

Tik. Tak.

Bzdury, Agato. Staropanieńskie mrzonki. Nawet gdybyś jakimś cudem poznała mężczyznę, na przykład wdowca, który by potrzebował matki dla swoich dzieci, jeden rzut oka na ciebie od razu by mu powiedział, że nie wytrzymasz długo plewiąc chwasty w ogrodzie, stojąc przy tarze czy uganiając się za zwinnymi szybkonogimi dziećmi. A poza tym mężczyźni nie interesują kobiety, które muszą sobie podkładać poduszkę pod suknię, żeby ich biodra wyglądały na symetryczne. Chcą kobiet zdrowych, nie kulawych.

Tik. Tak.

Zaczęła rozmyślać o tych tysiącach innych kobiet, mających mężów właśnie takich, jakiego sobie wymarzyła, i narzekających, że muszą pracować w ogrodzie, stać przy gorącej płycie kuchennej, prać skarpety i wysłuchiwać kłótni. Nawet sobie nie zdają sprawy, jak wiele mają.

„Byłaby ze mnie taka dobra matka — pomyślała. Była o tym przekonana właściwie od zawsze, odkąd tylko mogła pamiętać. Gdyby tylko miała nogi na tyle silne, żeby urodzić dziecko, reszta byłaby prosta. — Byłabym też wzorową żoną.

Bo gdyby kiedykolwiek dane mi było nią zostać, nigdy bym nie zapomniała, jak bardzo tego pragnęłam. Ze wszystkich sił bronilibym tego, co mam."

Z dołu znów dobiegły dźwięki pianina, a zamiast spokojnego oddechu leżącego obok mężczyzny ostatnią rzeczą, którą usłyszała, zanim zapadła w sen, był okrzyk jednego z graczy: „Keno!"

O jedenastej rano przyszła Violet Parsons. Już w drzwiach zaczęła paplać:

— Czy to prawda? Czy naprawdę pan Gandy zaprosił cię wczoraj na kolację?

Agata siedziała przy stojącym koło okna warsztacie, przyszywając podszewkę z malinowego jedwabiu do kapelusza Dolly Varden. Wprawdzie igła ani na moment się nie zatrzymała, jednakże Agata uniosła wzrok i posłała Violet poirytowane spojrzenie.

— Kto ci to powiedział? — Violet mieszkała z sześcioma innymi kobietami w pensjonacie pani Gili. Przenosiły one nowiny szybciej niż Western Union, chociaż pozostawało ich słodką tajemnicą, w jaki sposób się im to udaje.

— To prawda? — nie ustępowała Violet. Jej oczy mieniły się niczym barwinki.

— Wczoraj po pracy poszłaś do domu prosto na kolację. Teraz przeszłaś zaledwie cztery przecznice, skąd więc, na Boga, mogłaś się o tym dowiedzieć?

— A więc to prawda! Wiedziałaś, że tak! Chi-chi. — Zakryła usta. — Chi-chi. Oddałabym nawet perłową broszkę po matce, byleby tylko ktoś taki jak on zechciał mnie zaprosić na kolację. Chi-chi.

— Violet! Jak ci nie wstyd! Twoja matka, niech spoczywa w spokoju, byłaby przerażona, gdyby usłyszała, co wygadujesz.

— Wcale nie. Ona też lubiła przystojnych mężczyzn. Czy pokazywałam ci kiedyś dagerotyp mojego ojca? Właściwie to pan Gandy trochę go przypomina, ale jest przystojniejszy. Włosy ma ciemniejsze, a oczy...

— Violet! Dość już! Ludzie zaczną gadać, jeśli nie przestaniesz wreszcie rozwodzić się nad niebywałymi przymiotami tego człowieka.

— Podobno zafundował ci piezzonego kurczaka u Cyrusa i Emmy?

— Bzdura! Czy sądzisz, że po tym, co mi wczoraj zrobił, zgodziłabym się przyjąć od niego jakikolwiek poczęstunek? Na litość boską, jedzenie by mi chyba stanęło kołkiem w gardle.

— W takim razie co tak naprawdę się stało?

Agata westchnęła i dała za wygraną. Wiedziała, że jeśli nie odpowie, przez cały dzień za nic w świecie nie zdoła skłonić Violet do pracy.

— Rzeczywiście, zaproponował, że zapłaci za moją kolację, ale ja mu powiedziałam, i to w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że wolałabym raczej umrzeć z głodu. I sama zapłaciłam.

— Zaproponował... — Teraz oczy Violet lśniły jak dwa szafiry. — O rany, to ci dopiero będzie, jak powiem dziewczętom.

„No cóż, starość, pomyślała Agata. Kocham cię jak siostrę, Violet, ale mieszkając z tymi staruszkami stajesz się coraz bardziej zgrzybiała.” Każda z „dziewcząt” dawno już zapomniała, kiedy skończyła sześćdziesiątkę.

— Czy nie jesteś już odrobinę za stara, żeby się pod-kochiwać w czterdziestoletnim mężczyźnie?

— Wcale nie czterdziestoletnim. Ma dopiero trzydzieści osiem.

Po raz kolejny udało się jej zadziwić Agatę, tym razem tak dokładną znajomością wieku Gandy'ego.

— A ty sześćdziesiąt trzy.

— Niecałe.

— Bez miesiąca.

Violet zignorowała ten fakt.

— Pięć razy mijałam go na ulicy i za każdym razem uchylał kapelusza, uśmiechał się i mówił: „Dzień dobry pani.”

— A potem szedł na drugi koniec ulicy i brał sobie jakąś ładacznice.

— Musisz przynajmniej mu oddać sprawiedliwość i przyznać, że u niego takie nie pracują.

— Na razie nie. Ale nie zapominaj, że jeszcze nic przybyli poganiacze bydlą.

W oczach Violet pojawił się niepokój.

— Och, Agato, sądzisz, że będą?

Agata uniosła jedną brew, a jej igła zawisała na moment w powietrzu.

— Po tym, jak wczoraj rano przyniósł ten obrzydliwy obraz, twierdzą, że stać go i na to.

— Dziewczeta mówiły, że pan Gandy... — Violet poczerwieniała, albowiem drzwi w części frontowej otworzyły się i ktoś wszedł do środka. — Chwileczkę, zobaczę, kto to taki.

Agata nie przerywała pracy. Violet rozchyliła lawendową kotarę i wyszła.

— Och — usłyszała Agata. „Och” bardzo ciche i bardzo dziewczęce.

— Dzień dobry, panno Parsons. Ładny dziś mamy poranek, prawda? — rozległ się głęboki baryton.

Agata znieruchomiała i z otwartymi ze zdziwienia ustami wpatrywała się w kołyszącą się kotarę.

— Och, pan Gandy. Cóż za miła niespodzianka. — Głos Violet brzmiał, jakby w pełnym biegu wyrznęła głową w parkan.

Scott Gandy zdjął kapelusz i uśmiechnął się najbardziej czarującym ze swych uśmiechów.

— Nie wątpię, że tak. Sądzę, że nie macie panie zbyt wielu klientów płci męskiej.

— Żadnych.

— Przypuszczam również, że po tym, co zaszło wczorajszego ranka, nie jestem tu osobą mile widzianą.

„O Zbawicielu, ależ on ma dołeczki! — pomyślała Violet. — I przyniósł suknię Agaty!”

Przez ramię miał przewieszona starannie złożoną suknię i halkę Agaty. Przypomniało to Violet, że nie wolno jej tak szybko puścić w zapomnienie jego występku. Podeszła bliżej i wyszeptała:

— Agata była bardzo wzburzona. Proszę mi wierzyć: bardzo.

On również zrobił krok do przodu.

— Wierzę — odparł szeptem.

— I nadal jest.

— Moje zachowanie było rzeczywiście naganne. Wręcz karygodne. — Ich nosy były teraz tak blisko siebie, że Violet widziała w czarnych tęczęwkach własne odbicie. Poczula

aromat dobrego tytoniu oraz płynu do włosów, zapachy, z którymi, pracując w zakładzie modystycznym i mieszkając z dziewczętami, stykała się niezwykle rzadko. Mimo wszystko nie mogła pozwolić, żeby lotra ominęła bura.

— To się nie może nigdy więcej powtórzyć, panie Gandy — złąła go, wciąż szeptem.

— Obiecuję, że się nie powtórzy. — Wyglądał na odpowiednio skruszonego, a z jego twarzy zniknął zarówno uśmiech, jak i dołeczki. Serce Violet stopniało. Nagle zdała sobie sprawę, że w dalszym ciągu stoją nos w nos, wyprostowała się więc gwałtownie i obląła rumieńcem.

— Czym mogę panu służyć, panie Gandy? — spytała już na głos.

— Chciałbym porozmawiać z panną Downing. Czy ją zastałem?

Agata zacisnęła dłonie na brzegu warsztatu, żałując, że nie może zerwać się na nogi i wybiec tylnym wyjściem.

— Jest na zapleczu. Proszę za mną.

„Ani mi się waż, Violet!” — pomyślała Agata. Lecz było za późno. Kotara rozchyliła się i do warsztatu weszła Violet, a tuż za nią Scott Gandy.

— Pan Gandy do ciebie, Agato. — Violet stanęła z boku i przepuściła Gandy'ego. Wszedł nieśpiesznym krokiem człowieka przyzwyczajonego do życia w nieznośnym upale i wilgoci głębokiego Południa i skierował się ku kobiecie siedzącej za stołem przy oknie wychodzącym na zachód. Sztywno wyprostowana, z zaciśniętymi ustami, Agata całą uwagę skupiła na igle, przyszywając we wściekłym tempie podszewkę do filcowego kapelusza. Jej twarz miała kolor szytego jedwabiu.

Gandy stanął koło jej krzesła i zdjął kapelusz.

— Dzień dobry, panno Downing — rzekł cicho. Nawet na niego nie spojrzała.

— Trudno mi mieć pretensje, że nie ma pani ochoty ze mną rozmawiać.

— Jeżeli przyszedł pan coś kupić, obsłuży pana panna Parsons.

— Przyszedłem do pani, nie do panny Parsons.

— Jadłam już śniadanie. I zapłaciłam za nie. — Igła wbiła się w filc z taką furją, jakby była to skóra Gandy'ego.

— Wiem, proszę pani. Widziałem, jak szła pani dziś rano do Pauliego. — Agata uniosła gwałtownie głowę i ich spojrzenia nagle się zderzyły. Dopiero teraz zauważyła, że Gandy trzyma w ręku jej suknię i halkę. Rumieniec na jej twarzy jeszcze się pogłębił. — Zastanawiałem się, czy nie spróbować porozmawiać z panią właśnie tam, ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie zrobić to na osobności.

Igła w jej dłoni poruszała się coraz szybciej. Jaki właściwie mógł mieć powód, żeby obserwować, kiedy i dokąd wychodzi?

— Wczoraj wieczorem, u Pauliego, chciałem powiedzieć, że... — Przerwał i odchrząknął nerwowo, Agata natomiast przestała w końcu udawać, że szyje, i zwróciła się twarzą do niego.

— Wczoraj wieczorem u Pauliego powinien był pan mieć na tyle taktu, żeby natychmiast wyjść, kiedy mnie pan zobaczył. Dobrze się pan bawił, panie Gandy? Czy sprawiło panu wystarczającą przyjemność ponizenie mnie na oczach moich znajomych? Czy pańscy... — Skrzywiła się z pogardą.

— Czy pańscy znajomi w pańskim saloonie dobrze się ubawili, kiedy im pan opowiedział, jak to zaproponował tej kuternodze modystce, że zapłaci za jej kolację? — Odłożyła kapelusz.

— I błagam, niech mi pan powie, co robią w pańskich rękach moje prywatne rzeczy?

Scott Gandy zarumieniał się.

— Naprawdę tak pani sądzi? Że chciałem zapłacić za pani kolację po to, by z pani zadrwić? — Mocno ściągnął brwi, między którymi pojawiły się drobne zmarszczki.

Agata chwyciła kapelusz i znów wbiła weń igłę, zbyt wzburzona, by patrzeć na Gandy'ego.

— Czyżby było inaczej?

— Oczywiście, że tak. Zapewniam panią. Pochodzę z Missisipi, panno Downing. Matka wychowała mnie w szacunku dla kobiet i niezależnie od tego, jak to wyglądało, nie miałem zamiaru ani wrzucić pani w błoto, ani tym bardziej obrazić w restauracji. Płacąc za pani kolację, chciałem przeprosić za swój karygodny postępek. To wszystko.

Agata nie wiedziała, czy powinna mu wierzyć, czy też nie. Okropnie fuszerowała szew, nie przestawała jednak szyć, nie miała bowiem pojęcia, co zrobić z rękoma, a była nazbyt skonfundowana, żeby spojrzeć Gandy'emu w oczy.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro, panno Downing. Sądząc po głosie, był naprawdę skruszony. Uniosła wzrok i stwierdziła, że jego oczy wskazują na to samo. Podobnie usta — pośepnie zaciśnięte. Rzadko zdarzało się jej widzieć twarz przystojniejszą od tej i nie dziwiła się już, że kobiety tak lekkomyślnie jak Violet tracą dla niego głowę. Ale ona nie była ani Violet, ani osobą lekkomyślną.

— Wydaje się panu, że za coś takiego wystarczy przeprosić i sprawa będzie załatwiona?

— Nie. Wiem, że to, co zrobiłem, było niewybaczalne. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że wczoraj rano nie miałem pojęcia o pani... problemach z chodzeniem. Kiedy później zobaczyłem, jak niesie pani do pralni zabrudzone ubranie, byłem przekonany, że to ja panią zraniłem. Z błędu wyprowadził mnie dopiero Dan Loretto. Wtedy jednak poczułem się jeszcze podlej.

Agata aż pobladła, cierpiąc katusze pod jego spojrzeniem.

— Wiem, że w żaden sposób nie jestem w stanie zadośćuczynić upokorzeniu, na jakie panią naraziłem, mogłem jednak przynajmniej uregulować rachunek za pranie. — Ostrożnie położył suknię i halkę na stole. — Więc proszę. Wyprane i zapłacone. Jeśli coś zostało zniszczone tak bardzo, że nie da się naprawić, proszę tylko dać mi znać, a natychmiast pokryję wszystkie koszty.

Żaden mężczyzna nie dotykał dotąd bielizny Agaty. To, że uczynił to ktoś taki jak Gandy, było dla niej sporym wstrząsem. Na tle białej bawełny jego dłoń wydawała się bardzo ciemna. Oszołomiona, spojrzała w bok. Jej wzrok spoczął na dłoni trzymającej przy udzie czarny kapelusz. Na jego małym palcu lśnił diament wielkości grochu oprawiony w złoto. Kapelusz był bardzo porządny — jeżeli Agata na czymś się znała, to właśnie na kapeluszach — prawdziwy niski stetson z szerokim rondem, szczyt męskiego szyku. Agata doszła do wniosku, że skoro Gandy'ego stać na diamenty, drogie kapelusze i wielkie obrazy, może też pokryć koszt prania, którego był przyczyną. Zasłużyła na to.

Zebrała się w sobie i spojrzała mu prosto w oczy, zimno i z wyrzutem.

— Podejrzewam panie Gandy, że doszły już pana słuchy o batalii przeciwko sprzedaży alkoholu, która wkrótce rozegra

się w tym mieście, i że po prostu broni pan swych interesów, starając się mnie udobruchać tymi przeprosinami i paroma pustymi gestami. Są kobiety... — Z trudem powstrzymała się przed spojrzeniem na Violet. — ...którym zdołał pan zawrócić w głowie swoimi słodkimi słówkami, ja jednak potrafię zauważyć, kiedy dla osiągnięcia własnych celów ktoś próbuje mnie ogłupić potokiem nic nie znaczących słów. A jeśli sądzi pan, że dałam za wygraną w sprawie tego lubieżnego obrazu, zapewniam pana, że grubo się pan myli. Violet obawia się, że jeśli dalej będę wchodzić panu w drogę, to w końcu da nam pan wymówienie. Ale ja się nie boję.

W tym zapale zrobiła coś, czego na ogół przy obcych nie robiła: wstała. I chociaż Gandy nadal przewyższał ją o dobre dziesięć cali, ona czuła się wysoka na przynajmniej siedem stóp.

— Zamierzam nie tylko dalej wchodzić panu w drogę, ale również poszukać innych, którzy zdecydują się robić to samo. — Violet ze swego miejsca przy kotarze wymachiwała rękoma jak wiatrak w czasie wichury, starając się powstrzymać Agatę, ta wszakże w ogóle nie zwracała na nią uwagi. — Pragnę też pana poinformować, o ile jeszcze pan o tym nie wie, że zgodziłam się, aby spotkanie organizacyjne ruchu antyalkoholowego odbyło się właśnie tutaj, w moim zakładzie. W najbliższą niedzielę wieczorem. — Umilkła, skrzyżowała dłonie na brzuchu i zrobiła niezgrabny krok do tyłu. — A teraz, jeżeli uważa pan, że ma do tego prawo, może mi pan wręczyć wymówienie. Dobro jest dobrem, a zło na zawsze pozostanie złem. Sprzedaż alkoholu, panie Gandy, jest złem, podobnie zresztą jak wieszanie w miejscach publicznych takich ohydnych plugastw.

— Nie mam najmniejszego zamiaru wręczyć pani wymówienia, panno Downing. Chociażby dlatego, że w ten sposób ściągnąłbym sobie na głowę gniew działaczek organizacji antyalkoholowej, a także tej waszej gazety. Ale nie zamierzam również zrezygnować ze sprzedaży alkoholu. Jeśli zaś chodzi o obraz, to będzie wisiał tam, gdzie wisi.

— Zobaczymy.

Gandy zamyślił się. Z miną kłusownika obserwującego łanię, która biegnie prosto w sidła, sięgnął do kieszeni i wyjął cygaro.

— Och, czyżby?

Cygaro nie zdążyło nawet dotknąć jego ust, kiedy Agata eksplodowała:

— Proszę to natychmiast schować! Może pan sobie palić to diabelskie ziele w tym swoim brudnym lupanarze, ale nie w moim zakładzie!

Gandy spuścił wzrok, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, co trzyma w dłoni, po czym wsunął cygaro z powrotem do kieszeni. Zrobił to jednak z krzywym uśmiechem, przy którym na jego twarzy pojawił się tylko jeden dołek.

— Oczywiście, proszę pani. — Spojrzał przez ramię i powoli się odwrócił. — A co pani o tym wszystkim sądzi, panno Parsons? — spytał.

Violet zachowywała się jak kompletna niedojda, przykładając dłoń do ust i rumieniąc się niczym przypiekane prosię. Agata słuchała z oburzeniem, jak Gandy oplata ją swymi matactwami.

— Jak długo istnieje ten kraj, mężczyźni zawsze pili alkohol, uprawiali hazard i kochali się w kobietach. Chyba należy im się odrobina rozrywki, prawda? Przecież nie ma w tym nic złego.

— Chi-chi. — Była to jedyna odpowiedź, na jaką stać było Violet.

— To nieprzyzwoite! — wtrąciła ze złością Agata. Gandy zwrócił się z powrotem w jej stronę.

— Nie, proszę pani, to po prostu wolny rynek. Staram się uczciwie zarabiać na chleb i w tym celu muszę robić wszystko, żeby o krok wyprzedzać pozostałych właścicieli barów.

— Uczciwie?! Nazywa pan uczciwością nakłanianie innych do wydawania ciężko zarobionych pieniędzy na alkohol i hazard?

— Nikt ich nie zmusza, żeby przychodzili do Złotej Klatki. Robią to z własnej nieprzymuszonej woli.

— Ale to rujnuje mój zakład, panie Gandy. Przez to pijaństwo i awantury kobiety unikają tych okolic jak ognia.

— Jest mi z tego powodu naprawdę przykro, ale na tym właśnie polega wolny rynek.

Ta jego radosna nieodpowiedzialność do reszty rozzłościła Agatę.

— Powtarzam raz jeszcze, panie Gandy. Jeżeli pan chce, może nas pan stąd wyrzucić, ale ja i tak zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby doprowadzić do zamknięcia pańskiego lokalu.

Ku jej konsternacji Gandy uśmiechnął się. Na jego śniadych policzkach pojawiły się tym razem dwa symetryczne dołeczki, a w onyksowych oczach wesołe ogniki.

— Czy to wyzwanie, panno Downing?

— To fakt! — wykrzyknęła. Stwierdziła, że jego południowy akcent doprowadza ją do szału, a już zupełnie nie jest w stanie znieść zadziorności, z jaką włożył kapelusz i wpatrywał się w nią, zanim w końcu zaczął się zbierać do wyjścia.

Przyszedł do jej zakładu pełen skruchy, teraz zaś z rozbawieniem patrzył na rozsierdzoną kobietę w niebieskiej sukni z wysokim ciasnym kołnierzem i czarnej tradycyjnej spódnicy. Przy pierwszym spotkaniu był przekonany, że jest stara. Teraz, przyjrawszy się jej dokładniej, stwierdził, że wcale nie. Wyglądało na to, że jest nawet młodsza od niego. Szczupła, kształtna i święcie przekonana o słuszności swoich sądów, co z niechęcią podziwiał. W padającym od okna świetle jej włosy miały zadziwiający rudawy połysk. Delikatne rysy. Wspaniała gładka cera. Nieustępliwe zielone oczy, jasne niczym nadmorska mgiełka. Śliczne usta. A do tego wszystkiego manieri starej panny.

Jednakże na pewno nie była stara. Wystarczyłoby wetknąć jej piórko we włosy, podmalować usta, puścić luzem kilka sprężystych kosmyków, nauczyć paru rubasznych piosenek i pasowałaby do saloonu wcale nie gorzej niż Jube, Pearl czy Ruby. Z trudem powstrzymywał uśmiech, wyobrażając sobie, jak bardzo by była oburzona, gdyby poznała jego myśli.

— Traktuję to jako wyzwanie. Pani będzie robić wszystko, co w jej mocy, żeby zamknąć mój lokal. Organizować pochody, malować transparenty, śpiewać — cokolwiek tylko przyjdzie do głowy pani oraz pani towarzyszkom ze wspólnoty antyalkoholowej. A ja będę się starał przyciągać do Złotej Klatki coraz to nowych klientów.

— Panu się wydaje, że to zabawa, prawda, panie Gandy? Otóż nie. Panna Wilson nie ma czasu na zabawę. Przyjechała tutaj z misją.

— Wiem, wiem. — Uniósł dłonie. — Ona też chce mnie wykończyć — dodał beztrąsko.

— Z całą pewnością.

— No cóż, w takim razie czas chyba, żebym wrócił do pracy i rozpoczął przygotowania do wojny, nieprawdaż, miłe panie? — Dotknął róna kapelusza i lekko się uklónił. — Życzę miłego dnia, panno Downing. — Odwrócił się i podszedł do Violet, która wciąż stała przy kotarze i wyglądała, jakby przed chwilą pogratulował jej wspaniałej bielizny. — Panno Parsons — powiedział cicho, ujmując jej żyłastą dłoń i delikatnie unosząc do ust. — Było mi bardzo miło.

Zrobiła wielkie oczy, Agata zaś, patrząc na to wszystko, jeszcze większe.

— Violet, odprowadź pana — poleciła oschle. — I zostaw drzwi szeroko otwarte. Strasznie tu cuchnie stęchłymi cygarami.

Gandy odwrócił się z uśmiechem skinął głową i wyszedł. Wróciwszy od drzwi, Violet opadła na krzesło i zaczęła wachlować twarz chusteczką.

— Widziałaś, Agato? Pocałował mnie w rękę!

— Sprawdź, czy aby nie zostawił ci śladów po zębach. Euforii Violet nie dało się jednak tak łatwo zdławić.

— On naprawdę pocałował mnie w rękę! — powtórzyła.

— Och, Violet, chociaż spróbuj zachowywać się tak, jak przystało na osobę w twoim wieku.

— Ależ zachowuję się. Mam słabe serce i obawiam się, że zaraz dostanę palpitacji.

W Agacie aż zakipiało. Cóż za szczywany manipulant. Potrafił wyczuć na odległość dzieciinniałą starą kwokę, a jak już ją sobie upatrzył, nie przepuścił żadnej okazji.

Violet na wpół leżała oparta o warsztat.

— „Pani będzie robić wszystko, co w jej mocy, żeby zamknąć mój lokal...” — powtarzała, przesadnie naśladowując południowy akcent. — Czy słyszałaś kiedyś coś równie wspaniałego? Jak słucham pana Gandy'ego, to nawet tutaj, w Proffitt, mam wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach magnolii.

— Ja czułam jedynie smród tytoniu. Violet wyprostowała się.

— Ależ Agato, czy w tobie naprawdę nie ma ani krztyny romantyzmu? Pachniał też płynem do włosów. Pamiętam, że mój tata używał podobnego.

— Ale twój tata nie prowadził saloonu ani nie został wyrzucony ze statku za szulerstwo.

— Nikt nie wie, czy to prawda, że go wyrzucono.

— Jak to? — zadrwiła Agata. — A więc jest coś, czego dziewczęta nie potrafiły sprawdzić?

Nagle Violet dostrzegła leżącą na warsztacie suknię i halkę Agaty. Podeszła i dotknęła ich delikatnie, niemal z czcią.

— Pomyśl tylko, zapłacił za pranie. Agata parsknęła.

— I chciał zapłacić rachunek za twoją kolację. Agata parsknęła głośniej.

— I przyszedł tu specjalnie po to, żeby cię za wszystko przeprosić.

Gdyby Agata parsknęła jeszcze głośniej, mogłaby wciągnąć do ust jakiś kawałek nitki i zakrztusić się. Dlatego zdecydowała się wygłosić kazanie.

— Och tak, to wyjątkowy dandys i krasomówca. Ale z pomocą Drusilli Wilson i mieszkanek Proffitt w stanie Kansas... — Tu uniosła dłoń ku niebu. — ...zetrę mu z twarzy ten nieznośny uśmiezek!

Tymczasem za ścianą LeMaster Scott Gandy wkroczył energicznie do lokalu i krzyknął:

— Jack, przygotuj plakat! — Odgryzł koniec cygara, wypluł go wprost do spluwaczki i z równą precyzją puścił kółko z dymu tak, że utworzyło ono girlandę wokół czerwonego sutka nagiej piękności za barem. Zmrużył oko, patrząc przez kółko na sutek, jakby celował weń z winchestera. — Zrobimy konkurs. Ten, kto wymyśli dla naszej golusieńkiej najlepsze imię, dostanie w nagrodę pierwszy taniec z Jubilee!

Tak oto została wytyczona linia frontu.

ROZDZIAŁ TRZECI

W niedzielę wielebny Samuel Clarksdale z kościoła prez-biteriańskiego pod wezwaniem Jezusa Chrystusa podczas każdego kolejnego nabożeństwa ustępował na chwilę miejsca przy ołtarzu pannie Drusilli Wilson, której przesłanie okazało się zwięzłe i ożywcze: Te, co stoją beczynn timer i patrzą, jak ich ukochany stacza się w otchłanie alkoholizmu, zamiast udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy, powinny się czuć tak samo winne, jakby osobiście wcisnęły mu w rękę butelkę.

Po ostatnim nabożeństwie panna Wilson spotkała się z członkiniami wspólnoty parafialnej. Niektóre uroczyście ścisnęły jej dłoń, w oczach innych pojawiły się łzy wzruszenia. Wiele dziękowało też z góry Agacie, że zgodziła się udostępnić lokal na zebranie.

Agata ubrała się na to spotkanie w ciemnobrązową suknię z wysokim kołnierzem, mocno odstającą turniurą i dołem zasznutowanym tak mocno, że musiała stawiać mniejsze niż zwykle kroki. Była gotowa sporo przed siódmą, zeszła więc na dół, starła kurze z ład i gablot i zapaliła lampy. Dopiero zmierzchało, kiedy otworzyła drzwi, żeby wyjść na spotkanie Drusilli Wilson, która swoim zwyczajem mocno uścisnęła jej dłoń.

— Cieszę się, że cię znowu widzę, Agato.

— Proszę do środka, Drusillo.

Jednakże Drusilla ruchem głowy wskazała na bar.

— Domyślam się, że widziałaś, z czym przyjdzie nam walczyć?

Agata nie widziała, więc wyszła na chodnik.

Drzwi lokalu były otwarte na oścież, po skosie, za barem, widać było obraz, a na chodniku przed drzwiami stał ten nikczemny południowiec, wystrojony prosto spod igły, z cygarem w ustach i łokciem opartym o dwustronną tablicę: *NOWE DAMY W MIEŚCIE!!! WYM YŚL NAJLEPSZE IMIĘ DLA DAMY ZZA BAR U A ZATAŃCZYSZ PIERWSZY TANIEC Z PANNA JUBILEE BRIGHT, NAJWSPANIALSZYM POŚRÓD KLEJNOTÓW PRERII, KTÓRA JUŻ WKRÓTCE ZJAWI SIĘ W ŻŁOTEJ KLATCE WRAZ Z INNYMI DROGOCENNYMI KAMIENIAMI: PEARL I RUBY*

Z rozmysłem zaczekał, aż Agata przeczyta ogłoszenie, i dopiero wtedy uchylił lekko kapelusza.

— Dobry wieczór, panno Downing.

Och, ależ on ma tupet! Stał uśmiechnięty od ucha do ucha i zaciągał z tym swoim okropnym południowym akcentem. Z chęcią wykopałaby mu spod łokcia tę przeklętą tablicę, żeby rozłożył się na ziemi jak długi!

— Spodziewacie się panie sporej frekwencji, prawda?

— Z całą pewnością.

— Założę się jednak, że nie tak wysokiej jak u mnie.

— Czy w panu nie ma ani krztyny przyzwoitości? Przecież to dzień święty!

— Ani krztyny, proszę pani. Muszę jako pierwszy powitać poganiaczy, którzy, jak być może się pani orientuje, mogą zjawić się w mieście właściwie w każdej chwili.

Uniosła jedną brew i spojrzała na afisz.

— Jubilee, Pearl i Ruby? Jestem pewna, że te klejnoty zostały odpowiednio oszlifowane. — Już je sobie wyobrażała: zawszone, chore wenerycznie prostytutki z osmalonymi włosami i namalowanymi pieprzykami.

— Wszystkie trzy najprawdziwsze na świecie. Agata parsknęła.

Gandy pyknął z cygara.

W tym momencie wysoki pająkowaty Mulat o czarnych oczach i gęstych jak karakuły włosach otworzył pianino. Był tak chudy, że wydawało się, że przewróci go choćby najslabszy podmuch.

— Najwyższy czas trochę pograć, prawda, Ivory?

— Tak, szefie.

— Ivory, chyba nie miałeś dotąd okazji poznać naszej milej sąsiadki, panny Downing. Panno Downing, oto mój pianista, Ivory Culhane.

— Dobry wieczór pani. — Zdjął czarny melonik, przycisnął do piersi i nisko się skłonił. — Czy mogę zagrać coś specjalnego dla pani? — spytał, wkładając melonik na bakier.

Jak ci dwaj śmieli zachowywać się, jakby to było zwykłe popołudniowe spotkanie przy lodach! Agata nie miała najmniejszej chęci wymieniać uprzejmości ani z rajfurem, ani z człowiekiem, przez którego piekielne brzdąkanie nie spała po nocach. Posłała Mulatowi kwaśne spojrzenie i odparła oschle:

— Owszem. Może na przykład „Potężną fortecą jest nasz Pan”?

W herbacianobrązowej twarzy błysnęły w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

— Tego niestety nie znam. Ale może to? — Jednym płynnym ruchem usadowił się na trójnogim stołku i zagrał początkowe akordy „Małego brązowego dzbanka”, piosenki, którą „opoje” skomponowali po to tylko, żeby zagrać na nerwach „świętoszkom”. Agata odwróciła się na pięcie i odeszła.

Kiedy kobiety zaczęły się schodzić, tamci dwaj nadal trwali na swych posterunkach. Piosenki Ivory'ego słyhać było na całej ulicy. Gandy stał w tej samej nonszalanckiej pozie i z tym samym przyklejonym do ust uśmiechem.

Roztaczając dookoła swój czar, jak piżmak zapach piżma, kłaniał się uprzejmie każdej kobiecie.

— Dobry wieczór pani — powtarzał raz za razem, dotykając róna kapelusza. — Życzę miłego spotkania. — Jego uśmiech stał się szczególnie czarujący, kiedy zjawiła się Violet wraz z delegacją kobiet zamieszkujących pensjonat pani Gili. — Dobry wieczór, panno Parsons. Miło panią widzieć razem z przyjaciółkami. Dobry wieczór wszystkim paniom.

Violet zachichotała i poprowadziła procesję ku sąsiednim drzwiom. Zaraz za nią szły Evelyn Sowers, Susan White, Bessie Hottie i Florence Loretto, z których każda miała do wyrównania jakieś rachunki ze Złotą Klatką. Były też inne. Annie Macintosh, paradyżująca z rozciętym lewym policzkiem. Minnie Butler, której mąż nie potrafił żyć bez hazardu. Jennie Yoast, której małżonek co sobotę wyruszał w obchód po barach Proffitt, a w niedzielę rano budził się, czy raczej był budzony, gdzieś na chodniku zamiast we własnym łóżku. Anna Brewster, Addie Anderson, Carolyn Hawes i wiele innych, których mężowie czuli ogromny pociąg do wody ognistej.

Ogółem na zebraniu zjawilo się trzydzieści sześć kobiet, z których większość pragnęła za wszelką cenę wypłenić wcielone w alkohol zło; tylko kilka przyszło z czystej ciekawości, co też „te fanatyczki” zdołają wykonywać, kiedy zjednoczą siły.

Drusilla Wilson ze swą gospodynią u boku osobiście witała w progu każdą nowo przybyłą. Zebranie zaczęło się od wspólnej modlitwy, po której panna Wilson wygłosiła krótką mowę.

— W Ameryce funkcjonuje cztery tysiące spelunek, siejących śmierć i choroby we wszystkich warstwach społeczeństwa, cztery tysiące podłych melin, które każdy szanujący się obywatel stara się obchodzić z daleka. Na ciele waszego miasta ropieje obecnie jedenaście takich wrzodów. Wielu spośród waszych mężów spędza z ich powodu całe wieczory, czasami nawet noce, poza rodzinnymi domami, pozbawiając je w ten sposób obrony i środków do życia. A spustoszenie w organizmie człowieka spowodowane przez alkohol prowadzi do tragicznego końca — do szpitali, gdzie ofiary umierają w mękach *delirium tremens*, do ośrodków penitencjarnych, na przykład na wyspie Ward, wreszcie do przytułków dla obłąkanych, jak choćby ten, który mieści się na wyspie Blackwell. Osobiście odwiedziłam wszystkie te miejsca i widziałam tam pełzającą śmierć, czyhającą na tych, którzy zaczęli od jednej niewinnej szklaneczki, a później krok po kroku stoczyli się w bezkresne otchłanie. A kto cierpi najbardziej z powodu pijaństwa i alkoholizmu? Kobiety i dzieci — oto kto! W naszym szczęśliwym kraju

rozbrzmiewają jęki rozpaczony ponad pięciuset tysięcy kobiet. Nad grobami czterdziestu tysięcy alkoholików słychać żałobny płacz wdów i sierot. Skutki plagi alkoholizmu dotykają przede wszystkim kobiet i dlatego to właśnie one powinny zrobić wszystko, żeby doprowadzić do jej unicestwienia!

Na twarzach słuchaczek malowało się skupienie. Drusilla Wilson mówiła w sposób porywający i potrafiła przekonać do swoich racji. Nawet te, które przyszły jedynie z ciekawości, były jak zahipnotyzowane.

— Same zaś saloony są wymarzoną schronieniem dla najgorszego robactwa tej ziemi: hazardzistów, oszustów oraz *nymphes du prairie*. Nie wolno nam zapominać o Wichicie i o najohydniejszych domach publicznych, w których nierządem trudniło się nie mniej niż trzysta wypacykowanych ladacznic. Powtarzam, nie mniej niż trzysta! W jednym tylko mieście! Ale skoro udało się nam oczyścić Wichitę, oczyścimy także Proffitt! Wspólnymi siłami! Kiedy przemówienie dobiegło końca, zebrany tłum zadał tylko jedno pytanie: W jaki sposób?

Odpowiedź była krótka i zwięzła: Dzięki uświadamianiu, nakłanianiu do modlitwy i sile woli.

— Nasze stowarzyszenie nigdy nie odwołuje się do przemocy. Wszystkie nasze osiągnięcia zawdzięczamy tylko stosowaniu środków jak najbardziej pokojowych. Nie uchylajmy się jednak od obowiązków, kiedy przyjdzie nam uświadomić temu niszczycielowi ludzkich dusz — właścicielowi baru — jak ciężki jest grzech, który popełnia. Nie będziemy niszczyć szatańskiego płynu, który wlewa w gardła swych klientów. Zaproponujemy im coś silniejszego, w czym zawsze będą mogli znaleźć oparcie, mianowicie wiarę w Boga i rodzinę oraz nadzieję na lepszą przyszłość. Wszystkie kobiety były pod ogromnym wrażeniem. Panna Wilson dobrze wiedziała, kiedy mówić, a kiedy oddać głos innym. Żeby pozyskać je dla sprawy, teraz trzeba było tylko trzech czy czterech przejmujących historii opowiedzianych przez nie same.

— Wszystkie z niecierpliwością oczekiwałyście w domach dzisiejszego popołudnia. I oto w końcu nadeszło. Czas odsłonić swe serca przed innymi siostrami, które potrafią was

zrozumieć. One przecież cierpią to samo co wy. A więc która jako pierwsza pozbędzie się swoich smutków?

Kobiety spoglądały na siebie wyczekująco, żadna wszakże nie zdecydowała się wystąpić.

— Pamiętajcie — naciskała Wilson — że pozostałe siostry przyszły tu nie po to, żeby was osądzać, tylko wesprzeć. Zza ściany dobiegł okrzyk: „Keno!” i głośnie akordy „Poprzez fale”. Trzydzieści sześć skrepowanych kobiet czekało, aż w końcu któraś zbierze się w sobie i pokona nieśmiałość.

Agata zacisnęła pięści i usta. Powróciły odległe, lecz wciąż wstrząsające wspomnienia. Rozważała nawet możliwość opowiedzenia własnej historii, zbyt długo jednak tłumiła ją w sobie i po prostu nie była w stanie. Poza tym już teraz w wielu osobach wzbudzała litość i nie miała zamiaru powiększać ich grona. Postanowiła milczeć.

Jako pierwsza przemogła się Florence Loretto.

— Mój syn... — zaczęła, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich obecnych. Zapadła absolutna cisza. — Mój syn, Dan. Zawsze był takim dobrym dzieckiem. Ale kiedy mąż jeszcze żył, często wysyłał Dana do baru po whisky.

Twierdził, że ma reumatyzm i tylko alkohol jest w stanie wypędzić ból z jego stawów. Tak się to wszystko zaczęło.

Tuż przed śmiercią właściwie już nie trzeźwiał. Był dorosłym mężczyzną, ale Dan... Dan był dzieckiem i zasmakował w atmosferze panującej w takich lokalach. Teraz rozdaje karty w saloonie za ścianą, a ja... ja... — zakryła twarz dłonią. — Jest mi tak okropnie wstyd, że boję się spojrzeć ludziom w oczy.

Addie Anderson poklepała Florence po ramieniu.

— Nie płacz, Florence — powiedziała cicho. — Rozumiemy cię. Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby wyrósł na przyzwoitego człowieka. — Spojrzała na pannę Wilson. — Mój mąż Floyd—zaczęła niezwłocznie swą opowieść—nie pił prawie w ogóle, może z wyjątkiem Święta Niepodległości i wesel. Ale przed paroma laty nagle rozchorował się i musiał zatrudnić kogoś do opieki nad sklepem. Jenks był młodym i na pierwszy rzut oka sympatycznym mężczyzną z St. Louis. Do tego miał listy referencyjne, jak się później okazało — sfałszowane. Jenks dobrał się do ksiąg rachunkowych i tak sprytnie szachrował, że długo Floyd niczego się nie domyślał. A kiedy w końcu prawda wyszła na jaw, było za późno. Jenks

zniknął, a nam zamiast oszczędności zostały tylko długi. Wtedy właśnie Floyd zaczął pić. Staralam się mu tłumaczyć, że nie ma sensu przepijać tych skromnych resztek, które nam zostały, ale on w ogóle nie chciał słuchać. Straciliśmy sklep i Floyd zatrudnił się u pana Halorhana, był to jednak dla niego okropny cios. Przecież przez tyle lat sam sobie był szefem. Teraz prawie całe zarobki wydaje na whisky, mamy więc sześciomiesięczne długi w sklepie. Pan Halorhan to dobry i cierpliwy człowiek, ale ostatnio ostrzegł Floyda, że jeśli nie spłacimy przynajmniej części, wyrzuci go z pracy. A wtedy... — W tym momencie Addie rozplakała się. — Och... Wtedy...

W świetle jej opowieści utrapienia Florence Loretto wydawały się dużo mniej drastyczne i teraz to ona pocieszała przyjaciółkę.

W chwilę później pozostałe kobiety otworzyły się jedna po drugiej. Ich kłopoty prawie się od siebie nie różniły, tyle tylko że niektóre opowieści wydawały się bardziej przejmujące niż inne. Agata czekała, ciekawa, czy Annie Macintosh przyzna się, kto rozciął jej twarz, lecz ona milczała.

Kiedy gwar ucichł, Drusilla raz jeszcze przejęła kontrolę nad zgromadzeniem.

— Siostry — rzekła. — Widzicie teraz, że każda z was może liczyć na zrozumienie i wsparcie. Ale to za mało. Żeby działać skutecznie, musimy się zorganizować. A to oznacza konieczność założenia miejscowego oddziału Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji. W tym celu musicie wybrać zarząd, który przy mojej pomocy opracuje statut. Następnie powołamy komisje, których zadaniem będzie przygotować tekst ślubowania i plakietki. — Tu przedstawiła kilka projektów nadających się do przypięcia do rękawa nawróconego mężczyzny. — Naszym pierwszym celem będzie zdobycie jak największej liczby podpisów pod tekstem ślubowania, a także pozyskanie nowych członkiń.

Niecały kwadrans później Agata, której sprzeciwów nikt nie chciał słuchać, została wybrana przewodniczącą Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji w Proffitt w stanie Kansas. Funkcję wiceprzewodniczącej miała pełnić Florence Loretto. Ona także próbowała się bronić. Wszystkie zebrane zadziwiła Annie Macintosh, ode-

zwała się bowiem po raz pierwszy tego wieczora, zgłaszając gotowość objęcia stanowiska sekretarza. Na wniosek Agaty Violet mianowano skarbniczką, było bowiem oczywiste, że skoro widać się codziennie, we dwie będzie im łatwiej pracować. Violet również próbowała protestować. Bezskutecznie.

Wysokość składki ustalono na dwadzieścia pięć centów — cenę jednej dużej whisky — tygodniowo. Wybrano czteroosobową komisję ślubowań, której członkinie miały się zająć ręcznym wypisywaniem tekstów, zanim uda się zorganizować prawdziwe druki. Wyznaczono trzy osoby, żeby udały się do Josepha Zellera, wydawcy „Proffitt Gazette”, i dowiedziały się o koszt druku broszur, ogłoszeń oraz ślubowań. Termin pierwszego przemarszu w celu zbierania podpisów pod deklaracją abstynencji ustalono na następną noc. Na pierwszy ogień miał pójść sąsiedni lokal.

Pod koniec zebrania panna Wilson nauczyła je pierwszej pieśni wychwalającej abstynencję:

Królem jest nam zimna woda
Zimna woda jest nam panem

A przy stole siedzą Setki twarzy roześmianych.

Odśpiewały ją kilkakrotnie, w coraz większej harmonii, aż w końcu ich głosy zagłuszyły dochodzące zza ściany dźwięki „Wyścigów w Camptown”.

Rozchodząc się do domów, kobiety nie miały żadnych wątpliwości, że był to wspaniały wieczór. Na pożegnanie Drusilla raz jeszcze zapewniła Agatę, że może liczyć na wszechstronną pomoc zarówno centrali organizacji, jak i jej gazety „The Temperance Banner”. Obiecała też pozostać w mieście do czasu, kiedy wszystko zostanie zapięte na ostatni guzik.

Agata zamknęła drzwi za ostatnią z kobiet, oparła się o nie i westchnęła. Na co się właściwie zdecydowała? Z całą pewnością na dużo więcej, niż chciała. Została nie tylko współorganizatorką, lecz także przewodniczącą. Czy w ogóle powinna się była zgodzić, żeby zebranie odbyło się właśnie u niej?

Westchnęła jeszcze raz i pogasiła lampy. W niemal zupełnych ciemnościach opuściła warsztat tylnymi drzwiami, wychodzącymi na ścieżkę prowadzącą do szopy oraz pomieszczenia, które nazywała pieścotliwie wygodką. Odwiedziwszy je, ruszyła po schodach, jak zwykle wpatrując się w swoje stopy. Była już prawie na samej górze, kiedy męski głos zmusił ją do podniesienia głowy.

— I jak się udało przyjęcie?

Nie widziała go, jedynie rozżarzony czubek cygara na jego połowie podestu.

— Co pan tu robi?

— Pytam, jak się udało zebranie, panno Downing. Nie miałem zamiaru pani przestraszyć.

— Wcale mnie pan nie przestraszył. — Nie była to jednak prawda. Poczuli się niezręcznie na samą myśl, że stał tam i widział, jak szła do wygodki i z powrotem, że obserwował, jak z trudem, na każdym stopniu dostawiając nogę, wspina się po schodach.

— Sporo pań tam było.

— Trzydzieści cztery. Przepraszam, trzydzieści sześć, licząc pannę Wilson i mnie.

— Godne pozazdroszczenia.

— Zostałam wybrana przewodniczącą. — Po raz pierwszy chociaż trochę się z tego cieszyła.

— Przewodniczącą? No, no...

Jej oczy przyzwyczyły się do mroku na tyle, by dostrzec, że Gandy siedzi na przechylonym do tyłu krześle, plecami oparty o ścianę, z nogami na barierce. Kiedy czubek cygara znowu się zażarzył, doszedł ją kwaśny zapach dymu.

— Zebranie było tak emocjonujące, że nie przeszkadzały nam dochodzące zza ściany dźwięki pianina pana Culhana. Prawdę powiedziawszy, śpiewaliśmy tak głośno, że w ogóle go nie słyszałyśmy.

— Muszę przyznać, że brzmi to imponująco. Sądząc po głosie, Scott Gandy był rozbawiony.

— Bo jest.

— A cóż takiego panie śpiewały?

— Wkrótce się pan dowie. Odwiedzimy pana i zaśpiewamy dla pańskich gości. Co pan na to?

Roześmiał się, nie wyjmując cygara z ust.

— Szczerze mówiąc, pomoc miłych pań raczej nie będzie nam potrzebna. Jubilee i dziewczęta powinny się zjawić lada dzień, a wtedy moi klienci będą mieli tyle śpiewu, ile dusza zapagnie.

— Ach, tak. Jubilee i dziewczęta... Te z tablicy? Dobry Boże, muszą być wspaniałe — stwierdziła z sarkazmem.

— Są. Koniecznie powinna pani zobaczyć ich występ. Dym cygara strasznie ją drażnił. Zakaszłała i przeszła dwa ostatnie stopnie.

— Jak pan w ogóle może palić coś tak ohydneho?

— Nałóg. Pozostałość po czasach, kiedy pływałem na statku rzeczonym. Dzięki cygarom, jak nie grałem w karty, miałem co zrobić z rękoma.

— Więc jednak wyrzucono pana ze statku! Roześmiał się, a jego krzesło opadło na wszystkie cztery nogi.

— Czyżby damy z pani klubu zajmowały się moją skromną osobą? — Podniósł się, po czym leniwie stukając obcasami przeszedł przez podest i stanął tuż przed Agatą na skraju schodów.

— Ależ skąd. Mamy ważniejsze tematy.

— A jeśli to prawda? Jeśli rzeczywiście byłem wstrętnym hazardzistą, który zna każdą szulerską sztuczkę? Ktoś taki chyba by wiedział, jak sobie poradzić z kilkoma gdaczącymi kurami, którym zamarzyło się doprowadzić do zamknięcia jego baru? Jak pani myśli?

Ze strachu krew szybciej popłynęła w jej żyłach. Gandy stał blisko, niebezpiecznie blisko, a za nią były tylko strome schody. Zaczęło się jej kręcić w głowie i ogarnięta okropnym wrażeniem *deja vu*, była przekonana, że jeszcze chwila i polecą w dół tak samo jak wtedy, przed laty. Drżącą ręką chwyciła się poręczy, dobrze wiedząc, że jeśli tylko Gandy będzie chciał ją zrzucić, niewiele jej to pomoże. Raz jeszcze pyknął cygareto, którego żar odbijał się w jego oczach czerwonymi iskrami.

— Proszę, nie — wydusiła szeptem, przez zaciśnięte gardło.

Gandy natychmiast cofnął się o krok i wyjął cygareto z ust.

— Chwileczkę, panno Downing. Chyba pani nie sądzi, że mogło mi w ogóle przyjść do głowy, żeby zrzucić panią ze schodów? Przecież...

— Już raz mnie pan zrzucił.

— Wtedy, w błoto? Mówiłem już pani, że to był przypadek.

— To zapewne również by był. Każdy, kto widział, jak wchodzę po schodach, przyzna bez chwili wahania, że nie czuję się na nich pewnie. Ale jeśli pan sądzi, że groźby są w stanie mnie powstrzymać, to zapewniam, że grubo się pan myli. Skłonią mnie co najwyżej do zdwojenia wysiłków. A teraz, jeśli zechce mnie pan łaskawie przepuścić, pożegnam już pana. Dobranoc.

Wyczuła, że Gandy nie bardzo ma ochotę pozwolić, by odeszła przekonana o jego złych zamiarach. A jednak jego wrogość była niemal namacalna. Przez dziesięć niemożliwie wlokących się sekund Agata stała z nosem naprzeciwko jego torsu. W końcu niechętnie odsunął się na bok i na podeście rozległy się jej nierówne, niepewne kroki. Przez całą drogę do drzwi oczekiwała, że chwyci ją za kark i z całej siły zepchnie ze schodów. Była szczerze zdziwiona, że tak się nie stało. Wśliznęła się do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi na zamek. Niemal natychmiast zaczęła drzeć na całym ciele. Przycisnąwszy dłonie i czoło do chłodnego drewna, zastanawiała się, w co się wpakowała, przyjmując funkcję przewodniczącej organizacji, która miała za zadanie doprowadzić do likwidacji nie tylko saloonu Gandy'ego, lecz także wszystkich innych.

Jubilee i jej Klejnoty przybyły nazajutrz, pociągiem o jedenastej pięć. Trzy kobiety o takiej prezencji nie mogły wysiąść z wagonu, nie wywołując na peronie ogólnego poruszenia.

Ta, która występowała pod pseudonimem Pearl, zyskała przydomek chyba ze względu na swoją cerę — bladą i lśniąca niczym najprawdziwsza oceaniczna perła. Na takim tle podczernione proszkiem antymonowym brązowe oczy zdawały się zajmować przynajmniej jedną czwartą twarzy. Pociągnięte szkarłatem usta lśniły niczym plama wina na białym obrusie, niezwykle delikatne rysy uwydatniał postawiony kołnierz różowej sukni, która ukazywała sporą część dekoltu, do ciała zaś była dopasowana jak skórka do banana. Błyszczące karmelowym brązem włosy tworzyły nad czołem bukiet loków, na

których tkwił prowokacyjnie przekrzywiony pasterski kapelusik.

— Hej, chłopaki! — zawołała ze stopni, na co stary Wilton Spivey ruszył takim pędem, że spod obcasów trysnęły mu snopy iskier. Zostawił wózek na bagaż, przeskoczył przez tory i, pokonawszy w tych zawodach Joego Jessupa, który wystartował z przeciwnej strony, dobiegł zdyszany do pociągu. Wilton był bezzębny jak żaba i łysy jak cebula, ale Pearl wcale to nie przeszkadzało. Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń.

— Tego właśnie mi było trzeba. Przystojny umięśniony olbrzym. Nazywam się Pearl. A ty?

— Łilton Fpiwi do uług, pfe pani. — Nagie džiaśła Wilita nie ułatwiały mu rozmowy, za to w oczach nietrudno było dostrzec lubieżny zachwyty.

— No, Łilton, chodź. Nie bądź taki nieśmiały. Wilton zestawił ją na peron, a w drzwiach natychmiast pojawiła się Ruby.

Ruby była zgrabną młodą Murzynką o skórze barwy kawy ze śmietanką. Włosy miała prostsze niż jakakolwiek czarnoskóra kobieta, jaką Wilton Spivey kiedykolwiek widział. Znad lewego ucha szły do tyłu, znad prawego — do góry, gładkie niczym woda na czarnej skale, i dopiero na końcach tworzyły lok przypominający odwróconą morską falę, który wił się wokół ronda wysokiego kanarkowożółtego kapelusza. Miała wspaniałe skośne brwi, czarne oczy o mięsistych powiekach i karmazynowe usta tak wydatne, jakby użądliła je pszczoła. Chwyliła się pod boki, zachichotała i głębokim pełnym kontraltem oznajmiła:

— A ja jestem Ruby.

Joe Jessup z wrażenia aż się zachłusnął.

— Niech mnie licho, jeśli nie! — wykrztusił. Odpowiedział mu śmiech brzmiący jak grzmot odbijający się echem od zbocza góry. Śmiech głęboki, próżny, zmysłowy.

— Jak mam cię nazywać, chłopczyku?

— Joe Je... Jessup.

— Dobrze, Joe Je... Jessup. — Ruby zeszła o stopień niżej i pochyliła się tak mocno, że jej piersi zakołysały się ledwie o kilka cali od jego twarzy. Nieziemsko długim paznokciem przejechała mu od ucha aż po środek policzka, zostawiając długi blady ślad. — Będę cię nazywać J.J. Zgoda?

— Do... dobrze. Za... zawiozę panią, gdziekolwiek sobie pani życzy, panno Rubby.

— Świetnie, J.J. Do Złotej Klatki. Wiecie, gdzie to jest?

— Pewnie, że tak. Tę... tędy.

Na peronie czekało już na swoją kolej czterech innych.

Nad nimi, niczym anioł zstępujący przez perlistą bramę, pojawiła się panna Jubilee Bright, zgodnie z obietnicą najwspanialszy klejnot prerii. Była, w co trudno uwierzyć, cała biała, od nosków wysokich do kostki trzewików do czubka aksamitnego kapelusza! Nawet włosy miała białe, nie niebies-kawosiwe jak Violet Parsons, lecz oślepiająco białe — białą szklanych włókien. Zaczesane do góry przypominały olbrzymią bezę z dziesięciu białek. Jej suknia, jak u Pearl i Ruby, nie miała turniury, lecz przylegała ciasno do bujnego ciała i dopiero na wysokości kolan rozszerzała się w fałdy. Kuszący dekolt w kształcie diamentu ukazywał cudownie gładką szyję z czarnym pieprzykiem umieszczonym na tyle nisko, by przyciągnąć wzrok każdego mężczyzny. Inny pieprzyk znaczył na lewym policzku twarz tak doskonałą, że nie potrzebowała ona żadnych dodatkowych upiększeń. Oczy w kształcie migdałów, pełne usta i śliczny mały nosek zdolne były wytrzymać każdą konkurencję. Była to zaiste anielska twarz.

— Mówcie mi Jube, chłopcy! Po prostu Jube! — krzyknęła, unosząc rękę, po czym pochyliła się z rozłożonymi ramionami, pozwalając dwóm kawalerom zestawić się na ziemię. Nawet kiedy się już na niej znalazła, wciąż ich obejmowała, z aprobatą gładząc ich mięśnie.

— No, no... Uwielbiam mężczyzn silnych... i miłych

— odezwała się naturalnie kocim głosem. — Jestem pewna, że się nawzajem polubimy. — Poklepała ich pieszczotliwie.

— A więc z kim właściwie mam do czynienia?

— Mort Pokenny — odparł ten z prawej.

— Virgil Murray — przedstawił się ten z lewej.

— Świetnie, Mort i Virgil. A teraz pozwólcie, że przedstawię wam naszego przyjaciela. Oto Marcus Delhunt. Marcus gra nam na bandžo. To największy podrywacz na zachód od Nowego Orleanu.

Ostatni wysiadający pasażer niósł futerał z bandžo, a na głowie miał słomiany kapelusz z grubą czarną wstążką. Jego

chłopcę twarz rozjaśniał szeroki uśmiech, odsłaniający złamany ząb, który wszakże dodawał mu tylko uroku. Miał niebieskie, szeroko rozstawione oczy, bladą cerę i lśniące blond włosy. Ta jego różowawa cera i rzadkie jasne baczki sprawiały, że nie była to twarz zbyt męska, o czym jednak natychmiast się zapominało, widząc radosną minę człowieka szczerze zadowolonego z życia. Jedną ręką trzymając się poręczy, w drugiej ściskając futerał, Marcus uśmiechnął się i bez słowa skinął głową.

— Marcus nie mówi, za to słyszy lepiej niż śpiący pies, a do tego jest mądrzejszy niż my wszystkie razem wzięte, więc strzeżcie się, żeby przypadkiem nie złapała któregoś, jak próbuje traktować go jak głupka.

Rozległy się słowa powitania, po czym mężczyźni natychmiast zwrócili swą uwagę z powrotem na trzy kobiety.

— Powiedźcie no, chłopcy, macie tu jakieś rozrywki?

— spytała Ruby.

— Niewiele, psze pani. Ostatnio było tu trochę nudno. Ruby roześmiała się gardłowo.

— Zmienimy to, no nie, dziewczęta? Jubilee rozejrzała się po peronie.

— Widzieliście może gdzieś tego szubrawca Gandy'ego?

— spytała Morta i Virgila.

— Tak, psze pani, jest...

— Skończcie już z tym „psze pani”. Jestem Jubilee, jasne?

— Tak, psze pani... znaczy panno Jubilee. A Scotty jest pewnie w Złotej Klatce.

Machnęła ręką i triumfująco wydeła usta.

— Tacy właśnie są mężczyźni. Jak ich naprawdę potrzebujesz, to ich nie ma! No cóż, będzie nam potrzeba kilku siłaczy. Mamy tu pewien drobiazg, który trzeba zataaszczyć do saloonu Gandy'ego. Pomożecie nam, chłopcy?

Sześciu mężczyzn niemal wśliznęło sobie na plecy, rwąc się do pomocy.

— To gdzie jest ten pana wóz, panie Jessup?

— Już po niego biegnę!

Jubilee dała sygnał ręką i poprowadziła procesję w stronę wagonu bagażowego na końcu pociągu. Bagażowy stał obok rozsuniętych drzwi, zaglądając do środka i w zamyśleniu drapiąc się w głowę.

— Czegoś takiego jeszcze nie widział—mruknął. — Co, do licha, można zrobić z taką kupą żelastwa?

— Juu-huu! — krzyknęła Jube, machając ręką. Bagażowy spojrzał na zbliżający się tłum.

— Nie było żadnych problemów? Wszystko w całości? — krzyknęła Jube.

— Tak — odkrzyknął. — Ale co wy, do licha, chcecie z tym zrobić?

Jubilee, Pearl i Ruby wraz z eskortą doszły do wagonu. Zaraz potem podjechał Jessup. Jube ujęła się pod boki i puściła oko do podstarzałego bagażowego.

— Wpadnij, kochasiu, któregoś wieczora do Złotej Klatki, to zobaczysz. Panowie — zwróciła się do pozostałych. — Ładujemy ten drobiazg i pędzimy do Gandy'ego!

Parę minut później Violet, która siedziała akurat w sklepowej części zakładu, wyrzała przez okno i krzyknęła:

— Agato, chodź tutaj! Panna Downing uniosła głowę.

— Co się stało, Violet? — odkrzyknęła.

— Chodź tutaj, szybko!

Jeszcze zanim rozsunęła kotarę, Agata usłyszała dźwięki bandzo. Był ciepły słoneczny dzień, drzwi wejściowe były więc otwarte na oścież i zablokowane kawałkiem cegły.

— Tylko popatrz! — stęknęła Violet, wskazując na ulicę. Kolejna dostawa do sąsiedniego saloonu. Jeden rzut oka wystarczył, żeby Agata Downing zorientowała się, że powinna kazać Violet natychmiast zamknąć drzwi, jednakże w całej tej scenie było coś, co ją przed tym powstrzymało.

Ulicą jechał wóz Joego Jessupa, a na nim grupa tryskających energią mężczyzn, trzy kobiety oraz ogromna ptasia klatka. Mierzyła sześć stóp wysokości i była zrobiona ze złoconego metalu, od którego odbijały się wesoło promienie słońca. Z dachu w kształcie cebuli zwisała złocona huśtawka, na której przycupnęła kobieta w bieli. Druga, ubrana w różową sukienkę, siedziała z tyłu, pomiędzy Wiltonem Spiveyem a Virgilem Murrayem. Cała trójka wymachiwała nogami i kołysała się w rytm muzyki. Trzecia kobieta, Murzynka, która w żółtej sukience wyglądała jak trzmiel, siedziała Joemu Jessupowi na kolanach. Tuż za nimi stał uśmiechnięty blon-

dyn i rytmicznie kiwając głową grał na bandzo. Pozostali pasażerowie tłoczyli się wokół klatki, a przed i za wozem biegły gromady dzieci oraz młodych mężczyzn, którzy porzucili ławki i biurka, żeby przyłączyć się do pochodu i choć przez chwilę podziwiać kobiety w szalowych sukniach. Cała grupa śpiewała z wigorem:

Hej, panny z Buffalo, czy wyjdziecie dziś do nas, Czy wyjdziecie dziś do nas, czy wyjdziecie dziś do nas? Hej, panny z Buffalo, czy wyjdziecie dziś do nas Zatańczyć w świetle gwiazd?

Agata bardzo starała się być krytyczna, lecz nie potrafiła. Wręcz przeciwnie, poczuła bolesne ukłucie zazdrości. Och, żeby tak była młoda, atrakcyjna i żeby nie tłamsiła jej własna nieśmiałość. Żeby umiała zdobyć się na jazdę wozem środkiem ulicy w samo południe, na śpiew do słońca i na radosny śmiech. Czyż każdy człowiek nie powinien popęlić w życiu przynajmniej jednego szaleństwa? Ona jak dotąd nie miała na sumieniu żadnego.

Coś takiego nigdy przedtem jej się nie zdarzyło: stała i wybijała rytm dłonią o udo. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, natychmiast przestała.

Wóz zbliżył się, a ona przyjrzała się kobiecie w bieli. Istoty tak pięknej nigdy jeszcze nie widziała. Delikatna twarz, lekko skośne oczy i usta amorka. A na dodatek potrafiła dobrać sobie odpowiednie nakrycie głowy. W wojnie toczącej się pomiędzy zwolenniczkami kapeluszy wysokich i niskich opowiedziała się zdecydowanie po stronie tych pierwszych i miała na sobie cudeńko, które niektórzy określali mianem „dwóch pięter z suteroną”. Było to prawdziwe dzieło sztuki: strzeliste, lecz proporcjonalne, przyozdobione kosztownymi piórami białej czapli. I chociaż dziewczyna kołysała się na huśtawce, kapelusz pewnie siedział jej na głowie.

— Spójrz na ten biały kapelusz — wyszeptała Agata.

— Spójrz na nie wszystkie.

— Ładne kapelusze.

— Wspaniałe.

— Suknie też.

— Ale popatrz tylko, Agato, żadna nie nosi turniury.

— Nie. — Agata zazdrościła im, że nie muszą każdego ranka przytwierdzać sobie do krzyża piętnastofuntowego żelaznego stelaża.

— A jakie dekolty, chi-chi.

— To na pewno prostytutki. — Na samą myśl o tym Agata posmutniała. Wkrótce ta cała jaskrawa wesołość obróci się w pył, a młode piękno zwiędnie na długo przed czasem.

Wóz zatrzymał się przed saloonem. Mort Pokenny otworzył klatkę. Kobieta w bieli stanęła w jej drzwiach z rozłożonymi ramionami i krzyknęła:

'— Hej, Gandy! Podobno zamawiałeś trzy tancerki z Natchez?

Niemal natychmiast zmaterializował się Gandy we własnej osobie, otoczony przez pracowników, którzy wykrzykiwali słowa powitania, wyciągali ręce ku kobietom i ściskali dłoń mężczyzny z bandzo. Jednakże Agata nie odrywała oczu od kobiety w bieli i mężczyzny w czerni. Oparł jedną nogę o koło, odsunął kapelusz do tyłu i odezwał się, patrząc dziewczynie prosto w oczy:

— Zjawiłaś się w samą porę, Jube.

— Przyjechałam tak szybko, jak tylko się dało. Ale budowa tej cholerniej klatki zajęła prawie miesiąc.

— Tylko to? — Na jego policzkach pojawiły się dołki.

— Chyba nie tęskniłeś za staruszką Jube, co?

— Ani przez chwilę. Miałem pełne ręce roboty przy urządzeniu tej knajpki.

Jubilee rozejrzała się po okolicy.

— Powiedz no, gdzie są ci kowboje, spośród których będę sobie mogła wybierać na pęczki?

— Przyjadą, Jube. Spokojna głowa, przyjadą. Ponownie utkwiała wzrok w Gandym, tym razem z błyskiem żartobliwej niecierpliwości.

— Będiesz tak stał przez cały dzień i papłał, zamiast pomóc damie zsiąść z wozu?

Bez ostrzeżenia odbiła się od burty i skoczyła z wyciągniętymi rękoma i nogami ugiętymi w kolanach, nawet przez chwilę nie wątpiąc, że silne męskie ramiona zdążą ją złapać. Zdążyły. Ledwie tylko Gandy ją złapał, a już się całowali, głusi na pokrzykiwania i gwizdy ze wszystkich stron. Oplotła ramiona wokół jego ramion i odwzajemniła pocałunek, ani

trochę się nie przejmując, że patrzy na nich pół miasta. Namiętny pocałunek skończył się dopiero wówczas, kiedy Gandy'emu zaczął zjeżdżać z głowy kapelusz. Zerwała go jednym szybkim ruchem i oboje gruchnęli radosnym śmiechem. Zaraz potem włożyła mu go z powrotem, mocno nasuwając na nos.

— No, puść mnie wreszcie, ty zbuntowany dandysie. Z innymi też bym się chciała przywitać.

Agata poczuła dziwny dreszcz w okolicy żołądka, kiedy Gandy raz jeszcze spojrzął głęboko w umalowane oczy dziewczyny; wyobrażała sobie, na jakie szaleństwa pozwalają sobie, kiedy są całkiem sami. Promieniowała od nich radosna figlar-ność, obecna także w ich słowach. Jak kobieta uczy się zachowywać w taki sposób wśród mężczyzn? Agacie nigdy się nie zdarzyło, żeby przebywając z mężczyzną w jednym pomieszczeniu, nie czuła przy tym okropnego zmieszania. Kiedy zaś na dodatek musiała z nim porozmawiać, za nic w świecie nie potrafiła znaleźć tematu. A już skoczyć z wozu byłoby w jej przypadku niewiarygodnym cudem.

Gandy postawił Jubilee na ziemi i zaczął się witać z pozostałymi.

— Ruby, kochanie, aleś ty śliczna! — Cmoknął ją w policzek. — A ty, Pearl? No, no, założę się, że jeszcze przed końcem sezonu złamiesz w Proffitt przynajmniej kilka serc. — Ją również pocałował w policzek, po czym podszedł do blondyna, położył mu dłonie na ramionach i spojrzął prosto w oczy. — Witaj, Marcusie. Świetnie, że jesteś. — Mężczyzna uśmiechnął się, przejechał palcami po strunach bandžo i uniósł brwi. — Zgadza się, dla interesu też świetnie. Narobiliście w mieście niezłego szumu. Wieczorem będą do nas walić drzwiami i oknami.

Gandy zwrócił się z powrotem ku Jubilee, zrzucając jednocześnie marynarkę. — Trzymaj. Poprzytulaj się do niej przez chwilę, dobrze? — Puścił oko, a Agata ujrzała, jak Jube zaczyna tulić marynarkę do piersi, chowając nos w kołnierzu. Gest ten był tak intymny, że Agata miała wyrzuty sumienia, że nie odwróciła wzroku. Zastanawiała się, jak to możliwe, żeby kobietę wprowadził w taki trans smród cygara.

— Bierzemy to cudo do środka, chłopcy. — Gandy wskoczył na wóz i z pomocą pięciu innych uniósł klatkę. Agata

patrzyła, jak kamizelka opięła mu się przy tym na łopatkach. Nie należał do szczególnych osiłków, na pewno jednak nie był słabeuszem. Miał mięśnie wszędzie tam, gdzie powinien je mieć mężczyzna, i dość siły, żeby poradzić sobie z namiętą kobietą skaczącą z wozu bez słowa ostrzeżenia albo z irytującą sąsiadką, która sprawia mu swoją działalnością niepotrzebne kłopoty. Przypomniała sobie wieczorne spotkanie na schodach. Czy naprawdę przyszło mu do głowy, żeby ją zepchnąć ze schodów? Teraz, pracując w żarze południowego słońca, wydawał się do czegoś takiego absolutnie niezdolny. Kto wie, być może był to jedynie wytwór jej nazbyt wybujałej wyobraźni? Sześciu mężczyzn zestawilo klatkę z wozu, po czym wtaszczyło ją po schodach do saloonu. Za nimi weszły kobiety i ciekawscy, pozostawiając ulicę we władaniu dzieci. Violet i Agata wycofały się do środka, lecz nawet tam było słycać radosny gwar i częste wybuchy śmiechu.

— A więc to była Jubilee i Klejnoty.

— Jakie śliczne imiona... Jubilee. Ruby. Pearl.

Agata pomyślała, że to na pewno pseudonimy, lecz zachowała swoje zdanie dla siebie.

— No to w końcu zdecydował się zmienić swój saloon w dom schadzek.

— Daj spokój, Agato. Nie wiemy na pewno.

— Ależ, Violet, przecież one malują oczy i usta, a do tego pokazują nagie dekolty.

— Tak—zgodziła się Violet, nie kryjąc smutku. — Chyba masz rację. — Nagle się rozpromieniła. — Ale sama powiedz! — Westchnęła z zachwyconą miną. — Sama powiedz, czyż nie cudownie się całowali?

— Nie sądzisz, że to bezwstydnę? Całować się na środku ulicy?

— Może... Ale i tak im zazdroszczę.

Agata roześmiała się i nagle poczuła dla Violet swego rodzaju podziw. Za to, że była taka bezpośrednia. I w pewnym sensie grubiariska. Jak to w ogóle możliwe, że nigdy nie znalazła młokosa, który by wiosną całował ją na środku ulicy?

— Chodźmy — powiedziała i wyciągnęła zapraszająco rękę. — Wracajmy do pracy, to przestaniemy o tym myśleć.

Jednakże w ciągu następnych pięciu minut stukanie młotka i odgłosy piłowania stały się tak głośne, że zarówno Violet, jak i Agata co chwila spoglądały na ścianę.

— Jak myślisz, co oni tam wyprawiają?

— Nie wiem. — Oczy Violet zabłyśły. — Mam iść podejrzeć? — spytała, podnosząc się z krzesła.

— Ależ skąd!

— Nie jesteś ciekawa?

— Być może, ale chyba wiesz, dokąd prowadzi ciekawość? Zrezygnowana Violet opadła z powrotem na krzesło.

— Wiesz co, Agato? Czasami straszna z ciebie nudziara. Ich naparstki grały w cichym unisonie.

Ciągnij, pchaj. Ciągnij, pchaj.

To chyba gorsze niż zegar w nocy, pomyślała Agata.

Ciągnij, pchaj.

Dwie stare panny, których życie upływa na szyciu. Nie! Jedna stara i jedna nie taka znowu bardzo stara.

Rozmyślenia przerwały jej czyjeś kroki z przodu zakładu.

— Halo? — To znowu był Gandy.

Violet upuściła naparstek, przycisnęła dłoń do serca i zaróżowiła się jak prosię.

— O rany! — wyszeptała.

— Idź i dowiedz się, czego chce tym razem.

Zanim wszakże Violet zdążyła się ruszyć, Gandy rozchylił lawendową kotarę i wszedł do środka, bez kapelusza i marynarki, lekko zdyszany, z rękawami koszuli podwiniętymi aż nad łokcie. Stał przed nimi na szeroko rozstawionych nogach i chwycił się pod boki.

— Mam dla pani pilne zlecenie, panno Downing. Agata uniosła jedną brew i zmierzyła go od czubka czarnej zmierzwionej czupryny aż po noski starannie wypolerowanych butów.

— Może coś z różowej bengaliny? Powinno pasować do pańskich ciemnych włosów.

Roześmiał się i przejechał palcami po włosach, stawiając je na sztorc.

— To zostawmy dla Jube. Mnie potrzeba czegoś dużo prostszego. Wielki wiązany u góry worek, nieważne jakiego koloru ani z jakiego materiału. Musi być na tyle duży, żeby

można nim było przykryć klatkę o wysokości sześciu stóp. Ale musi być gotowy na dzisiaj wieczorem.

Z trudem zachowując cierpliwość, Agata odłożyła pracę na bok.

— Jestem modystką, panie Gandy, a nie szwaczką.

— Ale ma tu pani bele materiału. — Wskazał kciukiem w stronę części sklepowej. — Są na sprzedaż, prawda?

— Nie na narzuty na ptasie klatki.

— Dlaczego nie?

— I nie właścicielom saloonów.

— Moje pieniądze nie różnią się od innych. Dobrze zapłacę.

— Przykro mi, panie Gandy. Proszę spróbować u pana Halorhana. On sprzedaje materiał na metry.

— Materiał na nic mi się nie zda, jeśli nie będzie go miał kto zszyć.

— Nawet gdybym się zdecydowała to zrobić, i tak w żadnym razie nie zdążyłabym przed wieczorem.

— Dlaczego? To przecież nic skomplikowanego.

— Rzeczywiście, pod warunkiem że ma się do dyspozycji maszynę do szycia. A ja, jak pan zapewne widzi, takowej nie posiadam.

— Ilu par rąk potrzeba, żeby zrobić to... — Wyjął z kieszeni kamizelki duży złoty zegarek. — Powiedzmy w ciągu pięciu godzin?

— Mówiłam już panu, że nie mam zwyczaju świadczyć usług właścicielom saloonów.

Schował zegarek i zmarszczył brwi.

— Ależ z pani uparta dziewczucha, panno Downing. Dziewucha? Usłyszawszy to, lekko spłoszyła i przyszło jej do głowy, że teraz pewnie też wygląda jak prosiak. Nigdy w życiu nikt nie nazwał jej dziewczuchą. Co gorsza, ze zgrozą stwierdziła, że przyprawiło ją to o zawrót głowy. Szybko zabrała się z powrotem do pracy. Gandy gniewnie wpatrywał się w nią przez pełne dziesięć sekund, po czym obrócił się na pięcie i zniknął za kotarą.

Agata i Violet spojrzały oszołomione na wciąż jeszcze falujący aksamit, potem na siebie.

— Chi-chi.

— Violet, przestań wreszcie chichotać, ilekroć zobaczysz tego człowieka. A jeszcze do tego się czerwienisz.

— Ty też.

— Nieprawda!

— Prawda, Agato! Nazwał cię dziewczuchą! Chi-chi.

— To upokarzające. Ten człowiek nie ma za grosz dobrych manier.

— A moim zdaniem jest cudowny.

Agata prychnęła, choć w głębi duszy zaczynała przyznawać Violet rację.

— No, no, no — powtarzała Violet, wachlując twarz. Spojrzała na kotarę, za którą zniknęły jego kształtne ramiona.

— Narzuta na klatkę?

— Tacy jak on to szaleńcy. Nawet nie próbuj ich zrozumieć.

— Ale po co mu coś takiego?

— Nie mam zielonego pojęcia.

Nie zdążyły wysnuć żadnej teorii, albowiem niespodziewanie Scott Gandy powrócił. Tym razem wszedł tylnymi drzwiami, ciągnąc za rękę pannę Jubilee Bright. Za nimi podążały Ruby i Pearl.

I znowu twarze obydwu modystek pokrył rumieniec. Agata była tak poruszona, że wstała z krzesła. Jak śmiało przyprowadzić do jej zakładu te wypacykowane piękności!

— Dziewczęta, przedstawiam wam pannę Downing i pannę Parsons, nasze najbliższe sąsiadki. Panno Downing, panno Parsons, te trzy boskie stworzenia to Jubilee, Pearl i Ruby, klejnoty prerii.

Jubilee dygnęła.

— Bardzo mi miło.

— Miło mi panie poznać — odezwała się Pearl.

— Panno Downing. Panno Parsons — przywitała się Ruby.

Agata i Violet nie były w stanie wydobyć z siebie głosu. Gandy wyszedł do części sklepowej i po chwili wrócił z belą czerwonej satyny. Rzucił ją na warsztat, a obok ułożył stos złotych monet.

— Jest ich dziesięć, proszę przeliczyć. Należą do pani, jeżeli do siódmej wieczorem uszyje mi pani zasłonę na klatkę.

Jube, Pearl i Ruby są do pani dyspozycji.

— Scotty, daj spokój...

— Jube, kochanie, jesteś kobietą, prawda? Przecież każda kobieta umie szyć.

— A ja nie umiem!

Wzrok Agaty błędził pomiędzy dwoma najjaśniejszymi obecnie punktami w zakładzie: panną Jubilee oraz stosem złotych monet. Czowała, jak cieknie jej ślina. Utkwiła wzrok w wiszącym na ścianie rysunku arcydzieła pana Singera z ceną wypisaną dużymi cyframi tuż obok koła zamachowego. Czterdzieści dziewięć dolarów. Kiedy znowu będzie miała szansę zarobić sumę pozwalającą na kupno jedyne w tym świecie przedmiotu, którego naprawdę pragnie? Otworzyła usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk. Co by na to powiedziała panna Wilson? Co by powiedziały inne członkinie organizacji? Przewodnicząca Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji w Proffitt szyje na zamówienie właściciela Złotej Klatki. Och, ale tyle pieniędzy!

— Nigdy w życiu niczego nie szyłam! — skarżyła się Pearl.

— A ja tak. I to całkiem sporo — wtrąciła Ruby. — To nic trudnego.

— Ale, Ruby...

— Przestań wreszcie jęczeć, Pearl. Skoro szef mówi: szyć, to trzeba siadać i szyć.

— Ale ona ma rację — wtrąciła Jubilee. — Nie jestem szwaczką.

— Ja też nie — odezwała się Agata, odzyskawszy w końcu głos. — Jestem modystką. A o siódmej wieczorem będę zbierać wśród klientów Złotej Klatki podpisy pod deklaracją abstynencji. Co by pomyślały o mnie moje towarzyszki, gdyby się dowiedziały, że uszyłam czerwoną narzutę na tę waszą klatkę?

— Przecież nikt nie musi o tym wiedzieć — wtrącił Gandy, podchodząc bliżej Agaty. — Specjalnie wprowadziłem dziewczyny tylnymi drzwiami, żeby ich nikt nie zobaczył. — Stał teraz tak blisko, że czuła zapach dymu tytoniowego, którym przeszło jego ubranie. Wlepiała wzrok w podłogę, wyprostowała się jednak natychmiast, kiedy Gandy chwycił ją delikatnie za ramiona.

— Proszę, panno Downing.

Dotyk męskich dłoni okropnie ją speszył.

— To byłby konflikt interesów, nie rozumie pan?

— Może w takim razie pomoże jakiś dodatkowy bodziec?

— Odwrócił się, Agata była pewna, że zamierza dołożyć monetę, on tymczasem zdjął jedną i wrzucił do kieszeni kamizelki.

— Straciliśmy już pięć minut. Z każdą następną minutą cena będzie spadać o kolejne dziesięć dolarów. Im szybciej powie pani tak, tym lepiej.

— Ale pan... ja... — Agata zacisnęła dłonie i patrzyła bezradnie to na Gandy'ego, to na jego towarzyszkę, to wreszcie na stos złotych monet.

— Agato — odezwała się Violet. — Nie bądź głupia.

— Cicho, Violet! — W taki sposób nie zamierzała dać się przymusić, a już na pewno nie kobiecie, która nie ma dość rozumu, żeby zauważyć, że Gandy próbuje je przekupić.

— Te pieniądze z całą pewnością pochodzą od ubogich nieszczęśników, którzy odwiedzają pana...

— Osiemdziesiąt — przerwał jej z kamienną twarzą. Kolejna dziesięciodolarówka zniknęła w jego kieszeni.

— Panie Gandy, jest pan nikiemny. Rozejrzył się dookoła.

— Coś nie widzę tu dzisiaj długiej kolejki klientów. Następne pytanie skierował do Violet.

— Może mi pani powiedzieć, panno Parsons, jak idą interesy?

— Niezbyt...

— Violet! Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś raczyła zamilknąć!

— Przecież to i tak widać. Wystarczy się rozejrzeć. A czy sama nie mówiłaś, że...

— Violet!

Violet zignorowała jednak swą pracodawczynię i pochyliła się ku Gandy'emu.

— Sprawy mają się ostatnio coraz gorzej. Odkąd zaczęły się zwiększać wpływy sufrażystek, kapelusz stał się symbolem emancypacji. Tak, tak... — Pokręciła ze smutkiem głową.

— Niektóre kobiety w ogóle przestały je nosić. A teraz, kiedy założyliśmy w Proffitt organizację antyalkoholową, będzie zapewne jeszcze gorzej.

Na policzkach Gandy'ego pojawiły się dołki. Wyciągnął dłoń, chwycił następną monetę, po czym uśmiechnął się pytająco w stronę Agaty.

— Siedemdziesiąt.

Agacie zaschło w gardle. Wpatrywała się w pozostałe na stole monety, żałując, że nie jest w stanie zakneblować Violet.

— Zacznijmy od tego, panie Gandy, że nie mam nawet bladego pojęcia, jak miałyby wyglądać ta zasłona — powiedziała mniej stanowczym tonem. — Ja znam się tylko na kapeluszach.

— Ma to być po prostu coś, czym można przykryć klatkę. Niech pani wysili wyobraźnię. Związane u góry, luźne na dole i rozcięte wzdłuż tak, żeby dało się otworzyć drzwiczki. Zresztą Jube wszystko pani wyjaśni.

— Z miłą chęcią, panno Downing.

Agata spojrzała w cudownie piękne skośne oczy panny Jubilee i przypomniała ją sobie przycupniętą na huśtawce niczym śnieżnobiała gołębicą, podczas gdy wóz toczył się powoli ulicą.

— Sześćdziesiąt — odezwał się Gandy tonem jeszcze miłszym niż dotąd.

Agata odwróciła twarz. Jej wzrok spoczął najpierw na malejącym stosie monet, a następnie na rysunku wymarzonej maszyny. Jeszcze dwie monety i jej największe marzenie znów stanie się nierealne. Tymczasem Gandy już sięgał po następną.

— Nie! — krzyknęła.

Zatrzymał dłoń o kilka cali od kieszeni kamizelki i czekał. Agata spuściła wzrok.

— Dobrze, zgoda — powiedziała cicho.

— Świetnie. Jube, Pearl i Ruby, będziecie robić wszystko, co panna Downing wam każe. Tylko nie zapomnijcie, że punktualnie o siódmej musicie być gotowe, żeby przywitać gości. — Raz jeszcze sięgnął w stronę monet. Boże! Boże! Cztery dziesięciodolarówki powróciły na swoje miejsce. — Umowa to umowa — rzekł, podszedł do Agaty i wyciągnął dłoń. — A więc na siódmą, zgoda panno Downing?

Bez słowa wpatrywała się w jego rękę. Długie ciemne palce nakrapiane gęstymi czarnymi włoskami. Czyste paznokcie.

Szczupłe nadgarstki. Okazały diament połyskujący na małym palcu. Zdjęła napałek i podała mu rękę. Uścisnął ją i potrząsnął z taką siłą, jakby właśnie dobił targu z mężczyzną. Agata nie była nawet w stanie udawać, że jej to nie schlebiło. Wbrew samej sobie uniosła wzrok. Głębokie, bardzo głębokie dołeczki w policzkach. Oczy wprost niesamowicie sympatyczne. Rozbrajająco doskonałe usta. Dlaczego los sprzyja tylko aż tak wyjątkowym draniom? — Na siódmą.

Czuła się jednak tak, jakby właśnie zawarła pakt z diabłem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Agata wysłała Pearl do saloonu, żeby zmierzyła wysokość i średnicę klatki, a po jej powrocie cała piątka zabrała się do pracy. Wykrój był całkiem prosty — jak zasłona, tyle że ściągnięta u góry szpagatem. Agata rozpałała w piecu i nagrzała żelazka, żeby zaprasować calowy tunelik, przez który miał zostać przeciągnięty sznurek. Prasowaniem zajęła się sama, Ruby i Violet znaczyły kredą odpowiednią szerokość, Pearl pilnowała, żeby materiał nie gniótł się opadając ze stołu, Jubilee zaś odnosiła ostudzone żelazka do pieca i przynosiła gorące. Potem usiadły w kółku i zaczęły szyć.

Niemal natychmiast okazało się, że Jubilee i Pearl mówiły prawdę: rzeczywiście nie miały o szyciu zielonego pojęcia. Ruby z kolei miała zwinne palce i szyła tak dobrze, że szwy były prawie niewidoczne. Nie minęła nawet chwila, a Jubilee skaleczyła się w palec.

— Au! — syknęła. — Do diabła i jeszcze raz do diabła! Nie umiem szyć i koniec! Nie dość, że nic mi z tego nie wychodzi, to teraz na dodatek poplamie materiał krwią.

— Może rzeczywiście będzie lepiej, jeżeli da sobie pani z tym spokój? — zaproponowała Agata. — Myślę, że przy umiejętnościach panny Ruby powinniśmy bez trudu zdążyć na czas.

— A ja też mogę? — odezwała się Pearl błagalnym tonem. — Wcale nie idzie mi lepiej niż Jube. Agata rzuciła okiem na żalosne efekty jej wysiłków.

— Tak, pani też. Niech pani tylko trzyma materiał na kolanach i pilnuje, żeby się nie pogniół.

Trzy napastrki stukwały rytmicznie o igły, błyszcząca tkanina powoli przesuwała się do przodu.

— Spójrzcie tylko na Ruby! — wykrzyknęła po pewnym czasie Jubilee. — Gdzieś ty się nauczyła tak szyć?

— A jak myślisz? Oczywiście, że w Waverley. Mama pracowała w wielkim domu u pani Gandy. Pani Gandy nauczyła ją, a ona mnie.

— Która pani Gandy? Młodsza czy starsza?

— Starsza. Młodsza była zbyt kapryśna, żeby się nauczyć — uśmiechnęła się znacząco Murzynka. — Tak samo jak ty, Jube.

Wszystkie trzy wesoło się roześmiały. Usłyszawszy o młodej pani Gandy, Violet aż się pogubiła w szyciu.

— W Waverley? — spytała.

— Na plantacji Waverley, parę mil od Columbus w stanie Missisipi. To rodzima posiadłość pana Gandy'ego.

— To znaczy, że nasz gospodarz wychowywał się na plantacji?—W oczach Violet pojawiły się romantyczne błyski.

— Najpiękniejszej, jaką sobie można wyobrazić — ciągnęła Ruby matowym głosem. — Wysokie białe kolumny z przodu i z tyłu, szerokie werandy. A dookoła pola bawełny, sięgające dalej niż dobiegnie lis w chłodny poranek. No i płynąca przez nie rzeka Tombigbee. Co to był za cudowny widok!

Opowieść Ruby zainteresowała Agatę, pozwoliła jednak, żeby pytania zadawała Violet.

— Znaczy, że plantacja należała do niego?

— Do jego ojca. Do starszego pana Gandy'ego. Nie żyje. Jego żona też. Ale to byli najlepsi biali ludzie, jakich w życiu spotkałam. Moi rodzice byli niewolnikami pana Gandy'ego. Ja też, zanim zaczęła się wojna. Ja, Ivory i szef, wszyscy urodziliśmy się w Waverley. Biegaliśmy na bosaka po polach, zrywaliśmy orzechy i kapaliśmy się na golasa w rzece. Ach, to dopiero były czasy! Dopóki nie wybuchła wojna.

Agata próbowała sobie wyobrazić Gandy'ego jako młodego chłopca, biegającego boso po polach w towarzystwie dwojga Murzynów, lecz nie była w stanie. Przed oczyma ciągle

stawał jej Scott Gandy z cygarem w ustach i szklanką whisky w dłoni.

Violet była tak zaferowana, że przycupnęła na samym brzegu krzesła.

— Co się stało z Waverley?

— Stoi puste. Wojna ominęła Columbus. Wszędzie dookoła bili się okrutnie, a tam nie. Ocalały wszystkie domy.

— Waverley — powtórzyła Violet rozmarzonym głosem. — Cóż za romantyczna nazwa.

— Tak, psze pani.

Pomimo wysiłków Agata nie zdołała opanować ciekawości.

— A kto jest teraz właścicielem plantacji?

— Szef. Znaczy pan Gandy. Ale od wojny był tam tylko raz. Za dużo tam dla niego duchów.

— Duchów? — Oczy Violet zrobiły się okrągłe jak dwa spodki.

— Młodej pani Gandy. I córeczki.

Igła Agaty zastygła w bezruchu. Spojrzała sponad czerwonej satyny na Ruby.

— Miał żonę i córkę?

Ruby skinęła głową, ani na chwilę nie odrywając wzroku od materiału.

— Nie żyją. Obie. Umarły, zanim pan Gandy wrócił z wojny.

Przez głowę Agaty przemknęła myśl, że ludzie staczają się z powodów znacznie błahszych. Ale mimo wszystko to go nie usprawiedliwiało. Był przecież młody.

Violet ta historia tak pochłoneła, że całkiem zapomniała o szyciu. Zadawała też coraz to nowe pytania.

— Jak to się stało, że obie umarły?

Ruby uniosła wzrok, choć jej palce nie przestawały się poruszać.

— Gdyby wiedział, może by tam wrócił. Ale nikt nic ma pewności. Znaleźli je w połowie drogi do miasta. Leżały na wozie, a ich muł stał przywiązany do palika, gotowy do drogi. Kiedy młody pan Gandy wrócił, były już pochowane za żelaznym płotem po drugiej stronie drogi, obok jego matki i ojca.

— O Boże, biedaczysko — wyraziła swe współczucie Violet.

— Poszedł na wojnę bić się z Jankesami, a jak wrócił, zastał tylko paru Murzynów wrywających z ziemi zieloną kapustę

— pokręciła ze smutkiem głową Ruby. — Potem wyjechał stamtąd i nigdy już nie wrócił.

— I zabrał panią ze sobą?

— Mnie? — Ruby ze zdziwienia aż uniosła wzrok. — Nie, mnie nie. Byłam wtedy butną Murzynką i kiedy mi powiedzieli, że jestem wolna, wyniosłam się do miasta. Do Natchez. Myślałam, że będzie mi tam łatwiej, że bez trudu sobie poradzę, a któregoś dnia zjawi się po mnie mój książę.

— Roześmiała się ze smutkiem. — Skończyłam na statkach, zadowolając różnych dżentelmenów i przestałam marzyć o księciu.

Ku zdziwieniu Agaty, Jubilee pochyliła się i przytuliła swój biały policzek do czarnego Ruby.

— To nieprawda, Ruby. Jesteś dobrą kobietą. Najlepszą, jaką znam. Pomyśl choćby, ile zrobiłaś dla mnie albo dla Pearl. Prawda, Pearl?

— Jube ma świętą rację, Ruby. Słuchaj jej — zgodziła się Pearl.

Ruby nie przerywała pracy, uniosła jedynie brwi, jakby wiedziała więcej niż przyjaciółki.

— To nie ja zrobiłam, tylko on.

— On? — Oczy Violet zabłyśły z ciekawości. — To znaczy kto?

— Młody pan Gandy. — Kontynuując swą opowieść, Ruby przez cały czas szyła. — Zaczął grać na pieniądze na parowcach i skądś się dowiedział, że Ivory i ja pracujemy na „Delta Star” w okolicach Natchez. Ja robiłam to, co robiłam, a Ivory pracował jako robotnik pokładowy. Nazywali takich brudasami. „Te, brudas — wołali — musimy wziąć te śmieci na dwa razy!” I wtedy ci nieszczęśnicy musieli rozładować setki ton, żeby łajba z połową ładunku przepłynęła jakoś przez płyciznę, a potem załadować to wszystko jeszcze raz, kiedy wracała po resztę. Musieli też rąbać drzewo i nurkować, jak o coś zawadziliśmy, choćby nawet w wodzie pływały tysiące węży. Kapitan każe nurkować, brudaszy nurkują. Biedny Ivory, nigdy przedtem nie został wychłostany, nawet jak był niewolnikiem u starego pana Gandy'ego. A ja? Ja nie miałam pojęcia, jak dobrze mi było w Waverley, dopóki nie zaczęłam

żyć na własny rachunek. W każdym razie po wojnie młody pan Gandy znalazł Ivory'ego harującego na pokładzie i chłostanego z byle powodu przez tego bękarta bosmana. Gilroy mu było. My też tam byliśmy, zarabiając na życie na tej przeklętej łajbie i okropnie nienawidząc tego, co robimy. Hogg, barman pana Gandy'ego, był palaczem w tej cuchnącej maszynowni, w której stał po kolana w zimnej wodzie. A Marcus grał na bandžo, tylko że wszyscy się z niego śmiali, bo on ma coś nie tak z językiem i nie potrafi wydukać ani słowa. Byliśmy tam wszyscy, kiedy pewnego dnia kapitan posłał do maszynowni rozkaz, żeby przymknąć zawór, bo mamy przed sobą zator lodowy. No więc Jack Hogg mówi mu: „Nie da się, sir, bo silnik wyleci w powietrze.” A on mu na to: „Przymknij sukinsyna, tylko ostrożnie, palaczu. Mam tu jabłka i cytryny, które stracą połowę wartości, jeśli temu bydlakowi Rasmussenowi uda się dopłynąć do Omahy przede mną!” No to Jack Hogg przymknął i zaraz potem wszyscy wylecieliśmy w powietrze, jakbyśmy mieli się przenieść na łono Abrahama. Ale jakoś uszliśmy z życiem. Marcus rzępolił akurat bliżej dziobu, w salonie gier, gdzie grał w karty pan Gandy, który zdążył już zgarnąć sporą górę pieniędzy. No więc im dwóm nic się nie stało. Ja i dziewczyny kręciłyśmy się po pokładzie, szukając nowych klientów, więc wylądowałyśmy w wodzie. Ivory też miał szczęście. Właśnie porąbał drewno i miał je znieść na dół. Tylko Jack był w maszynowni, przy samym kotle. Okropnie go poharatało. Ale pan Gandy zajął się nami. „Koniec z parowcami — mówił nam. — Najwyższy czas znaleźć sobie jakieś lepsze miejsce.” Powiedział, że jesteśmy jego przyjaciółmi i że ma dość forsy, żeby otworzyć bar. Marcus będzie tam grał na bandžo, a Ivory raz na zawsze przestanie być czymś „brudasem”. Ivory to pianista i pan Gandy o tym wie. A Jack Hogg, który nie chce już za nic w świecie stanąć przy kotle, jak tylko wyzdrowieje, zostanie barmanem. No a Pearl, Jube i ja nie musimy już zabawiać dżentelmenów, no nie, dziewczyny? Szef powiedział, że jesteśmy młode i ładne, więc zostaniemy tancerkami. I co my na to? Oczywiście zgodziłyśmy się. Powiedział, że zna jedno takie miejsce, gdzie można się szybko dorobić. Na szlaku Chisholm Trail, niedaleko kolei żelaznej. No to pojechaliśmy tam, a niedługo potem zjawili się kowboje. I jest nam teraz dużo lepiej niż zaraz po wojnie. Chociaż nie

jesteśmy rodziną, to jesteśmy sobie tak bliscy, jakbyśmy nią byli. I dlatego jak pan Gandy mówi: szyć, to szyjemy. Dziewczyny przytaknęły.

Agata słuchała tej opowieści z narastającym zdumieniem. Czy to możliwe, że Gandy był ich dobroczyńcą? Że wyciągnął te trzy kobiety z rynsztoka?

— To znaczy, że... — spojrzała po kolei na Ruby, Pearl i Jubilee. — Że nie jesteście...

Jubilee roześmiała się, a jej śmiech, w przeciwieństwie do śmiechu Ruby, był lekki, radosny i pasował do jej cudownych, lekko skośnych oczu.

— prostytutkami? Nie, już nie. Tak jak mówiła Ruby, teraz tylko tańczymy. I bardzo nam to odpowiada. Wreszcie nie musimy się dławic cuchnącymi whisky jęzorami. Nie obmacują nas żadne tłuste łapy. Nie. Och! — wykrzyknęła Jubilee, dostrzegając spuszczonego wzrok i czerwone policzki Agaty. — Strasznie panią przepraszam, panno Downing. Chyba już nigdy nie nauczę się dobrych manier.

— Jak powiedziała Jube — dodała Pearl — teraz żyje się nam o niebo lepiej. Jesteśmy dobrymi tancerkami, no nie, dziewczyny? Śpiewamy też nie najgorzej, chociaż w tym akurat Jube jest zdecydowanie lepsza niż my dwie. Niech pani zaczeka, aż ją usłyszy, panno Downing, a nie uwierzy pani własnym uszom. Scotty mówi, że rna głos, który zawstydziłby nawet przedrzeźniacza.

— Och, Pearl, zawsze to powtarzasz — zwróciła ku Agacie swe błyszczące oczy Jubilee. — Niech pani lepiej zobaczy, jak Pearl wymachuje nogami. Jak zacznie, to lepiej poprzewieszać latarnie w okolicy, bo wszystkie pozrzuca. Prawda, Ruby?

Ruby zaśmiała się ochryple.

— Pewnie. Pearl ma taką swoją sztuczkę, w której jest mistrzynią. Potrafi zrzucić facetowi z głowy kapelusz, nie ruszając mu ani jednego włosa. Mam rację, Pearl?

Tym razem roześmiała się Pearl.

— Ale to Ruby wpadła na ten pomysł. Ona ma zawsze najlepsze pomysły. Opowiedz paniom o swoim numerze ze znikającymi zegarkami.

— Och, daj spokój — uniosła różową dłoń Ruby.

— Mężczyźni go uwielbiają.

— Mężczyźni, phi! Co oni tam wiedzą.

— Opowiedz, Ruby — prosiły Pearl i Jube.
— Proszę nam opowiedzieć, chi-chi.
— Same opowiedzcie, jeżeli uważacie, że panie będą chciały tego słuchać.
— Scotty bardzo teraz sporządzał — zaczęła Pearl — ale to wcale nie znaczy, że dawniej nie umiał chować asów w rękawie. Jeszcze na parowcu pokazał Ruby jedną taką sztuczkę, a ona nauczyła się ją wykorzystywać w trakcie naszych programów. Potrafi zwinąć mężczyźnie zegarek tak, żeby o tym nie wiedział. A zanim się biedak we wszystkim zorientuje, zegarek jest już... jak panie myślą, gdzie?
— Gdzie? — Pomimo wysiłków Agata nie potrafiła powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.
— No właśnie, gdzie? — powtórzyła Violet.
Pearl przyłożyła rękę do ust i odpowiedziała scenicznym szeptem:
— Między jej piersiami.
— Chi-chi. — Także Violet zakryła usta dłonią. Agata zaróżowiła się.
— Och! — Była jednak znacznie mniej wstrząśnięta, niż byłaby zaledwie tydzień wcześniej. Ta wesoła trójka miała w sobie coś zaraźliwego. Być może chodziło o łączącą je przyjaźń i szczerą dumę, z jaką każda wypowiadała się o pozostałych. Wydawało się niewiarygodne, że trzy pracujące ze sobą kobiety mogą nie być wobec siebie prawie w ogóle zazdrosne.
— To zadziwiające — mówiła dalej Pearl. — Mężczyzna gotów jest zrobić prawie wszystko, kiedy jesteś z nim na osobności, ale wśród innych rumieni się jak głupiec z powodu nawet najbardziej niewinnego żartu. No więc łańcuszek zegarka dynda na gorsecie Ruby, a facet, który musi go stamtąd wyciągnąć... jeżeli oczywiście chce go dostać z powrotem... wygląda tak zabawnie jak chyba nikt inny na świecie... Wiecie, złoto nagrzewa się szybciej niż srebro, wystarczy przyłożyć je na chwilę do ciała. A jak mężczyzna poczuje ciepłe złoto...
— Daj spokój, Pearl — przerwała jej Jubilee. — Zapomniałaś chyba, że rozmawiamy z damami. Nie możesz rozmawiać z nimi tak, jak rozmawiamy ze sobą.
— Och! Rzeczywiście, masz rację. Przepraszam — zarumieniła się Pearl. — Nie chciałam być dla pani niegrzeczna,

panno Downing. Ani dla pani, panno Parsons. Czasami paplam bez opamiętania...

— Nie szkodzi. Nic się nie stało. Widzi pani, Violet i ja byliśmy błędnie przekonane, że w Złotej Klatce będziecie panie nie tylko tańczyć. Ale skoro jest inaczej, czujemy ogromną ulgę. No! — Agata ucięła nitkę i zajęła się pracą, nie miała bowiem pojęcia, jak zareagować na opowieść Pearl. — Teraz trzeba już tylko przeciągnąć szpagat i gotowe.

— Ale jak? — spytała Jubilee, wpatrując się w tkaninę. Agata wstała i pokuśtykała w stronę komody.

— To całkiem pro...

— Panno Downing! Pani utyka! — wykrzyknęła Jubilee. Agata poczuła, że krew napływa jej do głowy, i przez chwilę

nie mogła się zdecydować, jak właściwie powinna zareagować. Dzięki Bogu, sięgała właśnie do szkatułki po szpulkę szpagatu i grubą igłę. Zanim ponownie stanęła twarzą do pozostałych, zdążyła się opanować.

— To nic takiego.

— Nic takiego? Przecież...

— Stara przypadłość. Cierpię na nią od lat. Już się przyzwyczaiałam. — Jednakże w pięknych, szeroko otwartych migdałowych oczach widać było szczere zatroskanie.

— To znaczy, że nie utyka pani od urodzenia?

„O Boże, ależ ona jest bystra — pomyślała Agata. — Czy nie ma dosyć rozumu, żeby pojąć, że jej zachowanie jest po prostu nietaktowne?”

— Nie — odparła jednak zgodnie z prawdą.

— A jak do tego doszło?

— Kiedy byłam mała, spadłam ze schodów.

Agata wiedziała, że Violet też jest ciekawa, bo chociaż znały się od tylu lat, nigdy nie odważyła się o to spytać. Jube nie odrywała wzroku od spódnicy Agaty.

— O Boże! Nieszczęsna dziewczyno! To okropne! Kilka myśli naszło Agatę niemalże jednocześnie. Po raz pierwszy od lat ktoś nazwał ją dziewczyną, a Jubilee wcale nie była wścibska, tylko na swój naiwny sposób okazywała szczere współczucie. Trudno było mieć jej to za złe.

— Pomogę pani — zaproponowała Jubilee spontanicznie. Podeszła, zamknęła drzwi komody i wyjęła Agacie z rąk szpagat i igłę. — A my tutaj opowiadamy o wymachiwaniu

nogami. Powinnyśmy były wiedzieć, tylko skąd? Ale to i tak nie w porządku, prawda?

Agatę nieco krępował fakt, że kobieta, którą uważała za „zepsutą”, mówi dokładnie to, co ona sama myśli, i wbrew własnej woli czuła do impulsywnej Jube coraz większą sympatię.

— Nie jestem aż taką inwalidką, panno Jubilee—rzekła ze smutnym uśmiechem — żeby nie była w stanie udźwignąć igły i szpulki szpagatu.

— Och! — Jubilee spojrzała na trzymane przedmioty i cicho się roześmiała. — Ależ oczywiście, że nie! Co się dzisiaj ze mną dzieje? — Oddała Agacie szpagat i igłę.

I jak tu nie ulec czarowi Jubilee Bright? Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby ktoś rozmawiał z Agatą na temat jej kalectwa z taką otwartością. A teraz, przyzwyczajwszy się już do bezpośredniości pytań stawianych przez Jube, Agata doszła do wniosku, że takie podejście zdecydowanie odpowiada jej bardziej niż rzucane ukradkiem ciekawskie spojrzenia. Na dodatek Jubilee zachowywała się tak naturalnie, że Agatę z wolna opuszczało skrępowanie.

— Właściwie to całkiem niezłe sobie radzę. Najgorsze są schody, a tak się składa, że mieszkam na piętrze. — Wskazała palcem do góry.

— Na piętrze? Znaczy nad zakładem? — spojrzała na sufit Jubilee.

— Tak.

— A więc będziemy sąsiadkami! — Kiedy na twarzy Jube pojawił się uśmiech, był to widok, który zapierał dech w piersiach. Żywe srebro. Agacie przyszło do głowy, że w swojej dawnej profesji Jube musiała być rozchwytywana przez klientów. — My też będziemy mieszkać na górze, więc gdyby czegoś pani potrzebowała, gdybyśmy mogły jakoś pani pomóc... nie wiem, wtargać coś po schodach albo po coś iść... proszę nam tylko powiedzieć. — Odwróciła się do przyjaciółek. — Prawda, dziewczyny?

— Pewnie — przytaknęła Pearl. — Wstajemy wprawdzie bardzo późno, ale za to wszystkie popołudnia mamy wolne.

— Jestem silna jak koń i przez całe życie wykonywałam rozkazy — oznajmiła Ruby. — Jak będę do czegoś przydatna, pani tylko powie.

Tych trzech dziewczyn po prostu nie dało się nie lubić. Mimo swojej mrocznej przeszłości Ruby, Pearl i Jubilee miały w sobie więcej wrodzonej bezinteresowności niż niejedna znana Agacie prezbiterianka.

— Dziękuję paniom bardzo, ale teraz bądźcie takie miłe i naciągnijcie tunelik, żebym mogła przeciągnąć szpagat.

— Ale jak właściwie chce pani to zrobić? — dopytywała się Jubilee.

— Nic prostszego. Wystarczy przewlec szpagat przez uszko igły, a potem przeciągnąć ją tępą stroną przez tunelik.

— Jubilee trzymała w dłoniach brzeg czerwonej satyny, a jej oczy robiły się z wrażenia coraz większe i bardziej okrągłe.

— O niech mnie dunder świśnie! Popatrzcie no tylko! Agata roześmiała się cicho.

— Macie panie bardzo barwny język.

— Och, przepraszam. To przez te wszystkie miejsca, w których pracowałam. Ale to po prostu cudowne.

— Co takiego? — Agata skupiła się na przeciąganiu szpagatu przez materiał.

— Jak to co? To, co pani robi. Kto panią nauczył tych wszystkich sztuczek?

— Mama.

— Ja bym na to nigdy w życiu nie wpadła. Do takich rzeczy mam dwie lewe ręce. Dobrze, że umiem chociaż zawiązać sznurowadła.

Agata potrafiła przeciągnąć szpagat przez tunelik od tak dawna, że nie widziała w tym nic nadzwyczajnego.

Spojrzała w zachwycone oczy Jubilee i poczuła przyływ dumy.

— Robię to od tak dawna, że wydaje mi się to zupełnie naturalne.

— Musi być pani bardzo szczęśliwa, znając się tak dobrze na swoim fachu.

— Szczęśliwa? — Kiedy ostatnio pomyślała o sobie, że jest szczęśliwa?

— Miała pani matkę, która tyle panią nauczyła. Ja w ogóle nie znałam swojej matki. Podobno umarła przy porodzie.

Dzieciństwo spędziłam w sierocińcu Świętego Łukasza.

— Nagle uśmiechnęła się chytrze. — Ciekawe, co by powiedziały te wszystkie zakonnice, gdyby mnie teraz zobaczyły?

— W głosie Jube nie było krztyny żalu nad własnym losem.

Z wyrazem zachwytu na twarzy ponownie utkwiała wzrok w zręcznych dłoniach Agaty. — Czy mama nauczyła panią wielu takich sztuczek? Na przykład jak szyć suknie, halki albo inne rzeczy oprócz kapeluszy?

— Tak. Właściwie prawie nie kupuję sobie ubrań. Wszystkie szyję sama.

— Sama! Chce pani powiedzieć, że sama to uszyła? — Ujęła Agatę pod łokieć i uważnie zbadała skomplikowane kształty jej sukni: lamówki, kliny oraz plisy. — Tylko popatrzcie, dziewczęta! — wykrzyknęła, odwróciwszy się do przyjaciółek, po czym wszystkie trzy zajęły się podziwianiem wyszukanego stroju Agaty. — To dopiero cudenko! Wprost rozplływały się w zachwytach, nawet Ruby, która przecież sama niezgorzej potrafiła posługiwać się igłą i nitką.

— Halkę też sama pani uszyła? — Zanim Agata zdążyła się sprzeciwić, uniosły jej suknię, żeby przyjrzeć się turniurze, którą tworzył obszyty płótnem stelaż, opadający od bioder aż do stóp. Agata była tak zaskoczona, że zapomniała zaprotestować.

— Potrafiłaby, prawda? — zwróciła się Jubilee do Ruby.

— Co takiego? — spytała Agata.

— Co takiego? — powtórzyła Violet.

Dziewczyny nie zwracały na nie uwagi. Jube czekała na odpowiedź.

— Jak myślisz? — spytała ponownie.

— Chyba tak — odparła Ruby, przyjrzawszy się uważnie strojowi Agaty.

— Ale co by potrafiła? — dopytywała się Violet.

— Uszyć spódnicę, które będą nam potrzebne do francuskiego tańca.

— Francuskiego tańca?

— Do kankana — wyjaśniła Pearl. — Właśnie do niego ćwiczyłam wymachy nogami. Ale do kankana potrzebne są spódnicę z falbanami, bez nich traci cały urok.

— Falbany ułożone są warstwami — dodała Ruby, energicznie gestykulując. — Tak jak dawniej w krynolinach, tylko że pod spódnicą.

— Pani by na pewno potrafiła je uszyć — entuzjasmowała się Jubilee. — Jestem przekonana, że tak. Porozmawiam z Gandym o wynagrodzeniu.

— Ale ja nie mogę — uniosła obie dłonie Agata. — Wierzcie mi, naprawdę nie mogę.

— Dlaczego? — mówiły jedna przez drugą. — Prosimy, niech się pani zgodzi. Jeżeli pani się nie zgodzi, to kto nam pomoże?

Agata uśmiechnęła się lekko zakłopotana, lecz jednocześnie zadowolona.

— Nie mogę. Jak by to wyglądało, gdyby przewodnicząca Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji szyła suknie dla tancerek z saloonu? Już przez to, że zgodziłam się zrobić tę narzutę, mogę mieć spore nieprzyjemności. Gdybym jeszcze zabrała się za suknie, na pewno by się ktoś dowiedział... Poza tym nie mam maszyny do szycia.

Trzy zawiedzione tancerki rozejrzały się dookoła i ze smutkiem stwierdziły, że to prawda.

— A niech to diabli — jęknęła Pearl, opadając na krzesło.

— Rzeczywiście.

— Pearl, nie można się tak wyrażać — upomniała ją delikatnie Agata, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Wiem — zgodziła się Pearl, i oparła podbródek o dłoń Agaty. — Ale po prostu jestem rozczarowana.

— Wiecie... — Agata toczyła przez chwilę walkę z samą sobą. — Ja też — przyznała się w końcu. — Chętnie podjąłabym takie wyzwanie, ale to niemożliwe. Zresztą, chyba naprawdę nie powinnam.

— Ale Agato — zaczęła Violet. — Czy byśmy nie mogły... ?

— Nie, Violet, to nie wchodzi w grę. Same widzicie, ile czasu zajęło nam obszycie jednego tylko brzegu. W każdej sukni byłyby takich brzegów całe metry. Gdybym miała obszyć je ręcznie... nie sądzę, żeby pan Gandy zechciał tak wiele zapłacić.

— Już my go przekonamy.

— Nie, panno Jubilee. Bardzo mi przykro, ale naprawdę muszę odmówić.

Dziewczyny wyglądały na przygnębione.

— Na nas chyba już czas — westchnęła w końcu Jubilee.

— Czy mamy zabrać narzutę? — Chwyciła czerwony jedwab w dwa palce.

— Proszę. Nie będę musiała sama chodzić. Tym bardziej że pan Gandy już mi zapłacił.

— Dziękujemy, panno Downing, że zgodziła się pani uszyć tę narzutę. Pani też dziękujemy, panno Parsons. Gdyby jednak zmieniła pani zdanie, proszę nam dać znać.

Kiedy już stały w drzwiach, Agata zasugerowała:

— Może dałoby się sprowadzić takie suknie z St. Louis albo... albo... — Nagle zdała sobie sprawę, jak absurdalna jest ta propozycja. Suknie do kankana nie były raczej towarem reklamowanym w katalogach.

— Pewnie — odparła Jubilee, po czym wyszły.

— To ci dopiero — odezwała się po chwili Violet, wpatrując się w drzwi i dotykając palcami skroni.

— Czegoś takiego ten stary sklep jeszcze nie widział — westchnęła Agata, opadając na krzesło.

— Są cudowne! — wykrzyknęła Violet.

Tak, to prawda — pomyślała Agata. — Są cudowne.

— Ale sama wiesz, że w żadnym wypadku nie wolno nam się z nimi przyjaźnić — odparła. — Zwłaszcza teraz, kiedy zostałyśmy wybrane do zarządu stowarzyszenia.

— Bzdura! Przecież one nie sprzedają alkoholu. Ani nie trudnią się nierządem. Po prostu tańczą. Czy nie słyszałaś?

— Ale ich taniec ma na celu zwiększenie sprzedaży alkoholu, a to przecież to samo.

Violet skrzywiła się.

— Czasami straszna z ciebie nudziara, Agato — stwierdziła z goryczą, po raz drugi w ciągu zaledwie kilku godzin, po czym zebrała swoje rzeczy i poszła do domu.

Po jej wyjściu Agata zadumała się nad tym dziwnym popołudniem, podczas którego po raz pierwszy od wielu lat ożywiła się, śmiała i na pewien czas całkiem zapomniała, że te młode kobiety nie są odpowiednią klientelą dla jej zakładu. Ich towarzystwo najzwyczajniej w świecie sprawiało jej przyjemność. Najdziwniejsze i najwspanialsze wydało jej się jednak to, że opowiedziała im o swoim wypadku. A do tego były po prostu miłe i zabawne. Teraz wszakże, kiedy gwar umilkł, ogarnęło ją przygnębienie. Zastanawiała się, jakie to uczucie należeć do tak zgranej grupy, jaką tworzyły Jubilee, Pearl i Ruby, mieć prawdziwe przyjaciółki. Wprawdzie miała Violet, ale ona nie była jej przyjaciółką. A już na pewno nie taką, jakimi były dla siebie te trzy młode dziewczyny, od których biło wzajemne zrozumienie, akceptacja, szczerą dumą

z najskromniejszych nawet osiągnięć i zadziwiający brak jakiegokolwiek współzawodnictwa. Na dodatek należały do „rodziny” — nie prawdziwej, choć w pewnym sensie lepszej, bo przecież połączył ją własny wybór, nie więzy krwi. A na czele tej rodziny stał szuler z parowców, za którym szły jak za Mesjaszem. Dziwne. Godne pozazdroszczenia.

Godne pozazdroszczenia? Agata aż podskoczyła. Zazdrościć kobietom, które w przeszłości oddawały się mężczyznom za pieniądze, które nauczyły się wyciągać z kieszeni zegarki niczego nie podejrzewającym dandysom i jednym kopnięciem strącały mężczyznom kapelusze z głów? Czy to w ogóle możliwe?

Lecz jeżeli nie, to czemu tak nagle posmutniała? Powoli zbliżała się siódma, pora spotkania stowarzyszenia.

Agata wstała z krzesła i spojrzała na złote monety, mrugające do niej ze stołu, na którym położył je Gandy. Zaczęła się zastanawiać, jak długo może potrwać dostarczenie z Bostonu maszyny do szycia.

„Agato, nie bądź głupia!

Ale te dziewczyny są takie żywe, tak miło przebywać w ich towarzystwie.

Agato, zachowujesz się gorzej niż Violet!

Wyobraź sobie, ile byś mogła zarobić, gdybyś zgodziła się uszyć te trzy stroje do kankana.

To by były brudne pieniądze.

Za to byłoby ich dużo. On tak dobrze płaci.

Agato, nawet o tym nie myśl!

Przecież to prawda. Sto dolarów za niecałe trzy godziny pracy. I to z trzema pomocnicami.

To była łapówka i ty dobrze o tym wiesz.

Pieniędzmi z łapówki da się zapłacić za maszynę do szycia równie dobrze jak każdymi innymi.

Rób tak dalej, a rzeczywiście niedługo będziesz szyć te suknie.

Mam na to szczerą ochotę i to niezależnie od tego, czy będę miała maszynę, czy też nie.

Od kiedy to zrobiłaś się taka łasa na pieniądze? No dobrze, a więc zapłacił mi za dużo! I co teraz zamierzasz?"

Chwyciła dziesięć monet i ułożyła je sobie na dłoni. Były takie ciężkie! Nigdy nie przypuszczała, że złote dziesięciodolarówki są takie ciężkie. I tak jak mówiły dziewczyny, szybko się nagrzewały. Odliczyła sześć i odłożyła na bok, pozostałe cztery zaś ułożyła sobie na dłoni niczym kostki domina. Czterdzieści dolarów to dużo pieniędzy. Ciepłych ciężkich pieniędzy.

W końcu posłuchała sumienia, zdecydowanie zacisnęła dłoń i ruszyła ku tylnym drzwiom. Jeszcze zanim do nich doszła, zaczęła żałować, że nie umie tak jak Pearl skłąć się za to, co zamierza zrobić.

Za tylnymi drzwiami do Złotej Klatki znajdował się krótki korytarzyk pomiędzy dwiema spizarniami. Ponieważ Agata stała w cieniu, początkowo nikt jej nie zauważył. Nie grało jeszcze bandžo ani pianino, słychać było jedynie wesoły gwar. Grupa stałych bywalców i wszyscy pracownicy baru tłoczyli się wokół złotej klatki, podczas gdy Gandy i dziewczęta mocowali narzutę i układali fałdy. Agata znowu zaczęła zazdrościć im tej radosnej atmosfery, śmiechu i przekomarzania.

Od razu zrozumiała, skąd brało się stukanie młotków. Od szczytu klatki ciągnęła się lina przechodząca przez bloczek zamocowany pod sufitem, w którym zamontowano wymyślną zapadnię. Goście żartowali na jej temat, pokazując ją sobie palcami i zadzierając głowy. Kiedy w pewnym momencie odezwała się Jube, wszyscy gruchnęli gromkim śmiechem, Gandy zaś objął ją i przytulił. Spojrzeli sobie w oczy, roześmiali się, po czym jego dłoń zsunęła się po jej plecach i mocno ścisnęła pośladki.

Agacie z wrażenia aż zaschło w ustach.

Nigdy dotąd nie sądziła, że ludzie robią coś takiego poza sypialnią.

Zebrała się w sobie i ruszyła w ich stronę. Pierwszy zobaczył ją barman z blizną na twarzy.

— Dobry wieczór, panno Downing — powitał ją, szarmancko uchylając melonika.

Zdziwiło ją, że wie, jak się nazywa, ponieważ jednak potraktował ją grzecznie, czuła się zobowiązana odwzajemnić mu się tym samym.

— Dobry wieczór, panie Hogg.

Natychmiast zauważyła, że on również jest zaskoczony, że zna jego nazwisko. Na nie oszpeconej połowie twarzy Jacka Hogga pojawił się uśmiech. Był to groteskowy widok, lecz Agata zmusiła się, żeby nie odwrócić wzroku, tak jak czasami ludzie odwracali wzrok od niej.

— Narzuta wygląda wspaniale, psze pani. Scotty jest bardzo zadowolony. — Kiedy mówił, prawy kącik jego ust nieco opadał, lewy natomiast pozostawał w bezruchu.

Agacie przyszło do głowy, że to cokolwiek dziwne, iż stoi w barze, w którym wisi obraz nagiej kobiety, i przyjmuje komplementy za uszycie czerwonej zasłony. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, gdyby ktoś przypadkiem mijał bar i wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do środka.

— Nie przyszedł tu na pogawędki. Czy mogłabym porozmawiać z panem Gandym?

— Oczywiście, że tak, psze pani. Hej, Scotty! — krzyknął. — Pani do ciebie.

Gandy odwrócił się od rozgadanej grupy, a kiedy zobaczył Agatę, w jego policzkach pojawiły się dołki. Wypuścił z objąć Jube, obciągnął rękawy koszuli i odruchowo sięgnął po wiszącą na krześle marynarkę.

— Panno Downing. — Zatrzymał się o krok przed nią i wyciągnął szyję, wciąż poprawiając kłapy, co było gestem prostym, a jednocześnie bardzo męskim. Agata, która nie przywykła do tego, by mężczyźni ubierali się w jej towarzystwie, poczuła dziwne ukłucie w okolicy żołądka.

— Panie Gandy — odparła uprzejmie, wbijając wzrok w jego tors.

— Narzuta jest dokładnie taka, jak chciałem. Jeszcze raz dziękuję, że zgodziła się pani uszyć ją tak szybko.

— Zapłacił mi pan za dużo. — Wyciągnęła ku niemu cztery złote monety. — Nie mogłabym z czystym sumieniem przyjąć aż tak wysokiej zapłaty.

Nie puszczając kłap, spojrział na monety.

— Umowa to umowa.

— Zgadza się. O ile dobrze pamiętam, stanęło na sześćdziesięciu. Tyle gotowa jestem przyjąć, chociaż to i tak w dalszym ciągu bardzo dużo.

Milczał tak długo, że w końcu uniosła wzrok. Przyglądał się jej z lekko przekrzywioną głową. Włosy opadały mu na białą

kołnierzyk, krawat zwisał nie do końca zaciśnięty, a dołeczki z policzków zniknęły.

— Jest pani zadziwiająco kobietą, wie pani, panno Downing?

Speszona jego przenikliwym spojrzeniem spuściła wzrok.

— Proszę, niech pan po prostu weźmie te pieniądze.

— Planuje pani wrócić tu za... — Wyjął zegarek i Agata skupiła się na jego ciemnym kciuku zwalniającym zatrząsk.

Pokrywka z lśniącego złota odskoczyła. „Ciekawe, czy wyjmował go kiedyś spomiędzy piersi Ruby? — pomyślała Agata. — A może w taki sposób dotyka tylko Jubilee?”

— Dlaczego? — Pytanie to wyrwało ją z zamyślenia.

— Słucham... słucham? Co pan mówi?

Jedna z jego brwi wygięła się w przewrócony na bok znak zapytania.

— Za niecałą godzinę zamierza pani tu wrócić, żeby spróbować doprowadzić mój bar do ruiny. A jednocześnie przychodzi pani i mówi, że zapłaciłem za dużo za zlecenie, którego początkowo nie chciała pani w ogóle przyjąć. Dlaczego?

Raz jeszcze uniosła wzrok i równie szybko go spuściła. Ten człowiek był wprost nieziemsko przystojny.

— Już panu mówiłam, że w przeciwnym razie miałabym wyrzuty sumienia.

Nigdy dotąd nie spotkała równego mu mistrza nonszalancji. Jego głos stał się tak łagodny, że Agata nawet na niego nie patrząc oblała się rumieńcem.

— Na doprowadzenie do zamknięcia mojego saloonu mogą panie potrzebować sporej sumy. Dlaczego więc nie przekaże ich pani na fundusz swojego stowarzyszenia?

Gwałtownie uniosła głowę. Gandy uśmiechał się jak rozpieszczony kocur, wyraźnie z niej drwiąc.

— Niech pan je weźmie! — zażądała, chwytając go za nadgarstek i wciskając mu w dłoń monety.

Dołeczki w jego policzkach jeszcze się pogłębiły. Agata odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Gandy ujął ją za ramię, kiedy wszakże posłała mu wrogie spojrzenie, natychmiast cofnął rękę.

— Przepraszam.

— Czy coś jeszcze, panie Gandy? — spytała oschle.

— Dziewczęta wspominały, że prosiły, żeby uszyła im pani suknie. Pani odmówiła, czy tak?

— Zgadza się. Nie mam zamiaru prowadzić z panem, żadnych dalszych interesów. Od teraz skupię się na walce z panem.

— Ach, to zaiste godne pochwały. — Uniósł palec wskazujący. — Proszę jednak nie zapominać o wolnym rynku. Wie pani przecież, że dobrze płacę.

— Tłumaczyłam dziewczętom, że nie mam maszyny. Ręczne uszycie takich sukni trwałoby bardzo długo, a na dodatek nie byłoby mile widziane przez członkinie stowarzyszenia. Poza tym jestem modystką, a nie krawcową.

— Po tym, co widziały, dziewczyny twierdzą, że to nieprawda.

— Odpowiedź brzmi: nie, panie Gandy.

— Trudno — ustąpił i lekko się skłonił. — Dziękuję za zwrot pieniędzy. Być może kupię sobie za nie jakąś piękność na drugą ścianę.

Nagle zdała sobie sprawę, że kiedy tak stoi i prowadzi z nim dyskusję, serce bije jej odrobinę za szybko. Twarz jednakże pozostawała przez cały czas nieprzejeżdżana.

— Do zobaczenia o siódmej — rzekła i leciutko skinęła głową.

Uniósł brodę i roześmiał się.

— Będziemy na panie czekać. A drzwi będą stały otworem.

Kiedy ruszyła do drzwi, wyjął z kieszeni cygaro i przyjrzał się tyłowi jej sukni. Fałdy i falbany, a materiału tyle, że można by z niego zrobić spory namiot! Zaczął się zastanawiać, jak to, do licha, możliwe, żeby ta kobieta sama uszyła sobie taki strój. Krucha i drobna istota o długich szczupłych palcach. Do tego z trudem — o ile dobrze się orientował — wiążąca koniec z końcem. Gotów byłby się założyć, że nie tylko złote dziesięciodolarówki przemawiają do niej głośniejsz niż słowa... Również maszyny do szycia.

Jako urodzony gracz, postanowił zaryzykować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Członkinie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji zebrały się na ulicy krótko przed siódmą, niosąc ze sobą deklaracje abstynencji. W nagłówku znajdowała się nazwa organizacji i motto ułożone przez Francisa Willarda, założyciela i prezydenta stowarzyszenia: „Bogu, Domowi i Ojczyźnie”. Deklaracja zawierała przysięgę, że ten, kto ją podpisał, „z pomocą Boga nigdy nie tknie, nie weźmie do ust ani nie sprzeda w celach spożywczych żadnego trunku, włączając wino, piwo oraz jabłecznik” oraz „wykorzysta wszelkie pokojowe sposoby, by skłonić do abstynencji także innych”. Pod spodem znajdowało się wolne miejsce na datę i podpis.

Kiedy kobiety przybyły, Gandy z szerokim uśmiechem na twarzy wyszedł im na spotkanie. Agata przyglądała mu się z boku. Przytrzymał drzwi, żeby się nie zamknęły, a palące się w barze latarnie rzucały na ulicę stożek światła, którego pomarańczowa poświata oświetlała jedynie część jego twarzy. Wyglądało na to, że ogolił się specjalnie na tę okazję. Od niskiego kapelusza aż po noski lśniących czarnych butów był nieprzyzwoicie przystojny. Świeżo wyszczotkowany czarny garnitur, stalowoniebieska kamizelka, nieskazitelnie biały kołnierzyk i wąski czarny krawat. Powstrzymał się nawet przed zapaleniem nieodłącznego cuchnącego cygara.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się po kolei zebranym kobietom, starając się zajrzeć każdej głęboko w oczy. W końcu leniwym ruchem uchylił kapelusza.

— Dobry wieczór paniom.

Niektóre kręciły się nerwowo, speszzone jego spokojnym spojrzeniem, kilka skinęło w milczeniu głowami, inne zerkały niepewnie na Drusillę Wilson. Agata stała sztywno i patrzyła. Jakże pewien był swojego uroku, wrażenia, jakie robił na przeciwnej płci. Nawet sposób, w jaki stał, wydawał się obliczony na spotęgowanie efektu: cały ciężar ciała oparty na jednej nodze, rozchyłona marynarka, dłonie położone niedbale na drzwiach i sygnet z diamentem, który połyskiwał nawet w mroku.

Ciemne rozbawione oczy Gandy'ego spoczęły na Agacie.

— Panno Downing — powiedział. — Wygląda dziś pani jeszcze piękniej niż zwykle.

Agata żałowała, że nie jest w stanie precyzyjnie się przez przerwy pomiędzy deskami. Przez chwilę obawiała się, że Gandy wspomni o narzucie, którą dla niego uszyła—nie miała wątpliwości, że stać by go było na taki żart. Na szczęście jednak dał jej spokój i skupił uwagę na Violet.

— Panna Parsons, no, no. — Dołeczki w jego policzkach działały na Violet dużo mocniej aniżeli kwiecisty język. Zachichotała.

Wyszedłszy dalej na chodnik, Gandy zwrócił się do Drusilli.

— Panno Wilson, nie mieliśmy chyba dotąd przyjemności?

Spojrzała na jego wyciągniętą dłoń, swoje z całej siły zaciskając.

— Pan Gandy, prawda? Skinął głową.

— Podam panu rękę, kiedy złoży pan tutaj swój podpis.

— Wyciągnęła ku niemu deklarację i pióro.

Gandy spokojnie przyjrzał się kartce, po czym potrząsnął głową i roześmiał się.

— Nie dziś, panno Wilson. Z trzema tancerkami i bladą pięknnością na ścianie mam chyba nad paniami sporą przewagę.

— Otworzył szeroko drzwi. — Ale oczywiście możecie panie dołożyć starań, żeby odwrócić tę sytuację.

Skłonił się lekko, odwrócił na pięcie i zniknął za drzwiami. Wraz z pojawieniem się pierwszych bywalców stało się jasne, że zapowiedziane atrakcje mają znacznie większy dar

przekonywania niż najszlachetniejsze nawet deklaracje. Drzwi przez cały czas pozostawały otwarte, ze środka dobiegały dźwięki bandzo i pianina, ze ściany uśmiechała się zalotnie naga piękność. Stoliki do gry, obciążone zielonym rypsem, kusiły niczym oazy na pustyni, a Scott Gandy osobiście witał każdego nowo przybyłego. Wszyscy czekali na Jubilee i Klejnoty.

Tymczasem na zewnątrz kobiety śpiewały najgłośniej, jak umiały, refren hymnu abstynentów „Królem jest nam zimna woda”, podsuwając Gandy'emu pomysł wysłania na chodnik Marcusa Delahunta, żeby grą na bandzo zagłuszył ich pieśń. Kiedy zbliżyli się Mooney Straub, Wilton Spivey i Joe Jessup, obie strony podwoiły wysiłki. Na spotkanie wyszła im sama Drusilla Wilson.

— Przyjaciele — zawołała, usiłując przekrzyczeć zgiełk — zanim zdecydujecie się wejść do środka i wesprzeć tego pobratymca szatana, rozważcie lepiej, w jaki sposób możecie zapracować na zbawienie swoich grzesznych dusz. Za tymi drzwiami czeka was prosta droga ku upadkowi, podczas gdy ten oto dokument jest...

Koniec jej apelu zagłuszył ich gromki śmiech.

— Paniusiu, chyba brakuje pani piątej klepki, jak się pani wydaje, że podpiszę ten świstek. Tam są tancerki! Nie słyszała pani?

— I ten obraz gołej damy — dodał Mooney.

— Której mamy zamiar nadać imię!

Rechocząc rubasznie, weszli ramię w ramię do środka. Bar zapełnił się szybko, a kolejne trzy podejścia Drusilli do klientów Gandy'ego zakończyły się takim samym fiaskiem jak pierwsze. Śmiali się jej prosto w nos i pędzili do baru, już w drzwiach sięgając do kieszeni po pieniądze.

Później pojawił się znany nicpoń Alvis Collinson, któremu dwa lata wcześniej zmarła na zapalenie płuc żona. Był to okropny gbur o nosie czerwonym jak burak, słynący w miasteczku z porywczosci i skłonności do awantur. Pracował dorywczo w rzeźni, poza tym większość czasu spędzał na picciu, hazardzie i bójkach. Twarz miał zdeformowaną przez liczne blizny, nos spuchnięty, lewa powieka bez przerwy mu opadała, pokryte gęstą siatką czerwonych żyłek policzki przypominały dwa purpurowe kalafiory, ubra-

LAVYRLE SPENCER

nie zaś wprost lśniło od brudu. Kiedy mijał Agatę, poczuła kwaśny odór.

Evelyn Sowers zadziwiła wszystkich ruszając za nim i pytając:

— Panie Collinson, gdzie jest pański syn?

Collinson zatrzymał się, wystawił głowę i zacisnął pięści.

— A co pani do tego, Evelyn Sowers?

— Zostawia go pan samego, żeby przesiadywać tu całymi wieczorami?

— Co wy tu właściwie, do diabła, robicie, przekłete staruchy? — zmierzył kobiety nienawistnym spojrzeniem Alvis.

— Próbujemy zbawić twą duszę, Alvisie Collinson, i zwrócić twemu synowi ojca.

Odwrócił się z powrotem do Evelyn.

— Mojego chłopaka w to nie mieszaj! Evelyn zastąpiła mu drogę.

— Kto się nim opiekuje, od kiedy twoja żona nie żyje, Alvis? Powiedz, czy jadł dziś kolację? Kto go położy do łóżka? Pięcioletnie dziecko...

— Zejdź mi z drogi, wiedźmo! — Pchnął ją tak mocno, że zatoczyła się i uderzyła głową w drewniany filar. Kobiety wstrzymały oddech i na chwilę przestały śpiewać. Jednakże Evelyn zachowała równowagę i chwyciła Collinsona za ramię.

— Chłopcze potrzebny jest ojciec, Alvisie Collinson. Zapytaj Boga, skąd ma go wziąć! — krzyknęła.

Strząsnął jej rękę.

— Zabierajcie stąd swoje tyłki i wracajcie do kuchni! Tam wasze miejsce! — ryknął i zniknął za progiem.

Marcus Delahunt przestał grać i w tej nagłej ciszy serce Agaty zaczęło walić ze strachu niczym młot. Zajrzała do baru i zobaczyła zmarszczone oblicze Gandy'ego, który ruchem głowy dał Delahuntowi znak, by wrócił do środka.

— I zamknij drzwi — zawołał.

Muzyk zniknął za drzwiami, które jeszcze przez chwilę bujały się tam i z powrotem.

— Śpiewamy dalej — dała hasło Drusilla. — Teraz naszą nową pieśń.

Podczas gdy one śpiewały „Usta, które dotkną whisky, nigdy nie tkną moich”, bar wypełnił się do granic możliwości,

a żaden z mężczyzn nie podpisał deklaracji. Akurat zaczynały ostatnią zwrotkę, kiedy ze środka dobiegł dziki ryk. Rzuciwszy okiem ponad drzwiami Agata ujrzała Eliasa Potts'a poklepywanego po ramionach i zbierającego gratulacje z okazji zwycięstwa w konkursie na imię dla postaci z obrazu. Korpulentny aptekarz został wniesiony na stół i posadzony na krześle z wysokim oparciem, po czym wszyscy wzniesli toast za nagą piękność, krzyząc:

— Za Dierdrę i jej ogród rozkoszy!

W tym momencie zapadnia w suficie otworzyła się i na grubym czerwonym sznurze zaczęła zjeżdżać okryta czerwoną narzutą klatka. Mężczyźni krzyczeli, klaskali i gwizdali, a granej na bandžo i pianinie muzyki prawie nie było słychać. Kiedy klatka zakołysała się tuż przed nim, Potts, szkarłatny aż po czubek prawie łysej głowy, uśmiechnął się i otarł kąciki ust.

Pianista zagrał fortissimo pojedynczy akord.

Spomiędzy czerwonych fałd wysunęła się długa noga.

Bandžo i pianino zagrały kolejny akord.

Stopa w białym bucie na wysokim obcasie zakręciła się wokół kształtnej kostki.

Zabrzmiało glissando.

Noga wysuwała się, aż nosok pantofla spoczął na lewym kolanie Eliasa Potts'a. Muzyka ucichła.

— Panowie, oto daję wam klejnot prerii, pannę Jubilee Bright!

Zagrała muzyka i czerwona zasłona pofrunęła aż pod sufit! Mężczyźni oszaleli. W klatce, cała w nieskazitelnej bieli, stała Jubilee.

Na jej widok słowa pieśni o whisky zastygły Agacie na ustach. Jube ubrana była w białą suknię bez ramiączek, rozciętą od dołu aż do biodra i obszytą jaskrawo połyskującymi cekinami. W niewiarygodnie białe włosy wpięte miała jeszcze bielsze pióro, którego brzegi również błyszczały od cekinów. Oparła stopę na kolanie Potts'a, po czym wychyliła się, by pogłaskać go po twarzy białym puszystym boa. Jej głos był zmysłowy, a każde słowo zdawało się ociekać dwuznacznością. „Nie żebym nie chciała...”

Agata nigdy dotąd nie widziała nogi równie zgrabnej jak ta oparta o kolano Potts'a ani twarzy atrakcyjniejszej od tej, która

się ku niemu pochylała. Nie była w stanie oderwać od niej wzroku.

„Nie żebyś nie umiała...”

Jubilee tanecznym krokiem obeszła Potts, muskając go łopatkami.

„Ani dlatego, że ktoś zakazał mi...”

Zarzuciła Pottsowi boa na szyję i usiadła mu na kolanach, zakładając nogę na nogę i pieszcząc go szalem w rytm muzyki.

„Tylko dlatego, że leniwszej ode mnie nie zna chyba świat.”

Mężczyźni krzyknęli i pohukiwali, Potts zrobił się czerwony jak dojrzwały arbuz.

— Panowie! — rozległ się podniesiony głos Ivory'ego Culhana. — Panowie, a oto dwa inne klejnoty prerii: panna Pearl De Vine oraz panna Ruby Waters!

Po czerwonej jedwabnej linii zsunęły się powoli dwa uwodzicielskie ciała. Lina oplatała ich nogi w czarnych siatkowych pończochach i trzewikach na wysokim obcasie oraz wyszywane cekinami suknie z czarnego jedwabiu, tak kuse, że ledwo zakrywały ciało. Trzymając się pod rękę, Pearl i Ruby stanęły na dachu klatki, zagłuszone przez gwizdzących i wyjących jak wilki do księżycyca mężczyzn. Niemal natychmiast zostały stamtąd ściągnięte i postawione na obciążonym zieloną tkaniną stole, na którym usiadły, opierając się o nogi Potts'a i zalotnie na niego spoglądając. Tymczasem stojąca za nim Jube wtuliła jego potylicę pomiędzy swe jędrne piersi i łaskotała go boa po nosie.

Nie żebyśmy nie chciały, Nie żebyśmy nie umiały, Ani dlatego, żeby ktoś zakazał nam, Tylko dlatego, że leniwszych od nas nie zna świat.

Patrząc i słuchając, Agata była równie zgorszona jak oczarowana. Tyle nagości! Ale takiej zdrowej i pięknej.

— Chyba już nic więcej tu dzisiaj nie działyśmy — odezwała się Drusilla, wrywając Agatę z zamyślenia. —

Najwyższy czas przenieść się gdzie indziej.

Z trudem opierając się pokusie spojrzenia przez ramię, Agata ruszyła za pozostałymi. W następnym barze weszły od

razu do środka i szybko zdobyły pierwszy podpis. Jego autorem był Jed Hull, którego przeraziło pokazane mu przez Drusillę zdjęcie przytułku dla alkoholików na wyspie Blackwell.

Właściciel saloonu, Szkot Angus Reed, nie wierzył własnym oczom, widząc jak Hull daje się wyprowadzić za drzwi. Jednym susem przesadził bar i wrzasnął:

— Gdzie ty, do diabła, leziesz, Hull? Nie masz dość ikry, żeby się oprzeć zgrai bab, które powinny siedzieć w domu i zajmować się dziećmi?

Było już jednak za późno. Klnąc na czym świat stoi, Reed zaczął okładać kontuar mokrą ścierką.

Zachęcone tym pierwszym sukcesem, kobiety udały się do baru o nazwie „Przy Skrzyżowaniu Pastuchów”, w którym tego wieczora obniżono cenę whisky do dwudziestu centów za szklanekę, co skłoniło paru największych pijaków do rezygnacji z wizyty w Złotej Klatce. Właściciel, porywczy eks-poganiacz, przezywany w miasteczku Dingo, nabawił się w młodości reumatyzmu, nie był więc w stanie przeskoczyć kontuaru, za to przez cały czas był okropnie rozdrażniony. Wytoczył się zza beczulek i kopnął Bessie Hottle prosto w turniurę.

— Zabieraj stąd swój gruby tyłek i nie waż się tu więcej wracać!

Czerwona aż po uszy Bessie dała sygnał do odwrotu.

Kolejnym nawiedzonym przez nie lokalem był Alamo, gdzie Jennie Yoast i Addie Anderson natknęły się na swoich mężów, wszystkie zaś spotkały się z dzikim gniewem właściciela, półkrwi Meksykanina Jesusa Garcii, który widząc upokorzenie i sromotny odwrót swoich dwóch najlepszych klientów, obrzucił kobiety potokiem najgorszych hiszpańskich obelg.

Właściciele następnych trzech saloonów byli zbyt rozbawieni widokiem grupy kobiet śpiewających „Usta, które tkną whisky”, żeby protestować. Slim Tucker zaśmiewał się do rozpuku. Jim Starr zaproponował im po szklaneczce na koszt firmy. Jeff Diddier wlał w siebie podwójnego bourbona, wytarł usta i odśpiewał razem z nimi refren.

Właściciel saloonu „Pod Głową Cukru”, Mustard Smith, wyjął spod baru śrutówkę i dał im trzydzieści sekund na

wyjscie. W miasteczku krążyła plotka, że Smith zapuścił czarną brodę, by ukryć długą bliznę, ciągnącą się rzekomo od ucha do ucha. Nie miały ochoty sprawdzać, czy to prawda. Wszyscy wiedzieli, że Mustard zadawał się z gangiem B.B. Harlina, którego trzech członków znaleziono powieszonych przy torach kolejowych. Kiedy więc powiedział „Wynocha”, nie próbowały się sprzeciwić.

„Pod Rogiem i Kopytem” nie miały szczęścia. Bar świecił pustkami, stracił bowiem swoich nielicznych klientów na rzecz barwnego pokazu po drugiej stronie ulicy. Zmówiły więc tylko krótką modlitwę za zbawienie duszy Heustisa Dyara, po czym wyszły. Dyar stał, trzymając się pod boki, i z płonącym wzrokiem żuł cygaro, jakby to było surowe mięso.

W barze Ernsta Bostmeiera udało im się zdobyć drugi tego wieczora podpis, tym razem od klienta, który bywał tam dlatego, że do każdego piwa podawano darmowe jajko w marynacie. Kiedy wychodziły, rozzłoszczony Niemiec cisnął jajkiem, które minęło ramię Josephine Gili dosłownie o włos.

— Mam ich tu więcej! — krzyknął z niemieckim akcentem, wygrażając im pięścią. — A nie trafiłem tylko dlatego, że nie chciałem!

Wizyty w pozostałych saloonach minęły bez żadnych incydentów. Właściciele, barmani oraz klienci nie kryli uciechy na widok grupy zdziwaczałych starych panien i zbzikowanych gospodyń, które najwyraźniej miały w domu za mało roboty.

Było już sporo po jedenastej, kiedy Agata wspięła się po schodach i stanęła przed drzwiami swojego mieszkania. Z dołu wciąż dobiegały odgłosy zabawy, za to na podeście panowały egipskie ciemności. Zanim udało się jej otworzyć drzwi, trafiła dłonią na przyczepioną do nich kartkę papieru.

Serce stanęło jej w gardle. Odwróciła się i oparła o drzwi.

Nikogo nie było.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Wstrzymała oddech i przez dłuższą chwilę nasłuchiwała. Jedyнным dźwiękiem był odgłos zabawy w Złotej Klatce.

Gwałtownym ruchem zerwała kartkę. Pinezka spadła na podłogę i gdzieś się poturlała, lecz Agata nie marnowała czasu na jej szukanie, tylko szybko otworzyła drzwi i wśliznęła się do

środku. Jeszcze zanim zapaliła lampę, wiedziała, czego się spodziewać.

JEŻELI NIE CHCESZ MIEĆ KŁOPOTÓW, TRZYMAJ SIĘ Z DAŁA OD SALOONÓW.

Litery wykaligrafowano na czystej kartce białego papieru. Podeszła pośpiesznie do drzwi, zamknęła je na klucz, sprawdziła zamek, po czym oparła się o nie plecami i z ulgą odetchnęła. Rozejrzała się po wąskim pokoju — jedynymi meblami zdolnymi pomieścić dorosłego człowieka były łóżko i bielizniarka. Stała bez ruchu, nasłuchując oddechu, szmeru, czegokolwiek, jednakże stłumione dźwięki pianina i tak zagłuszałyby możliwe odgłosy. Uklękła i z drugiego końca pokoju zajrzała pod łóżko. Ciemności.

„Uspokój się, Gussie, przecież drzwi były zamknięte.”

Mimo to serce waliło jej jak młotem. Zbliżała się do łóżka, cal po calu, aż w końcu w świetle lampy zobaczyła, że poza kurzem niczego pod nim nie ma. Podniosła się, podeszła na palcach do bielizniarki i zatrzymała się z ręką na gałce. Jednym szarpnięciem otworzyła drzwiczki, po czym odetchnęła.

Tylko ubrania.

„A kogo się właściwie spodziewałaś?”

Zaciągnęła story, zarówno od frontu, jak i od tyłu, ale nawet kiedy już się rozebrała i położyła do łóżka, niepokój nie ustępował.

To mógł być praktycznie każdy z nich. Na przykład Angus Reed, który przeskoczył przez kontuar i wrzeszczał wściekle, kiedy zabierały mu jednego z klientów. Albo ten stary kowboj Dingo — ludzie mówili, że jak reumatyzm da mu się nieco bardziej we znaki, staje się drażliwy niczym rozjuszony skunks. A może Garcia? Był wyraźnie zły widząc, jak dwaj stali bywalcy jego baru wracają do domu, przepędzeni przez żony. Bostmeier, ten Niemiec? To jakoś nie wydawało jej się prawdopodobne. Uśmiechnęła się w ciemności na wspomnienie lecącego jajka. Gdyby Bostmeier chciał kogoś zastraszyć, zrobiłby to osobiście. Śrutówka. Jeżeli to prawda, jeżeli Smith rzeczywiście zadawał się z gangiem B.B. Harlina, jeżeli wszyscy zostali powieszani, a tylko on zdołał się uratować, to czego właściwie można się po nim spodziewać?

Zastanawiała się po kolei nad wszystkimi pozostałymi: Dyarem, Tuckerem, Starrem, Didierem i całą resztą, doszła jednak do wniosku, że raczej nie wchodzą w grę, bo przecież nie traktują stowarzyszenia poważnie.

Więc może Gandy? Leżąc na plecach, skrzyżowała ramiona na piersiach.

Gandy?

Tak, właśnie Gandy.

Gandy z tymi swoimi dołączkami i „Dobry wieczór paniom”? Właśnie tak.

Ale przecież nie ma powodu.

Jest właścicielem baru. Prosperującego najlepiej ze wszystkich w mieście. Chwilowo.

Jest zbyt pewny siebie, żeby posunąć się do gróźb. Tak? A wczoraj wieczorem na schodach? Chyba nie sądzisz... że zamierzał... A sama tak nie myślałaś?

Ale przecież dzisiaj wieczorem był dla nas taki miły i sama widziałam, że był wściekły na Alvisa Collinsona, kiedy popchnął Evelyn.

Szczwany lis.

Co ty powiesz?

Wątpisz w to?

Za nic w świecie nie uwierzę, że to Gandy. Sama zobacz, Agato, do czego zdolny jest człowiek na widok dziesięciu złotych monet.

Ostatni goście opuścili Złotą Klatkę o północy. Dan Loretto poszedł do domu. Marcus Delahunt wypolerował gryf swojego bandžo i schował je do wyłożonego aksamitem futerału. Ivory Culhane zamknął pianino. Jack Hogg zabrał się do mycia szklanek. Pearl przeciągała się, Ruby ziewała, a Jubilee siedziała wpatrzona w Gandy'ego, który właśnie zamykał drzwi. Kiedy się do niej odwrócił, uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech, przeciskając się ku niej pomiędzy stolikami.

— Z czego się tak cieszysz?

Wzruszyła ramionami i razem z nim ruszyła w stronę kontuaru.

— Dobrze być znowu razem. No nie? — zwróciła się do pozostałych. — Dobrze, że jesteśmy już wszyscy razem.

— Podeszła do Ivory'ego i serdecznie go uścisnęła. — Kurczę, nigdy nie przypuszczałam, że będę za kimś tak bardzo tęsknić.

— Za mną też? — wtrącił Jack Hogg.

Jubilee wychyliła się przez kontuar, przytuliła go i cmoknęła w policzek.

— Pewnie, że tak, Jack. — Położyła łokcie na lśniącym mahoniowym blacie i oparła podbródek o splecione dłonie.

— Co robiliście przez ten czas?

Gandy przyglądał się zebranej przy kontuarze grupie. Jack, Marcus, Ivory, Pearl, Ruby i Jubilee — jedyna rodzina, jaka mu została. Banda samotników, z których każdy nosił jakąś zabliźnioną ranę. Nie wszystkie te blizny były tak widoczne jak u Jacka, ale tak czy owak istniały. Kiedy przed dwoma laty zebrał ich po wybuchu na parowcu, stało się coś magicznego: poczuł z nimi jedność ducha, więź przyjaźni, która nagle wypełniła pustkę w ich życiu. Powierzchność nie grała żadnej roli, kolor skóry czy też piękno twarzy nie miały znaczenia. Liczyło się tylko to, co każdy z nich wniósł do grupy. Nie byli ze sobą przez zaledwie miesiąc, tyle bowiem czasu zajęło mu doprowadzenie Złotej Klatki do stanu używalności, a wydawało mu się, że trwało to co najmniej dwa razy dłużej.

— Byłam w Nowym Orleanie odwiedzić dziewczyny na łajbie, na której pracowałam — odezwała się Pearl.

— Świetnie, pod warunkiem że nie kusiło cię, żeby tam zostać — zauważył Ivory.

— Zostać? Za nic w świecie! — Roześmiała się, a razem z nią pozostali. — Byłeś w Louisville u doktora, Jack?

— Pewnie, że tak. — Jack zdjął biały fartuch i przerzucił go przez kontuar. — Powiedział, że jeszcze trochę i będzie ze mnie taki sam przystojniak jak ze Scotty'ego.

Znowu się roześmiali. Ruby odwróciła się i zarzuciła Gandy'emu rękę na szyję.

— A po co ci taka twarz? Jak na mój gust jest cokolwiek bezbarwna.

Blizna na twarzy Jacka poczerwieniała, kiedy roześmiał się wraz z pozostałymi.

— A ty co porabiałaś, Ruby?

— Pojechałam do Waverley na grób mamy.

Oczy wszystkich skierowały się ku Gandy'emu, on jednak nie zdradził swoich uczuć.

— Jak tam teraz jest? — spytał.

— Wszystko zarosło. W chatach zostało jeszcze paru dawnych mieszkańców. Coś tam uprawiają, jakoś sobie radzą. Leatrice też tam siedzi i czeka, Bóg raczy wiedzieć na co.

Słyszając tę nowinę, Gandy poczuł nagły przypływ nostalgii.

— Ucałowałaś ją ode mnie? — spytał tylko.

— Oczywiście, że nie. Chcesz ją ucałować, to sam tam jedź.

Zamyślił się na chwilę, po czym odparł:

— Może kiedyś.

Jubilee stała koło Marcusa, opierając się o niego.

— Marcus i ja musieliśmy dopilnować, żeby klatka była taka, jak należy. Poza tym, zanim spotkaliśmy się w Natchez z dziewczętami, pracowaliśmy tu i tam. Występowaliśmy w takiej knajpce. Nazywała się „Pod Srebrnym Pantofelkiem”. Strasznie chcieli nas tam zatrzymać, no nie, Marcus?, bo co wieczór przyciągaliśmy im tłumy klientów.

Marcus uśmiechnął się, skinął głową i wykonał ruchy, przypominające liczenie banknotów. I znów wszyscy się roześmiali.

— Jak myślisz, Marcus? — Jubilee przylgnęła do jego ramienia, uśmiechając się zadziornie do Gandy'ego. — Może powinniśmy wyruszyć w obchód po tutejszych barach i zaproponować im swoje usługi?

— Tylko spróbujcie — odparł Gandy, celując z palca jak z pistoletu w jej śliczny różowy nosek.

— A ty, Ivory? — spytała Pearl.

— Ja byłem z szefem. Musiałem dopilnować transportu i strojenia pianina. Poza tym było sporo do roboty. Trzeba było przytaszczyć i powiesić obraz. — Uniósł brew i rzucił okiem na nagą piękność. — Jak wam się podoba?

Mężczyźni uśmiechnęli się z uznaniem. Dziewczyny spojrzały w bok i skrzywiły się z wyższością.

— Z takimi udami — odezwała się Pearl — nie byłaby w stanie strącić kapelusza nawet z krzesła, nie mówiąc już o głowie faceta, prawda, Ruby?

— Pewnie — zgodziła się Ruby. — Założę się, że śpiewać też nie umie.

— A nie wydaje się wam—dorzuciła Jube — że biedactwo jest delikatnie mówiąc przytęgawe?

Wchodząc na górę, wszyscy tryskali humorami. Ivory i Jack zniknęli za drzwiami pierwszego pokoju po lewej. Marcus wszedł do następnego. Pearl i Ruby mieszkały zaraz za zapadnią, nad którą znajdowała się teraz klatka. Jubilee i Scotty zostali sami.

Jube weszła do pokoju i zapaliła lampę, podczas gdy Gandy został w progu.

— Ładny pokój, Scotty. Dzięki. Wzruszył tylko ramionami.

Rzuciła biały szal na różową sofę z owalnym oparciem.

— Okno z widokiem na ulicę. — Przemierzyła pokój, oparła się dłońmi o parapet i spojrzała w dół, na rząd latarni. Po chwili przez ramię zerknęła na Scotta, który nadal stał w progu. — Podoba mi się tutaj.

Skinął głową. Przyjemnie było na nią popatrzeć. Była śliczną dziewczyną i bardzo się za nią stęsknił.

— Uff! — odwróciła się, wyciągając ręce w górę i rozluźniając mięśnie. — To był długi dzień. — Wyciągnęła pióro z włosów, odłożyła je i sięgnęła po haczyk do guzików. — Pomożesz mi ściągnąć buty? — spytała cicho, opadając na sofę.

Przez kilka sekund stał bez ruchu. Ich oczy wymieniały sygnały. W końcu nieśpiesznie oderwał ramię od framugi, przeszedł przez pokój i ukląkł przed Jube na jednym kolanie. Ułożył sobie jej but na podołku i powoli rozpiął guziki. Nie unosząc wzroku, spytał:

— I jak poszło w Natchez? Nie wpadł ci w oko żaden przystojniaczek?

Spojrzała na jego czarne włosy.

— Nie. A tobie?

— Nie.

— Żadna świeżo opierzona ślicznotka z Kansas? Prosto od mamusi?

Zdjął jej pierwszy but, rzucił go na ziemię i uśmiechając się spojrzał do góry.

— Żadna — odparł.

Zabrał się za drugi but, Jube zaś przyglądała się jego dłoniom, wykonującym tę intymną czynność. W świetle lampy sygnet lśnił na tle ciemnej skóry.

— Ani żadna usychająca z tęsknoty wdowa, samotna od zakończenia wojny?

Kiedy ponownie spojrział w jej oczy w kształcie migdałów, w jego policzkach pojawiły się dołeczki.

— Wdowy w Kansas nie chcą mieć nic wspólnego z szulerami, którzy zjawiają się w mieście, żeby otworzyć bar.

Przejechała mu palcami po włosach, tuż nad prawym uchem.

— Niech mnie diabli, jeśli nie jesteśmy z jednej gliny. Tak się składa, że mamuśki w Natchez też nie za bardzo chcą, żeby ich synowie zadawali się z jakimiś tam tancerkami o bogatej przeszłości.

Rzucił drugi but, ucałował palce jej stóp i pogładził je kciukiem.

— Tęskniłem za tobą, Jube.

— Ja za tobą też, kanciarzu.

— Chcesz przyjść do mojego pokoju?

— Spróbuj tylko mnie powstrzymać.

Wstał, podał Jube rękę i poprowadził koło zdobionego tkaniną parawanu. Ściągnął z niego szlafrok i zarzucił sobie na ramię.

— Weź lampę — powiedział. — Nie będzie tu dzisiaj potrzebna.

Drzwi na drugim końcu korytarza były lekko uchylone, a Marcus patrzył, jak światło odbija się od ścian korytarza.

Przez pręty klatki zobaczył, że Scotty prowadzi Jube za rękę. Jej włosy lśniły tak mocno, że zdawało się, iż same z łatwością oświetliłyby cały korytarz. Wciąż miała na sobie białą suknię ukazującą nagie wiotkie ramiona. Kroczyła za Scottym, a Marcus zastanawiał się, jakie to uczucie trzymać ją za rękę? Prowadzić bosą do łóżka? Wyjąć spinki z tych śnieżnobiałych włosów i czuć, jak rozlewają się w dłoniach?

Zastanawiał się nad tym wszystkim już od pierwszego spotkania. Przez cały ubiegły miesiąc, kiedy podróżowali tylko we dwoje, Jubilee nie raz go dotknęła. Lecz przecież dotykała każdego, bez żadnych ceregieli, dotyk bowiem nie znaczył dla

niej tak wiele, jak dla Marcusa. Tego wieczora na przykład objęła go. Nigdy wszakże nawet nie podejrzewała, co się dzieje w jego wnętrzu, kiedy dotyka jego łokcia albo poprawia mu klapę marynarki. Albo — przede wszystkim wtedy — kiedy całuje go w policzek.

Cmokała ich, kiedy tylko przyszła jej na to ochota. Jacka pocałowała zaledwie pół godziny wcześniej. Wszyscy wiedzieli, że taka po prostu jest.

Jednakże nikt nie wiedział o skrywanych cierpieniach Marcusa Delahunta.

Często kładł Jube rękę na ramię, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, dotyk jej ciała nie był mu więc obcy. Czasami, kiedy odwracała się, żeby patrzeć, jak przekazuje jej niemą wiadomość, o wszystkim na chwilę zapominał. Spojrzeć w oczy Jube, w te cudowne jasnopiwne drzwi do jej duszy, znaczyło utracić własną. Jakże często marzył o tym, by móc jej powiedzieć, jak bardzo jest piękna. Zamknięty w wiecznym milczeniu, mógł tylko o tym rozmyślać. Często grał jej to na bandžo, lecz Jube słyszała tylko nuty.

Drzwi do pokoju Scotty'ego zamknęły się. Marcus wyobrażał sobie, jak rozbiera Jube, kładzie ją na łóżku, mruczy jej do ucha czułe słówka, mówi tysiące rzeczy, które on sam chciałby jej powiedzieć. Zastanawiał się, czy człowiek czuje wydobywający mu się z gardła dźwięk, czy śmiech jest czymś więcej niż tylko drzeniem klatki piersiowej, jak to jest, kiedy się szepce.

Żeby kochać kobietę, mężczyzna musi umieć robić wszystkie te rzeczy.

Wyobrażał sobie, jak robi je Scotty. Marcus wiedział, że nikt inny nie jest dla niej dość dobry. Jej blade piękno zasługiwało na kogoś tak przystojnego jak Scotty. Radosny śmiech zasługiwał na zadziorny grymas. A doskonałe ciało potrzebowało drugiego, równie doskonałego.

Co właściwie mówi się najpierw?

Jesteś piękna.

Co się robi?

Dotyka — policzka, ust, anielskich włosów.

A co się wtedy czuje?

Że ma się u stóp cały świat.

Jube... Jube...

— Poczekaj, Jube, ja to zrobię — mówił Scotty w pokoju na drugim końcu korytarza. Robił wszystko to, o czym Marcus Delahunt mógł jedynie marzyć. Najpierw wyjął, jedną po drugiej, spinki z włosów Jube, pozwalając, by rozlały się na mlecznobiałych ramionach. Rozpiął jej suknię, rozwinął gorset, a potem stał wpatrzony w długonogie ciało, kiedy uwalniała się z podwiązek i pończoch. Wreszcie odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję, a wtedy położył dłonie na jej piersiach i ucałował czarny pieprzyk — ten, o którym wszyscy inni myśleli, że jest sztuczny. Całował namiętnie jej głodne usta i pieścił tak, że na jakiś czas zapomnieli o samotności. Położył ją na łóżku, mruzczał czułe słówka, powiedział, jak bardzo za nią tęsknił i jak się cieszy, że są znowu razem. A potem połączył ich ciała najintymniejszą z pieścot i znalazł w niej lekarstwo na pustkę. A kiedy już było po wszystkim, umył ją i siebie, później mocno przytulił w tym wielkim miękkim łóżku i zasnął z jej piersią w dłoni. Lecz żadne z nich ani razu nie powiedziało „kocham”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsze stado teksańskich longhornów pojawiło się w miasteczku następnego dnia. Hałaśliwe i uparte, szły poganiane przez mężczyzn, którzy spędzili trzy miesiące w siodle na zakurzonym, suchym szlaku. Zarówno zwierzęta, jak i poganiacze byli brudni, spragnieni, głodni i zmęczeni, Proffitt zaś gotowe na ich przyjęcie. Przesadnie szerokie ulice zaprojektowano tak, żeby pomieściły stada nie wzbudzających sympatii zwierząt, których rogi były dwa razy szersze niż ciała, i żeby prowadzący je wycieńczeni teksańscy kowboje mieli gdzie rozładować frustrację.

Agata z okna zakładu obserwowała dwóch chłopców biegnących ulicą, po raz ostatni na dłuższy czas. Z oddali, z drugiego końca miasta, dochodził już stukot kopyt.

— Już są — powiedziała z rezygnacją w głosie.

Stado przemierzało Proffitt z zachodu na wschód. Była to niestała, dryfująca, czasami niemożliwa do opanowania masa mięsa, tworząca czerwono-brązowo-biało-szary strumień, który sięgał aż po horyzont. Po bokach jechali konno poganiacze, twardzi niczym setki mil szlaku, który przebyli. Zmęczeni jazdą i samotni, pragnęli tylko trzech rzeczy: alkoholu, kąpieli i kobiety, na ogół w takiej właśnie kolejności.

Spędziwszy zimę w Memphis, St. Louis albo Nowym Orleanie, prostytutki powróciły już do domów publicznych mieszczących się na zachodnich krańcach miasta i wystrojone w koszule nocne oraz kuse gorsety stały na otoczonych

barierkami dachach albo wychylały się z okien, machając i nawołując.

— Hej ty, kowboju! Nie zapomnij wstąpić do Crystal!

— Masz dosyć siodła, kowboju? Małeńka Delilah ma coś miększego, na czym też będziesz mógł sobie pojeździć.

— Zajrzyj no tu, do góry, wielkoludzie! Hej! Widzisz tę brodę, Betsy? Słuchaj no! Tylko nie zgoł brody, wielkoludzie. Uwiewe-e-lbiam brody!

Wyczerpani kowboje stali w siodłach i odpowiadali prostytutkom, błyskając białymi zębami.

— Jak się nazywasz, królewno?

— Lucy! Wystarczy, że spytasz o Lucy!

— Grzej tyłek, Lucy! Wielki Luke wkrótce cię odwiedzi! Bydło przelewało się ulicą, objijając się o barierki, niekiedy wskakując nawet na drewniany chodnik. Głupie i nieposłuszne, zwierzęta przypominały sobie czasami o swej dzikiej nieposkromionej naturze i szarżowały na otwarte drzwi barów, tłukąc rogami okna i tratując wszystko, co weszło im w drogę.

— Tak oto kończy się spokojne lato — narzekła Agata, kiedy drzwi jej zakładu minął pierwszy byk.

— Moim zdaniem to ekscytujące. — Oczy Violet świeciły radośnie.

— Ekscytujące?! Ten kurz, hałas i odór?

— Przecież wcale nie ma kurzu.

— Ale będzie. Jak tylko wyschnie błoto.

— Wiesz co, Agato? Czasami sama już nie wiem, czy jest coś, z czego potrafisz się cieszyć.

W tym momencie Scott Gandy i Jack Hogg stanęli przed barem, żeby przyjrzeć się masie bydła.

Hogg miał na sobie wykrochmalony biały fartuch, Gandy te same co zwykle czarne spodnie i koralową kamizelkę.

Był bez surduta; z rękawami koszuli podwiniętymi nad łokcie stał opierając nogę o balustradę.

Violet wychyliła się i przekrzykując hałas zawołała:

— Dzień dobry, panie Gandy! Odwrócił się i zdjął stopę z balustrady.

— Dzień dobry, panno Parsons.

— Lepiej niech pan uważa. Tym stworzeniom przychodzi czasami do głów, żeby odwiedzić któryś z barów.

Uśmiechnął się.

— Będę uważał. Wielkie dzięki za ostrzeżenie. — Przedpołudniowe słońce oświetliło mu buty i spodnie, ale na głowę i tułów padał cień dachu. Jego wzrok spoczął na Agacie, kryjącej się za Violet. — Dzień dobry, panno Downing

— odezwał się chłodno, uchylając kapelusza.

Ich spojrzenia zderzyły się na krótką chwilę. Czy to on? Niewątpliwie miał najbliżej i w dowolnym momencie, kiedy jej nie było, mógł wyjść na chwilę z baru, wbiec po schodach i przyczepić do drzwi kartkę. Czy można go jednak podejrzewać o taką dwulicowość? Kiedy tak stał z twarzą ozdobioną dołeczkami, a poranne słońce odbijało się od koralowej kamizelki i oświetlało mu od dołu podbródek, z całą pewnością nie wyglądał złowrogo. Mimo to Agata nie była pewna. Skinęła głową.

— Zamknij drzwi, Violet.

— Ależ Agato...

— Zamknij. Od tego hałasu boli mnie głowa. A smród jest po prostu nie do zniesienia.

— Panna Downing chyba niezbyt nas lubi — zauważył Jack Hogg, kiedy drzwi się zamknęły.

— Delikatnie mówiąc.

— Jak myślisz, czy ona i to jej stowarzyszenie mogą nam zaszkodzić?

Gandy ponownie oparł stopę o barierkę i sięgnął do kieszeni kamizelki po cygaro.

— Nie, przynajmniej dopóki mamy Jube i dziewczęta.

— Jego wzrok podążył za górującym nad stadem bydlą jeźdźcem, który wymachiwał kapeluszem i głośno przeklinał.

— Ci kowboje będą się bić o miejsca stojące w Złotej Klatce. W oczach Hogga pojawiły się wesołe ogniki, a nie zniekształcony kącik ust lekko się uniósł.

— Wczoraj wieczorem na widok Jube paru osobom oczy wyszły na wierzch. Widziałeś, jak ta Downing gapiała się, kiedy Jube wyszła z klatki?

Gandy zapalił cygaro i roześmiał się.

— Nie, nie zauważyłem.

— Aha, akurat. Bawiłeś się tak samo dobrze jak ja.

— Pamiętam tylko, że od czasu do czasu zerkalała ponad drzwiami i sprawiała wrażenie lekko zainteresowanej.

— Chciałeś powiedzieć wstrząśniętej.

W odpowiedzi Gandy znowu się roześmiał.

— Przypuszczam, że zobaczyła więcej ciała, niż kiedykolwiek zdarzyło się jej widzieć u siebie.

Gandy zaciągnął się głęboko, po czym wypuścił chmurę dymu.

— Może — zgodził się.

— Ktoś taki jak ona na czele grupy kobiet, które mają w głowach tylko walkę o abstynencję, może narobić niezłego zamieszania.

Gandy kopnął w spróchniałą deskę chodnika. Obciągnąwszy kamizelkę, objął cygaro jednym palcem, po czym zwrócił się twarzą do Jacka Hogga.

— Nie zaprzatajcie sobie głowy panną Agatą Downing. Sam się nią zajmę.

Bydło hałasowało przez cały dzień, czyniąc z Proffitt pulsującą masę kopyt, skóry i rogów. Usytuowane obok torów kolejowych zagrody z bydłem rozciągały się w głąb prerii niczym jakaś nieskończona obłąkana kołdra. Coraz to nowe pociągi zjawiały się puste, a odjeżdżały wypełnione po brzegi, kierując się ku rzeźniom w Kansas City. Stukot kopyt o rampy od wschodu do zachodu słońca nie milkł ani na chwilę. Poganiacze siedzieli okrakiem na barierkach albo spacerowali wzdłuż nich i długimi żerdziami dźgali i szturchali zwierzęta, zachęcając je w ten sposób do szybszego ruchu. Dopiero kiedy ostatnia sztuka bydła została przeliczona, chowali notesy do kieszeni kamizelek i inkasowali należność.

Zdecydowani wydać co do centa swoje sto dolarów, brali Proffitt prawdziwym szturmem. Najpierw uderzali do barów, później do sklepów z odzieżą. Najbardziej zatłoczonym miejscem w całym miasteczku była publiczna łaźnia, w której za ćwierć dolara mogli się zanurzyć, niektórzy nawet się nie rozbierając, w balii gorącej wody. Zdzierali brudne połatane bryczesy, żeby przebrać się w nowe, sztywne levi straussy oraz szeleszczące świeżością koszule z karczkiem i rzędem perłowych guzików. W salonie fryzjerskim Stubena rozsiadali się wygodnie i zamawiali strzyżenie oraz dokładne golenie — pierwsze od trzech miesięcy. Później wiązali kolorowe chustki na szyi i wyruszali na poszukiwanie kobiet i whisky. Pachnąc indygo i pomadą do włosów, niektórzy w nowych stetsonach, na które wydali trzecią część zarobku, inni zaś

w nowych butach, które kosztowały połowę, odwiedzali Delilah, Crystal i Lucy, u których na podwórkach stały znaki ostrzegawcze: NIE WYKĄPANYM WSTĘP WZBRONIONY.

W związku z tym, że liczba mieszkańców miasteczka wzrosła w ciągu jednego dnia ze skromnych dwustu osób do około tysiąca pięciuset, kasy sklepowe dzwoniły niczym młoty w kuźni Gotthęima. We wszystkich trzech stajniach Proffitt ruch panował większy niż w mrowisku. Uprzęży w tym okresie sprzedano tyle, że można by ją rozciągnąć przez cały stan. W Chacie Poganiaczy, oferującej prawdziwe materace i poduszki, wszystkie pokoje były zajęte. U Halorhana i Longhorna sprzedano dość tytoniu Bull Durham, żeby wypełnić nim okazałą stodołę, a męska bielizna zdawała się wychodzić ze sklepów na własnych nogach. Jednakże spośród wszystkich instytucji w mieście jedenaście prosperowało jeszcze lepiej niż pozostałe. Jedenastu właścicieli jedenastu barów mogło spokojnie opierać się o ścianę i patrzeć, jak kasując po ćwierć dolara za szklaneczkę whisky, dokładnie tyle samo za partyjkę keno i pięć centów za cygaro marki Lazo Victoria, przez noc stają się prawdziwymi bogaczami.

Członkinie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji przekonały się na własnej skórze, że takiej prosperity trudno się przeciwstawić. Pierwszego wieczora po przybyciu poganiaczy podzieliły się na niewielkie grupki i wyruszyły do wszystkich jedenastu barów szukać chętnych do złożenia podpisu na deklaracji abstynencji. Grupa Agaty skierowała swe kroki do Złotej Klatki. Chociaż starały się zwrócić na siebie uwagę kowbojów, okazało się to po prostu niewykonalne. Zbyt byli zajęci wlewaniem whisky do gardeł. Kiedy przy barze zapanował taki tłok, że nie mogli się wokół niego pomieścić wszyscy chętni, pijący utworzyli podwójną flankę. Padało hasło „Ognia i do odwrotu!”, po którym szklanki opróżniano, a o miejsce przy barze zaczynała walczyć druga grupa. Kiedy pojawiły się Jubilee, Pearl i Ruby, hałas stał się nie do wytrzymania, a klienci baru przestali zwracać uwagę na cokolwiek innego. Agata doszła do wniosku, że dalsze próby zdobywania podpisu z góry skazane są na niepowodzenie, i odesłała kobiety do domu.

Wróciwszy do siebie, usiadła nad książką, którą dostała od Drusilli Wilson: „Dziesięć wieczorów w barze” T.S. Arthura. Była to opowieść o Joem Morganie, człowieku dobrym, lecz słabym psychicznie, często odwiedzającym bar prowadzony przez chciwego i bezwzględneho Simona Slade'a. Z biegiem czasu Joe staje się nałogowym alkoholikiem i traci nędzne resztki woli. Pozbawiony jakichkolwiek ambicji jest coraz bardziej nieodpowiedzialny i właściwie nie opuszcza baru, mimo że jego córka Mary przychodzi i błaga, by wrócił do domu. Któregoś dnia nieszczęsna Mary dostaje w głowę kuflem rzuconym w jej ojca przez Slade'a. Dziewczyna umiera. Zaledwie parę dni później w mękach *delirium tremens* umiera także Joe. Jego żona traci męża, jedyne dziecko i cały majątek. Historia ta wprawiła Agatę w przygnębienie. Wsłuchana w muzykę i radosny gwar, dochodzące z dołu, próbowała wyobrazić sobie Gandy'ego jako jeszcze jednego Simona Slade'a. Bezskutecznie. W książce Slade został przedstawiony jako bezgranicznie chciwy i pozbawiony odrobiny dobrych manier obleśny typ z zaniedbanymi bokobrodami. Gandy nie miał z nim nic wspólnego. Był kulturalny, czysty aż do przesady, na dodatek hojny. A przecież, choć trudno jej było walczyć z mężczyzną tak czarującym, wiedziała, że nie ma wyboru. Jednakże nie bez odpowiedniej amunicji. Pikiety w barach zostały zawieszane na następnych kilka dni, do czasu aż Joseph Zeller wydrukuje zamówione materiały. Kiedy to zrobił, Agata posłała Violet, skarbnika stowarzyszenia, po ich odbiór. Nadała depezę do wydawcy z prośbą o dodatkowe egzemplarze „Dziesięciu wieczorów w barze”. Uważnie przestudiowała najnowszy numer „The Temperance Banner”, robiąc notatki i czerpiąc zeń pomysły, możliwe do wykorzystania na miejscu. Oprócz tego napisała dwa listy: jeden do gubernatora Johna P. St. Johna, popierający jego inicjatywę, której celem było wprowadzenie w Kansas prohibicji, drugi do Pierwszej Damy, Lucy Hayes, z podziękowaniem za pomoc dla ruchu antyalkoholowego i wprowadzenie w Białym Domu zakazu podawania napojów alkoholowych na okres kadencji jej męża Rutherforda. Zrobiwszy to wszystko, Agata poczuła się zdecydowanie lepiej. Dotąd wydawało się jej, że wobec wielości atrakcji

proponowanych przez właściciela Złotej Klatki jest bezradna. Teraz wszakże była pewna, że ulotki pomogą, a każdy, kto przeczyta „Dziesięć wieczorów”, będzie wstrząśnięty. Również wysłane listy dały jej swoiste poczucie siły, jako przedstawicielce nie opuszczających w trudnej sytuacji rąk Amerykanów.

Minęły trzy dni, odkąd po raz ostatni widziała Gandy'ego. Oprócz działalności w stowarzyszeniu była zajęta pracą w warsztacie, albowiem dostała w końcu nowe zamówienia. Między innymi dwóch kowbojów zamówiło „dla matek” słomiane kapelusze z szerokimi rondami. „Dla matek” — parsknęła Agata, przypomniawszy sobie, z jaką powagą tłumaczyli, dla kogo mają być te kapelusze. Żadna matka nie włożyłaby na głowę słomkowego kapelusza z wyzywającym jedwabnym ogonem, sięgającym mniej więcej połowy pleców. Agata nie miała wątpliwości, że prędzej czy później zobaczy swe dzieła na głowach miejscowych ladacznic.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi.

Zanim do nich doszła, w progu stanął Calvin Looby, goniec ze stacji kolejowej, w biało-granatowej czapce kolejar-skiej i małych okularach w drucianej oprawie. Jego broda sprawiała wrażenie, jakby wyróżnął nią w kowadło, przez co cofnęła się o dobre dwa cale, zęby przypominały igły, wargi miał wąskie i prawie niewidoczne. Agata zawsze mu współczuła tego wyjątkowo nieatrakcyjnego wyglądu.

— Dostawa dla pani, panno Downing.

— Dostawa?

— Aha. — Na wszelki wypadek raz jeszcze sprawdził w dokumentach. — Z Filadelfii.

— Ale ja stamtąd niczego nie zamawiałam. Calvin zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

— To ciekawe. Przecież tu stoi jak byk: Agata Downing. Widzi pani?

Rzuciła okiem na kartkę.

— Rzeczywiście. To jednak musi być jakaś pomyłka.

— No to co mam z tym zrobić? Kolej dostarczyła przesyłkę do miejsca przeznaczenia. Za nic więcej nie odpowiadamy. Jeśli każe pani odwieźć to na stację, będę musiał panią obciążyć kosztami.

— Obciążyć? Mnie? Ale przecież...

— Takie są przepisy.

— Ja tego nie zamawiałam.

— Więc może panna Violet? Jak pani myśli, może to ona?

— Jestem pewna, że nie. Violet nigdy nie składa zamówień na moje nazwisko.

— W takim razie nic z tego wszystkiego nie rozumiem. — Calvin spojrzął przez ramię na podwórze. — Więc co mam z tym zrobić?

— A wie pan chociaż, co to takiego?

— Na kartonie jest napis: „Opatentowana maszyna do szycia Isaaca Singera”.

— Ma... — Serce Agaty zaczęło walić jak młotem. Natychmiast wyszła za próg. Przed drzwiami zobaczyła starą ospałą sroką klacz, zaprzęgniętą do zielonego wozu, na którym na tle szopy oraz „wygodki” stała solidna drewniana skrzynia.

— Ale jak... kto...?

I nagle się domyśliła. Spojrzała na tył budynku. Na podeście nie było wprawdzie nikogo, miała jednak wrażenie, że Gandy kryje się gdzieś za zasłoną i śmieje z jej zakłopotania. Zajrzała w pojedyncze okno jego biura. Tam też go nie było.

— A jeżeli zabierze pan tę przesyłkę — zwróciła się do Calvina — co się z nią stanie? — Podeszła bliżej pudła, nie potrafiąc oprzeć się pokusie.

— Wsadzimy ją w najbliższy pociąg do Filadelfii. To za duży grat, żebyśmy mogli marnować na niego miejsce w magazynie.

Stała koło wozu, wyciągnęła rękę i dotknęła skrzyni. Była ciepła od południowego słońca. Pragnęła tej maszyny z pogańską siłą, w której istnienie jeszcze poprzedniego dnia by nie uwierzyła. Dzięki Gandy'emu miała pieniądze, lecz ich wydanie zdawało się ostatecznością. Byłby to swego rodzaju pakt z diabłem. Bóg jednak świadkiem, że dzięki takiej maszynie jej podupadający zakład stanąłby pewnie na nogi.

Zwróciła się do Calvina, ściskając dłonie.

— Jaka dokładnie jest opłata za dostawę? Calvin ponownie zajrzał w papiery.

— Nic tu o tym nie ma. Pisze tylko, dokąd przesyłka ma zostać dostarczona.

Katalog wisiał na ścianie już od dawna. A jeśli w tym czasie cena poszła w górę?

Podjęła szybką decyzję.

— Czy byłby pan tak miły i wniósł tę skrzynię do środka? Być może znajdę w niej coś, co wyjaśni całą tę sprawę.

— Zrobi się, panno Downing.

Calvin wspiął się na wóz i zestawiał pudło na niewielki wózek, który następnie wtoczył przez tylne drzwi do warsztatu. W środku zdjął drewnianą pokrywę za pomocą młotka z pazurem. Na samym wierzchu leżał rachunek, w poprzek którego przystawiono dużą pieczęć OPLATA WNIESIONA W CAŁOŚCI.

Agata spoglądała to na rachunek, to na Calvina.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

— Wygląda na to, panno Downing, że ktoś zrobił pani prezent. To ci dopiero. Ciekawe kto?

Agata utkwiała wzrok w dokument.

Gandy? Ale co nim kierowało? Tamte trzy suknie do kankana? Być może. Lecz przecież ten nikczemnik mógł mieć co najmniej kilka innych powodów. Łapówka. Próba wybielenia się w jej oczach. Doprowadzenie do przewrotu w stowarzyszeniu.

Jeśli to miała być łapówka, Agata nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Już teraz czuła się nieswojo, że przyjęła od niego tak wysoką zapłatę za czerwoną narzutę na klatkę.

Jeśli chciał odwrócić jej uwagę od swojej wieczornej działalności, wydawało się dziwne, że zdecydował się wydać na ten cel aż tyle pieniędzy.

Może więc próba doprowadzenia do przewrotu? Czyżby był do tego stopnia podły i przebiegły, żeby usiłować podważyć jej pozycję w stowarzyszeniu za pomocą sugestii, że pozwoliła sobie na prowadzenie interesów z wrogiem? Jakoś nie mogła w to uwierzyć.

A może wciąż ma wyrzuty sumienia, że wepchnął ją wtedy w błoto? „Nie bądź głupia, Agato.” Tak, rzeczywiście tamtego dnia wyglądał na zawstydzonego, lecz to przecież szuler, który potrafi przybrać dowolną minę, jaką tylko uzna w danej chwili za najbardziej odpowiednią.

Pozostawała, oczywiście, jeszcze jedna możliwość. Wolny rynek. Ubrane w czerwone suknie do kankana dziewczęta

z całą pewnością zwabiłyby jeszcze więcej klientów do wypolerowanego brzuchami mahoniowego baru. Może Gandy'ego podnieca myśl o ściągnięciu do saloonu więcej gości, niż jest on w stanie pomieścić? A może duch współzawodnictwa i czysta przekora każą mu dążyć do tego, by Złota Klatka panowała niepodzielnie pośród wszystkich miejscowych lokali?

Na samą tę myśl Agata uśmiechnęła się. Natychmiast jednak przywołała się do porządku. Wiedziała, że niezależnie od motywów Gandy'ego nie wolno jej wchodzić z nim w konszachty.

— Proszę przybić pokrywę, panie Looby, i zabrać skrzynię z powrotem na stację.

— Jak pani sobie życzy.

— Sądzę, że wiem, kto to zamówił. Niech on pokryje wszystkie koszty.

— Tak, proszę pani. — Dopasował pokrywę i chwycił za młotek.

— Chwileczkę. Niech pan zaczeka. Looby skrzywił się niecierpliwie.

— Tak? O co chodzi?

— Chcę ją zobaczyć. Tylko rzucić okiem. Potem może ją pan zabrać.

To jedno jedyne spojrzenie okazało się fatalne w skutkach. Nikt, kto zajmował się szyciem tak długo jak Agata, nie mógł patrzeć na ten cudowny wytwór amerykańskiej wynalazczości i nie zapragnąć go natychmiast z całego serca. Czarna farba połyskiwała. Złoczone logo lśniło. Srebrzyste koło zamachowe kusilo.

— Wie pan co, zmieniłam zdanie. Proszę ją zostawić.

— Zostawić?

— Tak.

— Ale przecież powiedziała pani, że...

— Dziękuję bardzo, że mi ją pan dostarczył, panie Looby. — Poprowadziła go do drzwi. — Piękną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż? Jeżeli tylko się utrzyma, ulice wyschną w okamgnieniu.

Looby spojrział na Agatę, na skrzynię, znowu na Agatę, po czym zdjął czapkę i podrapał się po głowie. W żaden sposób nie był w stanie pojąć funkcjonowania kobiecego umysłu.

Po wyjściu Looby'ego Agata spojrzała na zegar. Prawie jedenasta. Violet powinna się zjawić lada moment. Szybko, Violet!

Kiedy mała siwa kobieta przekroczyła próg, zobaczyła Agatę stojącą w drzwiach łączących sklep z warsztatem i w podnieceniu ściskającą dłonie pod brodą.

— Och, Violet, myślałam, że nigdy nie przyjdiesz!

— Czy... stało się coś złego?

— Złego? Ależ skąd! — Agata rozłożyła ramiona i uśmiechnęła się promiennie ku niebu. — Lepiej chyba nie mogłoby być. Chodź! — Weszła do warsztatu. — Coś ci pokażę. — Poprowadziła Violet prosto do skrzyni. — Popatrz!

Violet ze zdumienia aż wytrzeszczyła oczy.

— Na Boga! Przecież to maszyna do szycia! Skąd się tu wzięła?

— Z Filadelfii.

— Chcesz powiedzieć, że jest twoja?

— Tak.

Violet nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała Agatę tak uradowaną. Przecież to naprawdę śliczna kobieta! Zabawne, ale nigdy dotąd nie zwróciła na to uwagi. W jasnozielonych oczach lśniły radosne ogniki. A uśmiech — dobry Boże, jakże ten uśmiech zmienił jej twarz! Odmłodził ją o co najmniej pięć lat i sprawił, że w końcu przestała wyglądać na starszą, niż w rzeczywistości była.

— Ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— To niespodzianka.

Violet obeszła skrzynię dookoła. Nastrój Agaty okazał się zaraźliwy.

— Ale... ale... skąd wzięłaś pieniążki... — Przerwała i uniosła wzrok. — Dziesięć złotych monet od pana Gandy'ego.

— Sześć... Cztery mu zwróciłam. Oczy Violet zabłyśły przebiegle.

— Uszyjemy te suknie do kankana, prawda, Agato?

— Na rany boskie, Violet! Przecież nie miałam nawet chwili czasu, żeby się nad tym zastanowić. Chodź, pomóż mi ją wyjąć ze skrzyni. — Agata straciła całą swą zwykłą rezerwę, krzątając się jak mała dziewczynka w poszukiwaniu młotka i śrubokręta. Promieniała tak bardzo, że uśmiechnięta Violet nie była w stanie oderwać od niej wzroku. Kiedy znalazła

narzędzia, niezwłocznie zabrała się do roboty. — Odbijemy przednią ściankę i po prostu wyciągniemy maszynę. We dwie powinnyśmy sobie poradzić.

Violet nie wierzyła własnym oczom, obserwując tę nagłą zmianę w kobiecie, która od tylu lat zdawała się taka ponura.

— Czy ty wiesz, co robisz, Agato? Agata uniosła wzrok.

— Co takiego?

— Przecież ty klęczysz.

Agata spojrzała w dół. Święty Boże! To prawda! Była jednak zbyt podekscytowana, żeby przestać wpychać śrubokręt pomiędzy dwie klepki.

— Rzeczywiście. Trochę boli, ale nie szkodzi. Chodź, Violet, wsadź tu palce i ciągnij.

Zamiast tego palce Violet dotknęły delikatnie ramienia Agaty.

Agata uniosła twarz.

— Wiesz, moja droga — odezwała się Violet — powinnaś to robić jak najczęściej.

— Co?

— Uśmiechać się. Zachowywać się żywo i energicznie, jak przystało na młodą i piękną kobietę.

Ręce Agaty zastygły w bezruchu.

— P... piękną?

— Pewnie, że tak. Gdybyś widziała teraz swoje oczy... Wierz mi, lśnią niczym wiosenna koniczyna skropiona rosą.

A policzki masz tak zaróżowione jak chyba nigdy dotąd.

Agata była oszołomiona. „Piękna? Ja?”

Od śmierci matki nikt nigdy nie powiedział jej, że jest piękna. Z konsternacji policzki zaróżowiły jej się jeszcze bardziej. Zawstydzona tym nieoczekiwanym komplementem, zabrała się z powrotem do pracy.

— Wiesz co, Violet? Ty chyba za długo byłaś dziś na słońcu. A teraz bądź taka miła i pomóż mi z tą skrzynią.

Wspólnymi siłami odbiły przednią ściankę skrzyni i wystawiły maszynę na podłogę. Agata dotknęła jej z nabożnym szacunkiem. Oczy wciąż jej błyszczały.

— Pomyśl tylko, jak zmieni się teraz nasza praca. Ostatnio zaczynałam się martwić, chociaż bałam się do tego przyznać... Coraz trudniej było związać koniec z końcem. Ale teraz...

— Dotknęła gładkiego stalowego koła, potem z podziwem pogładziła lśniący dębowy stół. — Pal diabli kapelusze, Violet. Teraz będziemy szyły suknie.

Violet uśmiechnęła się do stojącej przed nią całkiem odmienionej młodej kobiety.

— Pewnie, że tak. Tak wymyślne, jak sobie zażyczą nasi klienci.

Nagle uśmiech zniknął z ust Agaty.

— Jak sądzisz, Violet, czy postępuję właściwie?

— Właściwie?

— Ta maszyna została kupiona za pieniądze Gandy'ego.

— Zarobiłaś je, prawda? — spytała Violet, wydymając usta.

— Nie wiem. A jak ty uważasz?

— Oczywiście, że tak, młoda damo. W końcu wykonałaś ekspresowe zamówienie, którego nikt inny w mieście nie byłby w stanie wykonać. A na dodatek zużyłaś na tę zasłonę część najlepszej satyny, jaką w ogóle można dostać. Choćby za to należał ci się jakiś dodatek, prawda?

— Naprawdę tak sądzisz, Violet?

— Nie sądzę, a wiem. No dobrze już, lepiej powiedz, czy masz zamiar tak sterczeć do wieczora, czy może jednak nawleciesz w końcu igłę i puścisz to cudeńko w ruch?

Z pomocą instrukcji nawinęły nitkę na szpulkę, załadowały ją do czółenka w kształcie naboju, wyprowadziły zgodnie ze schematem, po czym założyły górną szpulkę i nawlekły igłę. Kiedy wszystko było już gotowe, a kawałek materiału znalazł się pod stopką, spojrzały sobie w oczy.

— No to zaczynamy — powiedziała Agata, postawiła obie stopy na pedale, raz przycisnęła i natychmiast cofnęła ręce i nogi. — Auu! Materiał przesuwają się do tyłu!

Spojrzała na Violet, oczekując jakiejś rady, ta jednak tylko wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Spróbuj jeszcze raz. Materiał znowu przesunął się do tyłu.

— Może ty spróbuj — powiedziała, wstając z krzesła. Violet zajęła miejsce i ostrożnie nacisnęła pedał. Efekt był ten sam. Spojrzały na siebie i zaczęły się śmiać.

— Czterdzieści dziewięć dolarów za maszynę, która szyje tylko do tyłu.

Im dłużej się śmiały, tym zabawniejsze im się to wydawało. Przy następnej próbie materiał przesunął się do przodu, później znów do tyłu, do przodu i jeszcze raz do tyłu. Zaśmiewały się do rozpuku.

Wreszcie Agata wykrzyknęła:

— Instrukcja! Przeczytajmy instrukcję!

W końcu doczytały się, że aby maszyna szła we właściwym kierunku, trzeba lekko zakręcić kołem zamachowym. Agata siedziała wpatrzona w długi pas bawełny przesuwany się gładko pod igłą. Pasek szumiał cicho napędzając mechanizm, ramię igły wystukiwało równy rytm. Piękny drobny ścieg pojawiał się niczym za sprawą magii z prędkością, od której dosłownie kręciło się w głowie. Biodro dokuczało Agacie, kiedy naciskała pedał, lecz była zbyt podekscytowana, żeby zwrócić na to uwagę. Po pewnym czasie wstała i pozwoliła Violet spróbować sił.

— Sama powiedz, czy to nie cudowne? — Pochylona nad ramieniem Violet, nie odrywała wzroku od niebieskiej bawełny, wsłuchując się we wspaniały szum dobrze naoliwionego mechanizmu.

„Och, Gandy! — pomyślała. — Jak mam panu dziękować?”

O piątej dotknęła maszyny po raz ostatni, przykryła ją półokrągłą drewnianą pokrywą i zamknęła zakład. Przez chwilę stała wpatrując się w tylne drzwi do baru, zza których dochodziły podniesione głosy. W lokalu było już sporo gości. Wiedziała jednak, że wieczorem będzie ich jeszcze więcej. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że to najlepszy moment, żeby porozmawiać z Gandym. Być może zdoła wśliznąć się niepostrzeżenie do środka i dać mu znak, żeby na chwilę do niej podszedł.

Otworzyła drzwi i weszła. Muzyka wprawdzie nie grała, lecz w lokalu gwaro było od głosów rozochoconych gości. Co chwila rozlegał się śmiech i brzęczało szkło. Spojrzawszy przed siebie, spostrzegła Dana Loretto, który rozdawał karty przy zatłoczonym stoliku. Na moment zatrzymał ją zapach alkoholu i tytoniu, zacisnęła jednak dłonie i ruszyła krótkim korytarzem, cały czas szukając wzrokiem Gandy'ego. Pierwszy zauważył ją Jack Hogg. Natychmiast wytarł dłonie i opuścił miejsce za kontuarem.

— Dzień dobry, panno Downing, to dopiero niespodzianka.

— Dzień dobry, panie Hogg — odparła i skinęła głową. — Chciałabym porozmawiać z panem Gandym.

— Jest u siebie w biurze. Na piętrze. Pierwsze drzwi po prawej.

— Dziękuję bardzo.

Na zewnątrz powietrze wcale nie było o wiele świeższe, nad miastem unosił się już bowiem wszechobecny odór zagród. Bezustannie słyhać też było porykiwanie bydła i stukot pociągów. Agata wspięła się po schodach i zajrzała w okno Gandy'ego, ale zobaczyła jedynie błękitne niebo, odbijające się w nierównej szybie. Drzwi zaskrzypiały, kiedy je otwierała. Weszła i rozejrzała się po mrocznym korytarzu.

A więc to tu znajduje się w ciągu dnia złota klatka! Uśmiechnęła się z podziwem dla pomysłowości Gandy'ego.

Nigdy dotąd nie była w tej części budynku. Czworo drzwi po lewej. Dwoje po prawej. Na końcu korytarza okno wychodzące na ulicę. Czuła się trochę jak podglądaczka, sama nie wiedziała dlaczego. Być może dlatego, że za którymiś z tych drzwi ktoś mógł właśnie w tej chwili spokojnie spać.

Drzwi do biura Gandy'ego były zamknięte. Zapukała.

— Proszę?

Nacisnęła klamkę i nieśmiało zajrzała do skromnie urządzonego gabinetu. Gandy siedział pochylony przy prostym dębowym biurku i coś pisał, a koło jego łokcia stała popielniczka, na której leżało dymiące cygaro.

— Dzień dobry.

Uniósł wzrok. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Odłożył pióro do futerału i wyprostował się na obrotowym krześle.

— To dopiero niespodzianka. Dzień dobry, panno Downing.

— Mogę wejść?

Zza półprzymkniętych drzwi wystawała jedynie jej głowa. Ten dziecięcy, sposób wejścia był dla niej tak nietypowy, że Gandy nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

— Ależ oczywiście.

Kiedy weszła i z nie skrywaną ciekawością rozejrzała się dookoła, uniósł się lekko z miejsca.

— A więc to jest pańskie biuro.

Opadł na krzesło, odchylił je do tyłu, założył nogę na nogę i splótł palce na brzuchu.

— Nie jest może zbyt eleganckie, ale wystarczająco dobrze spełnia swoje zadania.

Jej wzrok błądził po jednolitej boazerii, wypłowiałych zielonych ścianach, niewielkim piecyku i pozbawionym firanek oknie z mało interesującym widokiem na ścieżkę oraz prerię.

— Spodziewałam się zastać pana w nieco bardziej luksusowym otoczeniu.

— Dlaczego?

— Och, właściwie sama nie wiem. Być może ze względu na sposób, w jaki się pan ubiera. Te kolorowe kamizelki...

— Tego dnia ubrany był w ciemnozieloną. Czarny wąski krawat miał rozluźniony, guzik pod szyją rozpięty, rękawy podwinięte nad łokcie. Była piąta po południu i na jego twarzy widać było ślady ciemnego zarostu. Przez chwilę podziwiała jego niedbałą elegancję. O wielkie nieba, ależ on jest przystojny!

— To zabawne, nigdy nie przypuszczałem, że pani zauważy.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Ubrania to moja praca, panie Gandy, i jeśli o nie chodzi, zauważam każdy szczegół. — Przez cały czas rozglądała się po pokoju. Sejf, wieszak na płaszcze... otwarte drzwi? Utkwiła w nich wzrok, coraz bardziej zaciekawiona. W salonie Gandy'ego panował przepych, jakiego się spodziewała. Na sofie leżał turkusowy damski szlafrok.

Scott Gandy przyglądał się Agacie, rozbawiony zainteresowaniem, jakie wzbudziły w niej jego salon i mieszcząca się dalej sypialnia. Obserwując ją z tyłu, mógł sobie pozwolić na ocenę bardziej krytyczną niż kiedykolwiek dotąd. Elegancko udrapowany tył sukni z granatowej tafty. Kształtne „greckie” wygięcie w okolicy lędźwi nadane przez niewidoczny gorset. Atrakcyjna bufa turniury, wąskie ramiona, starannie uczesane włosy i szczupłe i pełne wdzięku ręce, co podkreślały bardzo obcisłe rękawy i wysoki zakonny kołnierz. Ubierała się z wielkim smakiem w stroje prawdziwie eleganckie. I zawsze nienagannie przyzwoite.

Tego dnia wszakże dostrzegł w niej jakąś zmianę, choć nie umiałby jej określić.

Dopiero poniewczasie Agata zdała sobie sprawę, że zbyt długo zagląda do jego prywatnego mieszkania. Odwróciła się i spostrzegła, że Gandy uważnie się jej przygląda.

— Prze... przepraszam.

— Nie ma za co. Trochę tu chyba przestronniej niż u pani.

— Tak, rzeczywiście.

— Proszę usiąść, panno Downing.

— Dziękuję.

— Co mogę dla pani zrobić?

— Sądzę, że już pan zrobił.

Uniósł brew, a w jednym policzku pojawił się dołek.

— Tak?

— Widział pan u mnie na ścianie reklamę maszyny do szycia, prawda?

— Tak?

— Niech się pan ze mną nie przekomarza, panie Gandy. Widział ją pan i odczytał moje myśli.

Gandy roześmiał się.

— Słucham dalej, panno Downing. O co dokładnie chodzi?

— O to, że w moim zakładzie stoi fabrycznie nowa maszyna do szycia Isaaca Singera, a na rachunku jest wyraźnie napisane, że opłatę wniesiono w całości.

Jego uśmiech stawał się coraz bardziej impertynencki.

— No to gratuluję.

— Niechże pan nie udaje. Przyszłam podziękować, że zechciał pan wziąć na siebie załatwienie formalności i zwrócić panu dług. — A czy ja powiedziałem, że jest mi pani coś dłużna? Wyjęła pięć złotych monet i ułożyła je w stosik na rogu biurka.

— Pięćdziesiąt dolarów, o ile dobrze się orientuję. Zgadza się?

— Nie pamiętam.

Starła się przybrać srogi wyraz twarzy, lecz oczy błyszczały jej zbyt mocno, a kąciki ust odmówiły posłuszeństwa.

— Jeżeli pan myśli, że przyjmę kosztowną maszynę do szycia od właściciela baru to... to... — Jak to powiedział Joe Jessup? — To chyba brakuje panu piątej klepki.

Roześmiał się, odchylił krzesło jeszcze bardziej do tyłu i założył dłonie za głowę.

— Ale to przecież łapówka.

Jej śmiech zaskoczył zarówno jego, jak ją samą. Śmiali się oboje, a Gandy zwrócił w myślach uwagę, jak bardzo zmieniła się jej twarz. O to właśnie chodziło! To mu się nie zgadzało. Nie chodziło o włosy ani ubranie, ale o nastrój. Chociaż raz była wesoła i to zupełnie ją odmieniło. Szarobura ćma stała się nagle kolorową ziębą.

— A więc przyznaje pan?

Z uśmiechem wzruszył ramionami, w dalszym ciągu trzymając łokcie w powietrzu.

— A czemuż by nie? Przecież oboje wiemy, że to prawda.

Był dla niej zagadką. Nieuczciwy, a zarazem prawdomówny. Miała coraz większe kłopoty ze zrozumieniem motywów jego działania.

— A co ma pan nadzieję w ten sposób osiągnąć?

— Na początek trzy czerwone suknie do kankana. Niepokojąca świadomość jego męskości uderzyła Agatę niczym pięść w żołądek. Nieco bledsza barwa nadgarstków, napięte ścięgna biegnące od dłoni założonych za głowę, pozagniatane pachy białej koszuli, czarny but oparty niedbale o kolano, dym unoszący się ze stojącej pomiędzy nimi popielniczki.

— Aha — mruknęła chytrze — trzy jaskrawoczerwone suknie do kankana. — Uniosła jedną brew. — A co potem?

— To się okaże. Postanowiła przerwać tę grę.

— Jestem zaangażowana w działalność prohibicyjną — stwierdziła poważnie. — Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

Opuścił ramiona i przez kilka sekund mierzył ją baczny wzrokiem.

— Tak.

— Żadna łapówka nie zmieni mojego stanowiska.

— Nigdy nie sądziłem, że zmieni.

— Jutro wieczorem będziemy czekać na pańskich klientów z wydrukowanymi ulotkami. Będziemy też rozdawać literaturę mówiącą o ryzyku, jakie niesie za sobą spożywanie alkoholu.

— W takim razie muszę pomyśleć nad jakimś nowym sposobem przyciągnięcia klientów, prawda?

— Tak, chyba tak.

— Nie widziałem pani przez kilka ostatnich dni.

— Byłam zajęta. Napisałam do Pierwszej Damy list z podziękowaniami za to, że zakazała spożywania alkoholu w Białym Domu.

— Do Starej Lemoniadowej Lucy?

Agata roześmiała się, po czym przyłożyła palec do ust.

— Nieładnie tak mówić, panie Gandy.

Pół Ameryki nazywało w ten sposób panią prezydentową, jednakże nigdy dotąd nie wydało się to Agacie aż tak śmieszne.

— Wszyscy tak na nią mówią. Zmieniła Biały Dom w Saharę.

— Tak czy owak, napisałam do niej. „The Temperance Banner” apeluje o to do swoich czytelników. Napisałam też do gubernatora St. Johna.

— Do St. Johna! — To już nie wydało się Gandy'emu takie zabawne. Plotki o przygotowywanej poprawce do konstytucji stanu Kansas mocno niepokoiły wszystkich właścicieli saloonów. — No, no. Widzę, że pracowita z pani pszczołka.

Przyglądając się jej, sięgnął po cygaro i głęboko się zaciągnął. Chmura dymu uniosła się między nimi, zanim uświadomił sobie swój postępek.

— Och, przepraszam. Zapomniałem. Pani nie znosi cygar, prawda?

— Po tym, co panu zawdzięczam, jakże mogłabym odmówić panu tej odrobiny przyjemności? Tym bardziej że znajdujemy się na pańskim terenie.

Wstał, podszedł do okna i trzymając cygaro między zębami, uniósł szybę. Agata obserwowała, jak jedwabna kamizelka opina się mu na plecach, i zastanawiała się, które z nich w ostatecznym rozrachunku okaże się zwycięzcą. Gandy wyglądał przez okno, myśląc o tym samym. Po chwili postawił stopę na parapecie, wsparł się łokciem o kolano i spojrzał na nią przez ramię.

— Jest pani inna, niż sądziłem.

— Pan też.

— Ta... ta wojna, którą prowadzimy, wydaje się pani zabawna, prawda?

— Mnie? — Położyła rękę na piersi. — Odniosłam wrażenie, że to właśnie pan uważa ją za zabawną.

— Możliwe. W pewnym sensie. Toczy się zupełnie inaczej, niż przypuszczałem. Bo w końcu który generał ujawnia wrogowi swoje plany?

Uśmiechnęła się, a jej twarz, co już nieco wcześniej zauważyła Violet, natychmiast wydała się znacznie młodsza. Jasne oczy złagodniały, cała srogość zniknęła bez śladu.

— Niech mi więc pan powie, jakie imię nadał pan Potts piękności z obrazu?

— To dziwne, że pani nie usłyszała. Przecież tamtego wieczora była pani przed barem razem ze swoim oddziałem.

— Byłyśmy tylko cztery.

— Naprawdę?

— A poza tym czy w ogóle można cokolwiek usłyszeć w tak potwornym hałasie?

— Jej pełne imię brzmi Diedra w Ogrodzie Rozkoszy, ale wszyscy mówią na nią Rozkosz.

— Rozkosz. Mmm... Jestem przekonana, że pani Potts jest zachwycona, iż Elias zwyciężył w pańskim konkursie. Jak ją spotkam, muszę jej koniecznie pogratulować.

Gandy zareagował gromkim śmiechem.

— Nie byle jaki z pani przeciwnik, panno Downing. Muszę przyznać, że zaczyna pani wzbudzać mój szczerzy podziw. Ale tamtego wieczora szybko panie wyszły, prawda?

— Zostałyśmy wypchnięte przez tłum.

— Hm... — Powoli pokręcił głową. — Szkoda, wielka szkoda.

Zdecydowała, że starczy już tej zabawy w kotka i myszkę.

— Jest pan moim wrogiem — stwierdziła cicho. — I nie wolno mi o tym ani na chwilę zapominać, nawet jeśli moje prywatne zdanie o panu trochę się zmieniło.

— Dlatego, że sprzedaję alkohol?

— Między innymi. — Trudno było uwierzyć w to inne, kiedy tak stał oparty o parapet, czarujący, pełen humoru i niewiarygodnie przystojny. Lecz Agata świadoma była, jak bezwstydnie Gandy wykorzystuje swój urok, humor i wygląd, żeby odciągnąć ją od tego, co postanowiła.

— A więc jest coś jeszcze?

Serce zabiło jej szybciej. Starła się nie myśleć o konsekwencjach pytania, które miała mu za chwilę zadać.

— Proszę mi powiedzieć, panie Gandy, czy to pan przyczepił do moich drzwi kartkę z pogrózkami?

Rozbawienie natychmiast zniknęło z jego twarzy. Zmarszczył czoło i uderzył obcasem w podłogę.

— Co?

Serce zabiło jej jeszcze mocniej.

— Czy to pan?

— Jak pani, do licha, może w ogóle pytać o coś takiego? Serce Agaty waliło jak młotem. Wstała jednak, wyjęła pióro z futerału i podała mu.

— Czy zgodzi się pan coś dla mnie zrobić? Czy zechce pan napisać w mojej obecności słowa „trzymaj”, „jeżeli” i „chcesz”? Dużymi literami.

Spojrzał wściekle na pióro, potem na nią. Wsadził cygaro w zęby, wyrwał pióro z jej dłoni, po czym, lekko pochylony, napisał trzy słowa na skrawku papieru. Wprostowawszy się, utkwił w niej świdrujący wzrok. Nie podał jej kartki ani nawet się nie odsunął, przeciwnie, stał tak blisko stołu, że aby po nią sięgnąć, musiała go dotknąć.

— Przepraszam. — Zachwiała się i o mało na niego nie wpadła, lecz on się nie cofnął.

— Niech pani nie kusi losu — warknął przez zaciśnięte zęby, tuż nad jej uchem.

Chwyła kartkę i zrobiła krok do tyłu. Kiedy się jej przyglądała, dym cygara drażnił jej nozdrza.

— Zadowolona?

Z ulgą zamknęła oczy i odetchnęła.

Stał przed nią, zionąc gniewem. Czego, do diabła, ta kobieta od niego chce?

Uniosła powieki i spojrzała mu prosto w oczy.

— Przepraszam. Musiałam mieć pewność.

— I co, czy teraz ma ją pani? — warknął.

Poczuła, że się czerwieni, mimo to wytrzymała jego wzrok.

— Tak.

Odwrócił się w stronę biurka, dwoma gwałtownymi ruchami zgasił cygaro i zastygł w bezruchu, unikając jej wzroku.

— Wybaczy pani, ale mam dużo pracy. Właśnie pisałem zamówienie na dostawę rumu, kiedy mi pani przerwała. —
Usiadł i zabrał się do pisania.

Serce niecie ję zdradziło, wypełniając się żalem.

— Panie Gandy, powiedziałam: przepraszam.

— Życzę miłego dnia, panno Downing!

Jej twarz zapłonęła. Powłócząc nogami podeszła do drzwi, otworzyła je i stanęła w progu, tyłem do niego.

— Dziękuję panu za maszynę — powiedziała cicho. Poderwał głowę i wlepił wzrok w jej plecy. Przeklęta, piekielna harpia! Dlaczego tak mu zalazła za skórę? Zrobiła jeszcze krok, zanim zatrzymał ją głos Gandy'ego.

— Agato!

Nie przypuszczała, że pamięta jej imię. Ale czy to ma jakiekolwiek znaczenie?

— Chciałbym zobaczyć tę kartkę, o ile jeszcze ją pani ma.

— Po co?

Mięśnie na jego twarzy naprężyły się jeszcze bardziej.

— Nie wiem, do wszystkich diabłów, dlaczego czuję się za panią odpowiedzialny, ale, niech to jasna cholera weźmie, czuję się!

Agata nie znosiła przekleństw. Czemu więc nie zrugła go za nie?

— Potrafię sama o siebie zadbać, panie Gandy — oświadczyła, po czym cicho zamknęła za sobą drzwi.

Gandy gapił się na nie bez mrugnięcia powieki, dopóki nie usłyszał odgłosu otwieranych, a potem zamykanych drzwi wejściowych. Zaklął siarczyście i rzucił pióro na biurko. Na zamówieniu, które wypełniał, został spory kleks. Z kolejnym przekleństwem na ustach przedarł papier na pół i wyrzucił. Zacisnął pięści i oparł o nie brodę, wpatrując się bezmyślnie w ścianę, aż do chwili kiedy odgłosy jej nierównych kroków wtopiły się w inne hałasy dochodzące zza otwartego okna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Członkinie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji nauczyły się nowej pieśni, którą następnego wieczora odśpiewały z ogromnym entuzjazmem w czterech saloonach Proffitt.

Mężczyznom wchodzącym do barów rozdawały ulotki i próbowały nakłonić ich do złożenia podpisu na deklaracji abstynencji. Ku ogólnemu zdziwieniu, Evelyn Sowers osobiście zaczęła kilku stałych bywalców. Z rozpalonym wzrokiem, dramatycznie gestykułując, ujawniła zdolności oratorskie, o które dotąd nikt jej nie podejrzewał.

— Bracie, pomyśl o swej przyszłości — przemówiła do niczego się nie spodziewającego kowboja, który chyba dopiero niedawno zaczął się golić. — Czy nie rozumiesz, że to szatan przybiera kształt butelki? Nie pozwól, by cię omamił! Czy zastanawiałeś się nad tym, co stanie się jutro... pojutrze... i później, kiedy ręce zaczną się trząść, a twoja żona i dzieci pogrążą się w cierpieniu, pozbawione...

— Ale ja nie mam żony ani dzieci, paniusiu — przerwał jej kowboj, po czym rozglądając się niepewnie, obszedł ją dokoła, jakby była zwiniętym grzechotnikiem. Kiedy stanął w drzwiach saloonu, Evelyn padła na kolana, wznosząc ręce w błagalnym geście.

— Błagam cię, młody człowieku, trzymaj się z dala od tego przybytku! Jego właściciel to zabójca ludzkich dusz! Młodzian o gładkich policzkach obejrzał się przez ramię i wszedł do środka z miną jasno świadcząca o tym, że znacznie

bardziej niż niebezpieczeństw czyhających za drzwiami obawia się Evelyn.

Chwilę później pojawiło się czterech kowbojów, ubranych jak spod igły, ze lśniącymi ostrogami i brzęczącymi w kieszeniach monetami. Evelyn zastąpiła im drogę i rozpoczęła płomienna, pełne pasji przemówienie:

— Czy nie zdajecie sobie sprawy z ogromu zła, siedzącego w tej diabelskiej miksturze, którą przyszlście tu w siebie wlewać? Ona pozbawia mężczyzn siły, honoru i zdrowia. Zanim przekroczycie ten próg...

Lecz oni już go przekroczyli, spoglądając na Evelyn z takim samym przerażeniem jak ich młody poprzednik.

Evelyn najwyraźniej odkryła w sobie nowe powołanie i przez resztę wieczoru, kiedy obchodziły po kolei cztery bary, oddawała się swej misji z coraz większym żarem.

— Abstynencja to cnota! Pijaństwo to grzech! — skandowała, przekrzykując gwar dochodzący z baru Pod Podkową Szczęścia. A kiedy już nie była w stanie przekrzyknąć hałasu, poprowadziła swe towarzyszkę do środka, podeszła prosto do Jeffa Didiera i oświadczyła:

— Przyszliśmy tu z misją moralności, żeby obudzić w panu sumienie.

Następnie wyjęła deklarację abstynencji i zażądała, by Didier ją podpisał, on zaś w odpowiedzi nalał do szklanki podwójną porcję whisky i na oczach Evelyn w kilku haustach wypił.

Chociaż Agacie nie podobały się dramatyczne przemówienia Evelyn, musiała przyznać, że udało się jej do tego stopnia zawstydić dwóch klientów Jima Starra, że podpisali deklaracje. Zachęczone tym sukcesem, cztery „siostry” Evelyn padły wraz z nią na kolana i zaczęły śpiewać ile sił w płucach. Agata poszła w ich ślady, czuła się jednak strasznie głupio. Na szczęście trwało to tylko kilka minut.

W barze Alamo Jack Butler i Floyd Anderson tak się speszyli na widok swoich żon w towarzystwie fanatycznej Evelyn, że ze spuszczonej oczyma prześliznęli się do drzwi i zniknęli. Rozochociona kolejnym zwycięstwem Evelyn wygłaszała coraz bardziej kwieciste monologi, okraszając je gwałtownymi gestami.

Kiedy członkinie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji dotarły do Złotej Klatki, lokal dosłownie pękał w szwach, Evelyn natomiast nie panowała już nad swą pasją. Z pomocą łokci wcisnęła się pomiędzy stłoczonych mężczyzn, uniosła obie ręce i zawołała:

— Prędzej czy później cała ta wasza zgraja opojów będzie się smażyć w piekle!

Taniec i muzyka ustały. Ivory odwrócił się od pianina. Dłonie grających w karty zastygły w powietrzu. Evelyn sprawiała wrażenie szalonej. Jej oczy lśniły nienaturalnym blaskiem, a pięść uderzała w kolejne stoły.

— Idź do domu, Milesie Wendt! Idź do domu, Wiltonie Spivey! Idź do domu, Tomie Ruggles! Wszyscy idźcie do domu! Wracajcie do swych rodzin, wy grzeszni nędznicy! — Chwyciła dzban z piwem i wylała na buty Rugglesa.

— Hej, ty, uważaj sobie! — Zerwał się z krzesła.

— Plugastwo! *Nux vomica!* Ohydztwo, jakiego porządny człowiek nie dałby nawet świni!

Agata czuła, że się czerwieni. Wszak członkinie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji szczyły się dotąd pokojowymi metodami działania i nienaganną kulturą. Uniosła wzrok i dostrzegła utkwione w nią oczy Gandy'ego, szybko więc spojrzała w bok, natrafiając jednakże na trzy inne pary przerażonych oczu: Jubilee, Pearl i Ruby.

W nagłej ciszy odezwał się Gandy, jak zwykle zachowując wszelkie zasady *savoir vivre*:

— Dobry wieczór paniom. — Stał za barem, bez kapelusza, ubrany w czerń i biel.

Evelyn zwróciła swój gniew ku niemu.

— Ach, ty przesiąknięty rumem kamracie Lucyfera! Sprzedawco alkoholowej trucizny! Padnij na kolana, panie Gandy, i błagaj Boga o przebaczenie za zaniedbanie i bestialstwo, które sprowadzasz na niewinne rodziny!

Dwaj kowboje, mając już dość tej sceny, odsunęli krzesła i ruszyli do wyjścia.

Gandy kompletnie zignorował tyradę Evelyn.

— Zjawiły się panie w samą porę — powiedział. — Drinki dla wszystkich na koszt firmy! — zawołał.

Dwaj kowboje zawrócili w miejscu. Rozległ się ogłuszający ryk radości. Z trudem go wytrzymując, Agata zerknęła na

Gandy'ego. Chociaż inni być może nie potrafili zajrzeć pod tę czarującą maskę, ona zbyt wiele razy widziała jego uśmiech, żeby nie dostrzec, iż tym razem nie ma w jego minie ani odrobiny wesołości. Jego ciemne oczy wbijały się w nią niczym dwa sople lodu, a po ich radosnym blasku, do którego już się przyzwyczaiła, nie pozostał nawet ślad. To, co miało uchodzić za uśmiech, było w rzeczywistości jedynie obnażeniem zębów.

Patrząc jej w oczy, chwycił butelkę, napenił szklanekę bursztynowym płynem, po czym uniósł do ust.

„Nie, Gandy, nie.”

Pozdrowił ją gestem, którego nikt poza nimi nie zauważył, a następnie przechylił szklanekę, zmieniając toast w obelgę. Nigdy dotąd nie widziała, jak pije. Sprawilo jej to ból.

Odwróciła się, czując przeraźliwą pustkę, której przyczyn nie potrafiłaby wytłumaczyć. Tymczasem dookoła mężczyźni przepychali się w stronę baru, wyciągając ręce po darmowe drinki. Ponownie zagrały pianino i bandzo, a Jubilee i Klejnoty zaczęły śpiewać refren „Szampana, Charlie”, kończący się słowami „Chodź, przyłącz się do bibki”. Evelyn uklękła w samym sercu tego zgiełku, modląc się za dusze grzeszników. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i wywróconymi oczyma wyglądała, jakby ugryzł ją wściekły pies. Przy stoliku do keno panował gwar, a ze ściany, uśmiechając się łaskawie, obserwowała to wszystko Rozkosz.

Musi, po prostu musi istnieć jakiś lepszy sposób.

Agata dała pozostałym znak, żeby szły za nią, posłuchały jej jednak tylko Addie Anderson i Minnie Butler. Kiedy dotarły do wyjścia, Agata obejrzała się po raz ostatni. Gandy nadal przeszywał ją wzrokiem. Odwróciła się i pchnęła drzwi.

I wtedy właśnie po raz pierwszy spotkała Willy'ego Collinsona.

Chłopczyk kucał, starając się zajrzeć dołem do środka, i drzwi uderzyły go w czoło z taką siłą, że poturlał się niczym bila do kęgli.

— Aaauuuuuu! — zawył, trzymając się za głowę. — Au-uu-auuu-auuu!

Agata przyklękła koło niego, Addie i Minnie zatrzymały się, mlaskając z zafascynowaniem.

— Zajmę się nim. Wy wracajcie do swoich mężów.

Po ich odejściu Agata postawiła chłopca na nogi. Był mniej więcej tak wysoki jak ona klęcząc.

— Na miłość boską, dziecko, coś ty robił tak blisko tych drzwi? Nic ci się nie stało?

— Mo... moja głowa — załkał. — U... uderzyła mnie pani w... w głowę. Auuuu! Bo... boli!

— Przepraszam. — Chciała sprawdzić, czy nic mu nie jest, lecz on zakrywał głowę rękoma i próbował się wyrwać.

— Poczekaj, zobaczymy...

— Neeee, ja chcę do taty!

— Twojego taty tu nie ma, pozwól więc, że ja zobaczę, dobrze?

— Niech mnie pani zo... zostawi.

Chociaż usiłował się opierać, odciągnęła mu ręce od głowy i odwróciwszy go twarzą do padającego od drzwi bladego światła, dokonała pierwszych pobieżnych oględzin. Jasne włosy mógłby mieć nieco czystsze, ubranie było brudne i zdecydowanie za małe. Po twarzy spływała mu wąska strużka krwi.

— Dobry Boże, dziecko! Ty krwawisz. Chodź ze mną, trzeba to koniecznie umyć.

Wstała z trudem, ale on zaczął się szarpać.

— Nie!

— Mieszkam tutaj obok. Widzisz? To mój sklep, a mieszkanie jest dokładnie nad nim. Musimy opatrzyć ci głowę.

— Tata powiedział, że mam się nie zadawać z obcymi. Agata opuściła ręce. Mały trochę się już uspokoił.

— A co ci tata mówił na temat nagłych przypadków?

— Nie wiem, co to takiego.

— Kiedy dostajesz w głowę drzwiami do baru, to właśnie jest nagły wypadek. Naprawdę. Muszę przemyć ci czoło i posmarować ranę jodyną.

Cofnął się o krok, przecząco kręcąc głową, a jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe jak kasztany.

— Uważaj. Ktoś będzie wychodził i znowu cię uderzy. Chodź ze mną. — Wyciągnęła rękę, niczym dla przypieczonego wania transakcji. — A przynajmniej odsuń się od drzwi.

Jednakże chłopiec znowu zaczął zaglądać do środka.

— Chyba jesteś trochę za mały, żeby oglądać takie rzeczy!

— Muszę znaleźć tatę.

— W ten sposób na pewno go nie znajdziesz. — Kiedy postawiła go na nogi, nie siląc się na zbytnią delikatność, od nowa zaczął pociągać nosem. — Tam w środku dzieją się rzeczy, na które chłopcy w twoim wieku nie powinni patrzeć. A właśnie, ile ty właściwie masz lat?

— Nie pani sprawa.

— A właśnie że moja, młody człowieku. Mam zamiar zaprowadzić cię do domu i opowiedzieć twojej mamie, na czym cię przyłapałam.

— Ja nie mam mamy. Umarła.

Po raz drugi tego wieczora poczuła ukłucie w sercu.

— Och — powiedziała cicho. — Prze... przepraszam. Nie wiedziałam. W takim razie musimy znaleźć twojego tatę, prawda?

Spuścił głowę.

— Po pracy w ogóle nie wrócił do domu. — Otarł brudną piąstką łzę, a broda zaczęła mu drżeć. — Obiecał, że przyjdzie wieczorem, a... ale nie przyszedł.

Głos mu się załamał, Agatę zaś ogarnął okropny smutek. Wyciągnęła rękę i niezgrabnie pogładziła go po jasnej czuprynie. Z tak niewidoma dziećmi miała w życiu do czynienia. Jak należy rozmawiać z pięcio-, a może sześciolatkiem? To zresztą bez znaczenia, bo tak czy owak jest stanowczo za młody, żeby włóczyć się samotnie po ciemnych ulicach. O tej porze powinien już dawno leżeć w łóżku, najedzony i wykąpany.

— Jeśli mi powiesz, jak się nazywasz — zachęciła go łagodnie — spróbuję pomóc ci go odnaleźć.

Wciąż trąc oczy, uniósł niepewnie twarz z dużymi lśniącymi oczyma, zadartym nosem i drżącymi ustami. Agata widziała, że walczy z niezdecydowaniem.

— Jestem naprawdę bardzo miłą i porządną kobietą

— zapewniła, delikatnie się uśmiechając. — Nie mam wprawdzie własnych synów, ale gdybym miała, na pewno bym ich nigdy nie uderzyła drzwiami. — Lekko przechyliła głowę.

— Całe szczęście, że poturlałeś się jak jeżozwierz.

Mały próbował powstrzymać śmiech, ale bez skutku. W efekcie wydał z siebie zduszone parsknięcie.

— Od razu lepiej. No więc jak, czy mam zgadywać, jak się nazywasz?

— Willy.

— Willy. A dalej?

— Collinson.

Nagle zrozumiała. „Powoli, Gussie. Nie strać teraz jego zaufania.”

— Dobrze, Willy, zrobimy tak: ty posiedzisz sobie tutaj na schodku, a ja wejdę do środka, poszukam twojego taty i powiem mu, że czekasz tu na niego. Zgoda?

— Naprawdę? Zrobi to pani? Jest okropnie zły, jak po niego przychodzę.

— Oczywiście, że zrobię. Usiądź tu i zaczekaj. Zaraz wrócę.

Zatrzymała się przed drzwiami i spojrzała ponad nimi na panujący w środku harmider. Evelyn już wyszła. Za barem Gandy i Jack Hogg podawali drinki. Jubilee i dziewczyny krążyły po sali, rozmawiając z klientami. W kącie Dan Loretto rozdawał karty do oka. Agata pchnęła drzwi i zaczęła torować sobie drogę przez tłum, na próżno szukając Collinsona. Próbowwała sobie przypomnieć, czy widziała go tego wieczora, lecz nie pamiętała. Kiedy mijała okrągły stół, wokół którego tłoczyli się mężczyźni, poczuła czyjaś dłoń na biodrze. Ktoś inny chwycił ją za ramię. Ogarnięta paniką wyrwała się, i podeszła do baru. Gandy, ze wzrokiem wbitym w butelkę, z której nalewał właśnie bursztynową whisky, śmiał się głośno z kawału opowiedzianego przez któregoś z klientów.

— Panie Gandy?

Poderwał głowę i natychmiast spochmurniał.

— Myślałem, że już pani poszła.

— Szukam pana Collinsona. Czy jest tutaj?

— Alvisa Collinsona?

— Tak.

— A czego pani od niego chce?

— Jest tutaj?

— Mieszka pani w Proffitt trochę dłużej niż ja, niech więc go pani sama znajdzie—odparł, po czym zacisnął usta, patrząc na nią wyzywająco.

Nagle ktoś ją popchnął. Straciła równowagę i żeby utrzymać się na nogach, złapała się ramienia w czarnej skórzanej kurtce.

— Hej, a co to takiego? — Kowboj odwrócił się leniwie, objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Kiedy się

pochylił, poczuła odór alkoholu. — Gdzieś ty się dotąd ukrywała, maleńka?

Próbowała go odepchnąć.

— Puść ją — zażądał Gandy. Dłoń obcego błędziła po jej plecach.

— Jest stanowczo za miła w dotyku, żebym ją puścił. Gandy przeskoczył przez kontuar, strącając butem dwie szklanki, które rozłukły się o podłogę.

— Powiedziałem: puść ją. — Gwałtownym ruchem odciągnął rękę obmacującą plecy Agaty. — To nie jest jedna z dziewcząt.

— Dobrze już, dobrze. — Kowboj uniósł obie ręce, jakby Gandy wyciągnął derringera. — Trzeba było od razu mówić, że to twoja prywatna własność.

Policzek Gandy'ego zadrżał nerwowo. Agata czując skurcz żołądka, spuściła wzrok.

Gandy zdjął z kontuaru szarego stetsona i pchnął nim kowboja w brzuch.

— Na tej ulicy jest pełno burdeli, więc jeśli tego ci potrzeba, wynoś się!

— Jezu, człowieku, aleś ty drażliwy.

— Zgadza się. Prowadzę czysty lokal.

Kowboj włożył kapelusz, wyjął z kieszeni parę monet i posłał Agacie wściekłe spojrzenie. Zauważywszy, że wpatruje się w nią wielu klientów, Agata odwróciła się, żeby Gandy nie widział łez upokorzenia w jej oczach.

— Agato — odezwał się, chwytając ją za łokieć. Zatrzymała się i rozprostowała ramiona.

— Czego pani chce od Collinsona? Odwróciła się ku niemu.

— Przyszedł po niego syn.

Gandy nie od razu pojął znaczenie jej słów. Chwilę wpatrywał się w Agatę ze zmarszczonym czołem, potem wskazał głową na stolik stojący w kącie.

— Tam siedzi — powiedział.

Agata ruszyła we wskazanym kierunku, jednakże Gandy ponownie chwycił ją za łokieć. Spojrzała w jego niezadowolone oczy.

— Niech pani z nim uważa. Jest drażliwy jak odyniec.

— Wiem — odparła.

Tym razem już jej nie zatrzymywał, choć przez całą drogę do stolika nie spuszczał jej z oczu. W tłumie natknęła się na zdziwioną Ruby, która coś do niej powiedziała, lecz Agata tylko skinęła głową i dotknęła jej dłoni. Kiedy stanęła tuż przy Collinsonie, ten ze zdziwienia uniósł głowę. Wysłuchawszy, co ma mu do powiedzenia, z brzydkim grymasem spojrzał w stronę drzwi, po czym wściekłym ruchem rzucił karty. Wstając z krzesła, bezpardonowo odepchnął Agatę. Zachwiała się. Gandy zrobił krok w jej kierunku, gdy wszakże odzyskała równowagę i oparła się o stół, zatrzymał się. Collinson, nie czekając na nią, przepychał się do wyjścia.

Kiedy Agata ruszyła za nim, Gandy zrobił to samo. Wiedział, że Collinson jest zdolny do wszystkiego.

Zanim wyszli z saloonu, ten łotr zdążył się już rozwrzeszczyć na dziecko:

— Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś tu nie przyłaził i nie wyciągał mnie z baru?! — Chwycił małego za ramię i poderwał ze schodka.

Dłonie Agaty zacisnęły się na skrzydłach baru. Pragnęła pójść chłopcu z pomocą, lecz niezdecydowanie krępowało jej ruchy. Gandy w milczeniu chwycił ją za ramiona. Gwałtownie się odwróciła, on zaś bez słowa minął ją, sięgając do kieszeni po cygaro.

— Wygrywasz dzisiaj, Collinson? — spytał, siląc się na żartobliwy ton, a następnie z udawanym spokojem zapalił cygaro.

— Wygrywałem, dopóki ten szczeniak nie przyłaził tu i nie zaczął mnie ciągnąć do domu.

— A kto to...? Hej, chłopcze, czy przypadkiem nie jest trochę za późno, żeby się włóczyć samotnie po ulicach?

— Przyszedłem po tatę.

— Powiedziałem ci, że wrócę, jak będę chciał. Przez ciebie musiałem zostawić pewne karty. A w ogóle, to czemu nie jesteś u ciotki Hattie?

— To nie jest moja ciotka. I nie lubię do niej chodzić.

— W takim razie wracaj do domu i kładź się spać.

— Boję się. Tam jest ciemno.

— Już ci mówiłem, że to bzdura. Tylko głupie kurczaki boją się ciemności.

Gandy zrobił krok do przodu i odezwał się do chłopca:

— Wcale nie. Pamiętam, że jak byłem mały, też mi się często wydawało, że słyszę głosy w ciemnościach.

— Odwał się, Gandy!

Mężczyźni stali teraz twarzą w twarz, obserwowani uważnie przez chłopca. Agata zbliżyła się i położyła mu rękę na ramieniu.

— Zaprowadź go do domu, Collinson — odezwał się Gandy półgłosem.

— Ani mi się śni. Mam za dobre karty.

— Oddam ci to, co stracisz, ale zabierz go do domu. Chciał poklepać Collinsona po ramieniu, ten jednak go odepchnął.

— Płacę sam za siebie, Gandy. A ten gówniarz zawsze tu przyłazi, jak zaczynam się dobrze bawić. — Z groźną miną zrobił krok w stronę Willy'ego. — Zrozumiałeś, co powiedziałem, szczeniaku?

— Zrozumiał, Collinson — odpowiedział Gandy za małego. — Wracaj do środka i baw się dobrze.

— Pewnie, że wrócę. — Chwycił Willy'ego i odwrócił twarzą do ulicy. — A ty przestań się wreszcie mazać i wracaj, gdzie twoje miejsce. Do domu. — To mówiąc, pchnął go tak mocno, że chłopczyk o mało nie spadł ze schodów.

Willy, przebiegłszy kawałek, zatrzymał się i odwrócił ku ojcu. Agata słyszała jego cichy, stłumiony płacz. Collinson wszedł do baru, mrużąc pod nosem:

— Przekłęty smarkacz. Cholery można przez niego dostać...

Chłopiec puścił się biegiem.

— Willy, zaczekaj! — krzyknęła Agata, schodząc po schodach. Próbowwała za nim pobiec, lecz już po chwili zrezygnowała, zrozumiałwszy, że to bez sensu. — Willy! — Jej zbolące wołanie mieszało się z gwarem dochodzącym z baru. Stała i chwyciła się za bolące biodro.

Gandy śledził wzrokiem jej zmagania, słuchając kroków i płaczu chłopca.

— Niech pan coś zrobi, Gandy! — krzyknęła Agata. Od razu zrozumiał, czego ta kobieta od niego oczekuje. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego, posłuchał wszakże głosu nieposłusznego serca.

— Willy! — Rzucił cygaro na ziemię, wyskoczył na ulicę i popędził biegiem czując, jak wali mu serce. Nogi pięciolatka nie mogły się równać z długimi kończynami Gandy'ego. Po zaledwie parunastu krokach dogonił Willy'ego i wziął na ręce.

Dziecko przylgnęło do niego, wtulając mu nos w szyję.

— Hej, Willy, nie płacz... No, przestań... Przecież już wszystko dobrze... — Gandy nie miał za grosz doświadczenia w pocieszaniu dzieci, był więc zmieszany i cokolwiek przestraszony. Lekki niczym piórko chłopiec tulił się do niego jak do własnego ojca. Gandy dwukrotnie z trudem przełknął ślinę, jednakże wielka kula, która stanęła mu w gardle, ani drgnęła. Zaniósł Willy'ego do Agaty i postawił na ziemię. Czuł się nieswojo.

Agata pogładziła chłopca po drżących palcach.

— Ciii, już nie płacz — powiedziała cicho. — Nie jesteś sam, Willy. — Przyglądziła sterczący kosmyk włosów, Gandy zaś przesunął dłonią po żebrach, unoszących się gwałtownie przy każdym szlochu. Ręka Agaty powędrowała w dół i ich dłonie na krótką chwilę się zetknęły. Połączeni tym samym pragnieniem, by pomóc chłopcu, oboje walczyć musieli z chęcią splecenia palców. Podeszli do schodów i usiedli, a Gandy wziął chłopca na kolana.

— No, Willy, nie płacz już.

Lecz chłopiec nie umiał się uspokoić. Wtulił się w Gandy'ego, który bezradnie zerkał na Agatę sponad jasnej czupryny. Kiedy gładziła chudą rękę dziecka, w jej oczach pojawiły się łzy.

— Gdybym mogła, zaniósłabym go sama, ale... — Przerwała, a on przypomniał sobie, jak bezskutecznie próbowała gonić Willy'ego. — Czy mógłby pan zanieść go do mnie?

Skinął głową.

Przeszli przez ciemny zakład i tylnymi drzwiami weszli na schody. Nigdy dotąd wejście po schodach nie zajęło Gandy'emu tyle czasu. Z Willym na rękach dostosował tempo do Agaty, obserwując, jak uczipiona kurczowo poręczy z wysiłkiem wchodzi na każdy stopień, i mimowolnie wspominając dzieciństwo w Waverley, zdrowe, rześkie i tak pełne miłości oraz poczucia bezpieczeństwa, jak tylko można sobie zamarzyć.

Na górze Agata otworzyła drzwi i zniknęła w pograżonym w ciemnościach mieszkaniu.

— Zaczekajcie. Przyniosę lampę.

Gandy stał bez ruchu, słuchając powłóczącej nogami Agaty i szlochającego mu tuż przy uchu Willy'ego.

Gdzieś w połowie pokoju zamigotało blade światło lampy. Zanim Gandy zdążył o tym pomyśleć, rozległ się głos Agaty:

— Niech go pan tu przyniesie.

Posadził chłopca na najmniejszym stole z trójdzielnym blatem, jaki kiedykolwiek widział.

— Czy mogę pana poprosić o jeszcze jedno? — spytała Agata. — To już naprawdę ostatnia rzecz. — Wręczyła mu biały emaliowany cebrzyk. — Czy byłby pan taki miły i zszedł na dół po wodę?

Zbiegł na dół, gdzie napełnił wiadro z ustawionej pod schodami beczki. Wracając, myślał o Agacie, nie o chłopcu.

Skoro z takim trudem wchodzi po schodach bez obciążenia, to w jaki sposób robi to z wiadrem wody?

Willy trochę się już uspokoił i cicho rozmawiał z Agatą. Gandy postawił cebrzyk na taborecie koło miednicy; odwróciwszy się zobaczył, że Agata ociera kciukiem łzy z twarzy chłopca. Zbliżył się ku nim i patrzył na jasne włosy i wąskie ramiona. Willy był niezaprzeczalnie brudny. Włosy, ubranie, paznokcie, szyja — wszystko to potrzebowało czegoś więcej niż cebrzyk zimnej wody. Spojrzawszy Agacie w oczy, zorientował się, że oboje myślą o tym samym.

— A teraz zajmijmy się twoim guzem. — Zdjęła ściereczkę z wieszaka na ręczniki, zarzuciła ją sobie na ramię i wlała do miednicy kubek wody. Kiedy stawiała miednicę na dół, woda niebezpiecznie zbliżyła się do brzegów naczynia. Zamoczyła ścierekę i przyłożyła ją do czoła Willy'ego, Gandy zaś stał obok, czując się jak słoń w składzie porcelany.

Chłopiec ze skowytym szarpnął się do tyłu.

— Wiem, że boli. Postaram się zrobić to jak najdelikatniej.

Gandy oparł się jedną ręką o stół i zaczął opowiadać.

— Pamiętam, jak kiedyś, kiedy byłem w twoim wieku albo trochę starszy, poszliśmy nad rzekę. Bo tam, gdzie mieszkałem, płynęła rzeka. Nazywała się Tombigbee. Mój kolega

i ja pływaliliśmy w niej każdego lata. Mieszkałem wtedy w Missisipi, a tam w lipcu robi się strasznie gorąco. — Agata uniosła wzrok i posłała mu uśmiech. — Tak gorąco, że czasami nie ściągałiśmy nawet spodni, tylko skakaliśmy do wody w ubraniu. No więc wtedy Cleavon i ja... — Spojrzał na Agatę i wyjaśnił: — Cleavon to prawdziwe imię Ivory'ego. W każdym razie — zwrócił się znowu do chłopca — Cleavon i ja biegliliśmy do tej rzeki jak wariaci. Skoczyliśmy na główkę, no i ja oczywiście wyrznałem w kamień i nabiłem sobie guza wielkości twojej pięści. Pokaż no, jaką masz pięść?

Willy uniósł dumnie drobną piąstkę. Przestał się opierać Agacie i siedział jak zauroczony. Gandy spostrzegł kątem oka, że Agata sięga po buteleczkę z jodyną, mówił więc dalej:

— Żeby było gorzej, straciłem przytomność i poszedłem na dno. Na szczęście mój przyjaciel Cleavon wyłowił mnie i zaczął wołać o pomoc. Mój tata przyszedł nad rzekę i zaniósł mnie do domu. Mieliśmy taką starą bezwzględną dyktatorkę. Nazywała się Leatrice... — Agata uśmiechnęła się, słysząc brzmienie tego imienia. — Wyglądała jak armatnia kula, była tak samo czarna i okrągła, tyle że dużo, dużo większa. No więc Leatrice sprawiła mi straszną burę. Powiedziała, że chyba oszalałem, że brakuje mi piątej klepki. Ale ja doszedłem do wniosku, że jestem od niej mądrzejszy. — Agata posmarowała czoło Willy'ego jodyną, on jednak ledwo się skrzywił.

— W końcu ja w lipcowe upały, kiedy temperatura dochodziła do stu stopni, chodziłem się kąpać w rzece, a Leatrice siedziała w tym czasie w dusznej kuchni.

— A czemu? — spytał Willy.

— Czemu Leatrice siedziała w kuchni?

Willy z zapalem pokiwał głową. Gandy zerknął ukradkiem na Agatę. Czy była po stronie Północy czy Południa? I czy piętnaście lat po wojnie ma to dla niej tak ogromne znaczenie jak dla niektórych?

— Bo pracowała. Była naszą kucharką.

— Aha. — Na szczęście, jak większość dzieci, Willy był całkowicie głuchy na alikwoty. — A co się stało z pana guzem?

— dopytywał się. Gandy roześmiał się.

— Leatrice zrobiła mi cuchnący okład z nagietka, a na ból głowy musiałem wypić herbatę z lipy.

— I zszedł panu?

— Pewnie, że tak — odparł wesoło Gandy. — Prawie nie ma śladu. Została mi tylko mała blizna — dodał, dotykając czoła — która przypomina mi, żebym nigdy nie nurkował, zanim nie sprawdzę, co jest pod wodą. Po tym wypadku mój tata kazał wykopać basen i od tego czasu kąpałem się już tylko tam.

Wyprostował się, a Agata zaczęła się wpatrywać w jego czoło, szukając blizny.

Kiedy na nią spojrział, natychmiast odwróciła wzrok. W ciszy rozległ się głos Willy'ego.

— Boli jeszcze?

— Gdzie tam. Nawet dokładnie nie pamiętam, gdzie mam tę bliznę. Po twoim guzie też za jakiś czas nie będzie śladu.

Willy dotknął ostrożnie guza, po czym stwierdził:

— Jestem głodny.

Gdyby to zależało od Agaty, miałyby pełną spiżarnię specjałów, które pozwoliłyby zapomnieć o guzie i zadrapaniach. Gdyby to od niej zależało, tak by go napchała łakociami, że sterczałby mu brzuch. Nic takiego jednakże nie miała.

— Może masz ochotę na sucharki?

Willy pokiwał głową z ogromnym entuzjazmem. Znalazła blaszane pudełko z sucharami cynamonowymi, po czym wręczyła je Willy'emu.

— Chciałabym mieć kuchnię — odezwała się do Gandy'ego. — Zawsze o niej marzyłam.

Dopiero teraz przyjrzał się jej mieszkaniu nieco dokładniej. Było mniej więcej o połowę mniejsze niż jego, a już u siebie Gandy często narzekał na ciasnotę. W kącie stał piec, pod ścianą miednica, poza tym wszakże nie było żadnych sprzętów przydatnych w gotowaniu. Meble były stare i mocno zniszczone. Na ścianie wisiała makatka, w oknach koronkowe firanki, a wszędzie panował nieznośny wręcz porządek.

— Długo tu pani mieszka?

— Trzynaście lat. Od śmierci ojca. Przedtem mieszkaliśmy w Kolorado. Kiedy umarł, mama postanowiła zapomnieć o wszystkim, co złe i zacząć jeszcze raz od początku. Zamieszkałyśmy tutaj, a mama otworzyła ten zakład.

— Ale nie jest tu pani dobrze? Spojrzała mu w oczy.

— Czy komukolwiek jest do końca dobrze z tym, co dostał od życia? Mieszkam tu i pracuję i chyba nie różnię się niczym od setek innych ludzi.

Gandy tak bardzo przywykł do przeprowadzek, tak często wyrывał korzenie i zapuszczał je na nowo, że trudno mu było pojąć, jak można przez tyle czasu tkwić w jednym miejscu, tym bardziej jeżeli się go nie lubi. Osobiście nie uważał Proffitt za raj na ziemi, zamierzał jednak pozostać tu do czasu, aż uda mu się zbić małą fortunkę, później zaś wyruszyć gdzieś dalej.

Błądził wzrokiem po mieszkaniu Agaty, ona zaś w tym czasie uważnie mu się przyglądała.

— Pobrudził pan sobie kołnierzyk.

— Słucham? — spytał, wyrwany z rozmyślań.

— Pobrudził pan sobie kołnierzyk. — Pochylił głowę, ale nic nie widział. — To chyba krew Willy'ego — wyjaśniła. Wypatrzywszy maleńkie owalne lustro na ścianie podszedł doń, by obejrzeć plamę. Żeby to zrobić, musiał ugiąć nogi w kolanach. Potarł palcem kołnierzyk.

— Może spróbuję to zmyć odrobiną zimnej wody? Odwrócił się w jej stronę.

— Naprawdę? Zrobi to pani?

Miała ochotę odmówić, żałując, że w ogóle to powiedziała. Co właściwie chciała udowodnić, zaprzatając sobie uwagę strojem Gandy'ego? Chodziło chyba o to, że w towarzystwie tego dziecka i dorosłego mężczyzny poczuła się przez moment tak, jakby we trójkę tworzyli prawdziwą rodzinę. Doszła do wniosku, że lepiej dać sobie spokój z takimi myślami.

Jednakże złożyła propozycję, a on czekał.

— Chwileczkę, potrzebuję trochę czystej wody. — Chwyciła miednicę, żeby wylać z niej brudną wodę, po czym zatrzymała się przed Gandym. Stał dokładnie naprzeciwko drzwi. — Przepraszam. — Wlepiała wzrok w podłogę.

— Och... przepraszam. — Drgnął i natychmiast się odsunął.

Agata opróżniła miednicę, po czym napełniła ją czystą wodą. Kiedy z wilgotną ściereczką w dłoni odwróciła się do niego, ich oczy na moment się spotkały. Tylko na moment.

— Powinien pan chyba rozluźnić krawat.

— Och... oczywiście. — Szybkim ruchem rozluźnił węzeł, zdjął krawat i czekał.

— Jeszcze guzik. Posłusznie wykonał polecenie.

Agata uniosła dłonie, on zaś zadarł podbródek. Choć wydawało jej się to dziwne, odniosła wrażenie, że Gandy jest tak samo skrepowany jak ona. Wsunęła suchy róg ścierki pod kołnierzyk, po czym wilgotnym końcem zwilżyła poplamiony materiał.

Po raz pierwszy w życiu dotykała szyi mężczyzny. Była ciepła i delikatna. Końce bokobrodów, ostre, ale bynajmniej nie nieprzyjemne drapały wierzch jej dłoni. To też zdarzyło się jej po raz pierwszy. Zarost miał gęsty i czarny, i prawie zawsze sprawiał wrażenie nie ogolonego, a ubranie przesiąknięte zapachem tytoniu. W tak niewielkiej dawce był to zapach całkiem przyjemny.

Gandy wpatrywał się w sufit. „Chłopie! Czego ty, do diabła, tu szukasz? Jakiegokolwiek kontakty z tą kobietą to pewne kłopoty. Przecież raptem godzinę temu ona i te jej piekielne «świętoszki» nagabywały twoich klientów i starały się rozpedzić ich po domach! A teraz sterczysz z zadartą brodą i pozwalasz jej się pieścić!”

— Wie pani, to zabawne — odezwał się, nie odrywając wzroku od sufitu.

— Co takiego?

— Cała ta sytuacja. To, co robiliśmy godzinę temu, i co robimy teraz.

— Wiem.

— Budzi to we mnie dość mieszane uczucia. Opuściła dłonie, on podbródek. Ich oczy się spotkały, lecz Agata natychmiast spojrzała gdzieś w bok.

— We mnie też — przyznała cicho. Ponownie uniosła twarz i popatrzyła mu w oczy. — Ale to niezupełnie od nas zależało, prawda?

Spojrzał na Willy'ego, a potem znów na nią.

— Niezupełnie.

— A to, że wyczyściłam panu kołnierzyk, wcale nie oznacza, że przeszłam na pańską stronę.

— Wkrótce powróci pani z nową amunicją.

— Tak — odrzekła Agata, czując lekki żal.

— A ja będę dalej sprzedawał whisky.

— Wiem.

Podczas gdy Willy siedział na brzegu stołu i zjadał sucharki, Agata i Gandy wpatrywali się w siebie. Byli wrogami. Czy aby na pewno? No cóż, w każdym razie nie byli sprzymierzeńcami! Żadne z nich nie potrafiłoby jednak zaniegować faktu, że w jakiś tajemniczy sposób stali się przyjaciółmi.

Po głowie chodziło jej przez cały czas coś, co po prostu musiała mu powiedzieć. Położyła wilgotną ścierkę na brzegu miednicy, odwracając się do niego profilem.

— Chciałabym, żeby pan wiedział, że czuję się zażenowana tym, co wyprawiała dzisiaj Evelyn Sowers. Staje się coraz bardziej radykalna i prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy uda mi się nad nią zapanować. Wie pan, ja wcale nie chciałam być przewodniczącą tego stowarzyszenia, ale Drusilla Wilson nie dała mi żadnego wyboru.

Stojąc w tym wąskim cichym pokoju, Gandy zdał sobie nagle sprawę, jak wyraźnie słychać tu wszystkie dźwięki dochodzące zza ściany. A przecież Agata Downing otwiera swój zakład wcześniej rano. Nietrudno było się domyślić, że nie raz otwierała go zmęczona i nie wyspana, podczas gdy on i jego szajka przewracali się spokojnie na drugi bok.

— A ja przepraszam za te hałasy.

Nagle zdali sobie sprawę — oboje naraz — że się do siebie uśmiechają.

Gandy zreflektował się pierwszy.

— Chyba już pójdę. Na dole jest spory ruch i pewnie mnie tam potrzebują.

Spojrzała na cień rzucany przez lampę na rozpięty kołnierzyk jego koszuli.

— Niestety, ta plama nie do końca zeszła. Dotknął kołnierzyka i spuścił wzrok.

— Nie szkodzi. Zajdę po drodze do siebie i włożę czystą koszulę.

Spojrzał w stronę stołu. Willy chrupał kolejnego sucharka, drapiąc się po głowie i wymachując skrzyżowanymi nogami.

— Co pani z nim zrobi? — spytał Gandy półgłosem. — Przecież nie może tu zostać.

— Odprowadzę go do domu. Wolałabym tego nie robić, ale... — Powiodła wzrokiem od chłopca do Gandy'ego.

Twarz

jej posmutniała. — O Boże, jest przecież za mały, żeby go zostawić samemu sobie.

Wyciągnął rękę i ścisnął jej ramię.

— Wiem. Ale to w gruncie rzeczy nie nasz problem, prawda?

— Nie?

Przez kilka długich sekund patrzyli sobie w oczy. W końcu Gandy opuścił rękę.

— Zamierzam poprosić wielbnego Clarksdale'a, żeby porozmawiał z Alvisem Collinsonem — oświadczyła Agata.

— Sądzi pani, że to pomoże?

— Nie wiem. A ma pan lepszy pomysł?

Nie miał, a co więcej, za wszelką cenę chciał uniknąć mieszania się do problemów Willy'ego. Angażowanie się w krucjaty nie leżało w jego naturze. To akurat było domeną Agaty Downing. Zrobił jednak trzy kroki i stanął przed chłopcem.

— I co? Najadłeś się już?

Willy rozpromienił się i pokręcił przecząco głową.

— To weź jeszcze jednego na drogę. Panna Agata odprowadzi cię do domu.

Willy przestał przeżuwać i spuścił głowę.

— Ale ja nie chcę do domu — odezwał się z pełnymi ustami. — Tu mi dobrze.

Gandy zebrał się w sobie, wręczył małemu sucharka, po czym zdjął go ze stołu.

— Może twój tata jest już w domu. Jeżeli tak, pewnie się o ciebie martwi.

Marne szanse, pomyślał, a spojrzawszy na Agatę, wyczytał w jej oczach dokładnie tę samą myśl.

Wyszli na schody, nie gasząc lampy i trzymając się za ręce. Oczywiście Willy maszerował w środku. Spodziewała się, że Gandy zostawi ich i pójdzie do siebie, lecz chwycił Willy'ego pod pachy i z okrzykiem „I hop do góry!” zniósł go po schodach, cierpliwie dostosowując się do Agaty. Na dole kucnął naprzeciwko małego.

— Wiesz co? — powiedział. — Jak będziesz miał ochotę, to odwiedź mnie któregoś popołudnia. — Zakołysał się na piętach i wyciągnął do góry długi palec wskazujący. — Widzisz tamto okno? To moje biuro.

Willy zadarł głowę i uśmiechnął się.

— Naprawdę?

— Pewnie. Widziałeś kiedyś bawełnę? Ale prawdziwą, tak jak rośnie?

— E-ę.

— Mam tam taką. Jak do mnie przyjdiesz, to ci pokażę. Bez chwili zastanowienia Willy zarzucił mu rękę na szyję i mocno się do niego przytulił.

— Przyjdę jutro!

Gandy roześmiał się i odwrócił małego twarzą do Agaty.

— A teraz wracaj do domu i kładź się spać.

Podszedłszy do Agaty, Willy ufnie podał jej rękę. Chwytając ją, poczuła najpierw, jak kurczy się jej serce, potem zaś ogarnęła ją bezgraniczna radość.

— Pożegnaj się ładnie z panem Gandym, Willy.

Willy odwrócił się nie wypuszczając jej dłoni, wesoło pomachał Gandy'emu.

— Dobranoc, panie Gandy.

— Dobranoc, Willy.

Nagle Gandy'emu przyszła do głowy pewna myśl.

— Agato, niech pani zaczeka! Zatrzymała się.

— Momencik — rzekł, unosząc palec wskazujący, po czym zniknął w cieniu schodów i wszedł tylnymi drzwiami do saloonu. Po chwili wrócił. — W porządku — powiedział cicho.

A więc Alvis Collinson nadal siedzi w barze. Agata odruchowo mocniej ścisnęła maleńką dłoń.

— Dobranoc, panie Gandy — rzekła cicho.

— Dobranoc, Agato.

Marszcząc czoło, wysoki mężczyzna z czarnymi baczkami patrzył, jak odchodzą, trzymając się za ręce.

Dom Collinsona okazał się po prostu chlewem. Podłogę pokrywała gruba warstwa brudu, piec był całkiem przerdzewiały. Poplamione ubrania walały się tam, gdzie je rzucono, a w powietrzu unosił się odór zepsutych resztek jedzenia leżących po kątach na brudnych talerzach. Agata starała się nie myśleć o stanie pościeli, w którą zawinęła Willy'ego.

— Teraz już będzie ci dobrze, Willy.

Z błyszczących oczu dziecka wyczytała, że teraz, kiedy ma zostać sam, opuszcza go odwaga.

— Musi już pani iść?

— Tak, Willy. Muszę. — Podbródek mu zadrżał, Agata przykłęła więc obok łóżka i odgarnęła chłopcu jasne kosmyki z czoła. — Jak pójdziesz z wizytą do pana Gandy'ego, nie zapomnij też zajść przy okazji do mnie, dobrze? Nie odpowiedział. Zaciśnął usta, a w kącikach jego oczu pojawiły się łzy.

„A żebyś tak smażył się w piekle, Alvisie Collinson, za to, że traktujesz to śliczne dziecko, jakbyś żałował, że w ogóle żyje, podczas gdy ja oddałabym swoje zdrowe biodro, żeby móc je mieć.”

Z największym trudem powstrzymała łzy.

— Przyjdiesz, prawda?

Przełknął ślinę i pokiwał głową, a wtedy po jego policzku spłynęła łza.

Agata pochyliła się i pocałowała ją, czując się tak, jakby zaraz miało jej pęknąć serce.

Przez całą drogę do domu czuła zapach stęchlizny, który unosił się z brudnej pościeli.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W ciągu tygodnia Willy stał się nieodłączną częścią zakładu Agaty. Co rano słyszała skrzypienie otwieranych drzwi, a po chwili mały stał już przy jej łokciu i zadawał dziesiątki pytań: „A co to?“, „A po co to robisz?“, „A do czego to?“ Nie ze swojej winy był mocno zapóźniony w nauce. Chociaż wydawał się ogromnie ciekaw otaczającego go świata, rozumiał bardzo niewiele. Agata cierpliwie odpowiadała na każde pytanie, szczęśliwa na widok błysku pojawiającego się w oczach chłopca, ilekroć dowiedział się czegoś nowego.

— To naparstek.

— A do czego on jest?

— Do popychania igły. Żeby palec nie bolał, widzisz?

— A co to są?

— A co to jest — poprawiła. — Kamienie. Zwykle polne kamienie.

— Co się z nimi robi?

— Przytrzymują wykroj, kiedy kroi się materiał. Zobacz... — Po tym, jak dostała maszynę do szycia, zaprenumerowała magazyn mód Ebenezerza Buttericka i zamówiła dwadzieścia papierowych wykrojów, które ogromnie podekscytowały jej klientki i już przyniosły efekty w postaci kilku zamówień. Tego dnia jednakże zajmowała się wykrawaniem pierwszej z trzech szkarłatno-czarnych sukni do kankana. Wyjmowała z blaszanej miednicy kamień po kamieniu, układając wykroj w odpowiednim miejscu. Oparty brodą o wysoki warsztat,

Willy uważnie obserwował wysiłki Agaty. Przyglądał się, jak starannie układa papier na materiale, po czym w odpowiednim miejscu przyciska go otoczką. Uważnie sprawdził, ile zostało kamieni, a ile części wykroju.

— Będzie trzeba więcej kamieni. Zajrzała do miski.

— Rzeczywiście. — Zmarszczyła brwi. — O dobry Boże, jak ja nie znoszę przerywać pracy, żeby iść je zbierać.

— To ja pójdę! — Ruszył ku drzwiom, zanim jeszcze na jej twarzy zdążył się pojawić uśmiech.

— Willy?

Odwrócił się na pięcie. W brązowych oczach błyszczały wesołe ogniki, włosy sterczały we wszystkie strony.

— Aha?

— Weź miednicę. — Ułożyła pozostałe kamienie na stole, po czym wręczyła mu naczynie. Kontynuując pracę, często unosiła wzrok i spoglądała przez tylne drzwi, jak z plecami zgiętymi prawie do ziemi i brodą pomiędzy kolanami kuca i grzebie patykami w ziemi. Wrócił po pięciu minutach, niosąc dumnie miskę pełną brudnych kamieni.

— Zanieś je na dwór i najpier je umyj, bo inaczej pobrudzą materiał.

Wybiegł na podwórze, po chwili wszakże wrócił.

— Nie mogę dosięgnąć.

Agata roześmiała się i szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd, poszła mu pomóc.

— Będziemy musieli postawić ci tu jakiś taboret — rzekła, pochylając się nad beczką. — I nie zapomnij umyć rąk — dodała srogim tonem, po czym weszła do zakładu.

Kiedy Willy wrócił, całe ubranie miał w mokrych plamach, albowiem wycierał o nie umyte kamienie. Sapał i dyszał, zmagając się z ciężką miską, w końcu jednak postawił ją dumnie u stóp Agaty.

— Jo! Już żem skończył!

— Skończyłem — poprawiła go Agata.

— Skończyłem — powtórzył niczym papuga.

Agata z wielce poważną miną obejrzała każdy kamień.

— No, no, piękna robota. Wszystkie czyste, a na dodatek, dobry Boże! pięknie osuszone. Idź do sklepu i poproś

Violet o centa. Powiedz jej, że na niego zapracowałeś.

Twarz chłopca rozpromieniła się, policzki zaokrągliły niczym paździenikowe jabłka. Słyszac po chwili jego cienki głosik, Agata uśmiechnęła się.

— Hej, Violet, Agata mówiła, że masz mi dać centa. Kazała powiedzieć, że na niego zapracowałem.

— Naprawdę? — odrzekła Violet. — A co takiego zrobiłeś?

— Nazbierałem kamieni, umyłem je i wysuszyłem.

— Aha, to rzeczywiście ciężka praca. Sama nie wiem, jakeśmy sobie radziły, kiedy ciebie tu nie było.

Agata wyobraziła sobie błyszczące oczy Willy'ego, śledzące każdy ruch Violet, kiedy sięga do szuflady biurka, żeby wyjąć z niej monetę. Zaraz potem trzasnęły drzwi.

Willy wrócił po niecałych pięciu minutach, dzierżąc w dłoni laseczkę sarsaparyli. Włożywszy ją do buzi, zajął swoje zwykłe miejsce przy warsztacie.

— Chcesz polizać? — Wyciągnął przysmak w stronę Agaty, a ona wiedząc, jak rzadko chłopiec je słodczyce i jak wielkie znaczenie ma w związku z tym poczęstunek, nie miała serca odmówić.

— Mmm...

— Sasparyla — wyjaśnił Willy i ponownie zajął się ssaniem. — Co to jest? — spytał po chwili, wskazując palcem.

— Sproszkowana kreda.

— A do czego?

— Do zaznaczania.

— A czego?

— Do zaznaczania miejsc, w których będę musiała zszyć te fałdy.

— A po co są te fałdy?

— Żeby nadać materiałowi odpowiedni kształt. Żeby suknia wyglądała tak jak trzeba.

— Aha. — Podrapał się po głowie, wkładając i wyjmując z ust sarsaparylę, jakby ubijał masło w maselnicy, i ani na chwilę nie odwracając wzroku od dłoni Agaty. — Musisz sypać kredę przez te małe dziurki?

— Właśnie tak. — Arkusz cienkiego papieru poznaczony był różnej wielkości otworami, z których każdy miał swoje znaczenie. Agata uważnie przesyłała przez nie kredę, wtarła ją

w materiał i dopiero wtedy zdjęła wzór, po którym zostały tylko rzędy wyraźnych białych punktów. — Widzisz?

— O kurczę!

— Dobry pomysł, prawda? — Ona też ciągle jeszcze była pod wrażeniem możliwości, jakie dawała jej maszyna do szycia i nowe wykroje. Dzięki nim praca stała się czymś ekscytującym.

Zwinęła arkusz wykroju i ostrożnie zsyłała z niego krede do szklanej miseczki. Willy ponownie podrapał się po głowie i włożył do ust resztę sarsaparyli. — Będę mógł kiedyś spróbować?

— Nie dzisiaj. A teraz biegnij wyszorować te łapska. I stół! — Spojrzała groźnie na plamy w miejscach, gdzie Willy opierał ręce.

Od tego dnia Willy zjawiał się u niej z czystymi rękoma. Jednakże cała reszta była nadal w stanie, delikatnie mówiąc, opłakany. Nieustannie drapał się po głowie, prawie nigdy nie zmieniał obuwia i okropnie cuchnął. Agata rozmawiała na ten temat z wielebny Clarksdale'em, ten wszakże niczego nie wskórał. Alvis Collinson w dalszym ciągu w ogóle nie troszczył się o syna. Ale to, czego Willy'emu brakowało w rodzinnym domu, dostawał w zakładzie Agaty. Godziny, które tam spędzał, były najradośniejszymi zarówno dla Agaty, jak i — tak przynajmniej podejrzewała — dla niego.

Wiezorami udzielała się w Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Kobiet na Rzecz Abstynencji. Przyjęła zasadę, żeby dołączać się do dowolnej grupy, byle tylko w jej skład nie wchodziła Evelyn Sowers. Każdego wieczora odwiedzała cztery lokale, przy czym ostatnim była nieodmiennie Złota Klatka. Z biegiem czasu coraz więcej mężczyzn podpisywało deklarację abstynencji, aczkolwiek nie było wśród nich żadnego ze stałych klientów Scotta Gandy'ego. Gandy był zbyt pomysłowy, żeby dało się od niego kogoś odciągnąć.

Kiedy Agata w drzwiach Złotej Klatki czytała na głos fragmenty „Dziesięciu wieczorów w barze”, wywiesił tablicę reklamującą prażoną kukurydzę na koszt firmy.

Ona rozdawała ulotki zatytułowane „Pomóżmy pogańskim kowbojom”, on za każdą taką broszurę oddaną w barze dawał żeton uprawniający do bezpłatnej kąpieli w łaźni publicznej.

Ona wraz z innymi kobietami śpiewała „Usta, które tkną whisky, nigdy nie dotkną moich”, on wywiesił listę nowych drinków o nazwach tak wymyślnych jak sling, miętowy ulepek, sangria, cobbler wiśniowy czy też blue blazer.

Kiedy weszły do lokalu ze starą pieśnią religijną „Wiara naszych ojców” na ustach, dał znak Ivory'emu, który natychmiast zaczął im akompaniować na pianinie. Zaraz potem dołączyli się wszyscy klienci saloonu, Gandy zaś stanął za barem i zaczął dyrygować tym najbardziej poruszającym wykonaniem pieśni, jakie kiedykolwiek słyszano w Proffitt, czy to w kościele, czy poza nim. A potem uśmiechnął się do Agaty i zawołał:

— Dzisiaj sardynki na koszt firmy! Zapraszam do baru! Kiedy obchodziła bar z tacą, zbierając datki na działalność stowarzyszenia, ogłosił, że tego wieczora wysokość wygranych w keno zostanie podwojona.

Tak, Gandy był naprawdę wyjątkowo pomysłowy, Agacie wszelako ta próba sił z Gandym zaczęła sprawiać dziwną przyjemność.

Któręgoś wieczora, zanim jeszcze zeszli się klienci i przybyły członkinie stowarzyszenia, Agata weszła do Złotej Klatki i skierowała się prosto do baru. Stał za nim Gandy, wsparty łokciami o wypolerowany kontuar, i patrzył, jak się zbliża. Kapelusz miał spuszczone niemal na oczy i pociągał cygaro, nie dotykając go palcami. Jego rudobrazowa kamizelka była nieskazitelnie czysta, policzki zaś jak zwykle zdobiły dołeczki.

— Czy wolno zapytać, cóż takiego panią sprowadza o tak wczesnej porze, panno Downing? — Przy innych zawsze nazywał ją panną Downing.

Wręczyła mu egzemplarz „Pomóżmy pogańskim kowbojom”.

— Poproszę o żeton do łaźni, panie Gandy.

Spojrzał na broszurkę, wyjął z ust cygaro i jeszcze szerzej się uśmiechnął.

— Domyślam się, że to nie żart. Skinęła głową.

— Oczywiście, że nie. Broszura za żeton. O ile się nie mylę, tak właśnie głosi napis w oknie.

Wziął broszurę i pobieżnie ją przekartkował.

— Mam tylko nadzieję, że nie każe mi pani tego czytać.

— To już zależy wyłącznie od pana, panie Gandy. Ja proszę jedynie o mój żeton — odparła z uśmiechem, wyciągając dłoń. Ani ona, ani Gandy nie mieli najmniejszych kłopotów z zachowaniem we wzajemnych kontaktach nienaganych manier, nawet kiedy rzucali sobie nowe, coraz wymyślniejsze wyzwania.

Gandy ponownie oparł się o bar, układając łokcie tak samo jak przedtem.

— Żeton dla pani, Jack — rzucił przez ramię. Rozległ się dzwonek kasy, po czym Jack Hogg wręczył jej okrągły drewniany żeton.

— Proszę bardzo, panno Downing.

— Dziękuję uprzejmie, panie Hogg.

— Najlepiej iść tam wcześniej rano, kiedy jeszcze nie ma takiego straszego tłoku.

Jej szyja zaróżowiła się; żadna szanująca się kobieta w stanie Kansas nie pojawiłaby się w miejscu takim jak łaźnia w Proffitt nawet w stanie zmumifikowanym.

— Dziękuję, postaram się zapamiętać — odparła jednak uprzejmie i skierowała się do wyjścia.

— Panno Downing? — Odwróciła się w stronę Jacka. — Mam do pani prośbę... Rozdarłem sobie rękaw koszuli. Na pani maszynie to chyba chwila roboty.

— Jak będzie pan miał czas, proszę ją przynieść. Jeśli akurat mnie nie będzie, zszyje ją panu panna Parsons.

— Dziękuję. — Z uśmiechem uchylił kapelusza. Agata całkiem zapomniała o sonej połowie jego twarzy, wyobraziła sobie natomiast, jak przystojny musiał być przed wypadkiem.

Kiedy mijała Gandy'ego, wyciągnął w jej stronę tacę.

— Może sardynkę, panno Downing?

Spojrzała najpierw na tacę, potem na niego. Dołeczki w jego policzkach nie pozostawiały złudzeń, że spodziewa się odmowy.

— Czemuż by nie, panie Gandy. Z wielką chęcią. — Nie znosiła ryb, niemniej przemogła się, chwyciła jedną i bez chwili wahania włożyła do ust. Zaczęła żuć. Przestała. Znowu zaczęła. W końcu połknęła sardynkę prawie w całości, skrzywiła się i zadrzała.

— Czy coś nie tak? Nie lubi pani sardynek?

— No wie pan, panie Gandy! Nie wstyd panu wciskać klientom ryby, które są tak słone, jakby przez całe życie pływały w solniczce?

— Ani trochę.

— I prażoną kukurydzę, która zapewne smakuje równie ohydnie?

— W przyszłym tygodniu będą świeże ostrygi. Nie są tak słone, a do tego uchodzą za prawdziwy rarytas. — Uniósł brew i uniósł tacę. — Może jeszcze jedną?

Spojrzała krzywo na oślizłe ryby.

— O ile dobrze pamiętam, nazywa pan to wolną przedsiębiorczością, czy tak? — Odstawił tacę na kontuar i wesoło się roześmiał. Agata zlizwała tłuszcz z palców. — Jaki będzie pański następny pomysł, panie Gandy?

— Nie wiem. — Posłał jej przyjazne spojrzenie. — Powoli zaczyna mi ich brakować. A pani?

Nie roześmiała się, choć wymagało to od niej ogromnego wysiłku.

Agata doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli szczerze poinformuje swoje współtowarzyszki o pracach wykonywanych na zlecenie Gandy'ego.

Evelyn Sowers skrzywiła się pogardliwie i prychnęła:

— Też coś! Zadawać się z wrogiem! Agata spodziewała się tego.

— Być może masz rację, ale nasze stowarzyszenie również na tym skorzysta, bo dziesięć procent zarobku zamierzam przeznaczyć na jego rzecz. Jak zapewne wszystkie wiecie, nasza kasa świeci pustkami.

Evelyn wprawdzie nie wyglądała na przekonaną, mimo to zrezygnowała z dalszej dyskusji.

Jubilee, Pearl i Ruby, szczebiocząc radośnie i chichocząc, przyszyły do przymiarki. Ubrane były w szlafroki: Pearl miała różowy, Ruby purpurowy, Jubilee turkusowozielony.

Agata starała się nie przyglądać im zbyt nachalnie.

Śmiejąc się, dziewczyny weszły do sklepu.

— Dzień dobry, Agato. Dzień dobry, Violet. Cześć, Willy.

Willy pobiegł się z nimi przywitać.

— Przyszłyście przymierzyć te nowe suknie? Ruby uszczypnęła go w czubek nosa.

— Pewnie — odparła.

— Będę zaglądać pod drzwiami i patrzeć, jak w nich tańczycie.

Jubilee chwyciła go za ramię i łagodnie odwróciła twarzą do siebie.

— O nie, nie zrobisz, tego młody człowieku.

— Zrobię.

— Jak cię na tym złapię, przetrzepię ci skórę.

Willy nie wyglądał na przestraszonego. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Akurat.

— Skąd wiesz, że nie?

— Bo ucieknę do Scotty'ego i Agaty i oni ci nie pozwolą. Chwyciwszy się pod boki, Jube pochyliła się i oparła czołem o czoło Willy'ego.

— Okropny z ciebie nicpoń, wiesz, Willy Collinson?

— Agata też tak mówi.

Wszystkie kobiety roześmiały się, a Pearl zmierzwiła mu włosy.

Uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

— Pomagałem Agacie szyć wasze suknie — oświadczył.

— Aha, akurat!

— Pomagałem, co nie, Agato?

— Nie mówi się „co nie”, Willy — zwróciła mu uwagę, promiennie się uśmiechając. — Oczywiście, że nam pomaga. Kiedy rozkładam wykroje na materiale, układa na nich kamienie.

— I pilnuje, żeby fałdy się nie pozwijaly, kiedy Agata i ja je ściągamy — dodała Violet.

Ruby oparła pięść na biodrze i skrzywiła się z udawanym lekceważeniem.

— Chciałabym to zobaczyć.

— A Agata powiedziała, że dostanę taboret, żeby lepiej widział, co się dzieje na stole, i żeby mógł nabierać wody z beczki.

Znowu się roześmiały.

— Suknie są gotowe do przymiarki — stwierdziła Agata, przechodząc do rzeczy. Przyniosła je i powiesiła na wy-

sokim drążku. — Wygląda na to, że będą bardzo, bardzo piękne.

I rzeczywiście były, zwłaszcza na tych trzech wspaniałych ciałach. Agata nie potrafiła zdławić w sobie uczucia zazdrości, kiedy dziewczyny zdjęły szlafroki, ukazując talie jak osy, ukształtowane przez obcisłe gorsety z biegnącymi przodem bryklami. Na prośbę Agaty wszystkie włożyły buty na wysokim obcasie, żeby można było dokładnie dopasować długość sukni. Z powodu swojej choroby Agata nigdy nie mogła nosić takich butów. A jakże zgrabnie wyglądały w nich kobiece stopy i nogi. Już sam ten widok sprawiał ogromną radość.

Jubilee i Ruby stały na warsztacie, podczas gdy Agata i Violet znaczyły materiał kredą. Pearl przysiadła na krześle i czekała na swoją kolej.

— Znaście Chudego McCorda? — spytała Jubilee.

— Tego długiego chudzielca z nosem jak marchewka?

— Właśnie.

— Czemu pytasz?

— Próbował mi wmówić, że czasami na szlaku jest tak gorąco, że trzeba moczyć uzdy w kubie z wodą, bo inaczej konie poparzą sobie języki.

Pearl zerknęła kątem oka na Willy'ego, żeby sprawdzić, czy aby na pewno słucha.

— Myślicie, że to prawda?

— Mmm... — udała zamyślenie Ruby. — Sama nie wiem. A jak wam się wydaje, czy stary Tompson Bez Jednego Palca buja, że kiedy w wozie z żywnością skończy się sól, to zlizuje koński pot z siodła?

Willy wsłuchiwał się w każde słowo, niczym zaczarowany.

— A posłuchajcie no tylko tego! — wykrzyknęła Pearl.

— Stary Duffield spytał mnie ostatnio, czy wiem, jak poznać, że w Teksasie zrywa się wiatr. — Pearl zaczęła, aż napięcie odpowiednio wzrosło, po czym spojrzała z ukosa na chłopca.

— Wiesz jak, Willy?

Pokręcił głową, po czym podrapał się po niej.

— No więc według Duffielda trzeba najpierw przybić do szczytu słupa łańcuch. Jeżeli wiatr uniesie go do poziomu, to jest spokój. A jeżeli wyrwie ostatnie ogniwo, znaczy, że pogoda będzie fatalna.

Wszyscy się roześmiali, a Willy wskoczył Pearl na kolana.

— Naśmiewasz się ze mnie, no nie, Pearl? Zmierzwiła mu włosy i szeroko się uśmiechnęła. Dziewczyny zawsze przynosiły ze sobą radosny nastrój i podobnie jak wszyscy pozostali pracownicy Złotej Klatki bardzo interesowały się losem malca. Agata uwielbiała ich wizyty. Kiedy przymiarka dobiegła końca i wróciły do siebie, znowu zrobiło się cicho i nudno. Willy siedział na progu tylnych drzwi. Bawił się jakimś zielonym robakiem i przez cały czas się drapał. Zgięty w pasie, przyglądał się, jak robak pełźnie mu po bucie, jednocześnie drapiąc się w szyję. Wyprostował się, przez chwilę patrzył, jak robak przechodzi mu z palca na palec, po czym mocno podrapał się pod pachą. Potem położył sobie robaka na kolanie i podrapał się w krocze. W końcu odłożył stworzenie na ziemię i poskrobał się po głowie.

— A co byś tak powiedział na kąpiel, Willy? Położył się na plecach.

— Kąpiel? Ani mi się śni. Nie chcę się kąpać. Agata i Violet spojrzały po sobie.

— Dlaczego?

— Tata nigdy mi nie każe.

— A powinien. Kąpiel to bardzo ważna rzecz.

— Nie znoszę kąpieli I — oświadczył z naciskiem Willy.

— Mimo wszystko powinieneś się wykapać. Mam żeton. Wystarczy, że dasz go panu Kendallowi w łaźni i będziesz się mógł wykapać za darmo.

Willy zerwał się z ziemi, jakby nagle coś sobie przypomniał.

— Muszę iść zobaczyć, jak ładują bydło do wagonów. Do zobaczenia, Violet. Do widzenia, Agato. — Wybiegł, całkiem zapomniawszy o robaku, który pełził teraz w górę framugi.

Piętnaście po czwartej Agata zapukała do drzwi biura Gandy'ego.

— Proszę.

— To ja. — Kiedy weszła, kucnął przed sejfem i przeliczał plik banknotów. Na jej widok natychmiast zerwał się na równe nogi.

— Byłem pewien, że dziś jest przymiarka.

— Była. Już skończyłyśmy.

— Kiedy suknie będą gotowe?

— Za jakiś dzień albo dwa.

Wszystko wyglądało tak samo jak poprzednio, z wyjątkiem stojącego na biurku wysokiego słoja z czarną lukrecją, którego wtedy tam nie było.

— Czy jest jakiś problem? — Nonszalanckim ruchem rzucił na biurko gruby plik banknotów.

— Nie. Z sukniami nie ma żadnego.

— Proszę usiąść. Więc co takiego się stało? Przysiadła na brzegu dębowego fotela. Gandy opadł na swoje krzesło i odruchowo sięgnął do kieszeni kamizelki. Zdażył wyciągnąć cygaro mniej więcej do połowy, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co robi, i wcisnął je z powrotem.

— Chodzi o Willy'ego.

Gandy z krzywym uśmiechem spojrzął na słoja.

— Strasznie miły z niego dzieciak, prawda? Agata zwróciła wzrok w tę samą stronę co on.

— Istny aniołek. Widzę, że często pana odwiedza. Gandy pokiwał głową, roześmiał się, po czym złączył dłonie i oparł na nich brodę.

— Panią też?

— Tak, codziennie.

Zauważył, że Agata nie odrywa oczu od słoja.

— Są nie tylko dla niego — wyjaśnił pośpiesznie. — Ja też je lubię.

Uśmiechnęła się, zrozumiałwszy, że nie chce przyznać, jak bardzo los chłopca leży mu na duszy.

— Tak, na pewno.

Jakby chciał jej to udowodnić, wyciągnął rękę, wziął jedną laseczkę, po czym przechylił słoja w stronę Agaty.

— Proszę się poczęstować.

Już miała odmówić, kiedy poczuła, że ślina napływa jej do ust. Kiedy ostatnio jadła lukrecję?

— Dziękuję.

Gandy zamknął słoja, odgryzł kawałek laseczki, po czym rozsiadł się wygodnie i zaczął przeżuwać. Agata, skubnąwszy swoją, spojrzała na nadgryziony rarytas. Po chwili uniosła wzrok i położyła na biurku drewniany żeton.

— Chciałabym go wykorzystać.

Gandy zerknął na żeton, potem utkwiał wzrok w Agatę. W jego policzkach pojawiły się dołeczki, na ustach zadziorny uśmiech.

— Obawiam się, że w tej sprawie będzie pani musiała udać się do łaźni. My takich usług niestety nie świadczymy.

— Chodzi o Willy'ego — wyjaśniła.

— O Willy'ego?

— On cuchnie. — Zrobiła wymowną pauzę. — Nigdy w życiu nie widziałam nikogo, kto potrzebowałby kąpieli bardziej niż on.

— Więc niech go pani pośle do łaźni.

— Nie pójdzie.

— Niech mu pani każe...

— Nie jestem jego matką, panie Gandy, ani ojcem. Willy twierdzi, że ojciec nie każe mu się kąpać, co zresztą wydaje się całkiem prawdopodobne. Kiedy zaproponowałam, żeby tam poszedł, zerwał się na równe nogi i pobiegł patrzeć, jak kowboje ładują bydło do wagonów.

Gandy odgryzł kolejny kęs lukrecji.

— No dobrze, ale jaki ja mam z tym wszystkim związek?

— Z panem by poszedł.

— Ze mną! — Gwałtownie uniósł brwi.

— Willy czci nawet ziemię, po której pan stąpa.

— Zaraz, zaraz, niech pani zaczeka. — Gandy wstał z krzesła i odszedł od Agaty najdalej, jak mógł. W kącie koło okna odwrócił się i wskazał na nią laseczką lukrecji. — Ja też nie jestem jego ojcem. Skoro trzeba go wykąpać, niech zajmie się tym Collinson.

— To by było idealne wyjście, prawda? — odparła spokojnie i skubnęła odrobinę lukrecji. Gandy rzucił swoją laseczkę na biurko.

— Ale dlaczego właśnie ja? — spytał rozpaczliwie.

— Chętnie zaprowadziłabym go tam sama — odrzekła — tylko że byłoby to zwyczajnie nieprzyzwoite. Kobiety nie pokazują się w publicznych łaźniach. A pan przecież bywa tam dość regularnie, prawda?

Gandy sprawiał wrażenie okropnie wzburzonego.

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby przychodził tutaj od czasu do czasu, ale nie zamierzam biegać dookoła tego

chłopaka, jakby był moim dzieckiem. Chyba nie byłoby zbyt dobrze, gdyby się do mnie przywiązał, prawda? Agata strzepnęła nie istniejący kurz ze spódnicy.

— Wydaje mi się, że ma wszy — stwierdziła krótko.

— Wszy! — powtórzył, wpatrując się w nią z przerażeniem.

— Przez cały czas się drapie. Nie zwrócił pan na to uwagi?

— Ja... — Przeklęta kobieta! Dlaczego nie zostawi go w spokoju?! Chodził tam i z powrotem, gładząc nerwowo włosy.

— Miał pan kiedyś wszy, panie Gandy?

— Ależ skąd. Nigdy.

— Może więc ugryzła pana kiedyś pchła?

Posiadała denerwującą umiejętność wydobywania z niego odpowiedzi nawet wówczas, gdy najbardziej nie chciał ich udzielić.

— Oczywiście, że tak. Komu się to nie zdarzyło? Jak byłem młody, mieliśmy psy i koty.

— Powinien więc pan wiedzieć, że to niezbyt przyjemne uczucie. Pchła ugryzie i przeskoczy na kogo innego. Za to wszy nie przeskakują. Przez cały czas chodzą po...

— Dobrze! Już dobrze! — Gandy zacisnął powieki i uniósł dłonie w geście kapitulacji. — Spróbuję! — Otworzył oczy, spojrzął na róg sufitu i zaklął pod nosem.

Agata uśmiechnęła się.

— Najpierw trzeba nasmarować mu głowę naftą.

— Jezu! — jęknął z obrzydzeniem.

— I wyprać ubranie. Tym ja się zajmę.

— Niech pani nie zadaje sobie zbyt wiele trudu, Agato — odrzekł z sarkazmem.

— Zostawiam żeton. — Wyglądał cokolwiek idiotycznie obok grubego pliku banknotów. — No cóż... — Wstała.

— Dziękuję za lukrecję. Była naprawdę smakowita. Dawno nie jadłam lukrecji.

— Hm!

Rozbawienie wzięło górę i na twarzy Agaty pojawił się łagodny uśmiech.

— Ależ panie Gandy, przecież nie jest aż tak źle. Niech pan po prostu udaje, że nafta to ten parszywy środek dezynfekujący, który sprzedaje pan na dole.

Stał z pięściami zaciśniętymi na biodrach. Agata doszła do wniosku, że nawet kiedy robi zaciętą minę, jego oczy nie tracą uroku.

— Agato, nieżnośna z pani diablica, wie pani? Spojrzała na jego usta i głośno się roześmiała. Zaciśnięte wargi miały czarną obwódkę, niczym oko szopa.

Najeżył się i starał wyglądać groźnie. „Przeklęta kobieta! Przychodzi tu, rozbraja mnie tymi swoimi zielonymi oczyma i przebiegłymi sztuczkami, drażni moje sumienie, a potem jeszcze śmieje się ze mnie w kułak!”

— Co, do licha, tak panią rozbawiło?

Otworzyła drzwi i wciąż się śmiejąc, rzuciła przez ramię:

— Niech pan sobie koniecznie umyje usta.

Kiedy jej turniura zniknęła za drzwiami, wszedł do mieszkania i spojrzał w lustro nad miednicą. Wściekłym ruchem otarł lukrecję z ust, choć już po chwili miał poważne problemy z powstrzymaniem śmiechu. Przez pewien czas stał zamyślony. Ta przeklęta kobieta zaczyna mieć na niego coraz większy wpływ.

Zastanawiał się nad jej wyglądem. Szczegół po szczególe. Kształtne usta; nieskazitelna cera; ładna żuchwa; przykuwające uwagę zielone oczy; rzadki mahoniowy odcień starannie ułożonych włosów; ubiór — zawsze formalny i nienagannie elegancki, bardzo jednak do niej pasujący. Te wysokie tur-niury. Nigdy nie zaliczał się do ich zwolenników, musiał jednak przyznać, że Agacie dodawały one dostojęstwa.

Przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze.

„Miej się na baczności, bracie, bo gotów jesteś się w niej zadurzyć. A to już nie byłoby zbyt zabawne.”

Mały chudy chłopiec, cuchnący naftą, i wysoki umięśniony mężczyzna, roztaczający wokół woń tytoniu, stali w pomieszczeniu pachnącym wilgotnym drewnem. Dwie drewniane balie z gorącą wodą czekały na środku mokrej sosnowej podłogi. W kącie stało poobijane krzesło, a na nim dwa przewieszane przez oparcie wyświechtane tureckie ręczniki, miska z kawałkami żółtego mydła ługowego i sterta czystych ubrań.

— No dobra, rozbieraj się. Na co czekasz? — Gandy zdjął surdut i powiesił na oparciu krzesła.

Willy wysunął dolną wargę.

— Oszukiwałeś.

— Wcale nie. Chciałeś zagrać w karty, no to zagraliśmy. A że przegrałeś z kretešem, to już nie moja wina.

— Ale ja żem nigdy przedtem nie grał. To jak żem miał wygrać?

— To kwestia szczęścia, Willy. Tak się zdarzyło, że tym razem trzymało moją stronę. A poza tym, o ile pamiętam, Agata chyba cię prosiła, żebyś nie mówił „żem”.

Kamizelka Gandy'ego zawisała na surducie. Wyjął koszulę ze spodni i rozpiął guziki. Za to Willy nawet nie ruszył palcem. Gandy położył kawałek mydła na podłodze i usiadł, żeby zdjąć buty.

— Słuchaj no, od dobrej godziny nie miałem cygara w ustach, więc jeśli nie chcesz, żeby twoja głowa zamieniła się w ognisko, to wskakuj do balii i spłucz w końcu tę naftę.

Willy skrzywił się, usiadł na podłodze i zaczął szarpać sznurowadła znoszonych i stanowczo za ciasnych butów.

Gandy, który obserwował go kątem oka, uśmiechnął się. Dolna warga chłopca wydawała się dwa razy większa niż normalnie, broda drżała z obrzydzenia. Z jasną zmierzwioną czupryną malec wyglądał jak stara kura, która zjadła więcej ziarna, niż jej się należało.

— Mam supeł — zaczął zrzędzić Willy, nie unosząc wzroku.

— To go rozwiąż.

— Nie dam rady.

Ubrany tylko w sięgający kolan kombinezon bieliźniany, Gandy przykląkł przed chłopcem.

— Pokaż...

Rzeczywiście, był tam supeł i to nie jeden. Na dobrą sprawę, sznurowadła Willy'ego składały się z samych supłów, buty zaś już dawno powinny były trafić na śmietnik. Kiedy w końcu Gandy'emu udało się ściągnąć je z nóg małego, odór o mało nie powalił go na ziemię.

— Dobry Boże, chłopcze, cuchniesz jak legowisko knura! Willy parsknął, spuścił głowę i próbował zatkać usta nadgarstkiem. Potem wyciągnął rękę i pacnął Gandy'ego w kolano.

— Wcale że nie.

— Jeśli nie jak knur, to przynajmniej jak tchórz.

— Też nie! — Kolano Gandy'ego otrzymało kolejny cios.

— Fu! Przecież tu nie ma czym oddychać! Skoro to nie ty tak śmierdzisz, to w takim razie kto?

Willy'ego bolały już usta od powstrzymywania śmiechu, pacnął więc Gandy'ego raz jeszcze, tym razem pozbawiając go równowagi.

Gandy prychnął i szeroko się uśmiechnął.

— Tak, psze pana, rzeczywiście widziałem, jak przed chwilą w stronę drzwi przemknęły cztery tchórzyce.

Tym razem Willy nie zdołał powstrzymać wybuchu śmiechu. Uniósł głowę i rzucił się całym ciałem na tors Gandy'ego.

— I tak wiem, że mnie oszukałeś, Scotty.

Po raz drugi Gandy trzymał Willy'ego w ramionach. Nawet cuchnąc naftą i starymi skarpetami, mały całkiem zmiękczył mu serce. Ich twarze dzieliło teraz ledwie kilka cali.

— To co, gotowy do zanurzenia? — spytał Gandy, uśmiechając się.

— Jak muszę. — Na twarzy chłopca ponownie pojawiła się mina cierpiętnika. — Głowa mnie piecze.

Stali obok siebie i powoli się rozbierali. Kiedy już byli całkiem nadzy, spojrzeli na siebie: Willy do góry, Gandy na dół. Penis Willy'ego wyglądał jak mały różowy żołądź, Gandy'ego pod żadnym względem go nie przypominał. Nogi Willy'ego były jak dwie białe zapałki, Gandy'ego długie, silne i gęsto owłosione. Żebra Willy'ego przypominały marimbę, tors Gandy'ego worek pełen zboża.

Ich oczy, ciemnobrażowe, z długimi rzęsami, były natomiast bardzo do siebie podobne.

— Czy jak urosnę, to będę taki jak ty? — spytał Willy z niepokojem.

— Pewnie tak.

— I też będę miał długą fujarkę?

Gandy ryknął śmiechem, wyginając się do tyłu i kładąc ręce na biodrach. Po chwili uśmiechnął się do buzi, znajdującej się na wysokości jego pępka.

— Willy, chłopcze, powiedz no mi, gdzieś ty się nauczył tego słowa?

— Usłyszałem. Ruby mówiła...

— Ruby? A cóż ona takiego powiedziała?

— Że lubi mężczyzn, którzy mają długą fujarkę. A ja lubię Ruby i chcę, żeby ona mnie też lubiła.

Gandy dotknął palcem nosa chłopca.

— Jeżeli chcesz, żeby kobiety cię lubiły, musisz się kąpać przynajmniej raz w tygodniu. A teraz chodź... —

Przykląkł przed balią. — Najpierw głowa.

Willy ukląkł, zacisnął dłonie na brzegu balii i pochylił się.

o brudne pięty opierał pośladki tak białe i drobne, że wyglądały jak dwa bochenki nie wyrosniętego chleba. Kręgi sterczały mu z pleców niczym otoczaki na zmytej fałd plaży. No i te włosy — o bogowie!

„Co za widok — pomyślał Gandy. — Sama skóra i kości, trzymane w kupie przez pokłady brudu.”

Sięgając po mydło, ponownie się uśmiechnął, oparł łokieć na uniesionym kolanie, po czym zabrał się do dzieła.

Było coś przyjemnego w szorowaniu tej dziecięcej głowy. Na tle bladej skóry Willy'ego szerokie dłonie Scotta wydawały się bardzo ciemne, przedramiona zaś przy drobnej szyi niezwykle potężne. Przed oczyma stanęła mu córka i zadał sobie pytanie, czy gdyby żyła, robiłby jej to samo.

„Przestań, Gandy. To przecież przeszłość.” Odgiął ucho Willy'ego i zajrzał do środka.

— O rany, a co ty tu wyhodował? Chyba najwyższy czas zebrać plon.

Willy zabalgotał i wystawił łokcie do góry.

— Pośpiesz się!

— Śpieszę się. Ale powinienem był wziąć ze sobą skrobaczkę.

Willy znowu zachichotał.

— Ale ty jesteś śmieszny, Scotty, wiesz? — rozległ się jego stłumiony głos.

Gandy sam się zdziwił, że ta pozornie nic nie znacząca pochwała sprawiła mu aż tak wielką przyjemność. Kiedy włosy Willy'ego były już czyste, Gandy kazał wynieść brudną wodę i przynieść świeżą.

— Dobra, a teraz wskakuj do balii, to się ogrzejesz. Sam aż zadrżał z rozkoszy, wchodząc do gorącej wody i powoli się w niej zanurzając. Willy w tym czasie usiadł po turecku w sąsiedniej balii. Mydląc się i splukując, unosząc ręce

i kuląc ramiona, Gandy zademonstrował chłopcu, jak powinna wyglądać prawdziwa kąpiel.

— Tylko dokładnie umyj uszy, słyszysz?

— Dobrze — odparł posłusznie Willy, krzywiąc się jednak z niesmakiem.

— I nie tylko w środku. Za uszami też.

— A jak mi się należy woda do uszu i ogłuchnę, to co?

— Obiecuję ci, że nie ogłuchniesz.

— Gussie też tak mówi, ale...

— Gussie? — Dłonie Gandy'ego zastygły w bezruchu.

— Tak. Zajrzała mi do uszu i powiedziała...

— Kto to jest Gussie?

— Agata. Mówi, że jak była mała, mama nazywała ją Gussie i że ja też mam ją tak nazywać. No więc Gussie zajrzała mi do uszu i powiedziała...

Do Gandy'ego dochodziły jedynie strzępy opowieści Willy'ego. Gussie? Oparty o balię, w zamyśleniu polewał sobie tors, starając się dopasować to przezwisko do jej twarzy. Nagle zmarł. No tak, oczywiście... Gussie. Uśmiechnął się, wyciągnął z wody jedną rękę, wytarł palce, po czym z kieszeni kamizelki wyciągnął cygaro. Zapaliwszy je, rozsiadł się wygodniej. Jego kolana sterczały z wody niczym dwa górskie szczyty, ręce leżały na brzegu balii. Rozmyślał o Agacie.

Ciekawa kobieta. Moralizatorka aż do bólu, a jednocześnie pełna szacunku dla wszystkich tych ludzi i wartości, które także dla niego były najważniejsze. Zabawny był sposób, w jaki prowadziła z nim walkę. Doszło do tego, że każdego wieczora z niecierpliwością oczekiwał jej wizyty w Złotej Klatce. Tak, to prawda, prowadziła krucjatę. Ale jej kampania przesycona była głęboką wiarą w prawo człowieka do życia w taki sposób, jaki uzna za stosowny.

Kiedy się nad tym zastanowił, wydało mu się to godne podziwu. Z jednej strony śpiewała, rozdawała ulotki i zbierała podpisy pod deklaracjami abstynencji, z drugiej przyznawała zarówno jemu, jak i innym właścicielom barów pełne prawo do prowadzenia legalnej przecież działalności.

Zastanawiała go również inna z charakteryzujących ją dychotomii. Agata była wyraźnie zafascynowana Jube oraz pozostałymi dziewczętami, chociaż starała się udawać, że tak

nie jest. Gandy kilkakrotnie przyłapał ją na tym, że wpatruje się w tancerki, jakby były siódmym cudem świata. No i chłopiec. Radziła sobie z nim po prostu świetnie. Szkoda, że nie ma własnych dzieci. Wychowywałaby je ponad wszelką wątpliwość lepiej niż taki degenerat jak Collinson.

Gandy zerknął na Willy'ego i roześmiał się pod nosem. Dzieciak siedział z brodą i ustami tuż pod wodą i wyglądało na to, że kąpiel sprawia mu ogromną frajdę.

Gandy wypuścił w stronę sufitu gęstą chmurę dymu.

— Agata uszyła ci nowe ubranie.

Willy poderwał głowę, a jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

— Naprawdę? Uszyła?

— Portki i koszulę — wyjaśnił Gandy, wskazując głową na bok. — Tam na krzesle, na moich.

— O rany... — Willy wpatrywał się z niedowierzaniem w stertę starannie złożonych ubrań, a z brody kapąła mu woda. — Agata nic mi nie powiedziała.

— Widocznie to miała być niespodzianka. Nie odrywając wzroku od krzesła, Willy wstał.

— Mogę już wyjść? — spytał.

— A dokładnie się wyszorowałeś?

Willy uniósł obie ręce i zajął pod pachy.

— Aha.

— Dobrze. Wychodź.

Zalśniły białe plecy, mokre pięty zadudniły o podłogę. Gandy sięgnął po ręczniki, rzucił jeden chłopcu i wstał, żeby skorzystać z drugiego. Willy otarł się pośpiesznie wyliniałym ręcznikiem, po czym upuścił go na mokrą podłogę i ruszył w stronę stosu ubrań.

— Hej, hej, nie tak szybko, szkrabie. Przecież dalej się z ciebie leje. Chodź no tu. — Gandy zarzucił swój ręcznik na ramię i przykucnął, stawiając sobie chłopca pomiędzy kolanami. Willy trząsał się, ale wydawał się całkiem obojętny na wszystko poza faktem, że na krzesle czeka na niego nowe ubranie. I choć Gandy obracał nim na wszystkie strony, wycierając mu po kolei plecy, pachy, uszy, on przez cały czas patrzył na krzesło, jakby miał głowę umocowaną na sprężynie.

— Pośpiesz się, Scotty.

Gandy uśmiechnął się i puścił go, poklepując po plecach.

— No dobrze, idź.

Spodnie były z niebieskiego perkalu. Willy nie zaprzętał sobie głowy bielizną; usiadłszy na brzegu krzesła, pośpiesznie je włożył. Ściągnął wszyty w pasie sznurek i podszedł do Gandy'ego.

— Zawiaż mi.

— Najpierw włoż koszulę i schowaj w spodnie. Koszula była w niebieskie paski, zapinała się z przodu na perłowe guziki i miała trochę za długie rękawy.

— Zapnij.

Gandy z uśmiechem wykonał polecenie. Dzięki guzikom mankiety koszuli nie zsuwały się Willy'emu na dłonie. Zawiazawszy sznurek, Gandy wcisnął go w spodnie, po czym chwycił malca za biodra i przyjrzał mu się z niekrytym podziwem.

— Ale z ciebie elegant, mały.

Willy obiema rękoma przycisnął koszulę do piersi.

— No nie? — Spoglądał w zamyśleniu na swój nowy strój. Nagle wyrwał się z objęć Gandy'ego. — Muszę lecieć się pokazać Gussie.

— Nie tak szybko. Może byś tak najpierw założył buty?

— Och... No, tak. — Willy usiadł z powrotem na podłodze i naciągnął buty na bose stopy. Skarpetek po prostu nie miał.

— Trzeba by jeszcze uczesać włosy, no nie?

— Nie mam grzebienia.

— Ale ja mam. Poczekaj.

Ubrawszy się, Gandy usiadł na krześle i ustawił sobie zniecierpliwionego chłopca między nogami. Najpierw starannie rozczesał jego jasne włosy, potem ułożył je w równą falę nad brwiami, z boków zaś zaczesał nad uszy. Kiedy skończył, chwycił Willy'ego za ramiona i badawczo mu się przyjrzał.

— Agata cię nie pozna.

— Pozna, pozna. Puść mnie już.

— Dobrze, ale zaczekaj na mnie.

Przez całą drogę Gandy musiał mocno wyciągać nogi, żeby nadażyć za Willym.

— Chodź, Scotty, pośpiesz się!

Gandy uśmiechnął się i przyspieszył. Dzień był pogodny, drzwi do zakładu Agaty otwarte. Na szczęście, albowiem

rozpędzony Willy wybiłby zapewne szybę, odsuwając je sobie z drogi.

— Hej, Gussie, Gussie! Gdzie jesteś?

— Tutaj! — odkrzyknęła, kiedy mijał lawendową kotarę.

Gandy doszedł do kotary akurat w chwili, kiedy Willy stanął koło jej krzesła, wypiął dumnie pierś, jeszcze raz uważnie się obejrzał i powiedział:

— Popatrz, Gussie! Zobacz, jak ładnie wyglądam. Agata klasnęła i złożywszy dłonie, oparła o nie brodę.

— O, Święty Piotrze! A kogóż to my tutaj mamy?

— To ja, Willy! — odparł chłopiec, uderzając się w pierś.

— Willy? — Przyjrzała mu się sceptycznie, po czym pokręciła głową. — Jedyne Willy, którego znam, to Willy Collinson. Ale on nie jest taki czysty jak ty. A już na pewno nie pachnie mydłem.

Willy wyrzucił z siebie beładny potok radosnych słów:

— Scotty i ja poszliśmy do łaźni i wykąpaliliśmy się i... no... i umyliśmy sobie włosy, no i... Scotty przyniósł mi nowe ubrania, które mi uszyłaś, ale... no... nie mogłem się poza-pinać, więc Scotty mi pomógł... Są śliczne, Gussie! — Wskoczył jej w ramiona i czule się do niej przytulił.

Gandy stał w wejściu i patrzył. Willy pocałował Agatę prosto w usta. Roześmiała się i zarumieniła z zadowolenia.

— Dobry Boże, gdybym wiedziała, że spotka mnie za to tyle uwagi, już dawno bym je uszyła.

— I umyłem sobie uszy, naprawdę dokładnie, tak jak kazał Scotty, i cały starannie się wyszorowałem, a Scotty uczesał mi włosy. Widzisz? — Willy podbiegł do Gandy'ego, chwycił go za rękę i wciągnął do środka. — Prawda, Scotty?

Agata uniosła wzrok i spojrzała na Gandy'ego. Przyszło jej do głowy, że tak właśnie musi się czuć matka i żona. Jej serce wypełniło uczucie spełnienia. Na kolanach miała dziecko, dotykające jej, pachnące mydłem, w za dużej — żeby za szybko nie wyrosło — koszuli, odstającej od ciała i sztywnej od krochmalu. Obok stał mężczyzna, który wraz z nią sprawił, że przynajmniej jedna zaniedbana duszyczka poczuła się szczęśliwsza i bardziej kochana niż prawdopodobnie kiedykolwiek dotąd.

Wyciągnęła dłoń, nie potrafiąc wyrazić słowami tego, co przepełniało jej serce, Scott Gandy zaś ujął ją mocno i uśmiechnął się.

— Dziękuję—powiedziała bezgłośnie, poruszając jedynie ustami ponad głową Willy'ego.

Gandy skinął głową i ścisnął palce Agaty tak mocno, że jego dotyk odbił się od jej serca.

Nagle oboje powrócili na ziemię. Gandy puścił jej rękę i cofnął się o krok.

— Będą mu potrzebne skarpetki i bielizna. Chyba przejdziemy się do Halorhana i czegoś poszukamy.

Obserwując ich, jak idą do wyjścia, Agata z trudem powstrzymywała łzy radości.

Przy kotarze Willy odwrócił się i zamachał.

— Do zobaczenia, Gussie.

Gandy spojrzął głęboko w jej jasnozielone oczy. Na jego twarzy malowało się coś pomiędzy kpina a czułością.

— Tak. Do zobaczenia, Gussie — powiedział.

Agata zarumieniła się i spuściła wzrok. Jej serce drżało niczym chmara lecących motyli. Kiedy uniosła głowę, w zakładzie nie było już nikogo i tylko lawendowa kotara lekko się kołysała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Alvis Collinson cierpiał na podagrę. Kiedy w dzień po kąpieli Willy'ego zwlókł się z łóżka, poczuł, że chrzęści mu w obu dużych palcach. Za wszystko, nie wyłączając podagry, winił śmierć Cory.

„Niech cię wszyscy diabli, Coro, że odeszłaś i zostawiłaś mnie bez kobiety, która by dla mnie harowała. Paluchy mi chrzęszczą jak suki z cieczką, a tu trzeba wstać i wszystko zrobić samemu. Nie ma mi kto przygotować śniadania. Nie mam już ani jednej czystej koszuli. Nawet nie ma kto przynieść węgla i zagrzać wody. Przeklęte baby! Kiedy są — źle, kiedy ich nie ma — jeszcze gorzej! A ona najbardziej! Zawsze tylko jęczała, że mam sobie znaleźć jakieś lepsze zajęcie niż poganiacz bydła. Szlachetniejsze. Niby takie wspaniałe jak Brat Jim, który jak jakaś baba znalazł sobie robotę w biurze notarialnym niedługo przed tym, jak pośrednicy zaczęli wy-przedawać te ziemie obcym. Brat Jim, co to stroi się co rano w dziwaczne garnitury i zasuwa do tego swojego biura, kłaniając się po drodze wszystkim paniusiom, jakby był lepszy od innych, jakby jego pierdy nie śmierdziały. Tak, przeklęta Cora, jak go tylko widziała, oczy jej wyłaziły na wierzch, a cycki puchły.

I niech nikt nie próbuje wmawiać Alvisowi Collinsonowi, że ten cholerny gówniarz to nie bękart Jima. Bo to raz Alvis wrócił wcześniej do domu i widział, jak Jim obwąchuje Córe? A ona, niech to wszyscy diabli, jeśli tak nie było, nic miała nic przeciwko temu!

Nie dzisiaj, Alvis, jestem zmęczona. Jakby od czasu, jak poznała Jima, jej własny mąż przestał być dla niej dość dobry! A na koniec dała sobie zmajstrować dzieciaka i po prostu wy kito wała!

Poczekaj no, Jim, pokaż się tu jeszcze raz, choćby jeden raz, a oberwiesz tak, że krew ci pójdzie uszami! I zabierzesz tego przeklętego bękarta tam, gdzie jego miejsce. Zaczynam mieć dosyć tego jego włóczenia się za mną i jęczenia, żebym wracał do domu. Tym bardziej że to przecież nie mój smarkacz."

W kuchni tymczasem Willy stał na palcach na krześle, wpatrzony w małe mlecze lustro, zawieszone wysoko na ścianie. Jego jasne włosy lśniły od wody. Z ogromnym wysiłkiem rozczesywał je grzebieniem, odgarniał na lewą stronę, po czym zaczesywał na prawo i próbował przygładzić na czubku głowy. Później przejeżdżał grzebieniem do tyłu, starając się ułożyć je tak, jak zrobił to Scotty, jednakże z mizernym rezultatem. Włosy nie chciały sterczeć tam, gdzie powinny. Spróbował raz jeszcze, ale znowu bez skutku. W końcu wcisnął grzebień między kolana i zaczął układać włosy gołymi rękoma, jakby były surowym ciastem. Po kilku próbach efekt był zadowalający. O rany, a to się tata zdziwi!

Zgramolil się z krzesła, rzucił grzebień na stół i stanął w drzwiach do sypialni, promieniejąc dumą.

— Tato, zobacz! Zobacz tylko, co mam!

Alvis spojrzał gniewnie w stronę drzwi, masując bolący palec. Smarkacz zdążył już wstać i się ubrać.

— Na co mam patrzeć? — warknął.

— Na to! — poklepał się po kieszeniach koszuli Willy. — Dostałem je od Gussie i Scotty'ego. Gussie uszyła mi spodnie i koszulę, a Scotty zabrał mnie do łaźni, a potem kupił mi nowe buty.

Collinson zmrużył oczy.

— Scotty? To znaczy Gandy, tak? Ten z baru?

— Aha. Najpierw umył mi głowę naftą. Potem się wykąпалиśmy, a po...

— A co to, do diabła, za jedna, ta cała Gussie?

— Agata. Ze sklepu z kapeluszami. Scotty kupił jej maszynę do szycia, a ona uszyła mi spodnie i koszulę.

Alvis miał wrażenie, że podagra rozprzestrzenia się z jego palców na całe ciało.

— Uszyła ci, tak? A z jakiej racji czepia się mojego dzieciaka? Może byłeś dla niej za nędznie ubrany? — Alvis zwlókł się z łóżka. — Więc to ona tak podjudziła tego przeklętego klechę, że wpycha nochal w nie swoje sprawy? Tak?

— Nie wiem, tato. — Radość znikła z twarzy Willy'ego. — Nie podobają ci się?

— Ściągaj je! I to natychmiast! — syknął Alvis, szukając skarpetek w stercie brudnych ubrań, które poprzedniego wieczora rzucił na podłogę koło łóżka. — Jesteś dokładnie taki jak Brat Jim, może nie? — mruczał pod nosem, podczas gdy zakłopotany chłopiec starał się ukryć żal.

— Ale one są...

— Ściągaj, powiedziałem! — Na bosaka, ubrany tylko w brudne i obwisłe, obcięte w połowie uda kalesony Collinson zerwał się na nogi i stanął przed Willym, zaciskając pięści. Jego twarz trzęsła się z wściekłości. — Nikt mnie nie będzie uczył, w co mam ubierać swojego dzieciaka, rozumiesz? — Dolna warga Willy'ego zadrżała, w oczach pojawiły się łzy. — I przestań się mazać!

— Nie ściagnę. One są moje.

— A właśnie, do jasnej cholery, że nie są! — Collinson chwycił syna za kołnierz i pchnął go na obdrapane drewniane krzesło, które zatrzeszczało, zakołysało się na dwóch nogach, po czym opadło na wszystkie cztery. — Gdzie są twoje buty? Zakładaj je! I spodnie i koszulę też! Już ja nauczę tych sukinsynów trzymać łapy z daleka od moich spraw! No, gadaj wreszcie, gdzie są twoje buty? Powiedziałem chyba, żebyś się przestał mazać.

— Ale... ale te mi się podobają. To... to prezent od S... Scotty'ego.

Collinson przyklęknął i gwałtownym ruchem zdarł Willy'emu buty z nóg. Ponieważ oparł się na dużym palcu, poczuł gwałtowny ból, promieniujący na całą nogę. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło.

— Jak będą ci potrzebne nowe buty, sam ci je kupię, zrozumiałeś?

Po policzkach Willy'ego płynęły łzy, klatka piersiowa drżała, chłopiec starał się jednak powstrzymać szloch.

— A teraz zakładaj stare! — rozkazał ojciec.

— N... nie mam.

— Jak to nie masz?!

— Po... po prostu nie mam.

— Gdzie są?

— Nie... nie wiem.

— A niech cię wszyscy diabli! Jak mogłeś zgubić swoje własne buty?!

Willy uniósł przerażony wzrok, starając się zdusić szloch, a jego wąta pierś trzęsa się jak w palpacji. Collinson zacisnął pięści i gwałtownie postawił chłopca na nogi.

— Zgubiłeś buty, to łaż na bosaka. A teraz dawaj resztę tych szmat.

Parę minut później, kiedy Collinson kuśtykał gniewnie ulicą, Willy rzucił się na łóżko i gorzko zapłakał. Teraz już nie musiał się powstrzymywać. Gorące łzy zmoczyły gładką śnieżnobiałą skórę ramienia, w którym ukrył twarz.

Zwinał się w kłębek, zawijając jedną chudą stopę wokół drugiej. Fryzura, której poświęcił tak wiele wysiłku, a której Collinson nawet nie zauważył, nie wytrzymała konfrontacji z brudną cuchnącą pościelą.

Serce podeszło Agacie do gardła, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwiami i gniewny głos, dochodzący z części sklepowej zakładu.

— Gdzie wy wszyscy, do jasnej cholery, jesteście! Violet jeszcze nie było, Agata nie miała więc innego wyjścia jak tylko osobiście stawić czoło intruzowi. Pokuśtykała ku kotarze i rozsunęła ją. Natychmiast rozległ się grzmiący wrzask Collinsona.

— To pani jest ta cała Gussie? Zebrała w sobie wszystkie siły.

— Tak. Nazywam się Downing. Agata Downing. Collinson od razu rozpoznał w niej tę „abstynencką sukę”, siejącą w ostatnich tygodniach tyle zamętu, tę samą, która już kiedyś bezczelnie próbowała wtykać nos w jego prywatne sprawy.

— Tym razem przesadziłaś, paniusiu. — Rzucił spodnie i koszulę na gablotkę wystawową. — Takie szmaty możesz szyc swojemu staremu.

— Nie mam męża — odparła Agata.

— Tak, to wszystko tłumaczy. Nie masz, babo, własnych bachorów, to się czepiasz cudzych. — Zamachał jej przed nosem nowymi butami Willy'ego. — Załatw sobie własnego smarkacza. Mój syn nie potrzebuje twojej łaski, paniusiu. Ma własnego ojca, który sam o niego zadba. Zrozumiano?

— Tak. Dokładnie.

Collinson posłał jej jeszcze jedno wrogie spojrzenie, po czym skierował się ku drzwiom. Zanim do nich doszedł, zatrzymał się i odwrócił.

— Aha, jeszcze jedno. Jak następnym razem poleziesz do proboszcza, powiedz mu, żeby się nie mieszał w nie swoje sprawy. — Ruszył do wyjścia, po kilku krokach wszakże znowu przystanął. — Gdzie, do diabła, jest ten przekłety Gandy? Z nim też mam do pogadania.

— Najprawdopodobniej śpi. Mieszka na górze.

Po raz ostatni błysnął złowrogo okiem i zniknął za drzwiami. Serce Agaty wciąż jeszcze waliło jak oszalałe, kiedy usłyszała brzęk tłuczonego szkła. Podeszła do drzwi i zobaczyła, że Collinson wrzuca przez wybite okno drugi but.

— Gandy! Obudź się, ty przekłety sukinsynu! Sam będę kupował buty swojemu dzieciakowi, więc przestań się mieszać! A jak jeszcze raz zabierzesz go do łaźni, to sam będziesz potrzebował kąpieli! Żeby zmyć z siebie krew! Słyszałeś, Gandy?!

W drzwiach i oknach wzdłuż całej ulicy pojawiły się twarze ciekawskich. Kuśtykając samym jej środkiem, Collinson spojrział na Yancy'ego Salesa, który wychylił się zza drzwi swojego sklepu.

— Czego się tak gapisz, Sales? Tobie też mam wrzucić but przez okno?!

Wszystkie głowy natychmiast się pochowały.

Gandy'ego obudził hałas. Podparł się na łokciach i spojrział na poranne słońce, wpadające przez okno znajdujące się po drugiej stronie pokoju.

— Co, do diabła...

Jube uniosła głowę niczym piesek preriowy, wyglądający ze swej nory.

— Mmmm... mmmm... — mruknęła i opadła z powrotem na poduszkę. Gandy przechylił się nad nią i zobaczył leżący koło łóżka but.

Osunął się na plecy.

— O Jezu — jęknął.

— Co... to...? — ziewnęła Jube.

— Nowe buty, które kupiłem wczoraj Willy'emu. — Zamknął oczy i zaczął się zastanawiać, kiedy ostatnio wdał się w ostrą bójkę. Zapowiadało się, że wkrótce znowu go to czeka.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Sturlał się z łóżka i wskoczył w spodnie, by ukryć nagość, po czym boso poszedł do salonu i otworzył.

W korytarzu stała Agata, zaciskając nerwowo dłonie.

— Przepraszam, że przeszkadzam o tak wczesnej porze, ale... — Jej wzrok prześliznął się po jego nie ogolonych policzkach, owłosionym torsie i bosych stopach, by w końcu spocząć na ścianie korytarza. Dotąd, ilekroć go widywała, zawsze był nienagannie ubrany. Nie miała pojęcia, jak się zachować na widok owłosionego męskiego torsu i bosych stóp. Zarumieniła się.

— Możesz mi wierzyć albo nie, ale już nie spałem. — Przyglądał palcami włosy, ukazując gęste owłosienie pod pachami. — Cóż za miły człowiek z tego Collinsona, prawda?

Spojrzała mu prosto w oczy, marszcząc brwi w głębokim zatroskaniu.

— Myślisz, że z Willym wszystko w porządku?

— Nie wiem. — On również zmarszczył brwi.

— Co zrobimy?

— Co zrobimy?! — Do diabła, przecież od samego początku nie chciał się mieszać do spraw Willy'ego. — A jak sądzisz, co powinniśmy zrobić? Może iść do Collinsona i spytać, czy przypadkiem nie skrzywdził małego?

— Przecież nie możemy tak po prostu stać sobie z boku i nic nie robić — stwierdziła poirytowana.

— A niby dlaczego nie? Sama zobacz, do czego prowadzą nasze próby zabawy w samarytan. — Zanim skończył to zdanie, przypomniał sobie Willy'ego, nagiego jak go Bóg stworzył, spoglądającego w górę i pytającego: „Czy kiedy dorosnę, będę taki jak ty?”

W tym momencie za plecami Gandy'ego pojawiła się Jubilee. Ziewała, a jej śnieżnobiałe włosy były w kompletnym nieładzie.

— Kto to, Scotty? — spytała. — Ach, to ty, Agato. Dzień dobry.

Miała na sobie turkusowy szlafrok, którego poły rozchyliły się, kiedy zacisnęła pięści i z przekrzywioną głową leniwie się przeciągnęła. Po tym, co zobaczyła, Agata nie mogła mieć wątpliwości, że Jube sypia całkiem nago.

— Jak tylko się obudzisz — rzekła oschle — przekaz panu Gandy'emu, że bardzo przepraszam, że ośmieliłam się wyciągnąć go z łóżka.

Po tych słowach uniosła lekko spódnicę, odwróciła się i ruszyła do wyjścia z całą godnością, na jaką było ją stać. Nie minęło nawet pięć minut, a w jej zakładzie pojawili się wszyscy naraz: pani Alphonse Anderton do przymiarki nowej sukni, Violet do pracy, Willy z płaczem, no i Gandy, nadal bosy, zapinając zmiętą koszulę, której nie zdążył nawet schować do spodni.

— Posłuchaj, Agato, jestem oburzony twoim... — Wyciągnął oskarżycielsko palec.

— Dzień dobry, Agato — odezwała się pani Anderton, przyglądając się im badawczo. Jej wzrok spoczął na bosych stopach Gandy'ego.

— Chi-chi.

— Ta... tato mówi, że... że nie wo... wolno mi... mi tu więcej przy... przychooodziiiić...

Agata stała za szklanym kontuarem, Willy pobiegł więc prosto do Gandy'ego, a ten przyklęknął i mocno go przytulił. Kiedy Willy przywarł mu do szyi, Gandy natychmiast zapomniał o całym gniewie, Agacie zaś wydało się, że zaraz pęknie jej serce.

— Za... zabrał mi mo... moje nowe buty.

— Zajmij się panią Anderton, Violet — poleciała cicho Agata, po czym zwróciła się do Gandy'ego, który wstał trzymając Willy'ego na rękach.

— Zanieś go na zaplecze, dobrze?

Nawet kiedy byli już sami, Willy nie przestawał łkać i mówił urywanymi zdaniem.

— Po... powiedział, że... że moja nowa ko... koszula i spo... spodnie...

— Ciii! — szepnął Gandy, ponownie przyklekając. Willy wtulił głowę w jego silny tors i do połowy zapiętą koszulę. Agata z trudem oddychała. Usiadła obok na taboreciku Willy'ego i delikatnie gładziła chłopca po włosach. Czuła się bezradna i przygnębiona. Spojrzawszy ponad jego głową natknęła się na wzrok Gandy'ego. On również wyglądał na wstrząśniętego. Wyciągnęła rękę i dotknęła wierzchu jego dłoni. Uniósł dwa palce, splótł z dwoma palcami Agaty, po czym przycisnął je do szyi Willy'ego.

„Dlaczego to nie może być nasze dziecko? Bylibyśmy dla niego dobrzy, tacy dobrzy." Myśl ta zaledwie przemknęła jej przez głowę, wystarczyło to jednak, żeby Agata pojęła okropną niesprawiedliwość tego świata.

Po pewnym czasie Willy trochę się uspokoił. Agata uwolniła dłoń i z kieszeni ukrytej z tyłu sukni wyjęła perfumowaną chusteczkę do nosa.

— No już, Willy, daj, wytrę ci buzię.

Odwrócił się do niej, mokry od łez, ze spuchniętymi oczyma i policzkami. Ocierając mu twarz i czekając, aż wydmucha nos, zastanawiała się, co ona i Gandy mogą powiedzieć, żeby go jakoś pocieszyć.

— Nie powinieneś winić taty, Willy — zaczęła. — To nasza wina, Scotty'ego i moja. — Nigdy dotąd nie zwracała się do Gandy'ego po imieniu. Teraz, kiedy to zrobiła, poczuła jeszcze mocniejszą więź, zarówno z nim, jak i z malcem.

— Dając ci nowe ubranie i buty i zabierając cię do łaźni, zraniliśmy dumę twojego taty. Wiesz, co to jest duma, prawda?

Willy wzruszył ramionami, starając się powstrzymać nową falę łez.

Agata czuła, że jeśli wypowie choćby jedno słowo więcej, sama się rozplacze. Spojrzała błagalnie na Gandy'ego, a on natychmiast przyszedł jej z pomocą.

— Duma to uczucie, dzięki któremu człowiek czuje się dobrze z sobą samym. — Jego długie ciemne palce gładziły jasne kosmyki nad uszami Willy'ego. — Twój ojciec chce sam kupować ci rzeczy. Kiedy zrobiliśmy to za niego, pomyślał, że chcemy mu dać do zrozumienia, że źle się tobą opiekuje.

— Aha — powiedział Willy tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

— Ale jeśli chodzi o twoje wizyty u nas, nie widzę powodu, dla którego miałbyś z nich zrezygnować. W końcu nadal jesteśmy twoimi przyjaciółmi, prawda?

Willy wreszcie się uśmiechnął, chociaż był to uśmiech bardzo blady.

— Najlepiej jednak będzie, jeśli wśliźniesz się tylnymi drzwiami i najpierw sprawdzisz, czy tata nie siedzi przypadkiem w barze, zgoda? A teraz może masz ochotę na lukrecję?

Willy wciąż wpatrywał się w podłogę.

— Chyba tak — odparł bez entuzjazmu.

Gandy wstał i wziął go na ręce. Zaczekał, aż Agata podniesie się z taboretu, po czym objął ją i we trójkę ruszyli ku tylnym drzwiom. Agata czuła się niezręcznie, przy każdym niezgrabnym kroku objając się o jego klatkę piersiową i biodro. Jemu wszakże zdawało się to w ogóle nie przeszkadzać. Kiedy stanęli w progu, opuścił rękę.

— Willy niedługo zejdzie na dół, ale w porze obiadu przyślij go z powrotem do góry. Poślę Ivory'ego do Pauliego, żeby przyniósł coś do jedzenia.

To chyba właśnie wówczas Agata zdała sobie po raz pierwszy sprawę, że się w nim zakochuje. Przyjrzała mu się. Włosy miał wciąż zmierzwiłone, policzki ciemne od nocnego zarostu, a barki i ramiona tak potężne, że wydawało się, iż z łatwością poradzą sobie z całą bandą Alvisów Collinsonów.

— Dziękuję — rzekła cicho. — I przepraszam, że się tak zachowałam na schodach. Rozumiem cię. Czasami czuję to samo.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, Willy zaś spoglądał to na niego, to na nią, przez cały czas obejmując Gandy'ego za szyję.

— A ty nie idziesz, Gussie? — spytał ze smutkiem.

— Nie, Willy. — Otarła kciukiem łzę. — Zobaczymy się później. — Wyciągnęła się i pocałowała go w policzek. Po ich wyjściu zrozumiała, że pakuje się w podwójną kabałę. Zakochiwała się nie tylko w mężczyźnie, ale również w chłopcu.

Kiedy nieco później tego dnia dziewczęta przysły do ostatniej przymiarki, Agata postanowiła wykorzystać okazję i przeprosić Jube za swą poranną opryskliwość.

Jube tylko machnęła ręką.

— Byłam taka zaspana, że nie bardzo rozumiałam, co do mnie mówisz.

Zapinając na Jubilee obcisłą suknię, Agata przez cały czas miała przed oczyma chwilę, kiedy dziewczyna pojawiła się za plecami Gandy'ego, rozgrzana i zaspana, piękniejsza w tym porannym nieładzie niż większość kobiet po godzinie spędzonej przed lustrem. Przypomniła też sobie owłosiony tors Gandy'ego, rozczochrane włosy, nie do końca zapięte spodnie, bosa stopy.

Spojrzała na Jubilee, obracając się przed lustrem, radosną, piękną Jubilee.

„Gandy jest zajęty, Agato — tłumaczyła sobie w myślach. — A poza tym czego mógłby chcieć od kogoś takiego jak ty, skoro ma taki klejnot jak Jube?”

— Będziecie dziś tańczyć kankana?

— Tak, to już dziś — odparła Jube. — Ale dopiero podczas drugiego występu. Jak poczekają sobie do jedenastej, to spodoba im się jeszcze bardziej.

— Przyjdiesz? — spytała Pearl i nie było w tym pytaniu nic dziwnego. Dziewczęta przywykły już do widoku Agaty i jej współtowarzyszek, prowadzących agitację w Złotej Klatce.

— Przyjdę, ale wcześniej — odrzekła Agata, starając się ukryć rozczarowanie. Włożyła w te suknie tak wiele pracy, że miała szczerą ochotę zobaczyć, jak zaprezentują się w tańcu.

Jednakże tego wieczora dziewczęta, zgodnie z obietnicą, zostawiły to, co najlepsze, na koniec, Agata rozstała się więc z członkiniami Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji, nie zobaczywszy choćby mignięcia czerwonego materiału, choćby najmniejszego fragmentu nowego tańca. Była ciepła i duszna czerwcową noc, w barach panował więc zaduch jeszcze większy niż zwykle. Powietrze stało w miejscu, a smród łajna, dochodzący od strony barierek do przywiązywania wierzchowców, zdawał się przenikać dosłownie wszystko. Agata skróciła sobie drogę i przeszła przez warsztat, po raz ostatni tego dnia udała się do wygodki, po czym wspięła się po schodach.

Ponieważ w jej małym mieszkaniu również panowała duchota, wyniosła na podest twarde drewniane krzesło, usiad-

ła i wachlując się chusteczką, wsłuchiwała się w dochodzącą z dołu muzykę. Zza otwartych drzwi Złotej Klatki dobiegały dźwięki jakiejś skocznej wesołej piosenki, której Agata nigdy dotąd nie słyszała. Przyszło jej do głowy, że to pewnie kankan. Wystukując palcami rytm o udo, próbowała sobie wyobrazić, jak spowita w fałdy szeleszczącej tafty Pearl wykonuje te swoje słynne wymachy nogą. W oddali zawył kojot.

„Tak, czuję się dokładnie tak samo. Samotna, że aż chce mi się wyć.”

Pomyślała o Gandym i o Willym. Było istnym szaleństwem mieszać się w ich życie, czuła jednak, że jest już zbyt późno, by wyrzucić ich ze swego serca. Była z góry skazana na gorzki zawód, albowiem Collinson dał jej jasno do zrozumienia, że ma się trzymać z daleka od Willy'ego, Jubilee natomiast nie pozostawiła cienia wątpliwości, że Scott Gandy należy do niej.

Jube, prześliczna Jube, która teraz tańczy kankana razem z Ruby i Pearl. Wyobraziła sobie ich błyskające w powietrzu nogi i już samo to wystarczyło, że poczuła się ciężka i niezgrabna. Zastanawiała się, jakie to uczucie, kiedy czubkiem butą strąca się mężczyźnie kapelusz z głowy. I jak właściwie wygląda kankan. W pewnym momencie wpadła na pomysł, który sprawił ją w zdenerwowanie, a równocześnie obudził wielką determinację. Wniosła krzesło z powrotem do mieszkania, zamiast wszakże umyć się i położyć spać, wyszukała jakąś starą halkę i rozłożyła ją na stole. Zawinęła w nią wszystko, czego potrzebowała, a następnie, nie rozbierając się, położyła się na łóżku i czekała.

Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim hałasy na dole ucichły i klienci rozeszli się w końcu po domach, a kolejne stulecia, zanim wszyscy pracujący na dole wspięli się po schodach i udali do swych pokojów na wieczorny spoczynek. Leżała płasko i nieruchomo, jakby najmniejszy ruch mógł zdradzić jej plany.

Odczekała jeszcze dobrą godzinę, po czym ostrożnie podniosła się z łóżka. W zupełnych ciemnościach odnalazła przyszykowany wcześniej pakunek, oprócz którego wzięła pojedynczą świecę oraz makatkę ze ściany. Po schodach zeszła boso, robiąc nie więcej hałasu niż cień.

W zakładzie panowała głucha cisza i egipskie ciemności. Po omacku weszła na zaplecze, położyła zawiniątko na stole i zapaliła świeczkę. Następnie uniosła ją i dokładnie sprawdziła wszystkie kąty.

„Daj spokój, Agato, przecież to, czego się boisz, to twoje sumienie.”

Zająwszy się pakunkiem, poczuła się jak włamywacz. Ostrożnie rozłożyła białą halkę, w której znajdowały się młotek, gwóźdź, kleszcze oraz świder. Wzięła kleszcze, świder i taboret Willy'ego, po czym podeszła do ściany oddzielającej zakład od baru. Odmierzyła cztery kroki od rogu, wyobrażając sobie sęki w sosnowych deskach po drugiej stronie ściany. Postawiła taboret, wspięła się na niego i raz jeszcze rozejrzała dookoła. Oczywiście nikogo nie było. To tylko jej sumienie zdawało się spoglądać na nią z najdalszego kąta.

Gotowa na wszystko, przyłożyła świder do ściany i powoli, bardzo powoli zaczęła wiercić. Często przerywała pracę, unosiła świecę i sprawdzała głębokość otworu. W końcu wiertło przebiło się na drugą stronę. Zamknęła oczy i westchnęła, opierając się dłonią o ścianę. Serce waliło jej jak opętane.

„O Boże, żeby tylko na podłodze nie zostały żadne wióry.

Agato, powinnaś się wstydzić.

Ale przecież ja chcę tylko popatrzeć, jak tańczą.

To podglądactwo.

Nieprawda. Bar to miejsce publiczne. Gdybym była mężczyzną, mogłabym spokojnie usiąść przy stole, patrzeć na wszystko, co zobaczą przez tę dziurę, i nikt by mi nie powiedział złego słowa.

Tak się jednak składa, że nie jesteś mężczyzną. Jesteś damą, a damie takie zachowanie po prostu nie przystoi.

Daj spokój, w końcu nikomu nie robię krzywdy!

A jak byś się czuła, gdyby ciebie ktoś tak podglądał?”

Na samą myśl Agata zadrżała. Może jednak lepiej dać sobie z tym spokój?

Kiedy wyciągnęła świder, tyle wiórów spadło na podłogę po jej stronie, że ogarnęła ją ulga. Przyłożyła twarz do ściany i zajrzała w otwór. Ciemno. W kontakcie z jej gorącym policzkiem boazeria była lodowato zimna. Agata znowu od-

niosła wrażenie, że ci na górze dokładnie orientują się w jej poczynaniach.

Odłożyła świder i trzema mocnymi uderzeniami młotka wbiła w ścianę gwoździ. Wstrzymała oddech i czekała, wpatrując się w sufit i nasłuchując. Nic. Cisza. Odetchnęła głęboko, zawiesiła makatkę na gwoździu i odstawiła taboret na miejsce. Później starannie zmiotła wióry, ukryła je w koszu na śmieci pod jakimiś skrawkami materiału, zgasiła świecę i wróciła na górę.

Jednakże przez resztę nocy nie udało się jej zasnąć. Tajne knowania o trzeciej nad ranem źle się przysłużyły jej nerwom. W żaden sposób nie mogła się uspokoić i gnębiła ją lekka niestrawność. W pewnym momencie doszedł ją stukot pociągu, a kiedy zaczęło świtać, kojoty wyły już zgodnym chórem. Patrzyła, jak niebo z czarnego staje się najpierw granatowe, a później niebieskie. Słyszała, jak lampiarz zbliża się, gasi latarnie, zamyka drzwiczki, a w końcu przechodzi pod jej oknem i powoli zaczyna się oddalać. Słyszała miejscowego pastucha, pędzącego bydło z odległych zagród główną ulicą w stronę prerii. Głuche brzęczenie dzwonka na szyi przodowniczkii stada cichło, aż wreszcie... Agata zasnęła.

Obudziła ją pierwsza klientka, dobijająca się do drzwi sklepu. Cały ten dzień był jedną wielką katorgą. Agata burczała na Violet, nie miała dość cierpliwości, by odpowiadać na pytania Willy'ego, na dodatek krótko przed południem w Złotej Klatce wybuchła bójka i kiedy Jack Hogg wyrzucił zapalczyców za drzwi, siłą rozpędu zatoczyli się w stronę zakładu Agaty, co skończyło się tym, że jeden z nich wybił łokciem szybkę w drzwiach. Gandy'ego, który przyszedł z przeprosinami i propozycją pokrycia szkód, potraktowała tak niegrzecznie, że odwrócił się na pięcie i wyszedł z obrażoną miną. Nieco później zjawił się niemowa Marcus Delahunt, przynosząc do naprawy lekko rozdartą koszulę, ale bębenek w maszynie się zaciął i zamiast równego szwu spod igły wychodziły jakieś bezkształtne supły. Widząc, jak zdenerwowana Agata rzuca wszystkim o stół, Delahunt uspokajająco położył jej dłonie na ramionach, po czym zajął jej miejsce, żeby sprawdzić, co się stało. Okazało się, że w bębenu zaklinowały się strzępy niebieskiej nici. Spytał na miigi, czy ma olej. Wręczyła mu blaszaną puszkę z długim cienkim dziobkiem,

a on nasmarował maszynę w dwudziestu chyba miejscach, przekręcił koło zamachowe tam i z powrotem, następnie wstał i wskazał ręką na maszynę, jakby chciał ją przedstawić Agacie.

Chodziła jak nowa. Po chwili koszula była zszyta.

Agata spojrzała mu prosto w oczy. Czuła się podle z powodu swojego zachowania, nie tylko wobec niego, lecz także wszystkich innych, z którymi miała tego dnia kontakt.

— Dziękuję, Marcusie.

Skinął głową, uśmiechnął się i na migi pokazał jej coś, czego nie zrozumiała.

— Przepraszam, ale czy mógłbyś powtórzyć? Rozejrzawszy się po warsztacie, chwycił Agatę za rękę i poprowadził do wiszącego przy tylnym wyjściu kalendarza. Wskazał na nią, na oliwiarke i odmierzył siedem dni na kalendarzu.

— Co tydzień? Mam ją oliwić co tydzień?

Skinął głową i ruchem łokcia pokazał, jak maszyna będzie chodzić, jeśli tylko Agata zastosuje się do jego wskazówek.

— Dobrze, Marcusie. Tak właśnie będę robić. — Ścisnęła jego dłonie. — Jeszcze raz ci dziękuję.

Sięgnął do kieszeni, jakby chciał wyjąć z niej pieniądze.

— Nie trzeba. To drobiazg. Dziękuję, że naprawiłeś mi maszynę.

Z uśmiechem uchylił kapelusza i wyszedł.

Po tym zdarzeniu nastrój Agaty się poprawił, ale w porze kolacji, zamiast coś zjeść, zdrzemnęła się, zasnęła i w efekcie spóźniła na wieczorne spotkanie stowarzyszenia.

O dziesiątej nerwy miała napięte jak postronki.

Na dodatek sumienie nie dawało jej spokoju.

„Byłaś dzisiaj dla wszystkich niemiła i dobrze wiesz dlaczego. To wszystko przez tę dziurę. Skoro nie potrafisz z nią żyć, czym prędzej ją zaklej!”

Jednakże otwór w ścianie przyciągał ją niczym lampa Aladyna.

W późnowieczornych ciemnościach przeszła po omacku przez zaplecze sklepu i zaczęła przesuwając dłonią po deskach boazerii. Czubkami palców wyczuwała rytm muzyki, wprawiającej ścianę w drżenie. Ostrożnie odchyliła makatkę i w jej cichy samotny świat wdarł się wąski promień światła. Przyłożyła oko do otworu. Jubilee, Ruby i Pearl tańczyły kankana.

Ich wspaniałe suknie, czarne z wierzchu i jaskrawoczerwone od środka, fruwały na prawo i na lewo. Co chwila w powietrze wystrzelały trzy długie nogi w czarnych siatkowych pończochach. W sięgających nad kostkę czarnych butach na wysokim obcasie podskakiwały, przytupywały wyniośle, wymachiwały nogami, po czym wyrzucały je ku niebu. Dumnie wypinały pierś, by zaraz odchylić się do tyłu i wykonać obrót, gromko pokrzykując i potrząsając głowami tak, że czerwone pióra w ich włosach drżały.

Był to taniec nieobyčajny, lecz Agata widziała w nim coś więcej, albowiem poza zmysłowością dostrzegła w długonogich ciałach symetrię, wdzięk i zwinność, których ona w wieku dziewięciu lat została nieodwołalnie pozbawiona. Muzyka przycichła i Jack Hogg wcielił się w rolę konferansjera, usiłując przekrzyknąć wrzaskliwy tłum. Chociaż Agata nie była w stanie go zrozumieć, nie odrywała oka od otworu. Dziewczęta obeszyły bar i chwyciły za ręce sześciu radosnych, chętnych mężczyzn, których następnie zaprowadziły przed kontuar. Ruby i Jube ustawiły kowbojów w równy szereg i nałożyły im na głowy kapelusze. Jack wyjął cyzele i przy ich akompaniamencie wykrzyczał zapowiedź.

W tym momencie pojawiła się Pearl. Szła dumnym krokiem, ze spódnicą zadartą aż do pasa. Nogi miała szczupłe, ale silne. Przez chwilę kręciła się pomiędzy wyprostowanymi mężczyznami.

Nagle zahuczały talerze i stopa Pearl wystrzeliła w górę łagodnym łukiem. Pierwszy kapelusz spadł na podłogę. Wykonała piruet, wierzgnęła i już na podłodze leżał następny kapelusz.

W ten sposób przeszła wzdłuż całego szeregu, a kiedy się zatrzymała, u stóp sześciu mężczyzn leżały kapelusze. Serce Agaty dudniło. W radosnym transie zacisnęła pięść i machała nią w powietrzu, kiedy z głów dwóch najwyższych mężczyzn spadły kapelusze. Za ścianą rozległ się gromki aplauz — gwizdy, pohukiwanie i tupanie. Do Pearl dołączyły Jube i Ruby, aby zaśpiewać i zatańczyć finałową piosenkę, w trakcie której pozwoliły sobie na wyjątkowo bezwstydną pozę, na szeroko rozstawionych nogach, stając tyłem do publiczności, zadzierając spódnice wysoko ponad pośladki i spoglądając na zebranych spomiędzy kolan.

Jeszcze tylko kilka ostatnich zapierających dech w piersiach podskoków, ostatni powiew czerwonych falban i wszystkie trzy padły na podłogę z rękoma uniesionymi wysoko nad głowami.

Agata czuła się równie wyczerpana jak one. Obserwowała ich nagie piersi, unoszące się pod cienkim białym jedwabiem, dostrzegła krople potu spływające im po skroniach. Miała wrażenie, jakby tańczyła razem z nimi. Oparła się bezwiednie

O ścianę, a po chwili opadła na taboret.

Tak, był to taniec nieobyčajny, dwuznaczny i bezwstydy. A jednocześnie porywający i pełen radości życia. Agata zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić, jak strąca kapelusz z głowy mężczyzny. Nagle wydało się jej to najbardziej pożądaną umiejętnością. Tak, gdyby mogła to zrobić, choćby tylko jeden raz, poczułaby się szczęśliwa.

Rozmasowała biodro

I udo, zastanawiając się, jakie to uczucie być piękną, zdrową i pozbawioną kompleksów... jakie to uczucie śmiać się, krzyczeć i wzbudzać aplauz, tańcząc w sukni z czarnych i czerwonych falban.

Westchnęła i otworzyła oczy.

„Agato, wystarczyło, żebyś raz obejrzała kankana przez dziurę w ścianie i już całkiem straciłaś rozum!”

Ale przez krótką chwilę, kiedy na nie patrzyła, czuła się młoda, silna, zwinna, szczęśliwa i pełna *joie de vivre*. Przez tę chwilę robiła coś, czego nigdy w życiu nie robiła. Tańczyła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Był środek lata. Trawa i cała roślinność prerii wyschły i całkiem pożółkły. Nocami niebo przecinały błyskawice, nie przynosząc wszakże nic poza pustymi obietnicami. Wokół Proffitt wypalono szeroki pas przeciwpożarowy. Kurz wznoszony przez pędzone bydło przenikał dosłownie wszystko: domy, ubrania, nawet żywność. Jedynym wilgotnym miejscem w promieniu wielu mil były okolice młyna, mniej więcej w połowie długości głównej ulicy, gdzie pompa przez cały czas napełniała wodą ogólnodostępny zbiornik, przy którym tłoczyło się spragnione bydło. Namnożyło się także much; ogromna ilość gnoju była dla nich istnym rajem. Równie dobrze poczuły się w mieście pieski preriowe, które postanowiły osiedlić się na samym środku głównej ulicy. Od czasu do czasu jakaś krowa łamała nogę i trzeba ją było szybko dobić i oprawić. Jeżeli działo się to między wtorkiem a czwartkiem, miasto ogarniał nastrój święta; tradycyjnym dniem uboju w rzeźni Huffmana był piątek, a przy temperaturach sięgających osiemdziesięciu stopni Fahrenheita nikt nie ryzykował kupna mięsa później niż w poniedziałek.

Na południowych krańcach miasta założyli obóz Indianie Oto. Na północy preria zarośla się od wozów imigrantów pragnących się osiedlić na rządowej ziemi. Codziennie agenci wynajmowali konie z miejscowych stajni i wyruszali w drogę, żeby pokazać chętnym nie zajęte jeszcze połacie gruntu. Pociągami zjeżdżali komiwojażerowie, sprzedający wszystko: od najróżniejszych specyfików aż po gorsety.

Gandy i Agata rzadziej widywali teraz Willy'ego. Chłopak uganiał się na bosaka z bandą wyrostków; najczęściej wałęsali się koło stacji kolejowej, gdzie w trakcie półgodzinnego postoju pociągów, przeznaczonego na uzupełnienie wody, sprzedawali pasażerom ciastka, jaja na twardo oraz mleko. Czasami jadł coś z Gandym, ale Agata podejrzewała, że żywi się głównie tym, co tam ukradnie. Pocieszała się tylko, że nie jest to najgorsza dieta. Czwartego lipca na jednej z ulic urządzili demonstrację „świętoszkowie”, na innej zgromadzili się „opoje”. Na jednym rogu przemawiał wydawca „Wichita Tribune”, nawołując do niezwłocznej ratyfikacji poprawki prohibicyjnej, zgłoszonej w lutym siedemdziesiątego dziewiątego przez senatora George'a F. Hamlina i podpisanej przez gubernatora już w marcu tego samego roku.

Na innym rogu zwolennik trunków wołał:

— Bar to niezbędny element krajobrazu naszych miast, a sam alkohol jest równie potężnym środkiem porozumiewania się jak atrament!

Przepasany białą szarfą zwolennik prohibicji krzyczał:

— Łańcuchy alkoholizmu są cięższe od tych, które dźwigali afrykańscy niewolnicy!

W przeciwnym obozie głoszone tymczasem:

— Picie alkoholu to symbol równości! W barze wszyscy są sobie równi!

Z biegiem dni, im bardziej dokuczliwy stawał się upał, tym bardziej rosła temperatura sporów pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami prohibicji. Z ambony kościoła prezbiteriańskiego wielebny Clarksdale błogosławił „wszystkich tych szlachetnych ludzi, którzy z ogromnym zaangażowaniem działają na rzecz abstynencji.”

Pod koniec miesiąca zgromadzenie miejskie doprowadziło do debaty zwalczających się sił. Specjalnie na tę okazję do miasta przyjechała znana mówczyni i kwakerska kaznodziejka Amanda Way. Jej wywody okazały się na tyle przekonujące, że jeszcze przed zakończeniem debaty członkinie Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kobiet na Rzecz Abstynencji miały dodatkowy powód do radości: deklarację podpisał George Sowers.

Przyrzeczenia tego mógł dotrzymać tylko w jeden sposób, a mianowicie usuwając się od pokusy, dlatego postanowił zająć się zbieraniem kości bizonów. Ponieważ w ciągu piętnastu lat od zakończenia wojny secesyjnej zabito około siedemdziesięciu pięciu tysięcy tych zwierząt, preria wydawała się niewyczerpanym źródłem kości, czekającym tylko, aż ktoś zajmie się jego eksploatacją. W dzień po podpisaniu deklaracji widziano George'a, jak wyrusza na zachód zniszczonym wozem, ciągnionym przez chudego kuca z wygiętym grzbietem. Dzień później ktoś inny widział, jak kieruje się w stronę Kansas City, ażeby sprzedać swe żniwo tamtejszym producentom nawozów i porcelany. Chociaż zajmując się handlem kości, George zerwał ze swą przeszłością „złotego barona”, Evelyn sprawiała wrażenie w pełni usatysfakcjonowanej i na pewien czas trochę się uspokoiła.

W ciągu lata stowarzyszenie bardzo się rozrosło; tak licznego grona zaplecze sklepu Agaty nie mogło pomieścić, przeniesiono więc co niedzielne zebrania do szkoły. Na jedno z nich, gdzieś na początku sierpnia, Annie Macintosh przyszła z podbitym okiem, rozciętą wargą i dwoma pękniętymi zębami. Padła w ramiona „siostr” i głośno szlochając, wyjawiała całą prawdę: jej mąż, Jase, bił ją bez litości, ilekroć sobie wypił.

Był to definitywny koniec dobrodusznego okresu działalności Evelyn Sowers. Jeszcze tego samego wieczora poprowadziła marsz na bar „Pod Głową Cukru”, oczywiście zabierając ze sobą Annie, którą otaczał mur wściekłych i oburzonych kobiet. Podeszła prosto do Jase'a MacIntosha, zacisnęła potężną pięść, po czym z siłą swoich dwustu piętnastu funtów żywej wagi wymierzyła mu w szczękę cios tak mocny, że zwałił się z krzesła. Stała nad nim, oparła szeroki obcas czarnego buta o jego klatkę piersiową i syknęła:

— To za Annie, ty przesączony alkoholem pobratymcze szatana! Ty cuchnący śmieciu, zatruwający życie tego miasta!

— Wskazała na Annie i ryknęła do wszystkich klientów:

— Widzicie, co spotkało dobrą żonę, której jedyną przewiną jest to, że wychowuje mu dzieci, pierze ubrania i sprząta dom?!

— Ponownie zwróciła wzrok na Jase'a. — Ale dość tego! Od dzisiaj Annie będzie mieszkać z George'em i ze mną, a twoje brudne łapy nigdy więcej jej nie tkną. — Ruszając w kierunku

baru, stanęła całym ciężarem na piersi MacIntosha, o mało nie łamiąc mu żeber. — A tobie chcę tylko powiedzieć — zwróciła się do Mustarda Smitha, trzymając się pod boki — że jesteś podłą świnią! Rozbijasz rodziny! Prowadzisz ludzi do upadku, z którym przecież stykasz się każdego dnia! Dziwię się, że w ogóle możesz znieść swój widok w lustrze!

Mustard Smith wyciągnął spod kontuaru colta 45 i przytknął lufę do nosa Evelyn.

— Won stąd, ty suko — warknął.

Evelyn nawet nie mrugnęła okiem. Pochyliła się do przodu tak mocno, że lufa groteskowo spłaszczyła jej nos.

— No już, zastrzel mnie, ty oślizły płazie. Nie boję się ciebie ani żadnego innego właściciela baru w tym mieście.

Zastrzel mnie, a tysiące takich jak ja obleżą cię niczym robactwo zdechłego skunksa.

Smith spokojnym ruchem przycisnął spust. Komora była pusta.

Chociaż Evelyn nawet nie drgnęła, pozostałe kobiety jęknęły.

— Następna jest pełna — ostrzegł Smith.

— Możesz zabić jedną z nas, Smith, a nawet dziesięć, ale wszystkich prawodawców na pewno nie wystrzelasz. —

Uśmiechając się z satysfakcją, Evelyn odwróciła się na pięcie. Na nosie miała odcisnięty kształt lufy. — Chodźmy siostry. Czas przenieść się do następnego handlarza strychniną!

Kiedy koło dziesiątej wieczorem Agata wracała do domu, nogi ugiwały się pod nią ze zmęczenia i strachu. Być może Evelyn Sowers nie przerażają ludzie pokroju Mustarda Smitha czy Jase'a MacIntosha, za to Agatę owszem.

We wszystkich członkach czuła każdą pełną napięcia minutę minionych trzech godzin. Żeby wejść po schodach, musiała się zdobyć na istic heroiczny wysiłek. Chwilami miała szczerze dosyć całej tej walki o prohibicję i tak też było tego wieczora. Pośpiesznie podeszła do drzwi i wyciągnęła rękę z kluczem.

Drzwi były otwarte.

W ciemnościach kopnęła jakiś przedmiot, który poturlał się w kółko po podłodze. Schyliła się po niego. Była to jej klamka.

Z jej gardła dobył się cichy okrzyk. Usłyszała łomoczące serce i poczuła, jak ogarnia ją paniczny strach. Niepewnym ruchem pchnęła drzwi, te zaś uderzyły o coś i zatrzymały się. Człowiek? W tym momencie Agata nie myślała, a jedynie reagowała. Napała na drzwi całym swym ciężarem, zamiast jednak zrobić coś komuś w środku, poleciała do przodu, straciła równowagę i upadła. Leżała, czując potworny ból w biodrze, promieniujący na całe ciało. Czekala, aż ktoś ją kopnie, chwyci, zabije.

Nic takiego wszakże nie nastąpiło.

Z dołu dochodziły dźwięki muzyki, zmieszane z dudnieniem jej serca. Podniosła się jakoś i ruszyła w stronę stołu, potykając się o porozrzucane po całym pokoju najprzeróżniejsze przedmioty. Drżącymi rękoma zapaliła zapalną i uniosła ją nad głowę.

Dobry Boże, ależ bałagan!

Przetrząsnięto chyba każdy kąt, ubrania, drobiazgi, pościel, papiery. Potłuczone szkło i poprzewracane krzesła wały się niczym szczątki po przejściu tornada.

Zapalną sparzyła jej palce i upuszczona zgasła. Następną Agata zapaliła lampę. Stała jak wryta, nazbyt oszołomiona, żeby krzyczeć, nazbyt przerażona, żeby choć drgnąć. W ciągu następnych trzydziestu sekund szok zawładnął jej ciałem. Zęby szczękały, ręce i nogi się trzęsły, oczy były szkliste. Kiedy się w końcu poruszyła, zrobiła to w ogóle nie myśląc, po pomoc zaś poszła nie dlatego, że było to najmądrzejsze wyjście, lecz dlatego, że nie miała siły na nic innego.

Na jej widok Dan Loretto, który przy usytuowanym najbliżej tylnych drzwi stoliku w keno wykrzykiwał właśnie kolejne numery, natychmiast zerwał się na równe nogi.

— Panna Downing! Co się stało?

— Kto... ktoś się włamał do... do mojego mieszkania.

— Kiedy? — spytał, obejmując jej drżące ramiona.

— Nie... nie wiem.

— Nic się pani nie stało?

— Nie. N... nie by... nie było mnie w domu. Nie... nie wiedziałam, co... co robić.

— Niech pani zaczeka. Pójdę po Scotty'ego.

Gandy grał w pokera przy stoliku w pobliżu wejścia. Dan pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha:

— Przyszła panna Downing. Ktoś włamał się do jej mieszkania.

Zanim Dan skończył, Gandy rzucił karty na stół.

— Przepraszam, mam do załatwienia pilną sprawę. — Odsunął krzesło i wstał, niepomyślnie fakt, że na zielonym stoliku pozostawił całkiem sporą sumę. Zerknął tylko na Agatę i szybko podszedł do baru. Nawet się nie zatrzymując, rzucił do Jacka Hogga:

— Weź broń i chodź ze mną. Mijając pianino, polecił cicho:

— Graj dalej, Ivory... ty też, Marcus. A dziewczyny niech tańczą.

Agata wyglądała upiornie, była blada i miała szklisty wzrok.

— Agato — odezwał się, zanim do niej doszedł. — Nic ci się nie stało?

— Nie.

Objął ją ramieniem i pociągnął ku drzwiom. Za nimi szli Jack i Dan.

— Czy tam ktoś jest?

— Nie... Już... już nie. — Dlaczego wciąż tak strasznie szczękają jej zęby?

— Jesteś pewna?

Skinęła głową, starając się dotrzymać mu kroku.

— Tak. Ale wszystko... wszystko jest prze... przewrócone do góry nogami.

Wyszedł za próg, ciągnąc ją za rękę, zdenerwowany, że musi zwalniać, by za nim nadążyła. Już kiedyś widział, jak wchodzi po schodach. Tyle czasu do stracenia stanowczo nie mieli.

— Uwaga — ostrzegł, po czym bezceremonialnie wziął ją na rękę. — Idźcie przodem — polecił Jackowi i Dano wi. Agata zarzuciła mu obie ręce na szyję. Dan i Jack, przeskakując po dwa stopnie na raz, wbiegli na górę i stanęli tuż przy ścianie po obu stronach drzwi. Jako pierwsza wewnątrz znalazła się lufa kolta.

— Mamy załadowaną broń! — krzyknął Jack. — Jeżeli tam jesteś, to dla swojego dobra kładź się na brzuchu z rozłożonymi rękoma!

— Byłam... byłam w środku — odezwała się Agata.

— Nikogo tam nie ma.

— Byłaś w środku! Sama?! — Gandy zaklął pod nosem i nie siląc się zbytnio na delikatność, postawił ją na ziemi.

— Więc teraz siedź tu i się nie ruszaj!

„O Boże! Litości! — pomyślał, stając w progu. — Ktoś tutaj rzeczywiście nieźle się postarał.” Dan i Jack posłali mu pytające spojrzenia.

— Ale bałagan.

— Jezu! — wykrzyknął Jack.

Gandy przekroczył potłuczony dzbanek i schyliwszy się, podniósł pozytywkę z wygiętą pokrywką i wyrwanym zawiasem. W ciszy zabrzmiała muzyka.

— Jak myślisz, czego szukali? — spytał Dan.

— Pewnie moich pieniędzy z zakładu — odparła Agata, stając w drzwiach.

Gandy odwrócił się ku niej na pięcie.

— Chyba kazałem ci zostać na zewnątrz. Skuliła się i posłała mu błagalne spojrzenie.

— Przy tobie czuję się bezpieczniej. Pozytywka wciąż grała.

Piękny marzycielu, zbudźże się we mnie, Gwiazdy i rosa czekają na ciebie...

Podeszła do niego nierównym krokiem, wpatrzona w delikatne metalowe pudełeczko, które trzymał w długich ciemnych palcach. Pokrywkę ozdobił obrazek przedstawiający na tle szumiących wierzb kobietę w białej peruce i zwiewnej sukni opartą jedną ręką o ogrodową ławkę.

— Należała do mojej matki — rzekła cicho. Chwyciła pozytywkę, przez chwilę słuchała, w końcu zamknęła wieczko. Odwróciła się. W jej oczach po raz pierwszy pojawiły się łzy. Przycisnęła puzderko do piersi i zakryła usta drżącymi palcami. — O Boże.

Gandy ponownie przestąpił rozbity dzbanek, wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Dzielili ich teraz tylko pozytywka.

— Spokojnie, Agato.

Wydawała się zupełnie nieświadoma jego obecności. Postawił krzesło na nogi, zmusił ją, żeby usiadła, po czym położył jej ręce na ramionach.

— Posłuchaj, Agato. — Uniosła załzawione oczy.

— Gdzie trzymasz pieniądze?

— Na dole... w szufladzie. Zamykam je tam na noc. Nigdy nie zabieram ich do góry.

— Gdzie jest klucz?

— Razem z pozostałymi... — Rozejrzała się wokół, jakby oczekiwała, że klucze spadną z nieba.—O

Boże—powtórzyła, a jej oczy z przerażenia zrobiły się wielkie jak spodki. Spojrzała na Gandy'ego. — Nie wiem... o Boże... gdzie one mogą być?

— Miałaś je ze sobą?

— Tak... Pamiętam, że weszłam na górę i wyciągnęłam rękę, żeby otworzyć zamek, ale klamka leżała na podłodze... Gandy spojrzał na Dana.

— Sprawdź przy drzwiach. A ty, Jack, biegnij po szeryfa.

— Po ich wyjściu ponownie skupił uwagę na Agacie. Siedziała nienaturalnie sztywna, a w jaskrawym świetle jej twarz wydawała się mlecznobiała. Masował jej ramiona, kciukami starając się rozluźnić mięśnie szyi. — Dowiemy się, kto to był... nic się nie martw... Wszystko w porządku? — spytał po dłuższej chwili.

Pokiwała głową.

Zaraz potem wrócił Dan z kluczami.

— Są. Mam się rozejrzeć na dole, Scotty?

— Tak. Przejdź się, Dan — odparł Gandy i ruszył po splądrowanym mieszkaniu, ostrożnie przestępując porozrzucone przedmioty. Przygrywał go widok wszystkich tych rzeczy — ubrań, dokumentów, pościeli — do których nikt inny oprócz niej nie powinien był mieć dostępu. Nie wiedzieć czemu ogarnęły go wyrzuty sumienia, że pcha się z butami w jej prywatne życie.

— Nie wydaje mi się, żeby szukali pieniędzy — rzekł.

— Ale... w takim razie czego?

— Nie wiem. Znalazłaś może jakąś kartkę? Albo cokolwiek innego?

— Nie. Doszłam tylko do stołu. — Przez chwilę oboje się rozglądali, nie dostrzegli jednak niczego poza pobjowiskiem pozostawionym przez włamywacza.

— Jak sądzisz, czy to mógł być Collinson?

— Collinson? — Taka ewentualność przeraziła ją znacznie bardziej niż przypuszczenie, że włamanie dokonano w celach rabunkowych.

Na schodach rozległ się tupot i w drzwiach stanął zdyszany Dan.

— Na dole wszystko w porządku. Drzwi i szuflady pozamykane. — Oddał Agacie klucze, po czym cofnął się 0 krok. — Co o tym wszystkim myślisz, Scotty?

— Do licha, sam nie wiem. Wiem tylko, że Agata nie może tu dzisiaj zostać. Zabierzemy ją do nas.

Agata nie wierzyła własnym uszom.

— Jak to, do nas?

— Prześpisz się z Jube.

— Z Jube? — Przecież Jube śpi z nim.

— Z wyłamanym zamkiem to nie jest zbyt bezpieczne miejsce. A poza tym jesteś w takim stanie, że w żadnym razie nie powinnaś być sama.

W tym momencie w progu pojawił się szeryf Ben Cowdry. Był to samotny ponurak, który nie miał zwyczaju marnować czasu na uprzejmości. Trzymając się pod boki, spod przymrużonych powiek rozejrzał się po miejscu przestępstwa.

— Hogg powiedział mi, co się stało. — Wszedł do środka, wysoko podnosząc nogi, żeby przypadkiem nie kopnąć któregoś z porzucanych przedmiotów. Jego uważny wzrok przeskakiwał z miejsca na miejsce. — Nic się pani nie stało, panno Downing?

— Nic.

— Pieniądzom też nie — wtrącił Dan Loretto. — Leżą spokojnie na dole, zamknięte w szufladzie.

— Hm... — Szeryf stał na szeroko rozstawionych nogach

i kołysał się powoli, a jego czarne oczka spoglądały badawczo spod ronda brązowego stetsona.

— Jakieś podejrzenia?

— Jedno — odparł Gandy. — Panna Downing i ja zajęliśmy się Willym Collinsonem, a to nie bardzo spodobało się jego ojcu. Złożył nam wizytę, o której zapewne już pan słyszał.

— Buty wpadające przez okno?

— Właśnie.

— Co powiedział?

Gandy zrelacjonował wydarzenia tamtego poranka, szeryf zaś w tym czasie krążył po mieszkaniu, prawie niczego nie dotykając i prawie wszystko zapamiętując. Kiedy stanął koło Agaty, spytał prosto z mostu:

— Nie sądzi pani, że działalność tej organizacji abstynenckiej przysporzyła pani wielu wrogów? Może to któryś z nich?

— Nie... nie wiem.

— Już kiedyś jeden z nich złożył pannie Downing wizytę — włączył się Gandy. — Czy masz jeszcze tę kartkę, Agato?

— Tak, jest w sekretarzyku. — Wstała, wyjęła ją i wręczyła szeryfowi, a ten, zapoznawszy się z jej treścią, przez dłuższą chwilę uważnie oglądał.

— Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żebym ją zabrał?

— Nie. Oczywiście, że nie.

Złożył kartkę i schował do kieszeni koszuli, po czym raz jeszcze obszedł mieszkanie, przyglądając się listwom przypodłogowym, meblom, pościeli, a nawet zaglądając za niewielki piec. Doszedłszy do drzwi, chwycił je jednym palcem i szybkim ruchem odciągnął od ściany.

— Chyba mam.

Agata aż podskoczyła, Gandy zaś mocniej ścisnął jej ramię.

— Co takiego? — spytał.

Ruchem głowy Cowdry polecił Jackowi odsunąć się na bok, po czym przymknął drzwi i oczom zebranych ukazał się wydrapany w farbie napis: STRZEŻ SIE APSTYNENTKO!

Szeryf zachował pozorny spokój, lecz Agata i Gandy wiedzieli, że pod niewzruszoną maską kłębią się bystre myśli.

— Kto to mógł być? — spytał.

Właściwie każdy: Mustard Smith, Angus Reed... którykolwiek ze sprzedawców alkoholu w Proffitt. Albo z ich stałych klientów. Lista podejrzanych była tak długa, że Agacie zakręciło się w głowie.

Gandy dostrzegł na jej twarzy wyraz konsternacji. Domyślił się, że jest głęboko wstrząśnięta. Samotna kobieta przeciwko niebezpiecznemu wrogowi. Miała wszelkie powody, żeby się bać. Nie bardzo wiedział, skąd wziął się w nim ten nagły przypływ opiekuńczości.

— Agato?

Uniosła wzrok. W jej jasnozielonych oczach wciąż czaił się strach.

— To mógł być każdy — przyznała słabym drżącym głosem.

Gandy zwrócił się do Cowdry'ego:

— To prawda. Mógł to być Mustard, Smith, Diddier, Reed, Dingo... Chyba jedyny, który nie wchodzi w grę, to Jesus Garcia. Nie sądzę, żeby umiał pisać po angielsku.

— Mój zastępca będzie nocami raz czy dwa patrolować tę ulicę. Poza tym niewiele mogę zrobić, przynajmniej do czasu, aż będę miał jakiś dowód. Proszę dać mi znać, gdyby coś się stało.

Agata zapewniła, że tak właśnie robi, i szeryf poszedł. Gandy posłał Jacka i Dana po Jube, po czym zwrócił się do Agaty:

— Weź wszystko, co ci będzie potrzebne. Pójdiesz ze mną.

— Ależ, Scott... Proszę cię... Nie chcę... nie chciałabym się narzucać Jube. Nie mogę.

— Nie zostawię cię tutaj samej. A teraz bądź taka miła i rób, co ci powiedziałem.

— Ale przecież łóżko jest całe. Została mi jedna poduszka

i...

— W porządku, skoro nie chcesz wziąć swoich rzeczy, zrobię to za ciebie. — To rzekłszy, skierował się ku bieliźniarce. — Są tutaj? — Zabrał się do otwierania szuflad.

— Dobrze. Skoro nalegasz. Ale jeżeli uznam, że Jube ma coś przeciwko temu, natychmiast wracam.

Uśmiechnął się i stanął z boku, żeby mogła wyjąć koszulę nocną i szlafrok. Kiedy szła w stronę sekretarzyka, podążał za nią wzrokiem. Jednakże górna część mebla została zrzuciona na ziemię i Agata musiała przeszukać pobjowisko na podłodze, żeby odnaleźć szczotkę do włosów i podstawkę na spinki. Ta druga była pęknięta. Agata złożyła dwie części i przez chwilę je tak trzymała. Jej twarz jeszcze bardziej posmutniała.

Kiedy uniosła wzrok, ich spojrzenia się spotkały.

— Przykro mi, Gussie. — Wyglądała, jakby zaraz znów miała się rozplakać. — Chodźmy — zarządził i ujął ją pod łokieć. Zatrzymała się koło lampy na stole i powiodła wzro-

kiem po pokoju, w którym zawsze utrzymywała nienaganny porządek.

— Kto mógł zrobić coś takiego?

— Nie wiem. Ale nie chcę, żebyś się tym teraz martwiła. — Wziął ją pod rękę. — Rano przyjdziemy tu i pomożemy ci posprzątać. A teraz zgaś światło.

Zrobiła, co kazał i zapadła ciemność. Ruszyli do drzwi. Gandy zamknął je najlepiej, jak się dało, otworzył swoje i przepuścił ją przodem.

— Pokój Jube jest na końcu korytarza po lewej. — Złota klatka była jeszcze opuszczona, a zapadnia w połowie korytarza uchylona. Wpadające przez szczelinę promienie światła oświetlały kawałek sufitu, w powietrzu unosiły się kłęby dymu z papierosów i wyraźnie słychać było dźwięki pianina i bandzo. Mijając zapadnię, Agata zajrzała do baru. Przy drzwiach do pokoju Jube wyczekująco przystanęła. Gandy otworzył je bez żadnych skrpułów, wiedział też dokładnie, gdzie jest lampa. Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki, po czym płonący knot oświetlił mu twarz.

Gandy odstawił lampę i podszedł do Agaty.

— Jube zaraz tu będzie. Zaczekasz na nią?

— Tak.

— Dobrze... — Po raz pierwszy tego wieczora poczuła się w jego towarzystwie niezręcznie. Oboje nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Nigdy dotąd nie odprowadzano jej do drzwi sypialni, jemu zaś nie zdarzyło się odprowadzić kobiety tylko do drzwi. — Zamknę lokal trochę wcześniej, żebyś mogła spokojnie spać.

— Och, nie... proszę. Nie z mojego powodu.

— Jube przyjdzie zaraz po tej piosence. — Odwrócił się i zanim zdążyła mu podziękować, zniknął.

Wychodzące na ulicę podwójne okno było otwarte, a poruszane podmuchami letniego wiatru firanki wyglądały jak białe żagle. W pokoju nic nie stało na swoim miejscu, był to jednak kojący nieład. Suknie, czarne pończochy i podwiązki wisiały na zdobionym brokacie parawanie. Drzwi szafy były otwarte na oścież, ukazując rząd białych sukien. Na toalecie leżały rzucone byle jak pióra, kremy i inne kosmetyki. Agata nie zdołała powstrzymać uśmiechu na widok popielniczki i pudełeczka z cygaretkami, które w żaden

sposób nie pasowały do tego tak kobiecego wnętrza. Łóżko było nie posłane.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wbiegła Jube.

— Agato! Scotty o wszystkim mi powiedział! Dobry Boże, przecież ty musisz być jednym wielkim kłębkim nerwów. Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdyby to do mnie ktoś się włamał. Ale niczym się nie przejmuj. Dzisiaj prześpisz się u mnie. — Objęła ją i mocno przytuliła. Nagle towarzystwo rozgadanej Jube bardzo Agatę ucieszyło. Nie byłoby miłym przeżyciem spędzić noc w zdemolowanym mieszkaniu, nasłuchując każdego trzasku i zastanawiając się, czy to czyjeś kroki na schodach.

— Dziękuję ci, Jubilee.

— Och, daj spokój. W końcu od czego ma się przyjaciół? — Opadła na krzesło i zaczęła zdejmować buty. — Poza tym strasznie mnie dzisiaj bołą stopy. Cieszę się, że mogłam skończyć trochę wcześniej niż zwykle. Scotty obiecał, że najpóźniej o północy wyrzuci ostatnich klientów.

— Mówiłam mu, żeby tego nie robił.

— Wiem, ale jak sobie coś postanowi, to nie ma sposobu, żeby mu to wybić z głowy. No nic, możemy powoli kłaść się spać.

Agata rozejrzała się niepewnie. Jube wyciągała właśnie pióra z włosów, postanowiła więc zrobić to samo ze spinkami. Jube stanęła koło krzesła z podnóżkiem i zdjęła swą białą kreację, po czym spojrzała na zakłopotaną Agatę.

— Wejdz za parawan, jeśli chcesz.

Rozbierając się, Agata słyszała, jak Jube, nucąc pod nosem „Ptaka w złotej klatce” zapala cygaretkę, podchodzi do toaletki i strasznie hałasując, zaczyna czegoś szukać. Po chwili w całym pokoju czuć było perfumowany dym, a na twarzy Agaty pojawił się uśmiech. Przypomniała sobie dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Jube. Gdyby ktoś jej wtedy powiedział, że spędzą razem noc, stwierdziłaby, że brak mu piątej klepki. A jednak tak właśnie miało się stać. Ubrana w koszulę nocną z wysokim kołnierzem i prosty biały szlafrok, wyszła zza parawanu. Jubilee stała koło toaletki, drapiąc się po białym brzuchu i piersiach. Na sobie miała jedynie pantalonki.

— Przeklęty gorset — mruzczała pod nosem z cygaretką w zębach. Podrapała się mocniej, zostawiając na bladej skórze czerwone ślady. — Dlaczego wszystko tak strasznie swędzi, kiedy się go zdejmuje? Dlaczego właściwie, walcząc o prawa kobiet, nie walczycie przeciwko gorsetom? — Ujęła jędrne piersi w dłonie i uniosła wysoko, zakrywając nimi czarny pieprzyk. — Tylko pomyśl — roześmiała się, jakby była w pokoju sama — jak wspaniale byłoby chodzić bez tego przeklętego rusztowania. Co o tym sądzisz?

Odwróciła się, a Agata spuściła wzrok. Nigdy dotąd nie widziała nagiej kobiety, nie mówiąc już o kobiecie w rodzaju Jubilee, która bez odrobiny wstydu paraduje z nagimi piersiami. Jube wydmuchnęła obłoczek dymu, podeszła do krzesła i pochyliwszy się, przeszukiwała stertę ubrań tak długo, aż w końcu znalazła turkusową koszulę nocną. Kiedy się wyprostowała i wyciągnęła ręce, żeby się ubrać, jej różowe sutki wyglądały niczym dwie latarnie.

Skonfundowana Agata nie wiedziała, gdzie podziać oczy.

Jube zdawała się niczego nie zauważać. Niespiesznie włożywszy koszulę, wykrzyknęła ze szczerym entuzjazmem:

— Ależ ty masz piękne włosy, Agato! Czy mogę je wyszczotkować?

— Wy... wyszczotkować? — Od śmierci matki nikt jej nie czesał.

— Tak. To ci pomoże się odprężyć. No, już — Jube odłożyła cygaretkę do popielniczki, wzięła szczotkę z toaletki i wskazała na stojący przed nią stołek. — Usiądź i rozluźnij się.

Agata nie potrafiła sobie odmówić takiej przyjemności. Usiadła przed toaletką. Kiedy szczotka zaczęła masować jej skórę, poczuła na plecach i szyi dreszcze. Zamknęła oczy.

— Od czasu jak mama umarła, nikt mnie nie czesał.

— Masz cudowne włosy. Takie grube i lśniące — zachwycła się Jubilee. — Moje są za delikatne i za proste.

Zawsze chciałam mieć takie jak twoje. Wspaniale się kręca. Ja muszę zakręcać papiloty.

— Czy to nie zabawne? — otworzyła oczy Agata. — Ja zawsze marzyłam, żeby były delikatniejsze, mniej pokręcone i choć odrobinę jaśniejsze.

Jube przesuwiała teraz szczotką przez całą długość włosów.

— Czy tak już musi być, że człowiek nigdy nie jest do końca zadowolony z tego, co ma?

Agata pomyślała, że to pytanie brzmi dziwnie w ustach kobiety równie pięknej jak Jubilee. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

— Nie wiem. Ale chyba każdy ma jakieś marzenia.

— A ty o czym najbardziej marzysz?

Dla Agaty odpowiedź wydawała się czymś najbardziej oczywistym na świecie. Zdziwiło ją więc, że Jubilee, która stała z przekrzywioną głową i leniwie ją cesała, w ogóle przyszło do głowy, żeby o to zapytać.

— O zdrowych biodrach i nogach.

Reakcja Jube była zupełnie inna niż Agata przewidywała

— żadnego zdziwienia, że w ogóle mogła przeoczyć coś tak oczywistego. Nie przerywając czesania, łagodnie stwierdziła:

— No tak, rzeczywiście! To zabawne, ale ja nigdy nie myślę o tobie jak o kulawej.

To dopiero! Agata zawsze była święcie przekonana, że wszyscy się nad nią litują, teraz wszakże bez wahania uwierzyła w szczerść słów Jube. Nigdy dotąd nie miała nikogo, z kim mogłaby dzielić najskrytsze tajemnice, spytała więc:

— A ty? O czym marzysz?

Jube odłożyła szczotkę. Zebrawszy włosy Agaty do góry, ułożyła je na kształt ptasiego gniazda i dopiero wówczas ponownie spojrzała jej w oczy.

— O matce, która by mnie cesała — odparła cicho.

— Ojcu, który byłby jej mężem.

Przez dłuższą chwilę mówiły tylko ich oczy.

— Och, Jube — odezwała się w końcu Agata, delikatnie ujmując jej dłonie. — Czy myśmy już całkiem postradały rozum, żeby siedzieć i marzyć o czymś, co i tak nigdy nie będzie nam dane?

— Wcale nie. Moim zdaniem każdy ma prawo trochę pomarzyć. Przecież nie ma w tym nic złego, prawda?

— Chyba nie. — Powieki Agaty zatrzepotały, potem z jej gardła wydobył się jakiś odgłos, nie do końca śmiech. — Przyszło mi do głowy, że jeszcze rok temu moim największym marzeniem byłby przyjaciel. A teraz okazało się, że znalazłam ich wielu, i to tam, gdzie najmniej bym się spodziewała. Wiesz, Jube... — Przełknęła ślinę, pośpiesznie szukając odpowied-

nich słów na wyrażenie, jak bardzo cenna jest dla niej przyjaźń Jubilee, Scotta i pozostałych. Uczucia wobec nich zupełnie wymknęły się jej spod kontroli. Dopiero teraz, kiedy potrzebując pomocy, otrzymała ją właśnie od nich, zdała sobie sprawę z głębi łączącej ich przyjaźni. — Kiedy dziękuję ci, że pozwalasz mi u siebie przenoć, robię to naprawdę szczerze. Bo jestem ci wdzięczna, że jesteś ze mną. To, co się dzisiaj zdarzyło, bardzo mną wstrząsnęło, ale przy tobie czuję się znacznie lepiej. Dziękuję ci, Jube.

Jube pochyliła się i przytuliła policzek do czoła Agaty.

— Naprawdę nie ma za co. A teraz do łóżka. Zdaje się, że wszyscy wracają już do góry, powinnaś więc chyba bez trudu zasnąć. A rano spokojnie posprzątam. — Jube odchyliła kołdrę i wygładziła prześcieradło. — No już, wskakuj.

Agata z chęcią posłuchała. Strzepnąwszy poduszkę, usiadła i uniosła ręce, żeby wykonać ostatnią tego dnia czynność.

— Co robisz? — spytała Jube.

— Zaplatam włosy.

— Po co?

— Przed pójściem spać zawsze to robię.

— Ale po co?

Agata bezskutecznie próbowała znaleźć jakiś logiczny powód.

— Mama zawsze mi mówiła, że włosy należy na noc spleść.

— Ale przecież wtedy musisz spać na twardym warkoczu. Moim zdaniem to nie ma sensu.

Agata roześmiała się. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała, teraz jednak doszła do wniosku, że Jube ma rację.

— To ostatnia rzecz, jaką zrobiłabym wieczorem z włosami. Zaplatać na noc warkocz? Nie, za nic w świecie — mówiła dalej Jube.

— W takim razie co robisz?

— Jak to co? Nic. Śpię z rozpuszczonymi. — Przejechała szczotką po włosach, odchyliła głowę do tyłu i lekko potrząsnęła. — To cudowne uczucie. Powinnaś spróbować.

— Dobrze... — Agata rozczesała palcami do połowy zapleciony warkocz. — Spróbuję.

Jubilee podeszła do toaletki i zaciągnęła się cygaretką. — Nie przeszkadza ci dym?

— Nie. Ależ skąd. — Agata ze zdziwieniem stwierdziła, że to prawda. W rzeczywistości zapach ten coraz bardziej się jej podobał.

— Palenie pomaga mi się odprężyć — wyjaśniła Jube. — Jak kończę tańczyć i wracam na górę, jestem okropnie pobudzona. Czasami aż nie mogę zasnąć. — Ujęła cienką czarną cygaretkę w palce i nie przerywając szczotkowania, obeszła łóżko, usiadła i z popielniczką na kolanach oparła się o rzeźbioną ramę z brązu.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Dobry wieczór, to my. — Pearl i Ruby weszły, nie czekając na zaproszenie. — Słyszałyśmy o wszystkim. Nie martw się, Agato. To się już nie powtórzy.

Podeszły do Agaty, żeby cmoknąć ją w policzek i życzyć dobrej nocy.

— Jeżeli Jube będzie chrapać, możesz się przenieść do mnie.

Ledwo wyszły, znowu ktoś zapukał.

— Tak? — krzyknęła Jube.

— To my. Jack i Ivory.

— Dobrze, wchodźcie i wy. Wszyscy inni już byli. Agata ledwo zdążyła przykryć się po samą szyję kołdrą.

— Już się pani uspokoiła, panno Downing? — spytał Jack.

— Tak, dziękuję. Jube wyszczotkowała mi włosy i od razu zapomniałam o wszystkich kłopotach.

— Jube to prawdziwa specjalistka od szczotkowania — zauważył Ivory.

Czyżby Jube szczotkowała także włosy Ivory'ego? Zanim jednak Agata zdążyła wyobrazić sobie taki widok, powiedział:

— Dobranoc, panno Downing. Do zobaczenia rano.

— Dobranoc, Ivory.

— Dobranoc — odezwał się Jack.

— Dobranoc, Jack.

W progu Jack odwrócił się i ponownie zajrzał do pokoju.

— Będziecie miały jeszcze jednego gościa.

Zniknął, a jego miejsce zajął Marcus z parującą filiżanką w dłoniach. Jego uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, że to dla Agaty.

— Och, Marcus, jak to miło z twojej strony. — Sięgnęła po filiżankę. — Mmm... herbata. Dziękuję ci, Marcusie. Właśnie tego mi trzeba.

Uśmiechnął się szeroko, po czym wykonując ruch, jakby mieszał łyżeczką, pytająco uniósł brwi.

— Nie, dziękuję. Najlepsza jest bez cukru. — Upiła łyk i z uznaniem pokiwała głową. — Wspaniała.

Złożył dłonie koło jednego ucha i przechylił głowę.

— Tak. Po herbacie na pewno zasnę. Jeszcze raz dziękuję, Marcusie.

Wychodząc, pomachał do niej, a ona do niego. Zaraz potem drzwi się zamknęły.

Serce Agaty waliło ze wzruszenia, rozgrzane nie tylko herbatą. Przyszło jej do głowy, że może pomyliła się mówiąc o swoim największym marzeniu, że może jednak najbardziej by pragnęła, żeby to, czego w tej chwili doświadczała, ta cudowna rodzinna atmosfera, trwało zawsze, aż do końca życia.

W miłej kojącej ciszy Agata sączyła herbatę, a Jubilee paliła.

— Jak to miło ze strony Marcusa — zauważyła po chwili Agata.

Twarz Jube pojaśniała. Przestała palić i zapatrzyła się w obłok dymu.

— Jest wspaniały, prawda? Zawsze wyświadcza innym przysługi. To chyba najmilszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam. Jak jestem chora, przynosi mi herbatę z miodem i brandy. Kiedyś nawet natarł mi plecy. Było rozkosznie.

— Na początku trochę mi przeszkadzało, że jest niemową — zwierzyła się Agata — ale wkrótce przekonałam się, że umie przekazać swoje myśli lepiej niż wielu takich, co potrafią mówić.

— No właśnie. Wiesz, czasami bym chciała... — Jube zadumała się; a po chwili wypuszczając obłok dymu, westchnęła: — Och, nieważne.

— Powiedz... co takiego?

— No... — Wzruszyła ramionami. — Żeby nie był taki nieśmiały.

— Och, Jubilee! — uniosła brwi Agata. — Czy darzysz Marcusa... uczuciem? To znaczy jakimś szczególnym uczuciem?

— Chyba tak. Chociaż skąd dziewczyna może to wiedzieć, skoro mężczyzna nigdy nie wykonał w jej stronę najmniejszego ruchu?

— Mnie o to pytasz? — śmiejąc się, przyłożyła dłoń do piersi Agata.

— Przecież też jesteś dziewczyną, prawda?

— Nie całkiem. Mam trzydzieści pięć lat i do dziewcząt raczej się już nie zaliczam.

— Ale wiesz, o co mi chodzi. Czasami Marcus patrzy na mnie... no wiesz. Jakoś inaczej. Kiedy jednak myślę, że... Ktoś zapukał do drzwi.

— Jesteście grzeczne? — rozległ się głos Gandy'ego.

— Porozmawiamy później — szepnęła Jube do Agaty.

— Nawet bardzo — odezwała się na głos. — Wejdz. Drzwi powoli się uchylły i w progu, opierając się o framugę, stanął Gandy w rozluźnionym krawacie, z surdudem przewieszonym przez ramię. Mówił do Jube, patrzył wszakże na Agatę.

— Widzę, że już się umościłyście.

— Pewnie, że tak. Agata czuje się znacznie lepiej.

— Wygląda również. — Wszedł do środka i rzucił surduta na nogi Agaty. — Kiedy zeszłaś na dół, wyglądałaś jak cień.

— Sięgnął po pustą filiżankę. — Daj, zabiorę ją. — Odstawił naczynie na bok, po czym usiadł obok Agaty, przerzucając nad nią rękę. — Ale już ci kolory wróciły.

Próbowała naciągnąć kołdrę nieco wyżej, jednakże ciężar Gandy'ego jej to uniemożliwił. Na tle nieskazitelnej bieli koszuli nocnej jej policzki wydawały się różowe, spływającym po poduszce wspianiałymi bujnymi falami włosom światło lampy nadało barwę starego burgunda. Gandy chwilę sycił się ich widokiem, po czym ponownie zajrzał w zielone oczy. Były to oczy czarujące, niepodobne do żadnych, jakie kiedykolwiek widział, jasne niczym morska woda. Zaczęły już prześladować go po nocach, czasami nawet nie mógł przez nie zasnąć, jakby były gdzieś w pobliżu i wpatrywały się w niego. Siedząc obok niej, ściągając swym ciężarem kołdrę z jej piersi i patrząc jej prosto w oczy, poczuł nagle nieoczekiwane wzruszenie.

- Marcus przyniósł mi herbatę — wyjąkała Agata ogromnie podekscytowana jego bliskością, faktem, że ma na sobie tylko koszulę nocną i wyraźnie czuje ciepło jego ciała — Jube wyszczotkowała mi włosy. — Dotknęła ich niepewnie, niemal przepraszająco. — A wszyscy inni przyszli powiedzieć mi dobranoc.

— Zaśniesz?

— Pewnie, że tak. — Spróbowała się uśmiechnąć, lecz nie była w stanie zapanować nad swym przyśpieszonym oddechem. Spłoszona, położyła na gardle drżącą dłoń, którą Gandy wszakże natychmiast ujął. Przez chwilę siedzieli bez ruchu ze splecionymi palcami. Serce Agaty trzepotało niczym serce pojmanego ptaka, było jednak tyle rzeczy, które pragnęła mu powiedzieć. — Nie wiem, co bym dzisiaj bez was wszystkich zrobiła — wyszeptała. — Dziękuję ci, Scott.

— Nie masz za co dziękować. — Ulegając nagłemu impulsowi, objął ją, mocno przytulił i trzymał tak przez kilka długich sekund. — Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. A po to w końcu ma się przyjaciół.

Serce waliło jej jak młotem. Nie miała pojęcia, co zrobić z rękoma, położyła je więc na jego łopatkach. Wiedziała, że z drugiego końca łóżka obserwuje ich Jubilee. Czowała intensywny zapach dymu cygara, którym przeszły jego ubrania i skóra, była świadoma swych niczym nie skrepowanych piersi rozpląszczonych — po raz pierwszy w życiu — na twardym męskim torsie.

— Dobranoc, Gussie — szepnął, całując ją w koniuszek ucha. — Do zobaczenia rano.

— Dobranoc, Scott — wydusiła szeptem.

Podczas gdy serce nadal tłukło się jej w piersi, Gandy wstał, wziął surdut i obszedł łóżko. Stanąwszy za Jubilee, pochylił się nad nią, ona zaś uniosła twarz i posłała mu ciepły uśmiech.

— Dobranoc, Jube — powiedział. Pocałowali się.

— Dobranoc, Scotty. Nic się nie martw, zajmę się nią. Puścił oko do Jube i uśmiechnął się do Agaty.

— Wiem — odparł i wyszedł.

Pogasły światła i w całym budynku zapanowała cisza, lecz Agata długo jeszcze czuwała obok śpiącej Jube, skonfundowa-

na i bardziej świadoma swego ciała niż kiedykolwiek dotąd. I to nie tylko bolących części. Od stóp do głów przebiegały ją dreszcze, serce zaś biło tak mocno, jakby napędzała je jakaś tajemnicza, przez wiele lat uśpiona siła. Jak Scott mógł tak postąpić? Usiąść obok niej i wziąć ją w ramiona, nie zastanawiając się nawet, czy to przystoi? Ubrana tylko w koszulę nocną! I to na oczach Jube!

Kiedy wszakże jej dłonie spoczęły na jego łopatkach, a serce zaczęło bić tuż obok jego serca, Agata nie zaprzętała sobie głowy przyzwoitością. Jakże przyjemnie było chociaż przez chwilę tulić się do niego, jak bardzo paliła ją wówczas twarz, jak szybko pulsowała krew w żyłach, jak pełne wydały się jej własne piersi przyciśnięte do twardego męskiego torsu. I jeszcze jego szczeka oparta o jej skroń. I obojczyk, którego dotykała ustami. No i ten zapach — ach, ten zapach! — tak inny od zapachu wody fiołkowej i krochmalu.

W ślad za gorącym wspomnieniem przyszło zakłopotanie.

„Ale przecież on należy do Jube?”

Nic już nie rozumiejąc, Agata przewróciła się na drugi bok. W głowie niczym refren krążyła jej uparta myśl.

„Jak Jubilee może należeć do Scotta, skoro sama przyznała, że darzy uczuciem Marcusa?”

W końcu zapadła w płytki nerwowy sen, nie znalazłszy na to pytanie żadnej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rano, zgodnie z obietnicą, wszyscy zabrali się energicznie do pracy. Marcus założył nową kłamkę, a kiedy przyszedł Willy, kazali mu zbierać pierze. Agata zauważyła, że mały znowu zaczął się drapać, i postanowiła porozmawiać o tym ze Scottem.

Obudziła się niepewna, jak powinna z nim rozmawiać, on jednak traktował ją tak samo platonicznie jak zawsze. Mniej więcej o wpół do jedenastej Willy'emu znudziło się uganianie za piórami, Agata posłała go więc do Halorhana, żeby sprawdził, czy nie ma do niej jakiejś poczty.

Wrócił z najnowszym numerem „The Temperance Banner” oraz kopertą z pieczętką poczty w Topece i adresem zwrotnym gubernatora Johna P. St. Johna.

— To od gubernatora! — wykrzyknęła.

— Ho, ho! Od gubernatora! — powtórzyła Ruby. — To ci dopiero zaszczyt! — Wywracała oczyma i potrząsała rękoma, jakby się sparzyła.

Agata ostrożnie rozcięła kopertę i wyjęła list zdobiony pieczęcią stanu, a wszyscy pozostali stłoczyli się dookoła niej. Marcus zastygł bez ruchu ze śrubokrętem w dłoni, Scott oparł się o miotłę, dziewczęta przycupnęły na brzegu maleńkiej kuchenki, Ivory, Jack i Dan zaglądali jej przez ramię, Willy zaś wspiął się na palcach, żeby lepiej widzieć. Agata rzuciła okiem na list.

— Co pisze? — spytała Ruby.

— To zaproszenie.

— Lepiej przeczytaj na głos, zanim ze zdenerwowania dostaniemy kamieni żółciowych.

Agata spojrzała na Scotta, po czym gwałtownie się odwróciła, odchrząknęła i oblizła wargi, albowiem nagle zaschło jej w ustach.

Szanowna panno Downing,

Z przyjemnością zawiadamiam, że o aktywnej działalności, jaką prowadzi Pani na rzecz wprowadzenia zakazu sprzedaży trunków w stanie Kansas, wspominali w rozmowach ze mną Reprezentat Stanu w Kongresie Alexander Kish, panna Amanda Way i panna Drusilla Wilson. Jak zapewne Pani wiadomo, w dniu wyborów na stanowisko gubernatora stanu Kansas złożyłem swoim wyborcom obietnicę, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby doprowadzić nie tylko do zakazu spożywania alkoholu, lecz także jego sprzedaży w obrębie granic naszego ukochanego stanu.

Z tej to przyczyny całym sercem popieram przyjętą przez obie izby Parlamentu uchwałę wzywającą do ratyfikacji w naszym stanie poprawki prohibicyjnej.

Głęboko ufam, że jeśli ci z nas, którzy walczyli w przeszłości na rzecz szlachetnego celu, raz jeszcze zewrą szeregi i przystąpią do działań bardziej zdecydowanie niż dotychczas, już wkrótce poprawka zostanie ratyfikowana przez wyborców stanu Kansas.

Chcąc wyrazić głęboką wdzięczność za Pani wysiłki i zachęcić do skutecznych działań w przyszłości, pragnę niniejszym zaprosić Panią na podwieczorek w ogrodzie różanym rezydencji gubernatora w dniu 15 września o godzinie drugiej po południu.

List nosił własnoręczny podpis gubernatora Johna P. St. Johna.

Zapadła głucha, pełna napięcia cisza. Agata wpatrywała się w kartkę, bojąc się spojrzeć na pozostałych. Czuła, że pali ją twarz i szyja. Sztywny papier zaszeleścił, kiedy powoli złożyła list i schowała z powrotem do koperty.

— Co się stało? — Głos Willy'ego zabrzmiał niczym wystrzał armatni.

W końcu Agata uniosła wzrok. Próbowwała wymyślić jakąś odpowiedź, jednakże stać ją było tylko na krótkie „Nic”, zdecydowanie odległe od prawdy. Scott nadal opierał się

o miotłę, marszcząc brwi. Marcus próbował zeskrobać ze śrubokręta plamę zaschniętej farby, Jack drapał się w szyję, unikając wzroku Agaty, a długie czarne palce Ivory'ego wybijały o udo nerwowy rytm. Dziewczęta siedziały nieruchomo z oczyma wlepionymi w podłogę, którą właśnie skończyły myć.

W pokoju było cicho jak makiem zasiał.

— Co się stało? — powtórzył Willy. Z odsieczą przyszedł Dan.

— Słuchaj, mały — rzekł, kładąc mu rękę na głowę. — Może byśmy teraz posprząтали w barze?

Chłopiec posłusznie odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia, po drodze wszakże raz jeszcze obejrzał się na skonsternowane towarzystwo.

— Dobrze. Pewnie, że tak. Ale powiedzcie mi, co się stało?

— I tak nie zrozumiesz, brzdącu.

Po ich wyjściu jeszcze przez dłuższą chwilę panowało ponure milczenie.

— Pojedziesz? — spytała w końcu Ruby.

Z ogromnym wysiłkiem Agata spojrzała w jej czarne tajemnicze oczy. Nagle zdała sobie sprawę, że Ruby, której przodkowie od pokoleń byli niewolnikami, już we wczesnym dzieciństwie nauczyła się skrywać swe najgłębsze uczucia. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

— Nie wiem — odparła ciężko Agata. Ruby odwróciła się i schyliła po śmietniczkę.

— Czas się zbierać — powiedziała. — Wszystko już posprzątane.

Wyszli wszyscy po kolei, został tylko Scott.

Przez otwarte okno słyhać było odległe porykiwanie pędzonego bydła, stukot wozów i dzwonienie podków przechodzących przed hotelem koni. Jednakże w mieszkaniu panowała głucha cisza.

Scott chwycił miotłę, przesunął nią dwa razy po podłodze, po czym znieruchomiał, wpatrzony w czubki butów. W końcu przestąpił z nogi na nogę i spojrzał na Agatę.

— No cóż... — Wciągnął głęboko powietrze i głośno je wypuścił.

Serce jej się boleśnie skurczyło.

— Scott — odezwała się błagalnie — co mam robić?

— Mnie o to pytasz? — roześmiał się oschle.

— A kogo mam pytać?

W jego głosie pojawiły się gniew i rozdrażnienie.

— Na przykład te szalone kobiety, z którymi chodzisz na demonstracje — odparł, wskazując palcem na ulicę.

— Wcale nie są szalone! Mają powody, żeby to robić!

— To banda rozgoryczonych żon, szukających sposobu, żeby zaciągnąć swych mężów do domu, podczas gdy tak niewiele trzeba, żeby w ogóle z niego nie wychodzili!

Nie mogła uwierzyć w jego zaślepienie.

— Och, Scott, czy ty naprawdę tak uważasz?

— Mój ojciec nigdy w życiu nie włączył się po barach. A to dlatego, że jego żona wiedziała, co zrobić, żeby go do nich nie ciągnęło.

— Twój ojciec mieszkał na plantacji i prawdopodobnie w promieniu wielu mil nie było ani jednego baru.

Gandy najeżył się, a jego spojrzenie stało się nagle twarde jak gład.

— A skąd ty to możesz wiedzieć?

— Od dziewcząt. W tym cała rzecz, że wokół nie było żadnych barów, twój ojciec zachowywał się więc jak na głowę rodziny przystało i spędzał wolny czas tam, gdzie powinien, czyli w domu.

Scott prychnął pogardliwie.

— Za długo zadajesz się z tymi fanatyczkami, Agato. Powoli stajesz się taka jak one.

— Prawda w oczy kole, co, Scott? Wiesz równie dobrze jak ja, że alkohol uzależnia i ogłupia. Pozbawia ludzi zdolności do pracy, doprowadza do ubóstwa całe rodziny, a samych mężczyzn, nawet tych najporządniejszych, zamienia w ohydne bestie.

Scott skrzywił się z jeszcze większą pogardą.

— Co gorsza, zaczynasz wierzyć w te wszystkie idiotyczne uogólnienia. — Wycelował palcem w jej nos. — Bo to po prostu uogólnienia! Połowa z was klęczy przy wejściach do saloonów i śpiewa pobożne pieśni, nie mając po temu żadnego powodu.

— Tak? A Annie Macintosh z pękniętymi żebrami i podbitym okiem? Czy ona też nie ma powodu?

— Annie to zupełnie inna historia. Nie każdy mężczyzna, który trochę wypije, zachowuje się jak Macintosh.

— A Alvis Collinson, który przepija pieniądze na buty i jedzenie i pozwala, by jego dziecko spało w zauszonym łóżku?

Scott zacisnął zęby.

— To cios poniżej pasa, Agato, nie sądzisz?

— A na czym twoim zdaniem polega czysta gra? Na tym, żeby dla uspokojenia sumienia raz w miesiącu zabrać Wil-ly'ego do łaźni?

— Dla uspokojenia sumienia?! — Twarz Scotta pociemniała. Zacisnął dłonie na trzonku miotły i wystawił głowę do przodu. — Wcale nie muszę uspokajać sumienia! Prowadzę uczciwy interes i dokładam starań, żeby osiem osób mogło zarobić na życie!

— Wiem. I naprawdę doceniam to wszystko, co dla nich robisz. Ale czy nigdy nie trapią cię żadne wątpliwości, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że szkodzisz tym, którym sprzedajesz alkohol? Im i ich rodzinom, które tak bardzo potrzebują pieniędzy traconych przy stolikach!

— No cóż, nie mogę powiedzieć, żebym z tego powodu nie spał po nocach — odparł, uśmiechając się drwiąco. — Jeśli nie kupią alkoholu u mnie, zdobędą go gdzie indziej. Nawet jeśli cała ta poprawka prohibicyjna zostanie ratyfikowana i trzeba będzie pozamykać bary, to i tak Yancy Sales będzie sprzedawać to samo co ja teraz, tylko pod nazwą nalewki leczniczej, a wszyscy prawodawcy tego kraju będą tę nalewkę kupować. Oczywiście w celach medycznych.

— Być może. Ale jeżeli poprawka sprowadzi z powrotem na dobrą drogę chociażby jednego takiego ojca jak Alvis Collinson, to walka i tak będzie miała sens.

— W takim razie jedź, Agato! — Machnął ręką w kierunku stacji. — Jedź sobie na tę bibkę do gubernatora! Zjedz podwieczorek w ogrodzie różanym! — Przeszedł przez pokój i wcisnął jej miotłę w rękę. — Tylko proszę cię, nie wołaj mnie na pomoc, kiedy jakiś następny rozjuszony właściciel saloonu zjawi się tutaj, żeby ci zdemolować mieszkanie!

Wyszedł wzburzony i trzasnął drzwiami tak mocno, że zatrzęszczały. Nowy zamek działał bez zarzutu. Drzwi zamknęły się i tak pozostały, ona jednak patrzyła na nie przez łyzy.

Opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Bolało ją serce. Cała rodzinna atmosfera ostatniej nocy zniknęła bez śladu, i to z jej własnego wyboru. Chociaż to wcale nie był jej wybór. Oszołomiona i wewnętrznie rozdarta, żałowała, że zakochuje się w nieodpowiednim człowieku, a właściwie — Boże dopomóż — w całej nieodpowiedniej „rodzinie”. Powoli wszakże zaczynała rozumieć, że człowiekowi nie zawsze dane jest wybierać, że czasami życie dokonuje wyboru za niego. Lecz tylko od człowieka zależało, czy wybór ten przyniesie ze sobą szczęście, czy smutek.

Cały ten dzień nie układał się po myśli Collinsona. Rano jakaś wściekła tłusta krowa przygniotła mu nogę do płotu, zanim zdążył ją cofnąć. Po południu ten przekłety smarkacz wrócił do domu cały w piórach i przyznał się, że nie dość, że znowu był u tej kapelusznicy, to jeszcze pomagał jej sprzątać. A na domiar złego wieczorem Alvisowi nie szła karta.

Przegrał osiem razy pod rząd, podczas gdy ten wystrojony kowboj obok niego w trzech kolejnych rozdaniach zgarniał całą pulę. Nawet ograniczony Doc zdołał wygrać dwie z sześciu ostatnich partii. Tylko on jeden przez cały czas przegrywał.

Loretto miał z nim na pieńku, podobnie jak reszta obecnych w barze, i Collinson podejrzewał, że młokos musi trzymać jakieś karty w rękawie. „Bezczelny gówniarz! — pomyślał. — Jeszcze pół roku temu sikał pod siebie do łóżka, a teraz siedzi wystrojony w jakąś błazeńską czarną marynarkę i krawat i oszukuje tych, których nazywał przyjaciółmi.”

Collinson przeliczył pieniądze. Miał akurat na dwa rozdania. Jeżeli nie wygra, będzie kompletnie spłukany. Osuszył kolejną whisky, nerwowo otarł usta wierzchem dłoni, po czym odwrócił się i trącił Doca łokciem.

— Hej, Doc, daj cygaro.

„Doc” Adkins wcale nie był doktorem, a jedynie samo-zwańczym weterynarzem, który podróżował po kraju, asystując przy cielących się krowach i odrobaczając świnie dodawanym do karmy popiołem i terpentyną. Jego interes nie kręcił się najlepiej, od czasu gdy nakarmił opium jedną z macior Sama Brewstera, usypiając ją na amen, zamiast wyleczyć z zapalenia jelit.

Byli tacy, co utrzymywali, że sam Doc nie stroni od opium, co tłumaczyłoby nieobecne spojrzenie jego żółtych oczu oraz ospałe reakcje na otaczający świat.

Dało się go jednak lubić, a na dodatek był niezawodnym przyjacielem tego nędznika Collinsona. Doc wyjął cygaro i wręczył pijanemu kompanowi. Zapalając, czerwony na twarzy Collinson wlepił wzrok w Dana Loretto.

Loretto tasował karty z taką wprawą, że prawie się nie zginały. Wygiął je w drugą stronę i puścił, a one — niczym za sprawą magii — ułożyły się w równą linię.

— Podobno twoja mama nie jest zadowolona, że siedzisz tu i rozdajesz karty? — zauważył Collinson.

— Skończyłem dwadzieścia jeden lat — spokojnie odrzekł Dan.

— Skończył dwadzieścia jeden lat — szturchnął Doca łokciem Collinson. — Słyszałeś, Doc? Ma już wąsy i wszystko... — Roześmiał się pogardliwie i spojrzał na jasny puszek pod zgrabnym nosem Dana. — Tylko że te wąsy bardziej mi wyglądają jak pierze z poduszki, no nie?

Dan już od początku czuł, że coś się szykuje. Alvis Collinson najwyraźniej szukał pretekstu, a Dan dobrze znał swoje obowiązki. Złożył talię i uniósł dwa palce w stronę stojącego za barem Jacka. Ten natychmiast nalał dwie podwójne whisky i skinął głową do Scotty'ego, który zauważywszy sygnał, przerwał rozmowę z jakimś kowbojem i poszedł po szklanki.

— Pozwolicie panowie, że się przysiędę? — spytał z wyćwiczoną obojętnością.

— Pewnie, czemu nie? — Młody Teksaszczyk siedzący obok Collinsona odetchnął z wyraźną ulgą, kiedy Gandy nogą przyciągnął krzesło do stolika.

— Twoja whisky, Dan. — Scott postawił jedną szklankę przed Loretto, a drugą przed sobą. — W co gramy? — spytał, sięgając do kieszeni i wydając kilka banknotów.

— W oczko — odparł Loretto. — Kto wchodzi? Collinson położył na środku stołu swojego przedostatniego dolara.

Loretto plasnął talię o stół, Collinson zaś patrzył, czy podczas przekładania ręce wszystkich będą na stole. Szczeniak był dobry, ale prędzej czy później musi popełnić błąd, a wtedy

Collinson da mu srogą nauczkę. Na razie wszakże musiał siedzieć spokojnie jak zaba na liściu.

Podczas pierwszych dwóch kolejek prowadził pozornie luźną rozmowę z młodym kowbojem.

— Jak się nazywasz, chłopcze?

— Kto? Ja?

Collinson skinął głową i spojrzał na niego zza chmury dymu.

— Slip — odparł chłopak. — Slip McQuaid.

Collinson sprawdził dwie dolne karty: para asów. Nareszcie coś sensownego. Rozłożył je i zauważył, że rozdający też ma asa. Przeklęty gówniarz musiał wyciągnąć go z rękawa, nikt przecież nie mógł mieć przez cały czas tyle szczęścia, najbardziej jednak rozzłościło Collinsona to, że znowu nie zdążył go przyłapać. Otarł usta końcem palca i położył na stole ostatniego dolara, postanawiając zagrać o podwójną stawkę. Loretto dał mu dwie karty, dziewiątkę i czwórkę.

Oczy Collinsona zaśniły.

— Slip*? — mówił dalej. — Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z tym, jak grasz w karty? Nie zamierzam zadawać się z szulerami. — Zaśmiał się szorstko obserwując, jak Loretto sprawdza dolną kartę, nie podnosząc jej ze stołu.

— N... nie, proszę pana. Po prostu ześliznąłem się z mokrego siodła, jak po raz pierwszy wsiadałem na konia, i zламаłem sobie obojczyk. Tata mnie tak nazwał.

— Kartę? — odezwał się Loretto do McQuaida, ignorując zaczepkę Collinsona.

Gandy zauważył lekki ruch bioder Dana, kiedy ten założył lewą kostkę na prawe kolano, żeby mieć w zasięgu ręki ukrytego derringera.

McQuaid wziął kartę i zastanawiał się, podczas gdy Collinson nie przestawał go wypytywać.

— Z kim jeździsz?

Gandy postanowił się nie mieszać, mimo że Collinson łamał podstawową regułę: przeszkadzał McQuaidowi w czasie gry.

— Z Rockin' J'em z Galveston.

* slip — (ang.) pośliznąć się, ale również oszukiwać podczas gry w karty (przyp. tłum.).

— Tam się nauczyłeś grać w karty?

McQuaid był wyraźnie zdenerwowany, choć starał się tego nie okazywać.

— Grywałem trochę z chłopakami. W szalasię... Jeszcze jedną — zwrócił się do Dana, po czym zaklął, przekroczywszy dwadzieścia jeden punktów.

Gandy machnął dłonią nad rozłożonymi kartami, dając znak, że pasuje. Natknął się na wyzywające spojrzenie Collinsona i z wysiłkiem rozluźnił wszystkie mięśnie. „Spokojnie, Gandy, pomyślał. Po prostu trzymaj rękę na pulsie.”

— A ty gdzie się uczyłeś grać, Loretto? Daj jeszcze jedną.

— Collinson przytknął w zakrytą czwórkę. Loretto odkrył siódemkę. Collinson myślał ciężko, pocąc się pod pachami i obgryzając brązowymi zębami kompletnie rozmiękły koniec cygara. — I jeszcze. — Dostał króla, co oznaczało, że przedobrzył. Jego napięcie podskoczyło o kolejny stopień. To niemożliwe, żeby ten przeklęty gówniarz miał takiego fuksa! Wprawdzie Collinson trzymał równe dwadzieścia w drugiej ręce, ale liczył na to, że uda mu się wygrać podwójnie. — Taak, pamiętam, jak Danny był jeszcze małym szczytem, krótszym od papierosa. Wtedy nosił koszule z krótkimi rękawami.

— Spojrzał wyzywająco na czarne długie rękawy Dana.

— Pamiętasz, Doc, no nie?

Pamiętam — odparł Doc niepewnie, chociaż w rzeczywistości minęła dłuższa chwila, zanim to sobie przypomniał.

— Daj jeszcze jedną, Danny. Loretto wręczył mu kartę. Doc długo się zastanawiał.

— Pośpiesz się! — warknął Collinson. — Nie wiem, co ci, do diabła, zajmuje tyle czasu.

Po raz kolejny Gandy powstrzymał się przed interwencją. Wiedział, że kiedy Collinson wpadnie w szal, trudno go uspokoić. Tymczasem Doc się zdecydował.

— Jeszcze jedną — mruknął.

Jednym ruchem nadgarstka Dan posłał kartę do celu. Doc przyjrzał się jej wzrokiem krótkowidza i westchnął:

— Wypadam.

Twarz Collinsona zrobiła się buraczkowoczerwona.

— To znaczy, że zostałem tylko ja i on, tak? — odezwał się, wskazując na Dana. — Ciekawe, ile trzeba mieć szczęścia, żeby z nim wygrać?

— Jak masz coś do powiedzenia, Alvis, to powiedz. — Dan wciąż trzymał jedną rękę na stole, drugą jednak położył na udzie.

— No to zobaczymy, panowie — zażądał Collinson, mocno przygryzając cygaro.

Nie zmieniając pozycji, Dan sięgnął po kolejną kartę, po czym odsłonił wszystkie trzy. Miał oczko.

— Ty cholerny, przeklęty, sukinsynu! — Collinson skrzywił się potwornie i wyciągnął nóż. — Tylko nie próbuj mi wmówić, że nie trzymasz kart w rękawie!

Gandy wstał powoli, gotowy do walki, choć jego głos zabrzmiał spokojnie i pojednawczo.

— Dobrze wiesz, Collinson, że nie pozwalam tutaj na żadne bójki. Odłóż ten nóż.

Collinson pochylił się, a ostrze błysnęło mu w dłoni. Doc i McQuaid wycofali się.

— Odłóż go, zanim komuś stanie się krzywda — ostrzegł go Gandy.

Collinson odwrócił się twarzą do niego.

— Ty też! Ciebie też załatwię! Oddałbym temu miastu wielką przysługę, gdyby udało mi się załatwić was obu! No to który pierwszy?

— Bądź rozsądny i odłóż ten nóż — odezwał się Dan, wyciągając pistolet. — Nie zmuszaj mnie, żebym cię za^Nstrzelił, Alvis. Do diabła! Przecież znam cię od urodzenia.

— Odłożę, jak wyrównam z wami rachunki!

— Cztery dolce to chyba nie jest suma, za którą warto dać się zastrzelić — próbował go uspokoić Gandy. — Odłóż ten nóż, to zagramy na koszt firmy. — Dał Jackowi ledwo dostrzegalny znak.

— Dobrze wiesz, Gandy, że nie chodzi tylko o te cztery dolce. Nie dość, sukinsyny, że kradniecie mi pieniądze, wyciągając karty z rękawa, to jeszcze staracie się nastawić przeciwko mnie mojego własnego dzieciaka!

Zapadła cisza. Ze wszystkich stron skierowały się ku nim czujne spojrzenia.

— Idź do domu, Alvis. Jesteś pijany — poradził Dan wstając. — Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzelił.

— Nie jestem pijany! Jestem splukany, jeżeli już o to chodzi, wy cholerne...

— Oddaj mi ten nóż—zażądał Gandy, wyciągając otwartą dłoń. — Pogadamy na dworze.

— Akurat, ty pieprzony sukinsynu! Złodziej, który kradnie mi wszystko, co mam...

Alvis uniósł nóż i w jednej chwili rozpętało się istne piekło. Ostrze trafiło Gandy'ego prosto w ramię, równocześnie rozległ się huk wystrzału i Collinson padł twarzą na zielony blat. Klienci zanurkowali pod stoły. Dziewczęta krzyknęły. W nagłej ciszy Gandy skrzywił się i chwycił za prawe ramię.

— Cholera! Jednak cię sięgnął! — rzucił mu się na pomoc Dan. Z drugiego końca sali biegła już Jubilee z oszalałym wzrokiem. Gandy potrząsnął tylko głową i opadł na krzesło.

— Najpierw sprawdźcie, co z Collinsonem — powiedział.

Loretto przewrócił Alvisa na plecy i zaczął szukać pulsu. Po chwili z niepokojem spojrział na Gandy'ego, który siedział skulony, dysząc ciężko i ściskając bezwładnie ramię.

— Niech ktoś pobiegnie po doktora Johnsona! — krzyknął Dan, po czym zawołał do Adkinsa: — Doc, chodź tu. Będzie nam potrzebna twoja pomoc.

— Moja? — Adkins po raz pierwszy od wielu lat otrząsnął się z otępienia. Był blady jak kreda, a w jego oczach malował się paniczny strach.

— Jesteś weterynarzem, prawda? Postaraj się utrzymać go przy życiu, zanim zjawi się doktor Johnson.

— A... ale ja...

— To twój przyjaciel, Adkins! — wrzasnął Dan. — Na litość boską, przestań wreszcie jęczeć i zacznij się zachowywać jak mężczyzna! — Odwróciwszy się do Scotta, przykląkł, spojrział niepewnie na Jube, z trudem przełykając ślinę, po czym utkwiał wzrok w rękojeść noża sterczącą Gandy'emu z ramienia. — Co mam robić? — spytał.

Gandy był półprzytomny z bólu, czoło pokrywały mu wielkie krople potu. Uniósłszy głowę, spojrział na Dana otępiałym wzrokiem.

— Wyj... mij... go — wyszeptał, zaciskając dłoń na prawym bicepsie w miejscu, w którym czarny materiał lśnił już od krwi.

W tym momencie w drzwiach stanęła Agata, która usłyszawszy strzał natychmiast zeszła na dół. Dysząc ze zmęczenia, powiodła spojrzeniem po sali. Zobaczyła leżącego na zielonym blacie mężczyznę w przesiąkniętej krwią koszuli oraz Scotta, skulonego na krześle, z nożem sterczącym z prawego ramienia.

— Dobry Boże! — szepnęła, ruszając ku niemu. Marcus położył jej dłonie na ramionach, błagając wzrokiem, żeby nie szła dalej.

Spojrząwszy mu w oczy, zrozumiała, że chodzi mu zarówno o dobro Scotta, jak i jej.

— Puść mnie, Marcusie — poleciła łagodnym tonem. — Pomógł mi. Teraz moja kolej, żeby pomóc jemu.

Marcus niechętnie zwolnił uścisk i Agata pośpieszyła do stolika, po drodze wydając polecenia Jackowi, Ivory'emu i dziewczętom, którzy stali nad Gandym, nie bardzo wiedząc, co robić.

— Połóżcie go, zanim spadnie z krzesła!

Dan i Jack niezwłocznie wykonali polecenie. Gandy jęknął, a jego czoło zalśniło od potu. Agata uklękła obok niego, rozluźniła mu krawat, rozpięła ciasny kołnierzyk i delikatnie dotknęła jego szyi.

— Och, Scott — szepnęła zatroskana. — O mój najdroższy.

Zmusił się do bladego uśmiechu.

— Gussie — wyszeptał słabo, trzepocząc zakrwawionymi palcami.

Agata ujęła je i przycisnęła do piersi, nie zważając na to, że także jej ręka jest teraz cała we krwi.

Do baru wpadł doktor Johnson, w bluzie od piżamy wciśniętej w spodnie, z szelkami kołyszącymi się u kolan i zmierzwionymi rudymi włosami.

— Odsuńcie się! — rozkazał — Collinson nie żyje— oznajmił niecałe pół minuty później.

Dźwięk tego nazwiska poraził Agatę. Wciąż klęcząc obok Scotta, spojrzała na Dana.

— Collinson? — powtórzyła wstrząśnięta. — Zastrzelił Collinsona?

— Nie. Ja go zastrzeliłem — wyprowadził ją z błędu Dan.

Spojrzała na trupio bladą twarz Scotta, następnie na nóż.

— Więc w takim razie jak...?

— Próbował przekonać Alvisa, żeby oddał nóż... No i ten oddał.

— Odsuńcie się! — rozkazał zniecierpliwiony Johnson. Ukląkł koło Gandy'ego i zerknął na nóż. — Trzeba go upić. Im bardziej będzie zalany, tym lepiej.

Podszedł Jack, niosąc pełną butelkę whisky. Scott leżał na sosnowych deskach i niewyraźnie się uśmiechał.

— Tylko żeby mi to była najlepsza whisky, jaką masz.

— Próbował zrobić chytrą minę, z miernym wszakże rezultatem.

Zjawił się szeryf Cowdry i w milczeniu dokonał oględzin ciała Collinsona. Przez ten czas Jack wlał w Scotta taką ilość whisky, że Agata nie potrafiła uwierzyć, jak można tyle wypić, nie tracąc przy tym przytomności. Jubilee siedziała na podłodze z głową Scotta na kolanach, na dłoni Agaty z wolna zasychała jego krew.

Cowdry przesłuchał klientów, po czym wyprosił ich z baru. Przyszedł grabarz i zabrał ciało, a na środku sali zestawiono dwa stoły, tworząc w ten sposób prowizoryczną salę operacyjną. Marcus, Dan, Ivory i Jack delikatnie przenieśli Scotta z podłogi na stoły. Gandy uśmiechał się wesoło, usta miał wilgotne, twarz zarumienioną.

Kiwnięciem palca wezwał Marcusa.

— Posłuchaj... — wybełkotał. — Cholernie dobra ta whisky, tylko przypadkiem nie powtarzaj tego Agacie. — Zachichotał i wykręcił głowę ku stojącemu za nim Ivory'emu.

— Gdybym przypadkiem kopnął w kalendarz, nie chcę żadnego żałobnego zawodzenia na pogrzebie. Masz grać kankana, jasne?

Jack ponownie przyłożył butelkę do ust szefa.

— Jeszcze łyk, Scotty, i powinno wystarczyć. — Alkohol spłynął po policzku Gandy'ego, tworząc ciemną plamę na zielonym rypsie. Raz i drugi zamrugał oczyma, lecz nadal był przytomny.

— Gussie? — wyszeptał, szukając jej wzroku. — Gdzie jest...

— Tu jestem, Scott. — Przysunęła się i chwyciła go za zdrową rękę. Ścisnął jej dłoń rozpaczliwie.

— Willy... musisz powiedzieć Willy'emu. — Oczy miał coraz bardziej przekrwione. Na tle czarnych brwi i włosów jego twarz wydawała się blada jak wosk, tylko policzki miał nienaturalnie czerwone od wypitego alkoholu. — Przykro mi... Powiedz mu, że strasznie mi przykro...

Dotknęła jego włosów, przyklejonych do ociekającego potem czoła, i delikatnie je odgarnęła.

— Powiem mu. Obiecuję.

Doktor otworzył czarną torbę, wyjął z niej długi koński włos i nawłókł igłę.

— Przynieście świeżą butelkę — rozkazał. — Jeśli ktoś nie znosi widoku krwi, niech lepiej wyjdzie.

Agata została na tyle długo, żeby być świadkiem, jak doktor wyciąga nóż z rany, a Scott wije się w konwulsjach i krzyczy z bólu. Wystarczająco długo, żeby usłyszeć rozkaz doktora:

— Whisky! Dajcie mu jeszcze whisky!

Dość długo, żeby żołądek podszedł jej do gardła, do oczu napłynęły łzy, a gardło nieznośnie się ścisnęło. Kiedy wszakże doktor zanurzył igłę i koński włos w whisky, wyszła na zewnątrz odetchnąć świeżym wieczornym powietrzem i wypłakać się w samotności.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Była to dopiero jej druga wizyta w domu Collinsona. Panował w nim wciąż ten sam odór: mieszanka pleśni, oleju opałowego, brudnej przepoconej pościeli i nie mytych ciał. Jeszcze zanim zapaliła lampę, wiedziała, że warunki nie poprawiły się ani odrobinę.

Po omacku odszukała na stole kuchennym zapalki i lampę. Zapaliwszy ją, starała się nie rozglądać, tylko skierowała się prosto w stronę Willy'ego.

Skulony, z brodą opartą o piersi, sprawiał wrażenie mniejszego i bardziej bezbronniego niż w rzeczywistości. Nie obudził się nawet wówczas, gdy podeszła z lampą i postawiła ją na podłodze. Musiał być przyzwyczajony do tego, że nawet w środku nocy pali się światło i ktoś się kręci po kuchni. Przez dłuższą chwilę stała nad nim ze ściśniętym gardłem, tocząc bój z emocjami i zastanawiając się, co go teraz czeka. Taki mały, taki samotny. Oczy zapiekły ją od łez. Złożyła dłonie pod brodą i zmówiła za niego cichą modlitwę. A także za siebie i czekające ją zadanie.

Przycupnęła na skraju łóżka, usiłując odegnać myśli o stworzeniach, które dzieliły postanie z chłopcem.

— Willy? — Dotknęła jego skroni, pogładziła po włosach. — Willy, kochanie.

Wtulił głowę w poduszkę bez powłoczki, powtórzyła więc jego imię. Tym razem uchylił lekko powieki, a ona zauważyła, że oczy ma spuchnięte od płaczu. Kiedy się w końcu obudził, gwałtownie usiadł.

— Gussie! Co ty tu robisz? Jak tata cię zobaczy, oboje będziemy mieli kłopoty.

Miał przecięte ucho i krwawe pręgi na szyi. Brudną poduszkę znaczyły plamy zaschniętej krwi.

— Willy, co ci się stało?

— Gussie, musisz stąd iść! — W jego oczach pojawił się obłądny strach. — Jeśli tata...

— Nie bój się. Jest w mieście. Zbił cię?

Kiedy próbowała dotknąć jego ucha, wzdrygnął się i spuścił wzrok.

— Nie. Jak wdrapywałem się na zagrodę, pośliznąłem się i uderzyłem głową w sztachetę.

Nie miała wątpliwości, że kłamie. Unikał jej wzroku i brudnym palcem wskazującym skrobał nerwowo pościel.

Przykryła dłonią jego dłoń, drugą zaś uniosła mu podbródek tak, że musiał na nią spojrzeć. Oczy dziecka nie powinny być tak podpuchnięte, pomyślała.

— To on, prawda? — spytała cicho.

W jego oczach pojawiły się łzy, podbródek zaczął drżeć. Zacisnął wargi aż do białości. Podczas gdy chłopiec starał się powstrzymać płacz, Agatą targały dwa uczucia: miłość do sieroty i pogańska radość, że jego ojciec nie żyje i nigdy więcej nie skrzywdzi syna.

— Znalazł pierze w moim ubraniu i spytał, skąd to, a jak mu powiedziałem, wziął pas do ostrzenia brzytwy, stłukł mnie i powiedział, że nigdy więcej nie wolno mi iść do ciebie ani do Scotty'ego. Więc lepiej stąd uciekaj, Gussie, bo znowu oberwę. — Chociaż zdołał jakoś powstrzymać łzy, przyszło mu to z ogromną trudnością. Agacie również.

Wzięła głęboki oddech, wyprostowała ramiona i mocno ścisnęła jego dłoń.

— Willy, kochanie, muszę ci powiedzieć coś bardzo niedobrego.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym oświadczył:

— Więcej do łaźni nie dam się zaciągnąć.

— Nie... nie chodzi o to. Kochanie, twój tata nic żyje. Willy z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

— Tata?

— Tak. Mniej więcej godzinę temu został zastrzelony w barze Scotta.

— Zastrzelony?

Skinęła głową, dając mu chwilę na oswojenie się z tą myślą.

— To znaczy, że nie wróci do domu?

— Niestety.

Piwnie oczy Willy'ego wpatrywały się w Agatę.

— Naprawdę nie żyje?

— Wiesz, co to oznacza, prawda? — zapytała, kciukami gładząc jego małe dłonie.

Utkwił wzrok w jakiś odległy punkt ponad jej ramieniem.

— Miałem kiedyś kota i ten kot umarł. Tata kopnął go tak mocno, że poleciał z takim śmiesznym piskiem i uderzył w ścianę, a potem mój kolega Joy i ja zakopaliśmy go koło ubikacji.

Agata nie była dłużej w stanie powstrzymać płaczu. Willy uniósł wzrok i zobaczył łzy w jej oczach.

— Czy to samo zrobią z moim tatą?

— Tak, zostanie pochowany, ale na cmentarzu, obok twojej mamy.

— Aha.

— Dziś... dziś pójdziesz spać do mnie. Chcesz?

— Tak — zgodził się bez odrobiny entuzjazmu.

— Willy... twój tata był chyba dobrym człowiekiem... w głębi duszy. Ale spotkało go w życiu wiele zła, twoja mama umarła tak młodo...

Willy zacisnął usta i wpatrzył się w fałdy jej sukni. Mięsień zaciskał się po mięśni, aż w końcu na jego twarzy pojawiła się uparta, wyzywająca mina.

— Nic mnie nie obchodzi, że nie żyje — oświadczył zdecydowanie, choć podbródek mu drżał. — Nic mnie to nie obchodzi! — Mówił teraz głośniejszym głosem, uderzając pięścią w materac. — Mogą go nawet zakopać koło ubikacji! Nie obchodzi mnie to... nie obchodzi., nie... nie...

Zanim znalazł się w ramionach Agaty, już szlochał. Jego piąstki zacisnęły się na jej sukni, a główka wtuliła w pierś. Położyła rękę na unoszących się nierówno drobnych plecach.

— Och, Willy. — Płakała razem z nim, kołyszając go, tuląc do zbolełego serca. — Willy, kochanie... — Rozumiała go, doskonale wiedziała, co czuje. Oparła policzek o jego głowę, a czas nagle się cofnął i ona także została osieroconym

dzieckiem, wykrzykującym słowa znaczące coś dokładnie przeciwnego.

— Nie martw się. Willy. Wszystko się jakoś ułoży — pocieszała go.

„Tylko jak? — pomyślała. — Jak?”

Zrobiła mu wygodne legowisko na podłodze, kiedy się wszakże rano obudziła, spał zwinięty w kłębek obok niej, wtulając się ciepłymi pośladkami w jej chore biodro. Najpierw przyszło jej do głowy, że to jedyny osobnik płci męskiej, z jakim zdarzyło jej się spać, a zaraz potem, że ta krótka chwila, kiedy miała go przy sobie, warta jest pracy, którą przyjdzie jej włożyć w odwszenie łóżka.

Na śniadanie zabrała go do Pauliego i patrzyła, jak pochłania taką ilość naleśników, że wystarczyłoby na pokrycie dachu szkoły. Później zaprowadziła go do łaźni i poleciła Kendallowi dokładnie i bez litości go wyszorować, a potem po cichu pozbyć się jego starych ubrań. Obiecała wrócić za pół godziny z czystymi.

Spodnie i koszula leżały starannie złożone w szufladzie komody. Wzięła je, po czym cicho zapukała do drzwi Gan-dy'ego. Spodziewała się że otworzy jej Jube, zdziwiła się więc na widok Ruby.

— Jak on się czuje? — spytała szeptem.

— Średnio. Ale jest silny jak muł. Wyjdzie z tego.

— Przyszłam po buty Willy'ego.

— Zaczekaj. Rozejrzę się.

Stojąc w progu, Agata przyglądała się obrazowi przedstawiającemu biały dom na plantacji, który wisiał na przeciwległej ścianie. Pod nim na kredensie stała kasetka na cygara i stojak z czarnym stetsonem Gandy'ego. Agata pomyślała, że to dziwne, iż na widok kilku zaledwie prywatnych drobiazgów mężczyzny kobieta czuje się tak, jakby dzieliła z nim coś intymnego.

Po chwili wróciła Ruby z butami.

— Jak się czuje mały? — spytała.

— Akurat teraz niespecjalnie. Jest w łaźni i bierze kąpiel, a chyba wiesz, jak nienawidzi kąpieli.

— Wie o ojcu?

— Tak. Powiedziałam mu.

— Jak to przyjął?

— Mówił, że nic go to nie obchodzi. — Agata spojrzała Ruby w oczy. — Ale omal nie wyplakał serca — dodała cicho.

— Chyba przypadło ci najtrudniejsze zadanie.

— To nie była łatwa noc, prawda? Dla nikogo z nas. — Na zakończenie ich ostatniej rozmowy Murzynka wyszła, udając stoicki spokój, po tym jak Agata przeczytała zaproszenie na podwieczorek do gubernatora. Jakże mocno ją to zabolalo. Agata wyciągnęła ku niej rękę. — Ruby, przykro mi, że...

— O Boże, przecież wiem. Widocznie ten szalony świat musi już taki być.

Ruby nie ujęła jej dłoni, lecz Agata i tak miała wrażenie, jakby zrzuciła z ramion ciężkie brzemie. Wyprostowała się i zmieniła temat.

— Willy bardzo by chciał odwiedzić Scotta. Jak myślisz, czy to nie będzie zbyt duży kłopot, jeżeli przyprowadzę go już dzisiaj?

— A gdzie tam. Przynajmniej szef nie będzie myślał o bólu.

Punktualnie o czwartej Agata zapukała ponownie do drzwi Gandy'ego, trzymając za rękę chłopca, którego lśniąca czystością, starannie rozczesane włosy tworzyły złocistą falę nad czołem. Oprócz nowej fryzury miał na sobie bieliznę i skarpetki prosto ze sklepu Halorhana, wypolerowane brązowe buty ze sznurowadłami bez supłów oraz uszyte przez Agatę niebieskie spodnie i koszulę w niebieskie paski.

Tym razem otworzył Ivory. Spojrzał na Willy'ego i pokręcił głową z udanym zdziwieniem.

— A co to takiego?

— Znowu musiałem się wykapać — poskarżył się mały, odymając usta.

— Znowu? — sprawiał wrażenie odpowiednio wstrząśniętego Ivory. — A to dopiero.

— Przyszlim odwiedzić Scotty'ego. Agata ścisnęła malca za rękę.

— Przyszliśmy — poprawiła.

— Przecież tak powiedziałem, no nie?

Ivory zaśmiał się cicho, po czym zwrócił się do Agaty.

— Jak zdrowie, panno Agato?

— Dziękuję. A jak tam pan Gandy?

— Wściekły. Nie cierpi leżeć.

— W takim razie potraktujemy go ulgowo — odparła konspiracyjnym szeptem.

Kiedy weszli, leżał oparty o stertę poduszek w dużym łóżku z giętego klonu, z zabandażowanym ramieniem i zamkniętymi oczyma. Tors miał nagi, a na tle białej pościeli jego skóra i czarne włosy wydawały się bardzo ciemne. Spojrzawszy mu w twarz, Agata nie miała żadnych wątpliwości, ile musiał ostatniej nocy wycierpieć.

Willy stał przy jej boku ze smutną miną.

— Cześć, Scotty.

Scott otworzył oczy i uśmiechnął się.

— Cześć, szkrabie — powiedział czule i uniósł dłoń.

— Gussie mówi, że nie mogę się do ciebie przytulać ani skakać po twoim łóżku, ani nic.

— Tak mówi? — Gandy spojrzał na Agatę, która nie puszczała dłoni Willy'ego. Pasowali do siebie i dobrze było ich widzieć. Do głowy wpadła mu szaleńcza myśl, że byłoby miło poprosić ich, żeby wskoczyli do niego pod kołdrę, opowiedzieli coś głupiego i razem się pośmiali.

— Dzień dobry, Agato — przywitał ją cicho.

— Dzień dobry, Scott. Jak się czujesz? Nieswojo, pomyślał.

— Miewałem już lepsze dni — odparł — ale Ruby mówi, że skoro boli, to żyję.

Willy posłał Agacie błagalne spojrzenie, przez cały czas grzecznie trzymając ją za rękę.

— Mogę stanąć koło niego? Przyrzekam, że niczego nie będę dotykać.

— Pewnie, że możesz. — Puściła jego dłoń i z uśmiechem obserwowała, jak uroczystym krokiem podchodzi do łóżka i staje tak blisko, jak to tylko możliwe. Scott objął go zdrową ręką i przyciągnął do materaca.

— Elegancko dziś wyglądasz, szkrabie. A jak pachniesz!

— Gussie znowu kazała mi się wykapać — wyjaśnił z niesmakiem. — A potem zaprowadziła mnie do fryzjera!

— Okropna jest, prawda?! — zażartował, uśmiechając się zadziornie do Agaty.

Willy wypiął brzuch i poklepał się po nim.

— Ale za to znowu mam moje nowe spodnie, koszulę i buty. A Gussie kupiła mi nowe majtki i skarpetki.

— Naprawdę? — Spojrzał na Agatę, jednocześnie głaszcząc Willy'ego po plecach. W kącikach jego ust pojawił się leniwy uśmiech.

— Naprawdę — odparła za chłopca, po czym przystawiła do łóżka krzesło. — Ale Willy już je odpracowuje. Zamiata podłogę w zakładzie i chodzi po pocztę. Mieliśmy dzisiaj bardzo pracowity dzień. — Usiadła, składając dłonie na podolku.

— Wiesz, że mój tata nie żyje? — zapytał Willy bez żadnych wstępów.

Ręka Scotta zastygła w bezruchu.

— Tak, Willy, wiem.

— Byłeś w barze, kiedy go zabili? — kontynuował Willy.

— Tak.

— Czy... czy to ty go zastrzeliłeś?

— Nie, szkrabie, nie ja.

— A kto?

Scott zerknął na Agatę. Przecież Dan także był przyjacielem Willy'ego.

— Człowiek, z którym grał w karty — odparł wymijająco.

— Aha. — Willy przez chwilę się zastanawiał, po czym spojrzał na bandażę Gandy'ego.

— Do ciebie też strzelał? — spytał.

— Nie. Miałem drobny wypadek z nożem, to wszystko.

— Z nożem taty?

Gandy odchrząknął i przesunął się trochę wyżej.

— Posłuchaj, Willy, bardzo mi przykro z powodu twojego taty, ale wszystko już obmyśliłem i nie musisz się o nic martwić. — Poklepał pościel obok siebie. — Wskakuj, to ci wszystko opowiem.

Willy wgramolił się na łóżko i usiadł koło Scotta, wpatrując się w jego śniadą twarz opartą o białą poduszkę.

— Kazałem Marcusowi wysprzątać kąt na zapleczu. Wiesz, ten, gdzie trzymamy butelki, miotły i inne graty. No więc Marcus wstawił tam małe łóżko i od dzisiaj będziesz tam spać. Co ty na to?

— Naprawdę? — Twarz chłopca natychmiast się rozjaśniła.

Agatą targnęły sprzeczne uczucia wdzięczności i smutku. Rozsądek mówił jej, że Willy nie może bez końca sypiać w jej łóżku, dotąd wszakże miała nadzieję, że ostateczne rozwiązanie zaistniałej sytuacji odwlecze się przynajmniej o kilka nocy. Z drugiej zaś strony, jeżeli Willy gdzieś pragnął zamieszkać, to właśnie u Gandy'ego. Gotów był spać nawet na podłodze, nawet na zapleczu baru.

— Ale będziesz musiał wstawać rano i pomagać Danowi układać krzesła na stołach, żeby mógł pozamiatać.

Będziesz pomagał Jackowi myć szklanki. Poza tym twoim obowiązkiem będzie czyszczenie spluwaczek. To jak, umowa stoi?

— O rany, Scotty, naprawdę?

— Tak jest.

W radosnym podnieceniu Willy kompletnie się zapomniał i mocno przytulił do Scotta. Ten skrzywił się z bólu i na chwilę wstrzymał oddech.

— Willy! — Agata pośpiesznie go odciągnęła. Malec zrobił żalowaną minę.

— Och... Ja... Ja zapomniałem.

— Lepiej będzie, jeśli jednak zejdziesz z łóżka — rzekła cicho. — Za parę dni, jak Scott poczuje się trochę lepiej, będziesz mógł sobie z nim posiedzieć.

Willy zgramolił się z łóżka i z błaganiem we wzroku spojrzał na Scotta.

— Nie chciałem cię urazić, Scotty.

Scott zrobił wszystko, żeby zapomnieć o bólu przeszywającym ramię.

— Nie szkodzi, szkrabie. Rzeczywiście trochę zabolęło, ale już mi prawie przeszło.

Otrzymawszy rozgrzeszenie, Willy natychmiast poweselał.

— Mogę powiedzieć Charliemu i innym chłopakom, gdzie będę teraz mieszkać? — zapytał podekscytowany, mając na myśli kolegów, z którymi sprzedawał na stacji jedzenie.

— Pewnie, że tak. A czemuż by nie?

— A o pracy, co żeś mi dał?

— Którą mi dałeś — poprawiła Agata.

— Którą mi dałeś.

Gandy roześmiał się, chociaż ramię nadal piekielnie go bolało.

— Też możesz.

— Ale Scotty? — W mgnieniu oka twarz Willy'ego posmutniała.

— Co takiego?

— Nie mogę jutro pomagać Danowi, bo jutro jest pogrzeb taty i muszę iść.

Wzruszenie ścisnęło Scottowi gardło. Niewinność chłopca trafiła go niczym strzała w samo serce.

— Chodź tu — powiedział cicho. — Tylko ostrożnie. Nie zważając na ból, wyciągnął zapraszająco zdrową rękę.

Willy zbliżył się, tym razem bardzo ostrożnie, Scott zaś objął go zdrowym ramieniem, mocno przytulił do torsu i oparł

o jasne włosy szorstki, nie ogolony policzek.

— Pojutrze też będzie dobrze, szkrabie — odezwał się niskim drżącym głosem. — Spytam doktora, czy pozwoli mi jutro wstać i przyjść na pogrzeb. Co ty na to?

— Ale Gussie obiecała, że ze mną pójdzie.

Scott przesunął wzrok na Agatę, która nadal siedziała koło łóżka, patrząc na Willy'ego. Kiedy jej jasne, bardzo jasne oczy spojrzały w ciemne oczy Scotta, ten dostrzegł w nich pojedyncze łzy.

— Kochana jest ta nasza Gussie — powiedział, drapiąc malca brodą po jasnej głowie — ale ja chyba też powinienem tam być.

Przy grobie Alvisa Collinsona stanęło prawdopodobnie więcej żałobników, niż zasługiwał. Zjawił się jego przyjaciel Doc Adkins, przyszła też niejaka Hattie Twitchum, kobieta gruba i zaniedbana, która przez całą ceremonię nie przestawała łkać. Po śmierci żony Alvis bywał u niej bardzo często i po miasteczku krążyła plotka, że dwójka jej najmłodszych dzieci jest do niego zadziwiająco podobna. Obok stał Mooney Straub, trzeźwy po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Byli też wszyscy pracownicy Złotej Klatki: Jack, Ivory, Marcus, Dan, Ruby, Pearl i Jubilee. Nieco dalej stanęli Scott

i Agata, trzymając za ręce Willy'ego. Wyglądali jak matka, ojciec i syn. Willy ubrany był dokładnie tak samo jak Gandy: w białą koszulę i czarny garnitur, wszystko prosto ze sklepu. Agata włożyła skromną suknię z czarnego jedwabiu z wysokim kołnierzem i bufiastymi rękawami, zwężającymi się gwałtownie w łokciach. Na głowie miała czarny kapeluszek z woalką

związaną w dużą kokardę nad tylną częścią runda. Gandy z oczywistych względów miał tylko jedną rękę w rękawie marynarki. Drugą trzymał na temblaku.

Przez całą uroczystość Willy nie uрониł ani jednej łzy. Kiedy wielebny Clarksdale rzucił na wieko trumny garść ziemi mówiąc „...a popiół do popiołu”, Agata zerknęła na małego, spodziewając się, że nie wytrzyma i wybuchnie płaczem. On tymczasem mocniej ścisnął dłonie jej i Scotta, jego oczy zaś pozostały suche.

W trakcie ceremonii Agata często spoglądała na Scotta. Chociaż był mocno opalony, jego twarz wydawała się trupio blada. Na początku nabożeństwa chwycił kapelusz w prawą rękę, lewą rezerwując dla Willy'ego. Po pewnym czasie włożył jednak kapelusz z powrotem na głowę, jakby nawet on był dla chorej ręki zbyt ciężki!

Kiedy skończyła się ostatnia modlitwa, a wraz z nią ucichł głośny szloch Hattie Twitchum, Agata podziękowała wielebnemu Clarksdale'owi, który zapytał ją o dalsze losy Willy'ego.

— Na razie my się nim zaopiekujemy.

— My?

— Pan Gandy i ja.

Badawcze spojrzenie zielonych oczu wielebnego Clarksdale'a dawało jasno do zrozumienia, że oczekuje dalszych wyjaśnień, Agata wszakże nie uważała, żeby mu się one należały. Poza tym widziała, że Gandy najwyraźniej przecenił własne siły i ledwo stoi na nogach.

— Jeszcze raz dziękuję. A teraz proszę nam wybaczyć, ale pan Gandy musi jak najszybciej usiąść.

Zanim zajęli miejsca w jednym z czekających czarnych powozów, twarz Scotta nabrała barwy łoju. Opadłszy na siedzenie, wcisnął się w kąt. Ivory zauważył, że się skrzywił, wsiadł więc na kozioł i chwycił lejce. Nie uszło to również uwagi Marcusa, który szturchnął Jube i wskazał na siebie, ją, chłopca oraz swój powóz, po czym wyciągnął rękę w kierunku prerii i zakołysał się, jakby wyruszał na przejażdżkę.

Jube wskazała na siebie.

— Ja też?

Kiedy Marcus pokiwał głową, Jube uśmiechnęła się i podeszła do chłopca.

— Marcus wynajął powóz na cały dzień — rzekła. — Szkoda by było odstawić go do stajni, bo pieniędzy i tak nie oddadzą. Może wybierzemy się we trójkę na małą przejażdżkę?

Willy wzruszył ramionami i spojrzął najpierw na Scotta, potem na Agatę.

— Założę się, że uda się nam zobaczyć króliki albo pieski preriowe — zachęcała Jube.

Agata po raz kolejny doszła do wniosku, że stanowią oni niebywałą grupę. Scott potrzebował odpoczynku, Willy czegoś, co pozwoliłoby mu oderwać myśli od rzeczywistości, a Marcus i Jube wymyślili sposób, żeby im to wszystko zapewnić.

Okazało się jednak, że Willy zareagował na tę propozycję ze znacznie mniejszym entuzjazmem, niż przewidywali. Widocznie nie mógł się już doczekać, kiedy w końcu wprowadzi się na zaplecze baru.

Agata objęła go delikatnie.

— Scott musi wracać do domu i trochę poleżeć — wyjaśniła. — Bardzo dokucza mu to ramię. Lepiej będzie, jak pojedziesz z Jube i Marcusem.

— Chyba tak — odparł bez cienia entuzjazmu.

— Nie jadłeś jeszcze obiadu — odezwała się Jube, zasłaniając oczy przed słońcem. — Moglibyśmy urządzić sobie piknik.

W oczach malca pojawiła się pierwsza iskierka zainteresowania.

— Piknik?

— A czemuż by nie?

— Taki z lemoniadą?

— Jeśli tylko Emma dzisiaj zrobiła. No i oczywiście jeżeli Marcus nie będzie miał nic przeciwko temu. — Przyjrzała mu się z uśmiechem.

— Hej, Marcus — zawołał Willy. — Możemy zrobić sobie piknik?

Marcus bez wahania wyraził zgodę i po niecałych dziesięciu minutach wynajęty czarny studebaker o jaskrawożółtych kołach i sprężystych siedzeniach z czarnej skóry zatrzymał się przed restauracją Pauliego.

Co prawda Emma Paulie nie zrobiła tego dnia lemoniady, miała za to pieczone kurczaki, świeży chleb i ciasto z dynią.

Zapakowali to wszystko do skrzynki po brzoskwiinach, po czym wstąpili do domu po słoik z sarsaparylą i bandžo Marcusa.

Skierowali się na północ. Przecięli tory kolejowe i ruszyli w głąb prerii, zostawiając za sobą ślady racic, miasto i cmentarz.

Dzień był pogodny. Słońce świeciło im w plecy, łagodnie je rozgrzewając, niebo znaczyły pojedyncze białe obłoki. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się płaska jak stół równina. Falujące trawy śpiewały świszczącą pieśń, z góry zaś obserwował ich krążący jastrząb.

Niemal spod kół czmychnęła siewka, wydając niemelodyjny odgłos. Jube nie potrafiła wyjaśnić Willy'emu, co to za ptak, ale już po chwili pokazała mu świergotka, który siedział na krzaku czeremchy.

Marcus z wielkim ukontentowaniem słuchał ich szczebiotu, od czasu do czasu spoglądając na jasne głowy siedzącego obok malca i usadowionej w przeciwnym kącie Jube. Dzisiaj wyjątkowo nie była ubrana na biało. Na tle sukni o barwie indygo jej cera jaśniała niczym gwiazda na niebie. Była najpiękniejszym stworzeniem, jakie Bóg kiedykolwiek stworzył, i doskonale umiała porozumieć się z Willym. Chłopak całkiem zapomniał o swoim początkowym wahaniu i wpatrywał się w nią zauroczony, kiedy z wyciągniętymi ku obłokom ramionami śpiewała radośnie:

Och, jak wspaniale leci, prawie sięgnął nieba, Nieustraszony młodzian na pędzącym trapezie. Ruchy ma takie lekkie, serca dziewcząt zdobywa, Moje zdobył także, zagarnął je...

— Zaśpiewaj to jeszcze raz, Jube! — dopraszał się Willy, kiedy skończyła.

Spojrzała na niego spod ronda błękitnego kapelusza.

— Chętnie, ale musisz mi pomóc.

— Nie umiem...

— Nie szkodzi. To proste. Posłuchaj... Zaczęła uczyć go słów.

Kiedyś byłam szczęśliwa, teraz trawi mnie żal...

Wkrótce dźwięczny i czysty głos Jube oraz pełen fałszu i przekreślonych wyrazów śpiew Willy'ego rozchodziły się po bezgranicznej prerii. Kiedy już wybrzmiały ostatnie dźwięki, chłopiec potarł nos i spytał:

— Co znaczy zagarnął?

— Ukradł.

— Aha. To dlaczego nie śpiewamy po prostu, że ukradł? Jube zastanawiała się przez chwilę, po czym zwróciła się do Marcusa.

— Nie wiem. A ty, Marcusie? Może ty wiesz?

Marcus również nie miał pojęcia, za to uwielbiał wpatrywać się w jej migdałowe oczy. Uwielbiał również jej zadarty mały nosek, pieprzyk na policzku oraz usta w kształcie serca, które zdawały się zawsze uśmiechać. Próbował sobie przypomnieć, czy widział kiedyś, by krzywiła się z niezadowolenia, lecz bezskutecznie. Jak wszystko inne także charakter miała radosny. Przez chwilę patrzeli sobie w oczy na wpół uśmiechnięci, kołysząc się razem z bryczką. Chyba nigdy dotąd nie był tak szczęśliwy. Rozpierała go radość życia i chłonał każdą wspólną chwilę.

Jego radosny nastrój mąciło jedynie to, że nie potrafił jej powiedzieć, co naprawdę czuje. Jak bardzo jest piękna. Że uwielbia ją i gotów jest zrobić dla niej wszystko, oddać jej wszystko, co ma lub może zdobyć.

Zatrzymali się na piknik w głębi prerii, pośród zwiastujących koniec lata bladofioletowych dzikich astrów i żółtych nawłoci. Jednakże najpiękniejszy nawet kwiat nie mógł się równać z Jubilee.

Kiedy rozłożywszy koc przyklękała, żeby rozpakować jedzenie, Marcus usiadł po turecku na trawie i chwycił bandžo. Niemal natychmiast podbiegł do niego Willy.

— Zagraj coś wesołego, Marcus! — zawołał obejmując go od tyłu za szyję.

Marcus zdecydował się na „Mały brązowy dzbanek”, nie minęło parę chwil, a Willy skakał dookoła w rytm melodii. Jube przerwała rozpakowywanie i uniosła wzrok. Uśmiechnęła się i zaczęła klaskać. Willy zachichotał i z każdym krokiem zaczął podnosić nogi wyżej.

Jube stanęła tuż obok Marcusa tupiąc do taktu, klaszcząc i śmiejąc się z błazeństw Willy'ego.

— Hej, Willy, może zatańczymy? — zaproponowała.

— Nie umiem! — odkrzyknął, nie zatrzymując się.

— Ee tam, gadanie. Każdy umie!

— Ja nie!

— Umiesz, umiesz. Chodź!

Ujęła go pod łokieć i poprowadziła, śpiewając:

Mieszkaliśmy kiedyś, moja żona i ja, W drewnianej chacie, ciasnej, ale własnej.

Ja kochałem rum, ona kochała dzin, Hej, powiadam ci, wesoly był każdy dzień. Ha! Ha! Ha! Ty i ja, Mały brązowy dzbanku, Kocham cię

Ha! Ha! Ha! Ty i ja, Mały brązowy dzbanku, Kocham cię.

Jube śpiewała zwrotki, w refrenie dołączał do niej Willy. Marcus zwiększył tempo i śmiał się bezgłośnie, podczas gdy oni trzymając się za ręce, zataczali kółka jak opętani, tak szybko, że Jube spadł z głowy kapelusz.

Cóż to był za wspaniały widok, kiedy beztroscy i radośni tańczyli i śpiewali; w końcu, śmiejąc się i sapiąc ze zmęczenia stracili równowagę. Willy opadł na ręce, Jube na plecy z ramieniem zarzuconym nad głowę.

— Ho, ho! To ci dopiero zabawa! Niezły z ciebie tancerz, Willy!

Willy poderwał się na równe nogi i otarł czoło z potu.

— Ciekawe, co powie Gussie, jak się dowie, że tańczyliśmy i śpiewali.

Jube podparła się na jednej dłoni.

— Ani mi się waź jej o tym mówić, Willy! Chyba że chcesz, żebyśmy z Marcusem mieli kłopoty. Agata bardzo by się rozgniewała, gdyby się dowiedziała, że nauczyliśmy cię takiej piosenki! Obiecuj mi, że nic nie powiesz!

Jednakże słowa piosenki nie miały na malca specjalnego wpływu. Był zdecydowanie bardziej głodny niż spragniony.

— Daj mi sarsaparylę! — zażądał.

Marcus schował bandžo do futerału, po czym usiedli na gęstej żółtej trawie i zabrali się do jedzenia. Główne danie nie

wystarczyło Willy'emu; po nim zjadł jeszcze stanowczo za dużo ciasta i sarsaparyli.

Oparty na łokciu Marcus obgryzał nogę kurczaka i przyglądał się odpoczywającej Jube. Siedziała tak blisko, że spódnicą łaskotała jego skrzyżowane kostki. Słońce niczym w pajęczej sieci migotało w zwisającym luźno kosmyku jasnych włosów, który przedtem przytrzymała szpilka kapelusza. Marcus zaczął marzyć, żeby delikatnie wyjąć wszystkie spinki, rozpuścić jej włosy na ramiona, wsunąć w nie palce i zatopić czubek nosa, a w końcu ją pocałować. Willy sprowadził go na ziemię.

— Dotknij mojego brzucha. Zobacz, jaki twardy. Dotknął go najpierw Marcus, potem Jube.

— Będiesz chory — przestrzegła.

— E-ę — pokręcił głową Willy. — Ja nigdy nie choruję.

— Ale na wszelki wypadek daj sobie na razie spokój z jedzeniem. Sarsaparyli też.

Willy sapiąc opadł na trawę brzuchem do góry.

— Uff! — Usta lśniły mu od tłuszczu, koszula sterczała ze spodni, ukazując kawałek gołego brzucha, sznurowadła nowych butów miał rozwiązane. Nie zwracał jednak na to wszystko uwagi. Po paru minutach puścił głośnego bąka. Jube roześmiała się, Marcus uśmiechnął, a sam Willy zachichotał.

— Mówi się: przepraszam — zwróciła mu uwagę.

— Przepraszam — powiedział, po czym purknął ponownie, jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Trzęsąc się ze śmiechu, Jubilee zaczęła pakować rzeczy.

Nie było potrzeby się śpieszyć, gdyż bar miał być zamknięty aż do wieczora, usiedli więc i słuchali odgłosów toczącego się wokół życia.

— Czy chmury są miękkie? — zapytał Willy, wpatrując się w puszyste białe obłoki na niebie.

— Nie wiem — odparła Jube i oparłszy się na łokciach, także zaczęła im się przyglądać. — Ale wyglądają na miękkie, no nie?

— Widzisz tamtą? — spytał Willy, pokazując palcem. — Wygląda jak biała kura z brudnym brzuchem.

— Hm... — Jube przez chwilę się zastanawiała z twarzą zwróconą ku słońcu. Jedna ze szpilek wysunęła się jej z włosów

i spadła na trawę. — Może. Choć bardziej przypomina mi dzbanek z utłuczonym uchem.

— Nieee. Wcale że nie.

— A moim zdaniem tak — droczyła się, szturchając chłopca palcem nogi.

Roześmiał się i stanął nad nią na czworakach, błaznując i domagając się większej uwagi.

— Wygląda jak kura.

— Jak dzbanek.

— Jak kura.

— Jak dzbanek. — Spłaszczyła mu nos czubkiem palca. — Dla mnie ta chmura wygląda jak dzbanek, panie Collinson.

Rzucił się na nią przewracając na plecy tak, że głową uderzyła o biodro Marcusa. Zamiast się jednak odsunąć, pozostała w tej pozycji.

— Dlaczego ty jesteś taka ładna, a inne panie nie? — zapytał Willy, uśmiechając się psotnie i zabawnie marszcząc brwi.

— Niezły z ciebie pochlebca. Ale czemu miałabym zaufać komuś, komu dzbanek przypomina kure?

Willy odwrócił się na plecy, by znowu patrzeć w niebo. W końcu umościł się wygodnie, kładąc głowę na jej brzuchu. Najwłaściwszym miejscem dla jej głowy wydawał się w tej sytuacji brzuch Marcusa.

Leżeli w gęstej preriowej trawie i spoglądali w obłoki, nad nimi dmuchał lekki wiatr, a poruszany przezeń dziki owies co chwila znikał z zasięgu ich wzroku. Obok przeleciał motyl. Gdzieś w oddali kurczak preriowy dołączył swoim piskliwym *staccato* do cykania koników polnych. Od dołu grzała ciepła ziemia, od góry gorące słońce.

Zadowoleni leżeli i leniuchowali.

Palce Willy'ego rozluźniły się, piąstki otworzyły i po chwili spał smacznie, cicho pochrapując.

Marcus leżał z dłońmi splecionymi pod głową, napawając się słodkim ciężarem na brzuchu, czując, jak jego serce uderza przez łopatki o dziewiczą glebę, która zdawała się odpowiadać tym samym.

Przyszło mu do głowy, żeby wyciągnąć rękę i czubkami palców pogładzić Jube po szyi... dotknąć... tylko dotknąć... nic więcej.

Zanim wszakże zdążył to zrobić, Jube się odwróciła i przytuliła policzkiem do jego brzucha. A potem stała się rzecz najbardziej niewiarygodna pod słońcem: to ona wyciągnęła rękę i czubkami palców pogładziła jego szyję, ruchem tak delikatnym jak trzepot skrzydeł motyla.

Uśmiechnęła się ciepło, a jego ogarnęło zdumienie.

Serce zaczęło mu bić z siłą wiosennej burzy.

A w tym sercu pojawił się promień szaleńczej nadziei.

„Jube, pomyślał. Och, Jube, ty nawet nie wiesz, ile miałbym ci do powiedzenia. Gdybym tylko potrafił mówić. Ileż rzeczy bym zrobił.”

Lecz przecież Jube należy do Scotta, czyż nie? Marcus nie miał wątpliwości, że mężczyzna w rodzaju Scotta wie wszystko o tym, jak należy całować i uszczęśliwiać kobietę. Cóż mogłaby znaleźć pociągającego w pocałunku Marcusa, skoro wcześniej była z kimś takim jak Gandy?

Zamiast więc ją pocałować, Marcus zadowolił się tą jedną jedyną pieszczotą. Delikatnie dotknął bujnych jedwabistych włosów i po raz pierwszy w życiu poczuł odbijające się od nich promienie słońca.

— Jube. — Choć jego usta się poruszyły, nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Ona jednak zrozumiała i odpowiedziała jego imieniem. A chociaż Marcus usłyszałby wszystko, co zechciałaby mu powiedzieć, ona również tylko poruszyła ustami.

— Marcus.

I na razie — na ten wspaniały słoneczny dzień — to było wszystko.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jak na wrzesień było nieznośnie gorąco, a na dodatek — po dwóch dobach opadów — duszno i wilgotno. Nawet najłżejszy podmuch nie poruszał firankami. Pościel zdawała się kleić do ciała, a Jube, chociaż już kilka razy ją odsuwał, ciągle wpychała się na jego połowę łóżka i zarzucała na niego ciepłą lepką nogę. Bolało go ramię, a przekłete kojoty chyba w ogóle nie miały zamiaru się uciszyć. Wyły już od ponad godziny.

Ponownie odsunął się od Jube. Z twarzą wtuloną w poduszkę i ramionami wyciągniętymi do góry, zgięła nogę w kolanie i znowu się o niego oparła. Rozzłoszczony, odsunął się jeszcze dalej.

Ostatnio nie układało się między nimi zbyt dobrze. Coś się popsuło, nie był tylko pewien co. Sypiała z nim coraz rzadziej, a kiedy się kochali, odnosił wrażenie, że nie sprawia jej to zbyt wielkiej przyjemności. Tak było i tym razem, kiedy wszakże spytał, o co chodzi, usłyszał tylko:

— O nic. Po prostu jest strasznie duszno, a ja jestem zmęczona.

— Jeżeli chce ci się spać, dajmy sobie spokój.

— Nie... nie. Wszystko w porządku — odparła stanowczo zbyt pośpiesznie. — Chciałabym tylko — dodała, kiedy jej dotknął — żebyśmy nie musieli się kochać o pierwszej w nocy i żebym nie była wtedy taka wykończona.

Dawniej jednak nie miało dla niej znaczenia, czy jest pierwsza w nocy, czy w południe. Zawsze była gotowa i pełna zapału.

Scott zadawał sobie pytanie, czy zrobił coś, czego nie powinien. A może na odwrót? Może właśnie czegoś nie zrobił? Może chciała, żeby się z nią ożenił i czekała na oświadczyni? Odwrócił się, by się jej przyjrzeć. Szczupłe nagie ramiona były tak białe jak prześcieradło, na którym leżała. Nawet włosy trudno było odróżnić od pościeli. Wtopiła się w jego życie równie niezauważalnie, jak bladość jej cery mieszała się z pościelą. Był to wygodny związek, lecz Gandy wcale nie pragnął, żeby trwał wiecznie. Ożenić się z Jube? Nie, raczej nie. Myśl o małżeństwie powinna budzić natychmiastowy entuzjazm, taki sam, jaki czuł, kiedy zaręczył się z Delią. Teraz niczego takiego nie doznawał. To była całkiem inna miłość i chociaż kochał Jube, to przecież nie miał ochoty wiązać się z nią na całe życie.

Przewróciła się na bok, szturchając go w bolące ramię.

Usiadł, w ciemnościach odszukał spodnie, włożył je, zapinając tylko na jeden guzik i poczłapał do salonu. Nie zapalając światła znalazł cygaro i zapalki, po czym wyszedł z mieszkania.

Kiedy otworzył drzwi na podest, aż podskoczył z wrażenia, dostrzegłszy w drugim końcu jakiś ruch.

— Gussie, to ty?

Agata wyprostowała się na krześle i owineła szlafrokiem aż po samą szyję.

— Tak... to ja... Taka duchota, że nie mogłam zasnąć. Przekroczył próg i cicho zamknął drzwi.

— Ja też nie.

Założywszy jedną bosą stopę na drugą, starała się ukryć je jakoś pod szlafrokiem.

— Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli się przyłączę?

— Ależ skąd. To przecież wspólne schody. — Spostrzegła, że on też jest bosy. Podszedł do schodów, stanął na szeroko rozstawionych nogach i spojrzał w stronę prerii. W ciemnościach jego skóra wydawała się bledsza niż zwykle. Choć świeciły gwiazdy, księżyc w nowiu nie dawał zbyt wiele światła.

— Przeklęte kojoty. Jak już zaczną, nie wiedzą, kiedy skończyć.

— Mnie nie przeszkadzają. Wręcz przeciwnie, dotrzymują mi towarzystwa.

Obejrzał się przez ramię. Siedziała na twardym krześle kuchennym, wtulona w kąt, przytrzymując szlafrok pod szyją. Prawdziwy wzór przyzwoitości. Porównał ją w myślach z Jube, leżącą nago w łóżku, które właśnie opuścił. Porównanie było zabawne, aczkolwiek jemu wcale nie było do śmiechu. Czuł się zakłopotany.

— Z rozpuszczonymi włosami wyglądasz całkiem inaczej.

— Znacznie przystępniej. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby podszedł do niej i dotknął. Jej włosy, gęste i lśniące, zawsze mu się podobały. Opuściła podbródek i obronnym ruchem wyciągnęła ku nim rękę, jakby chciała je ukryć.

— Po... powinienam była je upiąć. Zwykle... — Przerwała w pół zdania, zdała sobie bowiem sprawę, że zaczyna mu się zwierzać ze swych bardzo osobistych zwyczajów, a przecież nie jest to temat do rozmów pomiędzy bosą kobietą a bosym mężczyzną, do tego o trzeciej nad ranem. — Kiedy spałam u Jubilee, powiedziała mi, że włosy powinny od czasu do czasu odpocząć, więc... no...

— Nie ma powodu się denerwować, Agato. Ja po prostu stwierdziłem fakt. — Na szczęście szybko zmienił temat.

— Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

— Nie, ależ skąd.

Przeszedł na drugą stronę podestu i usiadł na balustradzie, opierając się plecami o ścianę, z jedną nogą zgiętą w kolanie, a drugą opartą o podłogę. Potarł zapalną o wąską deskę, a kiedy przypalał cygaro, jego twarz zrobiła się na chwilę pomarańczowa. Zgasił zapalną, rzucił na ziemię, po czym głęboko się zaciągnął.

— Czy to nie zabawne? — odezwała się Agata. — Kiedyś nie znosiłam tego zapachu, a teraz coraz bardziej mi się podoba.

Gandy roześmiał się i odchylił głowę do tyłu.

— Tak to już jest z tymi paskudztwami. Człowiek się do nich powoli przyzwyczaja. — Kiedy wypuścił z ust chmurę dymu, poczuła jego zapach, ostry a jednocześnie przyjemnie męski. W oddali czekały kojoty, ona zaś z wolna przestawała ważyć każde wypowiedane słowo.

— Podobno nauczyłeś Willy'ego grać w pokera?

Scott roześmiał się i wypuścił kolejną chmurę dymu.

— A to ci dopiero gaduła.

— Scott, naprawdę... — W jej głosie zabrzmiała pobłażliwa nagana. — Kto to widział, żeby uczyć grać w karty pięciolatka?

— Ten szkrab jest jak na pięciolatka strasznie bystry.

— I niewątpliwie przy tobie robi się z dnia na dzień coraz bystrzejszy.

— Nic mu nie grozi, przynajmniej tak długo, jak długo ty będziesz go sprowadzać na dobrą drogę, po tym jak ja zaszczipię w jego chłonnym umyśle jakieś grzeszne myśli.

Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, któremu z równą łatwością potrafiła wybaczyć wszystkie występki.

— A jak mi wytłumaczysz to — spytała z uśmiechem — że Willy ostatnio namiętnie śpiewa refren „Małego brązowego dzbanka”?

— O nie! W to się nie dam wrobić — odparł, wskazując na nią rozżarzoną końcówką cygara. — Na ten temat możesz sobie porozmawiać z Jube i Marcusem.

— Nie omieszka — obiecała żartobliwym tonem.

— Skoro już przy tym jesteśmy, nie zapomnij spytać szkraba, po co nauczyłem go grać?

— A nie mógłbyś zaoszczędzić mi nieco czasu i wysiłku i sam mi tego powiedzieć?

Czubek cygara pojaśniał, podczas gdy Scott rozważał w myślach tę propozycję.

— Zagraliśmy tylko raz, za to o wysoką stawkę. Willy miał pecha i przegrał — odezwał się w końcu.

— I?

Gandy uśmiechnął się.

— Musiał iść ze mną do łaźni.

Tym razem to Agata się roześmiała. Był to wysoki kobiecy śmiech i Gandy nagle uświadomił sobie, jak dawno takiego nie słyszał. Tak właśnie śmiały się kobiety z Południa. Tak się śmiała jego matka, z długim westchnieniem na końcu, tak również śmiała się Delia.

— Muszę przyznać, że pomysłów panu nie brakuje, panie Gandy.

Wyjął cygaro z ust i oparł się łokciem o kolano.

— No cóż, dziękuję za słowa uznania, łaskawa panno Downing.

— I bywasz tak zabawny, że naprawdę się cieszę, że Alvis Collinson nie zdołał cię zabić.

Przez chwilę wpatrywał się w koniec cygara, potem zwrócił ku niej głowę.

— Pamiętam, że tamtego wieczora otworzyłem w pewnym momencie oczy, a ty klęczałaś obok i gładziłaś mnie po twarzy. — Po tych słowach na balkonie poruszał się jedynie dym z jego cygara. Nawet kojoty przestały szczekać i w tej nagłej ciszy ich spojrzenia się spotkały. — Powiedziałaś do mnie „najdroższy.”

Czuła, że jej serce wybija coraz szybszy rytm, a policzki zalewa rumieniec, nie była jednak w stanie odwrócić wzroku. Czy on zdaje sobie sprawę, co się dzieje w jej wnętrzu, kiedy na niego patrzy? Czy wie, jak wygląda siedząc na tej balustradzie, oparty niedbale na kolanie, z bosymi stopami i nagim torsiem jaśniejącym w świetle gwiazd, w czarnych spodniach, które dodatkowo podkreślają jego męską sylwetkę? Chyba nie, bo gdyby wiedział, czym prędzej co sił w nogach uciekłby do środka, do Jube.

— Bardzo się wtedy bałam, Scott.

— Wiesz, wydawało mi się to dziwne. W końcu ty działasz w organizacji antyalkoholowej, a ja jestem właścicielem baru.

— Nie upraszczaj. Jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko właścicielem baru, a ja dla ciebie, tak przynajmniej sędzę, kimś więcej niż działaczką organizacji antyalkoholowej. Wydaje mi się, że jakimś dziwnym zrządzeniem losu staliśmy się przyjaciółmi.

— To prawda — odparł cicho. — Ale dlaczego w takim razie chcesz jechać do gubernatora i rozmawiać o prohibicji? Poczula się tak, jakby wylał jej na głowę wiadro zimnej wody. Wiedziała, że prędzej czy później nadejdzie ta chwila, kiedy będą musieli poprowadzić dalej tę rozmowę, tej nocy wszakże nie była na to przygotowana.

— Posłuchaj, Scott, chyba nie sądzisz, że chcę zamknięcia Złotej Klatki, prawda? Straciłabym wówczas ciebie, Jubilee, Pearl, Ruby, Marcusa... was wszystkich. A przecież wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? To naprawdę nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że

jeśli prohibicja zostanie w końcu wprowadzona, trzeba będzie zamknąć wszystkie bary, w tym także Złotą Klatkę. Zrozum mnie.

Zerwał się z miejsca i zaczął nerwowo krążyć po podeście.

— Nie rozumiem! Do diabła! O to właśnie chodzi, że nie rozumiem! — Zatrzymał się tuż przed jej krzesłem, gestykulując cygarem. — Dlaczego właśnie ty? Dlaczego nie zostawisz tej walki kobietom, które rzeczywiście mają powód? Którym alkohol naprawdę zniszczył życie?

Nie była pewna, czy zdoła to z siebie wydusić. W końcu nosiła to w sobie przez tyle lat i nawet kiedy Annie Macintosh wypłakała swoją smutną historię, ona nie umiała się zmusić, by uczynić to samo. Zbyt długo tłamsiła to w sobie, zbyt długo strzegła tej ponurej tajemnicy, żeby tak nagle ją z siebie wyrzucić.

Czuła, że pod koszulą nocną i szlafrokiem jej ciało stało się nagle lepkie od potu, serce zaś zaczęło walić tak mocno, że prawie je słyszała.

— Usiądź, Scott. Proszę. Trudno mi z tobą rozmawiać, kiedy zachowujesz się tak, jakbyś był zwolennikiem powrotu pręgierzy dla krnąbrnych kobiet.

Zatrzymał się w pół kroku, posłał jej groźne spojrzenie, po czym plecami do niej opadł na górny stopień.

— Wiesz co, Scott? Czasami zachowujesz się gorzej niż Willy. — Prychnął, lecz nic nie powiedział. — Mogę usiąść obok ciebie czy ryzykuję, że odgryziesz mi głowę?

— Siadaj! warknął.

— Jesteś pewien?

Obejrzał się przez ramię i posłał jej kolejne wściekłe spojrzenie.

— Powiedziałem: usiądź — powtórzył, siłąc się na spokój. — Czego ci jeszcze trzeba? Zaproszenia na czerpanym papierze? Takiego, jakie rozsyła gubernator?

Wstała z krzesła, zaciągnęła pasek szlafroka i przez chwilę poprawiała kołnierz. Gandy siedział zgarbiony, nawet nie starając się ukryć złości tak wielkiej, że Agata miała wątpliwości, czy rzeczywiście powinna się do niego zbliżyć.

Przeszła po deskach balkonu i przycupnęła na górnym stopniu. Spojrzawszy na Scotta kątem oka, zauważyła jego pełną wrogości pozę.

Nogi miał szeroko rozstawione, ramiona skulone, twarz odwróconą w drugą stronę, w zębach cygaro. Wzięła niepewny oddech i zaczęła:

— Kiedy byłam dzieckiem, mieszkaliśmy w Kolorado. Nigdzie nie zagrzałiśmy długo miejsca, bo ojciec cierpiał na gorączkę złota. Co rusz kupował nową działkę i pracował na niej tak długo, aż okazywała się bezwartościowa. Wtedy zbieraliśmy manatki i przeprowadzaliśmy się do innego miasta, innego domu, na następną bezwartościową działkę. Zawsze był święcie przekonany, że w końcu znajdzie złotodajną żyłę. Zaczynając pracę na nowej działce, był szczęśliwy, zadowolony... i trzeźwy. Potem jednak, by zagłuszyć rozczarowanie, pił coraz więcej. Na trzeźwo w gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem, tyle tylko, że nie potrafił wyrzec się złudzeń. Ale kiedy się upił... — Zadrżała i skuliła się.

Gandy wyprostował się i zerknął na nią, urzeczony jej miodopłynnym głosem i szczerym spojrzeniem.

— Był jednym z czterech braci — kontynuowała — którzy w spadku po ojcu dostali równe części farmy w Missouri. On jednak postanowił odsprzedać swoją część braciom i wyruszyć na zachód. Twierdził, że nie chce być zwykłym rolnikiem, przez całe pieskie życie grzebiącym w ziemi. Tak właśnie to ujął. — Roześmiała się gorzko. — W rezultacie zamienił jedno grzebanie w ziemi na inne. Ale jego zdaniem poszukiwanie złota było zajęciem znacznie szlachetniejszym niż kopanie rzepy. Uważał, że to drugie jest odpowiednie dla mamy i jej właśnie to zostawił. Mama całymi dniami ciężko harowała. Ilekroć zmienialiśmy miejsce zamieszkania, dokładała starań, żebyśmy w nowym domu mogli się czuć jak u siebie. Początkowo nie było to trudne, bo mieliśmy jeszcze pieniądze ze sprzedaży ziemi. Ale kiedy i one się skończyły, nasze kolejne domy były coraz starsze... zimniejsze. A ojciec stawał się coraz gorszy.

Scott patrzył, jak z roztargnieniem bawi się połami szlafroka i co chwila przygląda je na kolanach. Uniosła głowę i utkwiała wzrok w niewidoczny horyzont.

— Zaczął obwiniać mamę za wszystkie niepowodzenia. — Złączyła dłonie i oplotła ciasno wokół kolan. — Kiedy miałam dziewięć lat, przeprowadziliśmy się do Sedalii, do ciasnej chałupy z jedną jedyną sypialnią na piętrze. Spali

w niej rodzice, a ja musiałam się zadowolić kozetką w kuchni.

— Na jej ustach pojawił się czarujący smutny uśmiech.

— U stóp mojego łóżka, przy samym oknie, stał bujany fotel mamy, a nad nim wisiał powojnik... — Jej głos zadrżał i odwróciła twarz w drugą stronę. Przez chwilę skrobała nerwowo paznokciem drewnianą poręcz. — Uwielbiałam ten powojnik.

Gandy wyczuł, że chętnie opowiedziałaby mu o swojej matce coś więcej, na razie wszakże skupiła się na ojcu.

— Któregoś wieczora wrócił do domu pijany, wściekły i zawiedziony. Chodziło o to, że kiedy się poprzednio przeprowadzaliśmy, mógł wybierać między dwoma miastami i jak zwykle wybrał źle. Jego znajomy, Dennis, który kupił działkę niedaleko Oro, trafił na żyłę złota, podczas gdy nasza działka znowu okazała się bezwartościowa.

Tego wieczora był okropnie pijany. Klął, rzucał czym popadło. Mama też przestała nad sobą panować i zaczęła go oskarżać, że przez niego musimy mieszkać w domu zbyt parszywym nawet dla szczurów i nietoperzy, w którym nie ma sypialni dla dziecka. Zagroziła, że od niego odejdzie, co zresztą robiła dość często, tylko że tym razem poszła na górę i naprawdę zaczęła się pakować. Leżałam w łóżku i wsłuchiwałam się w odgłosy szamotaniny. Tupanie w podłogę, jego przekleństwa. A potem rozległ się stłumiony krzyk i wiedzioną dziecięcym instynktem pobiegłam ratować mamę. Teraz wiem, że to nie miało sensu, lecz przecież dziewięcioletnie dziecko nie myśli, tylko po prostu reaguje. Stali na schodach i szarpali się. Właściwie niewiele pamiętam oprócz tego, że chwyciłam ojca za ramię, nie chcąc dopuścić, żeby uderzył mamę, a kiedy mnie odepchnął, spadłam ze schodów.

Serce Gandy'ego zaczęło walić tak, jakby spadał razem z nią. „O Boże, tylko nie to! — pomyślał. Nie z winy własnego ojca.” Cygaro przestało mu nagle smakować, wyjął je więc z ust i rzucił na ziemię. Chciał jej powiedzieć, żeby przestała, żeby nie dręczyła się wspomnieniami, lecz ona mówiła dalej tym samym spokojnym tonem.

— Coś... — Ścisnęła kolana i przełknęła ślinę. — ...coś stało się z moim biodrem. Od tego czasu...

Zdołała zmusić się do wszystkiego, ale to jedno najbardziej bolesne słowo nie chciało jej przejść przez gardło.

Patrzac na

jej pozornie spokojny profil, Gandy znowu poczuł do siebie wstręt, że wówczas wrzucił ją w błoto. I pogardę dla człowieka, który uczynił z niej inwalidkę. I okropną bezsilność, ponieważ nie mógł zrobić nic, żeby to odwrócić. Mógł jednak przynajmniej wymówić za nią to słowo.

— Utykasz? — zapytał cicho.

Skinęła głową, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy.

— Utykam. — Patrzyła w ciemność. — Cała ironia tej sytuacji polega na tym, że w gruncie rzeczy osiągnęłam to, co zamierzałam. Doprowadziłam do tego, że przestali się kłócić i bić. Na zawsze. Mama opuściła go i po pewnym czasie sprowadziłyśmy się tutaj, a mama otworzyła ten zakład. Nigdy więcej go nie widziałam, choć dotarła do nas wiadomość o jego śmierci. Miałam kilkanaście lat. Do dziś pamiętam dzień, kiedy mama mi o tym powiedziała.

Spadł z muła i stoczył się w przepaść, a jego ciało znaleziono dopiero po kilku tygodniach.

W myślach Scotta pojawiły się obrazy z jego własnego dzieciństwa, pełnego miłości i poczucia bezpieczeństwa.

Przedtem nigdy się nie zastanawiał, jak by to było, gdyby przyszło mu dorastać w innych warunkach. Aż do czasu, kiedy sprowadził się do Proffitt i poznał Willy'ego. No i Agatę.

— Powiedziałam mamie, że nic mnie nie obchodzi, że ojciec nie żyje. — Mówiła spokojnie, lecz przez cały czas nerwowo się kiwała. — Ani trochę. — Zauważył, że po raz pierwszy od początku swej opowieści Agata walczy ze łzami.

— Tak samo jak Willy tamtej nocy, kiedy zginął jego ojciec. On też wykrzykiwał to raz po razie, a skończył bijąc pięściami w materac i łkając w moich ramionach.

— Och, Gussie... Gussie... chodź tutaj. Uspokój się.

— Przysunął się i wziął ją w ramiona, zmuszając, żeby przestała się kiwać. Oparta o niego, zaczęła płakać. Chociaż nie próbowała się bronić, nie odwzajemniła jego uścisku. Ta jej obojętność raniła mu serce niczym zardzewiałe ostrze. — Gussie, tak mi przykro — wyszeptał.

— Nie chcę, żebyś się nade mną litował. Nie chcę i nigdy nie chciałam.

Przytulił mocniej jej twarz i poczuł łzy spływające mu po nagim obojczyku i torsie.

— Nie to miałem na myśli.

— Owszem, to. Dlatego dotąd ci nie powiedziałam. Ani nikomu innemu. Nawet kobietom ze stowarzyszenia. Ale nie mogłam pozwolić, żebyś miał mi za złe coś, co po prostu muszę zrobić. Proszę cię, Scott, nie gniewaj się.

Była drobna, wąska w ramionach i niemal idealnie wpasowała mu się pod brodę. Gładził jej włosy, odgarniając je z twarzy. Często się zastanawiał, jakie są w dotyku, teraz wszakże był zbyt pochłonięty troską o nią, żeby zwrócić na to uwagę.

— Tak naprawdę wcale się na ciebie nie gniewam. Już raczej na samego siebie, dlatego że przynajmniej do pewnego stopnia się z tobą zgadzam. Ilekroć spojrzę na Willy'ego, zdaję sobie sprawę, że racja jest po twojej stronie. I wtedy muszę sobie tłumaczyć, że na świecie są tysiące takich jak Willy, tylko że im nie ma kto pomóc, nie ma kto wyciągnąć ich z bagna, w którym znaleźli się nie z własnej winy.

Zamknęła oczy i wtuliła się w niego, chłonąc pocieszenie, które jej dawał. Jego naga skóra stała się śliska od jej łez. Był twardy, ciepły i pachniał cygarami. A kiedy położył dłoń na jej głowie i jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie, nie opierała się, tylko przycisnęła miękki policzek do szorstkiego owłosionego torsu.

Był symbolem bezpieczeństwa, siły i opiekuńczości, których ona tak mało w życiu zaznała. Mocno objęła jego ciepłe boki, dłonie układając na nagich plecach.

I nagle poczuła się lepiej.

Jego palce błądziły w jej włosach. Jego serce biło równo i pewnie w pobliżu jej skroni. Noc była ich osłoną. Agata pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

Jednakże przyzwoitość zwyciężyła. Nagle przypomniała sobie, że on ma nagi tors, ona zaś ubrana jest tylko w koszulę nocną i szlafrok. Wyprostowała się i spojrzała na niego.

— A więc rozumiesz, dlaczego muszę jechać do Topeki.

— Tak.

Z zażenowaniem patrzyła mu w oczy, po tym jak płakała w jego ramionach.

— Nienawidzę z tobą walczyć — stwierdziła. Odpowiedzią był lekki sympatyczny uśmiech.

— A ja z tobą — odparł w końcu. Roześmiała się nieśmiało i otarła policzki.

— Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się wyplakiwać na męskim torsie. I z całą pewnością nie zamierzam dopuścić, żeby mi to weszło w nawyk.

— Przecież się nie skarzę.

— Nie, ale przyznasz chyba, że to niezbyt przyzwoite. Ty półnagi, ja w koszuli i szlafroku. Popatrz tylko, cały jesteś mokry. — Chwyliła brzeg rękawa i zaczęła wycierać jego tors.

Złapał ją za nadgarstek.

— Gussie, daj spokój i posłuchaj.

Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, lecz w ciemności prawie nie było ich widać. Krew zaczęła jej mocniej pulsować. Wyczuwała, że jest tak samo jak ona speszony ich krótkimi kontaktami, i ta świadomość nadała całemu zdarzeniu odcień zmysłowości. Ujął ją za obie ręce i trzymał lekko, najpierw spuściwszy wzrok, później wpatrując się w jej niewyraźne rysy.

— Dziękuję, że mi powiedziałaś. To dla mnie naprawdę bardzo ważne, że jestem pierwszą osobą, której zaufałaś.

— Przymknęła powieki. Opowiedziała mu całą tę historię ani razu się zaczerwieniwszy, a teraz, kiedy nie było już czego się wstydzić, oblał ją rumieniec. Gandy delikatnie masował jej palce kciukami. — A to, co powiedziałem-przed chwilą, to prawda. Mówiąc, że mi przykro, nie miałem na myśli, że się nad tobą lituję. Wcale nie. Skoro ty sama się nad sobą nie użalasz, nie robią tego również inni. To jedna z wielu rzeczy, które w tobie podziwiam. Już dawno stałaś się dla mnie przede wszystkim Agatą, odważną sąsiadką, cierniem w moim boku, wyrzutem sumienia, a nie jakąś tam kulawą kobietą.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, wciąż jednak spoglądała na ich złączone dłonie.

— Nie chcę być cierniem w niczyim boku, a już na pewno nie w twoim! — Uwolniła dłonie. — A więc co zamierzasz ze mną zrobić?

Oparł się o poręcz i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

— Jakie są szanse, że ta poprawka wejdzie w życie?

— zapytał w końcu.

Po raz kolejny poczuła ulgę, że choć należą do przeciwnych frakcji, potrafią rozmawiać bez urazy.

— W ostatnim numerze „The Temperance Banner” dają jej jakieś czterdzieści procent szans — odparła zgodnie z prawdą. — Ale prognozy są z tygodnia na tydzień lepsze. — Gandy wziął głęboki oddech i przeczesał dłonią włosy, po czym utkwiał wzrok w punkt znajdujący się mniej więcej na wysokości dachu wygódki. — Co byś zrobił, gdyby została przyjęta?

— Co bym zrobił? — Podparł się na łokciach i zwrócił twarz w jej stronę. — Spakowałbym manatki i wyjechał z Kansas. A co by mi innego pozostało?

Na myśl o tym poczuła nagle ukłucie strachu.

— Dokąd byś pojechał?

— Nie wiem.

W oddali zawył kojot. Ten pojedynczy odgłos wydawał się najwłaściwszym akompaniamentem dla ich posępnych rozważań.

— Może do Waverley? Gandy ponownie się zjeżył.

— Waverley? Skąd wiesz o Waverley?

— Proszę cię, Scott, przestań się denerwować. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Czy nie możemy o tym porozmawiać?

Widziała, że walczy ze sobą.

— Nie wiem, od czego zacząć — przyznał w końcu.

— Pomogę ci — zaproponowała łagodnie. — Mieszkałeś tam przed wojną z żoną i córką.

Spojrzał na nią niemal z wrogością, a ona wyczuła jego zaskoczenie, że tyle wie. Milczał tak długo, że zaczęła przypuszczać, iż nie będzie chciał na ten temat rozmawiać. Po pewnym czasie zmienił pozycję i wbił kciuki w podbródek. Agata czekała, wsłuchując się w wycie kojotów; była pewna, że cokolwiek Gandy w sobie dusi, musi być dla niego równie bolesne, jak dla niej jej własna historia. Wreszcie westchnął głęboko, wcisnął dłonie pomiędzy kolana i zaczął:

— Miała na imię Delia. I była... — Przerwał, spoglądając w niebo. — ...wszystkim, czego pragnąłem — dokończył ze wzruszeniem.

Agata w milczeniu czekała. Po pewnym czasie Gandy wznowił swą opowieść:

— Jej ojciec skupował bawełnę i regularnie odwiedzał naszą plantację. Często zabierał ze sobą Delię i jej mamę.

Znaliśmy się więc praktycznie od zawsze. Czasami zostawali na noc. Wtedy dopiero mieliśmy zabawę. Ganialiśmy po całej posiadłości, i to jak. Poznaliśmy każdy zakątek nad rzeką, oczyszczalnię bawełny, kurniki, bawiliśmy się z murzyńskimi dziećmi, zbieraliśmy dzikie winogrona, pchaliśmy ręce w roztopiony wosk do oblewania sera, podkradaliśmy z kuchni ciastka z melasą i biegaliśmy jak dwa małe dzikusy. — Pod wpływem wspomnień na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech. — Ale jej ojciec położył temu kres, mniej więcej w czasie kiedy ona zaczęła upinać włosy, a ja przestałem mówić dyszkantem. Chyba już wtedy wiedziałem, że wszystko, czego pragnąłem, to poślubić Delię. Nasi rodzice też o tym wiedzieli i nie mieli nic przeciwko temu.

Ślub wzięliśmy w Waverley — Delia zawsze uwielbiała Waverley — w specjalnej ślubnej niszy, którą mama kazała zrobić w największym salonie. Planowała, że wszystkie jej dzieci zostaną tam ochrzczone i wezmą ślub, zanim ona sama wyruszy stamtąd w ostatnią drogę...

Przerwał, a Agata spytała:

— Ile dzieci zostało tam ochrzczonech?

— Tylko troje. Sami chłopcy. Ale dwóch z nas nie dożyło ślubu.

— Miałeś dwóch braci?

— Rafaela i Nasha. Obaj polegli w tej samej bitwie i zamiast w Waverley, zostali pochowani w okolicach Vicksburga... — Po chwili zadumy skierował swe myśli na weselsze tory.

— Tak więc, po ślubie zamieszkaliśmy z Delią w Waverley. Ach, to dopiero była posiadłość. Szkoda, że jej nie widziałaś. — Oparł się i spojrzał w gwiazdy.

— Widziałam obraz w twoim pokoju. Jest piękny...

— Waverley było więcej niż piękne. Było... — Przerwał, szukając odpowiedniego słowa. — ...było majestatyczne.

— Pochylił się do przodu. — W najlepszych czasach zamieszkiwało je tysiąc dwieście osób i plantacja była w zasadzie niezależna od świata. Mieliśmy własną wytwórnię lodu, oczyszczalnię bawełny, garbarnię, tartak, młyn, cegielnię, sady, winnice, stajnie, ogrody, psiarnie, magazyny, przystań, a nawet prom.

— Naprawdę? — spytała Agata z niedowierzaniem.

— Tak. No i ten dom... wszyscy nazywali go pałacem...

— Ponownie dostrzegła na jego ustach cień uśmiechu. — Obraz nie ukazuje nawet połowy jego piękna. Zawsze kojarzył mi się z czuwającym orłem z wyprostowaną głową i skrzydłami rozłożonymi nad młodymi.

— Opowiedz mi — zachęcała Agata. — Opowiedz mi o wszystkim.

— Przecież widziałaś obraz.

— Nie przyjrzałam mu się.

— Kiedy następnym razem mnie odwiedzisz, uważnie mu się przyjrzyj. Waverley jest niepowtarzalne. Drugiego takiego nie znajdziesz na całym Południu. Skrzydła orła to w rzeczywistości skrzydła budynku, odchodzące od centralnej rotundy czy też, jak lubiła nazywać ją mama, kopuły. A głowa orła, czyli właśnie rotunda, to masywne wejście w kształcie ośmiokąta z bliźniaczymi schodami prowadzącymi do obserwatorium, mieszczącego się na wysokości sześćdziesięciu pięciu stóp, którego okna wychodzą na wszystkie osiem stron. Do dziś pamiętam, jak co rano ojciec spacerował od okna do okna, obserwując swoją posiadłość. Wiesz, Gussie, pola bawełny rozciągały się wokół domu aż po horyzont. Mieliśmy trzy tysiące akrów ziemi obsianej bawełną, warzywami i kukurydzą oraz piętnaście akrów ogrodów.

Wyobraziła sobie Waverley, dumne, wyniosłe, górujące nad zielonymi polami.

— W domu było zawsze chłodno — kontynuował Scott.

— W upalne letnie poranki Leatrice, stara apodyktyczna gospodyni, wchodziła na górę, otwierała wszystkie okna i od razu robił się taki przeciąg, że mała głowy nie urwało. A jeśli

1 to nie pomogło, na końcu podjazdu znajdował się basen z marmuru i cegieł, z dachem, który chronił przed promieniami słońca.

— Ten, o którym opowiadałeś Willy'emu?

— Jedyne w całym północnym Missisipi. Delia go uwielbiała. Często chodziliśmy tam wieczorami, żeby się ochłodzić... — Nagle przerwał i odchrząknął, po czym gwałtownie się wyprostował.

— Nigdy w życiu nie pływałam. Jakie to uczucie?

— Naprawdę? Naprawdę nigdy nie pływałaś?

— Ani nie tańczyłam. Konno też nie jeździłam.

— A chciałybyś? Z zakłopotaniem umknęła wzrokiem, lecz nie potrafiła skłamać.

— Najbardziej ze wszystkiego chciałabym zatańczyć. Chociaż jeden raz. — Ponownie na niego spojrzała. — Ale pływanie też brzmi zachęcająco — dodała weselszym tonem.

— Będę cię musiał kiedyś zabrać. Na pewno ci się spodoba. Człowiek czuje się wtedy taki wolny.

— Chętnie — odparła cicho. — Ale przerwałam ci — dodała nieco głośniej. — Opowiadałeś mi o Waverley.

— Waverley... och, tak—wznowił swą opowieść. — W zimie, kiedy we wszystkich kominkach palił się ogień, nie było chyba na świecie cieplejszego miejsca. Mieliśmy też oświetlenie gazowe i własną gazownię, która poprzez odpowiednią instalację pompowała gaz do domu.

— Własną gazownię?

— Tak.

Nigdy przedtem nie słyszała o czymś takim i trudno jej było wyobrazić sobie światło zapalające się za jednym dotknięciem palca.

— Och, Scott, to brzmi po prostu cudownie.

— Pośrodku holu, pod kopułą, wisi ogromny żyrandol.

— Spojrzał w gwiazdy, jakby spodziewał się go tam ujrzeć.

— A balustrady na schodach i na balkonach mają w sumie ponad siedemset słupków z drewna orzechowego. No i okna z rubinowoczerwonego szkła weneckiego, znajdujące się po obu stronach głównego wejścia. Do tego gipsowe formy na suficie i brązowe gzymsy na wszystkich oknach i lustrach w sali balowej.

— To tam jest i sala balowa?

— Na parterze rotundy. Jej ściany wyłożone są sosnową boazerią, a po obu stronach znajdują się schody. Tam właśnie odbyło się nasze wesele. Pamiętam też wiele innych balów.

— Opowiedz mi o Delii.

Zastanawiał się przez kilka sekund, po czym zaczął:

— Delia była taka jak Jube. Zawsze wesoła, uśmiechnięta, zadowolona z tego, co ma. Nigdy właściwie nie rozumiałem, co takiego w mojej osobie dawało jej tyle szczęścia, cieszyłem się jednak, że oboje czujemy to samo. Miała jasne włosy, piwne oczy i uśmiech, który potrafił rozweselić największego ponu-

raka. Justine była do niej bardzo podobna, po mnie odziedziczyła jedynie ciemne włosy. — Przełknął ślinę i odchrząknął. — Justine została ochrzczona w ślubnej alkowie, jak zaplanowała to sobie mama. Było to mniej więcej wtedy, kiedy zaprzysiężono Lincolna. Po tym jak dołączyłem do regimentu Columbus i wyruszyłem na północ, widziałem je tylko raz, kiedy przyjechałem na pogrzeb ojca. A zanim wróciłem na dobre, one już nie żyły.

Teraz nadeszła pora, żeby to Agata uspokajała Gandy'ego. Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Ruby wspominała mi o nich. Nie wiesz, jak zginęli?

— Nie. Prawdopodobnie z rąk rabusiów. Na południu panowała wtedy straszliwa bieda, a ludzie byli zdesperowani. Żołnierze wracali do domów i zastawali nędzę tam, gdzie dawniej było bogactwo. Kto wie? Niewykluczone, że mordercą był któryś z naszych żołnierzy. Podobno stan, w jakim znaleziono wóz Delii, wskazywał na napad. — Roześmiał się gorzko. — Ktokolwiek to był, niespecjalnie się obłowił. Wtedy Delia wcale nie była bogatsza niż inni. — Z trudem przełknął ślinę. — A dlaczego zabili także dziecko? Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

Agata mogła jedynie gładzić go po ramieniu, podczas gdy on wyrzucał z siebie długo powstrzymywany potok goryczy.

— Czy wiesz, jakie to uczucie wrócić do domu i zobaczyć, że wszystko się zmieniło? Że nie żyją ci, których kochałaś? Że dom jest pusty, chociaż w środku wygląda tak samo jak dawniej, jakby czekał, aż zamieszkają w nim duchy? Wszystko było nie tknięte, takie samo jak przed wojną — oczyszczalnia, garbarnia, gazownia, wszystko. Tylko niewolnicy gdzieś się rozproszyli. Niektórzy poginęli na wojnie, może w trakcie tej samej bitwy co moi bracia. Inni odeszli, nie wiadomo dokąd. Została tylko niewielka garstka. Uprawiali jakieś poletka i mieszkali tam, gdzie dawniej.

Agata starała się znaleźć jakieś słowa pocieszenia, jednakże historia Gandy'ego była zbyt smutna, żeby słowa mogły pomóc, w milczeniu więc gładziła go po ramieniu.

— Spędziłem tam trzy noce, dłużej nie wytrzymałem. Wiesz co, Gussie? — Wolno pokręcił głową. — Nie mogłem spać w łóżku, które dzieliłem z Delią. Po prostu nie potrafiłem się do tego zmusić. Spałem więc w pokoju Justine i w nocy

wydawało mi się, że słyszę jej wołanie o pomoc. Ale jak to możliwe? Przecież od dawna nie żyła?

Ze współczucia dla Scotta bolało ją serce i znowu zaczęła szukać odpowiednich słów pocieszenia.

— Być może słyszałeś swój własny głos, Scott. Pokręcił głową, jakby próbował otrząsnąć się z bolesnych wspomnień.

— Nie mogłem tam zostać. Po prostu nie mogłem.

— I od tamtej pory nigdy tam nie byłeś? Ponownie pokręcił głową.

— A nie sądzisz, że powinieneś?

Patrzył przed siebie i upłynęła dłuższa chwila, zanim odpowiedział:

— Sam nie wiem.

— Wtedy rany były zbyt świeże. Teraz być może byłoby ci łatwiej.

— Nie sądzę.

— Może rzeczywiście nie. Ale wracając, mógłbyś uspokoić nawiedzające cię duchy. A Waverley jest przecież twoim dziedzictwem.

Roześmiał się szorstko.

— Też mi dziedzictwo. Z wejściem zarośniętym winoroślą i polami, które od lat leżą odłogiem. Chyba nie mam ochoty oglądać Waverley w takim stanie.

— Czy nie ma tam już nikogo, kogo znasz?

— Ruby wspominała ostatnio, że została stara Leatrice.

— Ale dom... Mówiłeś, że nic się w nim nie zmieniło. Winorośl można przyciąć, a pola obsiać. Czy nie ma żadnego sposobu, żeby przywrócić Waverley dawną świetność?

— Do tego trzeba by około dwóch tysięcy ludzi. Dwa tysiące, pomyślała ponuro. Teraz już rozumiała. Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, zadumani nad

tym, co zdarzyło się tej nocy. Powoli nadchodził świt, kojoty zakończyły swój nocny koncert. W zagrodach na wschodnich peryferiach miasteczka rozlegały się pierwsze niespokojne odgłosy. Powoli blakła Wielka

Niedźwiedzica.

— Czy to nie zabawne? — przerwała milczenie Agata. — Kiedy cię po raz pierwszy ujrzałam, wzięłam cię za kogoś, kto nie ma problemów, sumienia ani zasad. Zjawiłeś się w Proffitt w ubraniach szytych na miarę, z wystarczającą sumą

pieniędzy, żeby kupić ten budynek i otworzyć lokal, dzięki któremu miałeś się stać jeszcze bogatszy. Patrzyłam na twoje idealne zdrowe ciało i przystojną twarz i myślałam, że masz u stóp cały świat. I chyba cię za to nienawidziłam. Jej słowa wyrwały go z zamyślenia. Przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Siedziała na stopniu, wpatrzona w coraz jaśniejsze niebo, z rękoma złożonymi na zdrowym kolanie i chorą nogą wyciągniętą do przodu.

Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że wydaje się jej przystojny albo pod jakimkolwiek względem idealny.

Słyszając to, poczuł się odrobinę lżej.

— A teraz? — spytał.

Wzruszyła ramionami, wyprostowała się i dotknęła podbródkiem ramienia. Był to gest, który niezliczoną ilość razy robiła Delia. Tyle tylko że w wykonaniu Agaty był on pełen zadumy, a nie zalotności.

— Teraz? — powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy.

— Teraz już wiem, że byłam w błędzie. — Nagle spuściła wzrok, pozbawiając tę chwilę atmosfery intymności. — Moim zdaniem naprawdę powinieneś się zastanowić nad powrotem, Scott. Niezależnie od tego, czy poprawka zostanie wprowadzona, czy też nie. Jesteś to sobie winien. Waverley to twój dom. Nikt go nie kocha tak jak ty i wydaje mi się, że ten dom czeka na ciebie. Tak wiele posiadłości spłonęło podczas wojny, że to teraz prawdziwy skarb narodowy. Sądzę, że zasługuje, żeby wrócił doń prawowity właściciel. — Westchnęła i zaczęła zabierać się do wstawania. — No cóż!

— Przeciągnęła się i oparła dłonie o podłogę. — Przesiedziałam na tym stopniu tyle czasu, że nie jestem pewna, czy przypadkiem nie zeszywniało mi też zdrowe biodro. Chyba najwyższa pora, żebyśmy poszli do domu i spróbowali trochę się zdrzemnąć. Jak tak dalej pójdzie, słońce zastanie nas siedzących na tych schodkach niczym dwa koty, co czekają na poranną porcję śmietany.

Wstając, zachwiała się, Gandy chwycił ją więc za ramię i pewnie przytrzymał. Kiedy szła ku swoim drzwiom, utykała bardziej niż zwykle.

W progu raz jeszcze się odwróciła.

— Scott?

— Tak?

— Ja też ci dziękuję, że mi powiedziałaś. Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe.

— Dla ciebie też nie, prawda?

— Tak.

Skrzyżował ramiona, po czym wolno podszedł do Agaty i stanął niecałe pół metra od niej. Nawet w półmroku zauważyła jego zdenerwowanie.

— Jak sądzisz, Gussie, co to oznacza?

Zdała sobie sprawę, że Scottowi coraz częściej zdarza się mówić takie rzeczy; były to głównie pytania, z których jasno wynikało, że jego stosunek do niej uległ diametralnej zmianie. Jednakże wyczuwała też pewne zażenowanie, ilekroć ta kwestia wychodziła na światło dzienne, i rozumiała beznadziejność całej tej sytuacji. Za bardzo się różnili i nawet jeśli chwilami Scottowi wydawało się, że chciałby jej dać coś więcej niż przyjaźń, co z tego mogło wyniknąć? On prowadził bar, ona nosiła na ramieniu białą opaskę organizacji abstynenckiej. On w soboty uczył Willy'ego grać w pokera, ona zaś prowadziła go co niedzielę do kościoła. On sypiał z kobietą, z którą nie miał ślubu, jej poczucie przyzwoitości kazało potępiać taki związek. On był fizycznie tak zdrowy, jak to tylko możliwe, jej zdrowie pozostawiało wiele do życzenia. On wreszcie był przystojny i mógł bez trudu zawładnąć sercem każdej kobiety, na którą raczył tylko spojrzeć, na nią tymczasem nikt nawet nie chciał spoglądać.

Najważniejsze wszakże było to, że w przypadku ratyfikacji poprawki prohibicyjnej Scott Gandy planował niezwłocznie opuścić Kansas.

Czemu by to miało służyć, gdyby zdecydowała się przyjąć pełne wahania zaproszenie, które dało się słyszeć w jego głosie? Miała już chore ciało, nie chciała mieć na dodatek chorego serca.

— Dobranoc, Scott — powiedziała cicho, chowając się w mroku mieszkania.

— Gussie, zaczekaj.

— Idź już spać, Scott. Jube pewnie się zastanawia, co się z tobą stało.

Cicho zamknęła drzwi, a on jeszcze przez chwilę stał z założonymi rękoma i bezmyślnie się w nie wpatrywał. Do diabła! Co właściwie próbuje udowodnić? Przecież

w jego łóżku śpi Jube, on tymczasem się zastanawia, czy pocałować Agatę.

Odwrócił się na pięcie.

„Uważaj, Gandy, dla niej pocałunek to nie byle drobiazg, zanim się więc zdecydujesz, musisz być pewien, że naprawdę o to ci chodzi, że naprawdę tego chcesz.”

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nawet jeśli mieszkańców Proffitt zdziwił fakt, że właściciel saloonu odprowadza na stację modystkę, wybierając się na abstynencki podwieczorek u gubernatora, nikt nic nie powiedział. W końcu był z nimi także niedawno osierocony Willy Collinson, a wszyscy dobrze wiedzieli, że to właśnie tych dwoje wzięło chłopca pod swoje skrzydła.

Willy miał na sobie przedmiot swej największej dumy: nowiutkie granatowe levi straussy z pomarańczowymi szwami i miedzianymi nitami.

— Takie same jak noszą kowboje! — stwierdził z dumą, kiedy wbiegł do zakładu Agaty, żeby się nimi pochwalić. — I nie trzeba szelek!

— Spodnie bez szelek! No, no! — Obróciła go dookoła, oglądając jego najnowszy nabytek z należnym podziwem.

— No, bez! Bo mają obcisłe nogawy.

— Co mają? — roześmiały się Agata i Violet.

— Obcisłe nogawy. Tak mówi Scotty i kowboje. Obcisłe nogawy.

Stał więc teraz na stacji, wystrojony w granatowe dżinsy o obcisłych nogawach, zdrowy i radosny. Wprawdzie jego nowe brązowe buty były już nieco pokierszowane, za to paznokcie miał czyste, wyraźnie przybrał na wadze i w końcu przestał się drapać.

Również Agata wyglądała wspaniale. Specjalnie na tę okazję uszyła sobie nową suknię. Była to cudowna kreacja z mandarynkowego jedwabiu. Żakiet z kołnierzem i ob-

szyciami z brązowego aksamitu przypominał nieco pelerynę. Ponieważ tego lata żurnal Godeya zarządził, że żadna suknia nie powinna być uszyta z jednej tylko tkaniny, Agata wybrała na halkę taftę w kolorze melona, a spódnicę ze spiczastym przodem i kaskadą draperii — nieco sztywniejszy jedwab. Na szyi falował śnieżnobiały żabot z jedwabnego trykotu, całości dopełniał brązowo-żółty kapelusz, którego rondo tworzyło nad czołem spiczasty łuk. Patrząc, jak żegna się z Willym, Scott Gandy podziwiał nie tylko krój jej sukni, lecz także staranny dobór kolorów, podkreślający rudawy odcień splecionych z tyłu włosów. Zachwycił się jej jasnozielonymi oczyma, ciemnymi rzęsami, morelową cerą i kształtną zuchwą, która spodobała mu się już przy pierwszym spotkaniu. Do tego ładne usta, lekko uśmiechnięte, mimo że — tak przynajmniej przypuszczał — już się wcale nie paliła do tego wyjazdu. — Jak długo cię nie będzie, Gussie? — spytał Willy, trzymając jej dłonie i wpatrując się w nią z miną aniołka. Scott uczesał go tego ranka szczególnie starannie, pomagając w tym sobie, co nigdy przedtem mu się nie zdarzyło, brylantyną. Włosy malca lśniły więc w słońcu.

— Dziś i jutro. Tylko nie zapomnij pomóc Violet pozamiatać.

— Dobrze.

Gandy obserwował, jak jej dłonie w rękawiczkach poprawiają kołnierzyk koszuli Willy'ego, a potem strzepują mu z policzka jakiś niewidoczny pyłek.

— I pamiętaj, żeby przed snem starannie umyć zęby, paznokcie i uszy. Obiecujesz?

Willy skrzywił się z obrzydzeniem.

— Noo... obiecuję.

— Spytałem Scotta. — Położyła mu palec na czubku nosa, żeby ostrzeżenie nie brzmiało zbyt groźnie. — No to bądź grzeczny i do zobaczenia jutro wieczorem.

— Pa, Gussie. — Willy rozłożył ramiona.

— Pa, kochanie. — Pochyliła się, co w jej stroju nie było łatwe, a Willy pocałował ją prosto w usta. Przytuliła go, podczas gdy on balansował na czubkach palców, wyprężony jak struna. Przez chwilę jej rzęsy trzepotały i Gandy nie miał wątpliwości, że bardzo malca pokochała. Szczerze podziwiał

jej zaangażowanie i poświęcenie, było bowiem oczywiste, że jeśli poprawka prohibicyjna rzeczywiście wejdzie w życie, któreś z nich będzie musiało rozstać się z chłopcem. Musiała wiedzieć o tym równie dobrze jak on.

Agata wyprostowała się, a Willy cofnął o krok i chwycił dłoń Scotta. Kiedy spojrzała w oczy mężczyzny, zobaczyła w nich przelotny wyraz smutku.

— Do zobaczenia, Scott.

Zmusił się do ćwierćśmiechu, jakby odsuwał dręczące go myśli.

— Uważaj na siebie. A ja będę uważał na Willy'ego. — Spojrzał w dół i zamachał ręką chłopca. — Na kolację wybierzemy się do Emmy, prawda, szkrabie?

— Aha. Na kurczaka z kluskami.

Agata patrzyła, jak uśmiechają się do siebie.

— No, na mnie już czas.

Scott schylił się i podał jej walizkę.

— O nic się nie martw. Jakoś sobie damy radę.

— Dobrze.

Przez moment jego palce ścisnęły jej dłoń, po czym szybko się cofnęły. Skrępowani niepewnością, oboje stali bez ruchu i myśleli o pożegnalnym uścisku. Agata przypomniała sobie jego powitanie z Jubilee, kiedy bezwstydnie pieścił jej pośladki i namiętnie się z nią całował na oczach całego Proffitt. Teraz wszakże zrobił krok do tyłu i Agata zrozumiała, jak absurdalna była ta myśl. Tamten ich uścisk na schodach był czymś zupełnie innym, wówczas chodziło o okazanie współczucia. Gdyby zrobili to samo w dzień, na stacji, byłaby to już całkiem inna sprawa. Odwróciła się na pięcie, zanim któreś z nich zdążyło ulec pokusie.

Obserwowała ich przez okno wagonu. Tego dnia Scott włożył elegancki płowy garnitur i niski kapelusz w tym samym kolorze. Jego brązowy krawat uniósł się na wietrze, po czym opadał na śnieżnobiałą koszulę. Gandy powiedział coś do chłopca, a ten ochoczo pokiwał głową. Wtedy Gandy wyjął z kieszeni cygaro i najwyraźniej drocząc się z Willym zaczął się klepać po kieszeniach marynarki. Willy poszedł w jego ślady i po chwili wyjął zapalniczkę. Scott z cygarem w zębach pochylił się nad malcem, który uniósłszy kolano, potarł zapalniczką o swoje nowe dżinsy. Próbował trzy razy, ale bez skutku. Dopiero

kiedy Scott pokazał mu, jak trzeba to zrobić, zapłonął ogień i Willy ostrożnie zapalił cygaro. Jeszcze trochę i nauczy go palić, pomyślała Agata, lecz zamiast srogiego marsa na jej twarzy pojawił się melancholijny uśmiech. Obserwując tę dwójkę: wysokiego mężczyznę i uradowanego chłopca z jasną czupryną, widziała rodzącą się między nimi miłość. Pociąg ruszył, obaj unieśli więc głowy i pomachali. Dwie najważniejsze osoby w jej życiu. A jednak miała stracić jednego z nich, może nawet obu. I to już wkrótce. Za niecałe dwa miesiące w stanie Kansas miała zapadła ostateczna decyzja w sprawie prohibicji. Odchyliła głowę do tyłu i powoli zamknęła oczy. Żal ścisnął ją za gardło i prawie zaczęła marzyć, żeby owa nieszczęsna poprawka przepadła.

Najbardziej charakterystycznym elementem ogrodu rezydencji gubernatora były romboidalne klomby. Starannie przystrzyżony żywopłot otaczał żwirowe ścieżki, ciągnące się pomiędzy kwitnącymi obficie różami. Czerwone, łososiowe, białe i różowe, zabarwiały powietrze swoim niepowtarzalnym aromatem. W miejscach, w których łączyły się ścieżki, przyciągały oko żółtobrazowe poduszki chryzantem. Majestatyczne cisy stały rzędami na brzegach ogrodu, wyprostowane niczym zieloni wartownicy, podczas gdy rozproszone kasztanowce tworzyły oazy cienia w najbardziej strategicznych punktach, nie psując symetrycznego układu ogrodu. Na białych żelaznych ławeczkach siedziały kobiety w turniurach, sącząc herbatę z maleńkich filiżanek, a za ich plecami brodaci dygnitarze w oficjalnych strojach spacerowali z założonymi rękoma i poruszając sumiastymi wąsami, omawiali szczegóły sytuacji politycznej.

Wszystko to było niezwykle pompatyczne i bardzo elitarne. Ubrana w nową modną suknię, ze swoją postawą i nie-nagannymi manierami, Agata pasowała do tego miejsca jak ulał. Jednakże zarówno przedstawiając sposoby walki z demonem alkoholu przyjęte przez jej oddział stowarzyszenia, jak i poznając nowe metody pozyskiwania zwolenników i szerzenia propagandy antyalkoholowej, miała wrażenie, jakby nikczemnie zdradzała tamtych dwóch, którzy odprowadzili ją na stację.

Największe wrażenie robił oczywiście sam gubernator w białej koszuli z dużym kołnierzykiem i czarnym krawacie. Z szacunkiem ucałował dłonie wszystkich kobiet, dyskutował z grupą pastorów i konferował z co bardziej znanymi postaciami ruchu prohibicyjnego.

Były tam Drusilla Wilson, Amanda Way i wiele innych osób, których twarze Agata widywała w „Temperance Banner”. Rozmawiając z nimi i spacerując, Agata ponownie poczuła się nieswojo. Zapał do walki o wprowadzenie prohibicji najwyraźniej rozgrzewał im krew w żyłach, podczas gdy jej entuzjazm bardzo osłabł. Przypomniała sobie podniecenie, jakie ogarnęło ją, kiedy otrzymała zaproszenie na ten podwieczorek, i z żalem stwierdziła, że niewiele już z niego pozostało. Wręcz przeciwnie, zaczęła myśleć

O drugim listopada jako o dniu, kiedy ostrze gilotyny może spać nie na szyję Scotta Gandy'ego, lecz na jej własną. Wynajęła powóz i pojechała do hotelu. Zjadła kolację w eleganckiej restauracji, marząc o skromnym lokalu Cyrusa 1 Emmy, w którym wraz ze Scottem i Willym spałaszowałyby kurczaka z kluskami. Wprowadziła się do gustownie urządzonego pokoju z drukowaną tapetą na ścianach i zasłonami z długimi frędzlami na oknach i natychmiast pomyślała, że wołałaby być w swoim ciasnym mieszkaniu z dochodzącymi spod podłogi dźwiękami bandzo i pianina. A leżąc w łóżku z puchową pościelą, doszła do wniosku, że bez chwili wahania zamieniłaby je na twarde drewniany schodek, gwiaździste niebo, wycie kojotów i męski zapach cygara.

Rano poszła na zakupy. Wybrała harmonijkę dla Willy'ego i broszkę z kości słoniowej dla Violet, a kiedy na swej drodze natrafiła na sklep z tytoniem, zatrzymała się.

„Nie, Agato, to nie przystoi. Jesteś niezamężną kobietą, a on wdowcem. To po prostu nie przystoi.”

Zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie, lecz po kilku krokach zawróciła. Stała przed wystawą i podziwiała fajki z drewna wiśniowego, pudełka na cygara z tulipanowca oraz same cygara. Uniosła wzrok i ujrzała swoje odbicie w szybie oświetlonej przez jesienne słońce.

Wyobraziła sobie Scotta Gandy'ego, idącego razem z nią na rynek. On miałby na sobie płowy garnitur i niskiego

stetsona, ona zaś paradowałaby w eleganckiej sukni i kapeluszu, oczywiście trzymając go pod rękę.

Po kocich łbach przejechała bryczka. Wyrwana z zamyślenia Agata weszła do sklepu.

Wewnątrz panował półmrok, w powietrzu unosił się ciężki, aromatyczny, męski zapach, jakże różny od zapachu barwników, krochmalu i oleju maszynowego.

— Dzień dobry — powitał ją właściciel.

— Dzień dobry.

— Czym mogę służyć? Coś specjalnego dla pani męża? — Sumiasty wąs i rumiane policzki uniosły się w uśmiechu. „Dla męża.” Cóż za pomysł, Gandy nie jest jej mężem i nigdy nie będzie, ale co jej szkodzi trochę poudawać. Nie знаła się na cygarach i wiedziała, że jeśli o nie poprosi, wszystko się natychmiast wyda. W końcu czyż to możliwe, by żona nie pamiętała, jakie cygara pali jej mąż?

— Szukam nożyczek do cygar.

— Proszę bardzo, mam takie.

Agata wyszła ze sklepu ze złotymi nożyczkami o zaokrąglonych końcach w płaskim skórzanym futerale, zastanawiając się, czy starczy jej odwagi, żeby mu je wręczyć.

„Stanowczo nie powinnaś tego robić, Agato. To po prostu nie przystoi.

Lecz przecież on mi sprezentował maszynę Singera. Czymże w porównaniu z nią są skromne nożyczki?

Próbujesz szukać usprawiedliwienia.

A dajże ty mi wreszcie święty spokój! Przez całe życie robiłam tylko to, co przystoi, i jak na tym wyszłam? Tym razem zrobię to, co dyktuje mi serce!”

Serce ciągnęło ją do domu, a kiedy nazajutrz późnym popołudniem pociąg wjeżdżał na stację w Proffitt, biło z każdą sekundą coraz niecierpliwiej. Serce mówiło jej też, że nie powinna szukać w tłumie Gandy'ego, że nie ma żadnego prawa oczekiwać, by po nią wyszedł, mimo to na wszelki wypadek poprawiła kapelusz i fryzurę, po czym z nadzieją, że spódnica nie jest zbyt wymięta, stanęła w drzwiach i wbrew samej sobie rozejrzała się dookoła. Gandy'ego nie było, za to czekał na nią Willy. Wystrojony w dzinsy, stał na ławce na werandzie stacji, machał w jej stronę i radośnie podskakiwał.

Zeszła na peron, malec zaś podbiegł i rzucił się jej na szyję.

— Gussie, zgadnij, co się stało!

— Co?

— Dostałem kota!

— Kota! — Uśmiechnęła się szeroko, chociaż wiele ją kosztowało, by nie wypatrywać na peronie Scotta.

Tłumaczyła sobie, że przecież nie ma podstaw, by czuć zawód z powodu jego nieobecności.

Willy'emu tymczasem ani na chwilę nie zamykały się usta.

— Violet powiedziała, że pani Gili, ta, u której mieszka, ma pełno małych kotków i że jak jej się nie uda szybko ich pozbyć, będzie musiała je potopić, no to poszedłem je obejrzyć i był tam taki jeden purpurowo-biały...

— Purpurowo-biały? — roześmiała się Agata.

— I on mi się najbardziej spodobał, no to spytałem, czy będę go sobie mógł wziąć, a ona powiedziała, że tak. Wtedy pokazałem go Scotty'emu, a Scotty powiedział, że mogę go wziąć, pod warunkiem że w nocy będzie siedział w moim pokoju, żeby nie kręcił się pod nogami w barze... A w dzień Łoś będzie polował na myszy w magazynie.

— Łoś? — zaśmiała się Agata.

— Tak go nazwałem, bo był większy niż wszystkie inne.

— I powiadasz, że Łoś jest purpurowy? — Agata zaczęła się zastanawiać, jak w ogóle mogła kiedykolwiek żyć bez Willy'ego. Ogromnie podekscytowany, maluch przez cały czas skrobał się w głowę, przez co włosy miał w kompletnym nieładzie.

— No, trochę... Scotty mówi, że jest szary, ale mi się wydaje, że jest purpurowy, a koło wąsków ma takie śmieszne białe łatki! Poczekaj, aż go zobaczysz, Gussie! To najładniejszy kot, jakiego żeś widziała!

— Jakiego widziałaś — poprawiła go.

— Tak, ale chodź już. Pośpiesz się! Teraz jest w saloonie i opiekuje się nim Jack, więc muszę już wracać i się nim zająć.

Nie miała innego wyjścia, jak tylko „się pośpieszyć”. Willy chwycił jej torbę i ruszył biegiem.

— Willy, poczekaj! Sama ją poniosę!

— Nie-e! Scotty powiedział, że ja mam ją wziąć. „Tak powiedział? — Naprawdę?” pomyślała, posłusznie przyśpieszając.

Cóż to był za widok! Torba wydawała się większa od Willy'ego. Trzymał ją w obu rękach wysoko unosząc ramiona w radosnym wysiłku. W pewnym momencie torba zakołysała się i uderzyła go prosto w kolana, aż zachwiał się i przewrócił, lecz i wtedy usta mu się nie zamknęły. Po prostu pozbierał się i popędził dalej, podczas gdy coraz bardziej rozkochana w nim Agata kuśtykała obok, z trudem dotrzymując mu kroku.

Zaprowadził ją prosto do Złotej Klatki. Ze względu na wczesną porę bar świecił pustkami. Wszyscy zgromadzili się przy barze; Mooney Straub, Virgil Murray, Doc Adkins, Marcus, Jube, Jack i Scott z rozbawionymi minami stali i rozmawiali, oparci łokciami o blat. Pomiedzy nimi paradował śliczny ośmiotygodniowy kociak. Wszedł do miseczki z wodą, szybko cofając łapkę, później podszedł do kufła z piwem, przytknął nos do piany, potrząsnął łebkiem i kichnął.

— Gussie wróciła! — zawołał Willy. — Przyprowadziłem ją, żeby zobaczyła Łosia.

Twarze wszystkich zwróciły się ku drzwiom.

— Łoś jest tutaj — odezwała się Jube. — Zabawia nas. Willy rzucił torbę na ziemię i chwycił Agatę za rękę.

— Chodź, Gussie!

Kiedy malec ciągnął ją w stronę baru, spojrzała Gan-dy'emu w oczy. Stał razem z Jackiem za barem, ubrany w czarny garnitur i bursztynową kamizelkę, jak zwykle elegancki i nieprzyzwoicie przystojny. Za nim Dierdra ukazywała swe wdzięki, Agata wszakże w ogóle nie zwróciła na nią uwagi. W tym momencie istniał dla niej tylko Scott. Czuli się tak, jakby go nie widziała przynajmniej od tygodnia. Sądząc po wyrazie jego twarzy, on również cieszył się x jej powrotu.

Marcus złapał Willy'ego pod pachy i posadził na skraju kontuaru.

— Widzisz, Gussie? — odezwał się malec z dumną miną. — Zobacz, jaki on jest mądry.

Spojrzała na szaro-białą kulkę.

— Jest śliczny — zgodziła się.

Jube odsunęła się robiąc miejsce dla Agaty, która w ten sposób po raz pierwszy w życiu oparła się o kontuar. Patrzyli, jak Łoś zbliżył się do kufła Doca, wacha piwo, po czym ostrożnie zabiera się do picia. Wszyscy się roześmiali, ale Doc szybko odsunął kufel.

— O nie, mój mały. To by cię mogło zabić.

Marcus wyjął z kieszeni monetę i zakręcił nią na barze. Łoś zastygł w bezruchu i wlepił wzrok w wirujący pieniążek. W końcu moneta zachwiała się i upadła tuż koło jego łapek. Kociak odskoczył jak oparzony, wygiął grzbiet w łuk i komicznie zasyczał. Wszyscy się roześmiali. Willy kilkakrotnie powtórzył tę sztuczkę, aż w końcu Łoś zdobył się na odwagę, ostrożnie się zbliżył i uderzył łapką w monetę. Marcus stanął za Jube i położył jej dłoń na ramieniu, Willy usiadł na barze po turecku, a Jack nalał sobie piwa i sącył je powoli, obserwując kociaka.

Agata uniosła wzrok i stwierdziła, że podczas gdy wszyscy pozostali skupili uwagę na Łosiu, Scott nie odrywa oczu od niej. Wirująca moneta ponownie zabrzęczała. Znowu rozległ się gromki śmiech, ale ani Agata, ani Scott tego nie słyszeli. Żadne z nich nawet się nie uśmiechnęło. Spojrzenie Scotta było spokojne, oczy zaś tak ciemne jak rondo kapelusza.

Agata czuła, że ciało zaczyna jej pulsować.

„Boże, dopomóż. Ja go naprawdę kocham.”

Jakby znając jej myśli, Scott przeniósł spojrzenie na jej usta. Zrobiło się jej gorąco od fizycznej zmysłowości, której nigdy dotąd nie zaznała. Kiedy ponownie spojrzał jej w oczy, poczuła, że się rumieni, odwróciła się więc do Willy'ego i rzekła:

— Muszę już iść do Violet. Przyjdź do mnie trochę później. Mam coś dla ciebie.

Natychmiast zapomniał o kocie i utkwiał swe duże błyszczące oczy w Agacie.

— Dla mnie?

— Tak. Ale najpierw muszę się rozpakować. Przyjdź trochę później. — Ruszyła w stronę drzwi.

— Ale kiedy?

— Daj mi z pół godzinki — odparła z pobłażliwym uśmiechem.

— Ja przecież się nie znam na zegarze!

Scott roześmiał się i położył mu rękę na ramieniu.

— Jak już minie pół godziny, to ci powiem, szkrabie. Zabrawszy torbę, Agata wyszła i dopiero wówczas dotarło do niej, że przecież ona i Scott nawet ze sobą nie porozmawiali, choć to, co zaszło między nimi, było silniejsze niż jakiegokolwiek

słowa. Gandy tęsknił za nią, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Czuł coś do niej, to również było widać w jego oczach. Ale jak to możliwe? To przecież absolutnie niewiarygodne. Lecz jeśli to prawda, to czy właśnie z tego powodu nie wyszedł jej na powitanie? Jeżeli te uczucia wprawiały go w takie samo zakłopotanie jak ją, było zrozumiałe, że unika ich drażenia.

Violet bardzo się ucieszyła z nowej broszki i natychmiast przypięła ją sobie pod szyję. Zgodnie z przypuszczeniami Agaty Willy zjawił się na długo przed upływem wyznaczonych trzydziestu minut. Kiedy dmuchnął w harmonijkę, Łoś wygiął grzbiet w łuk. Violet, która tytułowała się „babcią” Łosia, wzięła go na kolana i głaskała, Willy zaś próbował grać.

— Sądzę, że Marcus chętnie ci pomoże. Jest bardzo muzykalny i na pewno umie grać nie tylko na bandžo.

— O rety, Gussie, dziękuję! — Jakże niewiele trzeba, by w oczach Willy'ego wywołać zachwyty i zasłużyć sobie na całusa.

— Muszę pokazać ją Marcusowi. — Chwycił Łosia i ruszył do wyjścia.

Agata podjęła błyskawiczną decyzję.

— Zaczekaj!

Willy niechętnie zawrócił. Co prawda świadkiem była Violet, lecz czy w ten sposób sprawa nie stawała się jakby mniej... osobista? Poza tym po ostatniej wymianie spojrzeń Agata straciła odwagę, by wręczyć mu ten prezent osobiście.

— Przywiozłam też coś dla Scotta. Zaniesiesz mu?

— Pewnie. A co to?

— Drobiazg. Nożyczki do obcinania cygar. Wręczyła Willy'emu paczuszkę, a on natychmiast ruszył ku drzwiom.

— Nie powiem mu, co jest w środku. Niech sam zobaczy. Z uśmiechem patrzyła, jak z kotem na ramieniu znika za drzwiami. Jeśli oczekiwała, że Violet zrugą ją za robienie Scottowi prezentów, myliła się. Violet była w niego tak zapatrzona, że gdy chodziło o niego, zapominała o zdrowym rozsądku.

Agacie przed oczyma stanęły wcale nie tak odległe czasy, kiedy irytowało ją, że na widok Scotta Gandy'ego Violet nerwowo chichocze. Teraz sama czuła się w jego towarzystwie

podobnie. Przyszło jej do głowy, że gdyby ludzie dowiedzieli się o jej rozterkach, uznaliby, że kompletnie zwariowała. I może by mieli rację. Być może błędnie zinterpretowała jego spojrzenie? A nawet jeśli nie, jaką mogła mieć pewność, co tak naprawdę dzieje się w jego głowie?

Z zamyślenia wyrwała ją niespodziewana wizyta Josepha Zellera.

Po wymianie grzeczności Zeller przeszedł do rzeczy.

— Panno Downing, podobno gościła pani w Topece u samego gubernatora Johna St. Johna?

„O nie, tylko nie to!” — pomyślała. Zanim jednak zdążyła ułożyć wymijającą odpowiedź, Violet odparła z dumą:

— Pewnie, że była. Otrzymała ozdobne zaproszenie na podwieczorek w różanym ogrodzie. Prawda, Agato?

Zeller uśmiechnął się z uznaniem.

— Nie każdego mieszkańca Proffitt spotyka tak ogromny zaszczyt.

Rozmowa trwała prawie pół godziny. Zeller zadawał pytanie za pytaniem i Agata nie miała innego wyjścia, jak tylko odpowiadać. Z każdym wszakże zdaniem czuła się coraz większą zdrajczynią. Wyciągnął z niej informacje na temat wszystkich najnowszych metod uświadamiania społeczeństwu niebezpieczeństw spożywania alkoholu.

Artykuł ukazał się na pierwszej stronie „Gazette”, a jego efektem był istny zalew listów popierających reformę konstytucji, które czasami pochodziły z zupełnie niespodziewanych źródeł.

Towarzyszył mu artykuł wstępny, przedstawiający historię ruchu antyalkoholowego jednoczącego kobiety na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Wielebny Clarksdale zachęcał z ambony do głosowania za przyjęciem poprawki prohibicyjnej, tłumacząc, że niebezpieczeństwo cholery, które kazało ludziom dodawać piwo do wody, przez co zaczął się ten szal alkoholowy, jest już odległą przeszłością, w związku z czym „składnik oczyszczający” przestał być potrzebny. Nauczyciele uczyli o niebezpieczeństwach spożywania alkoholu, dzieci zaś powtarzały te ostrzeżenia w domu, często domagając się od ojców, żeby nie tylko przestali pić, lecz także w listopadowym głosowaniu opowiedzieli się za wprowadzeniem prohibicji. Ogłoszono konkurs na najlepszy esej antyalkoholowy. Zwy-

ciężca z każdej szkoły miał otrzymać pamiątkowy medal z brązu, a pamiątkową płytę z ich nazwiskami planowano wręczyć samej Lemoniadowej Lucy. Stowarzyszenie literackie w Proffitt zapowiedziało publiczną debatę i zachęcało do udziału w niej przedstawiciele obydwu stron.

W całym tym harmidrze Agata i Scott zaczęli się nawzajem unikać. Od powrotu z Topeki widywała go jedynie na ulicy oraz późnymi wieczorami przez dziurę w ścianie. Tylko dzięki temu stanowisku obserwacyjnemu wiedziała, że Gandy używa nożyczek do cygar, które mu przywiozła, nie podziękował bowiem za nie ani nawet nie raczył dać znać, że je otrzymał.

Była rozgoryczona. Jakież to poniżenie po raz pierwszy w życiu dać mężczyźnie prezent i nie usłyszeć chociażby krótkiego „dziękuję”. Jedynym łącznikiem pomiędzy nimi został Willy. Biegał od jednego do drugiego i składał pełne entuzjazmu sprawozdania z codziennych wydarzeń w obu częściach budynku.

— A Scotty powiedział...

— A Gussie mówi, że...

— Byliśmy ze Scottym...

— Wczoraj po drodze do kościoła Gussie i ja...

— Scotty i Marcus musieli przestawiać pianino, bo zgubił mi się Łoś...

— Gussie i Violet dostały zamówienie na...

— Pearl powiedziała, że jak zrobią prohibicję, to ona wraca do...

— Violet mówi, że Gussie jest smutna...

— A Scotty i Jube się pokłócili.

— Gussie szyje mi cieplejsze koszule na...

— Scotty i Jube się pogodzili...

Był październik. Do listopadowego głosowania pozostał niecały miesiąc. Robiło się coraz chłodniej. W nocy muchy mniej dawały się we znaki, transport bydła powoli wygaszał, Złota Klatka zamykała swe podwoje wcześniej, mimo to Agata i tak fatalnie sypiała. Właściwie nie dręczyły jej koszmary, za to debaty w Towarzystwie Literackim zdawały się odbywać w jej głowie, i to właśnie w czasie snu.

Teraz śniła się jej ta, w której Mustard Smith klócił się zawzięcie z Evelyn Sowers, a kiedy zdał sobie sprawę, że

przegrywa, zaczął sapać, wpatrując się w Evelyn niczym szykujący się do szarży byk. Powietrze przelatywało z sykiem między jego zębami. Sssss.... sssss... sssss... sssss... Agata momentalnie się obudziła.

To nie był sen. Ktoś stał obok łóżka i głośno oddychał. Był to ciężki świszczący oddech astmatyka. Agatę ogarnął paniczny strach. Dłonie zaczęły jej się pocić, wszystkie mięśnie miała napięte do granic wytrzymałości. Leżała bez ruchu, z otwartymi oczyma, zastanawiając się, kto to może być. „O Boże! Co mam robić? Gdzie jest najbliższy ciężki przedmiot? Czy zdążę po niego sięgnąć, zanim ten ktoś dosięgnie mnie? Co mam zrobić najpierw, krzyknąć czy rzucić się na niego?”

Zrobiła jedno i drugie równocześnie, zaciskając palce na poduszce i uderzając nią tak mocno, jak tylko dała radę. Nawet go nie musnęła. Wyrwał jej poduszkę, jednocześnie zatykając usta dłonią. Drugą ręką chwycił ją wpół i pociągnął do tyłu tak, że do połowy zwisała z łóżka.

— Ostrzegalem cię, ale nie słuchałaś — syknął jej do ucha. — No to teraz posłuchasz, paniusiu. Mam tu coś, co ci pomoże słuchać. I to uważnie.

Wzmocnił uścisk i przyłożył jej zimny przedmiot do policzka.

— Po ciemku słabo widzę. Powiedz no, wszedł już chociaż kawałek czy jeszcze nie?

Wszedł. Czując, jak ostrze noża przebija jej skórę, próbowała krzyknąć i wbiła paznokcie w rękę, w której trzymał nóż.

— Uważaj no sobie, paniusiu.

Natychmiast puściła. Jeśli będzie się z nim szarpać, może trafić nożem w oko. Słyszała własne jęki.

„Scott, pomóż mi! Szeryfie Cowdry! Violet! Ktokolwiek!”

— To ty zaczęłaś ten gówniany cyrk z prohibicją! Całe to knucie, gadanie i modlenie się w drzwiach saloonów. A potem jeszcze pojechałaś skowyczeć do gubernatora. Teraz kotłuje się już w całym stanie. Ale w tym mieście jest nas jedenastu i cholernie nam się to nie podoba. Rozumiesz?

Wzmocnił uścisk. Agata przygryzła wargę i poczuła smak krwi.

Próbowała błagać, żeby ją puścił, lecz zamiast słów z jej ust dobiegły się tylko jęki, stłumione przez jego słoną rękę.

— Wycofasz się, siostruniu, zrozumiałaś? Powiesz im wszystkim, że mają raz na zawsze skończyć z tymi przeklętymi debatami. Każesz się zamknąć temu tępemu kaznodziei. I rozpędzisz to przeklęte stowarzyszenie! Jasne?

Ogarnięta dziką paniką, pokiwała głową, czując, że po szyi płynie jej coś ciepłego. Ból zadawany przez czubek noża był tak silny, jakby ostrze wbijało się jej w oko. Znowu krzyknęła. Ścisnął jej szczękę tak mocno, że omal jej nie złamał. Każde uderzenie serca zdawało się eksplodować w jej żyłach.

To już nawet nie była panika. Jęki Agaty stawały się coraz szybsze. Jej rozszerzone nozdrza podrażnił odór byle jakiego cygara i starego potu.

— Pewnie myślisz, że bałbym się ciebie zabić? Dobrze się zastanów. — Miała wrażenie, że jeszcze chwila i oczy wyskoczą jej z oczodołów. — Jedna martwa działaczka mogłaby przekonać tych wszystkich nawiedzonych pomyleńców, że mają się zamknąć. Ale dam ci jeszcze jedną szansę, bo mam dobre serce, jasne? — Roześmiał się złowrogo.

— Mmm... Mmm... Mmm...

— Powiedz no, siostruniu, co my tu takiego mamy?

— Schował nóż, zaciskając jednocześnie dłoń na jej piersi.

— Wiesz co? Ty wcale nie jesteś taka do niczego. Może wcale cię nie zabiję? Może znajdę na ciebie jakiś lepszy sposób?

— Jego dłoń zsunęła się po jej brzuchu, a kiedy Agata odruchowo zacisnęła uda, roześmiał się złowieszczo. Po chwili poczuła, jak wciska w nią własną koszulę nocną. Stłumiła krzyk i z całej siły zacisnęła powieki, a z kącików jej oczu popłynęły łzy. — Założę się, kulawico, że jeszcze nigdy tego nie robiłaś, co? Dzisiaj nie ma czasu, bo ten przeklęty wścibski szeryf kręci się po okolicy. Ale lepiej zrób, co ci powiedziałem, bo jak nie, to tu wrócę. I nawet jeśli nie dasz rady dobrze rozłożyć nóg, to i tak sobie poużywam.

Rzucił ją na łóżko, na czworaka, z koszulą nocną wciśniętą do środka, po czym chwycił za szyję i przycisnął twarzą do materaca.

— Masz tak leżeć przez pięć minut, jasne?

Kłęcząca na łóżku, niczym muzułmanin zwrócony ku Mekce, krwawiąc na prześcieradło i czując piekielny ból w udzie. Pięć minut czy pięć godzin, nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. Pamiętała tylko, że wychodząc zatrzaskał

drzwi, a oprócz nich było jeszcze jedno wyjście z mieszkania: przez okno. Zdecydowała się skorzystać właśnie z niego. Wyszła na wąski gzyms, po czym powoli, krok po kroku, dotarła do pierwszego okna. Zastukała, Jube jednak nie otworzyła. Ruszyła dalej i po chwili znowu stuknęła, zbyt przerażona, by się zorientować, że drugie okno należy do tego samego pokoju. W następne waliła pięścią, lecz było to okno korytarza. Płacząc i pojękując, ruszyła do następnego, które okazało się uchylone na kilka cali. Otworzyła je i znalazła się w sypialni Scotta.

Stała w ciemnościach, głęboko oddychając, walcząc o panowanie nad czymś silniejszym niż wszystko, czego dotąd doświadczyła.

— S... S... Scott... po... po... pomóż mi — wyszeptała. — S... S... Scott...

Szept wyrwał go z głębokiego snu. Otworzył oczy i zaczął się zastanawiać, czy Jube mamrocze coś przez sen. Nie mamrotała. Płakała. Przewrócił się na drugi bok i nagle u stóp łóżka ujrzał jasną sylwetkę. W pierwszym odruchu chciał sięgnąć po broń, ale znowu rozległ się urywany przerażony szept:

— S... S... Scott... p... p... proszę... Całkiem nagi wyskoczył z łóżka.

— Agato! Co się stało?

— Ja... ja... ja...

W głębokim szoku nie potrafiła wyjąkać całego słowa. Drżała tak mocno, że słychać było szcęknięcie jej zębów.

Chwytał ją za ramiona czując, jak strach ściska mu serce.

— Uspokój się, Agato, Weź głęboki oddech i spróbuj jeszcze raz.

— Ja... jakiś mę... mę... mężczyzna.

— Jaki mężczyzna?

— Mę... mężczyzna w... w... w...

— Spokojnie, Gussie. Mężczyzna...

— Mę... mężczyzna w... wszedł do... do... do... m...mojego mie... mieszkania. M... m... miał n... n... n... n... — Im dłużej próbowała, tym gorszy był efekt.

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Trzęsła się cała, z trudem łapiąc powietrze. Gandy czuł nierównomierne ruchy jej żeber.

— Już dobrze, Agato. Nic ci nie grozi. A więc do twojego pokoju wszedł mężczyzna i miał... Co takiego miał, Gussie?

— N... n... — sapłała mu do ucha, jakby zbierała siły. — Nóż — wydusiła w końcu.

— Dobry Boże! Nic ci nie zrobił? — Serce waliło mu młotem. Cofnął się o krok, nie puszczać jej ramion, po czym pochylił się, żeby zajrzeć w jej wielkie z przerażenia oczy.

— Nie... nie w... w... wiem.

— Kochanie, co się stało? — spytała jeszcze nie do końca obudzona Jube.

Gandy nie zwracał na nią uwagi.

— Zranił cię?

— Chy... chy... ba... chyba krwa... krwawię... Przyciągnął ją do siebie, kiedy ugięły się pod nią kolana.

— Jube! Wstawaj! Agata jest ranna! Obudź wszystkich i niech ktoś biegnie po doktora!

— Mmm? — wymamrotała półprzytomna Jube.

— No rusz się wreszcie! — wrzasnął. — Sprowadź doktora Johnsona!

Jube zerwała się z łóżka i biegnąc do drzwi chwyciła szlafrok.

— I przyślij tu Jacka! — rozkazał Gandy, kładąc Agatę na wygrzanym łóżku, po czym zapalił światło i natychmiast dostrzegł czerwone plamy na jej białej koszuli. Z przerażeniem zaczął szukać źródła krwi i znalazł ranę na szyi.

Uważnie przyjrzał się Agacie, lecz nie dostrzegł żadnych rozdarć na jej koszuli.

Agata złożyła ręce na piersiach, zamknęła oczy i zadrżała.

— Zi... zimno mi.

Przykrył ją po samą szyję i usiadł obok, czując, jak strach ustępuje wściekłemu gniewowi.

— Kto to był?

Nie otwierając oczu, wyjąkała:

— N... nie... nie wiem.

— O co mu chodziło?

— O... p... pro... pro... prohibi... — Drżała tak mocno, że nie zdołała wydusić z siebie całego słowa.

— Czy zrobił ci coś jeszcze? — spytał szybko Gandy.

Jedyną odpowiedzią były silniejsze dreszcze i łzy, które popłynęły zza zaciśniętych powiek, kiedy zawstydzona odwróciła twarz.

— Gussie, czy zrobił ci coś jeszcze?

Przygryzła usta i zaciskając powieki gwałtownie potrząsnęła głową.

Do pokoju wpadł Jack, w samych spodniach.

— Ktoś napadł na Agatę. Rozejrzyjcie się po okolicy — rozkazał Gandy.

Po chwili zjawili się Marcus i Ivory, również niekompletnie odziani.

— Nic jej nie jest?

— Dźgnął ją nożem. I chyba jeszcze coś gorszego. Jack aż zazgrzytał zębami.

— Idziemy! — powiedział i wszyscy trzej wybiegli. Gandy spojrzał na Agatę, opatulił ją kołdrą i zapytał:

— On nie tylko dźgnął cię nożem, prawda? — Zerwał się na nogi. — Do diabła! Dopadnę tego sukinsyna, a wtedy, przysięgam na Boga, drogo za to zapłaci! Już ja się o to postaram!

Otworzyła szeroko oczy i usiadła, szepcząc błagalnie:

— Nie, proszę, on jest niebezpieczny i... silny. Gandy w kilku susach znalazł się na drugim końcu pokoju, gdzie gwałtownym ruchem wciągnął spodnie; zapinając ze złością guziki stanął twarzą do Agaty. Przełknął bulgoczące mu w gardle wyzwiska, po czym podszedł do łóżka i ujął Agatę za ramiona.

— Połóż się, Agato. Ciągle krwawisz. Sięgnęła w kierunku rany, lecz ją powstrzymał.

— Proszę, nie.

— Ale two... twoja pościel.

— Nic nie szkodzi. Proszę cię, nie ruszaj się, przynajmniej dopóki nie przyjdzie doktor Johnson. — Schował jej rękę z powrotem pod pościel, potem usiadł obok i gładził opadające na czoło włosy.

— Scott — wyszeptała, a jej jasnozielone oczy wypełniły się łzami, przez co wydawały się niemal przezroczyste, niczym głęboka morska woda.

— Ciii...

— On nie...

— Później... później o tym porozmawiamy.

Łzy srebrzystymi strumykami płynęły jej po skroniach. Gandy delikatnie osuszył je kciukami.

— Nie zostawiaj mnie.

— Nie zostawię — obiecał.

Kiedy zjawił się doktor Johnson i zajął miejsce Scotta, w jej oczach znowu pojawił się paniczny strach. Doktor, przemywszy ranę słońą przegotowaną wodą, oświadczył, że obejdzie się bez szycia. Zamoczył gazik w wyciągu z tarniki, przyłożył do rany i umocował bandażem, który zawiązał na czubku głowy. W tym czasie Ruby, Pearl i Jube kręciły się nerwowo w drzwiach. Wrócili też Jack, Marcus i Ivory, którzy nie znaleźli nikogo ani w mieszkaniu Agaty, ani na ulicy. Doktor Johnson umył ręce w miednicy służącej Scottowi do golenia, a wycierając je zalecił:

— W nocy rana może boleć. Sądzę, że pannie Downing dobrze by zrobiła odrobina whisky. Dopóki nie minie szok, będzie jej zimno, ale poza tym wydaje się, że wszystko w porządku.

— Jack, skocz na dół po butelkę, dobrze? — poprosił Gandy, nie odrywając wzroku od bladej twarzy Agaty. — Marcus, Ivory, dzięki, że sprawdziliście okolice. Dobrze by było, gdyby któryś z was poszedł po szeryfa. Chyba powinienem porozmawiać z nim jeszcze dzisiaj.

— Już go zawiadomiłem. Lada chwila powinien się zjawić.

— Świetnie. Dziewczęta, wracajcie do łóżek. Zostanę z nią.

Pearl i Ruby wyszły, Jube przez chwilę zwlekała. Gandy chwycił ją czule pod brodę.

— Przepraszam, Jube. Prosiła, żebym jej nie zostawiał. Prześpisz się dzisiaj u siebie?

Cmoknęła go w brodę.

— Pewnie. Wpadnę rano zobaczyć, jak się czuje.

Kiedy Ben Cowdry zadawał pytania, Scott był jedyną osobą postronną w pokoju. Agata trochę się już uspokoiła. Odpowiadała logicznie, posłusznie powtórzyła groźby napastnika, przypomniła też sobie, że miał duży brzuch, ochryply głos i cuchnął marnymi cygarami. Kiedy wszakże Ben Cowdry spytał, czy oprócz zadania rany nożem napastnik zrobił jej coś

jeszcze, posłała Scottowi rozpaczliwe spojrzenie, na co on odepchnął się od szafy i zrobił krok do przodu.

— Nie, Ben. Nic więcej. Już ją o to pytałem. Cowdry rzucił okiem na niego, potem na Agatę i znowu na niego. W końcu wstał i poprawił pas.

— Dobrze. Kiedy poczuje się pani trochę lepiej, poproszę panią o podpisanie kilku papierów dotyczących tego napadu. Proszę się nie martwić, panno Downing, złapiemy go.

Gandy odprowadził szeryfa do wyjścia i natychmiast wrócił do sypialni. Okrągłe wystraszone oczy Agaty wlepione były w drzwi.

— Nie powinnam być w twojej sypialni. Przechodząc przez pokój zabrał butelkę whisky i szklanę.

— Doktor kazał — rzekł cicho, siadając na skraju łóżka. Napełnił szklaneczkę na trzy palce i odstawił butelkę na szafkę nocną. — Dasz radę usiąść?

— Tak.

Podniosła się z trudem, krzywiąc z bólu, a Gandy pochylił się i ułożył jej za plecami poduszki. Oparła się o nie i głośno westchnęła.

— Proszę. — Podał jej szklanę. — Piłaś to już kiedyś?

— Nie.

— To uważaj. Piecze w usta, ale pomaga. Niepewnie chwyciła szklanę i posłała mu pełne wahania spojrzenie.

Gandy uśmiechnął się.

— A czego byś się spodziewała po właścicielu baru? Zdobyła się na uśmiech, lecz nawet to sprawiło jej ból. Zaciskając palce na szklance, opróżniła ją czterema dużymi łykami. Zamknęła mocno powieki, kiedy dreszcz wstrząsnął jej ciałem, potem wyciągnęła rękę po jeszcze.

— Ho-ho! — Gandy delikatnie odsunął jej dłoń. — Spokojnie, nie tak szybko. Jak będziesz pić w takim tempie, niedługo zobaczysz różowe pieski preriowe.

— Boli mnie, a żołądek co chwila podchodzi mi do gardła. I wcale nie jestem pewna, czy zaraz nie rozpadnę się na tysiąc kawałków. Jeżeli whisky może mi pomóc, wypiję jeszcze.

Przyjrzał jej się z powątpiewaniem, posłusznie jednak sięgnął po butelkę. Tym razem nalał jej tylko połowę tego, co

poprzednio. Kiedy przytknęła szklanke do ust i chciala wypic duszkiem, powstrzymal ja.

— Nie tak szybko. Sącz.

Posluchala, upila kilka malych lyczkow, po czym, trzymajac szklanke w obu dloniach, przyjrzała sie zakrwawionej pościeli i swojej koszuli.

— Zniszczyłam ci pościel.

— Nie szkodzi.

— I przeze mnie Jube musi dzis spac w swoim lozku.

— To nic wielkiego. I tak nie zawsze tu sypia.

Nagle zdała sobie sprawe, ze Gandy dotyka kolanem jej uda, i w geście samoobrony podniosła szklanke do ust.

Wypila, po czym ze spuszczonego wzrokiem otarla usta wierzchem dloni.

— Juz mi lepiej. Moge wracac do siebie.

— Nie. Zostaniesz tutaj. — Siegnal po pustą szklanke, obejmujac przy tym dlon Agaty. — Co jeszcze ci zrobil, Gussie? Musze wiedziec.

Spojrzala w jego ciemne, zatroskane oczy. Przeleknela sline i poczula okropny bol, promieniujacy az do samego czubka glowy. Kiedy sie odezwala, głos jej drzal, a w oczach znowu pojawily sie lzy.

— Nie zrobil tego, co myslisz, Scott. On tyl... tyl... tylko... Delikatnie wyjal szklanke z jej dretwego uscisku i odstawil

na szafke nocna.

— Poloz sie — polecil, poprawiajac poduszki, a kiedy ponownie wsliznela sie w cieplo jego lozka, przykryl ja po szyje, wyciagnal sie obok i delikatnie odwrócił ja na bok, twarza do siebie. Polozyl jej reke na plecach, czujac przez kołdra, ze dreszcze powrócily. Masowal ja miedzy łopatkami i wpatrywal sie w jej sploniona twarz. — Otworz oczy, Gussie.

Otworzyła i ujrzała z bliska jego czarne rzęsy, piwne oczy, wyraźne kształtne brwi oraz ciemne usta. Czula, ze whisky zaczyna dzialac, nadal jednak kulila sie pod kołdra, krzyzujac rece na piersiach. Gandy przeleknel sline, a jego jablko Adama unosilo sie i opadalo.

— Zalezy mi na tobie — szepnal. — Rozumiesz?

Przez kilka dlugich sekund nieruchomy niczym glaz wpatrywal sie w jej przerazone zielone oczy, az w koncu ona tez przeleknela sline.

— Dotykał mnie — wykrztusiła — w ohydny sposób... i teraz czuję się brudna... Zagroził, że wróci i zrobi coś gorszego, jeżeli się nie postaram, żeby poprawka prohibicyjna przepadła.

— Ale przecież jest już za późno, żeby cokolwiek zmienić.

— Wiem.

Z głowami na miękkich poduszkach leżeli i patrzyli sobie w oczy.

— Przykro mi — rzekł cicho, żałując, że nie zna sposobu, by wymazać z jej pamięci to, co przeżyła. Bardzo powoli zmrużyła powieki i Gandy spostrzegł, że alkohol zaczyna wreszcie działać.

— To mi wystarczy — wyszeptala z zadowoleniem.

— Naprawdę? — On czuł, że to za mało. Że nie wystarczy czuć dziki gniew, wysłać ludzi na poszukiwania sprawcy, sprowadzić szeryfa i doktora oraz napić ją whisky. Była kobietą szlachetną i czystą, którą po raz kolejny skrzywdził fanatyczny czciciel alkoholu.

Drżenie pod jego dłonią ustało. Jej oczy, szeroko otwarte i hipnotyzująco jasne, ani drgnęły. Wzrok Gandy'ego spoczął na jej ustach; to, co zamierzał teraz uczynić, prześladowało go od dłuższego czasu. Niekiedy był niemal pewien, że także jej zdarza się o tym myśleć.

Uniósł głowę na tyle tylko, żeby nie zawadzić o jej nos, i złożył na jej ustach pocałunek delikatny niczym pociągnięcie pędzla artysty, który stara się ożywić czyste płótno. Leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczyma i zaciśniętymi ustami, wstrzymując oddech, jakby była własnym obrazem.

Położył twarz z powrotem na poduszce i patrzył. Jej powieki zatrzepotały i lekko się rozchyliły. Niepewnie zaczerpnęła powietrza, jakby sprawdzała, czy jeszcze umie oddychać. Próbował wyczytać coś z jej oczu, znaleźć w nich jakąś zachętę, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest zapewne za bardzo speszona, by się na to zdobyć.

Spostrzegł jednak szybkie pulsowanie jej skroni i to mu wystarczyło. Nic miał pojęcia, dokąd zaprowadzi ich ta droga, lecz wiedział, że oboje już od dawna stoją na rozstajach i że ich ciekawość musi w końcu zostać zaspokojona. Oparł się na łokciu, ujął ją za ramię, delikatnie przewrócił na plecy i pochyliwszy się nad nią, przez długą chwilę zaglądał

jej w oczy. Później powoli, bardzo powoli dotknął wargami jej warg. Lekko wysunął język, ale chociaż Agata uniosła twarz, usta miała zamknięte. Dotknął ich łagodnie, lecz nie zareagowała. Najwyraźniej nie miała pojęcia, czego od niej oczekiwał. Gandy poczuł w sercu dziwne ukłucie — była jeszcze bardziej niewinna, niż przypuszczał. Zastanawiał się, czy po prostu nie powiedzieć jej, co powinna zrobić, doszedł wszakże do wniosku, że mógłby niepotrzebnie ją spłoszyć. Dlatego postanowił powiedzieć jej to ustami, językiem, miękkimi ukąszeniami, zręcznymi wilgotnymi pieszczotami, powolnymi ruchami głowy. *Gussie, Gussie, proszę cię, wpuść mnie.* Dokładnie wyczuł chwilę, kiedy wreszcie zrozumiała. Złagodził uścisk i czekał, a jego pocałunek stał się teraz zaproszeniem.

Leciutko i z wahaniem rozchyliła usta, a on wsunął pomiędzy nie czubek języka. *Szerzej, nie bój się.* Posłuchała, otworzyła usta, ponownie wstrzymała oddech i z wahaniem wpuściła go do środka, czekając na pierwszy, delikatny dotyk.

Wyczuwał, że ten pierwszy intymny kontakt to dla niej przyjemność, ale i wstrząs. Jej język był ciepły i smakował brandy. Gandy pieścił go swoim, kreśląc maleńkie kółka i starając się ją zachęcić, żeby robiła to samo co on. Zdecydowała się na nieśmiały ruch i na moment wsunęła czubek języka do jego ust.

Czy tak?

W odpowiedzi zwiększył nieco natężenie pieszczot. *Tak. Ale głębiej, dłużej.*

Spróbowała. W dalszym ciągu nieśmiało i powściągliwie, choć chętnie, jak w transie. Zdawał sobie sprawę, że to nowe nieznane wrażenie napawa ją przerażeniem, starał się więc, żeby pocałunek był jak najdelikatniejszy. Uniósł nieco głowę i spojrzał jej w twarz.

Otworzyła oczy. Nadal była przykryta po szyję, a rękę trzymała skrzyżowane na piersiach.

— A więc tak się to robi — wyszeptała.

— Nigdy dotąd nie próbowałaś?

— Raz. Jak miałam osiem lat, na podwórku. Syn sąsiadów obiecał, że jeśli pozwolę mu się pocałować, da mi się pobujać

na swojej huśtawce. Miał dziesięć lat. Jesteś w tym dużo lepszy niż on.

Uśmiechnął się, ukazując dołeczki w policzkach.

— Podobało ci się?

— Chyba od czasu kiedy kupiłeś mi maszynę, nic tak bardzo nie przypadło mi do gustu.

Roześmiał się i pocałował ją raz jeszcze, dłużej, ale równie delikatnie, pozwalając jej badać wnętrze swoich ust w taki sposób, w jaki chciała. Jej ręce pod kołdrą zaczęły się poruszać, podniósł się więc na tyle, by mogła je uwolnić.

Objęła go, kładąc lekko drżące dłonie na jego nagim ciele, tuż pod łopatkami.

Oderwał usta od jej ust i pocałował ją w czoło. Dłonie wciąż jej drżały.

— Gussie — rzekł — czymkolwiek się to skończy, chcę, żebyś wiedziała, że zrobiłem to nie po to, by cię skrzywdzić.

Nagle nabrała pewności, czym się to skończy, i bynajmniej nie miała złudzeń, że będzie to wspólne życie w Proffitt.

Myśl ta sprawiła jej większy ból niż nóż napastnika.

— Muszę być kompletnie pijana, skoro leżę w łóżku mężczyzny, piję whisky i całuję się z nim.

Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

— Słyszałaś, co powiedziałem? Przełknęła ślinę.

— Słyszałam — odparła trzeźwo.

— Nie jesteś osobą, dla której pocałunek to drobiazg. Wiedziałem o tym, zanim się na niego zdecydowałem.

— A ja, zanim pozwoliłam ci się pocałować.

Patrzył na lśniące w świetle lampy koniuszki rzęs, cień nosa i ust i kreśląc kciukami maleńkie kółka na jej skroniach, widział jeszcze wyraźniej to, co dostrzegł już wcześniej: przykuwające uwagę zielone oczy, prosty kształtny nos i delikatne usta, aż prosiące, by je całować, a wszystko to idealnie ze sobą współgrające. Wprost trudno było uwierzyć, że dotąd żaden mężczyzna nie uległ jej urokowi.

— Pewnie wydaje ci się dziwne, że nie przyszedłem podziękować ci za prezent? — Przełknęła ślinę, lecz nie odpowiedziała. — Czy tak?

— Tak. Jesteś pierwszym mężczyzną, któremu coś podarowałam.

Pocałował ją w brodę.

— Dziękuję — powiedział.

— Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej?

— Bo nie od dziś chodziła mi po głowie myśl, żeby zrobić to, co przed chwilą zrobiłem. Wtedy też o tym myślałem, Gussie. Ale nie chciałem, żebyś pomyślała, że wykorzystałem fakt, iż po raz pierwszy w życiu napiłaś się whisky i że już raz dzisiaj zostałam zaskoczona. Wcale nie dlatego to zrobiłem.

— A więc dlaczego?

— Nie wiem. — W jego oczach pojawił się wyraz zakłopotania. A ty wiesz?

— Żeby mnie pocieszyć?

Spojrzał jej w oczy i nagle postanowił uciec w najprostsze rozwiązanie.

— Tak, żeby cię pocieszyć. I żeby ci powiedzieć, że twój prezent noszę na sercu, od chwili kiedy Willy mi go przyniósł. To naprawdę piękne nożyczki. — Agata była wyraźnie zawstydzona. — Ty się zaczerwieniłaś, Agato — zauważył.

— Wiem. — Spojrzała w bok.

Nawet już nie pamiętał, kiedy po raz ostatni widział spłonioną kobietę. Dotknął palcem jej policzka, tam, gdzie delikatna cera zakwitła niczym czerwona róża.

— Czy pozwolisz mi tu zostać? Na kołdrze, obok ciebie? Spojrzała mu w oczy. Prawie czuła, jak jego ciało dotyka jej

piersi. Przez głowę przemknęła jej myśl, że tak blisko „tego” prawdopodobnie nie znajdzie się już nigdy więcej.

— Możesz mi ufać, Gussie.

— Dobrze... zostań — wyszeptwała, a on przeturlał się na bok i przykręcił knot lampy, zmieniając pokój w bezpieczny czarny kokon. Chwilę później położył się tuż obok, twarzą do niej. Agata wsłuchiwała się w jego oddech, unoszący jej włosy tuż nad uchem i rozmyślała, jak by to było, gdyby mogła spać obok niego aż po kres swoich dni.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przez całą noc Gandy ani razu nie nadużył jej zaufania, lecz Agata i tak prawie nie spała. Już sama świadomość, że leży obok śpiącego mężczyzny, nie pozwalała jej zasnąć. Dopiero kiedy szary świt rozjaśnił ciemne niebo, zapadła w płytki sen.

Obudził ją głośny szept.

— Gussie, nie śpisz?

Odwróciła głowę i otworzyła oczy. Scotta już nie było, za to w progu stał Willy z Łosiem na rękach. Na dworze padał deszcz i grzmiało.

— Dzień dobry panom. Willy uśmiechnął się.

— Przyniosłem Łosia, żeby ci poprawił humor.

— Och, Willy. To ty mi poprawiasz humor. Chodź tu do mnie.

Rozpromieniony malec podbiegł i rzucił kota na łóżko, po czym sam się na nie wgramolił i usiadł obok Agaty w swojej typowej pozycji: z kostkami po bokach. Niemal natychmiast zauważył bandaż i zaschniętą krew.

— O rety, Gussie, to ten facet ci to zrobił? Położyła się na boku i poklepała go po kolanie.

— Nic mi nie będzie, Willy. Więcej w tym było strachu niż czegokolwiek innego.

— Ale... — Mały nie zdołał powstrzymać łez.

Łoś przemierzył koc, obwąchał usta Agaty i polaskotał ją wąsami. Ze śmiechem odwróciła się na plecy, drapiąc się

w nos. Widząc to, Willy też się roześmiał, po czym zaproponował:

— Violet i ja zajmiemy się sklepem przez resztę dnia. Violet kazała, żebym ci powiedział, że wszystko jest pod kon... kon... — Umilkł zbity z tropu, ale na szczęście szybko przypomniał sobie brakujące słowo. — Pod kontrolą.

— Powiedz Violet, że niedługo zejdem. Nigdy nie bylam leniem i wcale nie mam zamiaru nim zostac.

— A wiec to tutaj jesteś, ty mały hultaju! — W drzwiach stanęła Ruby, trzymając w ręku przykryty talerz. — Scotty wie, że wsadziłeś mu do łóżka tego kocura?

— Tak. Łoś poprawia Gussie humor. Ruby roześmiała się drwiąco.

— Przede wszystkim pomaga jednemu leniuchowi wymigać się od zmiatania.

— O rany! Zupełnie zapomniałem! — Willy zeskoczył z łóżka i ruszył w te pędy do wyjścia. Już w drzwiach chwycił się framugi i obrócił w miejscu tak gwałtownie, że na moment aż zawisł w powietrzu.

— Zajmij się Łosiem, Gussie, dobrze? Przy sprzątaniu strasznie się nam płacze pod nogami.

Kiedy zniknął, Ruby uniosła jedną brew.

— Czy ten dzieciak robi cokolwiek powoli?

— Trzeba go było widzieć, jak szedł do łaźni — odparła Agata ze śmiechem.

— Dzisiaj na śniadanie jajka z kaszą. Scotty kazał mi dopilnować, żebyś wszystko zjadła. Emma mówi, że z talerzem nie ma pośpiechu. Mówię ci, jakbym dopadła tego skunksa, co ci to zrobił, jaja bym mu obskubała, a potem zgmiotła i dodała do śruty dla świń. — Bezceremonialnie postawiła talerz przed Agatą. — No, jedz.

Słuchając jej, Agata nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. O przeszłości tych trzech dziewcząt nie pozwalały zapomnieć ich rubaszne dowcipy i kwiecisty język. Jedząc śniadanie, już po wyjściu Ruby, Agata uśmiechnęła się do siebie. „Och, Ruby, ciebie też kocham.”

Nagle popadła w zadumę.

Była to niezaprzeczalna prawda. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zdążyła pokochać całą bez wyjątków „rodzinę” Scotta Gandy'ego. A oni tę miłość odwzajemniali. Dawali tego

dowody na każdym kroku: ratowali ją, kiedy miała kłopoty, udzielali schronienia, kiedy się bała, a potem pomagali dojść do siebie. Jakież to cudowne. I orzeźwiający. Siedziała i dłubała widelcem w kaszy, nagle bowiem straciła apetyt. A co będzie, jeśli teraz, kiedy dopiero co ich odnalazła, przyjdzie jej ich utracić?

Zwąchawszy jedzenie, Łoś wskoczył jej na kolana. Odłożyła widelec i zaczęła go karmić, obserwując jednak kociaka wylizującego talerz poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

„O, dobry Boże, spraw, żeby ta poprawka przepadła” — modliła się, głaszcząc Łosia po małej główce.

Kiedy wstała, drzwi łączące pokój dzienny z biurem Scotta były zamknięte. Spojrzała na jego płaszcz przewieszony przez krzesło, pełną popielniczkę, rozłożoną gazetę i rzucony niedbale kołnierzyk koszuli. Uświadomiwszy sobie, że najprawdopodobniej ich wspólne dni są policzone, ponownie poczuła ukłucie, jeszcze boleśniejsze niż poprzednio. Jak zahipnotyzowana podeszła do akwareli przedstawiającej Waverley. Wspaniały budynek, za którym każdy, kto go stracił, musiał, po prostu musiał tęsknić. Rozłożyste skrzydła, doryckie kolumny i stanowiąca ukoronowanie całości wysoka rotunda ze spadzistym dachem, niczym diament o ośmiu fasetach umieszczony w eleganckiej oprawie.

Przyglądając się szerokim drzwiom wejściowym, wyobraziła sobie Scotta jako chłopca, wybiegającego przez nie pędem, jak przed chwilą zrobił to Willy. Jako młodzieńca biorącego ślub z piękną blondynką i młodego męża, niechętnie wyruszającego na wojnę, który galopując aleją pod magnoliami, odwraca się, by po raz ostatni spojrzeć na zapłakaną żonę z dzieckiem w objęciach. Wreszcie wyobraziła sobie pokonanego rebelianta, wracającego do domu tylko po to, żeby usłyszeć nawiedzający go we śnie głos córki.

Agata położyła dłoń na wypolerowanym drewnie palisandrowej kasetki na cygara, którą tyle razy gładził. Dotknęła kołnierzyka, który otaczał jego silną ciemną szyję.

„Powrócisz tam, Scott. Wiem to. Po prostu musisz tam powrócić.”

Wychodząc na korytarz zauważyła, że drzwi do jego biura są otwarte. Próbowwała jakoś się przemknąć, on wszakże siedział za biurkiem i zauważył ją.

— Agato? — zawołał. ,

Niechętnie zawróciła i stanęła w otwartych drzwiach, speszona swoim strojem i bosymi stopami.

— Jak się czujesz? — spytał.

Kiedy na niego spojrzała, serce jej zamarło. Rozczochrany, nie ogolony, wymięty. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Białą koszulę bez kołnierzyka miał rozpiętą pod szyją, rękawy podwinięte nad łokcie. Na biurku paliła się lampa, oświetlając jego ogorzałą twarz, podczas gdy z tyłu, za plecami, deszcz stukał o szybę, spływając po niej wąskimi strumykami. Zamiast cygara Scott trzymał w palcach pióro.

W ciągu jednej nocy wszystko uległo diametralnej zmianie. Agata nie potrafiła już patrzeć na te palce, nie wspominając jednocześnie ich dotyku. Na widok jego nagiej szyi czuła pod dłonią szorstkość męskiego zarostu.

Starczyło, że spojrzała na jego pełne kształtne usta, a natychmiast jej myśli szybowały ku temu pierwszemu namiętnemu pocałunkowi. Krótko mówiąc, patrząc na niego odczuwała nieodparte pragnienie, by powtórzyło się to, co między nimi zaszło.

Zaborczość była dla Agaty czymś całkiem nowym. Podobnie jak zachłanność. Jakże szybko przejmowały one kontrolę nad kobietą, kiedy ta zasmakowała w mężczyźnie.

— Dużo lepiej. — Było to wierutne kłamstwo. Na samą myśl, że może go stracić, poczuła się gorzej niż kiedykolwiek dotąd.

— Kazałem Pearl zmienić twoją pościel i zanieść poplamione powłóczki do pralni.

— Dziękuję. I dziękuję za śniadanie. Przyślę Willy'ego z pieniędzmi.

Pomiędzy jego brwiami pojawiły się dwie zmarszczki.

— Nie chcę żadnych pieniędzy.

— Dobrze, Scott. Dziękuję ci. Jesteś... Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy... Sa... Sa... — Łzy napłynęły jej do oczu i znowu zaczęła się jąkać. — Sama nie wiem, co bym bez was zrobiła.

Patrzył na nią skonsternowany, podczas gdy ona szukała w sobie równowagi, znajdując jedynie ściskający serce strach.

Nagle odłożył pióro, zerwał się z krzesła i podszedł do okna, jak kiedyś w przeszłości. Wpatrując się w strugi deszczu i błyskawice, wydusił przez zaciśnięte gardło:

— Agato... to co zdarzyło się dzisiejszej nocy... nie powinienem był tego robić.

Rozległ się głuchy grzmot, ona zaś starała się wymyślić jakąś odpowiedź. Lecz co można powiedzieć, kiedy ma się tak bardzo rozdarte serce? Zebrała w sobie siły, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia.

— Nie przesadzaj, Scott. W końcu to tylko pocałunek. Zwrócił ku niej zatroskaną twarz i zaczął jej tłumaczyć niczym małej upartej dziewczynce:

— Zanadto się różnimy.

— Tak, to prawda.

— A po drugim listopada wszystko może się zmienić.

— Wiem.

— A więc... — Myśl pozostała nie dokończona. Gandy wziął głęboki oddech i gwałtownie się odwrócił, zaciskając dłonie na ramie łączącej górną i dolną szybę. Opuściwszy głowę, utkwiał wzrok w podłogę.

Jej serce przeszła strzała nadziei. „Scott, co ty opowiadasz?” Zbyt zakłopotana, by dłużej przebywać w jego biurze, wyszła, zostawiając go wpatzonego w dal.

Jeśli jednak rzeczywiście dawał jej do zrozumienia to, co przypuszczała, to i tak ten deszczowy poranek położył kres wszelkim o tym rozmowom. Dzień po dniu przemijał październik, a on za wszelką cenę starał się jej unikać, kiedy zaś było to niemożliwe, traktował ją z takim samym przyjaznym szacunkiem jak Pearl, Ruby czy też Jacka.

Willy nauczył się grać na organkach „Oh, Susanna” i chwilami Agata żałowała kiepskiego wyboru prezentu. Przenikliwe brzęczenie harmonijki działało jej na nerwy.

Szeryf Cowdry kazał każdemu barmanowi w Proffitt pisać słowo „abstynentka” w nadziei, że w ten sposób odkryje autora napisu na drzwiach Agaty. Jednakże czterech oświadczyło, że nie umie pisać, natomiast pięciu spośród pozostałych zrobiło dokładnie takie same błędy jak sprawca.

Przez cały czas padało i w efekcie ulica zamieniła się w grzęzawisko. W miasteczku zapanowała epidemia influency żołądka. Willy mówił, że Pearl nazywa ją „kansaskim pogania-

czem", co wydawało mu się strasznie zabawne, dopóki sam nie zachorował. Był najbardziej uciążliwym pacjentem, jakiego można sobie wyobrazić, i pod nieobecność Violet, która również zaniemogła, Agata miała na głowie nie tylko zakład, ale i chorego malca.

Niedługo potem przyszła kolej także na nią. A chociaż wydobrzała na tyle szybko, że właściwie mogłaby iść z resztą stowarzyszenia rozdawać ostatnią porcję ulotek, została w domu, tłumacząc się chorobą.

Drugiego listopada na dworze było zimno i ponuro. Niebo miało kolor matowego srebra, a z północnego zachodu wiał lodowaty wiatr, zacinający płatkami śniegu tak drobnymi, że choć się je czuło, nie można ich było zobaczyć. Kowboje dawno odjechali, zagrody były puste. Grudy błota pozamarzały, tworząc koleiny, na których podskakiwały wozy jadących do miasta okolicznych osadników. Bary były pozamykane, a całe życie miasteczka skupiło się w biurze szeryfa, pełniącym tego dnia rolę punktu wyborczego.

Agata trzymała się z dala od okien, przesiadując, odcięta od świata, w oświetlonych lampą, najdalszych zakątkach warsztatu. Starła się nie myśleć, jaką decyzję podejmą wyborcy stanu Kansas. Starła się nie myśleć o czterech mężczyznach z sąsiedztwa, przechodzących przez zrytą koleinami ulicę na drugą stronę, by oddać swe głosy, ani o kobietach ze stowarzyszenia, które pomimo mrozu uparcie stały na dworze i namawiały udających się do punktu wyborczego, żeby raz na zawsze przepędzili demona.

Dla wielu mieszkańców Kansas była to długa niespokojna noc, a lokatorzy mieszkań nad zakładem kapeluszniczym i Złotą Klatką nie byli żadnym wyjątkiem.

Nikt nie wiedział, o której dokładnie można się spodziewać depeszy z wynikami głosowania. Co prawda Violet wróciła już do pracy, ale ani ona, ani Agata nie były w stanie na niczym się skoncentrować. Prawie nie szyły, jeszcze mniej rozmawiały. Głównie spoglądały na zegar i wsłuchiwały się w jego samotne tykanie.

Kiedy wczesnym popołudniem drzwi się otworzyły i wszedł Scott Gandy, Agata siedziała przy swoim biurku z przegródkami, a Violet ścierała kurz ze szklanych półek w gablotce z ozdobami.

Gandy spojrział na Agatę, po czym przesadnie cicho zamknął za sobą drzwi. Nie zapomniał wszakże o dobrych manierach i jak zwykle grzecznie powitał Violet, która powoli podniosła się z krzesła.

— Dzień dobry, panno Violet. Przynajmniej raz nie zachichotała.

— Dzień dobry, panie Gandy.

Przeszedł przez zakład i stanął obok Agaty, milczący, uroczysty, z kapeluszem w dłoni, jakby zjawiał się, by czuwać przy zmarłym.

Agata siedziała spięta, bez ruchu, z trudem oddychając. W końcu uniosła wzrok i spojrzała na jego uroczystą twarz, stłumionym głosem pytając:

— I jak?

— Przeszła — odparł cicho, lecz spokojnie. Agata jęknęła i dotknęła ust.

— Och, nie! — Pobladła.

— Poprawka przeszła. W Kansas nie będzie wolno sprzedawać alkoholu.

— Przeszła — powtórzyła Violet, lecz zarówno stojący mężczyzna, jak i kobieta siedząca za biurkiem wydawali się nieświadomi jej obecności. Patrzyli sobie w oczy, podczas gdy twarz Agaty stawała się coraz bledsza.

— Och, Scott... — Nieświadomie wyciągnęła ku niemu rękę, kładąc ją prawie na skraju blatu. Gandy spojrział na nią, zamiast wszakże ją ująć, uparcie uderzał rondem kapelusza w otwartą dłoń. Ich spojrzenia znowu się spotkały: jej oszalałe, jego pozbawione wszelkiego wyrazu.

— Będziemy musieli coś zdecydować... w sprawie Wil-ly'ego.

Przełknęła ślinę, czuła się jednak tak, jakby miała w gardle korek. Próbowwała powiedzieć „tak”, ale nie zdołała.

— Zastanawiałaś się nad tym? — spytał Gandy.

Tego już było za wiele, Agata nie była w stanie prowadzić racjonalnej dyskusji na temat nieuniknionego końca, który musi złamać serce jemu albo jej. Zakryła usta dłonią i odwróciła się twarzą do ściany, starając się opanować napływające do oczu łzy. Ściśnięte gardło zadrżało.

Gandy spojrział w bok, nie potrafił bowiem znieść tego widoku, co więcej, wiedział, że serce mu wali tak samo jak jej.

Violet podeszła do okna, rozchyliła firanki i udawała, że wygląda na ulicę. Na zapleczu Złotej Klatki Willy uganiał się za kotem, z dworu dochodziły coraz głośniejsze okrzyki radości ze zwycięstwa. W zakładzie kapeluszniczym kobieta i mężczyzna cierpieli w milczeniu.

— No cóż... — Gandy odchrząknął. Wcisnął kapelusz na głowę, po czym przez niezmiernie długą chwilę poprawiał rondo. — Zastanowimy się nad tym kiedy indziej.

Kiwnęła głową, wciąż odwrócona do ściany. Widział nierówne drżenie jej piersi i ramion. Sam zrozpaczony, miał ochotę przytulić ją i pocieszyć — ją i samego siebie. Cóż za ironia losu, że takie zamiary budzi w nim kobieta, która wypowiedziała mu wojnę i zwyciężyła. Zrobił krok w jej stronę.

— Gussie... — zaczął, lecz głos mu się załamał.

— Czy... czy Willy wie?

— Jeszcze nie — odparł gardłowym głosem.

— Lepiej idź i... i mu powiedz.

Obserwował jej zmagania ze łzami, a kiedy już nie mógł dłużej tego znieść, odwrócił się i wybiegł.

Violet nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem Scotty Gandy opuścił zakład uprzejmie się z nią nie pożegnawszy.

Kiedy drzwi się zamknęły, zasłoniła firanki i stała koło okna, smutna i opuszczona. Ten przemiły pan Gandy — jakże nie chciała jego wyjazdu. Co ciekawego będzie się dziać w tej żalösnej dziurze, jak pozamykają wszystkie bary?

Usłyszawszy szloch, zerknęła przez ramię i ujrzała Agatę, odwróconą do ściany, zakrywającą chusteczką usta i nos. Jej ramiona drżały.

Violet podeszła do biurka.

— Co się stało? — spytała, kładąc jej delikatnie rękę na ramieniu.

Agata okręciła się na krześle i mocno objęła Violet, kryjąc twarz w jej piersiach.

— Och... Violet...

— No, już... uspokój się... — szepnęła, klepiąc ją delikatnie po łopatkach. Nie miała dzieci, lecz uczucia macierzyńskie nie mogły być w tej chwili silniejsze, nawet gdyby Agata była jej córką. — Jakoś to będzie.

Agata tylko pokręciła głową.

— Nie. Zro... zrobiłam coś... nie... niewybaczalnego.

— Ależ skąd. Przez całe życie nie zrobiłaś nic, ale to nic niewybaczalnego.

— Zro... zrobiłam. Za... za... zakochałam się w... w... w Scotcie Ga... Gandym.

Z wrażenia i przerażenia oczy Violet zrobiły się wielkie jak talerze.

— O Boże! — stęknęła. — O Boże! Czy on wie? Agata pokręciła głową.

— Sły... słyszałaś, co powiedział o... o Willym. Je... jedno z nas będzie musiało się z... z nim... roz... rozstać.

— O Boże.

Violet położyła żylastą dłoń na włosach Agaty. Ponieważ jednak nigdy nie wierzyła w skuteczność frazesów, niewiele mogła zrobić, żeby pocieszyć kobietę, której złamane serce złamało odrobinę także i jej własne.

Heustis Dyar jeździł końcem cygara po swoich żółtych startych zębach. Minęło sześć godzin, od chwili kiedy do Proffitt dotarła ta wiadomość, ale to przecież jeszcze nie prawo! Upłynie parę miesięcy, zanim dokumenty nabiorą mocy i przekłeta poprawka zacznie obowiązywać! A na razie on — jak mu Bóg miły — zamierza wykorzystać cały pozostały czas!

Ponownie napełnił szklanekę i wypił solidny łyk. Zrobiło mu się gorąco w gardle.

— Jakie mają prawo? — bełkotał przy barze jeden z pijanych klientów. — Czy my już nie mamy żadnych praw?

Dyar upił kolejny łyk i pytanie to, razem z alkoholem, zapłonęło głęboko w jego wnętrzu. Jakim prawem pozbawiają człowieka jedyne źródła dochodu? Przecież jest porządnym człowiekiem, który stara się uczciwie zarobić na przyzwoite życie. Czy chociaż wiedzą, ile whisky trzeba sprzedać, żeby kupić konia? Siodło? Kapelusz? Był cierpliwy. Nie zareagował, kiedy „świętoszki” zaczęły się spotykać u tej kulawej modystki po drugiej stronie ulicy. Był nawet więcej niż cierpliwy. Był na tyle porządny, że lojalnie ostrzegł to przekłete kulawe babsko, winne całej afery. Ale czas oitrzeteń minął. Ona i jej podobne wyły, modliły się i gadały, aż W końcu osiągnęły swój cel.

Przygryzł wąż i zerknął złowrogo na niewielkie ciemne okno jej mieszkania. „Jakim prawem, Agato Downing, ty przekłeta wścibska suko?! Jakim prawem?!”

Z hukiem odstawił szklanę, czknał potężnie i powiedział tak głośno, żeby wszyscy słyszeli:

— Whisky byłaby jeszcze lepsza, gdyby nie chciało się po niej tak strasznie szczać.

Rozległ się głośny śmiech, a kiedy Heustis ruszył do wyjścia, Tom Reese napelnił mu szklanę. Za drzwiami Dyar dał sobie spokój z udawaniem, zszedł ze ścieżki i wielkim łukiem ominął rząd budynków pomiędzy barem a rogiem ulicy. Po niecałych trzech minutach wspinał się po schodach Agaty.

Marcus był ostatnim, którego dopadła grypa, aczkolwiek kiedy już się to stało, przyszło mu wycierpieć więcej niż innym. Co za przekłeta biegunka! W ostatnich dniach częściej siedział w wychodku, niż grał na bandžo. Do tego wszystko go bolało. Zapinając spodnie i zakładając szelki na wąskie ramiona, stęknął, po czym bojaźliwie dotknął ręką brzucha.

Kiedy wyszedł z wygodki, dostrzegł jakiś ruch na schodach. Szybko złapał drzwi, żeby nie trzasnęły, po czym przylgnął do ściany. Nie zważając na ból żołądka, czekał na odpowiednią chwilę. Mężczyzna czający się przy drzwiach Agaty rozejrzał się i pochylił nad zamkiem.

Marcus pobiegł zwinnie niczym chart — pełnym równym krokiem, przeskakując po dwa stopnie, uzbrojony jedynie w gniew. Dyar, dzierżąc nóż w dłoni, zakołysał się na piętach, jednakże jego reakcje spowolnione były przez alkohol, który w siebie wlał. Miał też wyraźne problemy z utrzymaniem równowagi. Marcus przebiegł przez balkon i zaatakował Dyara całym ciężarem ciała. Obiema nogami kopnął go w klatkę piersiową, wytrącając mu z ręki nóż, który upadł z brzękiem na deski. Nigdy dotąd Marcus tak gorąco nie pragnął, żeby mieć głos, jak w tej chwili. Nie po to, by wołać o pomoc, lecz by wykrzyczeć cały swój gniew: „Dyar, ty przekłety bękarcie! Zapity sukinsynu! A więc to ty napadasz w środku nocy bezbronne kobiety!”

Chociaż Heustis Dyar był cięższy od Marcusa o dobre siedemdziesiąt pięć funtów, ten miał po swojej stronie rację,

a także przewagę trzeźwości i zaskoczenia. Kiedy Dyar podniósł się z ziemi, Marcus zdzielił go pięścią w twarz z taką siłą, że zatrzęszczały mu stawy. W odpowiedzi Dyar uderzył Marcusa w obolały brzuch, po czym poprawił potężnym ciosem w czaszkę. W niemowie zawrzała dzika, niczym nie zmacona furia. Ryk, którego nie był w stanie z siebie wydobyć, przeistoczył się w pokłady świeżej energii. Marcus wyprostował się, pochylił głowę i zaatakował jak rozjuszony byk. Trafił Dyara w żołądek, po czym jednym zwinnym ruchem przerzucił go przez balustradę.

Rozległ się krótki krzyk, który ucichł, kiedy ciało wyrznęło o ziemię.

W drzwiach Agaty zazgrzytał klucz, dokładnie w chwili kiedy na dworze pojawili się Gandy i Ivory. Marcus siedział po turecku na deskach, kiwając się i trzymając prawą ręką za brzuch, nie mogąc nawet jęknąć.

— Marcus, co się stało? — rozległo się pierwsze pytanie.

— Kto to krzyczał?

— Nic ci nie jest?

Po chwili pojawili się kolejni gapie.

— Co tu się dzieje?

— Marcus! Och, Marcus!

— Kto tam leży na dole?

Scott i Ivory zbiegli po schodach i po chwili krzyknęli:

— To Heustis Dyar!

— Chyba próbował się do mnie włamać — odezwała się Agata. — Usłyszałam jakieś hałasy, potem krzyk, a kiedy otworzyłam drzwi, Marcus siedział na deskach.

Willy obudził się, wyszedł z zaplecza i przycupnął obok Scotta.

— To on napadał na Gussie?

— Na to wygląda, szkrabie.

— Dobrze mu tak — oznajmił chłopiec.

— Agacie nic się nie stało? — zwrócił się Gandy do Ivory'ego.

— Chyba nie.

Tymczasem na górze Jube pochylała się nad Marcusem, który na chwilę zapomniał o bólu i skoncentrował się na jedwabnym szlafroku muskającym jego ramię oraz jej rozspanym ciepłym zapachu. Przyszło mu do głowy, że nawet jeśli ma złamaną rękę, nie jest to wysoka cena za bliskość Jube.

Agata, również w szlafroku, przyklękła po jego drugiej stronie.

— Marcus, złapałeś go! — Ten, którego nigdy by nie podejrzewała, że zdoła pokonać olbrzyma w rodzaju Dyara. A jednak poradził sobie.

Próbował wzruszyć ramionami, lecz promieniujący na całą rękę ból natychmiast wybił mu ten pomysł z głowy.

Syknął przez zaciśnięte zęby.

— Coś ci się stało? W rękę? Pokiwał głową.

Jack zauważył nóż i podniósł go.

Dłoń Jubilee dotknęła delikatnie ramienia Marcusa.

— Och, Marcus, przecież mógł cię zabić.

Chociaż bliskość i czułość Jube sprawiały mu niewymowną rozkosz, nie zapomniał, że Dyar nadal leży na dole.

Wskazał ruchem głowy na balustradę.

— Co z Dyarem? — zawołała Ruby. — Żyje?

— Żyje — krzyknął Scott — ale nieźle się poharatał. Znowu będzie trzeba ściągać doktora.

— Szeryfa też — dodał Jack, nie odrywając wzroku od noża.

— Przeklęty, tępy bandzior — mruknęła Ruby, po czym dołączyła do kobiet zajmujących się Marcusem. Pomogły mu wstać, zaprowadziły do środka, zapaliły lampy i sprawdziły, jak mocno jest poturbowany.

Okazało się, że ma złamaną prawą rękę. Kiedy doktor założył mu drewnianą szynę i umocował ją bandażem, Marcus z niezbyt szczęśliwą miną uniósł zdrową lewą dłoń i przebiegając palcami po progach niewidzialnego bandzo, zakomunikował: „Dobrze przynajmniej, że to nie ta, którą gram.”

— Heustis będzie marzył, żeby mieć połamaną tylko rękę — stwierdził kąśliwie Doc Johnson, kiedy szeryf Cowdry odtransportował Dyara do aresztu.

Chcąc się jakoś odwdzińczyć Marcusowi, Agata obiecała uszyć mu, co tylko sobie zażyczy, jak poczuje się ha tyle dobrze, żeby zejść na dół do przymiarki.

Już w swoim pokoju Marcus dostał od Jube leciutkiego całusa w same usta, co sprawiło mu ogromną radość. Zanim jednak zdołał zareagować, powiedziała „dobranoc” i już jej nie było.

Scott zaciągnął Willy'ego z powrotem do spania i musiał przygryźć wargi, żeby się nie roześmiać, kiedy ten oświadczył:

— Wszystko słyszałem. Stary Heustis skwierczał jak sztuczne ognie, zanim rąbnął o ziemię.

— Idź już spać, szkrabie. Na dziś koniec zabawy.

— Dlaczego chciał skrzywdzić Gussie? — spytał Willy, tuląc Łosia i kładąc się do łóżka.

— Nie wiem.

Kot był tak przyzwyczajony do spania z Willym, że położył się na boku z głową na poduszce, całkiem jak człowiek.

Gandy pomyślał, że jeszcze chwila, a ziewnie, kulturalnie zasłaniając sobie pyszczek.

— Czy to przez prohibicję?

— Chyba tak.

— Co zrobisz, jak już nie będziesz móc sprzedawać whisky?

— Jak już nie będziesz mógł — odruchowo poprawił go Gandy. Nawet nie zauważył, kiedy przejął od Gussie nawyk poprawiania chłopca. Pogładził go po włosach. — Pewnie wrócę do Missisipi.

— A... nie mógłbyś zostać kowalem albo kimś takim? Tata Eddiego naprawia uprzęże. Może ty też byś się nauczył? Wtedy byś mógł tu zostać.

Gandy przykrył Willy'ego pod samą brodę.

— Zobaczmy. Na razie się tym nie martw. Minie jeszcze parę miesięcy, zanim prohibicja zacznie obowiązywać.

— Dobrze.

Gandy zaczął zbierać się do wyjścia.

— Ale Scotty?

Usiadł z powrotem na skraju łóżka.

— Zapomniałeś mnie pocałować na dobranoc. Pochyliwszy się, żeby dopełnić rytuału, Gandy starał się trzymać uczucia na wodzy, zadrzał wszakże na samą myśl, że być może już wkrótce przyjdzie mu zrobić to po raz ostatni. Uniósł chłopca, przycisnął do walącego jak młotem serca i pocałował w czubek jasnej, krótko przystrzyżonej czupryny. Przypomniawszy sobie Agatę, odwracając się gwałtownie do ściany, jej drżące ściśnięte gardło. Próbował sobie wyobrazić, że zabiera jej chłopca, lecz to nie mieściło mu się w głowie. Kiedy jednak pomyślał, że miałby go zostawić i patrzeć w jego

brązowe oczy pełne łez — a wiedział, że tak właśnie by było — nie był pewien, czy potrafi się na to zdobyć. Położył malca z powrotem do łóżka i starannie go opatulił.

— Śpij już — rzekł, z trudem powstrzymując drżenie głosu.

— Dobrze. Ale Scotty?

— Co jeszcze?

— Kocham cię.

Gandy'emu zdawało się, że jakiś olbrzym ścisną go za serce.

— Ja ciebie też kocham, szkrabie — wydusił z siebie. Z ogromnym trudem.

W połowie listopada Scott Gandy i jego pracownicy zebrali się, żeby ustalić termin zamknięcia Złotej Klatki i dalsze plany. Postanowiono, że nie ma sensu odkładać zamknięcia baru. Kwitnący w lecie i wczesną jesienią interes kręcił się ostatnio raczej marnie, co nie dziwiło, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że po wyjeździe poganiaczy liczba mieszkańców miasteczka spadła do około dwustu. Kiedy padło pytanie, co robić dalej i dokąd się udać, wszyscy umilkli i wlepili oczy w Scotta, czekając na propozycję. On jednak nie miał tym razem żadnego genialnego pomysłu.

— Potrzebuję trochę czasu i samotności, żeby to wszystko spokojnie przemyśleć. Być może pojedę na południe... tam jest trochę cieplej... i spróbuję pozbierać myśli. Co byście powiedzieli na trochę wolnego?

Nic nie powiedzieli. Siedem smutnych twarzy wpatrywało się w niego w zupełnym milczeniu. Czuł na barkach brzemień odpowiedzialności za nich wszystkich i przez chwilę miał ochotę zrzucić je z siebie. Do licha! Czy nie mogliby wreszcie sami o sobie zadbać? Czy już do końca życia będą się na niego gapić jak na zbawiciela i czekać, aż zbuduje im następną bezpieczną i dochodową arkę? Sam też nie był w najlepszym nastroju. Przychody Złotej Klatki spadły ostatnio tak bardzo, że przestawały wystarczać na utrzymanie ośmiu osób. A przecież musi zachować jak najwięcej pieniędzy na rozkręcenie nowej działalności. Dlaczego więc dręczą go wyrzuty sumienia, że prosi ich, by przez jakiś czas zatroszczyli się o siebie?

— Sądzę, że to potrwa nie dłużej niż do stycznia. Wtedy zadeszycie pod adres, który podam przed wyjazdem, a ja wam wyślę odpowiedź, gdzie się osiedlimy i kiedy macie przyjechać.

Nadal milczeli.

— Co wy na to?

— Dobrze, Scotty — odparł Ivory matowym głosem. — Tak pewnie będzie najlepiej. — Nagle zdał sobie sprawę, że jego słowa brzmią mało przekonująco. — Jak myślicie, tak będzie najlepiej, no nie? — spytał z udawanym entuzjazmem.

Pokiwali głowami, mrużąc coś pod nosem, lecz nastrój nie poprawił się ani odrobinę. Scottowi nie pozostało nic innego, jak samemu udawać entuzjazm.

— A więc umowa stoi — rzekł, uderzył dłońmi w zielony blat stołu i wstał. — Nie ma sensu siedzieć dłużej w tej zagrodzie. Jak tylko się spakujecie, wyruszajcie, a ja wystawię tę budę na sprzedaż.

— A co ze szkrabem? — spytał Jack. Scott zdołał jakoś ukryć zdenerwowanie.

— Musimy z Agatą coś postanowić. Ale nie martw się, na pewno nie zostanie bez opieki.

Wręcz przeciwnie. Były aż dwie osoby, które bardzo pragnęły się nim opiekować i które do ostatniej chwili odwlekały moment podjęcia decyzji. Jednakże czas minął.

Kierowany impulsem, Scott poszedł do biura, napisał kartkę do Agaty, po czym poprosił Willy'ego, żeby ją zaniósł i poczekał na odpowiedź.

Willy przez chwilę wpatrywał się w kartkę.

— Ale to przecież głupie. Dlaczego sam do niej nie pójdziesz?

— Bo jestem zajęty.

— Wcale żeś nie jest! Wcale nie, przecież...

— Ile razy Agata prosiła, żebyś nie mówił żeś?! A teraz weź wreszcie tę kartkę i zanieś ją Agacie! — rozkazał ostro, zdecydowanie ostrzej, niż zamierzał.

Niesłusznie skarcony Willy zasmucił się i spuścił głowę.

— Dobrze, Scotty — rzekł cicho i ruszył w stronę drzwi.

— I włóż kurtkę! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś bez niej nie biegał po schodach?

— Ale mam ją na dole.

— Co ona tam robi? Przecież jest zima!

Nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi, Willy spojrział na Scotta błyszczącymi od łez oczyma.

— Włożę, jak będę wracał.

Po wyjściu malca Gandy opadł ciężko na krzesło i siedział wpatrzony w śnieg za oknem. Gryzło go sumienie, że tak surowo obszedł się z Willym, który nie był przecież winien ani temu, że trzeba zamknąć bar, ani temu, że Agata i Scott utknęli w ślepej uliczce.

Willy odnalazł Agatę w zakładzie. Akurat szyla na maszynie.

— Scotty powiedział, że mam ci to dać, Gussie — rzekł, wręczając jej kartkę.

Rytmiczny stukot mechanizmu zwolnił, a chwilę później ustał. Agata zerknęła na kartkę i ogarnęło ją złe przeczucie.

„Nie, jeszcze nie teraz — pomyślała rozpaczliwie. — Proszę, jeszcze nie teraz.”

— Dziękuję, Willy.

Malec dreptał w miejscu, trzymając pięści w kieszeniach kurtki, którą dostał ostatnio od Scotta.

— Kazał mi poczekać na odpowiedź... Rany, co mu się stało, że jest ostatnio taki zły? — narzekał, podczas gdy Agata czytała list.

Kiedy skończyła, przeszedł ją dreszcz przerażenia. Od dawna wiedziała, że ta rozmowa jest nieuchronna, lecz żadne psychiczne przygotowanie nie było w stanie złagodzić bólu, który czekał po niej ją albo Scotta.

Z zamyślenia wyrwał ją głos malca.

— Przepraszam, kochanie. Słucham?

— Dlaczego Scotty jest ostatnio taki zły?

— Zły? A jest?

— No, krzyczy na mnie jak oszalały, kiedy żem nie zrobił nic złego.

— Nie zrobiłem — poprawiła go. — Z dorosłymi czasami tak bywa. Jestem pewna, że Scotty nie chciał być dla ciebie niemiły. Odkąd przeszła ta poprawka, ma bardzo dużo kłopotów.

— Aha...

Pogłaskała go po głowie.

— Powiedz Scottowi, że tak — poleciła łagodnie.

— Że tak?

— Tak.

— Nic więcej?

— Nic. Tylko to.

Kiedy powłócząc nogami wyszedł, Agata spojrzała na drzwi i spróbowała wyobrazić sobie życie bez niego. Bardzo dobrze wiedziała, dlaczego Scotty jest zły. Ona sama nie spała po nocach i zamartwiała się w dzień.

Wzięła głęboki drżący oddech i jeszcze raz przeczytała kartkę:

Droga Agato,

Musimy porozmawiać. Czy mogłabyś zejść do baru zaraz po zamknięciu? Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Willy ostrożnym krokiem podszedł do drzwi biura Gandy'ego i przystanął.

— Gussie powiedziała, że tak — odezwał się, wydymając usta.

Scott odwrócił się na krześle i poczuł ukłucie w sercu.

— Chodź tu do mnie, szkrabie — rzekł cicho.

— Po co? — Tego ranka sparzył się już boleśnie i nie miał zamiaru robić tego po raz drugi.

Gandy wyciągnął rękę.

— No chodź.

Willy zbliżył się niechętnie, patrząc na niego wilkiem. Obszedł róg biurka i zatrzymał się poza zasięgiem wyciągniętej ręki.

— Bliżej — odezwał się Scott. — Nie mogę dosięgnąć. Willy nie ruszał się z miejsca, w końcu jednak położył swoją małą pulchną dłoń na długiej i silnej Gandy'ego.

— Przepraszam, szkrabie. Było ci przeze mnie przykro, prawda? — Przyciągnął chłopca i posadził go sobie na kolanach. Willy przytulił się do niego z widoczną ulgą. — Wcale nie byłem na ciebie zły, wiesz o tym?

— Więc dlaczego mnie skrzyczałeś? — zapytał Willy, przyciskając twarz do kamizelki Gandy'ego.

— Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Przepraszam. To jak, będziemy znowu przyjaciółmi?

— Tak.

Jasna główka chłopca wpasowała się pod brodę Scotta, małe ciało opatulone grubą wełnianą kurtką wydawało się ciepłe i miłe. Jedną rękę przycisnął ufnie do torsu Gandy'ego, nogi oparł o jego nogi. Jego bliskość sprawiała Scottowi ogromną przyjemność.

Powoli ogarniał ich błogi spokój. Na dworze padał śnieg. W małym żelaznym piecyku płonął przytulny ogień. Scott oparł but o otwartą szufladę i gładząc Willy'ego po głowie kiwał się na krześle tak mocno, że aż poskrzypywała sprężyna.

Po dłuższej chwili, kiedy obaj się uspokoili, Scott spytał:

— Zastanawiałeś się kiedyś, jak by to było, gdybyś zamieszkał gdzieś indziej?

— Gdzie? — Rozleniwiony przez drapiące go delikatnie po głowie palce Scotta, Willy nawet nie drgnął.

— Gdzieś, gdzie nie ma śniegu.

— Ale ja lubię śnieg — odparł Willy, ziewając.

— Wiesz, co to jest plantacja?

— Chyba nie.

— To taka farma. Duża, duża farma. Jak myślisz, chciałbyś mieszkać na farmie?

— Nie wiem. A ty byś tam był?

— Tak.

— A Gussie też?

Palce Scotta zatrzymały się tylko na moment, po czym odzyskały poprzedni rytm.

— Nie.

— W takim razie nie chcę jechać na farmę. Chcę, żebyśmy tu zostali. Wszyscy.

„Niestety, to nie takie proste, szkrabie.” Scott zamknął na chwilę oczy, czując na sobie pocieszający ciężar chłopca. Nie miał ochoty ruszać się z miejsca, przerywać tego stanu błogiego zadowolenia, choć równocześnie ogarnęły go wyrzuty sumienia, że spytał Willy'ego, czy chciałby wyjechać z Proffitt, mogło to bowiem wyglądać na próbę wywarcia na niego wpływu, żeby podjął decyzję niekorzystną dla Agaty. A przecież Gandy wcale nie miał takich intencji. Pomyślał, że to idealny moment na powiedzenie małemu, że Złota Klatka zostanie wkrótce zamknięta, a oni wszyscy wyjadą z Proffitt. Nie miał jednak serca tego zrobić i po chwili namysłu doszedł

do wniosku, że najlepiej będzie wstrzymać się do spotkania z Gussie.

— Szkrabie?

Willy nie odpowiedział, Scott odchylił się więc lekko i zajrzał mu w twarz. Malec spał w najlepsze. Gandy wziął go na ręce, zaniósł do pokoju i położył na sofie, a potem przez chwilę stał i przyglądał mu się. Długie ciemne rzęsy, jasna cera, miękkie bezbronne usta, chuda szyja, ukryta w szorstkiej wełnianej kurtce, która sięgała mu niemal do uszu.

„Szkrabie, pomyślał Gandy ze smutkiem, oboje cię kochamy. Tylko czy zechcesz w to uwierzyć, jak już będzie po wszystkim?”

Kiedy krótko przed północą Agata weszła tylnymi drzwiami, w Złotej Klatce nie było już nikogo oprócz Scotta. Siedział przy jednym z zielonych stolików, rozparty niedbale na krześle, z nogą na nodze i łokciem opartym na blacie obok butelki whisky i pustej szklanki. Mechanicznie przytykał kartami do odwróconego kapelusza, leżącego na sąsiednim krześle. Pięć kolejnych trafiło do celu.

W całym lokalu paliła się tylko jedna lampa, zawieszona dokładnie nad stołem. Rzuciła ona blade światło na głowę Gandy'ego i dodawała jego oczom obsydianowego blasku. Agata zatrzymała się na końcu krótkiego korytarzyka. Spojrzał na nią przelotnie pomiędzy kolejnymi przytknięciami.

— Proszę wejść, panno Downing — rzekł tak cicho, że ledwo go usłyszała. Przytyk. Przytyk. Dwie następne karty znalazły się w kapeluszu. Spojrzała niepewnie na zamknięte drzwi do pokoju Willy'ego. — Spokojnie, szkrabem się nie przejmuj. Śpi jak zabity. — Przytyk. Przytyk.

Stała na skraju światła i oparła dłonie na oparciu zniszczonego krzesła, takiego samego jak to, które zajmował Gandy.

— Usiądź — powiedział, nie wstając.

Spojrzała wymownie na karty, które nadal szybowały do kapelusza.

— Och, przepraszam. — Z zimnym uśmiechem zdjął kapelusz z krzesła, wyjął zeń karty i nasunął go sobie na głowę,

skrywając oczy w cieniu ronda. W jego przeprosinach nie było śladu skruchy. Wyrównał talię i położył ją obok butelki.

Agata przysiadła na skraju krzesła, coraz mocniej poirytowana jego niecodzienną arogancją.

— Chciałeś ze mną porozmawiać.

— Chciałem? — syknął szyderczo. — Żadne z nas nie chciało tej rozmowy, nieprawdaż?

— Scott, ty piłeś. Spojrzał ponuro na butelkę.

— Na to wygląda, czyż nie?

Chwyliła butelkę, powąchała jej zawartość, po czym zdecydowanym ruchem odstawiła na bok.

— Świństwo!

— Ależ skąd. Wybrałem na tę okazję najlepszą whisky, jaką mam. — Napełnił szklanke, po czym przechylił butelkę w stronę Agaty. — Przyłączysz się?

— Nie, dziękuję — odparła oschle.

— Ach, rzeczywiście, całkiem zapomniałem. — Odstawił flaszkę. — Przecież ty nie pijesz.

Tego wieczora jego południowy akcent był silniejszy niż zwykle. Początkowo Agata sądziła, że Scott jest pijany, teraz zdała sobie sprawę, że jest całkiem trzeźwy, przez co jego wyzywające zachowanie wydało jej się jeszcze bardziej niewybaczalne. Wyprostowała się i uniosła podbródek.

— Jeśli rzeczywiście zaprosiłeś mnie, żeby porozmawiać o Willym, to nie myśl sobie, że mnie zastraszysz, wymachując mi butelką przed nosem. Nie nabiorę się na to. Rozumiesz? — Posłała mu ostre spojrzenie i zacisnęła usta. — Będziemy rozmawiać rozsądnie, bez emocji i bez alkoholu.

Szklanka zawisła w powietrzu.

— Odstaw ją, Scott — rozkazała Agata — albo natychmiast wracam na górę. Rozwiązania problemu nie znajdziemy w butelce sfermentowanego ziarna. Dziwię się, że jeszcze się tego nie nauczyłeś.

Kusiło go, żeby opróżnić szklanke jednym haustem i uciszyć w ten sposób splątane uczucia, które zawsze budziła w nim Agata, w końcu jednak posłusznie ją odstawił, a po chwili odsunął razem z butelką jak najdalej od siebie.

— Dziękuję — rzekła spokojnie Agata. Gandy poczuł się nagle jak zbuntowany uczeń robiący niepotrzebne komedie,

podczas gdy ona czeka, żeby stanąć z nim w szranki na równych prawach. — Dobrze — dodała cicho. — A teraz przejdźmy do rzeczy.

Scott wziął głęboki oddech.

— Pierwszego grudnia zamykam Złotą Klatkę — poinformował.

W ułamku sekundy Agata straciła całą pewność siebie.

— Tak szybko? — zapytała ze smutkiem. Po dzielącej ich ścianie wrogości nie pozostał nawet ślad. Podobnie jak po obcesowości, w którą Gandy próbował się uzbroić, oraz sztywności, którą Agata starała się bronić. Siedząc w kręgu bladego światła, stali się nagle bezbronni jak dzieci.

— Tak. Nie ma sensu utrzymywać baru, który nie przynosi żadnych dochodów. I tak wkrótce musielibyśmy go zamknąć, po co więc to odkładać?

— Ale... myślałam... że zostaniecie chociaż na święta.

— Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy wszyscy do wniosku, że im prędzej wyjedziemy, tym lepiej. Zostaje tylko Dan. Postanowił wrócić do matki.

— Dokąd pojedziecie?

Sięgnął po szklankę i upił mały łyk. Tym razem Agata nie protestowała. Oparł się łokciami o stół i dnem szklanki zataczał na zielonym rypsie niewielkie kółka.

— Długo się zastanawiałem nad tym, co mi powiedziałaś... o uspokojeniu duchów... i doszedłem do wniosku, że masz rację. Wracam do Waverley, przynajmniej na jakiś czas.

Wyciągnęła dłoń i delikatnie ścisnęła go za ramię.

— To dobrze.

— Nie wiem, co tam zastanę ani co będę robił, ale czuję, że muszę wrócić.

— Jestem przekonana, że to właściwa decyzja. — Rondo jego kapelusza lekko drgnęło i Agata przypuszczała, że spojrzał na jej rękę. Cofnęła ją i złożyła dłonie na podolku. Zapadła długa cisza. — A więc... — odezwała się w końcu, nerwowo zaczerpnąwszy powietrza. — Musimy podjąć jakąś decyzję w sprawie Willy'ego. Chcesz go zabrać? — Wprawdzie nie widziała jego oczu, lecz i tak czuła na sobie jego badawcze spojrzenie.

— Tak. A ty? Chcesz, żeby został?

— Tak. — Jej splecione palce zacisnęły się jeszcze mocniej.

I znowu oboje umilkli, zastanawiając się, co dalej.

— A więc co proponujesz?

Odchrząknął i usiadł prosto, bawiąc się szklanką, aczkolwiek nie pijąc.

— Dużo o tym myślałem, ale nie widzę żadnego dobrego rozwiązania.

— Moglibyśmy zapytać Willy'ego — zasugerowała Agata.

— Też o tym myślałem.

— Ale to nie w porządku zmuszać go do wyboru, prawda? Bez przerwy obracał szklankę w dłoniach.

— Dzisiaj rano zawołałem go, żeby dać mu tę kartkę do ciebie, i... no cóż, pokłóciliśmy się. — Posłał jej niepewne spojrzenie, po czym ponownie skupił uwagę na szklance. — Prawdę mówiąc, skrzyczałem go bez żadnego powodu. Ale potem się pogodziliśmy. Willy usiadł mi na kolanach i zaczęliśmy rozmawiać. O plantacji. Spytałem go, czy chciałby tam mieszkać. Chciał wiedzieć, czy ja też będę. Powiedziałem, że tak. Potem spytał o ciebie, a ja odparłem, że ciebie tam nie będzie. — Gandy spojrzał na Agatę, lecz ona utkwiała wzrok w zielony blat. — Na to oświadczył, że nigdzie nie pojedzie i chce, żebyśmy zostali tutaj wszyscy razem.

Agata ani drgnęła. Wzrok Gandy'ego spoczął na jej rzęsach oraz ich długich cieniach rzucanych na blade policzki, na lekko rozchylonych w smutnej rezygnacji ustach, na kształtnych kościach policzkowych i wspaniałych, zaczesanych do góry włosach, których końce lśniły delikatną czerwienią nawet w tak słabym świetle, na piersiach, ściśniętych sztywną taftą jej skromnej sukni; wreszcie na ułożonych równo wzdłuż ciała ramionach.

— Nie — rzekła cicho — nie możemy wymagać, żeby pięcioletni brzdąc podjął za nas taką decyzję.

— Nie — zgodził się. — To by nie było w porządku.

— A co by było? — mruknęła, nie unosząc wzroku.

Na to pytanie żadne z nich nie znało odpowiedzi. Nigdy dotąd nie zdarzyło im się stanąć przed takim problemem. „On tak bardzo kocha Scotta” — pomyślała Agata. „Co on zrobi bez swojej Gussie?” — pomyślał Scott.

„Każdy mały chłopiec potrzebuje ojca. Dziecku potrzebna jest przede wszystkim matka, a tej poza Agatą nigdy właściwie nie miał.

Scott jest dla niego wzorem postępowania. Agata tylu rzeczy go uczy. Jestem dla niego zbyt surowa. Na zbyt wiele mu pozwalam.

Waverley to wymarzone miejsce dla dojrzewającego chłopca.

Nie powinienem zabierać go z miasta, w którym zna każdy zaułek."

Wokół panowała głucha cisza. Przy podłodze powiało zimowym lodowatym chłodem. W pokoiku na zapleczu spało dziecko, podczas gdy Agata i Scott mieli zdecydować o jego przyszłości. A decyzja — jakkolwiek podejmą — musi sprawić im wszystkim ból.

Niepewnym ruchem Agata sięgnęła po szklanę. Nie odrywając wzroku od zielonego rypsu, drżącą dłonią uniosła ją do ust i upiła spory łyk. Dopiero wówczas odważyła się spojrzeć mu w oczy.

— Musimy spróbować uczciwie ocenić, który dom będzie dla niego lepszy.

Splótłszy palce na brzuchu, Scott rozmyślał przez dobrą minutę, uważnie się jej przypatrując.

— Chyba nie ma żadnych wątpliwości, że twój. Przecież ja nawet nie wiem, gdzie się w końcu osiedlę.

— W Waverley. Tego akurat jestem pewna. Musisz — to twoja rodzinna posiadłość. I wymarzone miejsce dla dorastającego chłopca. Czyste powietrze i spokój od tych wszystkich wrzaskliwych poganiaczy.

— Ale kto by się nim opiekował tak jak ty? Kto by pilnował, żeby właściwie zachowywał?

— Chyba się nie doceniasz, Scott. Ty. Bo tak naprawdę jesteś porządnym człowiekiem.

— Ale nie tak porządnym jak ty. Poza tym ty mogłabyś go uczyć. Już zresztą zaczęłaś. Poprawiasz go, każesz mu czyścić paznokcie i myć uszy. Obawiam że, że mnie by nie starczyło na to cierpliwości.

— Przecież są szkoły.

— Ale daleko od Waverley.

— I miejsce. Tyle miejsca. W Waverley musi być chyba tyle sypialń, że Willy mógłby codziennie spać w innej. A ja mam zaledwie jeden ciasny pokój, który nie gwarantowałby nam ani odrobiny intymności.

— Masz za to na niego lepszy wpływ. Pilnujesz, żeby chodził do kościoła i żeby był grzeczny.

— Ale chłopcom potrzebny jest także przykład mężczyzny.

— Willy poradzi sobie beze mnie. Aż kipi energią.

— Której większość zawdzięcza tobie. Ostatnio zaczął nawet mówić z lekkim południowym akcentem.

— A moje złe nawyki? Nałogi?

— Każdy je ma.

Przez chwilę milczał i wpatrywał się w nią badawczo, co zbiło ją nieco z pantafiku.

— Ty nie masz — odparł w końcu. — U ciebie ich nie zauważyłem.

— Surowość zasad też może być złym nawykiem, zwłaszcza jeśli staje się fanatyczna. A ja się obawiam, że niestety mam pewne skłonności do fanatyzmu. — Pochyliła się, bardzo przejęta. — Mali chłopcy muszą czasami... pobić się... potarzać trochę w błocie... wrócić do domu z siniakami, chodzić po drzewach i... i... — Zabrakło jej słów, rozłożyła więc ramiona, po czym bezradnie opuściła.

— Skoro zdajesz sobie z tego wszystkiego sprawę, to na pewno nie będziesz dla niego zbyt surowa.

Tym razem to ona zaczęła mu się przyglądać, chociaż wolałaby widzieć jego oczy. Została jej jeszcze tylko jedna karta. Kiedy ją wykladała, jej głos stał się miększy, ale i bardziej zdeterminowany.

— Nie jestem pewna, czy stać mnie na to, żeby go utrzymać, Scott. Prawdę mówiąc, nawet z maszyną do szycia ledwo zarabiam na siebie i pensję Violet.

— Wystarczy, że przyślesz mi telegram, i natychmiast wyślę pieniądze.

Jego szczodrość ogromnie ją wzruszyła.

— Willy tyle dla ciebie znaczy.

— Nie więcej niż dla ciebie.

Siedzieli w milczeniu — co za ironia losu! — dwoje ludzi kochających Willy'ego tak bardzo, że każde z nich starało się przekonać drugie, żeby go zabrało.

— A więc — odezwała się w końcu Agata — znowu znaleźliśmy się w punkcie, z którego wyszliśmy.

— Na to wygląda.

Westchnęła i utkwiała wzrok w ciemnym kącie pokoju.

— Idealny ojciec — odezwała się w końcu zadumana

— idealna matka. Jaka szkoda, że jedno z nas musi mieszkać w Missisipi, a drugie w Kansas. — Nagle uprzytomniła sobie, że Gandy może ją źle zrozumieć. — Chodzi mi o to, że...

— Poczula, że się czerwieni, i spuściła wzrok.

— Wiem, o co ci chodzi.

Gorączkowo szukała odpowiednich słów, mogących wypełnić niezręczne milczenie.

— Więc co zrobimy? Nie możemy spytać o zdanie Willy'ego, a sami też nie potrafimy niczego postanowić.

Zzzzt! Zzzzzt! Dopiero po chwili dotarło do niej, co to za odgłos: to Gandy przejeżdżał paznokciem po grzbiecie leżącej na zielonym rypsie talii kart.

— Mam propozycję — rzekł głosem tak cichym, że kiedy indziej, w innych okolicznościach, brzmiałby on uwodzicielsko. Zzzzt! Zzzzzt! — Ale nie jestem pewien, czy się zgodzisz.

Jej wzrok spoczął na kartach.

— Jedna partia — kontynuował. — O stawkę najwyższą z możliwych.

Poczula się tak jak tamtej nocy, kiedy wierciła dziurę w ścianie: znów zastanawiała się nad czymś zabronionym i od razu, niemal bez wahania, dała się w to wciągnąć. Ale kto ją właściwie wciągał? Była dorosłą kobietą i nie musiała słuchać nikogo oprócz samej siebie.

Gandy zastygł w kompletnym bezruchu i tylko jego kciuk przejeżdżał tam i z powrotem po grzbiecie talii. Wygodnie rozparty, obserwował, jak Agata toczy bój ze swym surowym kodeksem etycznym.

— Co ty na to, Gussie? Serce podeszło jej do gardła.

— O przyszłości Willy'ego miałyby zdecydować jedna partia pokera?

— A czemu nie?

— Ale ja... ja przecież nigdy nie grałam.

— Poker. Bez dobierania. Spójrz w karty i płacz.

Uniosła wzrok, a w jej oczach pojawił się wyraz zakłopotania.

— Nie... nie rozumiem.

— Wszystko ci wytłumaczę. Reguły są proste. A więc? Przełknęła ślinę i bezskutecznie próbowała zajrzeć pod rondo jego kapelusza.

— Zdejmij kapelusz.

— Słucham?

— Zdejmij kapelusz. Chcę cię widzieć.

Po dłuższej chwili posłusznie zdjął kapelusz i położył na stole. Agata spojrzała mu w oczy.

— Powiedz, czy kiedy graliście z Willym o kąpiel w łaźni, oszukiwałeś?

Zmarszczył brwi, po czym oparł się wygodnie i odpowiedział:

— Nie.

— To dobrze — stwierdziła rzeczowo. — A teraz wyjaśnij mi reguły.

— Jesteś pewna, Gussie?

— Robiłam już wszystko, do czego zachęca ten lokal: patrzyłam na kobiety tańczące kankana, piłam whisky, a nawet polubiłam zapach twojego cygara. Nie widzę więc powodu, żeby nie zagrać w pokera.

Na jego ustach pojawił się krzywy uśmiech, a w lewym policzku dołeczek. Do licha! To dopiero kobieta! Odwrócił karty kolorami do góry. Były nie ponumerowane, trudno więc było odróżnić jedną od drugiej, lecz Agata w wielkim skupieniu słuchała i patrzyła, kiedy Gandy, tłumacząc zasady gry, układał na stole odpowiednie karty. Poker, kareta, fuli, kolor, duży straight, mały straight, trójka, dwie pary, para.

— Mam ci to zapisać?

— Nie. Zapamiętam. — Wyrecytowała wszystko bez zająknięcia. Gandy spojrzał na nią ze szczerym podziwem. Gdyby stawka była niższa, pozwoliłby sobie na jakąś drobną złośliwość. Teraz po prostu zebrał karty i zaczął je tasować.

Obserwowała oszczędne ruchy jego długich palców. Wsluchiwała się w odgłos tasowania. Gandy starannie wyrównał talię, po czym jeszcze raz rozłożył ją na stole. W świetle błysnął jego sygnet i Agacie stanął przed oczyma dzień, kiedy Scott przybył do Proffitt. Czy wówczas mogłoby jej przyjść do

głowy, że pewnego razu w samym środku nocy zasiądą w słabo oświetlonym barze do partii pokera?

Karty wylądowały przed Agatą z takim trzaskiem, że aż podskoczyła.

— Słucham? — Uniosła wzrok.

— Ty rozdajesz.

— Ale ja... — Spojrzała na niebiesko-białą talię. „Samuel Hart” — przeczytała na górnej karcie.

— Przełoż, jeżeli mi nadal nie ufasz.

— Ufam.

— No to rozdawaj. Po pięć kart. Jedna dla mnie, jedna dla ciebie. Kolorem do góry.

Wpatrywała się w niego takim wzrokiem, jakby zaproponował, żeby na zmianę zdejmowali po jednej części garderoby. Gandy rozparł się na krześle, z kieszonki stalowoniebieskiej kamizelki wyjął cygaro i złotymi nożyczkami odciął koniec. Agata patrzyła jak zahipnotyzowana, on zaś schował nożyczki i zapalił.

— Nigdy nie siadam do kart bez cygara w ręce—uświadomił ją.

— Aha.

Zapadło milczenie. Po chwili dym podrażnił jej nozdrza.

— Zaczynaj, Gussie — odezwał się cicho Scott. — Rozdawaj.

Sięgnęła po karty, jakby obawiała się, że kiedy je podniesie, ukąsi ją skorpion. Nowe i śliskie, były dla niej czymś całkiem obcym, a jednocześnie wydawały się stosunkowo niegroźne, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę nieszczęście, jakie już za chwilę mogły na nią sprowadzić.

Położyła przed Gandym pierwszą kartę, nie odwracając jej.

— Kolorem do góry, Gussie — pouczył Gandy, wyjąwszy cygaro z ust.

Posłusznie odwróciła kartę. Trzy czarne koniczynki.

— Trójka — mruknął. — Znaczą trójka — poprawił się, kiedy posłała mu zakłopotane spojrzenie.

Na jej karcie znajdowała się dama w koronie i czerwone serce.

— Dama kier — wyjaśnił. — Jest mocniejsza od mojej trójki.

Jego trzecia karta okazała się drugą trójką, w czwartej kolejce nie wydarzyło się nic szczególnego. Drżącą ręką Agata odsłoniła jego ostatnią kartę. Siódemka pik, do niczego nie pasująca. Zanim odwróciła swoją, długo wpatrywała się w migoczący jej przed oczyma wzór. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Poprzez obłok dymu z cygara spojrzała Gandy'emu w oczy. Siedział spokojnie, jakby czekał na deser, podczas gdy ona drżała niczym w gorączce. — Nie miejmy do siebie pretensji, cokolwiek się stanie — rzekł.

Skinęła głową na znak zgody, nie ufając własnemu głosowi.

Wzięła głęboki oddech, chwyciła kartę i gwałtownie ją odwróciła.

Dwójka. Para trójek pobiła parę dwójek.

Spojrzała na karty, z trudem przełykając ślinę. Gandy zmrużył oczy i wypuścił powietrze przez nos. Cóż za ironia losu: wygrał Willy'ego jednym z najgorszych kart, jakie w życiu dostał. Otworzył oczy i spojrzał na Agatę. Była szarozielona. Wyciągnął rękę i mocno ścisnął jej dłoń.

O przyszłości trojga ludzi zadecydowała jedna partia pokera. Na Boga, cóż ekscytującego ludzie widzą w hazardzie? Agata czuła się pusta, pozbawiona sensu życia i bała się unieść wzrok, nie chcąc patrzeć na błysk triumfu w oczach Scotta.

Lecz tego w nich nie było. Przeciwnie, Gandy sprawiał wrażenie zasmuconego.

— Gussie, ja...

— Nie! — Wyrwała dłoń z jego uścisku. — Proszę cię, nic nie mów. Przegrałam. Willy jest twój!

Z trzaskiem odsuwając krzesło zerwała się na nogi tak gwałtownie, że zachwiała się i uderzyła o kant stołu. Whisky wylała się ze szklanki, tworząc na zielonym rypsie ciemną plamę, której żadne z nich nie zauważyło, Gandy bowiem również zerwał się z miejsca.

— Gussie, zaczekaj!

Uniosła spódnicę i szybko pokuśtykała do tylnych drzwi, obawiając się, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. Po jej wyjściu Gandy stał w cichym półmroku baru, tłumacząc sobie, że to była uczciwa gra. Przecież karty rozdawała Agata, a o wszystkim zdecydował ślepy los.

Chwycił stół i z furią go przewrócił, roztrącając krzesła i rozrzucając karty. Zabrzęczało szkło. Butelka potoczyła się wzdłuż nogi stołu i po chwili zastygła w bezruchu, a jej zawartość z głośnym bulgotem wylała się na podłogę.

Słuchając tego odgłosu, Gandy poczuł się jeszcze gorzej.

Opadł na krzesło, pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Boże wszechmogący! Jak mógł jej to zrobić? Jak mógł jej zabrać Willy'ego? Przecież ona nie ma na tym świecie nikogo. Jest sama jak palec! A jego otacza tylu przyjaciół.

Siedział tak aż do chwili, kiedy ktoś nieśmiało dotknął jego dłoni. Wyprostował się, jakby ugodziła go kula.

— Co ty tu robisz? — zapytał niezbyt delikatnie.

— Usłyszałem hałas — odparł Willy. — Źle się czujesz? Znowu boli cię brzuch?

— Nie, nic mi nie jest.

— Wyglądasz, jakbyś był chory. Co się stało ze stołem?

— Nic. Nieważne, szkrabie. Posłuchaj... chodź no tutaj. Willy poczłapał ku wyciągniętym dłoniom Scotta i wspiał mu się na kolana.

— Wiesz, mam ci coś do powiedzenia. — Scott gładził chłopca po plecach, okrytych szorstką, chroniącą przed póź-nojesiennym chłodem piżamą. — Pamiętasz, jak pytałem, czy chciałbyś mieszkać na plantacji? No więc... niedługo się na nią przeprowadzisz. Nazywa się Waverley. Mieszkałem tam, byłem w twoim wieku. Wkrótce zamykam bar i wracam, tam, a ciebie zabieram ze sobą. Cieszysz się?

— To znaczy, że już na zawsze będę mieszkał z tobą?

— Zgadza się. Na zawsze.

— Hurra! — krzyknął Willy.

— Cieszysz się?

— Pewnie. O rany! — Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Pojedziemy pociągiem. To daleko stąd. W Missisipi.

— Pociągiem? O rety! — Zachwycone oczy malca zrobiły się wielkie jak spodki. — Jeszcze nigdy nie jechałem pociągiem. — Nagle przekrzywił głowę, zacisnął ręce na klapie marynarki Gandy'ego i spojrzał mu prosto w oczy.

— A Gussie? Gussie też pojedzie z nami, prawda?

Scott spodziewał się tego pytania, lecz i tak podziałało ono na niego jak cios w splot słoneczny.

— Nie. Agata zostanie tutaj. Ma zakład, więc musi zostać.

— Ale ja chcę, żeby pojechała. Scott objął malca i mocno przytulił.

— Wiem, że chcesz, ale to niemożliwe.

Willy odsunął się i jeszcze raz popatrzył mu w oczy.

— Ale przecież Gussie to nasza przyjaciółka. Będzie jej smutno, jeśli pojedziemy bez niej.

Scott poczuł, jak żal ściska mu gardło. Odchrząknął i niezgrabnym ruchem zaplął Willy'emu górny guzik piżamy.

— Wiem. Ale może kiedyś będziesz mógł przyjechać do niej w odwiedziny. Chciałbyś?

Willy wzruszył obojętnie ramionami i spuścił wzrok.

— Chyba tak — wymamrotał. Był w nastroju takim samym jak Scott, kiedy więc ten chwycił go za ramiona i zaczął mówić, pocieszał zarówno zasmuconego malca, jak i samego siebie.

— Wiesz, Willy, tak już w życiu bywa, że choć kogoś bardzo kochamy, musimy go opuścić. Ale to przecież nie znaczy, że zapomnimy o nim i nigdy więcej go nie zobaczymy. Agata cię kocha i nie wolno ci o tym zapomnieć. Bardzo by chciała, żebyś z nią został, ale w jej małym mieszkaniu byłoby to po prostu niemożliwe. W Waverley jest dużo, dużo miejsca i będziesz tam miał własny pokój. To ten duży dom, który jest na obrazie u mnie w pokoju. Widziałeś go? Nie będziesz już musiał spać na zapleczu. I tyle rzeczy można tam robić. Kupię ci konia i nauczę jeździć. Będziemy łowić ryby w rzece. — Zmuszał się do entuzjazmu Scott. — Pokażę ci w lesie winorośl, na której gałęziach można się świetnie huścić. Pnie się po dębach tak wysokich, że prawie nie widać ich czubków!

— Naprawdę? — zapytał Willy głosem, w którym niedawny zapal mieszał się z rozżaleniem.

— Naprawdę.

— Ale będę mógł przyjechać do Gussie?

— Tak. Obiecuję. Willy zamyślił się.

— Gussie będzie weselej, jak jej o tym powiem.

— Na pewno — zgodził się Scott, kładąc mu rękę na jasnej głowie.

— Ale Łosia będę mogłem zabrać?

Kolejne trudne pytanie, którego Scott również się spodziewał, choć nie znalazł jeszcze na nie odpowiedzi.

Opacznie rozumiejąc wahanie, Willy poprawił się:

— To znaczy będę mógł.

Rezultat wysiłków Agaty. Myśl o tym, jak bardzo są one malcowi potrzebne, sprawiła, że Scott ponownie poczuł wyrzuty sumienia z powodu wygranej partii pokera. Delikatnie ujął Willy'ego za ramiona.

— Pociągiem nie bardzo można go zabrać. Pojedziemy wagonem sypialnym, a tam nie wolno wprowadzać zwierząt. Ale tak sobie pomyślałem, że Agacie rzeczywiście będzie smutno po naszym wyjeździe, może więc zechce, żeby Łoś dotrzymywał jej towarzystwa?

— Ale... — Oczy zaszły mu łzami, lecz malec zdołał powstrzymać płacz.

W ciągu zaledwie pół roku stracił tak wiele. Najpierw ojca, a teraz nie tylko Agatę, ale nawet kota. Trudno wymagać od pięciolatka, żeby znosił takie straty ze stoickim spokojem.

— Jak tylko zadomowimy się w Waverley, dostaniesz nowego — obiecał Scott. — Zgoda?

Willy wzruszył ramionami i spuścił głowę. Scott jeszcze raz mocno go przytulił.

— Oj, Willy... — Nie miał już siły udawać radości, siedział więc przez dłuższą chwilę, tuląc policzek do włosów Willy'ego i wpatrując się w podłogę. Zrozumiał, że jedynym wyjściem będzie jak najszybszy wyjazd z Proffitt.

Postanowił, że rano każe się wszystkim spakować, sam zaś z Willym wyruszy następnego dnia.

— Późno już. Warto by się trochę przespać.

— Dobrze — odparł Willy ponuro. Scott wstał z krzesła, wziął malca na ręce i zgasił lampę. — Mogę dziś spać u ciebie, Scott?

Gandy zatrzymał się w drzwiach na zaplecze.

— Przykro mi, ale dzisiaj śpi u mnie Jube — odparł zgodnie z prawdą.

— Aha — mruknął wyraźnie rozczarowany Willy. — Dlaczego Jube śpi u ciebie, a całuje Marcusa?

— Co robi? — Skonsternowany Gandy zmarszczył brwi.

— Całuje Marcusa. Sam widziałem. Tamtego wieczora, jak złamał sobie rękę. A kiedy pojechaliśmy na piknik, też było widać, że mają ochotę się całować.

— Marcusa? — A więc o to chodziło!

— Czy Jube, Marcus i reszta pojedą z nami do Waverley? — Pograżony w rozmyślaniach Scott przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. — Pojadą? — nie ustępował malec.

— Nie wiem, szkrabie. — Wniósł go do pokoju i położył do łóżka, wciąż myśląc o czym innym.—A teraz kładź się spać. Wkrótce wstanie dzień, a mamy bardzo dużo do zrobienia. Musimy się przygotować do drogi.

— Dobrze.

Scott pochylił się i ucałował go na dobranoc. Zanim wszakże doszedł do drzwi, zatrzymał go głos chłopca.

— Scotty?

— Tak?

— Czy w Missisipi są krowy?

— Chodzi ci o takie jak tutaj w lecie?

— No.

— Nie ma. Są tylko takie, które dają mleko. A teraz zamykaj oczy i śpij.

Scott poczuł się nieco lepiej, chłopiec bowiem zaczynał wreszcie zdradzać zainteresowanie nowym miejscem zamieszkania. Była to pierwsza oznaka entuzjazmu, od chwili kiedy się dowiedział, że Agata zostaje w Proffitt. Zanim jednak Gandy doszedł do swojego pokoju, myślami był znowu przy Jube.

Okazało się, że nie ma jej w łóżku, lecz teraz wszystko zaczynało być jasne i zrozumiałe. Łamigłóвка układała się w końcu w logiczną całość.

Wcześniej rano Willy z Łosiem na kolanach zasiadł na swoim stołku koło Agaty i z typową dla dzieci bezpośredniością oznajmił:

— Muszę jechać ze Scottem do Missisipi. Pociągiem. Scotty powiedział, że musisz tu zostać.

Agata ani na moment nie przestawała szyc. Czula, że tylko skupiając uwagę na prowadzeniu materiału jest w stanie powstrzymać potok łez.

— Tak — odparła. — Po wprowadzeniu prohibicji Scott musi zamknąć bar, a ja dalej będę szyła suknie i kapelusze dla tutejszych pań.

— Ale ja mu powiedziałem, że będzie ci smutno. Będzie ci smutno, Gussie?

Przyciskała pedał z taką siłą, jakby z błysku igły czerpała wszystkie siły vitalne.

— Oczywiście, że tak. Ale jestem pewna, że za jakiś czas znowu się zobaczymy.

— Scotty mówi, że będę mógł przyjechać pociągiem. Gwałtownie przestała pedałowac i sięgnęła po dłoń Willy'ego.

— Naprawdę? To bardzo miło z jego strony. — To miała być jej nagroda pocieszenia. Jednakże Agata chwilowo nie była w stanie docenić jej wartości, zmusiła się więc do pracy. — Szyję ci właśnie ciepłe wełniane spodnie.

— Ale tam jest ciepło — odrzekł Willy rezolutnie.

— Na pewno ci się przydadzą.

— Scotty mówi, że tam jest taka winorośl, na której gałęziach można się huścić. I że kupi mi konia.

— No, no, to ci dopiero. — Tak, tego właśnie potrzeba takiemu maluchowi.

— Ale... Gussie?

— Mhm?

— Scotty mówi, że nie mogę zabrać Łosia. Będzie mógł zostać u ciebie?

„Błagam cię, Boże, spraw, żeby Willy pobiegł gdzieś i zajął się czymś innym. Niech ten dzień wreszcie się skończy. A ja niech go jakoś przeżyję i nie rozplączę się na oczach tego malca.”

W końcu musiała przerwać szycie, bo przez łzy i tak nie widziała igły. Pochyliła się i podniosła z podłogi jakiś skrawek materiału, ukradkiem osuszyła oczy, po czym spojrzała na Willy'ego i podrapała Łosia po brodzie.

— Oczywiście, że tak. Chętnie. Kto by mi łapał myszy w zakładzie, gdybyś go ze sobą zabrał?

— Scott mówi, że jak przyjedziemy do Waverley, dostanę nowego kota. Chyba też go nazwę Łoś.

— To słuszny wybór. — Odchrząknęła i zabrała się do pracy. — Posłuchaj, kochanie, mam dużo do zrobienia.

Oprócz spodni chciałabym ci uszyć nową koszulę.

— A uszyjesz mi białą, z odpinanym kołnierzykiem? Taką, jakie ma Scott?

„Błagam cię, Willy, nie rób mi tego!”

— Bia... białą? Cze... czemu nie?

— Jeszcze nigdy nie miałem koszuli z odpinanym kołnierzykiem.

— Najpóźniej ju... jutro będę... będziesz miał.

— Idę powiedzieć Scotty'emu! — Zeskoczył ze stołka i popędził. Kiedy trzasnęły drzwi, Agata oparła łokcie o maszynę i ukryła twarz w dłoniach. Każdy jej nerw drżał, napięty do granic wytrzymałości. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim ból zmieni się w zobojętnienie.

Tuż po dwunastej Willy zjawił się ponownie, przynosząc list dla Agaty, ponieważ jednak właśnie obsługiwała klientkę, wręczył kopertę Violet.

— Mam jej nie przeszkadzać, jak jest zajęta — rzekł. Violet uśmiechnęła się niepewnie i wyjęła z kieszeni pięciocentówkę.

— Tak jest, proszę pana. Doręczę wiadomość, kiedy klientka wyjdzie. A teraz niech szanowny pan pędzi kupić sobie sarsaparyllę.

Patrzył z niedowierzaniem to na własną dłoń, to w jasnoniebieskie oczy Violet.

— O rany! Cały piątak! Dzięki!

— No to leć. Ja też mam sporo pracy. — Wcale nie miała, lecz poczuła ogromną ulgę, kiedy Willy wybiegł i mogła w ciszy i samotności otrzeć łzy.

Po wyjściu klientki Violet rozchyliła lawendową zasłonę.

— Willy przyniósł to przed chwilą.

Agata spojrzała na kopertę. Już na pierwszy rzut oka rozpoznała pismo Scotta.

Violet stała bez ruchu, z całej siły zaciskając dłonie, a Agata czytała list na głos:

Droga Gussie!

Willy i ja mamy zaszczyt zaprosić Cię w dniu dzisiejszym na kolację u Pauliego. Będziemy Cię oczekiwać przed drzwiami Twojego mieszkania o godzinie szóstej wieczorem.

Pozdrawiamy serdecznie,

Willy i Scott

Violet zamrugła powiekami.

— Czy... czy to nie... nie miłe?

Agata starannie złożyła kartkę i wsunęła ją z powrotem do koperty.

— Tak — zgodziła się cicho. Violet zamachała dłonią.

— Musisz... musisz zostawić zakład pod moją opieką i iść wcześniej na górę, żeby się przygotować.

Agata uniosła wzrok i przez chwilę patrzyły sobie w oczy, niczego nie udając. Obie były smutne, zdruzgotane i żadna nawet nie starała się tego ukrywać. Agata przyłgnęła jednym policzkiem do pomarszczonej twarzy Violet.

— Dziękuję — szepnęła, a Violet mocno ją przytuliła. Po chwili Agata cofnęła się o krok, otarła łzy spod oczu, jakby poirytowana, że ostatnio za często zdarzają się jej chwile słabości. — Jeżeli natychmiast nie wezmę się do pracy — powiedziała wesoło — za nic w świecie nie zdążę uszyć Willy'emu tej koszuli.

Kiedy spotkali się o szóstej, wszyscy byli ubrani jak spod igły: Scott miał na sobie płowy garnitur i gruby brązowy płaszcz, którego nigdy przedtem nie widziała, Willy włożył odświętny garnitur, który dostał na pogrzeb ojca, oraz nową wełnianą kurtkę, Agata zaś wybrała na tę okazję suknię, którą uszyła sobie przed wizytą u gubernatora. Tym razem wszakże postanowiła nie wkładać kapelusza, co bardzo spodobało się Scottowi. Miała zbyt piękne włosy, żeby ukrywać je pod ptasimi gniazdami i piórami. Zawsze chciał jej to powiedzieć, ale jakoś nigdy nie znalazł odpowiedniej okazji.

— Dobry wieczór — rzekł, kiedy otworzyła drzwi. Patrzyli sobie w oczy tak długo, że Willy w końcu się zniecierpliwił.

— Cześć, Gussie, ja też tu jestem. Natychmiast schyliła się i cmoknęła go w policzek.

— Oczywiście, że tak, Willy. Straszny dziś z ciebie przystojniak.

— Taki jak ze Scotty'ego? — spytał uśmiechając się dumnie i zadzierając głowę.

Spojrzała w twarz mężczyzny, którego miała pamiętać aż po kres swoich dni. Jej odpowiedź była znacznie cichsza niż pytanie.

— Tak. Taki jak ze Scotty'ego.

Od dawna pragnęła mu to powiedzieć, lecz nie pozwalała jej na to przyzwoitość niezamężnej kobiety. Skoro jednak zapytał ją o to Willy, co innego mogła zrobić, jak tylko udzielić odpowiedzi zgodnej z prawdą? W innym miejscu, czasie i przy innej okazji nie tak by to ujęła, mimo to cieszyła się, że przynajmniej się dowiedział.

Otworzył usta, płytko odetchnął i szybko je zamknął.

— Muszę jeszcze wziąć płaszcz — rzekła Agata.

Nie spodziewała się, że odwróciwszy się od szafy z ubraniem w rękę, znajdzie go tuż za sobą. Niechcący uderzyła go w ramię. Serce zabiło jej szybciej z powodu jego bliskości, zapachu, szerokości ramion okrytych grubym płaszczem, pociągającej urodziwej twarzy.

— Pozwolisz? — odezwał się cicho, zabierając jej z rąk płaszcz.

— Dziękuję. — Podał jej płaszcz, a potem ścisnął delikatnie za ramiona i przyciągnął do siebie.

— Proszę, nie wkładaj kaptura — wyszeptał, muskając ustami jej ucho. — Masz zbyt piękną fryzurę, żeby ją psuć. Jej przyśpieszony puls zdawał się wprawiać powietrze w ruch.

— Scott... — wyszeptała, ulegając emocjom.

— Hej, jestem głodny! — rozległ się głos Willy'ego. — Chodźcie już!

Scott niechętnie puścił ramiona Agaty i cofnął się o krok, puszczając ją przodem. Willy pognał po schodach na złamanie karku. Agata kurczowo chwyciła się poręczy, lecz Scott ujął ją pod ramię. Milczała, nie znajdując żadnych słów. Kiedy zeszli na dół, Scott ujął jej dłoń i mocno ścisnął. Tak doszli aż do końca alejki. Na ulicy ponownie wziął ją pod rękę.

Sama kolacja okazała się komedią, której szczegółów później Agata nie była w stanie sobie przypomnieć. Rozmawiała ze Scottem na nieistotne tematy. Willy paplał bez przerwy, zadając Gandy'emu nieskończoną liczbę pytań: „A gdzie będzie spał mój nowy kot?” „A czy są tam węże?”

Scott cierpliwie udzielał rzeczowych odpowiedzi, choć w rzeczywistości poświęcał malcowi niewiele uwagi. Nic odrywał wzroku od Agaty, pobudzony, podekscytowany i gnębiony przez poczucie winy. Jak to możliwe, że dotąd nie

zauważył, jak bardzo jest piękna? I że posiada wszystkie cechy prawdziwej damy?

Jadła niewiele, za to z taką niewiarygodną delikatnością, że każdy ruch jej ręki czy ust wydawał się bardziej tańcem, aniżeli banalnym unoszeniem i przeżuwanieniem pożywienia. Gandy wyczuwał, jak niewiele brakuje, żeby się rozpląkała. Czające się tuż pod powiekami łzy nadały jej oczom barwę liści magnolii w wiosennym deszczu.

Oddychała nierówno i często się rumieniła. Jej palce i głos drżały, zmuszała się jednak do śmiechu, kiedy wymagały tego komentarze Willy'ego. Nie była w stanie spojrzeć Gandy'emu w oczy, chociaż marzył

o tym przez całą kolację. Tylko jeden jedyny raz, kiedy podano kawę, a Scott sięgnął po cygaro i nożyczki, przemogła się

i uniosła wzrok. A potem, kiedy palił, zamknęła powieki i głęboko wciągnęła powietrze przez nos, jakby po raz ostatni rozkoszowała się zapachem jego cygara. Gandy zerknął na dłoń, którą trzymała na sercu, i zadał sobie pytanie, czy bije ono równie szybko jak jego. Zaraz wszakże Agata otworzyła oczy, spostrzegła, że jest obserwowana, i czym prędzej ukryła twarz za filiżanką.

Scott wyjął z kieszonki zegarek.

— Robi się późno — zauważył.

— Tak. — Nadal unikała jego wzroku, choć kiedy wyszli z restauracji i skierowali się do domu, nie włożyła kaptura.

Przy schodach Scott zaproponował:

— Chodź ze mną. Położymy go spać.

Jej serce zabiło jak młot. Lecz przecież nie mogła odmówić.

— Dobrze.

W barze panowały cisza i mrok, niewiele mające wspólnego z niedawnym nastrojem rubasznej zabawy. Agata cieszyła się, że nie musi go oglądać w świetle słabej lampy. Wystarczył jej widok nędznej maleńkiej komórki Willy'ego. Nigdy wcześniej tu nie była. Porównywała w myślach poplamioną podłogę z desek oraz zapach drożdży, którym przesiąknięty był pokój, z tym, co czekało Willy'ego w Waverley: czystymi dużymi oknami, wygodnym łóżkiem i najprawdopodobniej kominkiem.

Willy rozebrał się do wełnianej bielizny, wręczając Agacie kolejne części garderoby. Powiesiła je starannie, żeby rano nadawały się do użytku, a malec, trzęsąc się z zimna, wskoczył

do łóżka. Zaraz za nim wskoczył Łoś. W pokoju był przeciąg i kiedy Agata przyklękła, żeby jeszcze raz przytulić malca, poczuła, że przemarzła do szpiku kości.

— Dobranoc, Gussie.

— Dobranoc, kochanie.

Ten jego zapach. Do końca życia nie zapomni zapachu małego chłopca, którego tak bardzo pokochała. Ani delikatnego muśnięcia jego ust.

— Odprowadzisz nas jutro na pociąg, prawda? Odgarnęła mu włosy z czoła, a potem długo patrzyła w brązowe oczy, kochane oczy.

— Nie, kochanie, doszłam do wniosku, że lepiej nie. Zakład będzie otwarty, a...

— Ale ja chcę, żebyś nas odprowadziła.

Scott przyklękął tuż obok, tak blisko, że dotykał udem turniury jej sukni. Delikatnie objął Agatę w talii, drugą rękę położył na brzuchu chłopca, po czym spojrzał mu w oczy.

— Posłuchaj, szkrabie — powiedział, zmuszając się do uśmiechu. — Nie zapominaj o Łosiu. Przecież teraz to Agata musi się nim opiekować.

— No tak, rzeczywiście. — Willy mocno przytulił kota. — Zniosę go, jak będziemy wychodzić, dobrze?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Skinęła tylko głową.

— No to dobranoc — ziewnął szeroko Willy. Był za mały, żeby w pełni rozumieć istotę pożegnań.

Pocałowała go, długo nie odrywając ust od jego policzka. Scott też go pocałował, a pochylając się musnął ramieniem jej pierś.

— Śpij dobrze, szkrabie — rzekł zduszonym głosem, po czym wstał i ujął Agatę za łokieć. Podnosząc się, zahaczyła obcasem o turniurę i chore biodro przeszył ból. Zachwiała się, lecz Scott pewnie ją przytrzymał i pomógł odzyskać równowagę.

Zgasiwszy lampę, doszli w ciemnościach do tylnych drzwi baru. Scott ani na chwilę nie puszczał jej ramienia.

Wspięli się po schodach, powoli, niechętnie, licząc uciekające sekundy. W końcu Agata zatrzymała się pod drzwiami i utkwiała wzrok w klamkę.

— Dziękuję za kolację, Scott.

Gandy stał tuż obok, nie wiedząc, czy słowa przejdą mu przez gardło, jeżeli spróbuje się odezwać.

— Mogę wejść na chwilę? — spytał w końcu zduszonym, gardłowym głosem.

Uniosła twarz.

— Nie, lepiej nie.

— Proszę, Gussie — odezwał się, tym razem szeptem.

— Co to zmieni?

— Nie wiem. Po prostu... O Boże, proszę cię, odwróć się i spójrz na mnie. — Pociągnął ją ku sobie za łokieć, ona wszakże uparcie wpatrywała się w deski podłogi. — Nie płacz, Gussie — prosił. — Proszę cię, nie płacz. — Ścisnął ją za łokieć.

Pociągnęła nosem i szybko otarła oczy.

— Przepraszam, nie mogę się ostatnio opanować.

— Naprawdę nie pójdziesz z nami na stację?

— Nie mogę. Nie żądam tego ode mnie, Scott. Nie mogłabym...

— Ale...

— Nie. Pożegnamy się tutaj. Nie mam zamiaru zrobić z siebie pośmiewiska.

— Willy powinien zostać z tobą — wydusił z siebie słowa, które prześladowały go przez cały ten smutny wieczór.

Odsunęła się i stanęła do niego profilem.

— Dobrze wiesz, że nie chodzi tylko o niego. Wyczuła jego zdziwienie, jeszcze zanim ponownie obrócił ją twarzą do siebie.

— Ale dlaczego nie... — Wpatrywał się w nią, mocno trzymając za ramiona. — Nigdy nic nie powiedziałaś.

— Nie wypadało mi. Jestem kobietą. Och... Przepraszam, Scott. — Odwróciła głowę. — Teraz też powinnam się była powstrzymać. Po prostu... będę... będzie mi ciebie strasznie brakowało.

— Naprawdę, Gussie? — spytał ze zdziwieniem, spoglądając to na jej włosy, to na brodę, to znowu na ucho. — Naprawdę?

— Puść mnie — poprosiła. Przyciągnął ją odrobinę bliżej.

— Pozwól mi wejść. Potrzęsnęła głową.

— Nie.

— Dlaczego?

— Puść mnie! — krzyknęła, wyslizgując się z jego uścisku i ruszając ku drzwiom.

— Gussie, zaczekaj!

W chwili kiedy chwyciła za klamkę, odwrócił ją ku sobie i podniósł. Płaszcz okręcił się jej wokół stóp, unieruchamiając też jedno ramię. Wolną ręką szukała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać. I znalazła... szyję Scotta. Jej stopy zawisły trzydzieści centymetrów nad podłogą. Uwięziony łokieć wbijał się w jego żebra. Patrzyli sobie w oczy, w których walczył rozsądek z uczuciem wspomaganym dodatkowo przez świadomość, że już rano pociąg zabierze go od niej na zawsze. I to razem z dzieckiem, które kochała.

— Proszę, nie — błagała szeptem.

— Przepraszam — rzekł, po czym uciszył ją pocałunkiem. Dotyk jego otwartych warg sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Otworzyła usta i niemal natychmiast ich języki — mięsiste, chciwe i drżące — splątały się ze sobą. Ten pocałunek nie miał nic wspólnego z poprzednimi. Był zachłanny i ostateczny, rozpaczliwy i długi. Gandy najpierw dotykał wnętrza jej ust, później zaś chrapliwie wciągnął powietrze i zaczął pieścić jej język. A chociaż wzbudził w niej większe pragnienie, niż była sobie w stanie wyobrazić, przez cały czas błagała go w myślach, żeby wreszcie przestał. Mimo iż jej gardło wydawało takie same odgłosy jak jego, modliła się, żeby zakończył tę torturę, zanim pęknie jej serce.

W pewnym momencie udało się jej odwrócić twarz.

— Scott, jeśli...

Jego gorące wargi natychmiast stłumiły ten protest, zamknęły miękkie usta, które znów próbowały nawoływać do rozsądku. Rozkwitające pożądanie targano łagodnie jej wnętrzem, całe jej ciało, wbrew niej samej, reagowało na każdy namiętny dotyk jego języka. Nie była w stanie zrobić nic innego, jak tylko odwzajemniać pieśczoły. Jej język wił się i coraz śmielej badał wnętrze jego ust. W jej ciele działały się tymczasem nowe, cudowne, nieznane dotąd rzeczy. W końcu szarpnęła się, odchyliła do tyłu i z trudem wciągnęła powietrze.

Jej głowa uderzyła o ścianę. Uwięziona ręka bolała. Stopy wciąż wisiały nad podłogą.

— Postaw mnie. Proszę — wyszeptała.

Posłuchał. Wsunął ręce pod jej płaszcz, położył na biodrach i przesunął do góry, ucząc się dotyku jej żeber, uwięzionych w stalowo-koronkowej klatce. Szukał jej ust, lecz ona uparcie odwracała twarz, skutecznie broniąc się przed dalszymi pocałunkami, które pozbawiały ją zdrowego rozsądku.

— Jeżeli masz dla mnie chociaż odrobinę litości, proszę cię, przestań. — Uwolniła ręce i ujęła jego twarz w obie dłonie.

— Teraz będzie mi jeszcze trudniej — wyszeptała. Gandy zastygł w bezruchu. Jego oczy, w tym momencie zaledwie dwa ciemne cienie, wpatrywały się w jej twarz. Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia.

— Przepraszam, Gussie. Nie chciałem. Chciałem tylko odprowadzić cię do drzwi. — Wyjął ręce spod jej płaszcza i delikatnie ją przytulił. Raz jeszcze ją unióśł, po czym odwrócił się i oparł plecami o ścianę.

— Nie chcę wyjeżdżać — rzekł cicho, wpatrując się w gwiazdziste niebo.

— Ciii!

— Ani nie chcę zabierać ci Willy'ego.

— Wiem.

— Będę za tobą tęsknił.

Wtuliła skroń w jego tors i próbowała rozluźnić ściśniętą uczuciem krtani.

— S... Scott... — Odsunęła się i oparła ręce na jego kamizelce. — Nie powinnam tego robić. Przecież jestem... kobietą. Ale muszę ci coś powiedzieć albo do końca życia będę żałować, że tego nie zrobiłam. — Uniosła dłoń i dotknęła jego twarzy. — Kocham cię — wyznała, patrząc mu na usta.

— Nie... — Położyła mu palce na wargach, nie pozwalając, by odpowiedział. — Nie trzeba. Byłoby mi jeszcze trudniej. Po prostu opiekuj się Willym i przysyłaj go do mnie, kiedy tylko będziesz mógł. Obiecujesz?

Ujął jej dłoń i delikatnie odsunął od swej twarzy.

— Dlaczego nie pozwolisz mi tego powiedzieć?

— Zrobiłbyś to ze współczucia. A to nie jest wystarczający powód. Obiecuj mi — powtórzyła — że pozwolisz Willy'emu mnie odwiedzić.

— Obiecuję. I przyjadę ra...

Tymczasem to jej usta uciszyły go, zanim skłamał. Była pewna, że wyjechawszy z Proffitt, natychmiast zapomni o nocy, kiedy rozstanie wydawało mu się czymś nie do zniesienia. Zarzuciła mu ramiona na szyję i jeszcze raz go pocałowała. Tylko raz, ale tak jak pragnęła, trzymając jego głowę, przyciskając piersi do jego torsu, czując, jak ją obejmuje

— bez żadnego udawania ani zahamowań.

— Żegnaj, Scott — wyszeptała i zniknęła za drzwiami, zostawiając go samego i oszołomionego.

Przekreśliła klucz w zamku, oparła się plecami o drzwi i nasłuchiwała.

— Gussie? — zawołał cicho. Przygryzła wargi.

— Gussie? — powtórzył i lekko zapukał.

W końcu, po trzeciej próbie, usłyszała, jak odchodzi.

Ten wieczór był próbą generalną tego, co czekało ją następnego ranka. Schodzili do niej, jedno po drugim, a każde kolejne pożegnanie było trudniejsze i bardziej bolesne niż poprzednie. Jako ostatni zjawił się Willy. Przyszedł, kiedy obok ustało już szuranie pakowanych skrzyń i waliz. Miał na sobie wyjściowy garnitur, na ramieniu trzymał Łosia.

— Musimy już jechać, Gussie. Jeszcze trochę i się spóźnimy.

— Chodź tu do mnie, kochanie.— Odwróciła się w jego stronę.

Willy zarzucił jej jedną rękę na szyję, drugą trzymając kota.

— Scotty kazał mi powiedzieć, że napisze.

— Ty też musisz napisać, kiedy się już nauczysz. Przykro mi, że nie możesz tu zostać.

— Wiem. Scotty powiedział, że mam pamiętać, że mnie kochasz.

— Kocham...—Ujęła jego twarz w dłonie. Oboje płakali.

— I będę za tobą bardzo tęsknić.

— Chciałbym, że... żebyś była mo... moją mamą — wykrztusił.

— Ja też — odparła, tuląc go do piersi. — Bardzo mocno cię kocham, wiesz?

— Ja też cię kocham, Gussie. Opiekuj się Łosiem, dobrze? I nie dawaj mu mleka, bo dostanie rozwolnienia.

— Dobrze — roześmiała się ze smutkiem, zdejmując mu kota z ramienia.

Zatrzymał się niepewnie, złączył dłonie za plecami i wzruszył ramionami.

— No to... do zobaczenia...

Wtuliła twarz w ciepłą sierść kota, lecz nie zdołała wydusić z siebie choćby jednego słowa. Willy odwrócił się do Violet, która również nie była w stanie powstrzymać łez.

— Do widzenia, Violet. — Pochyliła się i szybko go pocałowała, a on ruszył biegiem do drzwi. Stanął, złapał za klamkę i jeszcze raz się odwrócił. — Cześć, Łosiu — powiedział i wybiegł.

Już w pociągu, kiedy Scott upychał na półkach ich walizki, Willy zapytał:

— Ale dlaczego nie chciała nas odprowadzić?

— Nie chciała, żeby ludzie widzieli, jak płacze.

— Aha. — Wcale nie pocieszony, Willy rozglądał się po stacji, licząc, że Agata zmieniła jednak zdanie. — Kiedy dawałem jej Łosia, płakała.

Scott usiadł, tocząc bój z emocjami, na które w żadnym wypadku nie mógł sobie pozwolić.

— Wiem.

Chociaż zdawał sobie sprawę, że to nie ma sensu, on także rozglądał się po stojących na peronie ludziach, w przeważającej większości swoich byłych klientach, którzy postanowili pomachać na do widzenia Jube i reszcie. Było mu przykro, że pożegnanie z Gussie wyglądało tak, a nie inaczej, że w jego pamięci miały pozostać przede wszystkim jej łzy, kiedy znikła za drzwiami pustego mieszkania. Podmuchy wiatru smagały bok pociągu, szarpały kłęby pary unoszące się z komina i nieomal zagłuszyły samotny, pojedynczy gwizd. Cóż za niesamowita sceneria dla pożegnania z miejscem, które Gandy zawsze nazywał ciasną zagrodą. Nigdy nie sądził, że wyjazd stąd sprawi mu tyle bólu. Jednakże w Proffitt poznał Agatę i rozstanie z nią naprawdę bolało. W milczeniu, z głębokim marszem na czole wyglądał przez okno. Widział, jak konduktor składa przenośne schodki, po czym znika w pociągu. Po raz ostatni rozejrzał się po stacji. I kiedy pociąg już ruszał, nagle ją zobaczył.

— Tam jest! — krzyknął, biorąc Willy'ego na kolana i pokazując mu palcem. — Tam, za wszystkimi innymi! Widzisz? W brązowej pelerynie!

Stała z dala od innych, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Miała na sobie brązową pelerynę z podniesionym kapturem. Gandy nigdy w życiu nie widział postaci równie samotnej jak ona.

— Gussie! — wołał Willy, jedną ręką opierając się o zimną szybę, drugą machając jak oszalały. — Do widzenia, Gussie! Do widzenia!

Nie mogła widzieć, jak wsiadali, zjawiła się zaledwie kilka chwil przed odjazdem pociągu. Nie miała nawet pojęcia, za którym z odbijających światło okien mogą się znajdować. Kiedy jednak wściekły podmuch wiatru zadarł w górę jej pelerynę, zdjęła kaptur i pomachała. Machała tak długo, aż pociąg minął ją i zniknął w oddali.

Willy usiadł i cicho zapłakał.

Gandy zaś odchylił głowę i głośno przełykał ślinę, żeby nie zrobić tego samego.

Wszyscy członkowie licznej „rodziny” Gandy'ego byli takimi samymi sierotami jak Willy. Pozbawieni prawdziwych rodzin i domów, nie mieli gdzie spędzić świąt, tak więc w efekcie milczącego porozumienia udali się wszyscy bezpośrednio do Waverley.

Na czas podróży podzielili się na mniejsze grupy, zajmujące różne przedziały, i Scott rzadko widywał Jube. Sporo czasu spędzał na rozmyślaniach o niej i o Marcusie, zastanawiając się nad sensem tego, co powiedział mu Willy. Jube przebywała głównie w towarzystwie Ruby i Pearl. Kiedy wszakże wieczorem, po kilku godzinach podróży Gandy, czując potrzebę rozprostowania kości, wybrał się na przechadzkę, zobaczył ich siedzących obok siebie w jednym z przedziałów. Marcus zdawał się spać, Jube zaś przyglądała mu się z dziecinną radością, z jaką nigdy nie patrzyła na Scotta. Spostrzegłszy go posłała mu pełen zażenowania uśmiech, a jej policzki wyraźnie się zaróżowiły. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział zarumienioną Jube.

Później, kiedy on i Willy ułożyli się już do snu, leżał na plecach za zaciągniętą kotarą z ręką pod głową, zastanawiając się nad rozdziałem sypialni w Waverley. Doszedł do wniosku, że będzie to najlepszy moment na zerwanie. Niezależnie od tego, czy Marcus i Jube wyznali już sobie, co czują, nie byłoby w porządku, gdyby nadal sypiała z Gandym.

Dlaczego właściwie on i Jube nigdy nie próbowali porozmawiać o swej gasnącej miłości? Chyba dlatego, że tak

naprawdę to wcale nie była miłość, a co najwyżej wygodny związek, który przez pewien czas odpowiadał im obojgu. Gdyby to było coś więcej, Gandy byłby zazdrosny, wściekły, załamany. On tymczasem czuł jedynie ulgę i miał szczerą nadzieję, że Jube i Marcus okażą się dobraną parą.

To by dopiero była historia! Na samą myśl o tym uśmiechnął się w ciemnościach. Jube i Marcus małżeństwem. Może wezmą ślub w ślubnej niszy? Czy ten wspañiały stary dom nie chciałby zobaczyć, jak w jego mury wraca miłość? „Rozmarzyłeś się, Gandy. Z czego ty właściwie masz zamiar ich tam utrzymać? Z czego będą żyć? Co robić? Skąd weźmiecie pieniądze? Już sama decyzja o powrocie była idiotyczna. Będziesz miał z tego tylko tyle, że odżyją marzenia

o tym, co było i już nigdy nie wróci. A Willy? Obiecałeś mu tyle różnych rzeczy, a skąd pewność, że uda ci się mu je dać? Co sobie pomyśli, jak go poinformujesz, że wcale nie będzie mieszkał w Waverley? Jaki ma sens, żeby włączył się z wami, kiedy będziecie jeździć po wszystkich stanach, otwierając bar za barem?”

Zniecierpliwiony, przewrócił się na bok w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, lecz stukot i rytmiczne kołysanie nie pozwalały mu zasnąć. Uniósł ciężką flanelową zasłonę, umocował ją za pomocą jedwabnych tasiemek, po czym obserwował przesuwaną się za oknem krajobraz. Pociąg jechał teraz na południowy zachód. Po śniegu nie pozostał nawet ślad. Czarne serpentyny rzek ciągnących się wzdłuż torów odbijały światło księżyca, drzewa ograniczały pole widzenia. Czy to Missouri? A może Arkansas? Nie był pewien. Jednakże płaska preria już na dobre ustąpiła miejsca niewysokim wzgórzom, falującym jak ocean w nocy.

Pomyślał o Proffitt, o opuszczonym barze, o samotnej Agacie. „Kiedy dawałem jej Łosia, płakała...” Ze ściśniętym gardłem wyobraził ją sobie, jak bawi się z kotem, a rano wstaje

i schodzi do zakładu, w którym nie ma już nikogo, kto ubarwiłby nieco monotonię jej smutnego życia.

„Zrobiłeś to, co musiałeś, Gandy. Zapomnij o niej. Dość masz problemów z ułożeniem swego życia, z uspieniem czekających w Waverley duchów, ze znalezieniem sposobu na utrzymanie tej ośmioosobowej zgrai? Dla Agaty samotność nie jest niczym nowym. Poradzi sobie.”

Nieważne jednak, ile razy to sobie powtarzał, i tak nie był w stanie przestać o niej myśleć.

Po dwóch dniach podróży, wczesnym popołudniem dojechali do Columbus w stanie Missisipi, przed wojną pulsującego życiem lokalnego centrum handlu bawełną. Sterczące z pustych magazynów długie wygięte jęczory starych zsuwni zdawały się czekać na nowe bele, aby zrzucić je na parowce, które, znacznie powolniejsze, droższe i mniej bezpieczne od pociągów, dogorywały samotnie w pobliżu torów kolejowych.

— Kiedy byłem małym chłopcem — odezwał się Scott do Willy'ego — lubiłem oglądać, jak niewolnicy ładują bawełnę na parowce. Tak samo jak ty przypatrywałeś się poganiaczom ładującym bydło do pociągów.

— Tutaj?

— Czasami tutaj. Ale częściej w Waverley. Mieliśmy własne magazyny i parowce przyływały prosto do nas. Rozmowa zaowocowała istną nawałnicą pytań. „Daleko jeszcze do Waverley? Kiedy tam dojedziemy? Czy będę mógł od razu iść nad rzekę na ryby? Jakiego koloru będzie mój koń?”

Scott uśmiechnął się, widząc podekscytowanie malca, które w miarę jak zbliżali się do celu, coraz bardziej odzwierciedlało jego własne.

Na zakupy wybrali się do sklepu Sheeda. Stary Franklin Sheed wyglądał jak lalka z suszonych jabłek z doczepionymi śnieżnobiałymi bokobrodami. Spojrzał na Scotta spod zniekształconych powiek, wyjął fajkę z ust i wykrzyknął:

— Dobry Boże, pobłogosław moją duszę! Przecież to LeMaster Gandy!

Uścisnął wyciągniętą rękę Scotta.

— Zgadza się, chociaż już od dawna nikt mnie tak nie nazywał.

— Miło panicza znowu zobaczyć. Wrócił panicz na dobre?

— Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem. Ale mam nadzieję, że tak — dodał, przypomniawszy sobie o obecności Willy'ego.

— Przywiozłem przyjaciół, żeby zobaczyli moje stare śmieci.

— Przedstawił ich wszystkich po kolei, zakończywszy na Willym, o którego ramiona oparł dłonie.

— Posiadłość stoi jak stała — poinformował go Sheed.

— Nikt się tam nie kręci, z wyjątkiem kilku starych niewol-

ników, którzy pracowali jeszcze dla pańskiego ojca. Nadal tam mieszkają i pilnują, żeby obcy wszystkiego nie rozkradli. Zdziwią się, jak panicza zobaczą. Tyle lat...

Coś dobrego stało się we wnętrzu Scotta, kiedy uściśnął dłoń starego Franklina. Tutaj były jego korzenie. Miejscowi pamiętali jego, jego bliskich, jego dziedzictwo. Tak długo włóczył się z miejsca na miejsce, żyjąc pośród obcych, dla których nie liczyła się jego przeszłość ani przyszłość, że kiedy w końcu wrócił tam, gdzie go znano, poczuł w sercu ukłucie nostalgii. Oto stary Franklin Sheed, u którego ojciec kupował cygara, matka zaś bawełnę na pieluchy, w które zawijała Scotta i jego braci.

— Ile już czasu minęło od śmierci pańskiej rodziny?

— zastanawiał się głośno Franklin, zanim jednak Gandy zdążył udzielić odpowiedzi, do sklepu, wspierając się na lasce, weszła wynędzniała osiemdziesięciolatka w zniszczonym szarym czepku.

— Dzień dobry, droga pani — powitał ją sklepikarz.

— Pamięta pani syna Doriana i Seleny Gandych? Spuściła głowę i wpatrywała się w Gandy'ego przez dobrych dziesięć sekund, opierając dłonie na rączce laski.

— LeMaster Gandy?

— We własnej osobie, panno Bayles.

— Uśmiechnął się do staruszki i pomyślał, że kiedy widział ją po raz ostatni, była o wiele wyższa. A może to on był niższy?

— Karmiłam cię brzoskwiniami, kiedy twoja matka odwiedzała mnie w Oakleigh.

— Pamiętam, panno Bayles. — Nie przestawał się uśmiechać. — Pamiętam też pani melasowe ciasteczka. Chyba najlepsze w całym stanie. Nigdy nie pozwoliła mi pani wziąć więcej niż dwa i kiedy patrzyłem na pozostałe, przysięgałem sobie, że któregoś dnia się z panią policzę.

Jej śmiech wypełnił sklep niczym gdakanie starej indyczki. Zastukała laską w podłogę, po czym posłała przebiegłe spojrzenie stojącej tuż obok Jube.

— A ja patrząc na niego, zawsze sobie myślałam, że jest stanowczo za przystojny i że jeszcze kiedyś wpakuje się przez to w kłopoty. — Jej chytre oczka ponownie zwróciły się w stronę Scotta. — I co, wpakowałeś się?

— Nie przypominam sobie — odparł, a dołeczki w jego policzkach zrobiły się rozbrajająco głębokie.

Panna Bayles spoglądała to na Jube, to na Scotta, to znowu na Willy'ego.

— A więc znowu się ożeniłeś?

— Nie. — Scott wskazał na Jube, a potem spojrzął na Willy'ego. — To moi przyjaciele. Jubilee Bright i Willy Collinson. — Pozostali buszowali po sklepie, Scott nie zwracał więc sobie nimi głowy.

— Willy, tak? — Przyjrzała się malcowi z wyczekiwaniem. Scott szturchnął go w ramię.

— Hej, szkrabie, zapomniałeś, czego cię uczyłem? Willy wyciągnął rękę.

— Miło mi panią poznać, psze pani.

— Aha! — parsknęła, chwytając jego dłoń. — Akurat! Dlaczego niby miałoby ci być miło poznać taką starą suszoną śliwkę, która pozwala małym chłopcom zjeść najwyżej dwa ciastka melasowe? Ale za to mam wnuka i jego na pewno chętnie poznasz. — Wskazała kciukiem na Gandy'ego. — Koniecznie przywieź kiedyś tego nicponia, to ich sobie przedstawię.

— Naprawdę?

Szturchnęła Willy'ego w ramię końcem laski.

— Jednego musisz się nauczyć, młodzieńcze. Stare pomarszczone damy nie mówią nieprawdy, bo przecież nigdy nie wiadomo, kiedy padną trupem.

W sklepie zapanowała ogólna wesołość, Scott ustąpił pannie Bayles miejsca w kolejce, a kiedy robiła zakupy, zapytał:

— Nadal mieszka pani w Oakleigh?

— Nie. Oakleigh jest puste — odparła z dumą, uważnie wyjmując monety ze skórzanego mieszka. — Mieszkam teraz w mieście. Z córką Letą.

Na krótką chwilę Scott powędrował myślami daleko w przeszłość. Słowa panny Bayles przypomniały mu, że Waverley to nie jedyna wielka posiadłość, która po wojnie opustoszała i podupadła. Dalsza rozmowa dotyczyła innych tematów, a kiedy panna Bayles z zakupami w ręce skierowała się ku drzwiom, Gandy uchylił kapelusza i rzekł:

— Proszę koniecznie pozdrowić ode mnie Letę.

— Dziękuję, LeMaster. A ty pozdrów ode mnie Leatrice. Na dźwięk tego imienia Scott poczuł, że nie może się wprost doczekać, kiedy wreszcie zobaczy Waverley. Od tej chwili owo radosne uczucie już go nie opuszczało. Towarzyszyło mu, kiedy kupowali — w ilościach wystarczających, by przez kilka dni wyżywić osiem osób — szynkę, kaszę, mąkę oraz słoninę, kiedy w stajni, w której zresztą też natychmiast go rozpoznano, wynajęli powozy i konie oraz w drodze, kiedy przemierzali znajome mu z przeszłości okolice.

Kierując się na północny zachód, z gęstych zagajników dębowych, orzechowych i sosnowych wyjechali na bezkresne zapuszczone pola bawełny, w większości nie obsiewane od co najmniej piętnastu lat. Minęli Oakleigh, które, zarośnięte krzakami i winoroślą, zdawało się być tylko jasną niewyraźną plamą na końcu długiej alei. Niebo było czyste, za to wiatr przenikliwie zimny. Czubki sosen gładziły wieczorne niebo niby pędzel artysty płótno, nadając mu odcień więdnących kwiatów wistarii. Jechali twardą żwirową drogą, ubijaną latami przez koła zaprzęzonych w muły wozów. Nad ziemią unosił się żyzny wilgotny aromat, jakże inny od zapachu suchych piasków stanu Kansas. Nigdzie w pobliżu nie było też słyhać ani czuć wielkich stad bydła. Od czasu do czasu odzywał się startujący do lotu przedrzeźniacz, w powietrzu zaś unosił się zapach więdnących roślin, jako że nastąpiła obecnie krótka przerwa pomiędzy okresami wegetacji.

— Tutaj zaczynają się ziemie należące do Waverley — poinformował Scott.

— Wszystko to? — spytał Willy z niedowierzaniem w głosie i szeroko otwartymi oczyma.

Gandy tylko się uśmiechnął, trzymając luźne wodze pomiędzy kolanami. Została im jeszcze tylko mila, tylko pół mili. Potem pojawił się przed nimi czarny żelazny płot, przy którym Gandy wstrzymał zaprzęg. Willy uniósł wzrok i spojrzał tam, gdzie patrzył Gandy.

— Ktoś tu jest pochowany? — spytał mały.

— Moja rodzina.

— Twoja? — Chłopiec ponownie uniósł wzrok.

Teraz również siedzący z tyłu Jube i Marcus spojrzeli w stronę cmentarza.

— Kto? — zapytał Willy wyciągając szyję, żeby zobaczyć szare kamienne nagrobki.

— Moi rodzice. A także żona i córeczka.

— To ty miałeś córkę?

— Tak. Miała na imię Justine.

— A to? Co to takiego? — wskazał na drewnianą konstrukcję po prawej stronie Willy.

— To basen.

— O rany! — wykrzyknął podekscytowany Willy, próbując podnieść się z miejsca.

Gandy posadził go z powrotem. — Nie martw się, niedługo wszystko spokojnie sobie obejrzysz — rzekł cicho. — A to... — Skręcił w alejkę, prowadzącą obok łaźni. — ...to właśnie Waverley.

Na widok domu serce Gandy'ego zabiło ze zdwojoną siłą, mimo że, podobnie jak Oakleigh, budynek ledwie majaczył za płataniną winorośli oraz gąszczem cedrów i drzew gumowych, które już dawno rozpleniły się tak, że niemal zupełnie zarosły aleję. W latach świetności zawsze starannie ją oczyszczano, teraz wszakże Gandy zmuszony był zatrzymać powozy w niecałej jednej czwartej jej długości. We wczesnowieczornym półmroku rozszalała flora dodawała ich przybyciu złowrogi akcent. Przenikliwy koci zapach drzew gumowych zdawał się ostrzegać wszystkich śmiertelników, żeby trzymali się od Waverley z daleka.

— Zaczekajcie tu — polecił Gandy, odkładając lejce i zeskakując z kozła.

Poszedł sam, przedzierając się przez piętnastoletnie chaszczce, aż stanął przed potężną magnolią, tą o najbardziej rozłożystych gałęziach w całym stanie Missisipi, która, jak tylko sięgał pamięcią, zawsze górowała nad frontowym dziedzińcem posiadłości. Jednakże na jej widok jego rozczarowanie jeszcze się wzmogło, była bowiem cała opleciona winoroślą i osaczona bukszpanami — ukochanymi bukszpanami matki, która przywiozła je do Waverley jeszcze w młodości i pielęgnowała namiętnie aż do śmierci. Po ich geometrycznej doskonałości nie pozostał nawet ślad, od lat bowiem nie przycinał ich nikt oprócz dzikiej zwierzyny. W efekcie wyglądały żałośnie, wręcz groteskowo. Selena Gandy rozplakałaby się chyba z rozpacz, gdyby przyszło jej zobaczyć je w takim stanie.

Jej syn tymczasem podrapał sobie twarz, przedzierając się przez ich gąszcz ku głównemu wejściu. Marmurowe schody były nietknięte, podobnie jak żelazna balustrada balkonu oraz rubinowoczerwone okna ze szkła weneckiego, znajdujące się po obu stronach masywnych drzwi.

Drzwi były zamknięte i w żaden sposób nie dawały się otworzyć.

Gandy przyłożył dłoń do oczu i próbował zajrzeć do środka, lecz drzwi wychodziły na południe i w wieczornym półmroku bardzo niewiele światła wpadało do wnętrza przez okna znajdujące się po bokach takich samych drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Wszystko było niewyraźne, półprzezroczyste, jakby oglądane przez kieliszek burgunda.

Łomotał do drzwi i krzyczał:

— Jest tam kto? Leatrice, jesteście tam? Odpowiedziała mu głucha cisza i nagle ra-ta-ta dzięcioła, dobiegające z dzikiego gąszczu za jego plecami.

Tylne wejście okazało się równie niegościnne jak frontowe. Oba były niemalże identyczne, z bliźniaczymi kolumnami doryckimi po bokach wysokiego na dwa piętra portyku. Jediną różnicę stanowiła para niższych kolumn przy samych drzwiach frontowych oraz dwie czarne drewniane ławki stojące po obu stronach tylnego wejścia. Na ich widok Scott poczuł kolejny gwałtowny przyływ nostalgii. Zrobiono je z cyprysowego drewna pochodzącego z nadrzecznych moczarów, które w kształt wachlarza wygięły ręce niewolników na długo przed jego przyjściem na świat. To właśnie na tych ławkach siadywali jego rodzice, kiedy Delia karmiła pawie.

Zostawiwszy dom za plecami, ruszył ścieżką, po której najwyraźniej całkiem niedawno ktoś chodził, minął starą kuchnię, ośmiokątną lodownię, ogrody, garbarnię oraz stajnie, aż w końcu doszedł do chat niewolników.

Jeszcze zanim stanął przed drzwiami chaty Leatrice, poczuł dym płonącego drewna.

— Leatrice? — zawołał, pukając.

— Kto tam? — rozległ się jej ochrypy niski głos.

— Otwórz i sama zobacz. — Z uśmiechem przytulił twarz do drzwi z nie heblowanego drewna.

— Ciekawe, co to za mądrala? — Drzwi się otworzyły i stanęła w nich postać niemal tak potężna jak magnolia przed

domem, o skórze równie czarnej i szorstkiej jak jej kora, wreszcie podobnie jak ona nierozzerwalnie związana z Waverley.

— To ma być powitanie? — Scott stał oparty łokciem o framugę i uśmiechał się półgębkiem.

— Kim... O Boże! — Wytrzeszczyła oczy. — Master?!

— Nigdy niemówiła „LeMaster”, a tym bardziej „Scott”.

— Pobłogosław moją duszę! Wróciłeś! To ty!

— To ja. — Wszedł do środka i czule ją objął, chociaż ramion starczyło mu na zaledwie dwie trzecie jej obwodu. Pachniała dymem i skwarkami, a jej uścisk był tak silny, że Gandy przez chwilę obawiał się o swoje kości.

— Moje dziecko wróciło do domu! — cieszyła się, ocierając łzy, błogosławiąc niebiosą. — O Panie mój, Panie! W końcu wrócił! — Zrobiła krok do tyłu i złapała go za uszy. — Niech no tylko popatrzę.

Jej głos nie przypominał głosu żadnego innego człowieka: był niski, dudniący i choćby nie wiadomo jak się starała, zawsze ochryple. Przez całe życie paliła fajkę z kolby kukurydzy, którą nabijała sobie tylko znaną mieszaniną. Po przebytej przed laty chorobie jej krtań była poważnie uszkodzona

1 mogła jedynie wydawać ochryple dźwięki, które pamiętał każdy, kto raz je usłyszał.

— Tak jak myślałam — stwierdziła. — Chudy jak szkapa. Czym ciebie tam karmili? Sama skóra i kości. —

Chwyciła go za ramiona, obróciła dookoła, uważnie mu się przyglądając, po czym postawiła twarzą do siebie. — Ale stara Leatrice szybko cię utuczy. Mose! — zawołała. — Chodź tu i zobacz, kto przyjechał!

— To Mose też tu jest? — zdziwił się Gandy, wyglądając jej przez ramię.

— Pewnie, że jest — odparł czarny starzec, który wyłoniwszy się z mroku kuśtykał w ich kierunku. — Nigdy nie odszedł. Zostałem tam, gdzie moje miejsce.

— Mose — powiedział Gandy ze wzruszeniem, ściskając obiema rękoma dłoń starca. Mose był tak chudy, jak Leatrice gruba. Siwe włosy sterczały mu na głowie niczym hiszpański mech, a kiedy stał, kiwał się lekko w lewo i do przodu, jakby jego stary kręgosłup nie był już w stanie do końca się wyprostować.

— Piętnaście lat — zamyślił się Mose. — Wróciłeś w samą porę.
— Jeszcze nie wiem, czy tu zostanę — pośpiesznie wyjaśnił Scott. — Przyjechałem zobaczyć, co słychać w domu. Mose puścił dłoń Gandy'ego i objął go.
— Zostaniesz — rzekł, jakby żadna inna możliwość nie wchodziła w grę.
Scott wodził badawczym spojrzeniem od Mose'a do Leatrice.
— A więc w końcu się jednak zesłiście. Leatrice natychmiast palnęła go w głowę.
— Uważaj, co mówisz, chłopcze. Nie uczyłam cię szacunku do starszych? Ja i Mose pilnowaliśmy tutaj porządku, kiedy ty, gamoni, włóczyłeś się po świecie. — Z pewną wyższością spojrzała w bok. — Poza tym nie pozwoliłabym mu tu mieszkać, bo jest za leniwy. Ale brakowało mi towarzystwa.
Scott rozmasował głowę i uśmiechnął się.
— To tak traktujesz chłopca, który specjalnie dla ciebie zbierał jeżyny i podkradał róże z ogrodu matki?
Leatrice ryknęła gromkim śmiechem, aż chata zadrżała w posadach.
— Siadaj do stołu. Mam ciepły chleb z mąki kukurydzianej i czarnooki groch.
Gandy nie skorzystał z zaproszenia.
— Nie jestem sam, Leatrice. Powiedz no, czy gdybym przyniósł ci szynkę i wszystkie inne składniki, mogłabyś zrobić coś do jedzenia dla ośmiu osób?
— Ośmiu?—Chrząknęła i odwróciła się, jakby poczuła się zlekceważona. — Co to za kłopot nakarmić osiem komarów po tym, co robiłam w dawnych dobrych czasach. Ruby też przywiozłeś?
— Tak. I Ivory'ego.
— Ivory'ego też — uniosła jedną brew Leatrice. — No, no — dodała z sarkazmem. — To znaczy, że będzie nas cała czwórka. Jeszcze trochę i zaczniemy siać bawełnę.
Gandy uśmiechnął się. Cięty język Leatrice był właśnie tym, czego potrzebował, żeby poczuć się w Waverley jak w domu.
— Zostawiłem ich w połowie alei. Nie mogłem się dostać do domu.

— Klucz jest tutaj. — Leatrice wyjęła go spomiędzy ogromnych piersi. — Trzymałam go w bezpiecznym miejscu.

— Zdjęła ramię z szyi i wręczyła klucz Mose'owi.

Ten wszakże gapił się na niego jak na ósmionożnego potwora.

— Ja? — wyjąkał.

— Tak, ty. Bierz!

Mose cofnął się, kręcąc głową i nie spuszczać przerażonego wzroku z klucza.

— Ja tam nie pójdę. Za nic w świecie. To nie dla starego Mose'a.

— Przestań zrzędzić. Bierz klucz i idź otworzyć drzwi. Master i jego przyjaciele czekają.

Gandy wpatrywał się w nich, nic nie rozumiejąc.

— No, bierz! — rozkazała Murzynka.

Mose tylko pokręcił głową i zrobił kolejny krok do tyłu.

— O co chodzi? — spytał Gandy, marszcząc brwi.

— Tam jest duch.

— Duch!

— Tak. Sama słyszałam. I Mose też słyszał. Ona tam jest. Słyszałam, jak płacze. Zresztą niedługo sam ją usłyszysz. A myślałeś, że co przez tyle lat trzymało ludzi z dala od domu? Bo przecież chyba nie dwoje starców, kręcących się koło drzwi.

— Ale to przecież idiotyczne. Duch? — odrzekł Gandy czując, jak kark mu sztywnieje.

Leatrice chwyciła jego dłoń i wcisnęła w nią klucz, jeszcze ciepły od jej piersi.

— Najlepiej weź go i sam otwórz. Leatrice może gotować. Leatrice wszystko przygotowuje. Leatrice zanieś jedzenie aż pod tylne drzwi. — Skrzyżowała ramiona na imponującym biuście i zdecydowanie pokręciła głową. — Ale za nic w świecie nie zbliży się do żadnych duchów. Co to, to nie.

Idąc do domu, uzbrojony w kilka łożowych świec, Gandy rozmyślał o dziecięcym głosie, który słyszał po powrocie z wojny. Czy naprawdę? Czy to rzeczywiście była Justine? Czyżby szukała mamy albo taty w zimnych opuszczonych pokojach Waverley? A może to po prostu wytwór zbiorowej wyobraźni? W końcu wiadomo, jak zabobonni są Murzyni. Tyle tylko, że on sam nigdy nie był zabobonny, a też słyszał ten głos.

Odsunął tę myśl, najdalej jak umiał, obszedł róg domu i wpadł na coś miękkiego. Z wrażenia aż krzyknął. Okazało się, że to Jack, który oglądał z bliska fundamenty. Razem z nim byli pozostali, albowiem znudziło im się długie oczekiwanie.

— Ale piękny dom — zachwycił się Jack. — I z tego, co widzę, solidny.

— Chodźmy do środka.

Wkładając klucz do zamka, Scott czuł niewymowną ulgę, że ma ze sobą tak liczne towarzystwo. Najwięcej otuchy dodawał mu Willy, którego mocno ścisnął za rękę.

A kiedy weszli do środka, strach przed duchami prysnął niczym bańka mydlana. Nawet w słabym świetle dwóch świec masywna rotunda zdawała się serdecznie go witać. Co prawda w powietrzu unosił się zapach starego kurzu i lekkiej stęchlizny, poza tym jednak nic się nie zmieniło. Sosnowy parkiet, podwójne schody niczym para otwartych ramion, olbrzymie lustrzane filary odbijające migocące światło świec, niknące w mroku ręcznie rzeźbione poręcze, wytworny żyrandol z brązu wiszący na wysokości sześćdziesięciu stóp: wszystko to tylko czekało, żeby je wyczyścić i na nowo zacząć używać.

— Witamy w Waverley — rzekł cicho, a jego głos odbił się echem od wysokiego sufitu i powrócił, jakby to sam dom do nich przemówił.

Rozpalili ogień w ogromnej jadalni na parterze, gdzie zjedli przygotowaną przez Leatrice kolację. Tylko Ruby i Ivory zdążyli zauważyć, jak Murzynka przyniosła jedzenie. Później, kiedy przyszło do ustalenia, kto gdzie będzie spał, Ivory i Ruby stwierdzili, że woleliby nie mieszkać w domu, w którym jako dzieci nie bywali zbyt często. I chociaż Gandy starał się ich przekonać, że dla wszystkich starczy miejsca, oni uparli się i w końcu postawili na swoim.

Jedną z czterech mieszczących się na piętrze sypialni Gandy przydzielił Jackowi i Marcusowi, w drugiej miały zamieszkać Pearl i Jube. Zostali tylko on sam i Willy oraz dwa pokoje, z których jeden był w przeszłości sypialnią jego i Delii, drugi zaś, mieszczący się w północno-zachodnim końcu budynku, znany był od zawsze jako pokój dziecinny. Zajrzawszy do obydwu, postanowił pozostawić decyzję Willy'emu.

— Chcę mieszkać w tamtym — stwierdził Willy po chwili namysłu — bo tam jest koń na biegunach. Czując ulgę, że nie będzie musiał spać bez Delii w ich małżeńskim łóżku, zaprowadził chłopca do pokoju dzieciennego. Wspólnymi siłami ściągnęli z mebli narzuty, rozebrali się do bielizny i wskoczyli pod zakurzone koce.

— Hej, Scotty? — W ogromnym ciemnym pokoju głos Willy'ego wydawał się słabszy niż kiedykolwiek dotąd.

— Aha?

— Zimno mi.

Gandy roześmiał się i położył na boku.

— To się do mnie przysuń.

Willy wtulił chude pośladki w jego brzuch. Objąwszy chłopca ramieniem, Gandy od razu przypomniał sobie słowa Leatrice; „Komary”. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że Willy ma dwa razy więcej żeber niż normalny człowiek i co najmniej dwa razy mniej tłuszczu.

— Przyjemniej tu niż na zapleczu. Mmmm...

Były to ostatnie tego wieczora słowa Willy'ego. Już po chwili malec spał.

Za to Scott przez długie godziny leżał w swoim dzieciennym łóżku, czując pod dłonią bicie serca chłopca, wsłuchując się w jego równy oddech i rozmyślając o Kansas, o którym przypomniała mu jego ostatnia uwaga.

Myślał o Gussie, o opustoszałym miasteczku, o opuszczonym barze. Zamknął oczy i wyobrażał ją sobie, jak siedzi przy maszynie, od czasu do czasu zerkając na pusty taboret Willy'ego, jak wychodzi na ulicę i kuśtyka do Pauliego, żeby w samotności zjeść skromną kolację, jak w wietrzny zimowy wieczór siedzi na schodach, owinięta w brązową pelerynę, coraz bielszą od padającego śniegu. Lecz obraz, który wdarł się najgłębiej do jego serca, nie był bynajmniej wytworem wyobraźni, tylko pochodził z jak najbardziej realnych wspomnień: Gussie w poplamionej krwią koszuli nocnej, leżąca w jego łóżku i pozwalająca się całować.

Otworzył szeroko oczy, jakby starał się przeistoczyć wspomnienie w rzeczywistość.

Dookoła były jednak tylko nieprzeniknione ciemności. Gandy próbował przyzwyczaić do nich wzrok, lecz okazało się to niemożliwe. W Kansas przez całą noc paliły się uliczne

latarnie. Kiedy jechali pociągiem, świecił księżyc. Tymczasem tutaj, w Waverley, pod ogromnymi magnoliami, sosnami i wistarią panowała ciemność niemalże absolutna. Jeżeli rzeczywiście był tutaj duch, to chyba nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca. A jeżeli chciał się objawić, pora po temu wydawała się wprost idealna. W końcu Gandy czuł się już nawiedzony przez Agatę. Czymże więc byłby jeszcze jeden duch?

Jednakże nie pojawił się. Nie przemówił. I w końcu Gandy, ogrzewany przez drobne ciało Willy'ego, zapadł w płytki, nerwowy sen.

Obudził się bardzo wcześnie i przez kilka minut leżał, wspominając ojca, który każdy dzień rozpoczynał od zlustrowania swej posiadłości z miejsca do tego przeznaczonego. Poczłł nieodpartą chęć pójścia w jego ślady. Cicho wysliznął się z łóżka, ubrał się i wszedł na drugie piętro, skąd czworo zamkniętych drzwi prowadziło na wielki ciemny strych. Nazywali go graciarnią. W deszczowe dni Scott bawił się tam z braćmi, a kiedy któryś z członków rodziny zachorował, przenosił się tam, żeby nie zarazić pozostałych.

Uchylił drzwi, nie będąc w stanie oprzeć się pokusie, żeby zajrzeć do mrocznego wnętrza pełnego mebli, skrzyń i pamiątek z przeszłości. Gdzieś tam leżały ubrania Delii, a pewnie także i rodziców. Postanowił, że kiedyś dokładniej się tu rozejrzy, na razie jednak zamknął drzwi i wszedł po schodach na wąski, ogrodzony balustradą pomost, ciągnący się wokół ośmiokątnej rotundy, skąd widać było wejście i rozległe tereny posiadłości. Rzuciwszy okiem na łańcuchy potężnego żyrandola, Scott przypomniał sobie wieczory, kiedy rozsuwano drzwi bliźniaczych salonów, tworząc w ten sposób imponujących rozmiarów salę balową. On, Rafe i Nash wymykali się wówczas z łóżek i ukryci w mroku rotundy, wpatrywali się w barwne krynoliny dam, prowadzonych do walca przez mężczyzn we frakach. Nagle oczyma wyobraźni zobaczył sunącą po sosnowym parkiecie Agatę. W jaskrawym gazowym świetle jej starannie upięte włosy rzucały takie same czerwone błyski jak misternie udrapowana suknia z granatowej tafty. Dziwne, że wyobrażał ją sobie w tańcu, skoro sama mu się zwierzyła, że jednym z jej

najskrytszych, nie spełnionych marzeń jest choć raz w życiu zatańczyć.

„To bez sensu — zgañił się w myślach. — Kompletne dziwactwo.”

Na razie jego podstawowym problemem było znalezienie sposobu, żeby Waverley wyżywiło osiem osób. Właściwie dziesięć: musi przecież uwzględnić także Leatrice i Mose'a. Próba sprowadzenia jedenastej byłaby w takiej sytuacji najzwyczajszą głupotą.

Westchnął i odwrócił się do okien, które niegdyś lśniły czystością, dawno wszakże zarosły brudem i pajęczynami. Zdrapał jedną, a ta, z zaschniętą skorupką pająka, przykleiła mu się do palca. Strząsnąwszy ją, zebrał się w sobie i wyjrzał przez porażający dowód zaniedbania na podupadłe imperium, będące teraz jego dziedzictwem.

Waverley ciągnęło się aż po horyzont. Tyle tylko że ziemia,

O którą dawniej dbały ręce setek czarnych niewolników, teraz leżała odłogiem, porośnięta chwastami.

Powoli i z coraz większym smutkiem obszedł wszystkie osiem boków rotundy, tak jak w przeszłości czynił to ojciec, który codziennie, zaraz po śniadaniu lustrował swoje lenno, wtedy jeszcze w pełni samowystarczalne. Na wschodzie las przerzedzał się, przechodząc w ogromną zieloną łąkę, która opadała łagodnie aż do majaczącej w oddali rzeki Tombigbee. Dawniej pomiędzy domem a rzeką pasło się bydło i owce, lecz teraz Scott nie dostrzegł tam ani jednego zwierzęcia. Gruby zielony dywan znaczyły gęste krzewy; jeśli nie zostaną szybko wycięte, w przyszłości zamienią się w dorodny las. W pozostałych trzech kierunkach aż po sam horyzont ciągnęły się pola i lasy, obecnie rodzące jedynie splątane pnącza kudzu.

W jaki sposób zaledwie dziesięć osób ma zapewnić sobie tutaj byt?

Jego ponure rozmyślenia przerwał cichy głos, dobiegający z dołu.

— Scotty?

Był to Willy. Stał dwa piętra niżej w drzwiach sypialni, dokładnie po przeciwnej stronie-rotundy.

— Wstałeś już?

Chociaż rozmawiali szeptem, ich głosy rozbrzmiewały niczym dzwonki w dolinie.

— Co tam robisz?

— Patrzę.

— Na co?

— Chodź tu, to ci pokażę.

Willy piął się na bosaka, błyskając klapką kombinezonu pomiędzy rzeźbionymi słupkami balustrady. Zanim doszedł do pomostu, stopy miał szare od kurzu.

— Uf! — sapnął, pokonawszy ostatni stopień. — Co tu jest?

Scott wziął go na ręce.

— Waverley — odparł, gestykulując wolną ręką i powoli obchodząc rotundę. — Oto właśnie Waverley w całej okazałości.

— O rany...

— Tylko że nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

— Przecież to farma. Nie posadzisz na niej roślin? Zabrzmiało to tak cudownie prosto, że Scott cicho się roześmiał.

— Żeby na nowo obsadzić te pola, potrzeba bardzo wielu rąk.

Willy podrapał się po głowie i wyjrzał przez brudne okno.

— Gussie mówi, że straszny ze mnie szczęściarz, że mogę zobaczyć Waverley. Powiedziała, że... że takich plantacji prawie już nie ma i że powinienem to do... do... do...

— Docenić?

— Tak, docenić. Mówiła, że sama też chciałaby kiedyś zobaczyć plantację i że... że plantacja to sposób na życie. Co to właściwie znaczy, Scotty? Lecz Scott nie odpowiedział, rozmyślając nad tym, co usłyszał.

— Nie chodziło jej o plantację — mruknął do siebie

— tylko o dom.

— O dom? — Willy odchylił głowę i spojrział na kopułę.

— O dom... — Scott rzucił okiem na otaczające go okna, a potem na parkiet, na drzwi odchodzące od jednej z najwspanialszych klatek schodowych w tej części Ameryki.

— Właśnie! — wykrzyknął nagle.

— Dokąd idziemy? — zapytał Willy, podskakując na rękach pędzącego po schodach Scotta. — Hej, czego się tak uśmiechasz?

— Dom. Oto odpowiedź. Przecież to oczywiste. Jak w ogóle mogłem o tym nie pomyśleć? Kiedy opowiadałem Gussie o Waverley, powiedziała mi to samo, co tobie. Ale ja byłem za bardzo zajęty mrzonkami o uprawie bawełny, żeby zastanowić się nad wykorzystaniem domu.

— Więc chcesz go sprzedać, Scotty? — zapytał Willy, wyraźnie rozczerowany.

— Sprzedać? — Kiedy byli na drugim piętrze, gdzie za drzwiami czekały wielobarwne krynoliny i fraki, Scott cmoknął Willy'ego w policzek. — Nigdy, szkrabie. Za nic w świecie. Niedługo ten dom na nowo ożyje, a ci sami Jankesi, którzy puścili z dymem prawie wszystkie posiadłości podobne do Waverley, będą gotowi zapłacić każdą sumę, żeby tylko zobaczyć i trochę pomieszkać w jednej z nich. To, co widzisz dookoła, drogi chłopcze, to nic innego jak tylko skarb narodowy!

Zeszli na pierwsze piętro i Gandy, nie zatrzymując się ani nie zwalniając, zaczął kolejno walić do wszystkich drzwi i wołać:

— Pobudka! Wstawać! Już dzień! Jack! Marcus! Jube! Pearl! No, ruszcież wreszcie swoje ciężkie tyłki! Trzeba brać się do roboty i doprowadzić ten dom do porządku.

Głos i kroki Gandy'ego odbijały się echem od kopuły. Pokonał ostatnie schody, dzielące go od wejścia. W drzwiach sypialni pojawiły się zaspane twarze, a on, przez cały czas z Willym na rękach, zamknął z hukiem tylne drzwi.

— Najwyższy czas, żebyś poznał Leatrice—zwrócił się do chłopca, niosąc go w stronę chat. — Ona wierzy w duchy, ale poza tym jest naprawdę sympatyczna. Słyszałeś w nocy jakieś duchy?

— Duchy?—wytrzeszczył oczy ze zdumienia Willy, zaraz jednak się uśmiechnął.

— Nie było żadnych duchów, prawda?

— Ja tam żadnych nie słyszałem.

— Żadnych, prawda? I powtórzysz to Leatrice, jasne?

— Ale dlaczego?

— Bo musi nam pomóc zagonić tych leniuchów do roboty. Nikt nie zrobi tego lepiej od niej. Mówię ci, gdyby to ona dowodziła wojskami konfederatów, wojna potoczyłaby się zupełnie inaczej!

— Ale Scotty! Ja mam na sobie tylko...

— Nie szkodzi. Widywała małych chłopców nawet bez tego.

Willy przylgnął do Leatrice niczym kleszcz do ciepłej skóry. Od chwili kiedy powiedziała „Chodź tu, dziecko, niech no ci się przyjrzę”, zawiązała się pomiędzy nimi szczególna więź. Było to zresztą do przewidzenia. Ona potrzebowała kogoś, o kogo mogłaby się troszczyć, jemu potrzebna była właśnie troska. A fakt, że został jej przedstawiony w samej tylko bieliźnie, sprawił, iż łącząca ich więź stała się tym silniejsza i trwalsza.

Za to w kwestii najnowszego pomysłu Scotta Leatrice zachowała się dużo powściągliwiej.

— W domu, w którym straszysz, moja noga za nic w świecie nie postanie.

— Powiedz jej, Willy.

Willy powiedział, lecz ona wyduła wargi i skrzywiła się.

— Nie-e. To nie dla starej Leatrice.

— Ale kto, jeśli nie ty, zagoni ich do roboty? Cała ta banda nierobów najchętniej by spała do południa. Jesteś mi potrzebna, kochana Leatrice, bez ciebie nie dam rady.

Słyszając te słowa trochę zmiękła.

— Co jak co, ale kadzić to ty umiesz — burknęła. Widząc, że jej opór słabnie, Gandy pracował nad nią dalej.

— Sama tylko pomyśl, co to będzie, kiedy dom na nowo wypełni się ludźmi, w sali balowej i w każdej sypialni zabrzmie muzyka, w kuchni zapłonie ogień, a z pieca będzie się unosił smakowity zapach.

Spojrzała na niego kątem oka.

— A kto niby będzie gotował? Tym go zaskoczyła.

— No... jeszcze nie wiem. Ale w odpowiednim momencie coś się wymyśli. Na razie musimy doprowadzić cały ten bałagan do porządku. No więc? Jak będzie? Pomożesz mi?

— Muszę pomyśleć nad jakimś zaklęciem — zgodziła się w końcu.

Myślała przez równe cztery i pół godziny. Do tego czasu całe towarzystwo zwlokło się z łóżek, zjadło śniadanie i z wyraźną niechęcią zabrało się do roboty. Jednakże tempo i efekty

ich wysiłków były mizerne; kiedy Leatrice ujrzała, że wynoszą sprzęty na świeże powietrze, załamała tylko ręce i burknęła pod nosem coś na temat kadzenia.

Parę minut później z workiem asafetydy na szyi stanęła w drzwiach, gotowa do pracy.

— Nie wyczyścicie dywanów, kładąc je na ziemi — krzyknęła groźnie, ująwszy się pod boki. — Trzeba je powiesić i wytrzeć! Poza tym nawet dureń wie, że nie zaczyna się porządków od dołu, bo zanim dojdzie się do góry, dół będzie tak samo brudny jak przedtem.

Gandy podszedł do niej i z wdzięcznością przytulił, natychmiast jednak się cofnął.

— Boże drogi, kobieto, co ty masz w tym worku?— spytał, krztusząc się i dławiąc. — Cuchnie jak kocie szczyny.

— Nie twoja sprawa, chłopcze. To asafetyda. Trzyma duchy z dala od Leatrice. Jak chcesz, żebym nauczyła pracować tę zgraję obiboków, niech cię lepiej nie obchodzi, czym cuchnę.

Gandy uśmiechnął się zadziornie i stanął na baczność.

— Tak jest, psze pani.

W tym właśnie momencie stało się dla niego oczywiste, że już wkrótce Waverley odzyska dawną świetność.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie było rzeczą prostą zamienić Waverley w pensjonat, w którym goście z Północy czuliby się jak na prawdziwej plantacji. Chociaż z drugiej strony było tam wszystko, co niezbędne. Należało tylko doprowadzić dom i jego otoczenie do dawnego porządku. Posprzątać, wypastować, wyczyścić i ponaprawiać.

Zgodnie z rozkazem Leatrice ekipa porządkowa zaczęła pracę od rotundy. Leatrice wydawała polecenia głosem donośnym niczym grzmot, sprawiając, że nawet najbardziej leniwi stawali na baczność i szybko brali się do roboty. Jednakże ich nadludzkie wysiłki poszłyby zapewne na marne, gdyby nie wydarzenia następnego ranka, kiedy w drzwiach domu zaczęły się jedna za drugą pojawiać znajome czarne twarze, oferujące swą pomoc w doprowadzeniu Waverley do porządku.

Najpierw przyszedł Zach, którego ojciec zajmował się stajnią i nauczył młodego Scotta wszystkiego, co sam umiał. Zach natychmiast zabrał się do dzieła. Najpierw ponaprawiał wszystkie siodła i lejce, potem starannie umył wozy, a w końcu posprzątał stajnie. Po nim przyszli Beau i jego żona Clarice, którzy z nieśmiałym uśmiechem powitawszy Gandy'ego, bez zwłoki i protestu wzięli się do plewienia ogrodu. Bracia Andrew i Abraham stanęli na czele grupy mającej za zadanie oczyszczenie głównej alei oraz doprowadzenie do porządku podwórka i ogromnego trawnika, gdzie poprzycinali bukszpany i kamelie i nadali odpowiednie kształty azaliom, które przez lata rozpleliły się po całym ogrodzie. Później przyszła kolej na

przywrócenie świetności skrzydłom domu, w których to, co z metalu, dawno już pordzewiało, a to, co z drewna, spróchniało. Nowo przybyłej Murzynce o imieniu Bettrissa polecono napełnić na podwórzu żelazną balie i rozpocząć pranie narzut oraz pościeli. Jej mąż Caleb wszedł w skład ekipy malarskiej. Przewodził jej sam Gandy; kazał zrobić cztery nowe drabiny, po czym osobiście wspiął się na najwyższą i zabrał się za malowanie rotundy. Podczas gdy mężczyźni uwijali się na dworze, kobiety pracowały w domu.

Wyczyszczono każdą draperię, wypolerowano każdy cal ozdobnych karnesów. Dywany rozwieszono i wytrzepano, niektóre ręcznie wyprano. Okna zostały pomalowane, podłogi wypastowane, szyby umyte, poręcze zaś umyte i wywoskowane. Każdy mebel został albo wyniesiony na dwór i dokładnie wytrzepany, albo wyczyszczony i starannie wywoskowany. Z wbudowanego w ścianę kredensu wszystkie naczynia wyjęto, wyszorowano i odstawiono z powrotem na umytą półkę. Ustępy pobielono, kominy wyczyszczono, a brązowe podpory na drewno wypolerowano tak, że aż świeciły.

Scott osobiście sprawdził instalację gazową i uruchomił na nowo wszystkie palniki. Ivory na czele sporej grupki, w której skład wszedł między innymi Willy, wyruszył do lasu po drewno. Wieczorem żyrandol zajaśniał imponującym światłem i w Waverley odbyło się pierwsze skromne przyjęcie. Marcus grał na bandžo, Willy na harmonijce, dziewczęta tańczyły, a pozostali, usadowieni na schodach, żartowali, że już wkrótce będą musiały zrezygnować z frywolnego kankana na rzecz znacznie spokojniejszego mazura, zdecydowanie odpowiedniejszego dla bogatych gości z Północy, którzy gotowi są wiele zapłacić, by przez tydzień udawać plantatorów z Południa.

Trzeba też było zająć się interesami. Podczas gdy ekipa remontowa kontynuowała swe prace, Scott przygotował reklamę do gazet, informującą o otwarciu podwojów Plantacji Waverley, zaplanowanym na marzec, miesiąc kamelii. Udał się też do Memphis, żeby zdobyć listę stu najbogatszych przemysłowców i wysłać każdemu imienne zaproszenie. Pomysł ten szybko przyniósł wymierne efekty, mniej więcej dwa tygodnie później nadeszły bowiem pierwsze opłaty od tych, którzy twierdzili, że ich małżonki z chęcią odpoczną od surowego

klimatu i skrócą sobie zimę, spędzając jej ostatnie tygodnie w przytulnej atmosferze luksusowej posiadłości. Scott niezwłocznie zakupił oprawną w zieloną skórę księgę gości oraz księgę przychodów, w której odnotował pierwsze od ponad osiemnastu lat dochody Waverley.

Biuro urządził w pokoju na parterze, którego kiedyś używał do tych samych celów jego ojciec. Był to jasny przyjemny pokój z wysokimi od podłogi do sufitu oknami, zapewniającymi chłodny przeciąg w gorące dni, kiedy również okna rotundy były szeroko pootwierane. Zastłony z morskiego żakardu sprawiały, że wpadające światło miało, pomimo mrocznej pory roku, żywy zielonkawy odcień. Ściany, zdobny sufit i gipsowe formy w narożnikach były białe. W pokoju nie było ciężkich półek z książkami, zamiast nich znajdował się tu komplet mahoniowych rzeźbionych w muszle mebli: szyfonierka, sekretarzyk i biurko, a do tego kilka krzeseł z tapicerką z grubej brązowej skóry. Na sosnowej podłodze leżał orientalny zielony dywan z blad różowym wzorem. Dzięki kominkowi z żelazną okładziną w pomieszczeniu było przytulnie nawet wówczas, gdy węgiel ledwo się żarzył.

Scott Gandy uwielbiał swój gabinet. Wspominał czasy, kiedy za mahoniowym biurkiem zasiadał ojciec, zajmujący się interesami plantacji, tak jak obecnie on. Tutaj, z piórem i księgami pod ręką, nie tylko czuł bliski związek z przeszłością, ale i nabierał coraz większego optymizmu.

Kiedy nadeszły pierwsze wpłaty, Scott natychmiast odnotował je w dokumentach, po czym zgasił cygaro i wyruszył na poszukiwania Willy'ego, chciał bowiem jak najszybciej spełnić obietnicę i kupić malcowi konia. Szukał w całym domu i nawoływał, lecz nawet jeśli ktoś go słyszał, nie raczył odpowiedzieć. Przeskakując po dwa stopnie, pobiegł do pokoju dziecinnego, który zajmował razem z Willym. Tam jednak chłopca również nie było.

— Willy? — zawołał, stając koło łóżka z równo rozłożoną narzutą.

I wtedy właśnie usłyszał cichy płacz dziecka i tylko dwa słowa: „Na poomoc.”

— Willy? — Odwrócił się, lecz w drzwiach nikogo nie było. Od niedawno pastowanej podłogi odbijało się nierucho-

me oko konika na biegunach. Prócz niego i Scotta w pokoju nie było nikogo.

— Na poomoc — rozległ się za jego plecami błagalny głos. Odwrócił się na pięcie i spojrzał na łóżko. Na narzucie, jeszcze przed chwilą idealnie gładkiej, widać było wyraźny odcisk maleńkiej postaci.

— Willy? Jesteś tu?

Jednakże to nie był głos Willy'ego ani kształt jego ciała. Scott nie miał żadnych wątpliwości, że to Justine. Czekał, wpatrzony w łóżko. Ponownie rozległ się cichy płacz, Scott wszakże nie czuł ani strachu, ani grozy, a jedynie przemożną chęć ulżenia cierpieniom dziecka.

Wszystko skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. Scott czuł się bezradny i dręczyły go wyrzuty sumienia, jakby powinien był pomóc. Tylko jak?

Przeszukał pozostałe pokoje na piętrze, potem cały parter — bez skutku. W końcu poszedł do kuchni, gdzie znalazł Leatrice, która siedząc na bujanym fotelu, razem z Clarice i Bertrissą łuskała suchy groch.

— Gdzie jest Willy? — spytał niby od niechcienia.

— Gdzieś polazł.

— Ale dokąd?

— Do lasu. Z mężczyznami po drewno na opał.

— Dawno?

— Zaraz po śniadaniu.

— A gdzie reszta?

— Sprzątają chaty.

Scott nikomu nie opowiedział o swoich przeżyciach, ale nazajutrz, kiedy wraz z Zachem i Willym udał się na aukcję zwierząt, gdzie miał nadzieję kupić konie pociągowe oraz przyrzeczonego kucyka, co chwila wracał myślami do poprzedniego popołudnia.

— Willy — zapytał niedbale, kiedy chodzili od zagrody do zagrody, oglądając konie — czy wczoraj po śniadaniu wszyscy byliście w lesie?

— Aha.

— I wróciliście wszyscy razem?

— Aha.

— I ani na chwilę nie zdrzemnąłeś się w swoim pokoju?

— Nie.

— A czy Leatrice posłała łożko, zanim wyszedłeś?

— Nie.

A więc to nie mógł być ślad Willy'ego. Ale w takim razie czyj?

— O, popatrz na tego! Tak mi się podoba! Kupisz mi go, Scotty? Kupisz? — wyrwał go Willy z zamyślenia, a Zach natychmiast przystąpił do uważnych oględzin rocznego deresza.

W sprawach koni Scott całkowicie zdał się na Zacha. Zanim wyruszyli w drogę powrotną, kupili rocznego deresza dla Willy'ego — „Będzie się nazywał Major!” obwieścił malec — dwa łaciate konie pociągowe i dwa dorosłe wierzchowce, ogiera Księcia oraz klacz Shebę.

Odtąd Willy większą część dnia spędzał w okolicach stajni, nosząc koniom wodę, zasypując Zacha pytaniami, podkradając z domu cukier dla Majora, a potem ćwicząc pod okiem Zacha jazdę na lonży.

Scott prawie zapominał o zdarzeniu w pokoju dzieciennym. Któregoś dnia postanowił wybrać się do gradami i przejrzeć ubrania. Przechodząc obok drzwi sypialni usłyszał, że Willy z kimś rozmawia. Cofnął się o krok i zajrzał do środka. Malec siedział na podłodze, budował wieżę z klocków i mówił sam do siebie.

— ...no i Gussie. Gussie mieszka w Kansas, tam gdzie ja kiedyś mieszkałem. Opiekuje się moim kotem, który ma na imię Łoś. Gussie przyjedzie do nas na święta, a Zach obiecał, że upoluje dzikiego indyka.

— Willy, z kim rozmawiasz?

— O, cześć Scotty — spojrzał na niego przez ramię Willy, po czym zabrał się na nowo do budowania.

— Powiedz mi, z kim rozmawiałeś?

— Z Justine — odparł chłopiec obojętnie i zanucił kilka taktów „Oh, Susanna”.

— Z Justine?

— Aha. Czasami, kiedy pada deszcz i nie mogę wyjść na dwór, przychodzi do mnie i się bawimy.

Scott spojrzał na szyby, po których spływały strugi deszczu, zupełnie rozmazując widok. Wszedł do pokoju, przykucnął obok chłopca i splótł ramiona wokół kolan.

— Z moją córką Justine?

— Aha. Jest bardzo miła, Scotty.

Po raz pierwszy Scotta ogarnął strach, nie dlatego, że dom mógł być nawiedzony — był w końcu rozsądnym człowiekiem i nie wierzył w duchy — ale dlatego, że Willy zdawał się traktować Justine jak zwykłego śmiertelnika.

— Justine nie żyje, Willy.

— Wiem. Ale podoba jej się tutaj i czasami mnie odwiedza.

Scott rozejrzał się niepewnie. Wieża rozpadła się, malec zaczął ją więc budować od nowa, przez cały czas wesoło sobie podśpiewując.

— Byłeś już na cmentarzu po drugiej stronie drogi? — spytał Scott.

— Pewnie. Jak Andrew i Abraham poszli wykosić trawę i uporządkować groby, poszedłem z nimi.

Scott ukrył zdziwienie i kontynuował:

— A więc wiesz, że Justine jest tam pochowana, prawda?

— Wiem — wesoło odparł Willy.

— No właśnie. A skoro jest tam pochowana, nie może tu przychodzić i bawić się z tobą. To tylko twoja wyobraźnia, Willy.

— Justine przychodzi tylko tutaj, bo to kiedyś był jej pokój.

Scott nigdy przedtem mu o tym nie wspominał, malec był jednak na tyle bystry, że mógł się tego sam domyślić.

— A chwaliłeś się Leatrice, że rozmawiasz z Justine? Willy odpowiedział uśmiechem, melodyjnym jak dźwięk tamburyna.

— Nie. Przecież by narobiła wrzasku i uciekła gdzie pieprz rośnie, no nie?

Scott również się roześmiał, zaraz wszakże spoważniał.

— W takim razie nie mów jej o tym, dobrze? I bez tego ma wystarczająco dużo na głowie.

— Dobrze — zgodził się Willy, najwyraźniej nie zaprzatając sobie głowy niewiarygodnością całej tej sytuacji.

— Aha, jeszcze jedno. — Scott wstał, patrząc ponad głowę Willy'ego. — Kto ci powiedział, że Gussie przyjedzie na święta?

— Przecież sam mówiłeś, że będę mógł się z nią widywać.

— Ale to wcale nie znaczy, że przyjedzie na święta.

— Dlaczego? Dlaczego nie? — uniósł zawiedziony wzrok Willy.

— Bo nie. Po prostu nie przyjedzie — odparł Scott, gorączkowo szukając argumentów.

— Ale dlaczego?

— Bo w domu już i tak jest okropny tłok, a chaty nie są jeszcze gotowe. Poza tym mamy dużo do zrobienia, zanim zjawią się pierwsi goście.

— Ale obiecałeś...

— Przykro mi, Willy, to niemożliwe.

Willy jednym ruchem zburzył dopiero co zbudowaną wieżę.

— Oszukałeś mnie! Mówiłeś, że będzie mogła przyjechać!

— Dość już tego, Willy! — Scott odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, rozgniewany dziecinnym uporem chłopca. Rzeczywiście, dlaczego nie! Ano dlatego, że przyjazd Agaty oznaczałby komplikacje, których Scott chciał za wszelką cenę uniknąć. Dlatego, że gdyby ją znowu zobaczył, rozstanie byłoby znacznie boleśniesz niż za pierwszym razem. Dlatego, że gdyby zobaczył ją Willy, przy pożegnaniu byłoby dużo więcej łez.

A poza tym wystarczyło mu, że musi poradzić sobie jakoś z myślą, iż dom odwiedza duch. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że to nie może być Justine.

Jednakże trzy noce później Scott obudził się z niespokojnego snu z wrażeniem, że słyszy echo jakiegoś głosu.

Początkowo nie mógł otworzyć oczu, jakby powieki miał sklezione woskiem. Ktoś płakał. Był to cichy dziecięcy płacz. Musi pomóc... musi pomóc... musi wyrwać się z tego odrętwienia... z tego mglistego niewyraźnego świata...

Płacz przybierał na sile, Gandy otworzył oczy. W pokoju panował całkowity mrok.

— Na poomoc... — błagał żałosny głosik.

Scott rozbudził się nagle, jakby nad nim uderzył piorun. Zebrał się w sobie i pochylił nad Willym. Malec leżał na boku, z rękoma pod głową i oddychał równo niczym metronom.

I znowu ten płacz.

Scott oparł się na łokciach, wzrokiem próbując przebić ciemność.

— Kto to?

Płacz przybliżył się i w pewnym momencie Scott poczuł na policzku ciepły oddech. Powietrze wypełniał jakiś zapach, trudny do określenia, delikatny, jakby kwiatowy.

Starał się dostrzec jakiś ruch, lecz nic nawet nie drgnęło. Żaden cień czy jasna plama. Tylko ten płacz — żalony dziewczęcy szloch, i znowu to błaganie:

— Na pomoc.

— Justine? — wyszeptał.

Kołdra na jego torsie poruszyła się, jakby ktoś przesunął dłonią, próbując ją odchylić i wśliznąć się pod nią.

— Justine, czy to ty?

Płacz ucichł, lecz w powietrzu wciąż unosił się ten zapach.

— Śpimy w twoim łóżku... czy o to chodzi? — W pokoju zapanowała głucha cisza, zakłócana jedynie przez miarowy oddech Willy'ego. Także i tym razem Scott nie czuł strachu, a jedynie niepokój, który pragnął jakoś ukoić.

— Justine?

Była zima, okna i weranda były więc szczelnie zamknięte. A mimo to Gandy poczuł zimny powiew, który rozproszył zapach i zabrał ze sobą zjawę.

Wyprostował się, wyciągnął rękę... I nic.

— Justine?

Willy zachrapał, poruszył się i przewrócił na drugi bok. Duch zniknął.

Scott położył się i naciągnął kołdrę do ramion. Błądząc po niej dłonią, wpatrywał się w niewidoczny w ciemnościach sufit. Któż inny mógłby to być, jeśli nie ona? A gdyby chciała zrobić im coś złego, czy nie dałaby tego jakoś do zrozumienia? Zamknął oczy i rozmyślał o niej, o ślicznym maluchu o jasnych włosach. Justine, córeczko, tak bardzo ciebie pragnęliśmy, tak mocno kochaliśmy. Pamiętasz, prawda?

Niemal natychmiast otworzył oczy, zaniepokojony i zauroczony. Ale już wierzył.

Im bliżej było do świąt, tym bardziej wizyty ducha zacierały się w pamięci Scotta i tym uporczywiej Willy domagał się przyjazdu Agaty do Waverley.

— Tęsknię za nią — jęczał, jakby samo to wystarczyło, żeby jego żądania zostały natychmiast spełnione.

— Wiem, że tęsknisz, Willy, ale naprawdę nie mam czasu, żeby zawieźć cię do Kansas, a sam przecież nie możesz jechać.

— Powiedziałeś, że będę mógł! — upierał się Willy, wydymając usta i tupiąc. — Obiecałeś, że będę mógł się z nią zobaczyć, kiedy tylko zechcę!

Scott czuł, że jeszcze trochę i straci cierpliwość.

— Przestań wreszcie przekręcać moje słowa. Nigdy nie mówiłem, że będziesz mógł jechać, kiedy zechcesz. Na miłość boską, przecież minął zaledwie miesiąc od naszego wyjazdu.

— To co? Ja chcę zobaczyć Gussie! — Willy skrzywił się okropnie, a po jego policzkach popłynęły łzy wielkie jak grochy. Gandy miał wrażenie, że Willy potrafi zmusić się do płaczu na każde zawołanie. A przecież nigdy dotąd tak się nie zachowywał.

— Nie wiem, chłopcze, co cię napadło, ale jeśli ci się wydaje, że tupiąc i płacząc coś osiągniesz, to, wierz mi, grubo się mylisz. Jasne?

Willy wybiegł z biura, trzaskając drzwiami z taką siłą, że zakołysał się żyrandol.

— Co, do diabła, w niego wstąpiło? — mruknął Scott pod nosem.

Na cztery dni przed świętami Willy dostał od Agaty prezent: ręcznej roboty wypchaną gęś z miękkiej białej flaneli, z pomarańczowym filcowym dziobem i wyszywanymi oczyma. Oczywiście natychmiast zażądał przyjazdu Agaty, co skończyło się kolejną awanturą i płaczem. Kiedy malec wybiegł, Scott przez chwilę wpatrywał się w drzwi, po czym podniósł list od Agaty, który spadł na podłogę, i przeczytał go z ponurą miną. Niemal w całości dotyczył Willy'ego, z wyjątkiem dwóch linijek, w których Agata napisała:

Pozdrów wszystkich serdecznie i przekaz im ode mnie życzenia wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku. Scottowi także.

Scottowi także. Jakby był dla niej zaledwie bladym wspomnieniem. Myśl ta okropnie go rozgniewała, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

Święta Bożego Narodzenia roku 1880 powinny były być dla niego jedynymi z najszcześniejszych w życiu, przecież po piętnastu latach tułaczki powrócił w końcu do Waverley. Dom został przystrojony ostrokrzewem i jemiolą, w każdym kominku płonął ogień, podłogi i meble błyszcząły od wosku, a cała posiadłość tętniła życiem. Zgodnie z obietnicą Zach upolował dzikiego indyka, którego Leatrice upiekła z nadzieniem kasztanowym i odpowiednio przybrała. Wszystko tak samo jak kiedyś.

A jednak niemal całe święta Scott Gandy przesiedział, apatyczny i bierny, w skórzanym fotelu w salonie, wpatrzony w niszę ślubną. Miał wokół siebie wszystkich, których kochał, czyż nie? Mimo to jego myśli nieustannie wracały do drewnianego budynku przy zmrożonej ulicy w Proffitt, gdzie hulał wiatr i padał śnieg, i do kobiety, która nie mając z kim spędzić świąt, przesiadywała samotnie w ciasnym, mrocznym ponurym mieszkaniu.

W styczniu Willy zrobił się jeszcze bardziej kłótlivy. Niemal każdej nocy płakał z tęsknoty za Agatą i coraz więcej czasu spędzał na rozmowach z „Justine”. Scott pomyślał, że może przydałby mu się kolega, zabrał więc malca do miasta na spotkanie z wnukiem Ellen Bayles. Niestety, chłopcy z miejsca poczuli do siebie ogromną antypatię i zniecierpliwienie Scotta tylko się nasiliło.

W lutym Scott i kobiety znaleźli w końcu trochę czasu, żeby uporządkować ubrania na strychu. Była to prawdziwa kopalnia cennych strojów, które dziewczęta mogłyby wkładać, żeby tańcząc z gośćmi wyglądać jak najbardziej autentycznie. Okazało się jednak, że żadna suknia nie jest wystarczająco obszerna dla bujnych piersi Jube, a kiedy nieszczęsna dziewczyna spróbowała jedną z nich przerobić, skończyło się to katastrofą.

Coraz bardziej uszczypliwe uwagi Scotta pozbawiały wszystkich chęci do życia.

W stajniach panował nienaganny porządek, w boksach znajdowało się wystarczająco dużo koni, żeby wozić gości na i ze stacji, a oprócz tego zapewnić im rozrywkę. Ekwipaże zostały naoliwione, a jeśli było to konieczne, wymienione na nowe. Lodownię wypełniono przywiezionym z miasta lodem. Nad wędzarnią unosił się wąski słup dymu z drewna orzecho-

wego. Dwie łaciate krowy pilnowały, żeby trawa na łące zanadto się nie rozrosła, oraz dostarczały mleko i masło. Uruchomiono nawet stary prychnący prom do przewożenia gości na drugi brzeg rzeki. Na koniec Scott kupił dwa pawie, które dodały uroku szmaragdowym trawnikom. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku.

Wszystko oprócz Scotta, on bowiem był wiecznie rozdrażniony, a chwilami po prostu nie do zniesienia. Nikt nie mógł na niego spojrzeć, nie ryzykując, że zostanie zrugany. Chodził po domu, głośno stukając obcasami, jakby chciał wszystkich ostrzec, żeby natychmiast zeszli mu z drogi. Warczał na mężczyzn, kobietom posyłał ponure spojrzenia, Leatrice powiedział, że jeśli nie zdejmie „tego zasikanego worka”, to w końcu zgnije jej szyja.

Odpowiedzialnością za swój fatalny humor obarczał Willy'ego.

Ten smarkacz był coraz bardziej nieznośny! Prawdopodobnie dlatego, że ciągle przebywał w towarzystwie Leatrice, stawał się równie bezczelny jak ona. Na dodatek z dnia na dzień bardziej kaleczył język, a czasami zupełnie nieświadomie używał nieprzyzwoitych wyrażeń, za co winę ponosiły dziewczyny, które nie zawsze uważały na to, co przy nim mówią. Wszyscy okropnie go rozpieszczali, a kiedy Scott próbował przywołać go do porządku, chłopiec obrażał się lub zaczynał krzyczeć, albo i jedno, i drugie. W styczniu skończył sześć lat i powinien był pójść do szkoły, ponieważ jednak Scott nie mógł go wozić codziennie do miasta, nie było sposobu, żeby zapewnić mu lekcje, tym bardziej że żaden z mieszkańców Waverley nie miał po temu kwalifikacji. Co gorsza, nikomu nie przyszło do głowy, by spróbować nauczyć go tak podstawowych rzeczy, jak sprzątanie po sobie. Ilekroć Scott kazał mu posłać łóżko czy poukładać ubrania, mały wybiegał z pokoju krzycząc, że zrobi to za niego Leatrice.

Któregoś dnia dziewczyny zniszczyły kolejną suknię. Dowiedziawszy się o tym, Scott wpadł do salonu, zaadaptowanego chwilowo na szwalnię, i zrobił im karczemną awanturę.

— Do diabła! He jeszcze razy mam biegać na ten przeklęty strych po nowe suknie? Gdyby była tu Agata, na pewno by jej nie przerobiła na bezużyteczną szmatę!

Słyszając to, Jube nie wytrzymała i w końcu wyrzuciła z siebie to, co wszystkie myślały.

— Skoro Agata potrafi to zrobić lepiej, sprowadź ją tutaj! Przecież właśnie to nie daje ci spokoju, odkąd wyjechaliśmy z Kansas. Może nie?

Twarz Gandy'ego przybrała groźny wyraz. Jego kości policzkowe nagle jakby się uwydatniły, w oczach pojawił się złowrogi błysk, a zaciśnięte usta stały się niemal białe.

— Lepiej licz się ze słowami, Jube — warknął, wskazując na nią palcem.

— A co, może mówię nieprawdę? — parsknęła, chwytając się pod boki.

Gandy zacisnął zęby, a na jego lewym policzku zadrgał mięsień.

— Dobrze wiesz, że w każdej chwili możesz stąd wylecieć

— zagroził.

— Pewnie, tylko ciekawe, czy w ten sposób rozwiążesz swoje problemy!

Odwrócił się w stronę drzwi.

— Nie wiem, do diabła, o czym ty mówisz!

— O niejkiej pannie Agacie Downing. — Chwyciła go za łokieć i odwróciła z powrotem do siebie. — Odkąd się z nią rozstałeś, zachowujesz się jak rozeźlony niedźwiedź. Z dnia na dzień jest coraz gorzej.

Potrząsnął głową i ochryple się roześmiał.

— Agata Downing! Ha! Ty chyba oszalałaś! Agata Downing, ta... ta afektowana modystka?

— Oczywiście, że tak! Ale ty jesteś zbyt uparty, żeby się do tego przyznać!

Wyrwał ramię z jej uścisku.

— Od kiedy to niby jestem uparty, panno Jubilee Bright?

— A od kiedy ja jestem krawcową, łaskawy panie Gandy?

— Kopnęła leżącą na podłodze suknię, po czym z bojową miną zwróciła się do niego. — Dobrze wiesz, że urabiamy sobie ręce aż po same pachy! Szorujemy podłogi, woskujemy drewno... A może chcesz wiedzieć, z ilu słupków składa się ta cholerna poręcz? — Wskazała palcem w stronę holu. — Z siedmiuset osiemnastu, dokładnie tylu! My to wiemy, bo my ją czyściliśmy! Twój dawny niewolnicy wrócili, żeby ci pomóc... i bardzo dobrze, w pełni doceniamy tę pomoc. I robimy wszystko, co

się nam każe. Doprowadzamy do porządku chaty, żeby dało się w nich zamieszkać. Kiedy Leatrice każe nam obierać cebulę, to obieramy, kiedy mówi, że trzeba wyprać pościel, pierzemy. A teraz Ivory wpadł na pomysł obsiania bawełną pola niedaleko domu, żeby plantacja wyglądała jak przed wojną. W porządku, skoro dotąd robiłam wszystko, co mi kazano, mogę także uprawiać bawełnę. Ale o szyciu nie mam zielonego pojęcia, panie Gandy, po prostu nie mam pojęcia! — Szturchnęła go w pierś. — I lepiej to sobie zapamiętaj! — Odwróciła się, kopnęła ze złością suknię, po czym opadła na sofę w cokolwiek wyzywającej pozie. — Jestem była prostytutką, panie Gandy, o czym ty zdaje się zapomniałeś, i przywykłam pracować w pozycji leżącej, w strojach znacznie skromniejszych i łatwiejszych do utrzymania aniżeli ta przekłeta suknia. — Jej głos stał się wyzywająco jedwabisty. — Chętnie ją jednak włożę, kochanie, pod warunkiem że sprowadzisz tu kogoś, kto ją na mnie dopasuje. A jeśli tym kimś będzie Agata Downing, tym lepiej. Może wreszcie przejdą ci te przekłete humory.

Ruby siedziała na krześle, z nogą na nodze, niedbale machając stopą i od czasu do czasu unosząc jedną brew. Pearl siedziała w równie obojętnej pozie, nie zwracając uwagi na suknię, nad którą pracowała, kiedy w salonie pojawił się Scott.

Tak krnąbrnych eks-prostytutek Scott Gandy nigdy dotąd nie widział. Były twarde i niewzruszone niczym gleba po trzech latach suszy. Rzuciwszy okiem na suknię, o której Pearl zapomniała, Gandy zdał sobie nagle sprawę ze swej bezsilności.

Zaklął szpetnie i wyszedł z pokoju.

Powoli kończył się luty i w powietrzu czuć było zbliżającą się wiosnę. Zach okazał się równie dobrym kowalem jak jego ojciec i chętnie uczył nie tylko Willy'ego, ale i Marcusa. Marcus odkrył w sobie miłość do zwierząt, które, podobnie jak on, nie potrafiły mówić, a mimo to świetnie się porozumiewały. Tego dnia dwuletnia klacz Sheba miała ochotę powierzgać na wygonie. Para statecznych łaciatych pociągowców mrugała leniwie w promieniach słońca, wpadających przez okna stajni. Natomiast niesforny ogier Scotta Książę... No cóż, temu było w głowie coś zupełnie innego. Nozdrza miał rozszerzone, uszy postawione, a jego kasztanowy ogon unosił się w łuk, ilekroć

zarząła klacz Cinnamon, najnowszy nabytek Scotta, biegnąca po wygonie i zachęcająco potrząsająca bujną grzywą. O czwartej, oznajmił Zach, jak tylko wróci Scott, który pojechał z Willym do miasteczka, żeby dowiedzieć się o cenę nasion bawełny.

Już niedługo, Księżę, pomyślał Marcus żalując, że nie potrafi jakoś powiedzieć tego zniecierpliwionemu ogierowi, którego fallus sterczał coraz bardziej, ciężki i gruby jak ramię mężczyzny.

— Marcus?

Podsłoczył i odwrócił się w stronę drzwi. W powodzi światła stała Jube, ubrana w jasnoniebieską prostą suknię. Włosy spięła z tyłu, ramiona zaś okryła cienkim wełnianym szalem.

Marcus uniósł rękę w geście powitania i pośpieszył w jej stronę, mając nadzieję, że zdoła jakoś zatrzymać ją w drugim końcu stajni, z dala od Księcia z jego lśniącym narządem.

— Szukałam cię — rzekła, kiedy stanął przed nią, blokując jej przejście. Minę miała smutną i uroczystą.

Wyglądała przepięknie, z opadającymi na skronie luźnymi kosmykami jasnych włosów i pełnymi kształtnymi ustami. Kiedy tak w milczeniu ją podziwiał, serce zabiło mu szybciej.

— Czy możemy porozmawiać? — spytała.

Uwielbiał ją za to, że traktowała go tak, jakby niczym się nie różnił od innych mężczyzn. Skinął głową, a ona ujęła go pod rękę i ze spuszczonego wzrokiem poprowadziła wzdłuż boksów.

— Wczoraj pokłóciłam się ze Scottem. — Marcus zatrzymał się, zmarszczył brwi i spojrzał jej pytająco w oczy. — Nigdy przedtem się nie kłóciliśmy, ale ta awantura szykowała się już od dłuższego czasu. Poszło o suknię, którą zniszczyłam, kiedy próbowałam ją przerobić. Choć tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. O Agatę. — Widząc jego zdziwioną minę, Jube cicho się roześmiała. — Tak, o tę Agatę — kontynuowała. — Jestem pewna, że się w niej kocha, ale przecież on nie przyzna się do tego nawet przed sobą samym, męczy się i całą złość wyładowuje na nas. Czy nie zwróciłeś uwagi, jak się ostatnio zachowuje? Jak nas traktuje? W każdym razie nie wytrzymałam i powiedziałam mu, niezbyt zresztą grzecznie, że nie przywykłam pracować tak ciężko jak

ostatnio. Powiedziałam mu też, że powinien sprowadzić tutaj Agatę, to może wreszcie przejdą mu te humory.

Marcus ścisnął ją za ramię i wskazał najpierw na dalekie Kansas, a potem na miejsce, w którym stali.

— Tak, tutaj! — Uniosła twarz i delikatnie chwyciła go za łokieć. — Marcus, nigdy mnie o to nie pytałeś, ale chcę, żebyś wiedział. Ja i Scotty nie jesteśmy już razem. Rozstaliśmy się zaraz po przyjeździe z Kansas. Czy to dla ciebie coś znaczy?

Z trudem przełknął ślinę czując, jak do głowy uderza mu krew, serce zaś wali niczym potężny młot.

— Przypuszczam, że jesteś zbyt honorowy, by wykonać jakikolwiek ruch, dopóki sądzisz, że Scott ma do mnie jakiegokolwiek prawa. — Wypowiedziawszy te słowa, umilkła zawstydzona, zarumieniła się i spuściła wzrok. — Och, Marcus — odezwała się po chwili — wiem, że jako kobiecie nie wypada mi tego mówić, ale jeśli miałabym czekać, aż...

Zrobił gwałtowny krok do przodu i zanim zdążyła zerknąć do boksu, ścisnął ją za łokieć. Ich oczy się spotkały.

Wzmocnił uścisk i zdecydowanie pokręcił głową.

— Nie? Mam tego nie mówić? Ale dlaczego? Przecież... przecież któreś z nas musi.

Marcus spoglądał to na nią, to na boksa. Raz jeszcze pokręcił głową, nie wiedząc, jak jej przekazać, że wcale nie chodzi mu

o jej słowa.

— Co? — Spojrzawszy przez ramię, zobaczyła stojącego w boksie ogiera. — Och! — wykrzyknęła i szeroko otworzyła oczy.

Księżę raz po raz stawał dęba, przednimi nogami grzebał w ziemi, a jego ogromny fallus lubieżnie się kołysał. Jube i Marcus zastygli w miejscu, unieruchomieni wspólnym zakłopotaniem, tak intensywnym, że zdawało się poruszać powietrze i unosić kurz, płynący w skośnych promieniach wpadającego do stajni światła.

— Lepiej trzymajcie się z dala od tego boksu — wyrwał ich z odrętwienia głos Zacha. — Kiedy ogier poczuje goniącą się klacz, może być niebezpieczny.

Zaraz po Zachu w drzwiach stajni pojawił się Scott, umysł najwyraźniej mając zajęty tym, do czego wkrótce miało dojść.

— Lepiej go do niej dopuść, Zach, bo rozwali boksa. Marcus, Jube — dodał bezceremonialnie — jeżeli chcecie

sobie popatrzeć, stańcie za ogrodzeniem. Będzie mu się strasznie śpieszyło, kiedy Zach go wreszcie wypuści. Marcus i Jube wyszli ze stajni i posłusznie zajęli miejsca za bielonym ogrodzeniem, z dala od reszty gapiów. Podniecony ogier wybiegł na wygon, z ogonem uniesionym i powiewającym na wietrze niczym gałęzie wierzby, zadartą głową, z rozszerzonymi nozdrzami. Zatrzymał się w sporej odległości od Cinnamon. Przednie nogi miał zwarte, oczy niespokojne. Przez chwilę, która zdawała się trwać kilka minut, zwierzęta stały naprzeciwko siebie, zastygłe w bezruchu. Księżę parsknął, a klacz się odwróciła. Jakby wzburzony jej obojętnością, ogier uniósł głowę i zarżał, po czym dziko potrząsnął grzywą.

Jego rzenie zainteresowało Willy'ego, który siedział na ogrodzeniu, podtrzymywany przez Scotta.

— Dlaczego on to zrobił, Scotty?

— Nawołuje ją. Zaraz będą się parzyć. Stąd właśnie biorą się źrebięta.

W tym momencie zdawało się, że nic z tego wszystkiego nie będzie. Cinnamon sprawiała wrażenie absolutnie obojętnej. Oddaliła się w drugi koniec wygonu i biegła tam i z powrotem. Przy każdym nawrocie potrząsała grzywą. Wyniosła, choć niespokojna, przez cały czas trzymała Księcia na dystans.

Ogier parsknął, wierzgnął, uderzył przednią nogą w miękką ziemię, po czym potrząsnął ogromną głową i imponującym fallusem.

Klacz stanęła tyłem do niego, unosząc ogon i demonstrując swe nabrzmiałe, wilgotne już narządy płciowe. Kiedy ogier poczuł jej zapach, mocny i gorący, jego nozdrza rozchyliły się, a skóra zadrżała.

Zdażył zrobić zaledwie sześć kroków, kiedy klacz odwróciła się przodem do niego. Zatrzymał się niemal w miejscu, a jego nabrzmiały organ zakołysał się, jakby unoszony wartkim nurtem. Klacz pobiegła w lewo. On za nią. Ona w prawo. On ani myślał ustąpić. Podążał za nią władczyim krokiem, jak mężczyzna za kobietą, jak dżentelmen za damą. Jednakże ona pozostawała nieczuła na jego zaloty i prychnawszy cicho, obiegła go dookoła, kęsając w pachwinę. Kiedy stęknął, odwróciła się do niego przodem. Konie wpatrywały się w siebie z przeciwnych krańców wygonu, wyprostowane, lśniące w świetle popołudniowego słońca,

z nagle znieruchomiałymi ogonami. Jasnoniebieskie motyle przeleciały nad wygonem szczipione ze sobą, jakby chciały im pokazać, co mają dalej robić.

Księżę ponownie ruszył do przodu, tym razem ostrożnie, krok po kroku. Klacz zarżała radośnie, wysoko uniosła głowę i czekała, aż ogier się zbliży. Kiedy poczuł jej zapach, odskoczyła i obiegła go dookoła, ponownie kąsając. Wszyscy oglądający to przedstawienie czuli, że napięcie wkrótce osiągnie punkt kulminacyjny. Każda dłoń opierająca się o parkan była wilgotna od potu, każdy kręgosłup wyprężony. Tak jak u ludzi, nadchodził ów moment, kiedy on nie jest już w stanie dłużej znosić jej prowokacji. Zbliżając się po raz kolejny do Cinnamon, Księżę wydawał się pobudzony do granic wytrzymałości.

Dosyć już tej wyniosłości, madame — zdawał się mówić. — Najwyższy czas brać się do dzieła.

Natarł na klacz, dumnie, majestatycznie, i zapędził ją w róg wygonu. Po wszystkich stosowanych dotąd unikach nagła uległość Cinnamon była zaiste zadziwiająca. Stała jak skamieniała i tylko jej oczy uważnie śledziły poruszenia Księcia. Aksamitne nosy niemal się z sobą zetknęły, sztywne włoski w nozdrzach leciutko drżały, kiedy zwierzęta dmuchały na siebie niczym miechy kowalskie. A potem Księżę obiegł Cinnamon i zrobił jeden krok w tył, podczas gdy ona cierpliwie czekała. Trafiwszy do celu, Księżę oplótł boki klaczy przednimi nogami i zanurzył się w nią aż po pachwinę.

W momencie połączenia Cinnamon przenikliwie zarżała, a po plecach gapiów przeszedł dreszcz.

Był w tej kopulacji jakiś zdumiewający pierwotny majestat. Czuli go wszyscy, także Marcus i Jube, których scena ta bardzo poruszyła. Stali oboje oparci o parkan, dotykając się łokciami, wpatrzeni w ogiera i stękającą pod nim klacz. Nigdy dotąd nie odczuwali wzajemnej bliskości w taki sposób.

W swoim życiu, pełnym sytuacji, w których podniecenie było niezbędne, Jubilee nigdy nie doświadczyła równie intensywnego jak to, które zawładnęło nią teraz. Marcus znajdował się w podobnym stanie. Jak Księżę poczuł woń Cinnamon, tak Marcus poczuł zapach Jube. W miejscu, w którym stykały się ich łokcie, zdawał się iskrzyć prąd, płynący im w żyłach. Marcus czuł żądzę równie pierwotną jak żądza Księcia. Ale

jeśliby próbował zbliżyć się do niej właśnie teraz, czy nie pomyślałaby, że kierują nim jedynie popędy ciała? Gdyby mógł jej powiedzieć: „To nie tylko z tego powodu, Jube, ale przede wszystkim dlatego, że kocham cię dłużej, niż sobie wyobrażasz”. Gdyby mógł powiedzieć: „Pragnę uczucia równie mocno jak ciała i wydaje mi się, że tylko ty jedna możesz mi to wszystko dać”. Gdyby mógł powiedzieć: „Jube, Jube, kocham cię bardziej niż ktokolwiek inny i nie przeszkadzają mi ci wszyscy, którzy dotąd dawali ci rozkosz, robiąc to zapewne dużo lepiej niż ja”. Gdyby tylko mógł.

Lecz przecież nie mógł. Jego serce uwięzione było we wnętrzu niemego ciała, pozostało mu więc stać i drzeć obok kobiety, którą kochał nad życie.

Nasienie Księcia trysnęło. Wyszedł z Cinnamon lśniący, wilgotny, zostawiając na jej zadzie ślady ich zbliżenia.

Pearl ruszyła w stronę domu. Zaraz za nią podążyła Leatrice. Jack oddalił się w kierunku sterty drewna. Ivory i Ruby rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Zach udał się do swojej chaty. Gandy zdjął Willy'ego z parkanu i zaniósł do domu, po drodze odpowiadając na niezliczone pytania. W końcu przy płocie zostali jedynie Marcus i Jube.

Dalsze milczenie byłoby krępujące.

— Jeżeli masz coś do zrobienia, chętnie ci pomogę — zaproponowała Jube.

Gdy wolnym krokiem ruszyła ku stajni, Marcus podążył za nią. Zastanawiała się, czy w końcu zdobędzie się na ruch. Dała mu jasno do zrozumienia, co do niego czuje, on jednak był zbyt nieśmiały, a na domiar złego prawdopodobnie zniechęcała go jej bujna przeszłość. Jakże bardzo jej teraz żałowała.

Oczywiście znała niezawodne sposoby, potrafiła dotykać mężczyznę tak, żeby sprowokować go do działania, lecz w tej sytuacji, wobec tego mężczyzny, nie chciała ich użyć. Jeżeli w ogóle miało między nimi do czegoś dojść, pragnęła, by wynikało to z miłości, nie z żądy. Poza tym bardzo chciała, żeby to on wykonał pierwszy ruch.

W stajni panowała zupełna cisza i tylko w przejściu pomiędzy boksami unosił się kurz. Powietrze przesycone było zapachem skóry, siana i płodności, na długo przesiąkającym stare drewno.

Jube zatrzymała się, Marcus stanął tuż za nią. Nagle spuściła głowę, a kosmyki jej anielskich włosów opadły na kołnierz niebieskiej sukni. Drżącymi rękoma poprawiła szal. Nad ich głowami krzątały się dwie stalowoskrzydłe jaskółki o różowych brzuskach, budując z błota gniazdo.

— Marcus? — rozległ się głos Jube. — Czy to dlatego, że byłam prostytutką?

Czy naprawdę tak sądziła? Czy rzeczywiście wydawało się jej, że to ma dla niego jakiegokolwiek znaczenie?

Chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie, gwałtownie przy tym kręcąc głową.

„Nie, Jube, nie! To dlatego... dlatego, że... — Jakże okropnie bolało, że nie może jej tego po prostu powiedzieć. — Dlatego, że cię kocham.”

Kiedy jej to mówił, ruchy miał mocne, gwałtowne, pełne gniewu na życie, które obarczyło go takim kalectwem.

Mocno uderzył się w pierś, po czym czubkami palców dotknął jej serca. „Kocham cię.” Gestykulował jak oszalały, jakby chciał wymazać z jej pamięci to, czego świadkami byli na wygonie. Nie o to mu chodziło. „Kocham... cię.”

Rzuciła mu się w ramiona tak szybko, że aż się zachwiał. Stojąc na czubkach palców, całowała go w usta, przywierając do niego całym ciałem, podczas gdy jej dłonie znalazły się tam, gdzie od tak dawna pragnęły być.

Język, który nie potrafił wymawiać słów, przemawiał tysiącami pieszczot. Ręce, których używał do porozumiewania się ze światem, przekazywały tę jedną, najważniejszą ze wszystkich wiadomości, tuląc Jube do walącego jak młotem serca, pieszcząc jej plecy, talię, głowę. Cofnęła się o krok, ujęła jego twarz w obie dłonie i patrząc mu prosto w oczy rzekła:

— Marcus. Marcus. Ja też cię kocham. Ale dlaczego tak długo czekałeś, żeby mi to powiedzieć? Kocham cię od tamtego pikniku, a może nawet dłużej.

Jakżeby chciał teraz głośno się roześmiać. Nie mogąc tego uczynić, po prostu ją pocałował. I znowu, i jeszcze raz. A każdym z tych pocałunków jasno komunikował, co czuje. Przy kolejnym jego dłonie spoczęły na jej piersiach, pieszcząc je z podziwem. Ona gładziła jego włosy, plecy, biodra. Rozpiął guziki jej sukni i wsunął pod nią ręce, podczas gdy jej dłonie

błądziły po jego plecach i pośladkach. W końcu ich ciała zaczęły się o siebie ocierać.

„On mnie kocha! — radowała się Jube. — Marcus naprawdę mnie kocha!”

„Ona mnie kocha — cieszył się Marcus. — Tak, Jube naprawdę mnie kocha!”

Nie chciał jednak robić tego w stajni, jakby byli zwierzętami w czasie rui. Jube zasługiwała na coś lepszego. On zresztą, po tak długim oczekiwaniu, również.

Ścisnąwszy jej ramiona, odsunął ją od siebie. Z rozchylonymi nozdrzami i rozpalonym wzrokiem przypominał Księcia. Podobnie jak Cinnamon, Jube posłusznie czekała, szybko oddychając przez wpeł otwarte usta.

Marcus wskazał na pusty boks i przeciął ręką powietrze. „Nie tutaj i nie tak.” Obrócił ją, zapiął jej suknię i poprawił spinki we włosach, po czym chwycił za rękę i zanim zrozumiała, o co mu chodzi, pociągnął do wyjścia. Pewnym, władcym krokiem poprowadził ją przez podwórze, potem zarośniętą alejką wzdłuż przybudówek, wreszcie przez ogród, obok wyniosłych pawi, które uniosły głowy i odprowadziły ich wzrokiem. Weszli na werandę, przecięli ogromny hol, a potem zaczęli wspinać się po schodach. Ich kroki rozbrzmiewały gromkim echem.

W tym momencie z biura wyszedł Scott, zagłębiając się w lekturze jakiegoś listu.

— O, Marcus, czy mógłbyś...

Dalsze słowa zastygły mu na ustach. Patrzył oniemiały, jak Marcus prowadzi Jube po schodach. Obejrzała się bezradnie przez ramię i zarumieniła aż po same uszy. Kiedy zniknęli za zakrętem, Gandy cofnął się do biura, cicho zamknął drzwi i uśmiechnął się do siebie.

Marcus zaprowadził Jube prosto do pokoju, który dzielił z Jackiem.

Gdy znaleźli się w środku, bez namysłu podszedł do potężnej komody, sprawiającej wrażenie, że aby ją ruszyć z miejsca, potrzeba siły Herkulesa. On tymczasem chwycił ją jak zabawkę i przestawił pod drzwi., W całym domu słychać było zgrzyt przesuwanego mebla.

Odwrócił się, ciężko dysząc, i dostrzegł na twarzy Jube zadziorny uśmiech.

— Zarysowałaś świeżo woskowaną podłogę — rzekła cicho. — Leatrice każe nam to robić od nowa.

W odpowiedzi Marcus rozpiął koszulę, szarpnięciem wyciągnął ze spodni, a następnie podszedł do Jube, wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i razem z nią opadł na miękką pościel. Przy pierwszym pocałunku odnalazł jej pierś, a kiedy w chwilę później całym ciężarem przycisnął Jube do materaca, było jasne, że pomiędzy stajnią a łóżkiem nic się nie zmieniło.

Dotąd Marcus znał jedynie miłość za pieniądze. Tę jednak... tę jakimś cudownym zrządzeniem losu zdobył. Każdą pieśczęcią pokazywał Jube, jak bardzo mu na niej zależy. Jube, jego nieosiągalna Jube. A przecież osiągalna. Mruczała mu do ucha, wypowiadając słowa, które z nich dwojga wypowiedzieć mogła tylko ona. On przemawiał dłońmi wędrującymi po jej ciele, ustami, zachwyconymi oczyma. Inni mężczyźni mieli do dyspozycji słowa, którymi mogli zwodzić i kusić, jemu musiało wystarczyć samo ciało.

Wykorzystywał je wszakże z taką pomysłowością, że Jube miała wrażenie, iż słyszy jego głos.

„Jube, moja kochana Jube. Jakże uwielbiam twoje włosy, skórę, ciemne rzęsy, śliczny nosek, cudowne usta, miękką szyję, piersi, pieprzyk pomiędzy nimi, twój śnieżnobiały brzuch i... tak, ją też uwielbiam... aaaach, Jube...”

W przeszłości wielokrotnie udawała żar, lecz z Marcusem nie było to potrzebne. To, co do niego czuła, uczyniło ten akt — po raz pierwszy w jej życiu — aktem miłości.

A kiedy uniósł się nad nią i jednym pchnięciem połączył ich ciała, było to tak naturalne jak spółkowanie jaskółek w gnieździe, motyli w powietrzu, koni na wygonie.

Później, gdy było już po wszystkim i burza ich zmysłów ucichła, leżeli bez ruchu, dotykając się spoconymi czołami. Jack chwilę bezskutecznie szarpał za klamkę, aż wreszcie dał sobie spokój i mrucząc coś pod nosem zszedł na dół, skąd dochodził zapach świeżo smażonych racuchów. Chociaż niczym grzmot zadudnił ochryply głos Leatrice, wzywającej ich na kolację, oni leżeli, śmiejąc się do siebie i mocno tuląc. I Marcus wiedział już, że są inni niż Książę i Cinnamon, bo nie poszli każde swoją drogą, jakby ich zbliżenie służyć miało tylko zaspokojeniu zwierzęcej żądzy.

Podeksycytowany, wyskoczył z łóżka tak nieoczekiwanie, że Jube krzyknęła i skuliła się. Musiał spytać ją teraz, natychmiast, jeszcze zanim wyjdą z pokoju. Jak oszalały szukał ołówka i kawałka kartki w szafie, w kieszeniach zniszczonej marynarki, w szufladach, na stole pomiędzy oknami. Wreszcie zniecierpliwiony podszedł do kominka, wziął kawałek węgla, odsunął Jube na brzeg łóżka i napisał na zmiętym prześcieradle:

„Czy...”

— Marcus, co ty wyprawiasz? Leatrice urwie ci głowę!

„...wyjdiesz za mnie?”

Jube wpatrywała się w to pytanie tak zszokowana, że jej oczy przypominały dwa wielkie spodki.

— Czy wyjdę za ciebie?

Skinął głową. Jego niebieskie oczy lśniły, włosy po miłosnych zmaganiach miał w strasznym nieładzie.

— Kiedy?

Wielkimi literami napisał na prześcieradle: „NATYCHMIAST!”

— A ksiądz? A suknia ślubna? A wesele? A...

Ukląkł pośrodku łóżka, zakrywając słowo „wyjdiesz”, i pociągnął ją tak, że padła na kolana tuż przed nim. Jego spojrzenie sprawiło, że serce zabiło jej jak opętane, jeszcze zanim pocałował ją z taką samą władczością, z jaką trzy kwadranse wcześniej prowadził po schodach.

Cofnął się, nie odrywając od niej nieruchomych oczu i ściskając za łokcie.

— Tak! —wykrzyknęła z radością, zarzucając mu ramiona na szyję. — Tak, Marcus, oczywiście, że tak. Wyjdę za ciebie. Ale za dwa tygodnie. Proszę. Nigdy jeszcze nie miałam narzeczonego, a sądzę, że będzie mi się to podobać. Raz jeszcze ją pocałował, z początku mocno, namiętnie, potem coraz delikatniej, zastanawiając się, czy rozkosz w takiej dawce nie jest przypadkiem zabójcza.

Na kolację spóźnili się tak bardzo, że było już po racuchach. Leatrice krzątała się przy stole, zbierając puste talerze i rzucając dokoła ponure spojrzenia. Kiedy zdyszani, ale szczęśliwi stanęli w drzwiach jadalni, zastygła w bezruchu.

Scott uniósł wzrok znad filiżanki kawy i spojrzał Jube prosto w oczy.

Pozostali poczerwienieli jak raki i nagle zainteresowali się okruchami na obrusie.

Tak jak przedtem Marcus ciągnął za sobą Jube, tak teraz ona szła pierwsza. Ściskając go za rękę, spojrzała na Gandy'ego i głośno obwieściła:

— Marcus i ja bierzemy ślub.

Sześć głów podskoczyło z wrażenia. Gandy odstawił filiżankę.

— Za dwa tygodnie — szybko dodała Jube.

Twarz Scotta powoli rozjaśnił łagodny uśmiech i po chwili po całym napięciu nie został nawet ślad.

— Najwyższy czas — rzekł. Jube rzuciła mu się w ramiona.

— Och, Scott, tak się cieszę.

— Ja też, Jube.

Uścisnął dłoń Marcusa i poklepał go po plecach, podczas gdy Jube przyjmowała gratulacje od reszty. Kiedy już obeszła wszystkich po kolei, Scott objął ją lekko w talii i oświadczył:

— Ale jest jeden warunek. Ceremonia musi odbyć się w niszy ślubnej.

Jube spojrzała mu prosto w oczy, a zaraz potem zafundowała mu jeden z największych wstrząsów uczuciowych, jakich kiedykolwiek zdarzyło mu się doświadczyć.

— Dobrze, ale pod warunkiem że na nasz ślub przyjedzie Agata.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Och, ta zima, ta nie kończąca się, bezlitosna zima i ta dokuczliwa samotność, która każdego dnia doskwierała jej coraz bardziej. Dawniej także była samotna, lecz nigdy tak strasznie z tego powodu nie cierpiała. Zanim do jej życia wdarli się Willy, Gandy i jego „rodzina”, samotność zdawała się oceanem spokoju. Agata już dawno pogodziła się z faktem, że jej życie to ciąg takich samych dni, że dla niej zenit i nadir zawsze znajdują się tak blisko siebie, że właściwie trudno je odróżnić. Pogodziła się z ciszą, monotonią, porządkiem, codziennym rytuałem. A także brakiem miłości.

I nagle zjawili się oni, wnosząc do jej życia muzykę, zamieszanie, nieobliczalność i śmiech. W gruncie rzeczy tych kilka miesięcy było zaledwie błyskiem, jednym szybszym uderzeniem serca, krótką przerwą pośród długich lat samotności. Lecz przecież właśnie wówczas w jej życiu zdarzyło się więcej, niż — nie miała co do tego żadnych złudzeń — zdarzy się do końca jej samotnych dni. Utraciwszy to wszystko, straciwszy ich, była skazana na dozgonny ból.

Ech, ta wieczna nuda po ich wyjeździe. Nagle się okazało, że nuda ma kły i szpony, którymi potrafi zadawać głębokie rany. Agata wiedziała, że nigdy już do niej nie przywyknie.

Najgorsze były zachody słońca, pora dnia pomiędzy pracą a spoczynkiem, czas długich cieni i zapalanych latarni, kiedy sklepikarze opuszczali markizy, kobiety nakrywały do stołów, rodziny zbierały się w kuchni, gdzie płonął ciepły ogień,

ojcowie odmawiali modlitwę, dzieci rozlewały mleko, a matki je za to karmiły.

Patrzyła, jak inni ludzie kończą dzień błogosławieństwami życia rodzinnego, które jej nigdy nie miały być dane. Ona żegnała się z Violet, szła na górę, zapalała lampę. Czasami, o ile był to dobry dzień, okazywało się, że abażur jest brudny i trzeba go umyć. Później siedziała i czytała „The Temperance Banner”. Czasami, o ile był to naprawdę dobry dzień, jakiś artykuł ją zaciekawił. W trakcie lektury spoglądała na zegar i czasami, lecz tylko w wyjątkowo dobre dni, już po piątym artykule nadchodziła pora kolacji. Dotykała wtedy swojej nienagannej fryzury i jeśli miała dużo szczęścia, znajdowała tyle luźnych kosmyków, że musiała układać ją od początku. Potem kuśtykała do restauracji Pauliego i w samotności zjadała kolację, a jeśli to był jeden z tych dobrych dni, niedaleko siedziało jakieś dziecko i odwracając się przez ramię, robiło do niej miny. Wypijała ostatnią filiżankę kawy, nie mając z kim porozmawiać, a czasami, w te naprawdę dobre dni, jakiś mężczyzna przy pobliskim stoliku zapalał cygaro. Wówczas na kilka chwil mrużyła oczy i puszczała wodze fantazji.

Później zabierała resztki jedzenia dla Łosia, wracała do domu i patrzyła, jak kociak je, robi szybką wieczorną toaletę, a następnie zwija się w zadowolony kłębek. Przed pójściem spać wkładała koszulę, w której spędziła noc w łóżku Scotta, rozpuszczała i rozczesywała włosy, naciągała zegar, a kiedy nie dawało się już dłużej odsuwać tej chwili, kładła się do łóżka — stara, coraz starsza panna, sypiąca z łaciatym kotem, podczas gdy w ciemnościach zegar głośno odmierzał upływający czas.

Na ogół długo nie mogła zasnąć, leżała więc i nasłuchiwała odgłosów pianina i bandzo. Jednakże radość i zabawa na zawsze opuściły Złotą Klatkę. Zamykała oczy i wyobrażała sobie unoszące się aż pod sufit długie nogi w czarnych pończochach, czerwone falbany, mężczyznę w czarnym niskim kapeluszu z cygarem w ustach oraz małego chłopca zerkającego przez drzwi.

Któregoś wieczora, nie mogąc od siebie odsunąć niespokojnych wspomnień, wstała z łóżka i zeszła na dół z kluczem zostawionym jej przez Scotta. Otworzyła tylne drzwi, weszła do środka i zastygła w bezruchu, trzymając lampę nad

głową i obserwując grę światła w krótkim korytarzyku prowadzącym do dawnego pokoju Willy'ego. Nie było już tam łóżka, zostały jedynie kołyski, na których stały beczki, a w powietrzu wciąż unosił się zapach kwaśnego piwa. Lecz po chłopcu nie pozostał żaden ślad. Przypomniała sobie tamten ostatni wieczór, kiedy wraz ze Scottem układali Willy'ego do snu. Ponieważ jednak wspomnienia te zbyt mocno raniły jej serce, szybko wyszła z pokoju.

W sali barowej krzesła stały na stolikach, poodwracane do góry nogami, lecz zniknęły zarówno pianino, jak i Dierdra ze swoim Ogrodem Rozkoszy. Tutaj dla odmiany unosił się zapach whisky i — takie przynajmniej Agata odniosła wrażenie — nikły ślad dymu cygar.

Nagle wydało się jej, że coś słyszy. Zatrzymała się i uniosła lampę, żeby zajrzeć w ciemne kąty baru. Jakby przez bardzo długi tunel, dochodziły do niej dźwięki żywej wesołej piosenki, metaliczne akordy klawikordu. Agata nadstawiała ucha. Tak, już sobie przypomniła: pianino i bandzo, a w tle echo śmiechu oraz stukających o drewnianą podłogę obcasów.

Hej, panny z Buffalo, czy wyjdziecie dziś do nas, Czy wyjdziecie dziś do nas, czy wyjdziecie dziś do nas? Hej, panny z Buffalo, czy wyjdziecie dziś do nas Potańczyć w świetle gwiazd?

Uśmiechnęła się i spojrzała tam, gdzie stało pianino, gdzie Jube, Pearl i Ruby potrząsały falbanami spódnic, wysoko zadzierając nogi.

Dźwięki ucichły. Postacie się rozmyły. To tylko jej wyobraźnia, idiotyczne mrzonki, pobożne życzenia samotnej kobiety stojącej w opuszczonym salonie, drżącej z zimna w koszuli nocnej, do której kiedyś jakiś mężczyzna przyciskał swoje ciało i na której kładł głowę pewien mały chłopiec.

„Wracaj do łóżka, Agato. Nic tu po tobie. Tu czeka cię jedynie smutek i prosta droga do rozpaczki.”

Później nigdy już nie wchodziła do baru, z wyjątkiem dnia, kiedy zjawiono się u niej małżeństwo zainteresowane wynajęciem lokalu na magazyn artykułów spożywczych. Kobieta wszakże pociągnęła tylko nosem i stwierdziła, że za nic

w świecie nie uda im się pozbyć odoru whisky. Wyszli, nawet nie zaglądając na zaplecze.

Zastanawiała się, czy ktoś wynajmie w końcu lokal, wnosząc do jej życia nową iskrę, nowe przyjaźnie, nowe rozrywki. Lecz czego właściwie mogła się spodziewać w tej małej, ponurej i opuszczonej miejscinie? Nie miała wątpliwości, że teraz, kiedy pozamykano wszystkie bary, nawet kowboje będą trzymać się z dala od Proffitt. Nadejdzie wiosna, ale do miasteczka nie przybędą poganiacze ze swymi stadami. Nie będzie zgiełku, ruchu, tumanów kurzu. Jakże będzie jej tego wszystkiego brakować, niezależnie od tego, co mówiła w przeszłości. Kowboje i wprowadzany przez nich nieład stali się równie ważnym elementem jej życia jak szycie kapeluszy. Bez nich i bez ożywienia, które ze sobą sprowadzali, miasto wkrótce podupadnie, a wraz z nim, z powodu braku klientów, także jej zakład. I nawet nie będzie miała o kogo się troszczyć.

Święta były dla niej istną męką. Ożywiła się tylko raz, szyjąc dla Willy'ego wypchaną gęś i wysyłając ją razem z listem, który wypełniły ploteczki o tym, jakie z Łosia robi się wielkie kocisko, jak pozadzierał jej pazurkami cały brzeg sukni, co postanowiła dać Violet na święta i jak wspaniale wygląda dach kościoła przykryty grubą białą czapą śniegu.

Nie wspomniała za to ani słowem o swoim osamotnieniu, nie zapytała o Scotta ani tym bardziej nie przesłała mu żadnej nazbyt osobistej wiadomości.

Ilekcio płaciła czynsz, wypisywała czek i adresowała kopertę starannie, niż robiła obecnie cokolwiek innego. W efekcie każda litera wyglądała jak wyhaftowana na powłoczce poduszki. Jednakże w załączonym liście pisała tylko, że przesyła miesięczny czynsz w wysokości dwudziestu pięciu dolarów, a następnie przedstawiała informacje o potencjalnych nabywcach Złotej Klatki, którzy ją w tym miesiącu odwiedzili. Zazwyczaj po prostu nie było o czym pisać. Tylko w styczniu, kiedy zjawilo się u niej wężące małżeństwo, ta część listu była nieco dłuższa.

A przecież tak dużo chciałaby mu napisać. W obawie jednak, że mogłoby to zostać odczytane jako utyskiwania zrozpaczonej, spragnionej miłości starej panny — którą w rzeczywistości była — mężnie opierała się pokusie.

Całymi dniami zmuszała się do sztucznego uśmiechu, który zniknął z jej twarzy, ilekroć Violet odwróciła się do niej plecami. Kiedy zostawała w sklepie sama, często przerywała pracę i wpatrywała się w taborecik Willy'ego, zastanawiając się, czy malec wyrósł już z niego, jakie jest Waverley, czy oni też tęsknią za nią, chociaż czasami, chociaż odrobinę i czy jeszcze kiedyś ich zobaczy. A potem zjawiał się Łoś i mrucząc z zadowolenia zaczynał ocierać się o jej kostki. Był to jedyny odgłos w cichym i pustym zakładzie Agaty. Wówczas siłą woli pokonywała zniechęcenie, które ostatnio coraz częściej ją ogarniało.

Minał grudzień. I te nieszczęsne święta.

Potem styczeń, co przyniósł siarczyste mrozy, od których Agatę rozboleło biodro.

Wreszcie nadszedł luty, a wraz z nim wiejące aż z Nebraski wichury, które pokryły biały śnieg piachem, równie szarym i smutnym jak życie Agaty.

To Violet przyniosła telegram. Violet o oczach niebieskich jak palniki gazowe, żyłastych rękach trzepoczących w powietrzu i trzęsących się siwych włosach. Znowu chichotała.

— Agato! Ojej, gdzie jesteś, Agato? Chi-chi!

— Tutaj. Szyję.

— Och, Agato! — Violet trzasnęła drzwiami. Roleta z szumem się uniosła, lecz Violet nie zwróciła na to uwagi. — Dostałaś telegram! Od niego! Chi-chi!

— Telegram! Od kogo? — Agata miała wrażenie, że powietrze uwięzło jej w gardle.

— Chi-chi! Szłam właśnie ulicą, kiedy nagle ktoś mnie zawołał. Zatrzymałam się i odwróciłam, a to był ten młody człowiek, pan Looby, wiesz, ten ze stacji, no i...

— Od kogo, Violet?

— ...spytał: „Czy idzie może pani do zakładu kapelusz-niczego, panno Parsons?” „Oczywiście — odparłam. — Czyż nie chodzę tam codziennie o jedenastej?” Na to pan Looby powiedział...

— Od kogo, Violet? — Teraz już ręce Agaty drżały, serce zaś próbowało wyskoczyć jej z piersi.

— Nie ma potrzeby tak krzyczeć, Agato. W końcu nie co dzień dostajemy telegramy. Od pana Gandy'ego, rzecz jasna.

— Gan... — Słowa utknęły jej w krtani. — Od pana Gandy'ego — wydusiła przy drugiej próbie.

— Chi-chi! Czyż to nie wspaniałe?

Agata wciąż wpatrywała się w trzymaną przez Violet żółtą kartkę papieru.

— Ale skąd wiesz?

— Jest napisane. Tutaj. Stoi jak wół. L. Scott Gandy. Chi-chi. Tak właśnie się nazywa, prawda? Prosi, żebyś...

— Violet! — Agata zerwała się na równe nogi i wyciągnęła rękę. — Do kogo właściwie jest ten telegram? —

Dziwiła się ogromnie spokojowi swojej dłoni, miała bowiem wrażenie, że za chwilę jej ciało eksploduje.

Violet miała na tyle przyzwoitości, że wręczając telegram, przynajmniej sprawiała wrażenie skruszonej.

— Nie był zaklejony — tłumaczyła się. — Poza tym pan Looby i tak mi powiedział, co tam jest napisane. A potem uśmiechnął się i wręczył mi bilet do White Springs na Florydzie. Chi-chi.

— Bilet... — Agata z wrażenia opadła z powrotem na krzesło i dopiero wtedy zaczęła czytać.

MAM PROPOZYCJĘ STOP POROZMAWIAMY NA TERENIE NEUTRALNYM STOP SPOTKAMY SIĘ
HOTEL TELFORD W WHITE SPRINGS 10 MARCA STOP ZAŁĄCZAM BILET STOP JUBE I MARCUS SIĘ
ZARĘCZYLI STOP POZDRAWIAM STOP L SCOTT GANDY STOP

Przy każdym „stop” Agacie zdawało się, że jej serce posłusznie wypełnia rozkaz i przestaje bić. Po słowie „hotel” zakryła usta dłonią i na chwilę wstrzymała oddech. Wciąż jeszcze wpatrywała się w kartkę, kiedy ponownie rozległ się nerwowy chichot Violet.

— Chi-chi. Ten niepoprawny pan Gandy. Chi-chi. Przysłał ci bilet w jedną stronę.

Agata z trudem chwytając powietrze, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Wyciągnęła tylko rękę, a Violet wetknęła w jej drżące palce sztywny biały kartonik z czarnymi literami, które tańczyły Agacie przed oczyma w takim tempie, że zdołała jedynie przeczytać słowa „Proffitt” oraz „White Springs”.

— White Springs? — Spojrzała na Violet. — Dlaczego White Springs?

— Przecież sama czytałaś. Teren neutralny.

— Ale... ale ja w życiu nie słyszałam o White Springs, nie mówiąc już o hotelu Telford. Dlaczego chce się ze mną spotkać właśnie tam?

Tym razem to Violet zakryła ręką usta, a po oczach widać było, że do głowy przyszły jej bardzo dwuznaczne przypuszczenia.

— Dlaczego? O dobry Boże, chi-chi, przecież napisał tak wyraźnie, jak tylko da się napisać w depeszy, że chce ci coś zaproponować.

Agata spłoniła się i całkiem straciła głowę.

— Och, nie!*żartuj sobie, Violet. Przecież... propozycja może oznaczać dosłownie wszystko.

— W takim razie powiedz, dlaczego przysłał ci bilet w jedną stronę?

Agata utkwiała wzrok w bilecie czując, jak wszystko w niej dygoce.

— Nie... nie wiem — odparła słabo. — Ale, na Boga, sama tylko pomyśl, Jubilee i Marcus biorą ślub. To dopiero historia.

— Jak sądzisz, zobaczysz się z Willym?

— Nie wiem. Scott nic na ten temat nie napisał.

— No dobrze, a teraz powiedz mi, moje dziecko, czego ty tu jeszcze szukasz? Przecież dziesiątego jest pojutrze.

— O mój Boże, rzeczywiście. — Przyciskając dłoń do tłukącego niczym młot serca, rozejrzała się po zakładzie, jakby próbowała sobie przypomnieć, czego tu właściwie szuka. — Ale... — Spojrzała Violet prosto w oczy. — Jak ja się zdążę tak szybko przygotować? Przecież nie mogę zostawić zakładu na nie wiadomo jak długo... a poza tym... muszę przecież skończyć tę suknię, nad którą pracuję...

— Bzdura! — przerwała jej Violet. — Schowaj bilet w bezpieczne miejsce i natychmiast uciekaj na górę. I zamiast zadawać sobie pytania, po co, dlaczego i na jak długo, po prostu zapakuj do walizki tyle nocnych koszul, ile pomieścisz, a jutro wsiadaj do pociągu i jedź! Nie zapominaj, kto będzie na ciebie czekał.

— Ale...

— Jeszcze słowo, Agato, i przestaję u ciebie pracować!

— Ale...

— Agato! — Jak na swój wiek, Violet miała w sobie sporo wigoru.

— Ale, Violet, czy... czy ja powinnam?

— Oczywiście, że tak. A teraz zmykaj. — Violet podała Agacie rękę i pomogła jej wstać. — Sprawdź dokładnie wszystkie koszule i halki i nie zapomnij zabrać dużo czystej bielizny. A jeśli masz coś do prania, to najlepiej szybko zanieść to do pralni. Nie ma ani chwili do stracenia.

— Och, Violet.

Agata przeraziłaby się zapewne, gdyby ktoś jej powiedział, ile razy w ciągu ostatnich paru minut powtórzyła „Och, Violet”. Ponieważ jednak nie zdawała sobie z tego sprawy, po prostu objęła starszą kobietę i szepnęła jej do ucha:

— Wiesz, zawsze podziwiałam tę twoją zbuntowaną naturę. Dziękuję ci.

— Pędź na górę, a jak będziesz płukać włosy, nie zapomnij dolać do wody trochę octu. Ocet nadaje im rudawego blasku.

Gandy wykupił jej miejsce w wagonie sypialnym, lecz sen absolutnie nie wchodził w grę. Przez całą noc Agata nie zmrużyła oka. Nie chciała tłumić snem nastroju radosnego oczekiwania. To były nazbyt cenne, nazbyt rzadkie godziny, żeby pozwolić im przelecieć między palcami.

Wyglądała przez okno i podziwiała krajobraz, najpierw brunatny, później biały, wreszcie zielony. Była to głęboka żywa zieleń, jakiej Agata jeszcze nigdy nie widziała. Co prawda pamiętała z dzieciństwa sosny i topole pnące się ku chmurom w Kolorado, lecz sama ziemia była tam wyschnięta. Kansas z kolei przypominało prawdziwy ocean trawy, która wszakże była zielona jedynie na wiosnę, i to bardzo krótko. A poza trawą nie rosło tam prawie nic, z wyjątkiem pojedynczych topoli i czeremch. Im dalej Agata jechała, tym bardziej zielony stawał się krajobraz za oknem.

Przejechali na drugą stronę rzeki Tennessee po moście tak wysokim, że Agata miała wrażenie, iż patrzy na ziemię z samego nieba. W pobliżu Chattanooga tory zakręcały, kierując się ku porośniętym bujną roślinnością wąwozom.

Kilkakrotnie dojrzała w oddali wodospady. Kiedy minęli pogórze Apalachów, teren stał się bardziej płaski. Potem

wjechali do Georgii, gdzie królowały wysokie, potężne, tajemnicze sosny, gleba zaś miała barwę dziesięcioletniej rdzy.

W Atlantycie musiała się przesiać. Z każdą minutą była coraz bliżej Scotta i spotkania, którego rezultatu nawet nie próbowała przewidzieć, bojąc się, że będzie musiała go odrzucić. Przegoniła więc tę myśl i pozwoliła, by pochłonięła ją dziecięca rozkosz poznawania. Kiedy po raz pierwszy ujrzała hiszpański mech, z zachwytu aż syknęła, po czym rozejrzała się wokół siebie, szukając kogoś, kto zareagował podobnie jak ona. Wszyscy jednak albo spali, albo byli pogrążeni w myślach. Wkrótce sosny ustąpiły miejsca dębom, a trochę później po obu stronach torów pojawiła się czarna woda, z której sterczały korzenie cyprysów, listowie zaś stało się tak bujne i gęste, że trudno było uwierzyć, iż jakiegokolwiek istoty w ogóle mogą w nim żyć. Nagle jednak ujrzała jelenia, stojącego na szmaragdowym pagórku. Zanim zdążyła zarejestrować jego obecność, odwrócił się i zniknął w gąszczu roślin. Coś mignęło obok, cukierkoworóżowa plama na tle ciemnozielonej kuli. Pociąg jechał zbyt szybko, by mogła się temu przyjrzeć, spytała więc konduktora.

— To tulipanowiec, proszę pani. Niedługo miniemy granicę Florydy. Tulipanowce kwitną tu wcześniej niż gdzie indziej. A to są magnolie.

Magnolie. Tulipanowce. Hiszpański mech. Już same te słowa wystarczały, by serce Agaty biło szybciej, aczkolwiek jeszcze większe wrażenie robił na niej fakt, że z każdą milą zbliża się do Scotta. Czy wyjdzie po nią na stację? W co będzie ubrany? Czy zabrał ze sobą Willy'ego? Co właściwie ma mu powiedzieć? Co powinna powiedzieć kobieta mężczyźnie, któremu wyznała miłość, a od którego nie usłyszała tego samego?

Konduktor szedł przejściem, głośno ogłaszając:

— Dojeżdżamy do White Springs. White Springs. — Koło Agaty przystanął. — Życzę miłego pobytu — rzekł, dotykając palcami daszka kolejarskiej czapki.

— Dziękuję. Bardzo panu dziękuję — odparła cicho, zdziwiona, że słowa przeszły jej przez ściśnięte gardło. Kiedy pociąg zaczął hamować, ogarnęły ją najprzeróżniejsze bezsensowne wątpliwości. Czy kapelusz mi się nie przekrzywił? (Problem w tym, że chcąc sprawić Scottowi przyjemność,

wcale nie włożyła kapelusza.) Czy suknia nie jest aby wygnieciona? (Oczywiście, że była; Agata nie zmieniała jej przez całą drogę.) Może trzeba było włożyć niebieską? (Niebieską! W porównaniu z tą, którą uszyła na podwieczorek u gubernatora, niebieska wyglądała jak fartuch mleczarki.) Jeśli mnie pocałuje na powitanie, co mam zrobić z rękoma? (Jeżeli ją rzeczywiście pocałuje, będzie dobrze, jeśli nie zapomni, że w ogóle ma ręce!) Czy powinnam od razu zapytać, w jakim celu mnie tu ściągnął? (Och, Agato, ależ ty jesteś sztywna! Może byś chociaż ten jeden raz spróbowała zachowywać się jak Violet?)

Kiedy po tych wszystkich rozważaniach stanęła na peronie, okazało się, że Scott po nią nie wyszedł. Ulga zmieniła się w rozczarowanie, a rozczarowanie w ulgę. Na szczęście na peronie nie brakowało bagażowych, a przed stacją dorożek. Tyle dorożek! Tyle hoteli! Tylu ludzi!

Machnęła na czarnego dorożkarza, który zatrzymał swój pojazd i uchylił róna słomkowego kapelusza.

— Dobry pani.

— Dzień dobry.

Dorożkarz bez pośpiechu wpakował do tyłu jej walizkę i pudło na kapelusze, po czym z powrotem wspiął się na kozioł. Na powykręcanych artretyzmem stopach nosił zniszczone szmaciane pantofle, nogi miał krzywe, a usta opuchnięte.

— Dokąd?

— Do hotelu Telford.

— Do Telford. Dobra.

Usiadła za nim na ławeczce z wytartej czarnej skóry, a stara biała kobyła ruszyła ulicami miasta równie nieśpiesznie jak woźnica. Agata rozglądała się dookoła, chłójąc każdy nowy widok, starając się wszystko jak najdokładniej zapamiętać. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach, lecz ona prawie nie zwracała na niego uwagi. Jej wzrok przyciągały tłumy elegancko odzianych dam i dżentelmenów zapełniających ocienione werandy i tarasy, chodniki i ulice. Wszyscy zdawali się zmierzać w jedną stronę. W pewnym momencie minęła ich grupa konnych jeźdźców ze strzelbami na ramionach i stadem psów myśliwskich. Chwilę później Agata ujrzała sporej wielkości tablicę: KLUB MYŚLIWSKI — PSY DO WYNAJĘCIA. Kobieta na wózku inwalidzkim i towarzyszący jej pękaty

dżentelmen w cylindrze czekali, aby przejść na drugą stronę ulicy. Środkiem chodnika maszerowali roześmiani mężczyźni z wędkami i koszykami na ramionach. Wszyscy sprawiali wrażenie, że świetnie się bawią.

— Przepraszam pana — zwróciła się do woźnicy.

— No? — Odwrócił się w jej stronę na tyle, na ile pozwalała mu sztywna szyja, pokryta bruzdami tak głębokimi, że gdyby była z ziemi, można by sadzić na niej kwiaty.

— Jestem tu pierwszy raz. Proszę mi powiedzieć, co to za miejsce?

— Wody, psze pani — odrzekł tak niewyraźnie, że Agata nic nie zrozumiała.

— Słucham pana?

— Wody lecznicze. Źródła.

— Aha... źródła. — A więc to stąd brał się w powietrzu odór zgniłych jaj.

— Tak, psze pani. Przyjeżdżają tu różne bogate państwo, bawią się, odpoczywają, kąpią. A potem wracają do siebie, zdrowe jak ryby. — Roześmiał się i skupił uwagę na powożeniu. Po trzech minutach zajechali pod imponujący biały trzypiętrowy budynek z głęboką werandą, na której kobiety i mężczyźni siedzieli w wiklinowych fotelach, sącząc napoje z wysokich szklanek.

— Telford, psze pani — poinformował dorożkarz, zsiadając z kozła z artretyczną powolnością. W podobnym tempie zaniósł jej bagaże do zatłoczonego holu.

— Będzie ćwiartak, psze pani — oznajmił po powrocie, obracając kapelusz to w prawo, to w lewo, jakby drapał się w ten sposób po skroniach.

— Słucham?

— Będzie ćwiartak — powtórzył.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Należy się dwadzieścia pięć centów, proszę szanownej pani — rozległ się tuż za nią znajomy głos. Nigdy przedtem ludzki głos nie wywołał w niej podobnej reakcji. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała brązowe roześmiane oczy, dołeczki w policzkach, cudownie znajome usta i... całkiem obcy wąsik.

— Scott — wyszeptała jedynie, nagle bowiem zabrakło jej tchu, w głowie zaś przyjemnie się zakręciło.

Miał na sobie jasny garnitur i słomkowy kapelusz z dużym podwiniętym rondem oraz czarną wstęgą, pasującą do przydługich włosów, gęstych brwi, no i wąsika. Obcisła kamizelka opinała tors, a błyszczący złoty łańcuch zegarka łączył jej dwie kieszenie. Na szyi miał biały krawat z perłową spinką.

— Witaj, Gussie. — Delikatnie ujął jej dłonie, łagodnie się przy tym uśmiechając.

Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo mu jej brakowało. I że jest bez kapelusza, a jej włosy są równie piękne jak zawsze, twarz tak samo śliczna, uśmiech niepowtarzalny, piersi jędrne. I że jego serce wali jak oszalałe.

— Przepraszam, że nie czekałem na dworcu, ale nie byłem pewien, którym pociągiem przyjedziesz.

— Nie szkodzi, wzięłam dorożkę.

Przypomniawszy sobie, że woźnica wciąż czeka na zapłatę, Gandy sięgnął do kieszeni.

— Ano właśnie. Dwadzieścia pięć centów, tak?

— Tak, psze pana.

Gandy dał mu pięćdziesiąt. Dorożkarz podziękował, kiwając głową, a Scott odwrócił się do Agaty i ponownie ujął jej dłonie.

— Niech no tylko ci się przyjrzę. — Robił to tak długo, że aż się zarumieniła. — Nie masz dzisiaj kapelusza. Dziękuję.

Spuściła głowę i nieśmiało się roześmiała. Kiedy uniosła wzrok, stwierdziła, że jego uśmiech nic nie stracił na uroku, aromat cygar na niepowtarzalności.

— Dzięki Bogu, w ogóle się nie zmieniłaś — rzekł. Tym razem to ona mu się przyjrzała.

— Ja tego o tobie nie mogę powiedzieć.

— Jak to? A, o to ci chodzi? — Dotknął palcami wąsa, po czym znowu chwycił ją za rękę. — Trochę się ostatnio rozleniwilem. Nie chce mi się golić.

Było to oczywiste kłamstwo. Resztę twarzy miał starannie ogoloną, a sam wąsik przystrzyżony z iście wojskową precyzją. Natychmiast się jej spodobał.

— Łobuzerski — stwierdziła z uznaniem.

— Miałem nadzieję, że będzie szykowny. Ale i tak się cieszę, że ci się podoba.

— Przyjmijmy, że łobuzersko szykowny — skonkludowała. Roześmiawszy się radośnie, nie odrywali od siebie wzroku, zupełnie ignorując panujący wokół zgiełk.

— Wyglądasz wspaniale — rzekł Gandy, mocno ściskając jej palce.

— Ty również.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w siebie. Potem Gandy roześmiał się, jakby jego filiżanka radości nagle się przepełniła.

Agata odpowiedziała śmiechem; z sercem bijącym mocno ze szczęścia nie była w stanie się kontrolować. Po chwili jednak spuściła wzrok.

— Willy przyjechał z tobą? — spytała.

— Nie, jesteśmy całkiem sami. — Ponownie spojrzeli sobie w oczy. Choć stali w tłumie gońców i dorożkarzy, kobiet, mężczyzn i dzieci, choć minęło ich trzech wędkarzy, zdążających do kuchni ze swoją jeszcze nie wypatroszoną kolacją, Agata czuła, że jest dokładnie tak, jak powiedział Scott: są zupełnie sami. Gwar dokoła jakby się rozmył i mogli w spokoju rozkoszować się ponownym spotkaniem. Gandy uniósł dłonie Agaty, po czym wplótł swe palce pomiędzy jej i delikatnie ścisnął. Stali tak, wzajemnie się przenikając, aż w końcu Scott się opamiętał, uwolnił jej dłonie i odchrząknął.

— Hmm... Nie meldowałaś się jeszcze, prawda?

— Jeszcze nie.

— No to chodźmy.

Chodźmy. Ta dwuznaczność wprowadziła ją w nastrój nerwowej niepewności. Gandy zaprowadził ją do recepcji i stanawszy na uboczu patrzył, jak podpisuje się w księdze gości i bierze klucz. Okazało się jednak, że dostała pokój jednoosobowy, i to nawet nie na tym samym piętrze co jego.

— Przyjechałem wczoraj — wyjaśnił. — Ja mieszkam na trzecim piętrze, a ty na drugim, nie będziesz więc miała daleko. Wystarczy wejść po schodach.

Za to po jakich schodach! Potrójnej szerokości, wyłożonych szkarłatnym chodnikiem, z dębową poręczą i półpiętrzem z ogromnym owalnym oknem pokrytym pajęczyną witrażu, pod którym na stoliku stała rozłożysta paproć, oświetlonych gazowym żyrandolem.

— Jak tu pięknie, Scott. To najwspanialsze miejsce, jakie w życiu widziałam.

— Poczekaj, aż zobaczysz Waverley — odrzekł Gandy.

Miała wrażenie, że nad pozostałymi stopniami po prostu przefrunęła. Jednakże nie zapytała, kiedy zobaczy. Jeszcze nie. Oczekiwanie zanadto uderzyło jej do głowy.

— Mieszkasz tam jeszcze?

— Tak. — Pochylił się i włożył klucz do zamka.

— A Jube i reszta?

Drzwi stanęły przed nią otworem.

— Też. Wkrótce otwieramy tam pensjonat. Proszę, madame, oto pani pokój. — Delikatnie wepchnął ją do środka. W chwili kiedy jej stopy utonęły w puszystym dywanie, zapomniała o wszystkim innym.

— Och, Scott! — Obracała się w kółko, wodząc spojrzeniem po sprzętach i ścianach. — Och...

— Podoba ci się?

— Podoba? Tu jest po prostu cudownie!

Scott oplótłszy ramieniem wysoką poręcz mosiężnego łóżka, bawił się kluczem obserwując, jak Agata po raz kolejny rozgląda się po pokoju, i radując się jej uśmiechem, jej niekłamanym zachwytem. Podeszła do jednego z bliźniaczych okien wychodzących na ulicę, dotknęła różowych zasłon, koronkowych firanek i jedwabistej tapety w pączki róż. Odwróciła się powoli, spoglądając po kolei na koronkową paproć na trójnogim stoliku, na miednicę z białego szkła w czerwone różyczki i takiż pojemnik z wodą z kurkiem z brązu, wreszcie na łóżko przykryte jasnoróżową ręcznie tkaną kapą, obok którego stał Scott.

Jej oczy, zielone niczym liście paproci w blasku słońca, zastygły w bezruchu, kiedy natknęły się na jego. Splotła dłonie, przyciskając kciuki do piersi. Miejsce uśmiechu zajął na jej twarzy wyraz, który sprawił, że Gandy zapragnął podejść do niej, wziąć w ramiona i przypomnieć sobie smak jej ust. Nie ruszył się wszakże z miejsca.

— Nie mogę pozwolić, żebyś za to wszystko płacił. — Stała sztywno wyprostowana, z równo złożonymi dłońmi.

— A to dlaczego?

— Bo nie wypada.

— A kto się dowie? — Obojgu przyszło do głowy całkiem inne pytanie: „Kto się dowie, co w ogóle tu robiliśmy?”
Przez chwilę kusiło ono i Scotta, i ją.

Dokładnie obejrzawszy pokój, doszła do wniosku, że i tak najwspanialszym jego elementem jest Scott Gandy w jasnym garniturze i kamizelce opiętej na torsie jak białe rękawiczki na jej drżących dłoniach, a przede wszystkim jego ciemne oczy spoglądające na nią spod szerokiego ronda słomkowego kapelusza. No i ten wąsik, przykuwający jej uwagę i sprawiający, że jej wzrok spoczywał co chwila na jego ustach.

— Wystarczy, że ja wiem. I ty — odrzekła poważnie. Bardzo powoli puścił poręcz, równie poważny jak ona.

— Czasami, Agato, przesadzasz z surowością swoich zasad.

Zdażył zrobić w jej stronę jeden krok, kiedy od progu dobiegł głos:

— Przyniosłem walizki.

Rozczarowany Gandy rzekł do boya, zmuszając się do beztroskiego tonu:

— Świetnie. Wejdz i postaw je tutaj, chłopcze. Otrzymałszy napiwek, boy wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Jednakże czar prysł. Kiedy Gandy odwrócił się do Agaty, właśnie przemierzała pokój, starannie unikając jego wzroku.

— Agato, ja już zapłaciłem za ten pokój.

— W takim razie oddam ci pieniądze.

— Ale przecież to ja cię tutaj zaprosiłem.

— Właśnie. Dlaczego? — Zatrzymała się przy przeciwnym narożniku łóżka i spojrzała mu prosto w oczy. — To znaczy, dlaczego akurat tutaj? Skoro przerabiasz Wa-verley na pensjonat, dlaczego ściągnąłeś mnie do White Springs?

Wypuścił powietrze, a na jego twarzy ponownie zagościł uśmiech.

— Bo kiedyś powiedziałaś, że jeszcze nigdy nie pływałaś. A czy może być lepsze miejsce na naukę niż najprzedniejsze źródła mineralne?

— Dlatego, że nigdy nie pływałam?—Przycisnęła dłoń do serca. — Sprowadziłeś mnie tutaj, żebym mogła sobie popływać?

— Nie dziw się tak, Agato. To nie jest byle sadzawka w Kansas. Te źródła są naprawdę pierwszej wielkości. Przez White Springs przepływają trzydzieści dwa tysiące galonów wody na godzinę, a kiedy zanurzysz się w tych bąbelkach, poczujesz się tak, jakbyś pływała w szampanie.

Roześmiała się, jakby to już się stało.

— Ale ja nigdy w życiu nawet nie widziałam szampana, nie mówiąc już o pływaniu w nim.

— Wygląda dokładnie tak samo jak woda źródłana, tylko ma gorszy smak. A, właśnie. — Wskazał na pojemnik z wodą i stojące obok szklanki. — Pamiętaj, żeby pić jak najwięcej wody. Nie obawiaj się, na pewno ci jej nie zabraknie. A podobno czyni ona prawdziwe cuda. Leczy podagrę, wole, kolkę, zaparcie, kretynizm, nagniotki, katar, łupież i głuchotę. Do tego przywraca wzrok, a także władzę w nogach.

Na początku tej wyliczanki na ustach Agaty pojawił się uśmiech, pod koniec wszakże zniknął bez śladu.

— Naprawdę? — spytała cicho, spuszczać wzrok. Gandy obszedł łóżko i stanął tuż przed nią.

— Tak, naprawdę. — Końcem klucza uniósł jej brodę zmuszając, by na niego spojrzała. — Pomyślałem, że to ci może dobrze zrobić, Gussie. Poza tym chciałem z tobą porozmawiać. W cztery oczy. W Waverley przez cały czas ktoś by się nam kręcił pod nogami.

Ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku. Klucz był zimny i ostry. Jej serce biło niespokojnie. Patrząc mu w oczy, poczuła niechciany ciężar zasad i zrozumiała, że jeśli Gandy sprowadził ją do White Springs, żeby ją uwieść, będzie musiała powiedzieć: nie. Stojąc w pokoju, w którym nie odpowiadali przed nikim oprócz siebie samych, zrozumiała, że niezależnie od tego, co czuje do tego mężczyzny, w żadnym wypadku nie wolno jej przystać na grzeszny romans. Kiedy ujął ją za nadgarstek, serce zabiło jej w takim tempie i z taką siłą, że przeszył ją ból. On tymczasem tylko wcisnął jej klucz w dłoń, zamknął na nim jej sztywne palce, po czym puścił ją i cofnął się o krok.

— Poza tym zauważyłem, że dotąd zawsze spotykaliśmy się na czyimś terytorium. Zakład był twój, bar mój, Waverley również jest moje. A White Springs jest neutralne, jak w czasie

wojny. Pomyślałem sobie, że to idealne miejsce dla takich wrogów jak my.

— Dla wrogów?

— Czyż nimi nie jesteśmy?

— Byliśmy, choć wydawało mi się, że zostaliśmy przyjaciółmi.

Nie miał żadnych wątpliwości, że chce być dla niej kimś więcej niż tylko przyjacielem, lecz zauważył, że ilekroć stara się dać jej to do zrozumienia, ogarnia ją zdenerwowanie. Starał się więc unikać tego tematu.

— No tak. Cóż... — Cofnął się jeszcze o krok. — No i właśnie jako przyjaciel postanowiłem zrobić ci prezent i zaprosić do White Springs. — Poprawił kamizelkę, jakby zbierał się do wyjścia. — Ja już się dzisiaj kąpałem, ale pomyślałem, że ty chętnie weźmiesz kąpiel przed kolacją. Mamy jeszcze trochę czasu. Pójdziemy albo, jeśli wolisz, pojedziemy dorożką. Godziny parzyste są dla pań, nieparzyste dla panów. O koedukacji nie ma mowy, z wyjątkiem rodziców z dziećmi dwa razy dziennie. A więc co ty na to?

— Nie mam kostiumu kąpielowego.

— Dostaniesz na miejscu.

Rozłożyła ręce, złożyła je z powrotem i uśmiechnęła się.

— W takim razie cóż mogę powiedzieć?

— Dobrze. Rozpakuj się spokojnie, powieś rzeczy do szafy, a za... — Spojrzał na zegarek — ...powiedzmy pół godziny przyjdę po ciebie. Zgoda?

— Będę gotowa.

Ruszył do wyjścia, lecz w progu jeszcze się zatrzymał.

— Cieszę się, że cię znowu widzę, Gussie.

— Ja też się cieszę.

Po jego wyjściu dotknęła dłońmi policzków. Były gorące jak wygrzane w słońcu kamienie. Usiadła na brzegu łóżka, a potem się położyła, przykładając końce palców do serca bijącego z siłą, której coraz trudniej było się przeciwstawiać.

Zamknawszy drzwi, Scott długo jeszcze trzymał rękę na klamce, wpatrując się w zamyśleniu w szkarłatny chodnik i zadając sobie pytanie, po co właściwie ją tu sprowadził, skoro od początku dobrze wiedział, że nic z tego nie wyjdzie. Krótki romans na wynajętym łóżku nie interesował ani jego, ani jej. Jeśli jednak nie to, w takim razie co?

Wziął głęboki oddech i ruszył przed siebie. Czas pokaże, pomyślał.

Pół godziny później zstępowali pod rękę po wspaniałych schodach.

— Na piechotę czy dorożką? — zapytał, kiedy wyszli na werandę.

Na dworze było tak przyjemnie, że Agata wybrała spacer.

— Przez ostatnie dwa dni najeździłam się za wszystkie czasy.

Po ponurej kansaskiej zimie klimat White Springs wydawał się łagodny niczym balsam. Śpiewały ptaki, falowały pęki kwiatów, a Agata po raz kolejny zachwycała się wszechobecną zielenią.

— Co to takiego? — spytała, wskazując na krzak pokryty różowymi kwiatami, bardzo przypominającymi róże.

— Naprawdę nigdy nie widziałaś kamelii?

— Zaczynam dochodzić do wniosku, że w ogóle niewiele w życiu widziałam. To przecudowne miejsce. Skąd je znasz?

— Na wojnie zostałem ranny i przysłali mnie tu na rekonwalescencję.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Byłeś ranny?

— Nic poważnego. Dostałem w nogę i wywiązało się zakażenie, na które pomogły dopiero kąpiele. Jest taka stara legenda, jeszcze z czasów Indian Seminole. Już oni wysoko sobie cenili właściwości lecznicze tych źródeł. Podobno wojna między nimi a osadnikami wybuchła, kiedy ktoś zestrzelił dziecko z pleców wojownika, który klęczał na brzegu strumienia i pił. Później wódz Osceola ogłosił, że wszyscy Indianie powinni mieć prawo do korzystania ze źródeł bez obawy o własne życie, i zakazał jakichkolwiek walk w promieniu siedmiu mil. Jak ci już mówiłem, tradycja ta utrzymała się także w czasie wojny secesyjnej. White Springs zostało ogłoszone terenem neutralnym i żołnierze obu stron mogli spokojnie leczyć tutaj rany, nie obawiając się zemsty. — W jego policzku pojawił się dołek. — Chyba więc jest to odpowiednie miejsce na spotkanie handlarza alkoholem i bojowniczką o prohibicję, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się. Rozpierała ją duma, kiedy mijające ich damy ukradkiem oglądały się za Scottem. Udawała, że jest jego narzeczoną, posyłała pełne współczucia spojrzenia kobietom, których towarzysze, choćby nawet bardzo przystojni, tracili nagle cały blask, kiedy zbliżał się Scott Gandy. Czasami lekko muskał łokciem jej pierś. Wówczas przez całe jej ciało przebiegał rozkoszny dreszcz.

Po paru minutach dotarli do potężnego budynku o kształcie ośmiokąta.

— Dobry Boże, a cóż to takiego? — zapytała Agata, nie kryjąc podziwu.

— To właśnie kąpielisko. Jesteśmy na miejscu.

— Ale to przecież wygląda jak jakiś cudowny hotel.

Dwupiętrowy pawilon z białych desek, z fundamentami w romboidalne wzory oraz czarnymi gontami górował nad okolicą niczym ośmiokątny pączek z dziurką, którą wypełniały bulgoczące wody rzeki Suwannee. Sześć boków tego ośmiokąta, po trzy z każdej strony, stanowiło zarazem ściany przebieralni. Łączyła je promenada na samej górze, nad którą rozciągał się dach, rzucający cień na rzędy białych ławek.

— Zawsze lubiłem ten budynek — odezwał się Scott. — Między innymi dlatego, że ma kształt ośmioboku, jak rotunda w Waverley.

Wokół kąpieliska było jeszcze więcej kamelii, azalii i drzew bananowych, pomiędzy którymi ciągnął się drewniany chodnik, prowadzący do głównego wejścia. W środku Scott oddał Agatę pod opiekę młodej kobiety o kruczoczarnych włosach i nosie przypominającym warząchew.

— Pani jest tu po raz pierwszy — wyjaśnił. — Proszę się nią zaopiekować.

— Ale... — Agata wcale nie miała ochoty zostawać w rękach obcej osoby.

— Wracam za godzinę. Baw się dobrze.

Agata nie miała pojęcia, czego może oczekiwać, lecz z całą pewnością nie spodziewała się królewskich luksusów, które ją spotkały.

— Jestem Betsy — przedstawiła się dziewczyna po wyjściu Scotta. — Proszę za mną, zaprowadzę panią do przebieralni.

Betsy ruszyła w głąb budynku, skąd widać było właściwe kąpielisko, zanim wszakże Agata zdążyła rzucić na nie okiem, została skierowana w całkiem przeciwną stronę, do napędzanej siłą mięśni windy, gdzie Betsy zwałowo zabrała się do roboty. Z jej ruchów należało wnosić, że jest to wyjątkowo ciężka praca, Agata, zauważyła jednak, że dziewczyna ma bicepsy jeszcze potężniejsze niż nos. Wwiozła Agatę na samą górę i nawet się nie zasapała. Z windy wysiadły na ogrodzoną barierką werandę, a chwilę później były w przebieralni. Tam Betsy wręczyła Agacie wełniane reformy, koszulkę sięgającą ud i biały bawełniany czepek. Kiedy się już przebrała, Betsy zaprowadziła ją z powrotem do windy i zwiozła na dół. Zaraz potem stanęły nad wodą.

— Przez okrągły rok, zarówno zimą, jak i latem, woda jest jednakowo lodowata. Ale szybko się pani przyzwyczai. Proszę też pamiętać, że później czeka panią gorąca kąpiel. Życzę miłej zabawy.

W całym budynku panował okropny fetor, za to woda bulgotała naprawdę zachęcająco.

— Ziiiiimno — syknęła Agata, aczkolwiek słowo to nie było w stanie oddać tego, co naprawdę czuła. Po nogach i plecach przechodziły ją dreszcze, od których włosy na głowie zdawały się stawać dęba. Było jej niezręcznie wchodzić do wody w ubraniu, lecz mimo wszystko zanurzała się coraz głębiej. Po kolana — kuląc się z zimna. Po uda — stojąc na czubkach palców. Po pas — z trudem łapiąc oddech. Po szyję — szczękając zębami.

Na Boga, przecież to czyste szaleństwo! Jednakże inne kobiety pływały się w wodzie, wystawiając zaledwie głowy.

— Jest wspaniale, trzeba się tylko przyzwyczaić — rzekła jedna, szeroko się uśmiechając.

— Ta... tak. Ale... ale ssstra... strasznie mi zimno — wyjąkała Agata, niepewnie odwzajemniając uśmiech.

— To bardzo odświeża — odparła nieznajoma, leżąc w wodzie niczym zawieszona.

Agata spojrzała na musujące bąbelki, które nie tylko łaskotały jej nogi i ręce, lecz także wdzierały się pod ubranie, drażniąc najbardziej intymne zakątki ciała.

To łaskotało. Koilo. Niemalże podniecało? A przy tym odprężało. Jak to możliwe, że coś powoduje przeciwstawne stany jednocześnie?

Włożyła rękę pod wodę i patrzyła, jak suną po niej bąbelki, by na powierzchni eksplodować z odgłosem mięsa smażonego w sąsiednim pomieszczeniu. Rozczapierzywszy palce, obserwowała tworzące się między nimi bańki powietrza. I chociaż nigdy w życiu nie widziała szampana, czuła się tak, jakby właśnie się w nim kąpała. Co więcej, chwilami miała wrażenie, że sama się nim staje. Że musi je, że jest cudownie smaczna, że można by ją wypić. Zamknęła oczy i skupiła się na delikatnym łaskotaniu po wewnętrznej stronie ud, wzdłuż kręgosłupa i pomiędzy piersiami. Oddychała głęboko pozwalając, by to uczucie wyparło wszystkie ziemskie troiki.

To chyba wówczas zaczęła pojmować, czym jest zmysłowość.

Potem, kiedy przywykła już do bąbelków, spróbowała podskoczyć i ogromnie się dziwiła lekkością swego ciała. Nigdy w życiu nie czuła się taka lekka. Wrażenie było niesamowite. Podskoczyła ponownie, tym razem pomagając sobie rękoma. Poczowała się cudownie wolna. Idąc za przykładem kobiety, z którą rozmawiała, uniosła stopy i położyła się na plecach. Przez kilkanaście sekund leżała na wodzie, jakby niewrażliwa na przyciąganie. Cóż za boskie uczucie!

Ponownie sięgnawszy stopami dna, rozejrzała się i stwierdziła, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Okazało się więc, że w wodzie niczym się od innych nie różni. Nagle zdała też sobie sprawę, że już nie szczeka zębami, a włosy na jej rękach przestały stać dęba.

Stanowczo za szybko jak na jej gust zjawiała się Betsy i zaprowadziła do łaźni, gdzie czekała już balia z gorącą wodą i grube białe tureckie ręczniki. Agata pławała się w ciepłej wodzie przez równe dziesięć minut, po czym zapukała Betsy, polecając jej się wytrzeć i przygotować do masażu. Agata położyła się na grubym ręczniku rozciągniętym na drewnianej ławce, drugim zaś przykryła się od pasa w dół.

Masaż okazał się jeszcze bardziej odświeżający niż kąpiel. Agata zamknęła oczy, podczas gdy wprawne ręce masowały jej mięśnie w sposób, który wywołał w niej wrażenie podróży na

latającym dywanie. Szyja, ramiona, ręce, pośladki, uda, łydki — wszystko zostało potraktowane z jednakowym znowstwem.

Kiedy się w końcu ubrała i ruszyła w stronę windy, w jej ciele zaszła jakaś cudowna zmiana. Nadal kulała, to fakt, lecz po bólu nie było ani śladu. Czowała się gibka, zwinna i cudownie odświeżona. Miała wrażenie, że bez zmęczenia mogłaby przejść wiele mil, przechodzić przez płoty, biegać po schodach, skakać ze skakanką! Oczywiście nie mogłaby, niemniej tak właśnie się czuła.

Scott czekał przy głównym wejściu.

— I jak było? — spytał.

— Och, Scott, cudownie! Czuję się jak nowo narodzona! Ujął ją za rękę i roześmiał się, uradowany jej zachwytem. Na co dzień była tak bardzo powściągliwa, że przyjemnie było patrzeć, jak promienieje radością.

— Nic mnie nie boli! Czuję się tak wspaniale, że mogłabym wracać do Kansas na piechotę. W wodzie było cudownie, naprawdę, pływałam! Była tam bardzo miła kobieta. Patrzyłam, co ona robi, starałam się ją naśladować. Skakałam, Scott wiesz? Naprawdę skakałam! Wystarczyło wybić się z jednej nogi i już leciałam do góry jak wszystkie inne kobiety. Och, Scott, jeszcze nigdy w życiu nie czułam się taka wolna. —' Obejrzała się przez ramię i tęsknym wzrokiem spojrzała na budynek kąpieliska. — Czy mogłabym przyjść także jutro?

Gandy roześmiał się i ścisnął jej łokieć, po czym wsunął sobie jej dłoń pod ramię.

— Jakże mógłbym odmówić?

— Och, ale... — Zmarszczyła brwi, zakłopotana. — Czy to dużo kosztuje?

— Pozwolisz, że tym ja się będę martwił.

— Ale...

— Głodna?

— Ale...

— Bo ja tak. A White Springs słynie z najlepszej kuchni na Południu. Tutejszą specjalnością są przepiórki. Wrócimy teraz do hotelu, gdzie napcham cię piersiami przepiórczymi smażonymi na maśle z grzybami i sosem kasztanowym i gorącym ryżem.

— Ale...

— A potem solidna porcja tarty z bitą śmietaną. I dużo, dużo wody mineralnej.

— Ale...

— Nie chciałbym być niemiły, Gussie, aczkolwiek zauważyłem, że ostatnio strasznie się powtarzasz. Czy wiesz, ile razy powiedziałaś „ale”? Zaprosiłem cię tutaj, jesteś moim gościem i to ja będę się martwić o koszty. I nie chcę już słyszeć na ten temat ani słowa więcej.

Sala restauracyjna w hotelu Telford była elegancka, obrusy wykrochmalone aż do przesady, sztucce z prawdziwego srebra. Jadłodajnia Cyrusa i Emmy Pauliech nie mogła się z nią równać. Gandy cieszył się, że może zaprosić Agatę do tak wytwornego lokalu. Patrzył z prawdziwą przyjemnością, jak z apetytem pałaszuje piersi przepiórcze z grzybami i pozostałe dania, które jej polecił. Jadła ze smakiem, tym bardziej że godzinna kąpiel wzmogła jej apetyt. Gandy spodziewał się, że przy jedzeniu będzie się zachowywała ze sztuczną afektacją charakterystyczną dla współczesnych kobiet, i fakt, że się pomylił, sprawił mu ogromną radość.

Włosy miała wilgotne; schnąc skręcały się w maleńkie loki, które w świetle gazowych lamp rzucały na jej szyję i ramiona delikatne cienie. Podobnie jak rzęsy na policzki.

Znowu przyszło mu do głowy, żeby ją pocałować. Kiedy gryzła ociekające masłem mięso, jej usta lśniły, ale ilekroć na nią spojrzał, natychmiast ocierała je serwetką i spuszczała wzrok.

Po raz kolejny zaczął się zastanawiać nad motywami, które kazały mu ją tu sprowadzić. Tak, rzeczywiście chciał dać jej prezent w postaci kąpieli w źródłach. Jeżeli wszakże miał być ze sobą szczery, pragnął dać jej coś jeszcze. Ugryzł delikatnie mięso, po czym spojrzał na kształtny pełny biust Agaty. To nie była kobieta, która ulega mężczyźnie tylko dlatego, że zafundował jej kąpiele w źródłach. Wiedział, że jeśli kiedykolwiek zdarzy mu się dotknąć jej w taki sposób, będzie musiał to zrobić z pełną świadomością dalszych konsekwencji.

Przy kolejnym łyku uniosła wzrok i spostrzegła, że Gandy wpatruje się w jej kobiece kształty. Ona przestała przeżuwać, on wypił łyk wody. Napięcie nie opuściło ich do końca posiłku.

Raz jeszcze otarła usta, po czym odłożyła serwetkę na bok. Gandy odstawił talerzyk po deserze, zamówił kawę i zapalił

cygaro, obciawszy jego koniec maleńkimi nożyczkami — prezentem od Agaty.

— Widzę, że jeszcze ich używasz.

— Tak, proszę pani.

Kiedy palił, Agata przyglądała się jego ustom i wąsikowi, dopasowującym się do kształtu cygara. Po chwili owionął ją ostry aromat. Powróciło wspomnienie, wyraźne jak odbicie w nieruchomej wodzie.

— Wiesz, pamiętam ten dzień, kiedy przywiozłeś do Proffitt obraz Dierdry. Zapłaciłeś u Pauliech za moją kolację, a ja byłam na ciebie taka zła, że chętnie bym ci wepchnęła te pieniądze do gardła.

— Byłaś taka dumna i zasadnicza, a mnie gnębiły wyrzuty sumienia, że wrzuciłem cię w błoto.

— Wyrzuty sumienia? Ciebie? — Uniosła brwi.

— Naprawdę.

— Nie przypuszczałam, że możesz mieć wyrzuty sumienia z jakiegokolwiek powodu. Zawsze sprawiałeś wrażenie takiego... strasznie pewnego siebie. Do tego nie miałeś sobie równych w docinkach i złośliwych zaczepkach. Boże, ależ ja cię wtedy nienawidziłam.

Gandy oparł się wygodnie i wesoło roześmiał.

— Chyba miałaś powody.

— Powiedz mi — zmieniła nagle temat — jak tam Willy? Scott zmarszczył brwi i pochylił się, gasząc nerwowo cygaro.

— To już nie ten sam chłopiec co w Proffitt.

W miejsce uśmiechu na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania.

— Co się stało?

— Robi się z niego rozwydrzony smarkacz, ot co. Po prostu przebywa w nieodpowiednim towarzystwie. Karciarz, barman, portowiec, trzy byłe prostytutki i do kompletu czarnoskóra niańka, która klnie jak szewc. Dziewczyny okropnie go rozpieszczają, a co gorsza, czasami się zapominają i opowiadają przy nim rzeczy, które on potem powtarza. Leatrice zawsze mu ustępuje, a kiedy idzie z Marcusem, Ivorym i innymi do lasu, też pewnie nasłucha się niewybrednego słownictwa. Próbuje swoich sztuczek także ze mną, a kiedy nie chcę mu ustąpić, dąsa się i robi awantury.

Mówię ci,

Gussie, czasami, kiedy się ze mną kłóci... — Tu Gandy zacisnął pięść — ...mam ochotę przełożyć go sobie przez kolano i ostro przetrzepać mu skórę.

— To czemu tego nie zrobisz?

Pięść Scotta rozluźniła się, a twarz złagodniała.

— Chyba dlatego, że dosyć już w życiu oberwał. I to od własnego ojca.

— Ale Alvis Collinson nigdy go nie kochał, Scott. Jestem przekonana, że Willy potrafi dostrzec różnicę.

Gandy dobrze wiedział, że Agata ma rację, mimo to rozpaczliwie pokręcił głową.

— Nie potrafię podnieść na niego ręki, Gussie. I chyba nigdy się nie przemogę.

Poczuła nagły przypływ gorącego uczucia. Po tych paru słowach zorientowała się, że Scott jest takim ojcem, o jakim sama marzyła.

— Willy musi dostać burę, kiedy na to zasługuje, bo inaczej będzie coraz bardziej pokazywał rogi. A nie ma chyba nic gorszego niż uparte nieposłuszne dziecko.

— Jest uparty i nieposłuszny, to fakt, choć w gruncie rzeczy to nie jego wina. Problem w tym, że w Waver ley nie ma dla niego towarzysza zabaw. Parę razy zabrałem go do miasta na spotkanie z jego rówieśnikiem, ale się pokłócili i tamten więcej go do siebie nie zaprosił. Efekt jest taki, że ostatnio Willy zaczął rozmawiać z wymagowaną koleżanką.

Na Agacie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

— To nic strasznego, Scott. Kiedy byłem mała, robiłam to samo. A ty nie?

— Nie o to chodzi, Gussie. Kłopot w tym, że ta koleżanka to... — Umilkł.

— Kto?

— Pewnie myślisz, że jestem niespełna rozumu, ale w sypialni, w której śpimy z Willym, jest chyba... no... duch.

— Czyj duch? — spytała rzeczowo Agata, zamiast się roześmiać.

— Wierzysz mi?

— Czyj duch?

— Justine... Mojej córki.

— I to z nią Willy rozmawia?

— Tak. — Na pół świadomie sięgnął przez stół i ujął jej dłoń. Oczy miał ciemne, zmartwione. — Gussie, ja też ją słyszałem. Woła o pomoc. Nigdzie poza pokojem dziecięcym na piętrze się nie odzywa. Jej głos jest taki wyraźny... Parę razy widziałem odcisk na pościeli, w miejscu gdzie leżała. Nie było wówczas w pokoju nikogo, kto mógłby to zrobić.

— Boisz się?

Przez chwilę się zastanawiał.

— Nie.

— A Willy?

— Nie. Wręcz przeciwnie.

— W takim razie co w tym złego? Wygląda na to, że macie w domu przyjaznego ducha. A skoro jest to duch twojej córki, na pewno nie robi nic złego ani tobie, ani nikomu z twoich bliskich.

Popatrzył na Gussie, jakby nagle ujrzał ją w całkiem innym świetle.

— Jesteś wspaniała, Gussie. Zdziwiasz mnie.

— Mój ojciec był górnikiem, a na świecie nie ma chyba ludzi bardziej zabobonnych niż górnicy. Nawet słysząc kamień spadający w głąb szybu, są przekonani, że to duch. A wielu z nich gotowych jest przysiąc, że mieli rację, zwłaszcza po katastrofach.

Po tych słowach Gandy'ego ogarnęła ogromna ulga, a równocześnie zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, że może niepotrzebnie starał się wytłumaczyć Willy'emu, że Justine jest tylko wytworem jego wyobraźni.

— Wiesz, powiedziałem Willy'emu, że to niemożliwe, żeby rozmawiał z Justine. Chyba nie powinienem był tego robić. Jak myślisz?

— Nie wiem. Na twoim miejscu pewnie bym się starała nie zwracać na to uwagi. Jeśli to tylko wytwór dziecięcej wyobraźni, przejdzie z wiekiem. A jeśli nie, to znaczy, że jest nie bardziej szalony niż ty? Prawda?

— Dziękuję ci, Gussie. Od dawna mnie to gnębiło, ale w Waverley nie miałem z kim o tym porozmawiać. Bałem się, że Leatrice się dowie, a już teraz nosi na szyi jakiś cuchnący worek, który ma odstraszać złe moce. Gdyby się dowiedziała, że w domu naprawdę jest duch, jej noga nigdy więcej by tam

nie powstała. A chociaż jest strasznie krnąbrna, bez niej wszystkie dotychczasowe wysiłki pójdą na marne.

— Ta Leatrice musi być chyba trochę podobna do Ruby?

— Tak. Najgorsze, że ma ogromny wpływ na Willy'ego. Mały stara się ją naśladować i zaczyna mówić tak samo niegramatycznie. No właśnie, jeszcze jeden kłopot. Willy skończył sześć lat i powinien iść do szkoły. Ale najbliższa jest w Columbus, czyli mniej więcej dziesięć mil od Waverley. Ja nie mam czasu, żeby dwa razy dziennie pokonywać taki szmat drogi, a z kolei w Waverley nie ma nikogo, kto mógłby go uczyć.

Serce Agaty gwałtownie przyspieszyło.

— Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać — kontynuował, nadal trzymając jej dłoń. — On cię potrzebuje, Gussie. Bardziej niż kogokolwiek na świecie. Wieczorami płacze z tęsknoty, a w święta dzień w dzień robił dzikie awantury, że cię nie sprowadziłem do Waverley albo nie wysłałem go do Proffitt. Staram się jak mogę, Gussie, ale nawet po tej krótkiej rozmowie wiem, że nie potrafię sobie radzić z nim tak dobrze jak ty. Willy'emu potrzebny jest ktoś, kto tak jak ty potrafi w każdej sytuacji odróżnić dobro od zła. Ktoś, kto by umiał dopilnować, żeby nie nabierał złych nawyków, żeby nie powtarzał wszystkiego po dziewczętach, po Leatrice... czy nawet po mnie. Potrzebne mu są normalne codzienne lekcje. A ty, gdybyś tylko zgodziła się przeprowadzić do Waverley, mogłabyś mu to wszystko dać.

A więc to była ta jego propozycja. A ona głupia wyobrażała sobie, że sprowadził ją do White Springs po to, żeby ją uwieść. No więc nie musi się już martwić. Nie powinna też marnować czasu na złudzenia, że może zechce się jej oświadczyć. Jemu nie jest potrzebna żona ani nawet kochanka, a jedynie dobra guwernantka dla Willy'ego.

Myśl o Willym płaczącym z tęsknoty rozbudziła w niej uczucia macierzyńskie, aczkolwiek było to za mało, żeby zagłuszyć głębokie rozczarowanie. Uwolniła dłoń i złożyła ręce na podolku.

— Miałabym więc być guwernantką?

— Dlaczego tak mówisz? Dla Willy'ego znaczysz tyle samo co prawdziwa matka. Byłabyś kimś znacznie więcej niż guwernantką. Zgódź się, Agato, proszę.

„Mam zamieszkać w twoim domu i przez resztę życia marzyć o tobie? Czy tak?”

— Kiedy miałabym przyjechać?

— W tej sprawie decyzję za mnie podjęła Jube — rzekł, pochyliwszy się ku niej. — Oznajmiła, że mam cię jak najszybciej sprowadzić, żebyś uszyła jej suknię ślubną. Ona i Marcus planują ślub na ostatnią niedzielę marca. Jube bardzo zależy, żebyś przyjechała. A więc, co ty na to?

Agata czuła, że powinna choć trochę się opierać.

— Ale przecież w Proffitt mam zakład. Nie mogę go tak po prostu zostawić i wyjechać.

— Czemuż by nie? Przecież i tak powoli podupada. Sama mówiłaś, że jeszcze trochę i kapelusze staną się przeżytkiem. A wraz z rozwojem przemysłu włókienniczego na wschodzie zawód krawcowej czeka taki sam los. To tylko kwestia czasu.

— A co z Violet?

— Ach, Violet. — Gandy umilkł na chwilę, by przypomnieć sobie błyszczące niebieskie oczy pomarszczonej staruszki. — Rzeczywiście, trudno ci będzie ją zostawić. — Uniósł jedną brew. — Chyba że dostanie po tobie zakład...

— Zakład?

— A co innego mogłabyś zrobić z całym tym składem ptasich gniazd, motyli, z szufladami pełnymi wstążek, koronek, no i z tym ogromnym biurkiem? Mogłabyś nawet zostawić Violet wszystkie meble... oczywiście jeżeli nie masz nic przeciwko temu. W Waverley jest wszystko, co potrzeba. A czy Violet nie byłoby przyjemnie mieć na stare lata własny kąt, zamiast gnieść się w ciasnym pokoiku u pani Gili?

Agata milczała. Przez lata bardzo zaprzyjaźniła się z Violet, trudno więc było jej podjąć natychmiastową decyzję.

— Sądzę — kontynuował Scott — że Violet też by cię przekonywała, że powinnaś jechać. Mam rację?

Agata słyszała w myślach nerwowy chichot Violet na widok Scotta, widziała jej rumieniec, kiedy ten pochylał się, by złożyć kurtuazyjny pocałunek na jej żylastej dłoni, czuła lawendowy zapach chusteczki, którą wachlowała rozpaloną twarz po jego wyjściu.

— Ilekroć pojawiałaś się w polu widzenia, Violet zaczynała żałować, że nie jest o czterdzieści lat młodsza. Jak więc

miałabym spodziewać się po niej trzeźwego, bezstronnego osądu?

Gandy roześmiał się.

— A więc zgadzasz się?

Była dziewczyną, być może uosobieniem niewinności. Jednakże pomiędzy nią a Scottem powstawały wibracje, do których charakteru nie mogła się mylić. Czasami im wierzyła, czasami nie — zależało to od chwilowego stanu jej ducha. Lecz z całą pewnością wiedziała, że z każdą spędzoną razem godziną czują do siebie coraz silniejszy fizyczny pociąg.

Powinna go była spytać — a może nie? — jakie właściwie ma wobec niej zamiary. Czy planował, że z czasem zajmie miejsce Jube, która wkrótce miała wyjść za Markusa? Było jasne, że mężczyzna o temperamencie Gandy'ego długo bez kobiety nie wytrzyma. I chociaż nigdy nie wyznał jej miłości, to czy miłość była dla niego niezbędna? W końcu Jube też nie kochał. Tak, zdecydowanie powinna go o to spytać. Jak wszakże miała poruszyć ten temat, skoro po pięciomiesięcznym rozstaniu nawet jej nie pocałował? Nie mogła. Nie ona.

W końcu wzięła głęboki niepewny oddech, na moment znieruchomiała, po czym szybko rzekła:

— Dobrze. Ale pod jednym warunkiem.

— To znaczy.

— Że zostawię Violet wszystko oprócz maszyny. Jeżeli chce mieć maszynę, będzie musiała ją sobie kupić. Tę dostałam od ciebie w prezencie i powinnam zabrać ją do Waverley, jeśli mam szyc suknię ślubną dla Jube.

— Dobrze. Nie zaprzataj sobie głowy biletami. Sam się tym zajmę.

Później odprowadził ją do drzwi pokoju, gdzie pożegnali się nie pocałunkiem, na który w głębi serca liczyła, lecz mocnym uściskiem dłoni, jak po dokonanej transakcji.

Przez pozostałe dwa dni zabierał ją do źródeł rano i przed południem, a chociaż dużo ze sobą rozmawiali i traktowali się coraz przyjaźniej, ani razu nie wykonał w jej kierunku najmniejszego ruchu...

Aż do chwili kiedy znaleźli się na stacji.

Cóż takiego jest w dworcach kolejowych, że serca przygniata smutek, zanim jeszcze zabrzmia słowa pożegnania?

Już miała wsiadać do pociągu, gdy nagle chwycił ją za ramiona i pocałował prosto w usta. Czowała, że Scott chce, by był to pocałunek krótki i pozbawiony zmysłowości. Kiedy wszakże ich usta się rozłączyły, kiedy spojrzał najpierw w jej oczy, potem na dłonie w rękawiczkach, pokusa stała się zbyt silna, by mógł się przed nią dłużej bronić.

Przyciągnął Agatę do siebie, tym razem dużo delikatniej, i pocałował raz jeszcze. Był to długi namiętny pocałunek, który sprawił, że nogi ugięły się jej w kolanach, serce zaś zaczęło walić niczym armata.

Odsunął się i znowu spojrzał jej w oczy, ją zaś zaczęła prześladować okropna myśl, że ludzie na całym świecie tak właśnie się całują na do widzenia, a jej tylko przez brak doświadczenia wydaje się, że taki pocałunek może oznaczać coś więcej.

Dlaczego czekałeś z tym aż trzy dni? — miała ochotę zapytać. Jednakże porządne kobiety takich pytań nie zadają.

— Do zobaczenia—rzekła tylko. — I dziękuję, że dałeś mi kąpiele w White Springs. Nigdy tego nie zapomnę.

— Nic ci nie dałem. Przecież White Springs było tu i czekało na ciebie.

Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że dał jej coś znacznie więcej niż ktokolwiek dotąd. Że nawet jeśli nie dał jej swojej miłości, to przynajmniej dostała od niego swoją własną miłość do niego. A ona już wiedziała, że kochać to uczucie niemal równie wspaniale jak być kochanym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nastrój tworzony przez pędzący pociąg sprzyjał introspek-cji: krajobraz coraz szybciej przemykał za szybą, aż w końcu stał się zieloną plamą mającą w oddali; huk masy żelaza toczącej się po metalowych szynach wibrował w uszach tak długo, aż w końcu stał się równie nieodłączną częścią ciała podróżnych jak bicie serca; niesiony wiatrem przejmujący gwizd przypominał ciche westchnienie; za oknem zieleń przeszła wkrótce w czerń, w szybie zaś pojawiła się twarz spoglądająca na pasażera — jej własna twarz. Zupełnie jakby podświadomość patrzyła jej w oczy i domagała się wyjaśnień.

W drodze powrotnej do Proffitt Agata rozmyślała nad grą, którą właśnie podjęła—bo przecież to hazard, czyż nie? O jaką stawkę? O czyściec albo niebo. Życie u boku Gandy'ego w charakterze guwernantki i tylko guwernantki musiało oznaczać właśnie czyściec. Kochała go, pragnęła i chciała z nim żyć, lecz tylko jako żona. On wszakże słowem nie wspomniał o miłości ani o małżeństwie. Mieszkać w jego domu i dławić w sobie uczucia — czy to naprawdę lepsze wyjście niż pozostanie w Proffitt?

Tak. Ponieważ w Waverley był także Willy, który znaczył dla niej prawie tyle samo co Scott.

A jakie były jej szanse na niebo? Pragnęła jedynie, żeby któregoś dnia Scott spojrzął jej prosto w oczy i powiedział, że ją kocha, chce, żeby za niego wyszła i żeby Willy został na zawsze ich dzieckiem. Tylko i aż tyle.

Czy dane jej będzie tego doczekać?

No cóż, nie znała odpowiedzi na to pytanie, gdyż na tym właśnie polega hazard.

Już raz zagrała przeciwko Gandy'emu. Przegrała i była to bolesna przegrana. Bolesna. Lecz miłość jest zakaźna i osoba mądra zawsze będzie stawiać właśnie na nią.

A Agata Downing była mądrą osobą.

Rozstanie z Violet okazało się łatwiejsze, niż Agata przypuszczała, głównie dlatego, że Violet ogromnie podekscytowała rychłą perspektywa nowego statusu — kobiety interesu. Poza tym Scott słusznie przewidział, że po latach spędzonych w ciasnym pokoju u pani Gill, Violet czuła się w niewielkim mieszkanku Agaty jak w prawdziwym pałacu. A na dodatek po prostu nie mogła wyjść z podziwu, że Agata zdobyła sobie miejsce w domostwie LeMaster Scotta Gandy'ego, człowieka, którego olśniewający uśmiech wywoływał na jej twarzy rumieniec.

Jednakże tuż przed rozstaniem, kiedy rzeczy Agaty zostały spakowane, ukochana makatka ukryta starannie pomiędzy warstwami ubrań, stare kapelusze oddane Violet, a mieszkanie ogołocone z ważnych osobistych drobiazgów, kiedy zapakowana w skrzynię maszyna odjechała na stację, a Violet otrzymała ostatnie instrukcje na temat prowadzenia ksiąg, Agata powiodła wzrokiem po zakładzie.

— Spędziłyśmy tu razem sporo czasu, prawda? — rzekła, spoglądając Violet w oczy.

— Pewnie, że tak. A ile uszyłyśmy! Choć śmiechu też nie brakowało.

Agata uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Tak, racja. — Zamknięty w klatce dla drobiu Łoś zamiauczał z oburzeniem. — Czy aby na pewno nie masz nic przeciwko temu, że go zabieram?

— Naturalnie, że nie. Kotka pani Gili zniknęła w zeszłym tygodniu na trzy dni, a po powrocie cuchnęła jak nieszczęście, sierść miała poszarpaną i do tego kulą! Chciałabym to zobaczyć. Chi-chi. Za dziewięć tygodni będzie całe stado małych kociąt i Josephine znowu nie będzie wiedziała, co z nimi począć, jak zaczną wspinać się po zasłonach i ostrzyć pazurki na meblach. Nie, zabierz Łosia do Willy'ego. Tam jest jego miejsce... No cóż, chyba najwyższy czas, żebym was odprowadziła na stację, bo a nuż pociąg przyjedzie trochę

wcześniej i co wtedy? Nie chciałabym, żebyś się spóźniła, tym bardziej że pan Gandy na pewno będzie na ciebie czekał. Chi-chi.

Agata po raz ostatni zamknęła drzwi, a potem przez ramię spojrzała najpierw na zieloną markizę, którą przez ostatnie sama już nie pamiętała ile lat rano podnosiła, wieczorem zaś opuszczała, później na piętro, na okna mieszkania. To, co powiedziała w sklepie, powiedziała głównie ze względu na Violet, albowiem obróciwszy się plecami do budynku, nie czuła ani krztyny żalu. Przez wszystkie te lata nie zaznała w nim niczego oprócz smutku i samotności, opuszczała go więc z prawdziwą przyjemnością.

Kiedy wszakże pociąg stanął na peronie i nadszedł czas, żeby się pożegnać, smutek ogarnął nagle zarówno ją, jak i Violet. Patrząc na siebie, zrozumiały, że najprawdopodobniej widzą się po raz ostatni w życiu.

Mocno się uściskały.

— Zawsze byłaś wspaniałą przyjaciółką, Violet.

— Ty również. Mam nadzieję, że pan Gandy przejrzy wreszcie na oczy i zostaniesz jego kochanką, a może nawet żoną.

— Violet, jak możesz tak mówić — roześmiała się Agata przez łzy.

— Wiesz, moja droga, zdradzę ci sekret, o którym nikomu dotąd nie mówiłam. Jako dwudziestojednoletnia dziewczyna miałam kochankę. I wierz mi, był to najwspanialszy okres w moim życiu. Każda kobieta powinna tego doświadczyć. — Pogroziła Agacie zgiętym palcem. — Pamiętaj o tym, jak nadarzy się okazja.

— Dobrze, będę pamiętać — odparła Agata, ciągle się śmiejąc.

— Pozdrów ich wszystkich ode mnie, a tego przystojniaczka Gandy'ego cmoknij w policzek i przekaż mu, że ilekroć wchodził do nas do sklepu, miałam ochotę to zrobić. A teraz wsiadaj do pociągu, bo odjedzie bez ciebie. Szybko!

Tak więc pożegnanie przeszło bezboleśnie, głównie dzięki niezawodnej, niezastąpionej Violet. Dopiero kiedy pociąg przejechał jakieś pół mili, z oczu Agaty popłynęły łzy. Lecz były to, przynajmniej w pewnym sensie, łzy radości. A do tego Violet dała jej temat do rozmyślań!

Rozmyślała o tym przez cały czas, kiedy nie spała, zastanawiając się, kim mógł być ów kochanek Violet i czy potem kiedyś go jeszcze spotkała, jak długo trwał ich romans, dlaczego nie skończył się ślubem i co takiego sprawiło, że Violet wspominała ten okres jako najwspanialszy w swoim życiu.

Dotąd sądziła, że tylko zepsute kobiety sypiają z mężczyznami bez ślubu, lecz przecież Violet nie była zepsuta. Przeciwnie, była dobrą praktykującą chrześcijanką.

Myśl ta kołatała w głowie Agaty, podczas gdy za oknem pociągu zachodziły znane jej już zmiany. Zima powoli ustępowała miejsca wiosnie, chłód ciepłu, a błoto kwiatom. Przed oczyma Agaty zamajaczyły niewyraźne sylwetki Scotta i Willy'ego...

A później nabrały ostrości. Stali obok siebie na wyłożonym czerwonymi kocimi łbami peronie, wpatrując się w okna hamującego pociągu. Scott uniósł palec i pokazał na jedno z okien: tam jest! i natychmiast obaj zaczęli do niej machać, radośni, roześmiani. Na ich widok serce Agaty zabiło szybciej i chociaż znajdowała się w Columbus, w stanie Missisipi, miała wrażenie, że po długiej nieobecności wreszcie wraca do domu. Kiedy stanęła w drzwiach, oni już tam byli. Gandy trzymał Willy'ego na ręce.

— Gussie! Gussie! — zawołał chłopiec.

Objął ją mocno, strącając jej z głowy kapelusz, który włożyła tylko dlatego, że w pudłach zabrakło już miejsca. Scott złapał go wolną ręką.

— Och, Willy, strasznie się stęskniłam.

Zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy, i czule go pocałowała. Smakował sarsaparyllą. Odgarnęła mu włosy z czoła i ujawszy jego twarz w dłonie wprost nie mogła się napatrzeć na ukochane piegowate policzki i prześliczne brązowe oczy.

— Scotty mówił, że zostaniesz na zawsze. Naprawdę zostaniesz, Gussie?

— Chyba tak — odparła, uśmiechając się do Scotta. — W każdym razie zabrałam wszystkie swoje rzeczy. Nawet maszynę do szycia i Łosia.

— Łosia! Naprawdę?

— Naprawdę. Siedzi w klatce w wagonie bagażowym. Bagażowy obiecał dawać mu jeść.

Willy obsypał jej twarz całusami.

— O rany!—wykrzyknął. — Łoś! Słyszysz, Scotty? Agata przywiezła Łosia!

— Przywiozła, a nie przywiezła — poprawił go Scott, a kiedy Agata posłała mu ciepły uśmiech, Willy natychmiast chwycił jej twarz w obie ręce, domagając się wyłącznej uwagi. — Poczekaj, aż zobaczysz mojego konia! To klacz. Nazywa się Cinnamon i niedługo będzie miała źrebięta.

— Naprawdę?

— Tak. Scotty pozwolił mi patrzeć, jak była kryta.

— Widzę, że przyjechałam w samą porę, by zadbać nad właściwym kierunkiem twojej edukacji. Jak na pięciolatka...

— Sześciolatka! Miałem urodziny!

— Miałeś urodziny? Że też mnie to ominęło! — wykrzyknęła z udawanym smutkiem.

— Nie szkodzi. W przyszłym roku też będę miał. Chodźmy po Łosia. Zach czeka na nas przy wozach.

Willy zeskoczył na ziemię i puścił się biegiem. Agata i Scott, niczym już nie rozdzieleni, stali i patrzyli sobie w oczy. Nie czuli żadnej potrzeby pośpiechu.

— Dzień dobry — odezwała się Agata.

— Dzień dobry. Jak minęła podróż?

— Szybko. Dziękuję, że zapewniłeś mi tak komfortowe warunki. Tym razem udało mi się zasnąć.

— Tym razem?

— Poprzednio byłam zbyt podekscytowana, żeby spać, a teraz zbyt zmęczona, żeby nie zasnąć.

— Nie miałaś kłopotów z pozałatwianiem spraw w Kansas?

— Nie. Wszystko poszło jak z płatka. — Tak piekielnie kusilo ją, żeby go dotknąć, że w pewnym momencie uległa pokusie. Wspięła się na palce, zarzuciła mu ramię na szyję i cmoknęła w policzek — To od Violet. Prosiła, żebym ci przekazała, że zawsze kiedy wchodziłeś do zakładu, miała ochotę to zrobić.

Ręka, w której trzymał kapelusz, objęła ją i nie pozwoliła się cofnąć.

— No dobrze. To od Violet. A co od ciebie? Zachowała na tyle przytomności umysłu, że natychmiast cmoknęła go w drugi policzek, obracając całą sprawę w żart.

— Proszę. Ode mnie to. A teraz bądź tak miły i oddaj mi kapelusz.

Gandy włożył jej go na głowę.

— Myślałem, że na dobre przestałaś nosić kapelusze?

— Czy nie za wiele wymagasz od kobiety, która nosiła je przez całe życie? Zostawiłam sobie kilka ulubionych, a że ten nie zmieścił się w pudle, po prostu w nim przyjechałam. — Sięgnęła, żeby go odpowiednio ułożyć, Scott ubiegł ją jednak, po czym z krytyczną miną przyjrzał się efektom swoich wysiłków.

— Nie, nie sędzę — oświadczył, zdecydowanym ruchem zdejmując go jej z głowy. — Bez kapelusza wyglądasz zdecydowanie lepiej.

— Hej, chodźcie już! — przerwał im Willy. — Zach czeka. Scott, nie kryjąc niechęci, odwrócił się do chłopca.

— Dobrze już, dobrze. Pędź powiedzieć Zachowi, żeby podjechał wozem pod wagon bagażowy. Tam się spotkamy.

Gandy ujął Agatę pod ramię, po czym wolno ruszyli peronem.

— Zostawiłaś zakład Violet?

— Tak. Nie posiadała się z radości. Kto to taki, ten Zach?

— Syn jednego z naszych dawnych niewolników. Świetnie zna się na koniach. Uczy Marcusa na stajennego.

Przywiozłaś maszynę, prawda?

— Oczywiście. Bez niej nie dałabym rady uszyć sukni dla Jube. Przyjechał z wami ktoś jeszcze?

— Nie, wszyscy czekają w domu. Zastanów się, czy nie potrzebujesz czegoś z miasta. To dobra godzina drogi, nie bywamy tu więc zbyt często.

Nie potrzebowała. Patrząc na Willy'ego, który właśnie witał się z Łosiem, czuła, że niczego więcej do szczęścia jej nie potrzeba. Malec trzymał kota pod przednimi łapami, tulił go do twarzy, dotykał nosem jego wąsów i co chwila całował. Na koniec przytulił go, stanowczo za mocno, zacisnął powieki i rzekł:

— Cześć, Łosiu! O rany, ale się za tobą stęskniłem. Gandy poznał Agatę z Zachem, który zjechał mocno podniszczonym drewnianym wozem. Załadowano nań pustą klatkę, maszynę do szycia i bagaże Agaty, łącznie z kapeluszem, który Gandy wrzucił tam w ostatniej chwili.

Agata, Willy, Scott i Łoś wsiedli do czarnego, dobrze resorowanego powozu i ruszyli w kierunku jej nowego domu. Po drodze pierwszy raz w życiu zobaczyła kwitnące drzewo judaszowe — istne chmury soczystej czerwieni. I dereń — ogromne plamy nieskazitelnej bieli. I wistarię — kaskady czystego szkarłatu. W przydrożnych rowach kwitły dzikie żonkile, tworząc połacie żółci tak rozległe, że zdawało się, iż to kawałki słońca spadły na ziemię i rozsypały się po trawie. Tak jak na Florydzie, w powietrzu unosił się mocny, wilgotny, żyzny zapach. Agata już zdążyła go pokochać.

Kiedy przejeżdżali koło Oakleigh, Willy poinformował ją, że tam mieszkały przed wojną mama i babcia AJ., jego niedoszłego kolegi. Kiedy mijali maleńki kościółek ukryty w sosnowym zagajniku, Willy pośpieszył z wyjaśnieniami, że tam chodzi Leatrice każdej niedzieli. Kiedy zaś jechali koło cmentarza, powiedział, że tam została pochowana Justine.

Skręcili w długą aleję i wówczas odezwał się Gandy:

— A tutaj... ja się urodziłem. Waverley.

Większe i bardziej majestatyczne niż na akwareli w biurze Scotta. Waverley ze strzelistymi kolumnami i ogromną rotundą. Waverley z masywną magnolią przed wejściem oraz starannie przycinanymi bukszpanami. Uniosła wzrok i jej serce znowu się rozszalało. A więc w końcu się tu znalazła. Nagle spostrzegła przechadzające się po trawniku pawie.

— Och! — wykrzyknęła.

Patrząc na nią, Scott uśmiechnął się, wyraźnie dumny z posiadłości, obsadzonej kwiatami i lśniącej niczym perła pośród szmaragdowych trawników.

— Podoba ci się?

Na bardziej entuzjastyczną odpowiedź nie mógł liczyć. Agata siedziała oniemiała z zachwytu, z ręką przyciśniętą do tłukącego się w piersi serca.

Na widok powozów Jack puścił się pędem z garbarni do domu, krzycząc ile sił w płucach:

— Chodźcie wszyscy! Chodźcie! Już są! Przyjechali! Zanim powóz się zatrzymał, drzwi domu otworzyły się i na dwór wypadła rozkrzyczana radosna gromada.

Agata witała się serdecznie ze wszystkimi po kolei. Najpierw z Pearl, później z Ivorym i Ruby. A potem z Jackiem,

mocno zasapanym po szaleńczym biegu. Przekazywali ją sobie z rąk do rąk, czule tuląc i ściskając. Następna w kolejce była Jube.

— Jubilee, moje gratulacje!

Przez chwilę stały bez ruchu, z uśmiechem wpatrując się w siebie. Potem Jube chwyciła Marcusa za rękę i pociągnęła do przodu.

— Czyż to nie wspaniałe? Jeśli ci powie coś innego, nie wierz mu.

Marcus, jak zawsze wzór kurtuazji, uśmiechnął się do Agaty, lecz nie próbował jej obejmować. Za to ona mocno go uścisnęła.

— Gratuluję, Marcus. Niezmiernie się cieszę. Wykonał ruch, jakby coś oliwił, po czym uniósł pytająco brwi.

— Tak, jest sprawna i naoliwiona. Nawet się nie obejrzysz, a suknia będzie gotowa.

Był jeszcze ktoś: kobieta o masie bizona, czekająca na schodach z rękoma skrzyżowanymi na wydatnym brzuchu.

Na szyi miała zawieszony skórzany worek. To mogła być jedynie owa sławna Leatrice.

Wszyscy prócz niej mówili jeden przez drugiego. Wszyscy prócz niej ściskali Agatę i całowali w policzki. Wszyscy prócz niej śmiali się i żartowali. Ona czekała niczym królowa na tronie, aż w końcu ktoś raczy przedstawić jej nową poddaną.

Kiedy wreszcie zgiełk trochę przycichł, Scott ujął Agatę za łokieć i poprowadził po marmurowych schodach.

— Leatrice — rzekł. — To właśnie jest Agata. Agato, oto Leatrice. Miej się na baczności, bo to taka zrzęda i sekutnica, że sam właściwie nie wiem, po co ją trzymam. Ale przez całe życie nie ruszała się z Waverley ani na krok, chyba więc tutaj zostanie.

— A więc nareszcie przyjechała do nas ta kobieta z Kansas

— przemówiła Leatrice głosem zepsutej maszyny parowej.

— Może w końcu ten tutaj przestanie na nas warzeć.

— Wskazała kciukiem na Gandy'ego.— Chłopak ostatnio gderał tylko i gderał.

Gandy zaczerwienił się aż po szyję i nagle bardzo go zainteresowały czubki własnych butów. Agata łaskawie patrzyła w przeciwną stronę.

— Dużo o tobie słyszałam, Leatrice.

— Założę się, że tak. I to same złe rzeczy, no nie? Agata roześmiała się. Leatrice rzeczywiście cuchnęła jak tchórz, o czym wcześniej wspomniał Gandy.

— Słyszałam, że trzymasz ich wszystkich twardą ręką, ale coś mi się wydaje, że niektórym jest to bardzo potrzebne.

— Ha! — położyła ręce na ogromnym brzuszysku Leatrice. — Nawet wiem komu!

Nadjechał Zach z bagażami i mężczyźni zabrali się do rozpakowywania. Jack i Marcus wzięli skrzynię z maszyną, Zach i Ivory kufer. Ivory włożył sobie na głowę różowy kapelusz Agaty i posłał Gandy'emu zalotne spojrzenie.

— A skądżeś ty to wziął, chłopcze? — zainteresowała się Leatrice.

Agata ściągnęła mu go z głowy.

— To mój. Ale pan i władca Waverley wydał właśnie pierwszy dekret. Nie wolno mi nosić kapeluszy.

— Dokąd z tym? — spytał Jack.

— Do prawego salonu — odparł Gandy i mężczyźni ruszyli dalej.

Willy poszedł za nimi, taszcząc pudło z kapeluszami prawie tak duże jak on sam. Kiedy wszyscy zniknęli za drzwiami, Agata przesunęła palcem po różowych płatkach na kapeluszu, spoglądając przy tym na Gandy'ego. W jej oczach migotały wesołe ogniki.

— A z tym?

Gandy niechętnym spojrzeniem obrzucił stulistne róże, koronkową siatkę i wiśnie otoczone zielonymi liśćmi.

— Bez obrazu, Agato — rzekł — ale to naprawdę naj-brzydsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Zupełnie nie rozumiem, po co kobieta o włosach tak pięknych jak twoje kryje je pod różami i wiśniami.

Agata z westchnieniem przestała skubać różowe płatki i zwróciła się do Murzynki, przypadkiem zdobywając jej serce:

— Nie przyda ci się, Leatrice, trochę używany różowy kapelusz?

Leatrice utkwiała wielkie jak spodki oczy w barwnym nakryciu i powoli, nieomal nabożnie, wyciągnęła ręce.

— To... dla mnie?

— Jeżeli ci nie przeszkadza, że jest trochę używany...

— O Boże, dziękuję...

Gandy uśmiechnął się do Agaty i rzekł:

— Chodźmy. Pokażę ci dom.

Leatrice została na schodach z cuchnącym workiem na szyi i różowym kapeluszem na głowie, a oni przeszli przez drzwi tak szerokie i wysokie, jakich Agata nigdy dotąd nie widziała, i znaleźli się wewnątrz ogromnej rotundy.

Agacie z wrażenia aż zaparło dech. Widok był przecudowny. Po obu stronach, za rozsuwanymi drzwiami, znajdowały się bliźniacze salony, szerokie podwójne schody tworzyły wspaniałe obramowanie dla tylnych drzwi, znajdujących się po przeciwnej stronie lśniącej sosnowej podłogi. Spojrzała do góry: było dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Kopuła nad głową, wspaniały żyrandol z brązu, wąskie pomosty i okna, drzwi prowadzące do pokoi na piętrze i żeberka balustrady, dokładnie siedemset osiemnaście, przypominające żebra jakiejś ogromnej żywej istoty. Już od samego początku nie mogła się oprzeć temu wrażeniu: że dom żyje swoim własnym życiem, niezależnym od życia jego lokatorów. Był w nim jakiś szczególny majestat, a nawet wyższość, jakby fakt, że przetrwał wojenną zawieruchę, dawał mu prawo czuć się lepszym. Dominował nad wszystkimi, którzy znajdowali się w jego wnętrzu, samą swoją wielkością redukował ich do postaci słabych, bezbronnych karłów. Z drugiej wszakże strony wrażenie to łagodziła jakaś nadzwyczajna opiekuńczość, poczucie bezpieczeństwa, które emanowało ze ścian. Agata pomyślała, że gdyby ktoś znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, wystarczyłoby, żeby stanął pomiędzy bliźniaczymi schodami, a te natychmiast wzięłyby go w swoje ramiona, trzymając każde zagrożenie w bezpiecznej odległości.

— Przepięknie tutaj — wyraziła swój zachwyt. — Jak w ogóle mogłeś tak długo tułać się po świecie?

— Sam nie wiem — odparł Scott. — Teraz, kiedy w końcu wróciłem, nie potrafię tego pojąć.

— Pokaż mi resztę domu.

Zaprowadził ją do lewego frontowego salonu, wspaniałego pomieszczenia o czterech wysokich oknach, z ogromnym kominkiem, i znajdującą się na lewo od drzwi zdobną niszą otoczoną gipsowymi płaskorzeźbami.

— To jest właśnie nisza ślubna, o której ci opowiadałem.

— Już wkrótce znowu ożyje — zauważyła Agata. — To wspaniałe. Na pewno bardzo cię to cieszy.

— Tak, Jube wprost nie posiada się z radości.

— Nie. Nie Jube. Chodzi o dom — wzniosła wzrok ku wysokiemu sufitowi Agata. — Ten dom ma... duszę, prawda?

— Obeszła stylowe krzesło z giętego drewna, przesunęła palcami po starannie wypolerowanym blacie stołu i oparciu przepięknej sofy, po czym podeszła do pianina i zagrała pojedynczą nutę. — Osobowość.

— Byłem pewien, że po śmierci matki już tylko ja jeden w to wierzę.

Przez okna widać było bukszpany, które matka Gandy'ego przywiozła przed laty z Georgii.

— Być może spogląda na nas z grobu i cieszy się, że przywróciłeś posiadłość do życia.

— Być może. Chodź, pokażę ci mój ulubiony pokój. Agata od pierwszego wejrzenia pokochała gabinet. Był o wiele przytulniej szy od frontowego salonu, głównie dzięki temu, że sprawiał wrażenie znacznie częściej używanego. Na biurku leżała otwarta księga przychodów, pióro ze stalówką i kryształowy kałamarz, kasetka na cygara, z całą pewnością pełna, wreszcie trochę popiołu w stojącej tuż obok krzesła wysokiej popielniczce. Pokój na dobre już przesiąknął zapachem Scotta, mieszanką aromatu cygar, skóry i atramentu.

— Bardzo do ciebie pasuje — rzekła.

Gandy przyglądał się jej uważnie, nie tyle z uśmiechem, co raczej z radością, że w końcu przyjechała. Ona też się z tego cieszyła.

— Teraz pokażę ci jadalnię — rzekł i poprowadził ją przez hol. Było to kolejne olbrzymie pomieszczenie, z kredensem wbudowanym w ścianę i masywnym prostokątnym stołem, ustawionym dokładnie pod żyrandolem. Ich krokom po lśniącej drewnianej podłodze towarzyszyło echo.

— Śniadanie jadamy o ósmej, obiad w południe, a kolację o siódmej. Kolację zawsze jemy razem.

— Willy też?

— Tak.

Tak więc Scott Gandy obdarował ją czymś jeszcze: owym cudownym poczuciem rodzinnej jedności, która najbujniej

rozkwita podczas wspólnych kolacji. Odtąd jej wieczory nie będą już smutne i samotne.

Ogarnięta wzruszeniem chciała mu podziękować, on jednak skierował się do drugiego frontowego salonu.

— To będzie twój pokój — oznajmił, otwierając drzwi i puszczając ją przodem.

— Mój?—Weszła do środka. —Ale... jesttaki wielki! A ja nie będę potrzebowała nawet połowy tego miejsca! —

Maszyna do szycia i kufer już tam stały. Pokój był przestronny i bardzo widny. Cztery duże lśniące okna wychodziły na południową część frontowego ogrodu, podjazd i bukszpany matki Scotta, w oddali na wschodzie majaczyła rzeka.

— Doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jeśli zamieszkasz na parterze. Nie będziesz musiała tak często wspinać się po schodach. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, w kącie urządzimy Williemu klasę.

— Ależ oczywiście, że nie mam.

Pokój był bliźniaczo podobny do sąsiedniego salonu, z tą różnicą, że w miejscu ślubnej niszy mieściła się obszerna garderoba. Oprócz wygodnego łóżka z białym brokatowym baldachimem umeblowanie stanowiły szezlong z obiciem w wielobarwne kwiaty, komoda, wysokie na pięć stóp lustro oraz stół do czytania z bukietem złocistych forsycji w gustownym wazonie.

— Przykro mi, Gussie, ale w dzień to nie będzie zbyt zaciszne miejsce. Zwłaszcza że bardzo bym chciał, żebyś uczyła Willy'ego przy otwartych drzwiach. Dzięki temu nasi goście będą mieć wrażenie, że należą do rodziny. Stała przed lustrem, wpatrując się w odbicie Scotta. Powoli się odwróciła, zastanawiając się, czy Gandy się domyśla, czym dla kobiety takiej jak ona jest taki pokój w takim domu.

— Mam już dość ciszy, Scott. Przez wiele lat mieszkałam w zacisznym ciemnym mieszkaniu, gdzie nikt mi nie przeszkadzał. Nawet nie wiesz, jakie to okropne. Oczywiście, że będę zostawiała drzwi otwarte. Ale mam wyrzuty sumienia, że zajmuję jeden z najładniejszych pokoi. Mogliby tu przecież mieszkać goście...

— Agato, twoim zadaniem jest opiekować się Willym, a nie wyobrażam sobie, jak byś miała wywiązać się z tego

zadania, mieszkając w którejś z chat. Poza tym na górze są jeszcze trzy wolne pokoje, wcale nie mniejsze od tego.

— Ale ja po prostu nie liczyłam na tak wiele. To najpiękniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek mieszkałam.

Zrobił kilka kroków i przystanął obok łóżka.

— Cieszę się, Gussie, że przyjechałaś. Myślałem...

W tym momencie do pokoju wbiegł Willy i chwycił Agatę za rękę.

— Chodź, Gussie, pokażę ci mój pokój — powiedział, niecierpliwie ciągnąc ją w stronę drzwi.

Scott zatrzymał się u stóp prawych schodów.

— Dasz radę wejść? — zapytał.

— Spróbuj mnie powstrzymać — odparła, oglądając się przez ramię.

Na schodach Agata natknęła się na małżeństwo w średnim wieku w strojach do konnej jazdy.

— Dzień dobry — rzekła kobieta.

— Dzień dobry — odparła zdziwiona Agata. Gandy w kilku susach znalazł się przy nich.

— O, państwo Van Hoef. Czyżby wybierali się państwo na przejażdżkę?

— Tak — odparł mężczyzna.

— Wymarzony dzień na jazdę konną. Chciałbym państwu przedstawić Agatę Downing, najnowszą stałą mieszkankę Waverley. Agato, oto pan Robert Van Hoef, a to jego małżonka, pani Debra Sue. Państwo Van Hoefowie przyjechali wczoraj z Massachusetts. To nasi goście.

Agata mruknęła kilka słów powitania, po czym Van Hoefowie ruszyli dalej.

— To w Waverley są już goście? — spytała.

— Van Hoef jest właścicielem świetnie prosperujących młynów i uchodzi za jednego z pięciu najzamożniejszych mieszkańców Massachusetts. Czy wiesz, dlaczego oni tu są, Gussie?

— Nie.

— Dlatego, że kiedyś, kiedy rozmawialiśmy o Waverley, powiedziałaś mi coś bardzo ważnego. Powiedziałaś, że Waverley to teraz skarb narodowy, pamiętasz? — Nie pamiętała. — Kiedy wyjeżdżałem z Kansas, nie miałem pojęcia, co zrobić, żeby Waverley zaczęło znowu na siebie zarabiać. Ale

pewnego ranka wyglądałem przez okna rotundy — spojrzał w górę, potem znowu na Agatę — i przypomniałem sobie twoje słowa. I wtedy nagle dotarło do mnie, jaki potencjał kryje w sobie ta posiadłość. Gdybyś mnie tak uparcie nie przekonywała, że powinienem tu powrócić, pewnie do końca życia tułałbym się z miejsca na miejsce.

Chciałbym, żebyś wiedziała, że jestem ci za to ogromnie wdzięczny.

— Ale przecież ja nic nie zrobiłam. To ty, to wy wszyscy przywróciliście Waverley dawny blask.

Willy wszedł już na górę i teraz bujał się przewieszony przez balustradę.

— Pośpiesz się, Gussie — krzyknął. Agata spojrzała do góry i zamarła.

— Willy! Schodź stamtąd, ale już! Śmiech malca odbił się echem od kopuły.

— Wcale się nie boję!

— Powiedziałam: schodź! Natychmiast! To nie są żarty! Willy uważał jednak inaczej i nadal się popisywał, balansując na brzuchu.

— Scott, ściągnij go stamtąd.

W kilka sekund Gandy wbiegł do góry i postawił chłopca na podłodze. Kiedy Agata wspięła się po schodach, była okropnie rozgniewana.

— Młody człowieku, ostrzegam, że jeżeli jeszcze raz cię na tym przyłapię, będziesz polerować wszystkie żeberka balustrady. Wszystkie po kolei, zrozumiałeś?

Willy nachmurzył się.

— O rany, nie rozumiem, o co ci chodzi. Nikt inny się o to nie gniewa. A Pearl nauczyła mnie nawet zjeżdżać po poręczy.

— Co takiego?!

— Nauczyła mnie zjeżdżać po poręczy.

— Tak? Więc zapamiętaj sobie, że tego też więcej nie będziesz robił. Powiedz Pearl, że to ja ci zabroniłam. No, a teraz pokaż mi swój pokój.

Willy doszedł do wniosku, że zemsta będzie najlepszym wyjściem z sytuacji.

— Nie chcę. Sama sobie zobacz mój głupi pokój! — krzyknął i ruszył na dół.

— Willy, natychmiast wracaj! — krzyknął Scott.

Willy nie posłuchał. Scott chciał za nim pobiec, lecz Agata ścisnęła go za ramię i pokręciła głową.

— Scott, w takim razie może ty mi go pokażesz? — rzekła tak głośno, by Willy na pewno usłyszał. — To właśnie tam Justine odwiedza Willy'ego, prawda? Opowiedz mi o tym, chętnie posłucham. — Podeszła do drzwi. — Och, jaki ładny!

Słyszając, jak Willy zwolnił kroku, pewni byli, że tęsknym wzrokiem patrzy do góry. Chodzili po pokoju, a Scott głośno i szczegółowo opowiadał Agacie o każdym drobiazgu, o którym wiedział, że Willy chciałby jej opowiedzieć: o wszystkich zabawkach, o koniu na biegunach, o oknach z widokiem na stajnię. Kiedy przechodzili do pokoju gościnnego, dostrzegli chowającego się za zakrętem schodów malca.

— Początkowo zajmowaliśmy wszystkie pokoje: ale potem zaczęliśmy remontować i ulepszać stare chaty niewolników, żeby każdy miał własny dom. Jube i Marcus remontują chatę nadzorcy i zaraz po ślubie planują przeprowadzkę. Van Hoefowie mieszkają tutaj. — Wskazał na następne drzwi.

— A jutro mają przyjechać goście z Nowego Jorku. Oni będą mieszkać tutaj. — Wskazał na pokój naprzeciwko dziecinnego.

— A to... — rzekł, stając w drzwiach sypialni mieszczącej się nad głównym salonem. — To sypialnia państwa domu. Z jakiegoś powodu Agata zawahała się przekraczając próg.

— Tutaj się urodziłeś?

— Tak. Najpierw zajmowali ją moi rodzice, a później Delia i ja.

Delia, jego utracona Delia. Czy czasami mu jej brakowało?

— Ale teraz jej nie używasz?

— Nie. Mieszkam z Willym. Dzięki temu mamy jeszcze jeden pokój do wynajęcia.

W sypialni, utrzymanej w tonacji stalowoniebieskiej jak kamizelka Scotta, dominowało wysokie palisandrowe, ręcznie rzeźbione łoże z baldachimem, umocowaną do słupków białą moskitierą i przenośnymi schodkami. Na wezglowiu, dokładnie pośrodku skomplikowanej płaskorzeźby znajdował się wypukły owal, nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że jest to oryginalny Prudent Mallard. Ogromna toaletka do kompletu zajmowała niemal całą długość ściany. Okna ozdabiały starannie upięte zasłony z szaroniebieskiej tkaniny w morelo-we prążki; ten sam wzór powtarzał się na baldachimie i obi-

ciach dwóch ręcznie rzeźbionych krzesel, które stały przy podwójnym oknie koło stolika z marmurowym blatem. Całości dopełniały kominek z białego marmuru z Carrary, żyrandol z kulami z trawionego szkła i ręcznie tkany niebieski dywan w rdzawe wzory, przykrywający podłogę z sosnowego drewna.

— Kiedy wprowadzą się tu goście?

— W przyszłym tygodniu.

— Aha — wzdrygnęła się Agata. Jakoś nie mogła się oprzeć wrażeniu, że obecność gości zbruka zarówno sypialnię, jak i ogromne łóże, w którym został poczęty Scott Gandy, dziedzic Waverley.

— Masz ochotę obejrzeć posiadłość z góry? — zapytał, sprawiając wrażenie, że nie ma nic przeciwko temu, żeby w jego małżeńskim łóżu spali obcy ludzie. — To wspaniały widok, ale trzeba się wspiąć po tych wszystkich schodach.

— Nie szkodzi. Poradzę sobie.

Na drugim piętrze minęli dwoje zamkniętych drzwi.

Tutaj jest graciarnia. Pokażę ci ją innym razem.

Dostrzegła, że uniósł podbródek i spojrzał na ośmiokątny pomost, wieńczący dom niczym korona głowę monarchy. Wyczuwała jego dumę i chęć pokazania jej wszystkiego, co posiada. Pokonali ostatnie schody i znaleźli się na wąskim pomoście. W dole rozciągało się dziedzictwo Scotta Gandy'ego. Agacie zakreśliło się w głowie, oparła się więc o ramę okna.

— Przepiękny widok. Aż zapiera dech w piersi.

— Widzisz tamto pole?

— Tak.

— Obsialiśmy je bawełną, żeby goście mogli zobaczyć, jak to dawniej było. A tamtą łąkę, opadającą ku rzece? —

Spoglądali teraz na wschód. — Kiedy już trochę zarobimy, będzie po niej biegać całe stado koni

Ruszyli dalej. Zatrzymali się dopiero przy oknie wychodzącym dokładnie na południe.

— A widzisz tamten budynek po drugiej stronie drogi?

— Aha.

— To basen. Chcesz go zobaczyć?

— Z wielką chęcią!

Na parterze natknęli się na Willy'ego, który siedział naburmuszony na najniższym stopniu.

— Idziemy obejrzeć basen. Chcesz iść z nami?

Kiedy Willy się skrzywił, Scott po prostu odwrócił się do niego plecami i ujął Agatę za łokieć, wskazując na drzwi.

— Dobrze! Idę!

Scott i Gussie wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Szli ramię w ramię po żwirowej alejce, wiodącej pomiędzy ogrodem a rozłożystym trawnikiem.

— Jutro zaczynasz lekcje z Gussie — obwieścił Gandy.

— Lekcje! Ale przecież miałem...

— Będziesz gotowy na taką godzinę, jak ci każe, jasne?

— Jak mam być gotowy, skoro się nie znam na zegarze?

— W takim razie to będzie jedna z pierwszych lekcji. A teraz przestań szukać wymówek i słuchaj uważnie, co ci powiem. Wszyscy już wiedzą, że od dzisiaj jest jedna i tylko jedna osoba, która będzie ci wydawać polecenia. Tą osobą jest Gussie. Zrozumiano?

— A ty?

— Ja? Ja czasami też. Ale zapamiętaj sobie, że zanim zaplanujesz wyjście z Zachem do stajni, z Jackiem do lasu albo wycieczkę do miasta z dziewczynami, masz grzecznie spytać Gussie, czy ci wolno. A jeżeli Gussie każe ci coś zrobić, a ty nie posłuchasz, tak jak dzisiaj na schodach, będziesz miał kłopoty. Jeśli ma z ciebie wyrosnąć dżentelmen, którego wszyscy będą lubić i szanować, musisz się najpierw sporo nauczyć. Samo się to nie robi. Po to właśnie przyjechała Gussie.

Doszli do basenu. Był to biały drewniany pawilon, stojący w cieniu dębów i orzechów. W środku panował chłód i półmrok, rozproszony światłem padającym z kilku niewielkich okien. Sam basen zbudowano z czerwonej cegły, a prowadzące do niego szerokie stopnie z marmuru.

— Nie jest może taki piękny jak tamten w White Springs, ale w lecie daje ochłodę po upalnym dniu.

— Za to pachnie dużo przyjemniej niż w White Springs. Scott roześmiał się. Na wspomnienie uczucia lekkości Agatę ogarnął zachwyty, że od teraz będzie mogła go doświadczać, kiedy tylko zapragnie.

— Skąd pochodzi woda?

— Z źródeł artezyjskich.

— Jest zimna?

— Lodowata. Sama sprawdź.

Miał rację.

— Ivory obiecał, że nauczy mnie pływać — oświadczył Willy.

— Naprawdę? — zainteresowała się Agata. — Nie tylko pluskać się, ale naprawdę pływać? W głębokiej wodzie?

— Kiedy byliśmy dziećmi — wyjaśnił Scott — jeszcze zanim ojciec kazał zbudować ten basen, Ivory i ja często pływaliliśmy razem w rzece. To naprawdę świetny pływak. Dlatego na parowcu zawsze sprawdzał wszystkie podwodne uszkodzenia.

— A więc nie masz nic przeciwko temu, żeby uczył Willy'ego?

— Absolutnie. Dopóki Willy będzie pod jego opieką, włos mu z głowy nie spadnie.

— Dobrze. W takim razie zarezerwujemy trochę czasu na naukę pływania.

Tak oto rozpoczęła się współpraca pomiędzy Agatą i Scottem we wszystkich sprawach dotyczących Willy'ego. Choć Gandy zapowiedział, że to Agata będzie decydować, w rzeczywistości było inaczej. Tak samo jak dawniej, jeszcze w Kansas, wszystkie ważniejsze decyzje podejmowali we dwoje.

Pierwszego wieczora przy kolacji Agata odesłała Willy'ego do łazienki, żeby jeszcze raz umył ręce, a kiedy próbował z nią dyskutować, Gandy przywołał go do porządku jednym krótkim „Willy!”

Malec burczał coś pod nosem, lecz po chwili wrócił do stołu z nieskazitelnie czystymi dłońmi. „Niezależnie od tego, jak dalej potoczą się sprawy, będziemy lepszymi rodzicami niż większość” — pomyślała, zerkając ukradkiem na Gan-dy'ego.

Cieszyła się tą chwilą, mężczyzną, małym chłopcem i przynależnością do zgromadzonego przy kolacji towarzystwa. Następnego ranka Agata spytała, czy może pozwolić Willy'emu pospać trochę dłużej, zamierza bowiem rozpocząć lekcje dopiero o dziesiątej; wcześniej będzie zajęta, nie ma więc sensu budzić go zbyt wcześnie, tym bardziej że na początek planuje tylko trzy godziny zajęć dziennie.

— Trzy godziny? I to wszystko? — zdziwił się Scott.

— Dla sześciolatka trzy godziny to tyle, co dla nas dwa dni. Stopniowo będę zwiększać liczbę godzin.

— Dobrze, Gussie. Rób, co uważasz za słuszne. W sobotę zwróciła się do niego z pytaniem:

— A jak będzie jutro z kościołem?

— Z kościołem? — powtórzył, zbity z tropu.

— Tak. Chyba Willy chodzi do kościoła, prawda? Gandy odchrząknął.

— No... Hmm...

— A więc nie chodzi. — Aż się skulił, widząc wyrzut w jej oczach. — Scott, nie można zaniedbywać rozwoju duchowego dziecka.

— Rzecz nie w tym, że nie chcę, żeby chodził, tylko najbliższy kościół jest w Columbus.

— A ten biały kościółek, który mijaliśmy po drodze?

— To jest kościół czarnych.

— Czarnych? To znaczy baptystów?

— No tak. Baptystów. Ale to kościół dla czarnych.

— Czy Leatrice i Ruby tam chodzą?

— Leatrice tak, Ruby nie.

— W takim razie poproszę Leatrice, żeby zabrała nas ze sobą.

— Ale, Gussie, ty nie rozumiesz...

— Przecież modlimy się do tego samego Boga. Nieważne, czy w kościele baptystów, czy w prezbiteriańskim.

— No tak. Ale to ich kościół!

— Wyrzucą mnie?

— Nie, nie wyrzucą. Rzecz w tym, że biali i czarni nie przebywają ze sobą w jednym kościele.

— Dziwne. Nie sądzisz, że to właśnie najbardziej naturalne miejsce, żeby ze sobą przebywać?

Tak więc nazajutrz Agata i Willy poszli do kościoła razem z Leatrice, Mose'em, Zachem, Bertissą i Celebe'em. Leatrice, wystrojona w jaskraworóżowy kapelusz, przedstawiła ich zebranym.

— To jest Willy, adoptowany syn pana Gandy'ego. A to panna Agata Downing z Kansas. Jest prezbiterianką, ale chciałyby się modlić razem z nami.

Prawdę rzekłszy, Gandy wcale się nie zdziwił, że Agata sobie poradziła. W końcu to właśnie kobiety jej pokroju

zdołały przekonać mieszkańców Kansas do zmiany zdania na temat prohibicji. Po powrocie zastała go rozpartego wygodnie na ławce na północnej werandzie.

— Miło było? — zapytał, wstając na jej widok.

— To śliczny kościółek. W przyszłą niedzielę koniecznie musisz z nami pójść.

Ku własnemu zdziwieniu, Gandy uznał ten pomysł za całkiem zachęcający.

Codziennie Gandy zza biurka w gabinecie spoglądał na Agatę, która pracowała w swoim pokoju, znajdującym się w przeciwnym końcu rotundy. Sam fakt, że tam jest—spokojna, godna zaufania — dawał mu ogromną satysfakcję.

Goście ją uwielbiali. Potrafiła stworzyć w Waverley ciepłą, rodzinną atmosferę, do czego pozostałe dziewczyny pomimo najlepszych chęci po prostu nie były zdolne. We wspaniałych zdobnych sukniach, z zawsze starannie uczesanymi włosami i równiutko opiłowanymi paznokciami stanowiła obraz dystynkcji, o której marzyli ich goście, rezerwując miejsca w posiadłości Waverley. Wkrótce stało się zwyczajem, że Agata wita nowo przybyłych razem ze Scottem. Wychodziła wówczas ze swojego pokoju i oboje stawali w drzwiach — nic więc dziwnego, że większość gości brała ją za żonę Scotta i tytułowała mianem pani Gandy. Za pierwszym razem Gandy zauważył, że Agata lekko się zarumieniła i posłała mu bezradne spojrzenie. Z biegiem czasu wszakże przywykła do tych pomyłek i spokojnie czekała, aż Scott wyjaśni nieporozumienie.

Willy'emu przydzieliła zadanie odprowadzania gości do pokoi, świadoma, że sam jego urok może sprawić, iż w przyszłości z chęcią wrócą do Waverley. Malec potrafił rozmawiać dosłownie z każdym i tak jak kiedyś przy pierwszym spotkaniu zdobył serce Agaty, tak teraz w ciągu paru minut zyskiwał sympatię bogatych przemysłowców i ich żon. Widząc to, Agata poszerzyła zakres jego obowiązków o oprowadzanie nowo przybyłych gości po stajniach i pobliskich terenach. Po każdej takiej wycieczce Willy dostawał napiwek. Marcus zrobił mu drewnianą skarbonkę w kształcie bandžo ze strunami tuż przy szczelinie; ilekroć Willy wrzucał monetę, rozlegał się metaliczny brzęk. Tak bardzo mu się to spodobało, że bez sprzeciwu, a wręcz z radością wrzucał do skarbonki

prawie wszystkie pieniądze. Agata przygotowała miniaturową księgę przychodów i pokazała, jak wprowadzać napiwki. Każdy wpis obejmował datę, kwotę i nazwisko osoby, która mu zapłaciła. Dopóki nie nauczy się pisać, zgodziła się wpisywać za niego nazwiska, liczby natomiast wpisywał samodzielnie. Wyjaśniła mu, że w przyszłości, kiedy dorośnie, zajmie zapewne miejsce Scotta, będzie więc musiał umieć prowadzić księgi. W ten sposób uczyła go liczyć centy i dolary, dodawać, a co najważniejsze, oszczędzać.

Edukacja Willy'ego nic ograniczała się do trzech godzin zajęć. Dobrych manier Agata uczyła go wówczas, gdy wymagała tego sytuacja. Posługiwania się miarą nauczyła go przy okazji szycia sukni ślubnej dla Jube. Marcus pokazał mu, jak należy oliwić maszynę, a na prośbę Gussie pozwolił nawet samemu popробować. Kiedy któryś z mężczyzn wybierał się na ryby, Agata wysyłała go razem z nim. Gdy Leatrice patroszyła zębacza, poprowadziła go do kuchni, żeby zobaczył, jak się to robi. A kiedy Zach podkuwał konie, Willy poznawał nazwy poszczególnych narzędzi, sposób przygotowania podkowy i dopasowania jej do kopyta.

Nauczyła go, że zabawa jest nagrodą za pracę, dbając

O takie proporcje pomiędzy nimi, żeby wyrósł z niego człowiek przedsiębiorczy i pracowity, a zarazem wesoły i towarzyski.

On również sporo ją nauczył. Opowiedział jej, jak Książę

I Cinnamon podgryzali się i bawili w berka, zanim ogier wspiał się w końcu na klacz ze swoim długim penisem sięgającym prawie do ziemi.

I o tym, że gdy któregoś dnia natknął się koło starej garbarni na Marcusa i Jube, to Jube z suknią zadartą po pas chichotała i podskakiwała jak dziki żreback.

A także o tym, że wieczorami dziewczęta zakradają się na basen i kąpią się ubrane w samą tylko bieliznę.

Agata była zgorszona i przerażona, że Willy, biegając bez nadzoru, naoglądał się w Waverley takich rzeczy.

Postanowiła więc przeprowadzić poważną rozmowę ze Scottem, on jednak po raz pierwszy nie przyznał jej racji.

— To są sprawy zupełnie naturalne, Gussie. Doprawdy nie widzę nic złego w tym, że zobaczył, jak rozmnażają się konie.

— Ależ, Scott! Przecież on ma zaledwie sześć lat.

— I wie, w jaki sposób przyroda dba o zachowanie gatunków.

— Widział też Jube i Marcusa. Czy tę lekcję również uważasz za pożyteczną?

— Owszem. Przecież oni się kochają.

Zanadto speszona, żeby spojrzeć mu w oczy, czym prędzej wyszła z gabinetu. Odtąd często zdarzało się jej nocami rozmyślać o tym, co widział Willy, kiedy siedział na parkanie wygonu i kiedy natknął się na Markusa i Jube. Myśli te budziły w niej jakiś dziwny niepokój. Robiło jej się gorąco, wstawała więc i otwierała okno; obserwując blade światło migoczące w oknach basenu, zastanawiała się, jakie to uczucie doświadczać owej nieziemskiej lekkości w samej tylko skąpej bieliźnie. Któregoś dnia, gdy na krótko przed ślubem Jube przyszła do przymiarki, Agata spytała, czy to prawda, że wieczorami chodzą się kąpać. Jube potwierdziła, Agata poprosiła więc, by następnym razem mogła do nich dołączyć.

Wybrały się tam jeszcze tego samego wieczora. W jasnych szlafrokach odznaczających się bladymi plamami na tle ciemnych magnolii sunęły aleją niczym cztery widma. Wprawdzie Agata zdawała sobie sprawę, że chodzenie boso w samej tylko bieliźnie pod cienkim szlafrokiem w żadnym wypadku nie przystoi prawdziwej damie, jednakże w swoim życiu zrobiła tak niewiele rzeczy zakazanych, że z prawdziwą przyjemnością chociaż ten jeden raz złamała zasady.

Śmiejąc się i żartując doszły do białego pawilonu i po omacku weszły do środka. Panował tam chłód, wilgotne błoto lepiło się do stóp. Po chwili stanęły na zimnych gładkich marmurowych stopniach.

— Tylko uwaga na węże wodne. Są piekielnie jadowite — straszyla Jube.

Dwa piskliwe okrzyki odbiły się od ścian i powierzchni cicho szemrzącej wody. Rozległ się trzask zapalniczki i zaraz potem zapłonęła pojedyncza lampa, rzucająca pomarańczowe światło na jeden kąt przestronnego pomieszczenia.

— Co, boicie się? — spytała Jube, rozwiązując pasek szlafroka.

Zanim zdążyła go zdjąć, Ruby wepchnęła ją do wody.

— Kto by się tam bał. Nawet jeśli były tu jakieś węże, już je wszystkie wypłoszyłaś.

Chociaż Jube aż syczała z zimna, ani trochę się nie gniewała.

— Chodź no tu, okrutna czarna kobieto, to się z tobą policzę!

Ruby roześmiała się, zdjęła szlafrok i ruszyła po marmurowych stopniach niczym naga hebanowa bogini. Zaraz za nią szła Pearl. Jube ochlapała je od stóp do głów. Tym razem to one syczały z zimna. Zanurzywszy się, wzięły na niej srogi odwet i po chwili cała trójka baraszkowała niczym rozbrykane dzieci.

Agata wchodziła do wody znacznie wolniej. Miała na sobie bawełnianą kombinację bez rękawów, zapinaną na jednym ramieniu i w kroku.

Woda była lodowata, lecz kiedy już do niej weszła, szybko się przyzwyczaiła. Tak samo jak w White Springs.

Powróciła też owa cudowna lekkość. Dziewczęta znały elementarne podstawy pływania, nauczyły ją więc kłaść się na plecach i machać nogami i rękoma tak jak ryba płetwami. I dawać nurka pod wodę. I wydychać powietrze przez nos, żeby nie wleciała do niego woda. A także zanurzać się z płucami pełnymi powietrza i czekać, aż woda uniesie ją do góry, a potem płynąć po powierzchni niczym obłok po niebie.

Przyjemność skończyła się stanowczo za szybko, lecz Agata przyrzekła sobie, że wkrótce tu wróci.

Termin ślubu Jube i Marcusa trochę się przesunął, albowiem uszycie sukni dla Jube i doprowadzenie chaty nadzorcy do stanu używalności wymagało więcej czasu, niż początkowo sądzono. Wreszcie wszystko było gotowe, a pastor z pobliskiego kościoła baptystów zgodził się poprowadzić ceremonię.

Zebrali się w salonie we wczesne pogodne popołudnie na początku kwietnia: cała rodzina Gandy'ego, goście zajmujący wszystkie trzy pokoje do wynajęcia, a także byli niewolnicy, którzy powrócili na plantację. Salon tworzył wspaniałe tło dla młodej pary. Przez wysokie zachodnie okna wpadały złociste promienie słońca i zaglądały do środka wielobarwne krzewy azalii w pełnym rozkwicie, na pianinie i stołach pyszniły się w wazonach ogromne różowe bukiety. W niszy ślubnej Jube, cała w bieli, z naręczem białych azalii związanym białą wstążką i ubrany na jasnoszaro Marcus trzymali się za ręce.

Ivory zagrał na pianinie „Sweet Is The Budding Spring of Love”, a Ruby i Pearl śpiewały na głosy. Wielebny Clarence T. Oliver wystąpił do przodu i posłał młodej parze łaskawy uśmiech. Był to mężczyzna o wrzecionowatej sylwetce, za wysoki i za chudy, na którym strój zwisał smętnie jak flaga w bezwietrzny dzień. Nosił okrągłe okulary i nawet na moment nie potrafił ustać bez ruchu. Gdy wszakże przemówił, wszyscy natychmiast o tym zapomnieli. Jego głos, niski i donośny, brzmiał niczym afrykański tam-tam. Otworzył Biblię i rozpoczęła się ceremonia.

— Zebraliśmy się tutaj...

Gandy doskonale pamiętał dzień, kiedy on i Delia słuchali w tym samym miejscu tych samych słów, promieniejąc radością, jak teraz Jube i Marcus. Ich przyszłość zdawała się być złocistym traktem, po którym mieli stąpać, ręka w rękę, ku wiecznemu szczęściu.

Jakże krótko trwało to szczęście i jak niewiele zaznał go w późniejszych latach. Zazdrościł Marcusowi i Jube, wyruszającym właśnie na wspólną drogę przez życie. On również by tego pragnął.

Willy, stojący między nim a Agatą, zaczął się wiercić. Gussie schyliła się, szepnęła coś i malec się uspokoił. Pastor zapytał, kto będzie świadkiem zawarcia związku.

— Ja — odrzekł Gandy.

— My — odparły niemal równocześnie Pearl i Ruby. Jube oświadczyła, że w żaden sposób nie potrafi wybrać jednej z nich i uparła się, żeby świadkowały obydwie. Pastor początkowo się sprzeciwiał, w końcu jednak dał za wygraną.

— Czy ty, Marcusie Charlesie Delahunt, bierzesz sobie za żonę tę oto Jubilee Ann Bright i przysięgasz jej wierność na dobre i złe, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie, aż do samej śmierci? Jeżeli tak, potwierdź swą wolę skinieniem głowy.

Marcus skinął głową, a Scott dostrzegł kątem oka, że Gussie wyjmuje z rękawa chusteczkę. Pastor zadał to samo pytanie Jube.

— Tak — odrzekła drżącym głosem.

Scott zauważył, jak Gussie ociera sobie kąciki oczu.

— W obecności tych oto świadków i w obliczu Boga ogłaszam was mężem i żoną.

Willy spojrział na Gussie i szepnął:

— Czemu płaczesz? Gandy szturchnął go w bok.

Malec zwrócił zdziwioną buzię ku Gandy'emu.

— Przecież płacze. Ale dlaczego?

Nie doczekał się wszakże odpowiedzi, albowiem Scott skoncentrował całą swą uwagę na Agacie, na jej wilgotnych od łez oczach, na grze słońca na falach jej rudawych włosów. I na jej kształtnym profilu, gdyż ani na chwilę nie odwróciła się w jego stronę. I na jej pełnych ustach, zasłoniętych częściowo chusteczką. I na oszalałym biciu swego serca.

„To my powinniśmy tam teraz stać, Gussie, Willy i ja!” — ta myśl uderzyła go nagle i niespodziewanie niczym grom z jasnego nieba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Rozmyślał przez dwa dni, oszołomiony nagłą świadomością, że Agata Downing wdarła się do jego serca — serca, które po śmierci Delii tak bardzo zobojętniało. Jakże jednak mogłoby pozostać obojętne wobec kogoś, kto wniósł w jego życie tyle szczęścia? Zanim pojawiła się Agata, nie było Willy'ego, nie było Waverley, on zaś dryfował, ciągle dryfował, szukając ukojenia w powierzchownym romansie z Jube, w surogacie rodziny, którą się otaczał na kolejnych parowcach i w barach, gdzie grał w karty, handlował alkoholem i próbował zastąpić prawdziwe szczęście życia rodzinnego sztuczną wesołością nocnych hulanek. Przez wszystkie te lata wydawało mu się, że jest szczęśliwy, i dopiero teraz zrozumiał, jak płytkie było w rzeczywistości owo szczęście. Jego „rodzina” była niczym więcej jak tylko zgrają malkontentów, poszukujących korzeni, stałości i celu życia.

Jube i Marcus znaleźli swój cel w małżeństwie; Scott był niemal pewien, że Ruby i Ivory pójdą wkrótce w ich ślady. A co z nim i Gussie? Kiedy był szczęśliwszy niż po jej przeprowadzce do Waverley? Czy ktoś uczynił więcej od niej, żeby sprowadzić go z powrotem na drogę wartości, w których został wychowany? Kiedy ostatnio dane mu było zaznać uczucia tego rodzinnego bezpieczeństwa, jakie dawała jej obecność? Jako matka dla Willy'ego, gospodyni dla gości i spokojne przeciwieństwo pozostałych dziewcząt dopełniła jego wyobrażenia o przywróceniu Waverley dawnej świetności. Dopiero po jej przyjeździe poczuł, że jest tak, jak to

sobie wyobrażał. A teraz całą duszą pragnął, żeby została na zawsze.

Chciał patrzeć, jak dzięki ich radom i kierownictwu Willy wyrasta na wesołego honorowego młodzieńca, chciał dzielić z nią sukcesy, mieć gromadkę własnych dzieci baraszkujących przed domem pośród wyniosłych pawie — gromadkę tak liczną, że w końcu trzeba będzie dobudować nowe skrzydło domu; marzył o pewności, że na starość będą razem zasypiać i budzić się i że będzie mógł podziwiać przy posiłkach jej nienaganne maniery. Pragnął, by jej wspaniałe mahoniowe włosy okryły się siwizną razem z jego, a kiedy już oboje się zestarzeją, przesiadywać z nią na ławeczce i przyglądać się wnukom karmiącym pawie.

LeMaster Scott Gandy pragnął pojąć Agatę Downing za żonę.

Najbardziej lubiła wieczory. Wieczory, kiedy dziewczęta tańczyły na trawie w krynolinach, które unosiły się na wietrze. Wieczory, kiedy wszyscy zbierali się na tylnej werandzie i popijali mrożoną whisky z miętą, podczas gdy Willy karmił pawie, a w powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy. Wieczory, kiedy wracali do jadalni i jedli kolację, prowadząc wesołe rozmowy w ciepłym żółtym świetle padającym z żyrandoli, by potem przejść do salonu, gdzie Ivory grał na pianinie, Marcus na bandžo, dziewczęta zaś śpiewały wiejskie piosenki.

Czasami tańczyły z gośćmi na starannie wypolerowanym parkiecie rotundy, pod żyrandolem, który rzucał bursztynowe światło na ich ramiona i spódnice szeleszczące niczym wysoka trawa na letnim wietrze. Później Scott i pozostali mężczyźni prosili panie do walca, a Willy siedział na schodku, grał na harmonijce i przytupywał do rytmu. Agata zerknęła wówczas znad tamborka, składała ręce na podołku i z zachwytem wpatrywała się w wirujące pary, nie mogąc powstrzymać marzeń, by pewnego dnia do nich dołączyć.

Któregoś wieczora, krótko po ślubie Jube i Marcusa, Scott stanął przed nią i uklonił się w pas.

— Czy mogę prosić do tańca, panno Downing? Serce zabiło jej jak oszalałe, szyję okrył rumieniec.

— Ale... — Żeby zachować twarz, postanowiła obrócić sprawę w żart. — To bardzo miło z pańskiej strony, sir

— odparła, mocno zaciągając i używając tamborka jako wachlarza. — Ale niestety, tyle już dziś przetańczyłam, że dosłownie nie czuję nóg.

Gandy roześmiał się i chwycił ją za rękę.

— Za nic w świecie nie przyjmę odmowy. Jej policzki zapłonęły.

— Nie, Scott — szepnęła nerwowo, wznosząc wzrok ku kopule rotundy. — Przecież dobrze wiesz, że nie umiem tańczyć.

— A skąd ta pewność? Próbowowałaś?

— Ale przecież wiesz...

— Będziemy tańczyć naprawdę powoli. — Wyjął jej z dłoni tamborek i położył na sofie. — Nic nie będzie bolało, wierz mi. Chodź.

— Proszę, Scott...

— Zaufaj mi.

Postawił ją na nogi, po czym poprowadził na środek rotundy, gdzie płaśły inne pary. Jakże była zakłopotana.

Policzki miała czerwone jak dojrzałe pomidory, rękę zaś, nieprzywykłą do pozycji wymaganej w tańcu, całkiem sztywną.

— Jedna tutaj — rzekł, kładąc sobie jej lewą dłoń na ramieniu. — A druga tutaj.—Delikatnie uniósł jej prawą rękę.

— A teraz odpręż się. Pamiętaj, nie masz niczego udowodnić, tylko po prostu się bawić.

Najpierw lekko się kołysali, a Gandy uśmiechał się do czubka jej głowy, uparcie bowiem wpatrywała się w podłogę. Chyba nigdy w życiu nie była bardziej zażenowana. Inni jednak w ogóle nie zwrócili uwagi na to, że pomiędzy nimi znalazła się kulawa kobieta.

Kiedy Gandy zrobił mały krok w lewo, Agata spóźniła się, zachwiała i żeby nie upaść, musiała się wesprzeć na jego ramieniu. Jego uścisk okazał się mocny i pewny. Zrobił krok w prawo, lecz tym razem Agata dość szybko wyczuła jego zamiary. Poza tym okazało się, że w tę stronę porusza się bez problemów. Gandy prowadził ją w tempie trzy razy wolniejszym od pozostałych par i chociaż ich taniec w niczym nie przypominał walca, jemu zdawało się to zupełnie nic przeszkadzać. Agata starała się nadażać za jego powolnym kołysaniem. Niezgrabny krok w lewo, znacznie spokojniejszy w pra-

wo. A kiedy wreszcie trochę ochłonęła i z jej policzków zniknął rumieniec, uniosła wzrok i spojrzała na Gandy'ego. Uśmiechał się łagodnie, ona więc zrobiła to samo. I nagle przestało się dla niej liczyć, że ten ich taniec nie ma nic wspólnego z prawdziwym walcem, że musi ścisnąć jego dłoń i ramię nieco mocniej niż pozostałe kobiety. Ważne było tylko to, że po raz pierwszy w życiu jest na parkiecie sali balowej. I że Scott Gandy, nie bacząc na jej ułomność, spełnił kolejne z jej najskrytszych marzeń, dając jej w ten sposób prezent cenniejszy od najwspanialszego klejnotu. Serce wypełniła jej ogromna wdzięczność, w oczach zapłonęły miłosne ogniki. Jakżeby pragnęła być sprawna i zwinna, jakżeby chciała pisać po parkiecie, śmiać się, kręcić w kółko i przechylna patrzeć, jak żyrandol wiruje ponad ich głowami. Ktoś tak piękny jak Scott Gandy zasługiwał na ideał kobiety. Było to jednak nie tylko piękno ciała, lecz również duszy. Zaliczał się do owej garstki, dla której najważniejszy jest nie wygląd, lecz charakter. Był życzliwy, szczodry, rozsądny i uczciwy. Co więcej, wszystkich mierzył tą samą miarą. Nie należał do ludzi, którzy na każdą okazję przywdziewają nową maskę. Oczekiwał, że inni będą go akceptować takim, jakim jest, właśnie dlatego że nie udaje kogoś, kim nie jest. Był pierwszą osobą, przy której Agata potrafiła się rozluźnić, przy której umiała przyznać się nie tylko do swej ułomności, lecz również do wszystkich spowodowanych nią cierpień. A on, wiedząc o tym, dał jej dwa dary, dwie wolności, których nigdy nie miała nadziei poznać: pływanie i taniec.

— Gussie, nie miałem pojęcia, że umiesz tańczyć! — krzyknął Willy ze swojego punktu obserwacyjnego na schodach.

Agata splonęła się i uśmiechnęła, tym razem nie z zakłopotaniem, ale z radości.

— Ja też nie — odparła.

— Myślisz, że ja bym też potrafił?

— Skoro ja potrafię, potrafi każdy.

Malec zbiegł ze schodów, przecisnął się między dwiema krynolinami, a Scott pochylił się i wziął go na rękę.

— Daj Gussie lewą rękę — polecił. — Nie tak, dłonią do góry.

Willy zrobił, co mu kazano, a Agata położyła swoją dłoń na jego. Scott objął ją w pasie i zaczęli tańczyć: Willy roześmiany, Agata promieniejąca, Scott wyraźnie zadowolony.

„Tak właśnie powinno być — pomyślała.” Wszyscy troje razem. Napawała się tymi szczęśliwymi chwilami, starając się je dokładnie zapamiętać, żeby w przyszłości mieć co wspominać. Ciepła dłoń Scotta na jej plecach, prężne ramię pod jej dłonią, radosny uśmiech Willy'ego, wilgotna rączka przykryta jej dłonią, bursztynowe światło rozjaśniające twarz Scotta, dołeczki w jego policzkach, ciemne wesołe oczy.

Po skończonym tańcu poszła na górę ułożyć Willy'ego do snu. Był to jedyny raz w ciągu całego dnia, kiedy musiała pokonywać schody. Willy oczekiwał tego od niej, jej zaś sprawiało to przyjemność. Podała mu piżamę, przygotowała bieliznę i koszulę na następny dzień, a potem patrzyła, jak starannie składa spodnie, dokładnie tak jak go nauczyła. Kiedy się przebierał, podeszła do toaletki, gdzie leżały rzeczy Scotta. Nucąc melodię, przy której tańczyli, podniosła szczotkę, przejechała kciukiem po włosiu, a potem delikatnie, na tyle, na ile pozwalała jej fryzura, przeczesała nią włosy.

— Pomóc ci w czymś?

Szczotka wypadła jej z ręki i z hukiem uderzyła o blat. Oparty o framugę Scott powiódł leniwym wzrokiem od spłonionej Agaty do szczotki i z powrotem. Jego dołeczki wydawały się równie głębokie jak pikowanie szezlonga. Nigdy wcześniej nie zaglądał do pokoju, kiedy Agata kładła Willy'ego spać. Na ogół to Willy zbiegał do jego gabinetu, żeby powiedzieć mu dobranoc, napić się wody i jak najbardziej odwlec moment wieczornego spoczynku. Wówczas Agata wychodziła z pokoju, wołała: „Co ty tam jeszcze robisz?” i chwilę później Willy z cierpiętniczą miną zaczynał wspinać się po schodach. Po raz ostatni strzepywała mu poduszkę, całowała na dobranoc, zakładała moskitierę i gasiła światło, po czym udawała się do siebie. Kiedy mijała gabinet, Scott zawsze tam był. A kiedy się odwracała, żeby zasunąć drzwi, widziała, że ją obserwuje, paląc cygaro albo bawiąc się piórem.

— Dobranoc — mówiła.

— Dobranoc — odpowiadał.

A później rozdzielały ich drzwi.

Tego wieczora wszakże Scott pofatygował się do pokoju Willy'ego, poprawił moskitierę i usiadł na brzegu łóżka.

— Dobranoc, szkrabie — rzekł. Willy rzucił mu się w objęcia i dał ogromnego buziaka.

— Lubię tańczyć! — oświadczył malec. Scott roześmiał się i zmierzwił mu włosy.

— Tak ci się spodobało?

— Jutro też będziemy?

— Jeżeli Gussie zechce.

— Zechce. Prawda, Gussie?

Scott, wciąż tak samo uśmiechnięty, uważnie przyjrzał się Agacie, jej zaś po udach przeszedł dziwny dreszcz.

— Oczywiście. — Czym prędzej skupiła uwagę na Wil-lym. — A teraz, młody człowieku, czas się kłaść.

— Najpierw buzi — zażądał Willy, klęcząc obok Scotta i wyciągając do niej ramiona.

Pochylając się nad nim, oparła się nogą o kolano Scotta, falbaną spódnicy przykrywając nogawkę jego spodni.

Niepokojący dreszcz jeszcze się wzmógł. W końcu Willy się położył. Kiedy patrzyła, jak Scott zapina moskitierę, przed oczyma stanął jej obraz tyleż wyraźny, co nieprawdopodobny: że Willy jest ich, że całują go na dobranoc, a potem Scott bierze ją za rękę i prowadzi po kroksztynowym balkonie do sypialni państwa domu. Tam ona rozpuszcza włosy, rozczesuje je wspólną szczotką, wkłada cienką batystową koszulę nocną z koronkową wstawką i spogląda w drugi koniec pokoju, skąd on, powoli się rozbierając, obserwuje każdy jej ruch. Chwilę później spotykają się na ogromnym łożu z baldachimem, tym samym, na którym Scott został poczęty, on mówi „Nareszcie” i robią to, co zdaniem Violet powinno być udziałem każdej kobiety.

W rzeczywistości jednak zesli razem po schodach, przy czym Scott dostosował się do tempa Agaty, stawiając jeden krok na jej półtora. Na dole on skręcił do gabinetu, ona natomiast do swojego pokoju. Zasuważąc drzwi, Agata zobaczyła, że Scott zatrzymał się w progu i znowu się jej przygląda.

— Tak? — spytała.

— Powiedz, czy kiedy kładziesz się tak wcześnie, od razu zasypiasz?

— Czasami. Ale nie zawsze.

— To co wtedy robisz?

— Czytam. Albo szyję. Światło w Waverley jest tak doskonałe, że nawet o tej porze to prawdziwa przyjemność.

— Ja przed jedenastą raczej się nie kładę, bo i tak nie mogę zasnąć.

— Aha. — Sztywna niczym manekin, zadawała sobie pytanie, czy w drugim końcu rotundy Scott zauważył jej przyspieszone tętno.

— Jesteś śpiąca?

— Ani trochę.

— To może zajrzyć do mnie na chwilę? Moglibyśmy porozmawiać.

Jak w przeszłości na schodach, kiedy towarzyszyło im wycie kojotów. Ile razy o tym marzyła? Jak długo czekała?

— Chętnie.

Cofnął się i puścił ją przed sobą. Przez cały czas, kiedy obchodziła gabinet, oglądając meble, portret jego rodziców na ścianie i komplet glinianych fajek w jednym z kredensów, czuła na plecach jego spojrzenie. Usłyszała odgłos zamykanej kasetki od cygara, i trzask zapalanej zapałki. Jeszcze zanim się odwróciła, owionął ją zapach tytoniu.

— Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli naleję sobie kropelkę brandy?

— Nie, ależ skąd.

— Usiądź, Gussie.

Wybrała duży fotel w kolorze morskiej piany, Scott zaś, napelniwszy szklaneczkę, usiadł na skórzanym krześle o niecałe trzy stopy od niej, poluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk.

— Od twojego przyjazdu Willy zrobił ogromne postępy.

— Chciałam ci właśnie podziękować, że pozwoliłeś mi sprawować nad nim pieczę. To chyba dobrze, że wie, czyje polecenia ma wykonywać.

— Nie ma za co dziękować, Gussie. Moim zdaniem to zupełnie naturalne.

— Jest bardzo bystry i szybko się uczy.

— Tak, ostatnio przychodzi tutaj, staje mi za plecami, zagląda przez ramię i czyta na głos.

— Lubi się popisywać, prawda? — roześmiała się cicho. Gandy również się roześmiał. Ten temat był wyczerpany.

— Marcus i Jube wyglądają na bardzo szczęśliwych.

— Była to pierwsza sprawa, jaka przysła jej do głowy.

— Tak. Bardzo.

— A ty? Co ty na to?

— Co ja na to?

Jakie licha ją podkusiło, żeby o to zapytać? To prawda, wiele razy się nad tym zastanawiała, niemniej powinna była trzymać język za zębami.

— To znaczy... no... chodzi mi o to, że Jube była...

— Zamilkła.

— Była ze mną, a teraz jest z Marcusem? Nie, to mi nie przeszkadza. A co ty na to?

— Ja?! — Utkwiła w niego zdziwione spojrzenie, on zaś spokojnie łyknął odrobinę brandy.

— Tak.

— Nie... nie bardzo wiem, co masz na myśli.

Przez kilka sekund nie odrywał od niej oczu, lekko przy tym marszcząc brwi. Potem spojrzał, w bok i strzepnął do popielniczki popiół z cygara.

— Nieważne. Porozmawiajmy na tematy mniej kłopotliwe. Na przykład o bawelnie. Widziałaś bawełnę? Sięga mi już do kolan.

— Nie, w tamtą stronę jeszcze się nie wybrałam.

— Powinnaś się tam przejść. Albo, jeśli wolisz, pojechać konno. Czy po przyjeździe tutaj jeździłaś już konno?

— Nie. Nigdy nie jeździłam. Nigdy w życiu.

— Powinnaś spróbować.

— Nie sędzę, żebym była w stanie.

— To samo mówiłaś, kiedy poprosiłem cię do tańca. A jednak sobie poradziłaś.

— Oboje wiemy, że to niewiele miało wspólnego z tańcem. Ale i tak miło z twojej strony, że pozwoliłeś mi poudawać. — Miło? — Przyglądał się jej bez zmrużenia oka. — A nie przyszło ci do głowy, że po prostu chciałem z tobą zatańczyć?

Nie przyszło. Była przekonana, że zrobił to, aby sprawić przyjemność jej, nie sobie.

Otworzyły się drzwi i weszli goście, magnat kolejowy pan DuFrayne z Colorado Springs wraz z małżonką.

— Byliśmy na spacerze. Wspaniały wieczór — odezwał się Jesse DuFrayne, kiedy mijali gabinet Gandy'ego.

— Tak, rzeczywiście — zgodził się Gandy.

— A w powietrzu unosi się piękny zapach — dodała Abigail DuFrayne. — Co to takiego?

— Jaśmin — wyjaśniła Agata. — Dla mnie to również coś nowego. Jest wspaniały, prawda?

— Wszystko tutaj jest wspaniałe. Mówiłam już Jessowi, że musimy przyjeżdżać tu co roku.

Spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się do męża, a Gussie poczuła ukłucie zazdrości, kiedy ten, gładząc ją po plecach, odwzajemnił uśmiech, jakby nagle cały świat przestał się dla niego liczyć. Oczekiwali pierwszego dziecka, lecz przez cały czas zachowywali się jak młodożeńcy.

„Gdyby Scott należał do mnie — pomyślała Agata — traktowałabym go dokładnie tak, jak pani DuFrayne traktuje swojego męża.”

— Dobranoc — rzekła Abigail DuFrayne.

— Dobranoc — odpowiedzieli równocześnie Agata i Gandy, a tamci chwycili się za ręce i ruszyli po schodach.

Oboje wiedzieli, że państwo DuFrayne to ostatni spośród gości, którzy jeszcze nie śpią i że tego wieczora już nikt nie będzie kręcił się po korytarzu. Po ich odejściu w gabinecie zapanowała głucha cisza.

Scott dopił brandy i zgasił cygaro.

— No cóż, na mnie już chyba też pora — przesunęła się na brzeg fotela Agata.

— Chwileczkę — powstrzymał ją, gdy zaczęła wstawać. — Jeszcze jedno.

Stanął przed fotelem, oparł dłonie o poręcze, pochylił się i spokojnie ją pocałował. Była tak zaskoczona, że nie zdążyła nawet zamknąć oczu. On zamknął. Drapał ją wąsem, a smakującym nikotyną językiem przez chwilę pieścił jej usta. Poza tym, dotykał ją jedynie kolanami. Był to pocałunek długi, lecz bardzo delikatny. Kiedy się skończył, Agata siedziała bez ruchu, zupełnie oniemiała.

Gandy splótł ramiona i spojrzał w jej jasne oczy.

— Śpij dobrze, Gussie — rzekł, wyprostował się i odprowadził ją do drzwi.

Idąc do siebie, Agata najpierw, zmagając się z pragnieniem, żeby dotknąć swych ust, potem z jeszcze silniejszym, żeby zawrócić po więcej. W progu raz jeszcze na niego spojrzała, po

czym bez słowa weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi i czekała, aż ogarną ją kolejne fale szoku. Oparła się o drzwi i próbowała zrozumieć, co też mu strzeliło do głowy, żeby zrobić coś takiego i na dodatek w taki sposób. „Moment. Jeszcze jedno.” Powiedział to tak, jakby na chwilę przed wyjazdem do miasta chciał jej przypomnieć, żeby nie zapomniała kupić ostatniej pozycji z przygotowanej listy. Utkwiła wzrok w sufit, położyła dłonie na oszalałym sercu i cicho się roześmiała. Czy tak właśnie wyglądają zaloty? A może raczej próba uwiedzenia? Zresztą czy miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie, co to takiego?

Obudziła się radosna i podekscytowana, ubrała się i uczesała starannie niż zazwyczaj, po czym weszła do jadalni, gdzie usłyszała, że Scott wyjechał i nie będzie go przez dwa tygodnie. Pojechał do Kentucky kupić konie.

Na czternaście dni! Do Kentucky!

Nagle świat wydał się jej smutny i pusty.

Miała wrażenie, że te dwa tygodnie nigdy nie miną. Wieczorem trzynastego dnia umyła włosy i spłukała wodą z octem, a rano upięła je wysoko i włożyła zieloną suknię, na której tle jej oczy wydawały się jaśniejsze, brwi dłuższe, mahoniowy odcień włosów głębszy, a cera gładza.

Za każdym razem, kiedy drzwi się otwierały, serce zaczynało walić jej jak oszalałe, a krew szybciej płynęła w żyłach.

On wszakże nie przyjechał.

Cały ten rytuał powtórzył się następnego dnia, wieczorem Agata położyła się spać zniechęcona i pełna najgorszych obaw.

Szesnastego dnia włożyła prostą szarą suknię z białym kołnierzykiem, postanowiła bowiem pójść z Willym do ogrodu i przy okazji zbierania ziół dla Leatrice nauczyć go je rozpoznawać. W nocy padał deszcz, a ona zapomniała kapelusza. Słońce prażyło niemiłosiernie, było duszno i wilgotno, tak więc już po chwili czoło Agaty było mokre od potu, co natychmiast przyciągnęło rój much. Odgarniając jedną z nich, zahaczyła guzikiem mankietu o starannie upięte włosy i wyciągnęła kosmyk, który od tej pory co chwila opadał jej na policzek.

W takim oto stanie zastał ją Gandy. Siedziała pomiędzy rzędami bazylii i żywokostu na krzeselku do pielienia, z ciem-

nymi plamami potu pod pachami, rozwichrzonymi włosami, brudną twarzą i płaskim koszem na kolanach. Ogród znajdował się po przeciwnej stronie domu aniżeli podjazd, dlatego aż do chwili kiedy padł na nią cień Scotta, nie miała pojęcia, że wrócił.

— Dzień dobry.

Ujrzawszy go stojącego z rękoma na biodrach i lekko zgiętym kolanem, poczuła w okolicach serca dobrze już znajome trzęsienie ziemi.

— Dzień dobry — zdołała z siebie wydusić, zasłaniając się przed słońcem. — Wróciłeś.

— Tęskniłem za tobą — oświadczył bez zbędnych wstępów. Zarumieniła się i poczuła, jak pot spływa jej po bokach. Była zła, że nie może zanurzyć się w basenie, a ze Scottem spotkać się dopiero wówczas, gdy będzie wyglądała tak, jak przez poprzednie dwa dni.

— Spóźniłeś się o dwa dni.

— Liczyłaś?

— Tak. Martwiłam się o ciebie.

— Cześć, Scotty! — przerwał im Willy. — Uczymy się o ziołach.

Gandy czule pogładził go po głowie, lecz ani na chwilę nie odrywał wzroku od Agaty.

— Ziołach?

— Aha.

Scott przyklęknął, zgiętym palcem ujął Agatę pod brodę i kciukiem starł jej z policzka brud, po czym złożył na jej ustach delikatny krótki pocałunek. Dookoła nich nad parującą ziemią unosił się zmieszany aromat pietruszki, arcydzięgla, skalnicy i mięty.

— Przywiozłem ci coś — rzekł cicho. Willy stał obok, uważnie ich obserwując.

— Mnie? — wyszeptwała.

— Tak. Najspokojniejszego konia, jakiego udało mi się znaleźć. To klacz. Nazywa się Pansy i jestem pewien, że ci się spodoba. Czy zioła mogą trochę zaczekać? — Skinęła głową, podczas gdy Scott nadal gładził jej policzek. — No to chodźmy. Koniecznie musisz ją zobaczyć.

Tak oto spełnił jej trzy, zdawałoby się nierealne marzenia, z których zwierzyła mu się na schodach w Kansas. Agata

okazała się fatalnym jeźdźcem, była sztywna i przerażona. On jednak posadził ją w siodle i prowadząc Pansy po okólniku, uczył, jak się rozluźnić i czerpać przyjemność ze spokojnego chodu klaczy. Po pewnym czasie sama chwyciła wodze i ruszyła stępą za ogierem Scotta, najpierw przez gaj leszczynowy, później po porośniętej trawie między dawnego pola bawełny, wreszcie ścieżką w cieniu dzikich magnolii nad rzekę, gdzie zatrzymali się, żeby napoić konie.

Skończył się maj, zaczął czerwiec, a ich przejażdżki stały się codziennym rytuałem, jednakże przelotne pocałunki więcej się nie powtórzyły i Agata zaczęła się zastanawiać, dokąd właściwie Scott ją prowadzi.

Czerwiec był senny i parny.

Któregoś ranka Gandy wziął kosę, żeby oczyścić pobliskie ścieżki, zdążył bowiem zapomnieć, że w lecie winorośl kudzu rośnie w takim tempie, że potrafi zadusić cały ogród w ciągu zaledwie kilku dni. W lesie, jeśli się go regularnie nie wycina, zielsko porasta dosłownie wszystko.

Jadąc na Księciu z drzewcem kosy na udach, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł kark. Pot spływał mu po plecach, spodnie kleiły się do ud. Na głowie miał czarny kapelusz z szerokim rondem i grubą, przesiąkniętą potem wstęgą. Jak na czerwiec było piekielnie gorąco. Zostawił Księcia przy korycie z wodą, sam zaś poszedł do lodowni. Po drodze zerknął na termometr. Dziewięćdziesiąt dwa stopnie, a przecież jeszcze nie minęła jedenasta. Zszedł po pięciu stopniach, prowadzących do kamiennej piwniczki. Z drewnianej framugi wyciągnął oskard. W środku było ciemno, zimno i pachniało trocinami. Odgarnął na bok wióry, odłupał sobie spory kawałek lodu, po czym wrócił na oślepiające słońce. Wbił oskard z powrotem we framugę i ruszył po schodach, przeskakując po dwa na raz. Na górze omal nie przewrócił Agaty.

— Gussie — rzekł, pomagając jej odzyskać równowagę. — Nie widziałem cię.

— Bo wcale nie patrzyłeś.

Uśmiechnął się do niej spod szerokiego ronda najbrudniejszego kapelusza, w jakim kiedykolwiek go widziała, ona zaś odwzajemniła się tym samym spod ronda prostego słomianego kapelusza przeciwsłonecznego.

— Przepraszam. Nic ci się nie stało?

— Nic.

— Przyszłaś tu po to samo co ja?

— Potrzebuję odrobiny chłodu. Dobry Boże, ależ gorąco. — Chwyciła suknię, jakby chciała odkleić ją od piersi.

— To Południe, Gussie. Tutaj zawsze tak jest. — Nagle wcisnął jej w rękę swój kawałek lodu. — Potrzyj, to zejść na dół i też ci przyniosę. — Ręce miał niezbyt czyste, a kiedy się odwrócił, w nozdrza uderzył ją ostry zapach potu, w połowie męskiego, w połowie końskiego. Kiedy wyrwał oskard z framugi, dostrzegła pod pachami i na piersiach jego luźnej koszuli ciemne plamy potu. Przez ponad rok ich znajomości nigdy nie widziała go tak brudnego. To, że patrzy na niego w takim właśnie stanie, wydawało jej się czymś bardzo intymnym i natychmiast poczuła, jak w jej wnętrzu dzieje się coś dziwnego. Rozległo się kilka rytmicznych uderzeń, po czym Scott wyłonił się z ciemności, raz jeszcze wbił oskard we framugę i zamknął drzwi.

— Proszę, trafił ci się bardzo spiczasty. Będzie ci się dobrze ssało.

Wymienili się kawałkami lodu. Ręce Scotta nie były ani odrobinę czystsze niż przedtem, twarz zresztą też. Lśniła od potu, a w zmarszczkach i kącikach oczu zebrał się brud. Gandy nie próbował się tłumaczyć, tylko włożył w usta odzyskany kawałek lodu, który topił mu się między palcami. Przyglądała się zafascynowana, nie odrywając wzroku od sztywnych czarnych włosów na jego torsie, na które kapwały krople wody z jego lodu. Z wrażenia całkiem zapomniała

O swoim.

Scott przestał na chwilę ssać, otarł usta wierzchem dłoni

I rzekł:

— Śmiało. Jest naprawdę dobry.

Polizła i do ust dostało się jej trochę wiórów.

— Odrobina trocin jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła — roześmiał się Scott, kiedy je wypluła.

Ponownie polizła lód i uśmiechnęła się.

— No dobrze — oznajmił nagle. — Idę zobaczyć, czy Leatrice nie ma trochę zimnej herbaty. Do zobaczenia na obiedzie.

Pocałował ją w usta jeszcze bardziej niezobowiązująco niż przy poprzednich dwóch okazjach. Przejechał zimnym języ-

kiem po jej wargach, po czym obsunąwszy się, lekko go wystawił i z samego czubka zdjął maleńki drewniany wiórek.

— Przepraszam — rzekł z szerokim uśmiechem. Zaloty czy raczej próba uwiedzenia? Jego zachowanie nie pasowało ani do jednego, ani do drugiego, lecz szansa na niespodziewany pocałunek sprawiała, że ilekroć byli tylko we dwoje, krew w jej żyłach zaczynała płynąć szybciej.

Gandy odnalazł Leatrice w kuchni. Siedziała z Mose'em, paliła fajkę i łuskała kukurydzę. Musiało tam być przynajmniej sto pięć stopni.

— Na Boga, kobieto, chcesz umrzeć na udar?

— Udar nie jest nawet w połowie tak straszny jak to, o czym dowiedziałam się od Mose'a. Powiedz mu, Mose.

Mose milczał jak kamień.

— Co takiego?

— Na basenie są duchy — oświadczyła Leatrice, zbyt niecierpliwa, żeby czekać, aż Mose raczy przemówić.

— Na basenie?!

— Mose je widział. Niosły latarnie i polowały na ludzi, żeby ich wciągnąć pod wodę.

— O czym ona mówi?

— Widziałem je. Późno w nocy, jak wszyscy w domu już spali, paliło się tam światło. Szły, przezroczyście jak mgła na bagnach, wszystkie całkiem białe. Nie miały żadnego kształtu.

i słyszałem ich śmiech. Skrzeczały jak sówki.

— Przecież to nonsens.

— Mose je widział.

— Widziałem. Przyszły od strony cmentarza.

— Jeszcze niedawno twierdziłaś, że są w domu, ale jak dotąd żadnego nie widziałaś.

— Bo noszę asefetydę. Tylko dlatego.

— Może się przeniosły — dodał Mose. — W domu jest za dużo ludzi, no to się przeniosły na basen.

Być może. Rzeczywiście, upłynęło już trochę czasu, odkąd Gandy po raz ostatni miał w domu do czynienia z nadprzyrodzonymi zjawiskami.

Przypomniawszy sobie o tym następnej nocy, bezskutecznie usiłując zasnąć. Willy wiercił się i Scott marzył o własnym pokoju, tylko że wówczas mieliby mniej miejsca dla gości.

Mimo późnej pory było bardzo duszno. Cała pościel zwilgotniała, a moskitiera zdawała się zatrzymywać wszelki ruch powietrza.

Scott wstał, włożył spodnie, wyjął z kieszeni surduta cygaro i na bosaka wyszedł na werandę. Oparł nogę o balustradę i zapalił, wspominając ową noc w Proffitt, kiedy siedzieli z Agatą na ciasnych schodach. Dobry Boże, wydawało mu się, że od tamtej nocy upłynęły całe wieki, tymczasem nie minął nawet rok. Było to przecież w sierpniu. W sierpniu albo we wrześniu. I wyły kojoty.

Rozległo się pohukiwanie sowy i Gandy uniósł głowę.

Po drugiej stronie drogi migotało światło.

Zestawił nogę z balustrady i wyjął cygaro z ust. Duchy? Czyżby Mose i Leatrice znowu mieli rację?

Chwilę później był na dole. Dopiero kiedy z szuflady biurka wziął pistolet, uświadomił sobie, że nie jest to chyba najskuteczniejsza broń przeciwko duchom. Mimo to na wszelki wypadek zabrał go ze sobą — nie miał w końcu żadnej pewności, na kogo natknie się na basenie.

Na dworze był taki sam ukrop jak w domu. Powietrze gęste i nieruchome. Znad rzeki dochodziła pełna gama żabich głosów, od cienkich pisków rzekotek do basowego rechotu wielkich ropuch. Idąc boso po wilgotnej trawie, Gandy rozdeptał ślimaka. Zaklął pod nosem i ruszył dalej. Światło nie gasło. Widział teraz, że rzeczywiście pali się ono w oknie basenu.

Z bronią gotową do strzału ostrożnie podszedł do drzwi, dotykając plecami chłodnych desek pawilonu.

Przez chwilę nasłuchiwał. Brzmiało to tak, jakby ktoś pływał. Żadnych głosów, żadnych innych ruchów, jedynie cichy plusk wody.

Już rozluźniony, stanął w oświetlonych drzwiach. Opuścił dłoń z pistoletem i uspokoił oddech. Rzeczywiście, ktoś pływał. Kobieta, ubrana jedynie w białą kombinację. Nic miała pojęcia o jego obecności. Powoli, lecz bez wysiłku płynęła na brzuchu, kierując się ku przeciwległemu końcowi. Gandy podszedł do stojącej na marmurowych stopniach lampy i spokojnie czekał. Kiedy pływaczka dotarła do brzegu, zanurkowała, wypłynęła twarzą do góry, po czym na plecach ruszyła w jego stronę.

— A więc to jest nasz duch — odezwał się, gdy była prawie przy nim.

Agata podskoczyła, stanęła na dnie i wytrzeszczyła na niego oczy.

— Scott! Co ty tu robisz? — Skrzyżowała ręce na piersiach i schowała się pod powierzchnię wody. Scott stał na szeroko rozstawionych nogach, ubrany jedynie w czarne spodnie, z pistoletem w dłoni i wściekłą miną. Z twarzą podświetloną od dołu wyglądał demonicznie.

— Ja? A co, do diabła, ty tutaj robisz? I to w samym środku nocy!

Wyjęła z wody jedną rękę i nerwowo przyglądała włosy.

— Czy nic wolno mi tutaj przychodzić?

— Na litość boską, Oussie! Przecież w wodzie mogą być węże. Albo mógł cię złapać skurcz. — Wymachiwał gwałtownie bronią. — I co wtedy? Kto by usłyszał twoje wołanie o pomoc?

— Nie wiedziałam, ic będziesz się gniewał.

— Wcale się nie gniewami

— Ale krzyczysz.

Ściszył głos o pół tonu, za to chwycił się pod boki.

— To był idiotyczny pomysł, Gussie. Poza tym nie podoba mi się, że przychodzisz tu sama.

— Nie zawsze jestem sama. Czasami przychodzę z dziewczętami.

— No tak, z dziewczętami. Wiedziałem, że to ich pomysł.

— Nauczyły mnie pływać, Scott. Trochę zmiękł.

— To akurat widzę.

— Było okropnie duszno. Nie mogłam zasnąć.

On również. W końcu właśnie dlatego wyszedł na werandę.

— A czy od tej lodowatej wody nie boli cię biodro?

— Czasami. Kiedy wchodzę. Ale odkąd przychodzę tu regularnie, czuję, że jest coraz lepiej.

— Odkąd przychodzisz regularnie? To znaczy od kiedy?

— Zaczęłam prawie zaraz po przyjeździe.

— Ale dlaczego w nocy? Czemu nie w dzień? Mocniej splotła ramiona, dłonie kładąc na obojczyku,

i odwróciła wzrok. Z jej włosów spływały strumyki wody, na suficie promienie odbitego światła tańczyły niczym świetliki.

Scott spojrział pod wodę, lecz nogi Agaty były zaledwie niewyraźną plamą.

— No więc?

— My... — Umilkła.

— Gussie, nie chodzi mi o to, że pływasz w basenie, tylko o to, że robisz to w nocy, kiedy jest to niebezpieczne.

— W dzień kręcą się tu goście, a my nie mamy odpowiednich kostiumów, więc... — Znowu przerwała, za to odważyła się spojrzeć mu w oczy.

— Rozumiem.

— Proszę cię, Scott. To nieprzyzwoite, że tutaj jesteś. Zaraz wyjdę z wody, ale ty idź najpierw do domu.

Zamoczył palec w wodzie.

— Mam lepszy pomysł — oświadczył. — Może też się wykąpie? Jest tak gorąco, a ja nie mogłem zasnąć. Taaak, dobrze mi robi, jeśli się trochę opłuczę.

Zanim Agata zdążyła zaprotestować, położył broń na schodku i zaczął się zanurzać.

— Scott! — krzyknęła Agata.

On wszakże w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Zanurkował i wypłynął na powierzchnię niecałe dziesięć stóp od niej.

— Brr!

Roześmiała się, lecz nie ruszyła z miejsca, podczas gdy on, płynąc potężnym kraulem, zbliżał się do przeciwległego boku basenu. Zawrócił, po czym minął ją, nawet się nie zatrzymując. Zaczynając trzecią rundę, powiedział:

— No już, Gussie, płyn ze mną.

— Mówiłam ci, nie jestem odpowiednio ubrana.

— Ech tam, do diabła, w końcu widziałem cię już w nocnej koszuli. — Znowu zawrócił, zostawiając ją za plecami, całkiem zaabsorbowany pływaniem. Pływał przy ścianie basenu, a Gussie doszła do wniosku, że skoro on pływa po jednej stronie, ona zajmie drugą.

Przez następne dziesięć minut, kiedy oboje pływali tam i z powrotem, z wody sterczała jedynie jej głowa.

Właśnie płynęła niespiesznie na brzuchu, kiedy Scott wynurzył się tuż obok niczym żółw.

— Masz już dość? — spytał, uśmiechając się.

— Tak — odparła, zasłaniając się ramionami. — Powoli robi mi się zimno.

— W takim razie chodź. Odprowadzę cię do domu. Chwycił ją za nadgarstek i zaczął holować w stronę marmurowych stopni.

— Scott!

— Czy wiesz, ile razy powtórzyłaś moje imię, odkąd tutaj przyszedłem?

— Puść mnie!

Zamiast posłuchać, wziął ją na ręce i wniósł po marmurowych stopniach na brzeg, gdzie postawił ją na nogi. Trzęsła się z zimna, odziana w skrawek białego materiału, który zmoczony zrobił się całkiem przezroczysty. Gandy zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnął się z uznaniem.

— Odwróć się — obiecał. Rzeczywiście dotrzymał słowa, podczas gdy ona pośpiesznie wytarłszy twarz i ramiona, okryła się szlafrokiem.

Otrzeptał się i zaczął wycierać gołymi rękoma.

— Proszę, wytrzymaj się, zanim zawinę w niego włosy. Spojrzał przez ramię i wziął ręcznik.

— Dzięki.

Obserwowała ukradkiem, jak pobieżnie wyciera nagie ciało i włosy, które po potraktowaniu ręcznikiem sterczały mu we wszystkie strony.

„Mężczyźni w sprawach toalety są zdecydowanie bardziej niedbali” pomyślała rozbawiona.

Gandy oddał jej ręcznik jednym ruchem dłoni przyglądził włosy, raz jeszcze się otrząsnął, po czym posłał Agacie wesoły uśmiech.

— Nigdy dotąd nie widziałem cię z mokrymi włosami. Słowa te bardzo ją onieśmieliły. Pochyliwszy się, owinęła ręcznik dookoła głowy, końce zaś związała na karku.

Scott raz jeszcze zmierzył ją wzrokiem, po czym podniósł z ziemi pistolet i lampę.

— Gotowa?

Skinęła głową i ruszyła do wyjścia. Po drodze do domu rzekł:

— Leatrice bierze was za duchy. Mose zobaczył światło i słyszał wasz śmiech. Powiedział Leatrice, że basen jest nawiedzony.

— To znaczy, że muszę przestać tam chodzić?

— W nocy raczej tak. Ale możemy zarezerwować dla was trochę czasu w ciągu dnia. Będziecie wtedy miały basen tylko dla siebie.

— Naprawdę?

— A czemuż by nie? Wolę, żebyście kąpały się w ciągu dnia, a nie po zmierzchu. Posłuchaj tylko tych żab. Resztę drogi pokonali w milczeniu, zasłuchani w kumkający chór. Cienki sierp księżyca oświetlał drogę, która w jego promieniach wyglądała jak ciemnoszara wstęga. Z ogrodu dochodziła woń rozkwitających nocą kwiatów. Kiedy przechodzili pod rozłożystą magnolią, Agata spojrzała na jej gałęzie, oświetlone z dołu przez latarnię. Wszedłszy pomiędzy bukszpany, ponownie znaleźli się w bladym świetle księżyca. Ich kroki na drewnianej podłodze werandy zabrzmiały jak uderzenia w bęben, szerokie drzwi na naoliwionych zawiasach otworzyły się gładko i bezgłośnie.

Mroczna rotunda pochłoneła niemal całe światło małej lampy, zostawiając jedynie niewielki jasny krąg na podłodze. Zatrzymali się koło uchylonych drzwi sypialni Agaty. Odwróciła się i uniosła twarz, krzyżując ramiona na piersiach.

— No to dobranoc — rzekła, nie mając żadnego pomysłu, jak go zatrzymać.

— Dobranoc — odparł.

Żadne z nich się nie poruszyło. Agata czuła, jak pod nadgarstkiem wali jej serce, a po wewnętrznej stronie ud spływają strużki ciepłej wody, tworząc powoli kałużę na podłodze.

Jej twarz, otoczona białym turbanem z ręcznika, wyglądała prześlicznie. Gandy był świadomy, że jej szlafrok jest przemoczony wszędzie tam, gdzie styka się z bielizną, że jemu spodnie lepią się do ciała, a pod stopami powstaje coraz większa kałuża, która powoli rozlewa się na pastowanej podłodze, żeby w końcu połączyć się z kałużą Agaty. On pragnął tego samego: połączyć się z nią, zlać w jedno.

Jego wzrok spoczął na jej szyi, gdzie dostrzegł tętnicę pulsującą znacznie szybciej niż normalnie. Z nim było dokładnie tak samo.

— Miło było — wyszeptała.

— Naprawdę? — odrzekł, unosząc lampę, w której świetle ich twarze nabrały barwy dojrzałej moreli. Wpatrywał się w jej

oczy, szeroko otwarte, niepewne, zdając sobie sprawę, że taka sytuacja musi ją przerażać, że jej obronna postawa to rezultat wielu lat życia pod rządami surowych norm moralnych.

„Daj mi jakiś sygnał, Gussie, pomyślał. Stoisz jak Joanna d'Arc, czekająca, aż kat podpali stos.”

Jednakże żaden sygnał nie nadchodził. Wpatrując się w niego oczyma jasnymi i przezroczystymi jak oliwiny, sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej. Kropla wody kapnęła z jego zmierzwionej czupryny na nagi obojczyk. Agata śledziła wzrokiem, jak spływa niżej i zatrzymuje się na sztywnych włosach jego torsu. Kiedy przełknęła ślinę, siła grawitacji, która pchała go ku niej, stała się zbyt potężna, by mógł się jej dłużej opierać.

Chwyił Agatę za ręce i odciągnął je od piersi.

Uniosła wzrok.

— Po... powinnam... — wyszeptała i umilkła. Pochylił się i pocałował jej otwarte usta, chłodne jeszcze od wody. Kiedy dotknął ich językiem, odpowiedziała nieśmiało, bojaźliwie, lecz zachęcająco. Wprostował się i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, szukając wzajemności i znajdując ją.

Delikatnie oswobodziła nadgarstki z jego uścisku, a potem z wyrachowaną powolnością położyła mu ręce na ramionach, patrząc na nie tak, jakby sam ich widok napawał ją grozą.

Scott stał bez ruchu czekając, aż przybierze najwygodniejszą pozę.

— Boisz się mnie? — szepnął.

— Nie—odparła i żeby to udowodnić, wspięła się na palce po drugi, znacznie dłuższy pocałunek. Oparła łokcie o jego tors, a kiedy ich usta się rozłączyły, pozostała w tej pozycji z zamkniętymi oczyma oddychając tak, jakby nagły ogień strawił cały tlen.

— To, co powiedziałam ci wtedy w Kansas — wyznała, spoglądając mu prosto w oczy — to była prawda.

— Wiem. A ja teraz czuję to samo. Ujęła jego twarz w dłonie.

— Więc powiedz to.

— Kocham cię, Gussie.

Ponownie zacisnęła powieki, a jej nozdrza zaczęły drgać.

— Proszę cię, Scott, powtórz to jeszcze raz, żebym miała pewność, że nie śnię.

Mocno ścisnął jej ramiona.

— Kocham cię, Gussie.

Otworzyła oczy i musnęła czubkami palców jego dolną wargę, jakby starała się wchłonąć znaczenie jego słów.

— Och, Scott, tak długo na to czekałam. Całe samotne życie. Ale proszę cię, nie mów tego, jeśli nie jesteś absolutnie pewien, że to prawda.

— Jestem. Przynajmniej od dnia ślubu. A może nawet dłużej.

Sprawiła wrażenie zasmuconej.

— Dlaczego więc tak długo zwlekałeś?

— Nie wiedziałem, czy wolisz, żebym ci to najpierw powiedział, czy pokazał. Poza tym jesteś taka inna, czysta, doskonała, wyjątkowa. Takiej kobiety nie sposób zdobyć od razu.

— W takim razie — odezwała się cicho — zgaś lampę... odłóż broń... i pokaż mi.

Pochylił się i jednym szybkim ruchem zgasił lampę. A kiedy się wyprostował, ich ramiona natychmiast się splotły, języki złączyły, dłonie rozpoczęły nieustanną wędrówkę. Oddali się we władanie niecierpliwej, długo tłumionej żądz, jakby starali się czym prędzej nadrobić cały stracony czas.

Z odchylonej do tyłu głowy Agaty zsunął się ręcznik. Scott zanurzył dłoń w jej mokrych włosach, ona zaś gładziła jego łopatki, ucząc się cudownego dotyku zimnej skóry i sprężystych mięśni. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie tak blisko, że czuła, jak wilgoć jego spodni przesiąka jej szlafrok na całej długości ud.

Po jednym pocałunku następował kolejny, coraz dzikszy i bardziej namiętny. W mroku Scott odnalazł jej pierś i twarde nabrzmiąły sutek. W chwili kiedy go dotknął, głośno wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech.

Pieścił ją długo, aż znowu zaczęła oddychać... zupełnie jakby biegła pod stromą górę.

Sięgnął po jej pasek, a ona przypomniawszy sobie słowa Violet, nie próbowała się bronić. Gdy pasek dołączył do ręcznika, Gandy rozchylił połę jej szlafroka i wsunął pod nie rękę. Agata zadrżała.

— Zimno ci — mruknął.

— Tak.

— Ogrzeję cię.

— Czy powinnam ci na to pozwolić?

Pocałował ją i rozpiął guziki na jej ramieniu. Wilgotna bielizna obsunęła się pod własnym ciężarem, odsłaniając jędrną pierś. Kiedy ją ujął, wypełniła mu dłoń. Była zimna, pokryta gęsią skórą i ściągnięta. Agata zadrżała, tyleż z powodu gwałtownie przekazywanego ciepła, co z wrażenia, które rozeszło się jej po całym brzuchu. Uwolnił drugą pierś spod mokrej tkaniny i również ją ogrzał. Czubkiem języka ogrzał usta Agaty. Zimny brzuch swoim brzuchem. Uda swoimi udami.

„Tak szybko, pomyślała, tak nagle i niespodziewanie następuje przejście od ochoty do swawoli. A więc tak się to odbywa, nie w małżeńskim łóżu, lecz na środku korytarza, kiedy nogi drżą ci jak galareta, skóra zmienia się w rozżarzone węgle i po raz pierwszy czujesz, jak napęczniałe ciało mężczyzny napiera na twoje.”

Niedoświadczona, choć chętna, pozwalała mu na wszystko, odwzajemniała pocałunki i pieszczoty, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła mu powiedzieć, ile dla niej znaczy. Słowa wydawały się puste, mimo to ujęła jego twarz w dłoń i tuż przy jego ustach wyszeptała:

— Po twoim wyjeździe chciałam płakać, ale nie mogłam. Mój smutek był zbyt głęboki. Lecz żałoba w moim sercu nie byłaby większa, gdybyś nawet umarł. — Pocałowała go w brodę czując, jak porusza się jego szczeka, gdy się odezwał:

— Wiele razy zadawałem sobie pytanie, dlaczego wyjeżdżam. Nie chciałem, ale nie miałem innego wyjścia.

— Myślałam nawet o śmierci — szepnęła. — Czasami naprawdę pragnęłam umrzeć.

— Nie, Gussie... nie. — Pocałował ją mocno i namiętnie, jakby chciał przegonić z jej głowy to wspomnienie.

— Śmierć wydawała mi się lepsza niż życie bez ciebie. Zawsze byłam samotna, lecz dopiero po twoim wyjeździe uświadomiłam sobie, że dotąd nawet się nie domyślałam prawdziwego znaczenia tego słowa. Byłeś pierwszym mężczyzną, obok którego leżałam, i dobrze wiedziałam, że nigdy nie będzie innego. Nie dla mnie. Nigdy.

— Cii! To już przeszłość.

I znowu się całowali, a dłonie Scotta błdziły po jej ciele z nową namiętnością, jakby starał się dodać swym słowom wiarygodności. Kiedy jej piersi były już rozgrzane, pieścizoty stały się delikatniejsze.

— Tamtego wieczora, na schodach, kiedy się całowaliśmy, z trudem się powstrzymałem, żeby nie zrobić tego samego co teraz.

— Wtedy bym ci nie pozwoliła.

— Dlaczego?

— Bo wyjeżdżałeś.

— Naprawdę nie chciałem cię zostawić. Do ostatniej chwili się wahałem. Byłem okropnie przygnębiony.

— Przygnębiony? Naprawdę? Byłam pewna, że tylko ja jedna tak się czułam. Przygnębiona. Z tęsknoty. Z pustki.

— Nie, nie tylko ty.

— Ale ty miałeś Jube. Przynajmniej nie byłeś sam.

— Kiedy człowiek jest z kimś, kogo nie kocha, i tak czuje się samotny.

— Nigdy jej nie kochałeś?

— Nigdy. Rozmawialiśmy o tym, żalowaliśmy, że nie czujemy do siebie niczego więcej, lecz nie byliśmy w stanie tego zmienić.

Pogładził ją po zimnych plecach i pośladkach. Mocniej do niego przywarła, zdziwiona, że nie czuje wyrzutów sumienia pozwalając, żeby dotykał jej w taki sposób.

— Scott?

— Ciii... — Pocałował ją, przesuając dłonią po jej biodrze i w dół brzucha.

Cofnęła się o krok i chwyciła go za rękę.

— Muszę ci coś powiedzieć. Proszę... proszę cię, przestań... chociaż na chwilę...

Zastygł w bezruchu, trzymając obie dłonie na jej biodrach, podczas gdy ona opierała się łokciami o jego tors.

— Kiedy wyjeżdżałam z Proffitt, Violet powiedziała mi coś, co od tamtej pory nie daje mi spokoju. Wyznała, że jako młoda dziewczyna miała kochanka. Stwierdziła, że było to najwspanialsze doświadczenie w jej życiu, które powinno być udziałem każdej kobiety.

— Violet?

Wyczuła, że jest zaskoczony, chociaż w zupełnych ciemnościach nie widziała jego twarzy.

— Tak, Violet. — Koniuszkami palców gładziła jego owłosiony tors. — A potem dodała, że ma nadzieję, że pewnego razu pan Gandy przejrzy na oczy i zostanie jego kochanką, może nawet żoną. Wydaje mi się, że do tego to wszystko zmierza, Scott, i chcę, żebyś wiedział, że jeśli mam być jedynie twoją kochanką, zgodzę się. Zaproszę cię do swojej sypialni i... nauczę się... to znaczy... zrobię co tylko...

Gandy pocałował ją, a potem objął w pasie i złączył dłonie u podstawy jej kręgosłupa.

— Jakże szlachetnie z pani strony, panno Downing. Chociaż ich nie widziała, była pewna, że w jego policzkach pojawiły się dołeczki.

— Jeśli natomiast istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo — ciągnęła rozgorączkowana — że zechcesz, bym została kimś więcej niż tylko kochanką, to bardzo cię proszę, żebyśmy się trochę wstrzymali i żeby stało się to w łóżku, w którym zostałaś poczęta i w którym się urodziłeś, bo nie chciałabym, aby twoje dziecko zostało poczęte w jakimkolwiek innym miejscu. — Miała wrażenie, że Scott z trudem powstrzymuje wybuch śmiechu, czuła też, że twarz coraz bardziej jej płonie, wzięła jednak niepewny oddech i mówiła dalej. — A jeśli takie prawdopodobieństwo nie istnieje, to i tak proszę, żebyśmy trochę to odłożyli, chciałabym bowiem zamienić kilka słów z Leatrice. Jestem przekonana, że zna ona dobre sposoby zapobieżenia ewentualnej ciąży. Teraz już nie miała najmniejszych wątpliwości, że jego tors trzęsie się od zduszonego śmiechu.

— Agato, czy to nie są przypadkiem oświadczenia?

— Skądże znowu — zachnęła się. — Chciałam po prostu wyrazić swoje życzenia, zanim będzie za późno.

— Lecz przecież poruszyłaś nawet temat dzieci. Moim zdaniem to brzmi jak oświadczenia. Czy nie powinniśmy na tę okazję zapalić lampy?

— Ani mi się waż, Scotcie Gandy!

Zacisnął dłonie na jej ramionach i delikatnie odsunął ją od siebie.

— Szybko zapnij, co chcesz zapiąć, i popraw, co chcesz poprawić, bo zaraz zapalam światło — rzekł głosem, w którym nie było już śladu kpiny.

— Proszę cię, Scott, nie. — Aż się skuliła, kiedy lampa wydobyła z mroku jej spłonioną twarz. Nie miała jednak innego wyjścia, jak tylko pośpiesznie poprawić strój i stanąć naprzeciw mężczyzny, który jeszcze przed chwilą pieścił w ciemnościach jej wilgotne nagie ciało.

Chwycił ją za ręce i spojrzał prosto w oczy. Był całkowicie trzeźwy i opanowany.

— Agato Downing, czy wyjdiesz za mnie? — spytał ot tak, po prostu, ona zaś z wrażenia szeroko otworzyła usta. — W ślubnej niszy, przy wszystkich naszych znajomych i przyjaciółach w roli świadków? Tak, jak planowali moi rodzice? I oczywiście w towarzystwie Willy'ego i za jego zgodą? Sądzę, że tak właśnie powinno być, w końcu już teraz tworzymy rodzinę.

Zakryła usta trzema palcami, a jej oczy wypełniły łzy.

— Och, Scott.

— No cóż, chyba nie przypuszczałaś, że pozwolę ci począć moje bękarty w sypialni na parterze, żeby Willy miał towarzystwo do zabawy? To by chyba nie był najlepszy przykład dla takiego malca?

— Och, S... Scott — wyjąkała, obejmując go. — Tak bardzo cię kocham. — Mocno pocałowała go w szyję. — Od tak dawna o tym marzyłam. O tym, żebyśmy wszyscy... ty, Willy i ja... żebyśmy byli razem. Ale nie przypuszczałam, że te marzenia kiedykolwiek się ziszczą.

Coraz bardziej podekscytowany, odsunął ją od siebie na tyle, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

— Powiedz tak, Gussie. A wtedy obudzimy Willy'ego i o wszystkim mu powiemy.

— Tak. Och, tak.

Znowu go uściskała, a potem, stojąc pośrodku wspólnej kałuży, zaczęli się całować. Jej schnące włosy przywarły do głowy, jego zaś posklejały się w zabawne kolce.

Kiedy się cofnęła, ze śmiechem zakryła włosy obiema rękoma.

— To karygodne, panie Gandy, żeby prosić kobietę o rękę akurat wtedy, kiedy jest w takim stanie! Mokra i w pomiętym

szlafroku! Gdybyś wiedział, ile razy wyobrażałam sobie tę scenę, ile razy układałam włosy i stroiłam się w najlepsze suknie tylko dlatego, że wiedziałam, że będę przebywać w twoim towarzystwie! A ty wybierasz na oświadczyzny taką chwilę! Przecież wyglądam okropnie!

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Właśnie zamierzałem poruszyć ten temat, Agato. Proszę, trzymaj. — Wręczył jej lampę, po czym ją wziął na rękę. — Jak na mój gust, wyglądasz po prostu wspaniale — powiedział, kierując się ku schodom. — A jeśli masz zamiar zrzędzić, to lepiej uważaj, bo jeszcze się rozmyślę.

Owinęła wolne ramię wokół jego szyi.

— Tylko spróbuj.

— Aha, jeszcze jedno. Nie mam nic przeciwko nocy poślubnej w Waverley, ale nalegam, żebyśmy miesiąc miodowy spędzili w White Springs. Myślę, że tam będziemy mieli odrobinę spokoju.

— White Springi... mhm... — mruknęła. Równoczesne wspinanie się po schodach i całowanie było z całą pewnością zadaniem niezwykle trudnym, trzeba jednak przyznać, że poradzili z nim sobie śpiewająco.

Nie zważając na swoje mokre ubrania, usiedli na brzegu łóżka i obudzili Willy'ego.

— Hej, Willy, obudź się!

Chłopiec krzywiąc się otworzył zapuchnięte oczy.

— Aha?

— Mamy ci coś do powiedzenia. Usiadł i zaczął trzeć oczy.

— Co? — burknął.

— Gussie i ja zamierzamy się pobrać.

— Naprawdę? — Malec natychmiast się rozbudził.

— I co ty na to?

— Pobrać się? Naprawdę?

— Naprawdę — odparła rozpromieniona Agata.

— To znaczy, że potem będziecie moimi rodzicami?

— Właśnie — powiedziała Agata. — Będziemy twoimi rodzicami.

— O rany! — wykrzyknął. Kiedy dotarło do niego, że to nie są żarty, na jego twarzy pojawił się ledwo widoczny uśmiech. — O rany... naprawdę? — Teraz już cieszył się tak,

jak oboje się spodziewali. Ukłękął, żeby przytulić się do Agaty, do której miał bliżej niż do Scotta.

— Prawdziwa mama i prawdziwy tata.—Nagle się cofnął.

— Hej, ty jesteś mokra!

— Pływaliśmy.

— Aha. — Przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

— W środku nocy? — spytał w końcu rezolutnie.

— Było nam gorąco — wyjaśnił Scott.

— Aha. Czy w takim razie będziemy mieli dzieci? — zapytał, nie gubiąc rytmu.

Agata zarumieniała się, roześmiała i posłała siedzącemu za nią mężczyźnie krótkie spojrzenie.

— Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu, ale lepiej zapytaj Scotta.

— Będziemy, Scotty? Chcę mieć braciszka.

— Braciszka, powiadasz, he? A nie mogłaby być siostrzyczka?

— Nie chcę żadnej siostry. Dziewuchy są głupie. Scott i Agata roześmiali się.

— No dobrze — zgodził się Scott. — Niech będzie brat. Ale powiedz no, dasz nam nad tym trochę popracować, czy wszystko ma być gotowe zaraz po ślubie?

Willy uśmiechnął się od ucha do ucha i nagle postanowił trochę się powygłupiać.

— Zaraz po ślubie! — krzyknął, wierzgając nogami ni-, czym osiołek. — Zaraz po ślubie!

Agata natychmiast zorientowała się, że czas na interwencję.

— No dobrze, Willy, świętować będziesz rano. Teraz pora wracać do spania.

Kiedy już go ucałowali, a on ich z całej siły wyściskał, potem zaś ze śmiechem ułożyli go po raz kolejny, bo z tej ogromnej radości znowu zaczął wierzgać, wyszli cicho z pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Scott wziął Agatę na rękę i ruszył w dół po schodach.

— Wcale nie musisz mnie nosić, Scott.

— Wiem. — Zamknął jej usta swoimi, a potem polizał ją w ucho. — Ale lubię.

Wtuliła twarz w jego szyję, rozkoszując się tą przejażdżką. Kiedy doszli do jej pokoju, Gandy bosą stopą otworzył szerzej

drzwi, wniósł ją do środka, położył na łóżku i ujął jej głowę w obie dłonie.

Jego głos przeszedł w intymny szept.

— Chcę jak najszybciej zabrać się do pracy nad tym braciszkiem, wiesz?

— Wiem. Ja też.

— Czy aby na pewno chcesz mieć dziecko?

— Może nawet więcej niż jedno. A ty?

— Jeżeli wszystkie będą takie jak Willy, to choćby siedemnaścioro. Co ty na to?

Roześmiała się i chwyciła za brzuch.

— Och, proszę cię, nie.

Kiedy Scott ją pocałował, cała figlarność gdzieś zniknęła.

— Kocham cię, Gussie. I strasznie mi z tym dobrze.

— Ja ciebie też kocham, Scott, i obiecuję, że lepszej żony nie mógłbyś sobie wymarzyć. Poczekaj tylko, to się przekonasz.

Tym razem całowali się tak długo, aż poczuli, że ich siła woli niebezpiecznie słabnie.

— Do zobaczenia rano — szepnął.

Z nagłą gwałtownością przyciągnęła go do siebie, ciesząc się, że on to on, a ona to ona i że jednak szczęśliwe zakończenia zdarzają się nie tylko w bajkach.

— I we wszystkie poranki do końca życia. Pocałował ją w czoło i wyszedł, ona zaś skrzyżowała ręce na piersiach i zacisnęła pięści, jakby nie chciała pozwolić, by uciekła choć najmniejsza odrobina tego, co się zdarzyło. Pani Scottowa Gandy! — radowała się, nie wierząc własnemu szczęściu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ślub wyznaczili na piętnastego czerwca po południu. Dzień zaczął się od okropnej ulewy, po której zza chmur wyszło słońce i na plantacji Waverley zapanował piekielny upał. W samym domu jednakże, przy szeroko pootwieranych oknach na parterze i na samej górze, było całkiem znośnie.

Jednym ze ślubnych gości była Violet Parsons, która przyjechała tydzień wcześniej, żeby pomóc Agacie w uszyciu sukni ślubnej.

— To chyba najpiękniejsza suknia ze wszystkich, jakie uszyłyśmy — cieszyła się, pomagając Agacie włożyć ich imponujące dzieło i zapinając dwadzieścia dwa guziki na plecach. Dopasowana w talii suknia z najlepszego jedwabiu w odcieniu kwiatów magnolii miała wysoki kołnierz, obcisłe rękawy z krezą od ramion aż do nadgarstka, gładką spódnicę i opadający wielkimi muszlami tren. — O dobry Boże, ależ pięknie wyglądasz! — wykrzyknęła zachwycona, biorąc Agatę za rękę.

Stały w głównej sypialni przed przyniesionym z dołu wysokim lustrem, wpatrzone w ulotne odbicie szczęśliwej panny młodej, jej lśniące, wysoko upięte włosy, szczupłe ramiona, wąską talię, jasnozielone oczy i ciemne rzęsy.

— Bo jestem taka szczęśliwa — odparła Agata.

— Cudownie, po prostu cudownie.

Agata odwróciła się i przytuliła do pomarszczonego policzka Violet.

— Tak się cieszę, że przyjechałaś.

— Ja też, chociaż muszę przyznać, że trochę ci zazdroszczę. Ale skoro sama nie mogę być żoną tego przystojniaczka Gandy'ego, cieszę się, że zostaniesz nią ty. Choć już mu powiedziałam... — tu pogroziła Agacie — ...że jeśli tylko coś wam się nie będzie układać, wystarczy, że kiwnie palcem, a natychmiast się zjawię. Chi-chi.

Agata ujęła w dłonie twarz Violet i roześmiała się.

— Och, Violet, jesteś niezastąpiona.

— Wiem. Idę do ogrodu po magnolie. Przyślę z nimi Willy'ego.

Po jej wyjściu Agata podeszła do okna. W alejce tłoczyły się powozy, na trawniku poustawiano niebieskie parasole. Na dole zjawiali się coraz to nowi goście, przygotowywano jedzenie, czekał pastor i ślubna nisza przystrojona na tę okazję bukietami żółtych liliowców i angielskim bluszczem.

Agata przyłożyła rękę do szybko bijącego serca. Wciąż trudno było jej uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, że stoi w sypialni, w której tej nocy będzie dzielić palisandrowe łóżko z kochanym mężczyzną, że jej ubrania leżą w szufladach komody i wiszą w szafie tuż obok jego ubrań, gdzie aromat jego tytoniu miesza się z zapachem jej perfum, i że tak ma już być do końca życia. A tymczasem przed dom nieprzerwanie zajeżdżały powozy, wiozące kolejnych gości.

To właśnie w chwili kiedy wyjrzała przez okno, usłyszała gdzieś za plecami głos, cichy żalony płacz małego dziecka.

Odwróciła się. Wprawdzie nikogo nie dostrzegła, lecz płacz wciąż było słychać. Agata zachowała zadziwiający spokój, zupełnie tak, jakby spodziewała się wizyty.

— Justine, czy to ty? — spytała. Głos natychmiast ucichł.

— Justine? — Rozejrzała się dookoła, ale oprócz niej w pokoju nie było nikogo.

Po chwili płacz rozległ się ponownie. Był może słabszy, choć równie wyraźny i realny. Agata wyciągnęła rękę.

— Jestem tu, Justine, i jeśli to tylko możliwe, pomogę ci.

— Dźwięk jeszcze ścichł, nadal jednak było go słychać.

— Proszę cię, nie płacz. To zbyt szczęśliwy dzień, żeby się smucić.

Zapadła cisza, lecz chociaż Agata nikogo nie widziała, to stojąc z wyciągniętą ręką czuła wyraźnie, że nie jest w pokoju sama.

— Czy to dlatego, że wychodzę za twojego tatę? Czy tak? — Przerwała i rozejrzała się. — Musisz mi uwierzyć, że nie zamierzam zająć w jego sercu miejsca twojej mamy. Ona zostanie tam na zawsze. Musisz w to uwierzyć, Justine... Wiem, że poznałaś już Willy'ego i że bardzo go polubiłaś. Mam nadzieję, że mnie też polubisz. Nagły koniec burzy nie mógłby się równać ze zmianą nastroju, która po tych słowach nastąpiła. Napięcie opadło, w pokoju zapanowała kojąca cisza. Nic nie dotykało dłoni Agaty oprócz łagodnego wietrzyku zmieszanego z zapachem kwiatów. Kiedy opuściła rękę, ogarnął ją wielki spokój. W tym momencie do pokoju wbiegł z rozpędem Willy, niosąc magnolie.

— Proszę, Gussie, wybraliśmy z Violet najładniejsze. Pochyliła się, żeby go pocałować.

— Dziękuję ci, Willy.

Wyprostowawszy się, potoczyła wzrokiem po pokoju, lecz po ulotnym gościu nie pozostał nawet ślad.

— Hej, ale ty pachniesz!

— Naprawdę? — roześmiała się i wzięła kwiaty.

— A jak ładnie wyglądasz! Poczekaj tylko, niech cię zobaczy Scotty!

Agata pocałowała go w czubek nosa.

— Czy mówiłam ci ostatnio, że cię kocham? Zachichotał i popędził do okna.

— Widziałaś, ile powozów?

— Tak. — Powróciła myślami do zbliżającej się uroczystości i jej podniecenie wzrosło. — Nie wiesz przypadkiem, skąd są?

— Z Columbus. Scotty wszystkich tam zna.

Agata stanęła przed lustrem i przypięła do włosów jedną z magnolii.

— Violet kazała ci powiedzieć, że już czas. Agata cofnęła się o krok i położyła rękę na sercu.

Już czas. Czas wyjść na spotkanie Scotta, czas pójść do ślubnej niszy, połączyć się z nim węzłem małżeńskim i odtąd już nigdy więcej nie cierpieć samotności.

Świadomość ta dodała jej obliczu pogodnego blasku. Willy stanął tuż obok niej i podniósł głowę. Jego starannie uczesane, lśniące od brylantyny włosy tworzyły nad czołem znajomą

falę. Agata nie miała wątpliwości, że fryzura jest dziełem Scotta. Dobrze pamiętała dzień, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyła. Było to wówczas, gdy Scott przyprowadził go do jej zakładu, wykąpanego i wystrojonego w nowe ubranie, które specjalnie dla niego uszyła. Patrząc na chłopca, którego zarówno ona, jak i jej przyszły mąż tak bardzo kochali, poczuła niezachwianą pewność, że los nieprzypadkowo skrzyżował koleje ich życia. Ściskając pojedynczą magnolię, swój bukiet ślubny, wyciągnęła wolną rękę i rzekła:

— Chodźmy.

Willy uśmiechnął się i ruszyli ku drzwiom. Kiedy chciał je otworzyć, poprawiła mu kołnierzyk i spytała:

— Pamiętasz, co masz zrobić, prawda?

— Tak jest, psze pani. — Uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. — Chodź. Już czeka.

Agata wzięła głęboki oddech, po czym wstrzymała go na dłuższą chwilę, z zamkniętymi oczyma wsłuchując się w dochodzące z dołu dźwięki pianina. Jednakże ani głębokie oddechy, ani dźwięki muzyki nie były w stanie uspokoić jej nerwów. Zatrzymała się w progu i jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Scotta.

Stał po drugiej stronie balkonu, przy drzwiach pokoju dzieciennego, cały w nieskazitelnej bieli, czekając na pojawienie się panny młodej. Dzieliło ich trzydzieści stóp przestrzeni, wypełnionej jedynie balustradami i ich radosnym wyczekiwaniem. Goście unieśli zaciekawione oczy, dla nich wszakże przynajmniej przez kilka sekund nie istniał nikt inny.

Ona, promieniejąca szczęściem, w woskowobiałej sukni z długim trenem i pojedynczą magnolią we włosach.

On, porywający, w zwięzających się spodniach i białym fraku podkreślającym czerń jego włosów i wąsów.

Z zaciśniętymi ze zdenerwowania żołądkami i przyśpieszonym pulsem wpatrywali się w siebie, napawając się tą chwilą i starając się na zawsze utrwalić ją w pamięci, aż wreszcie dotarli do nich dobiegające z dołu szmery.

Uśmiechnęli się do siebie, po czym Gandy spojrział na Willy'ego, który powoli zgiął i rozprostował palce. W odpowiedzi na ten sekretny znak Scott puścił do niego oko, a wtedy Willy podał Gussie łokieć i poprowadził ją ku zachodnim schodom, podczas gdy Scotty podszedł do wschodnich.

O ich zejściu opowiadano w okolicy jeszcze przez długie lata. O tym, jak państwo młodzi, cali w nieskazitelnej bieli, stąpali wpatrzeni w siebie po bliźniaczych schodach, zbliżających się do siebie niczym przerwane łuki serca; jak spotkali się pośrodku rotundy, zamykając te łuki; jak czarnoskóry pastor, wielbny Oliver z maleńkiego kościoła baptystów, który czekał tam na nich, zadał jedno tylko pytanie: „Kto wydaje tę kobietę?” i jak Willy odpowiedział „Ja”, po czym z uroczystą powagą przekazał swą przyszłą matkę przyszłemu ojcu; jak pan młody wziął pannę młodą za rękę i poprowadził przez rotundę ku rozsuniętym drzwiom salonu, a potem do przystrojonej żółtymi liliowcami i bluszczem niszy ślubnej.

Salon był pełen gości, lecz Agata zdała sobie z tego sprawę w chwili, gdy puściła rękę Scotta i stanęła obok niego. — Kochani...

Wielebny Oliver wygłosił piękne kazanie o tym, ile wysiłku i dobrej woli wymaga wspólne życie, o konieczności dawania siebie, wartości przebaczenia, nagrodzie za stałość i wierność oraz cnocie miłości. Kiedy zaczął mówić o dzieciach, które być może staną się błogosławieństwem tego związku, Agata poczuła, jak Scott dotknął łokciem jej łokcia. Spojrzawszy na niego kątem oka, dostrzegła, że ani na moment nie odrywa wzroku od jej twarzy. Ogarnęła ją tak wielka radość, że aż się zachwiała. Scott rozłożył skrzyżowane dotąd ręce, po czym w białych falbanach spódnicy odnalazł i ukradkiem ścisnął jej dłoń.

Jube zaśpiewała swym czystym, kryształowym głosem „Cudowną miłość”, której słowa wypełniły serce Agaty tak samo, jak zapach liliowców wypełniał jej nozdrza. Scott przez cały czas trzymał ją za rękę, gładząc jej kciuk swoim. Potem, stanąwszy twarzami do siebie, chwycili się za ręce tak, żeby wszyscy widzieli, a Agata ze zdziwieniem stwierdziła, że nie tylko ona drży.

— Ja, LeMaster Scott Gandy, biorę sobie ciebie, Agato Downing... — Jego głos, niższy niż zwykle i lekko drżący, zdradzał ogrom emocji. Wygłaszając słowa uroczystej przysięgi, przez cały czas wpatrywał się w jej oczy. Serce wypełniło jej tak intensywne uczucie miłości, że aż poczuła słodki ból.

„Scott, przed tobą w moim życiu była pustka, a teraz mam wszystko... wszystko. Życie jest chyba zbyt krótkie, żebym zdążyła ci pokazać, jak bardzo cię kocham.”

— ...aż śmierć nas rozłączy. A potem przyszła kolej na nią.

— Ja, Agata Noreen Downing, biorę sobie ciebie, LeMastera Scotta Gandy'ego... — Trzymając ją za rękę i słuchając jej łamiącego się głosu, Scott zorientował się, że jest bliska płaczu. Gdy dostrzegł łzy w kącikach jej oczu, wzruszenie chwyciło go za serce. Ścisnął jej delikatne palce myśląc, że to prawdziwy cud, że ktoś taki jak ona wszedł w jego pozbawione barw życie i nadał mu nowego blasku.

„Gussie, obiecuję ci, że nie złamię przysięgi i przez resztę życia będę ci dziękował za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.”

— ...aż śmierć nas rozłączy.

— Obrączka — polecił półgłosem pastor.

Zdjąwszy z małego palca pierścień z diamentem, Gandy wsunął go na palec Agaty. Wpatrywała się w swą dłoń z radością i zdumieniem, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że oto zostają ze sobą złączeni na zawsze.

— W obliczu Boga ogłaszam was mężem i żoną.

Scott pochylił się i ich usta zetknęły się w przelotnym pocałunku, potem zajrzał głęboko w jej jasnozielone oczy. Powoli zaczęli rozumieć znaczenie tej chwili. Mąż i żona. Na zawsze.

Wyprostował się, ścisnął mocno jej palce, a w jego policzkach pojawiły się dołeczki. Odpowiedziała radosnym uśmiechem, który wyzwolił zebranych z nabożnego skupienia, w jakim obserwowali ceremonię.

Wsunąwszy sobie pod ramię dłoń panny młodej, Scott poprowadził ją do stolika, na którym leżała otwarta rodzinna Biblia, i na stronie zawierającej już wiele wpisów, napisał:

15 czerwca 1881 LeMaster Scott Gandy

poślubił Agatę Noreen Downing

I znowu ją pocałował, tym razem mocniej, gwałtownie i chciwie, po czym objąwszy ją, przyłożył usta do jej ucha.

— Kocham cię — szepnął.

— Ja też cię kocham! — Agata musiała krzyknąć, rozległy się bowiem radosne dźwięki pianina, a głosy gości stały się donośniejsze.

Chwilę później zjawił się Willy, równie szczęśliwy jak młoda para, domagając się należytą porcji buziaków. Niedługo potem rozdzielił ich tłum składających życzenia i już przez cały wieczór spotykali się tylko przelotnie, niemal przypadkowo. Do Waverley przybyło tego dnia tylu znamienitych gości, których Agata musiała koniecznie poznać, i tak wielu starych znajomych Scotta, że po prostu brakowało im dla siebie czasu.

Uczta weselna składała się z posiłków porzucanych na stołach i goście rozpięchli się po posiadłości, przemierzając trawniki, spacerując po ogrodach albo zwiedzając dom. Niektórzy siedzieli na schodach rotundy, inni na ławeczkach przed domem. Panował obojętny upał, pito więc ogromne ilości lodowatego ponczu. Dzieci uganiały się za pawiami i dokarmiały konie. Kiedy w rotundzie zaczęły się tańce, Scott odnalazł Agatę przy schodach i zarzuciwszy sobie jej ramiona na szyję, poderwał ją z ziemi, a potem wolno poprowadził po parkiecie, czule do siebie przyciskając i delikatnie muskając jej usta. Goście jednak szybko ich wytropili i rozdziłili. Okazało się, że to jeszcze nie koniec obowiązków.

Mniej więcej godzinę później wpadli na siebie we frontowym salonie, ledwo wszakże zdążyli wymienić czułe spojrzenia, a już przerwała im Mae Ellen Bayles ze swoją córką Letą i wnukiem A. J., któremu tym razem udało się zaprzyjaźnić z Willym. Agata musiała zająć się rozmową z Mae Ellen, Scotta zaś zobaczyła dopiero w ogrodzie, gdzie pod jednym z niebieskich parasoli palił cygaro, konferując z chudym mężczyzną w garniturze w prążki i jego towarzyszem o wielkich owłosionych uszach. Niestety dwie panny na wydaniu zaczęły rozplęwać się w zachwytach nad ślubnym pierścieniem Agaty i wypytywać o jej suknię, grzeczność nakazywała więc poświęcić im trochę czasu. Im bliżej było zmierzchu, tym na dworze robiło się goręcej, słabiutki wiatr całkiem bowiem ustał. Agata czuła się coraz bardziej zmęczona i znużona. Scott był coraz bardziej znie-

cierpliwiony, a Violet wypła za dużo ponczu i bezwstydnie flirtowała z tęgim handlarzem o nazwisku Monroe Hixby. Willy twierdził nawet, że widział, jak się całowali w altanie.

Agata też chętnie by się zaszyła ze Scottem w altanie, przynajmniej na chwilę, na kilka gorących pocałunków. Spacerując z jednym z gości Waverley, niejakim panem Northgoodem z Bostonu, westchnęła i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Scotta. Dostrzegła go po drugiej stronie trawnika, jak skłonił się zmierzającej ku niemu pani Northgood. Jakby czując na sobie wzrok Agaty, uniósł głowę i spojrzął jej w oczy. Tym razem nie wymienili uśmiechów.

Chciałbym być teraz z tobą. Tylko z tobą — mówiły jego umęczone oczy.

A ja z tobą — zdawały się odpowiadać jej.

Pani Northgood skarżyła się na ogromne koszty ogrzewania domu w Bostonie, Scott jednak tylko udawał, że jej słucha. Zobaczył, że Gussie z trudem prostuje kręgosłup i chwytła się za biodro, powoli odwracając się od pana Northgooda. Zmarszczył brwi i delikatnie ujął swą rozmówczynię za łokieć, przerywając jej paplaninę, kiedy zrobiła krótką przerwę na zaczerpnięcie oddechu.

— Proszę mi wybaczyć, pani Northgood — rzekł, patrząc z zatroskaniem na Agatę, po czym ominął zaskoczoną kobietę i ruszył w stronę Gussie, pragnąc zapewnić jej chociaż chwilę wytchnienia.

Podszedł do niej i ujął za rękę.

— O ile się nie mylę, szuka pana żona, panie Northgood.

Bez słowa wyjaśnienia poprowadził Gussie po marmurowych schodach, przez zatłoczoną rotundę, aż do swojego gabinetu, w którym trzech mężczyzn paliło cygara i rozmawiało o interesach.

— Proszę nam wybaczyć, panowie, ale oczekujemy wielebnego Olivera ze świadectwem ślubu do podpisu.

Kiedy mężczyźni wyszli, zamknął za nimi drzwi.

— Przecież świadectwo już podpisywaliśmy — przypomniała mu Gussie.

— Wiem. — Odwrócił się do niej i zobaczył, że stoi pośrodku pokoju ze zmęczonym uśmiechem na twarzy, starając się obciążać zdrową nogę, co było wyraźnym sygnałem, że

jest wyczerpana. — Chciałbym, żeby już sobie wszyscy poszli — stwierdził bez ogródek.

— Nieładnie z naszej strony, że tak mówimy.

— Jesteś zmęczona.

— Trochę.

Podszedł do niej powoli, z rękoma przy bokach.

— Widziałem, jak masowałeś biodro. A teraz stoisz tak, żeby go nie obciążać.

— To nic strasznego. Wieczorem zawsze trochę boli. Bez słowa ostrzeżenia chwycił ją w ramiona i usiadł na ogromnym skórzanym fotelu, opierając jej stopy na poręczy. Uśmiechnęła się i zarzuciła mu ramię na szyję, on zaś wygodnie się usadowił, zakładając nogę na nogę. Na jego twarzy pojawił się żartobliwy uśmiech.

— A więc, Agata Noreen, czy tak?

— A tak.

— A dlaczegoż to dotąd o tym nie wiedziałem? Bawiła się puklem jego włosów, owijając go sobie wokół palca.

— Kobieta bez sekretów jest niczym rozwiązana zagadka. Nie ma czego zgadywać.

— Więc poślubiłem kobietę, która kryje przede mną jakieś tajemnice?

— Od czasu do czasu, czemu nie?

— Powiedz mi więc, Agato Noreen Gandy, o czym jeszcze nie wiem?

— Hm... — mruknęła i odchyliła głowę, udając zamyślenie, a następnie splótła palce na jego karku. — Odwiedziła mnie dzisiaj Justine.

— Naprawdę?

— Tuż przed ślubem, w naszej sypialni. Chyba udało nam się dojść do porozumienia.

— A więc wierzysz mi?

— Przecież zawsze wierzyłam. Wierzę też, że była dziś z nami w salonie i że cieszyła się z naszego ślubu.

Kiedy na nią spojrział, nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, że kocha ją nad życie. Przesunął czubkiem palca po jej włosach, czole i nosie, potem delikatnie dotknął jej ust.

A gdy się odezwał, na jego twarzy nie było śladu uśmiechu.

— Pani Gandy — rzekł niskim, matowym głosem.

— Przez cały dzień marzyłem o tym, żeby panią pocałować. Gdy przyłgnał ustami do jej ust, objęła go za szyję, on zaś

mocno przyciągnął ją do siebie. Ich języki splątały się w chciwym pocałunku, krew w żyłach popłynęła szybciej, a kiedy Scott wyjął rękę spod kolana Agaty i położył na uwiecznionej w ciasnym jedwabiu piersi, serca zabiły im jak oszalałe.

Oddychała coraz szybciej, a pieszczony jego kciukiem ciało prężyło się, jakby chciało wyjść na spotkanie upragnionemu dotykowi.

— Czy mam ich wszystkich wyprosić? — szepnęła, wciąż gładząc jej pierś, zmieniając jej kształt, tak jak ten dzień zmienił ich życie.

— Tak bym chciała, żeby to było możliwe — mruknęła. Pocałował ją, zwilżając czubkiem języka jej usta i czując, że ona robi to samo. Przez chwilę błdził dłonią w okolicy jej żeber, potem zsunął ją na biodro, wreszcie na płaski twarde brzuch, do którego dostępu broniła spódnica. Następną przeszkodę napotkał nieco niżej, gdzie drogę jego ręce ponownie zagroziła sztywna tkanina, nie pozwalająca na żaden ruch.

Agata przesunęła się trochę, uwalniając tył sukni. Wsunął dłoń pomiędzy tren a luźno zwisającą draperię, odnalazł taśmę, rozwiązał i w końcu ścisnął gładkie gorące udo.

Ich pocałunki stawały się coraz dziksze, coraz bardziej nienasycone, ich ciała drżały z niecierpliwości podniecenia. Rozległo się pukanie do drzwi.

— Państwo Gandy? — Wielebny Oliver wsunął głowę do środka. — Powiedziano mi, że państwo mnie szukali.

Agata i Scott zerwali się na równe nogi, czerwoni po same uszy.

— No... tak! — rozpaczliwie szukał w myślach jakiegoś pretekstu Scott. Na szczęście przypomniał sobie o kopercie.

— Chciałem to wręczyć, wielebny ojcie. Suma nie jest wielka, ale pragniemy jakoś się odwdzięczyć za to, że zgodził się ojciec odprawić tę uroczystość w naszym domu, zwłaszcza że tak dziś gorąco. — Uścisnął dłoń wielebnego Olivera. — Jeszcze raz dziękujemy.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Pastor schował kopertę do kieszeni. — Nieczęsto zdarza mi się udzielać ślubu w tak wspaniałej scenerii. Było mi naprawdę bardzo miło.

— Uśmiechnął się łaskawie. — No i oczywiście życzę dużo szczęścia — dodał. — Wydaje mi się zresztą, że już państwo ku niemu wyruszyli.

— Rzeczywiście — odrzekł Gandy, po czym wziął Agatę za rękę i przyciągnął do siebie, splatając jej palce ze swoimi.

— No cóż... — Pastor przesunął palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka. — Strasznie dzisiaj gorąco, nieprawdaż? Na mnie i moją żonę chyba już czas.

Scott zostawił Agatę, by go odprowadzić, tak więc po krótkiej przerwie znowu musiała oddać męża gościom. Było już dobrze po jedenastej, kiedy w oddali zniknęły latarnie ostatniego powozu, a goście Waverley rozeszli się do swoich pokoi. Willy padł ze zmęczenia i Scott zaniósł go na górę. Stojąca w jadalni waza po ponczu była całkiem pusta. W salonie i w okolicy schodów leżały poweselne resztki, czekające, aż rano ktoś je uprzątnie.

— Chcecie, żebym pogasiła tu światła? — spytała Leatrice wchodząc do rotundy, gdzie na najniższym stopniu siedzieli Scott i Agata.

— Nie, ja się tym zajmę. Ty idź się już położyć, Leatrice.

— Chyba rzeczywiście pójdę. Te przekłete odciski okropnie mi dzisiaj dokuczają. — Zamiast wszakże wyjść, pokuśtykała w ich stronę. — Może nie powinnam tego mówić, bo to przecież nie moja sprawa, ale teraz, kiedy znalazłeś żonę, no... chyba wreszcie wróciłeś do zmysłów. I to jaką żonę, miły panie. Twoi rodzice pewnie się cieszą. Może niedługo po Waverley będzie biegać wesoła gromadka, tak jak powinno być. Zbyt wiele lat minęło, odkąd w tych ścianach urodziło się dziecko. Tak, mój panie, już zbyt wiele lat. A teraz chodź tu do starej Leatrice, niech no cię uściska, zanim się w końcu przewróci przez te swoje odciski.

Gandy wstał i mocno ją uściskał. Chociaż był od niej wyższy, miał zbyt krótkie ręce, żeby ją objąć. Tulił ją więc i lekko kołysał, całując jej kręcone włosy.

— Dziękuję ci, Leatrice. Jesteś kochana. Natychmiast go odepchnęła i udając rozgniewaną, zdzieliła po głowie.

— Uważaj no, smarkaczu, do kogo mówisz kochana. No, a teraz ty — zwróciła się ku Agacie. — Chodź tu, niech wreszcie skończę ten bal i dam odpocząć odciskom. — Ko-

cham tego urwisa — wychrypiała jej do ucha. — Będiesz dla niego dobra, co?

— Będę. Obiecuję.

— I daj mu dużo dzieci. Będzie dobrym ojcem. Udzieliwszy im tej rady, odsunęła Agatę i pokuśtykała ku drzwiom, złorzecząc pod nosem na swoje nagniotki.

Po jej wyjściu Scott i Agata spojrzeli na siebie i roześmiali się. Po chwili umilkli i zastygli w bezruchu, podczas gdy w uszach dźwięczały im ostatnie słowa Leatrice, kierując ich myśli ku palisandrowemu łożu.

— Zaczekaj tu — rzekł Scott i poszedł pogasić światła. Odnalazł ją w zupełnej ciemności, namiętnie pocałował, wziął na ręce i zaniósł na górę. W sypialni migotały delikatne płomyki lampy i cicho syczał gaz. Wniósł ją do środka i nie przerywając pocałunku, zamknął nogą drzwi. Przez chwilę napawali się radosną świadomością, że są tylko we dwoje i że mogą wyznawać sobie miłość, jak tylko zapragną. Nareszcie.

Przez kilka minut pieścili się kompletnie ubrani, rozkoszując się cudownym narastającym podnieceniem. Później Scott uniósł głowę i spojrzeli sobie w oczy. Migoczące światło odbijało się w jego ciemnych i jej jasnozielonych tęczęwkach. Ich oddechy zaczęły się rwać, a krew w ich żyłach zdawała się zbliżać do stanu wrzenia. Postawił Agatę na podłodze, trzymając dłonie tuż przy jej piersi... blisko, ale wciąż zwlekając.

— Pani Gandy — rzekł z radością. — Boże, po prostu trudno mi w to uwierzyć.

— Mnie również. Proszę cię, powiedz mi, że to nie sen.

— To nie sen, Gussie. Jesteś moja.

— Nie, panie Gandy. To ty jesteś mój. Delikatnie ujął jej dłonie.

— Wedle pani życzenia.

— Czy to prawda, że żony mogą całować swoich mężów, kiedy tylko zapragną?

— Tak, kiedy tylko zapragną.

Pocałowała go prosto w usta, po to tylko, żeby skorzystać ze swojego przywileju. Był to pocałunek czysty, niemal przelotny, jakże jednak cudowny dla kogoś, kto przez tyle lat skazany był na samotność. Stał posłusznie, pozwalając się całować, a kiedy ich usta się rozłączyły, ciepło się do niej uśmiechnął.

— Dawniej zdecydowanie wolałem mocne, namiętne pocałunki. Ale te proste też mają coś w sobie, prawda?

W odpowiedzi pocałowała go znowu, tym razem mocniej, namiętniej.

— Ja osobiście uwielbiam wszystkie. Roześmiał się, objął ją i odwrócił w stronę łóżka.

— Wygląda na to, że ktoś tu był i przygotował nam parę miłych niespodzianek.

— Violet — szepnęła Agata, rozglądając się po pokoju.

Któż inny mógł to być, jeśli nie kochana Violet? Przygotowała łóżko i opuściła moskitierę, przyniesiony z salonu kosz pełen pięknych żółtych liliowców postawiła na komodzie, skąd rozchodził się na cały pokój ich słodki mocny zapach. A jako urodzona romantyczka, starannie ułożyła na łóżku nową koszulę nocną Agaty ze wspaniałym ażurowym stanem i wąską niebieską tasiemką wiązaną pod dziewiczym biustem.

Pokój rozjaśniony delikatnym światłem żyrandola, kwiaty w koszu, cienie moskitiery na pościeli — wszystko to zdawało się zapraszać szczęśliwych nowożeńców. Przez uchylone okno wleciała biała ćma i skierowała się do toaletki, gdzie przysiadła najpierw na szczotce, następnie na spince do włosów, potem przeniosła się na kwiaty, a w końcu usiadła na białej moskitierze, trzepocząc bezradnie skrzydełkami. Tej nocy nawet ćma nie miała prawa przeszkadzać młodej parze. A wszystko dzięki Violet.

— Koniecznie chciała sama uszyć tę koszulę — wyjaśniła Agata — i przez cały czas marzyła, żeby znaleźć się na moim miejscu.

Mógłby powiedzieć, że to zwykle mrzonki, lecz tego nie zrobił, czym zaskarbił sobie u Agaty jeszcze więcej szacunku. Rozumiał miłość i wydawało się, że wie o niej więcej niż ktokolwiek inny.

— Chcesz ją teraz włożyć? — spytał. Zaczerwieniła się, lecz nie spuściła wzroku.

— To był taki upalny dzień. Czy moglibyśmy... To znaczy...—Rzuciła okiem na dzban i miednicę.—Może lepiej by było, gdybyśmy się najpierw umyli?

— Masz ochotę popływać?

— Popływać? — Spojrzała mu w oczy.

Pomyślała o zimnej czystej wodzie i z chęcią przystała na tę chwilową zwłokę.

— Razem?

— Naturalnie. — Ujął ją za ramiona, odwrócił i zaczął rozpinąć guziki przytrzymujące tren. — Od dzisiaj zaczniemy kształtować wspólne nawyki. Wspólne zwyczaje. Niektóre z nich zostaną pewnie z nami do końca życia. Sądzę, że jednym z nich mogłaby być wieczorna kąpiel w basenie. To chyba dobry zwyczaj, nie sądzisz?

Ona jednak wiedziała, że ma na myśli nie ten zwyczaj,

o którym mówi, lecz całkiem inny — ten, który stojąc za jej plecami właśnie zainicjował. Niedbałym krokiem obszedł ją

I ułożył spódnice na jednym z dwóch niebieskich krzeseł. Na samą myśl o bawełnianej wkładce, wyrównującej niesymetryczność bioder, serce podeszło jej do gardła. On tymczasem, jakby była to rzecz najbardziej naturalna pod słońcem, stanął ponownie za jej plecami, rozpiął guziki sukni, zsunął z ramion i ucałował skrawek nagiego ciała, po czym odwrócił ją ku sobie i podał rękę, pomagając przestąpić leżące na podłodze zwoje białej tkaniny. Kiedy i suknia znalazła się na krześle, zdjął surdut i rzucił na suknię. Po chwili znowu stał przed Agatą, która była w pełni świadoma, że przez białą kombinację prześwitują jej twarde nabrzmiące sutki. Scott przelotnie na nie spojrzał.

— Czy jest coś, co byś chciała zrobić? — zapytał cicho. — Przecież wiesz, że nie musisz pytać.

Zerknęła na niego, po czym szybko spuściła wzrok i drżącymi palcami zabrała się do rozpinania jego kamizelki.

— Obawiam się, że brakuje mi wprawy — roześmiała się nerwowo.

Ujął ją lekko pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

— Musisz mi obiecać, że w takich sytuacjach nigdy nie będziesz przepraszać. A poza tym, powinnaś wiedzieć, że dla mężczyzny nie ma przyjemniejszego widoku niż rumieniąca się kobieta.

Słowa te tylko dodały barwy jej i tak już różowym policzkom. Rozpiąwszy kamizelkę, zdjęła ją z niego ruchem zbyt sztywnym i nerwowym, z czego zdała sobie sprawę dopiero po fakcie, aczkolwiek Scott zdawał się nie zwracać na to uwagi. Spokojnie rozpiął mankiety koszuli, ona zaś zajęła się

pozostałymi guzikami. Kiedy doszła do pasa, uniosła wzrok i znowu nerwowo się roześmiała, nieświadomie ściskając dłonie.

— Wyjmij mi ją ze spodni — poinstruował cicho. — Następny ruch należy do mnie.

Spodnie miał bardzo obcisłe. Ciągnęła z całej siły, on jednak tylko się uśmiechał. Koszula była ciepła i wygnieciona; spojrzawszy na nią Agata poczuła się tak, jakby patrzyła na ciało, które przekazało jej swoje ciepło. Żeby pokazać, że nie brak jej energii, rzuciła koszulę w stronę krzesła, kiedy wszakże Scott chciał rozpiąć guzik jej halki, chwyciła go za rękę.

— Scott... ja...

Zastygł w bezruchu, lecz nie cofnął ręki.

— Wstydzisz się, kochanie? Nie ma czego — rzekł, gładząc ją po policzku.

— Muszę... muszę ci coś powiedzieć... Ja... mam nierówne biodra...

Zmarszczył brwi.

— Tak?

— Mam jedno biodro... niżej niż drugie... i... dlatego... dlatego używam... ba... bawełnianej wkładki... żeby... żeby to jakoś wyrównać. — Dotąd tylko raz w życiu zdarzyło jej się jąkać. Było to jeszcze w Proffitt, po tym jak została napadnięta. Jakże była zażenowana, robiąc to teraz, kiedy stała na wpół rozebrana przed swym świeżo poślubionym mężem.

On jednak nie zamierzał się patyczkować. Chwycił ją za biodra i mocno ścisnął.

— A więc o to chodzi? O ten drobny kawałek waty? Zobaczmy no tylko. — Jednym ruchem zdjął jej halkę, po czym położywszy dłonie na jej biodrach, ugiął nogi w kolanach i dokładnie się jej przyjrzał. — Znałem kiedyś kobietę, która wkładała sobie coś takiego do gorsetu. Wsuwam tam kiedyś rękę i co? No właśnie, zamiast biustu kawał waty. Wyobrażasz sobie, co... O, do licha, chyba raczej nie powinienem opowiadać takich historii w noc poślubną.

Jeszcze zanim skończył, Agata roześmiała się i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Kocham cię, Scotcie Gandy, wiesz? Tak bardzo się tym martwiłam.

— Więc przestań się martwić, moja pani. Problem w tym, że nikt nie jest doskonały. Ja też nie.

— Owszem, ty jesteś.

— Tak się składa, że wcale nie. Chodź tutaj i usiądź.

— Poprowadził ją ku przenośnym schodkom koło łóżka.

— Nie wstydzisz się swoich stóp, prawda?

— Stóp?

— Tak, bo właśnie zamierzam zdjąć ci buty.

Sięgnął po haczyk i kucnął przed nią, ubrany jedynie w białe obcisłe spodnie, po czym oparł sobie jej stopę o pachwinę i zabrał się do dzieła. Agata nie mogła oderwać oczu od nieoczekiwanego widoku, ilekroć bowiem Scott pociągał za haczyk, but dziwnie podskakiwał. Agacie zrobiło się gorąco, jej wyobraźnia zaś po prostu oszalała. Scott ostrożnie odstawił but, ujął w dłonie jej stopę w jedwabnej pończosze i zaczął masować. Kiedy uniosła wzrok, spostrzegła, że wpatruje się w jej sutki.

— Czy ktoś ci już kiedyś zdejmował buty?

— N... nie. — Wbrew woli ponownie wbiła wzrok w szew jego spodni, a potem przesuwając pełnym podziwu spojrzeniem po umięśnionej ręce, natrafiła na bliznę na lewym ramieniu. Kiedy ucałował jej stopę, krew napłynęła jej do głowy, przez ciało przeszedł dreszcz. On tymczasem przyglądał się jej z pozornym spokojem.

— Masz piękne stopy, wiesz? — odezwał się nienaturalnie ałłasowym głosem.

Gapiała się na stopę w jego ciemnych dłoniach, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Stopy? Czy to możliwe, by we wnętrzu kobiety działały się takie rzeczy tylko dlatego, że mężczyzna pieści jej stopy? Gdy na niego spojrzała, uśmiechał się. Powoli zdjął jej drugi but i oparł łokcie na kolanach, przez cały czas kucając.

— Zdejmij pończochy. Chyba nie chcesz w nich pływać?

— Bez cienia zażenowania przyglądał się, jak Agata roluje jedwabne pończochy i zsuwa je ze stóp. Dopiero kiedy skończyła, wstał i powoli rozpiął spodnie. — Lubię patrzeć, jak to robisz — mruknął, podczas gdy ona zastanawiała się, czego wymagają w takiej sytuacji zasady dobrego wychowania. Zanim wszakże zdążyła zdecydować, czy kobieta powinna patrzeć, czy też raczej się odwrócić, Scott stanął przed nią

w samych tylko bawełnianych kalesonach. Wyciągnął rękę i gwałtownie zmieniając nastrój rzekł:

— Chodź, idziemy popływać.

Przeszli pod rzucającymi czarny cień magnoliami, po białej wstędze alei, na drugą stronę drogi, wreszcie po pokrytej rosą trawie.

— Scott, zapomnieliśmy lampy — odezwała się Agata, kiedy już byli prawie na miejscu.

— Mam po nią wrócić?

Po tym wszystkim, co robił jej w sypialni, nie było to mądre pytanie. Podobnie jak on, nie miała najmniejszego zamiaru tracić czasu.

Pływali więc w ciemnościach. Wskoczyli do lodowatej wody, nie zastanawiając się, jak jest zimna ani jakie niebezpieczeństwa może w sobie kryć. Umyli się szybko, przez cały czas myśląc o ciepłym blasku światła, grubym wysokim materacu i żółtych pachnących liliowcach. Agata słyszała, jak dał nurka pod wodę, po czym wypłynął i otrząsnął się, chlapiąc dookoła. Kiedy postanowiła przepłynąć basen, Scott ruszył za nią. Potem zawrócili i skierowali się ku białym stopniom. Scott był tam pierwszy. Podał jej mokre, śliskie ramię, przyciągnął do siebie i skradł gorący, dziki, niecierpliwy pocałunek, przywierając do niej całym nabrzmiętym ciałem.

Wyrwała mu się, chwytając obiema rękoma za włosy.

— Powiedz mi, Scotcie Gandy, co takiego robiłeś w sypialni?

— Przecież dobrze wiesz. I nie próbuj mi wmawiać, że nie — odparł uwodzicielskim tonem. — A ty? Co czułaś?

Na to pytanie nie potrafiła mu odpowiedzieć, podobnie jak nic nie mogła poradzić, że kiedy chwycił jej dłoń i położył ją sobie między nogami, zarumieniła się po same uszy.

— Jesteś okropny, Scotcie Gandy.

— Wcale nie okropny... zakochany... podniecony... To mój taniec godowy, a moja żona uwielbia go, tylko wstydzi się do tego przyznać. Ale i tak zanim skończę, pokażę ci każdy krok.

Pocałował ją. Usta mieli zimne, języki gorące. Jej gładkie ramiona owinęły się wokół jego szyi, ich wilgotne ciała grzesznie się o siebie ocierały. W ciemności równie nieskończonej jak przestrzeń pieścił przez mokrą bawełnę jej zimne,

drżące ciało—piersi, biodra i po raz pierwszy intymne miejsce między udami. Woda spływała po ich ciałach; jedwabista woda, która złączyła ich niczym płynne zwoje. Lewą ręką trzymał ją tuż pod łopatkami, gładząc jej gładką skórę, prawą zaś błędził wszędzie tam, gdzie tylko zapragnął.

— Gussie... Gussie... Pragnę cię. Będę dla ciebie dobry... Obiecuję...

Jej już teraz było wystarczająco dobrze. Jakże cudownie było czuć jego dłonie na swoim ciele. Nawet przez zimną moką bawełnę doprowadził ją do takiego stanu, że nie potrafiła powstrzymać jęków rozkoszy. Zakrył jej usta własnymi ustami, potem wyszeptał:

— Powiedz, Gussie... powiedz mi, co czujesz.

— Uwielbiam twoje dłonie... jak mnie dotykają... Czuję się piękna... bez żadnych wad...

Przyszło jej do głowy, że miejscem na miłość wcale nie musi być starannie posłane, wielkie palisadowe łoże z zaciągniętą moskitierą, że ciało, o ile je odpowiednio pobudzić, może w zupełności wystarczyć śliski marmurowy stopień, byleby tylko cierpienie oczekiwania dobiegło wreszcie końca.

Bez słowa Scott wyprowadził ją z basenu. Wytarli się szybko i byle jak, jeszcze raz pocałowali i pośpieszyli przez hebanową noc w stronę wielkiego białego domu.

Światło czekało, rzucając wąski żółty pas na balustradę balkonu, podczas gdy Scott po raz kolejny niósł Agatę po schodach. Zamknął drzwi, postawił ją na podłodze i mocno objął. Ich usta i ramiona natychmiast do siebie przywarły. Długie godziny oczekiwania zrobiły swoje. Dwa podniecone, wygłodniałe pieszczoty ciała splotły się ze sobą.

Nie miała czasu na wstyd—Scott na to nie pozwolił. Kiedy cofnął się o krok, to tylko po to, żeby rozpiąć guziki jej kombinacji i zsunąć na biodra. Ujął w dłonie jej pierś, uniósł i z podziwem się w nią wpatrywał.

— Popatrz na siebie... och, Gussie. — Przyklęknął, wziął twardy sutek w usta, ogrzał go czubkiem języka, pieścił wargami, a potem delikatnie ścisnął zębami. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. W jej ciele zaczęły budzić się przedziwne, dotąd nieznanne wrażenia. Ogrzał jej drugą pierś w taki sam sposób jak pierwszą, delikatnie drapiąc ją przy tym wąsem.

Odchyliła głowę do tyłu. Spodziewała się wstydu, skrępowania, tymczasem w ogóle nie było o nich mowy. Będąc kobietą tak bardzo kochaną myślała tylko o jednym — o błędzących po jej ciele ustach mężczyzny.

Ucałowawszy zagłębienie pomiędzy jej piersiami, zsunął oporną tkaninę z jej bioder.

Agata uniosła głowę i otworzyła oczy; malowało się w nich wielkie zdumienie intensywności doznań, podnieceniem wywoływanym każdym jego dotykiem, namiętnością, którą w niej rozbudził. I znowu zaczął ją pieścić, powoli, z wyrachowaniem, muskając koniuszkami palców jej włosy, brzuch, piersi. A potem wstał i jednym ruchem ściągnął kalesony.

Utkwiła wzrok w jego twarzy.

— Boisz się? — spytał.

— Nie.

Czekał, obserwując wahanie w jej oczach.

— A gdybyś się bała, powiedziałaabyś mi?

— Nie mam powodu się bać. Przecież cię kocham.

A jednak głos jej drżał, spojrzenie nie opuszczało jego twarzy.

Ucałował ślubny pierścień na jej palcu.

— Jak myślisz, chyba nie powinniśmy sprawić Violet zawodu? Może włożysz swoją nową koszulę? I tak niedługo ją z ciebie zdejmę, ale to może być całkiem zabawne.

Nie czekając, co odpowie, podszedł do łóżka, odsunął moskitierę i sięgnął po koszulę, nagi, szczupły, swobodny.

„Mam podwójne szczęście, myślała. Trafił mi się mąż nie tylko piękny, ale i delikatny. Delikatny i cierpliwy wobec niewinnej, świeżo poślubionej dziewczycy.”

Przyglądała mu się, rozumiejąc, że daje jej czas, by przywykła do widoku męskiego ciała.

— Podnieś ręce — rozkazał, włożył jej koszulę, ściągnął niebieską wstążkę i starannie zawiązał na kokardę.

— Scott, jesteś pięknym mężczyzną — rzekła, dotykając jego dłoni.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej twarzy: jasnozielonym oczom, szerokiemu czołu, ustom oraz zuchwie, na której nienaganny kształt zwrócił uwagę już przy pierwszym spotkaniu.

— A ty piękną kobietą. Chyba będzie nam razem dobrze, jak sądzisz?

Wziął ją na ręce, zaniósł na łóżko i położył się obok niej na wysokim materacu. Pod baldachimem było przytulnie i nastrojowo, w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Na zewnątrz moskitieryśmy kontynuowały swój taniec, w środku ciemne oczy wpatrywały się w jasnozielone.

Był nadzwyczajny, po prostu nadzwyczajny. Spokojny i naturalny. Wziął ją w ramiona i przylgnął do niej całym ciałem, leniwie całując, podczas gdy jego ręce czyniły cuda, których próbkę dał jej już w basenie. Sądziła, że przynajmniej chwilami będzie zażenowana, lecz jak można czuć zażenowanie wobec takiego mężczyzny?

Po kolei składał hołd każdej części jej ciała. Najpierw włosom. Wyciągnął z nich magnolię, którą położył na jej piersiach, potem wyjął wszystkie spinki, aż w końcu jej miedziane loki rozsypały się na poduszce. Później przyszła kolej na usta. Na ciepłe zachłanne pocałunki, podczas których poprowadził jej język do dzikiego tańca. Potem na uszy, szyję, wreszcie piersi. Przez chwilę gładził je płatkami magnolii, potem obsypał gorącymi pocałunkami, mocząc białą bawełnę i jędrne ciało, delikatnie kęsając i doprowadzając do tego, że zaczęła cicho pomrukiwać. Rozwiązał niebieską wstążkę i wsunawszy dłonie pod koszulę, błądził po powierzchni jej ciała — tylko po powierzchni i jakoś pobieżnie — pieszcząc uda, brzuch, piersi, obojczyki, jakby przed wyruszeniem w dalszą wędrówkę starał się wszystko dokładnie zapamiętać.

— Mmm...

— Przyjemnie?

— Och, tak... twoje dłonie. Tak dobrze je znam. Wydaje mi się, że nawet przez zamknięte powieki widzę dokładnie każdy ich ruch.

— Spróbujesz je opisać?

— Piękne dłonie o długich wspaniałych palcach, na tyle owłosione, że nie ma żadnych wątpliwości, że należą do mężczyzny. Szczupłe nadgarstki w białych mankietach wystających spod czarnej marynarki. Tak właśnie je sobie wyobrażałam, kiedy ty byłeś tutaj, a ja w Proffitt.

— Wyobrażałaś sobie moje dłonie?

— Zawsze. Jak zapalają cygaro, trzymają karty, targają za włosy Willy'ego. Kiedy wieczorem kładłam się do łóżka, długo rozmyślałam o nich i zastanawiałam się, jak by to było, gdyby robiły to, co teraz.

— To też? — Wstrzymała oddech i zadrżała, kiedy ponownie sięgnął pomiędzy jej uda.

— Oooch, Scott..

Czuła, jak ściąga z niej koszulę, znacznie szybciej i bardziej niecierpliwie, niż ją wkładał.

— Dotknij mnie — rzekł. — Nie bój się.

Był twardy, gorący i sprężysty. W jej dłoni wydawał się całkiem nieruchomy, niczym ramię zegara słonecznego, podczas gdy cały świat wiruje. Scott ujął ją za rękę i pokazał, co powinna robić. Już przy pierwszym ruchu niezmaconą ciszę zakłócił jego przyśpieszony oddech. Pieścił ją, to lżej, to znowu mocniej, aż wreszcie w jej wnętrzu wezbrał wielką falą strumień, podczas gdy ona krzyczała bez opamiętania, sięgając szczytu, którego istnienia przez tyle lat nawet nie podejrzewała.

— Scott... och, Scott... — powtarzała, dziwiąc się łzom w swoich oczach i coraz słabszym dreszczom, wstrząsającym całym jej ciałem.

— Właśnie o to w tym chodzi, Gussie. Wspaniałe uczucie, prawda?

Nie była w stanie wyrazić tego, co czuje. Zamiast więc mówić, zarzuciła mu ręce na ramiona i pocałowała, mocno zaciskając powieki. A zanim ten pocałunek dobiegł końca, zdarzył się kolejny cud — przestała być dziewicą. Scott połączył ich ciała z taką samą łatwością, z jaką robił wszystko, co poprzedziło tę chwilę. Tkwił w niej bez ruchu, dając jej czas, by się przyzwyczaiła.

Kiedy poczuła go w sobie, wyszeptała mu do ucha tylko jedno jedyne słowo:

— Witaj.

— Gussie... kochanie...

Wszystko, co potem nastąpiło, było bajecznie wspaniałe. Jego zwinne ruchy, napięte mięśnie, pomruki, pochwały, zmiana pozycji, wreszcie chwila przerwy, żeby mogli przyjrzeć się sobie z bliska... a potem znowu rozpoczął rytmiczne jedwabiste pchnięcia, rozpalając w niej na nowo cudowne

pożądanie, które już po raz drugi zerwało wszystkie więzy, na chwilę przed tym jak Scott rzucił się do przodu po raz ostatni... z obnażonymi zębami.

Przez kilka minut leżeli obok siebie, dotykając swych twarzy, jakby robili to po raz pierwszy w życiu, nieruchomi jak moskitiera, która rzucała cień na ich ciała.

— Wszystko dobrze? — wyszeptał po pewnym czasie.

— Tak.

— A jak twoje biodro?

— Dobrze. — Zupełnie o nim zapomniała.

Przytulił ją do piersi i zarzucił nogę na jej udo, składając ich ciała niczym płatki leżącej na pościeli zgniecionej magnolii. Westchnął z zadowoleniem, bawiąc się mahoniowymi włosami na jej karku, ona zaś delikatnie drapała go po plecach. Ćmy uderzały o siatkę, a ich cienie tańczyły na splecionych kończynach młodożeńców.

— Ciekawe, dlaczego nikt mi tego nie powiedział — odezwała się.

— Czego?

Nie bardzo wiedziała, jak wyrazić to, co czuje.

— Byłam przekonana, że to służy jedynie do prokreacji.

— Jak to? Przecież Violet ci mówiła — roześmiał się tuż przy jej uchu.

— Mhm... ale nie dość elokwentnie. — Odsunęła się, żeby widzieć jego twarz. — Scott... — wyszeptała, dotykając jego brwi, kości policzkowych. Tak bardzo pragnęła opisać swe uczucia, lecz słowa zdawały się zbyt zdawkowe wobec ich ogromu.

— Tak, wiem.

— Chyba nie. Nie o wszystkich tych latach, kiedy byłam sama jak palec, a szczytem moich marzeń był ktoś, z kim mogłabym dzielić stół przy kolacji, sznur do wieszania upranych ubranek dziecka, i coś oprócz tykania zegara... jakiś ludzki głos... ciepłe słowo. Ale to... — Dotknęła blizny na jego ramieniu, wspominając tamtą noc, kiedy widziała w tym miejscu wbity nóż, myśląc, jak niewiele brakowało, by go wówczas straciła. — Dałeś mi tak wiele. Rzeczy, których nie można kupić i...

— Niczego ci...

— Nie. — Dotknęła palcem jego ust. — Pozwól mi dokończyć. Chcę to powiedzieć. — Mówiąc, gładziła linię jego warg. — Tylko tobie zawdzięczam, że pływam, jeżdżę konno, tańczę... Nigdy nie sądziłam, że będzie mi dane doświadczyć chociaż jednej z tych rzeczy. Dzięki nim czuję się wolna, rozumiesz? Przedtem byłam przykuta do ziemi i dopiero kiedy tego wszystkiego doświadczyłam, poczułam się taka sama jak inni. Ale to wszystko i tak nie może się równać z Willym. Chyba nigdy nie znajdę odpowiednich słów, żeby ci za niego podziękować, na samą myśl, że zostanie z nami już na zawsze, napływają mi do oczu łzy szczęścia.

— Gussie, przecież to ty...

Ona jednak musiała otworzyć nad miarę przepelnione serce.

— Do tego dałeś mi rodzinę. Coś, czego nigdy dotąd nie miałam. Wszystko to zawdzięczam tylko tobie... No a dziś... dziś... dałeś mi jeszcze to. Coś, co po prostu nie mieściło się w mojej wyobraźni. Dałeś mi siebie, Scott. — Kiedy go pocałowała, usta jej drżały. — Chciałabym jakoś ci się odwdziaczyć, odpłacić się czymś równie wspaniałym, ale cóż takiego mogę ci dać? Czu... czuję, Scott...

Łzy napłynęły jej do oczu, głos się załamał. Teraz to on zakrył jej usta.

— A ja? Czy myślisz, że ja nie mam nic z tego małżeństwa? Posłuchaj, co ci powiem. Kiedy zobaczyłem, jak wychodzisz z sypialni, trzymając Willy'ego za rękę, poczułem się jak... — Oparł się brodą o jej głowę, szukając w myślach odpowiedniego słowa.

— Jak?

— Nie wiem. — Znów spojrzał jej w oczy. — Nie potrafię tego opisać. To było zbyt wspaniałe. W tej białej sukni byłaś piękna jak kwiat magnolii, obok ciebie siedł Willy, na dole czekało tylu gości. Waverley ożyło, a ja poczułem się jak nowo narodzony. Gussie, zbyt długo nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca na tym świecie. Włóczyłem się, szukałem. Przez wszystkie te lata grałem w pokera na parowcach, a potem otwierałem jeden po drugim bary. Nawet nie wiesz, jaką pustkę czułem. Gdybym cię nie spotkał, dalej bym się włóczył i szukał, na dobrą sprawę nie wiedząc czego. To dzięki tobie pojąłem, że aby odzyskać utracone szczęście, muszę najpierw

wrócić do Waverley. To dzięki tobie Willy znalazł się w moim życiu, dzięki tobie zastanowiłem się nad sensem swojego związku z Jube, związku, który był co najwyżej bladą imitacją tego, co teraz dzieje się między nami. Mówisz o tym, co ci dałem. Ale czy naprawdę nie widzisz, ile ja tobie zawdzięczam?

Wtuliła się w niego, przyciskając policzek do twardego torsu, zamykając oczy, czując, że jeszcze słowo, a jej przepełnione uczuciem serce po prostu pęknie.

— Kocham cię — powiedziało jedno z nich.

— Kocham cię — odrzekło drugie i nie miało znaczenia, czy pierwszy powiedział to on, czy też ona, była to bowiem prawda absolutna.

Pocałował ją, a kiedy ich usta się rozdzieliły, spojrzał jej głęboko w oczy.

— Na zawsze — powiedział.

— Na zawsze — powtórzyła.

Wstał, żeby pogasić światła. Patrzyła, jak siateczkowate cienie poruszające się na jego skórze giną w nieprzeniknionym mroku, który skradł jej jego widok, za to zwrócił ciało — silne, ciepłe i gotowe.

W ciemnościach odnalazł jej usta. Pragnienie powróciło, a oni radowali się nim, podsycali je i pod osłoną nocy kochali się raz jeszcze. I podczas gdy Waverley rozkładało nad nimi swe opiekuńcze skrzydła, duchy przeszłości mieszały się z nadziejami na przyszłość, Willy spał w pokoju po drugiej stronie korytarza, na zewnątrz jeleni obgryzał gałązki bukszpanów... LeMaster Scott Gandy złożył w łonie żony dar najcenniejszy ze wszystkich.